



# Jaume Cabré

C I E Ñ E U N U C H A



MARGINESY



Jaume  
Cabré

C I E Ń E U N U C H A

Przełożyła z języka katalońskiego ANNA SAWICKA

MARGINESY

# Spis treści

Karta redakcyjna

Od Tłumaczki

Dedykacja

CZĘŚĆ PIERWSZA. SEKRET AORYSTU

I. Andante (Preludium)

II. Allegretto (Scherzando)

CZĘŚĆ DRUGA. PAMIĘCI ANIOŁA

III. Allegro (Kadencja)

IV. Adagio (Chorał: Es ist genug!)

Koda

Dramatis personae

Przypisy

Tytuł oryginału L'OMBRA DE L'EUNUC

Przekład ANNA SAWICKA

Redaktor prowadzący, redakcja ADAM PLUSZKA

Korekta MAŁGORZATA KUŚNIERZ, JAN JAROSZUK

Projekt okładki, opracowanie graficzne i typograficzne ANNA POL

Lamanie **manufaktura** | manufaktu-ar.com

Zdjęcie na okładce © Miquel Llonch

Wiersze przełożyli Anna Sawicka i Adam Pluszka

**LLL** institut  
ramon llull

Język i kultura katalońska

The translation of this work was supported by a grant from the Institut Ramon Llull

*L'ombra de l'eunuc*

© Jaume Cabré, 1996

© first published in Catalan by Raval Edicions, SLU, Proa, 1996

Published by arrangement with Cristina Mora Literary & Film Agency (Barcelona, Spain)

Copyright © for the translation by Anna Sawicka

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2016

Warszawa 2016

Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-65282-61-3

Wydawnictwo Marginesy

ul. Forteczna 1a

01-540 Warszawa

tel. (+48) 22 839 91 27

e-mail: [redakcja@marginesy.com.pl](mailto:redakcja@marginesy.com.pl)

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c)

## OD TŁUMACZKI

Wśród wielu wątków, z których składa się ta opublikowana w 1996 powieść, takich jak historia wielopokoleniowej rodziny katalońskich przemysłowców, *Bildungsroman*, burzliwe dzieje opozycji w ostatnich latach dyktatury frankistowskiej, życie studenckie Barcelony lat siedemdziesiątych minionego stulecia oraz kulisy twórczości artystycznej i dziennikarskiej, jeden motyw – muzyczny – zdecydowanie wysuwa się na plan pierwszy. W utworze, gdzie obaj uzupełniający się narratorzy zmyślają, koloryzują, użalają się nad sobą, a przy okazji manipulują odbiorcą, prawdziwa okazuje się tylko muzyka.

Stawia ją na szczególnym miejscu główny bohater, Miquel Gensana, i wyróżnia spośród innych zainteresowań i pasji. Zajmuje się nią amatorsko – jako meloman – i zawodowo, jako krytyk muzyczny, co pozwala autorowi poszerzyć krąg postaci fikcyjnych, takich jak członkowie Tria Rimsy, o znanych współczesnych wykonawców, pod pretekstem przeprowadzanych wywiadów czy kulaarowych spotkań. Na tej zasadzie w epizodycznych rolach Jaume Cabré obsadza wiolonczelistę Lluísa Claretę, pianistę Andrésa Schiffa czy dyrygenta Daniela Barenboima.

Nawiązań do różnych utworów instrumentalnych jest w tym utworze wiele. Drugi narrator, wujek Maurycy, z upodobaniem gra fortepianowe kompozycje Katalończyka Frederica Mompou czy Chopina. Wielka miłość Miquela, Teresa Planella, jest skrzypczką i ma bogaty i urozmaicony repertuar, który stanowi przedmiot częstych komentarzy, refleksji, dyskusji, a nawet szczegółowych analiz. Z pozamuzycznych powodów wspominani są tacy kompozytorzy jak zmarły młodo Juan Crisóstomo Arriaga (1806–1826) – budzi kompleksy u narratora, który mu zazdrości dobrze wykorzystanej, choć krótkiej młodości – czy na wpuł legendarny kataloński gitarzysta Ferran Sorts, bohater *Jaśnie pana*, w tajemniczy sposób spokrewniony w zamierzonych czasach z rodziną głównego bohatera *Cienia eunucha*.

Wśród znanych kompozytorów różnych epok szczególną rolę w strukturze powieści odgrywa Robert Schumann i jego kompozycja fortepianowa op. 21 *Novelletten*, stanowiąca tło dramatycznego rozstania powieściowych kochanków. Ich pierwszemu spotkaniu również towarzyszyły wywołujące prawdziwą ekstazę erotyczno-artystyczną kameralne utwory Franza Schuberta, Johanna Brahmsa i Dymitra Szostakowicza.

Jednakże wyjątkowość *Cienia eunucha* wśród całej nasyconej muzyką twórczości Cabrégo polega na tym, że powieść nie tylko została zainspirowana, ale wręcz odtwarza konkretny utwór muzyczny w swojej strukturze<sup>[1]</sup>. Chodzi o *Koncert skrzypcowy* Albana Berga (1885–1935), zwanego w powieści „Boskim”. Nie jest bez znaczenia, że uroczyste prawykonanie tego koncertu odbyło się właśnie w Barcelonie, już po śmierci kompozytora – 19 kwietnia

1936 roku, podczas festiwalu Międzynarodowego Towarzystwa Muzyki Współczesnej. Dyrygował Hermann Scherchen, a partię solową wykonał amerykański skrzypek Louis Krasner, który zamówił u Berga ten koncert, kusząc go hojnym honorarium 1500 dolarów (które, zdaniem Bogusława Kaczyńskiego, ostatecznie przekonało niezamożnego kompozytora, by oderwał się od pracy nad operą *Lulu*). Przy pierwszym spotkaniu podczas zaimprovizowanego koncertu amerykański wirtuoz, prezentując skalę swoich możliwości wykonawczych, podrzucił kompozytorowi kilka tematów, inne motywy, jak piosenka z Karyntii czy walce wiedeńskie, miały źródła popularne i nawiązywały do miejsc ważnych dla austriackiego artysty, ale na ostateczną wersję nowej kompozycji wpłynęły tragiczne wydarzenia osobiste. Po śmierci osiemnastoletniej córki zaprzyjaźnionej z kompozytorem Almy Mahler, Manon Gropius, przez rodzinę nazywanej Mizzi czy Muzzi, Berg, sam już wtedy ciężko chory, zadedykował swój utwór tej młodej dziewczynie, opatrując go podtytułem „Pamięci anioła”. Cytat z *Kantaty* nr 60 Bacha – chorał *Es is genug*<sup>[2]</sup>, wykorzystany przez Berga w zakończeniu koncertu, jeszcze dobitniej podkreśla dramatyczny charakter całej kompozycji, pomyślanej jako requiem dla Mizzi, a odczytywanej przez melomanów i przyjaciół artysty<sup>[3]</sup> jako „requiem, które Alban Berg wyśpiewał sam dla siebie”<sup>[4]</sup>.

Co ciekawe, pomysł wpisania całej powieści w ramy struktury muzycznej pojawił się dopiero na zaawansowanym etapie redakcji tekstu, jak to często u Cabréro bywa – w magicznym momencie olśnienia. Przypomnijmy, że w podobny sposób uzyskał ostateczną strukturę *Jaśnie pan* – podczas prowadzonych przez Cabréro amatorskich obserwacji astronomicznych. W eseju *El sentit de la ficció. Itinerari privat* (1999) autor wspomina koncert w barcelońskiej filharmonii, kiedy słuchając *Kwintetu fortepianowego f-moll* op. 34 Brahmsa, nagle wyobraził sobie linię melodyczną tamtego utworu w postaci struktury przestrzennej – zobaczył jego architekturę i skojarzył go z powieścią, nad którą pracował. A że już wcześniej w *Cieniu eunucha* nadał wyjątkową rolę solistce, która przygotowuje się do interpretacji koncertu skrzypcowego Berga, wpisanie treści w określoną architekturę muzyczną nie tylko stało się czymś naturalnym i oczywistym, ale wręcz ujawniło, że od początku wiele elementów struktury literackiej w sposób naturalny podporządkowywało się muzycznej logice. Przede wszystkim chodzi o rytm narracji naśladowujący muzyczne tempo – andante (umiarkowane, w części pierwszej), allegretto (szybkie, w części drugiej), allegro (bardzo szybkie, w trzeciej) i adagio (wolne, mroczne, w części czwartej). Istotne są też przeplatające się wariacje tematyczne czy powracające motywy, ale chyba najważniejszy jest nastrój requiem, obecny zarówno w opisie frustracji obu narratorów, jak też dochodzący do głosu w kulminacyjnych momentach, kiedy śmierć, krążąca niczym sęp nad bohaterami, odbiera im to, co najcenniejsze.

Zapewne ta literacko-muzyczna harmonia sprawia, że autor uznaje *Cień eunucha* za jedną ze swoich najbardziej udanych książek.

A N N A S A W I C K A – iberystka, pracownik Uniwersytetu Jagiellońskiego, redaktor „Studiów Iberystycznych”, tłumaczy z języka katalońskiego i hiszpańskiego. Przez pięć lat była lektorem języka polskiego i wykładowcą literatury polskiej na Uniwersytecie Barcelońskim. Zajmuje się m.in. literaturą i kulturą katalońską (*Paryż-Barcelona-Sitges. Modernistyczny „genius loci” w Katalonii z perspektywy Santiago Rusiñola*, 2003, *Drogi i rozdroża kultury katalońskiej*, 2007). Ma w dorobku przekłady kilku katalońskich dramatów (Sergi Belbel, Josep Maria Benet i Jornet, Carles Batlle, Josep Pere Peyró, Lluïsa Cunillé, Guillem Clua) oraz opowiadania Pere Caldersa i Javiera Tomeo (*Minihistorie*, 2009), średniowieczny brewiarz mistyczny Ramona Llulla (*Księga Przyjaciela i Umiłowanego*, 2003), a także powieści Alberta Sancheza Pinola (*Chłodny dotyk*, 2006), Lluïsa-Antona Baulenasa (*Za worek kości*, 2008), Marii Angels Anglady (*Skrzypce z Auschwitz*, 2010) i Eduarda Mendozy (*Miasto cudów*, 2010). W 2013 roku ukazała się w jej przekładzie pierwsza tłumaczona na język polski powieść Jaume Cabrégo, *Wyznaję*, w 2014 *Głosy Pamano*, a rok później *Jaśnie pan*. W 2015 roku została uhonorowana prestiżową nagrodą Instytutu Ramona Llulla. Kapituła uznała, że *Głosy Pamano* to najlepszy przekład literacki z języka katalońskiego.



K S I A Ź K A U H O N O R O W A N A

Nagrodą miasta Barcelony, 1997

Nagrodą pisma „Serra d'Or”, 1997

Złotą Czcionką, 1997

A U T O R N A G R O D Z O N Y T Y T U Ł E M

Premi d'Honor de les Lletres Catalanes

dla najlepszego pisarza katalońskiego, 2010

O R A Z

Krzyżem Świętego Jerzego,

najwyższym katalońskim odznaczeniem, 2014

*Dla Margaridy*



W twoim wieku wszyscy jesteście wilkami,  
macie głód czasu w oczach.

JOAN MARGARIT

...for we possess nothing certainly  
except the past.

EVELYN WAUGH

**Adagio** ♩ = 54

Solo-VI

*mp* *ma deciso* - - - - - *doloroso* - - - - -  
[Es g - nug! Herr, wenn es Dir ge -

*mp* *dolce* *poco ral .. Poco più mosso, ma religioso*  
falt, se span - ne mich doch aus!\_\_\_\_\_]

ALBAN BERG

C Z Ę Ś Ć P I E R W S Z A

SEKRET AORYSTU

*Andante (Preludium)*

Gdy wszystko już minęło, siedząc na wprost ciemnych oczu i doskonalej cery Júlii, zadałem sobie pytanie, w którym dokładnie momencie przegrałem swoje życie. Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Łatwiej było zgadywać, o czym teraz myśli Júlia. Przyjrzałem się jej dyskretnie: skupiła się na karcie, niezdecydowana, czy wybrać stek czy karkówkę. Co do restauracji, natychmiast oceniłem, że zaaranżowano wewnątrz w sposób wyjątkowo antypatyczny. W którym momencie wszystko się popsulo? Może stało się to tamtego deszczowego piątku wiele lat temu, kiedy już się wydawało, że znalazłem swoje miejsce w społeczeństwie. Po obiedzie ktoś zapukał do drzwi i ojciec wbrew swoim zwyczajom poszedł otworzyć, jakby tylko czekał na to pukanie. Później wspólnie zrekonstruowaliśmy bieg wydarzeń: ojciec stał na schodach i rozmawiał z kimś, nie wiadomo z kim. Zdaje się, że skierował do nas, czy do ściany, słowa, że zaraz wróci, i więcej go nie widzieliśmy. Mimo że padało, wyszedł na ulicę w kapciach i w koszuli z podwiniętymi rękawami. Całymi latami wyrzucałem sobie, dlaczego wtedy nie przeczulem, jak ważne było tamto pukanie, dlaczego tak łatwo przegapiamy nieliczne naprawdę ważne momenty w życiu, a później marnujemy resztę rozpaczliwej egzystencji na bezowocne próby ich odzyskania. Mieszkałem wtedy u rodziców, świeżo po rozstaniu z Gemmą.

Mam dużo takich kluczowych momentów. Wymykają mi się z rąk, śliskie jak ryba, podczas gdy ziewam przed telewizorem albo rozwiązuję krzyżówkę. Ileż to razy rozpacziałem, bo nie mogłem sobie przypomnieć uśmiechu Teresy przed Ritzem. To uporczywe wspomnienie ciągle drąży mi mózg i wyciska łzy z oczu, dokuczliwe jak gorączka. Teresa uśmiechnęła się do mnie przed zalaną światłem fasadą hotelu, a ja stałem parę kroków dalej, w ciemności, zdyszany. Wobec mojego milczenia odwróciła się z uśmiechem do jarmarcznej budy. Nie, nie chcę teraz do tego wracać. Trzeba się skupić na karcie dań i podporządkować bezdyskusyjnej decyzji Júlii: mięso, ale jakie, zdecyduj się wreszcie, jestem głodna. Teresa jednak nie przestawała się uśmiechać, tam, przed Ritzem, na Piccadilly. W końcu zajrzałem do karty pisanej mdłym stylem niespełnionego literata, który kanonizuje potrawy, zamiast je opisywać. A przede mną Júlia, jej czarne oczy i aksamitny głos, które wabią niczym studnia bez dna, ale czuję się zmęczony; niezdolny do zakochania.

Wszystko zaczęło się parę godzin temu, kiedy Júlia zaproponowała mi wspólną kolację, bo jej zdaniem tylko ja mogłem jej pomóc. Albo nie: lawina ruszyła tego ranka, podczas pogrzebu, na cmentarzu. Od tamtej chwili nie mogę się uwolnić od obsesyjnej refleksji nad własnym życiem. Trzymałem się nieco na uboczu, ukryty za ciemnymi okularami. Woląłem nie podchodzić tam, gdzie stała rodzina, zaszokowana tą niespodziewaną śmiercią. A mimo to Rovira mnie rozpoznał i już się nie odkleił. Przy zwierzeniach wypaliliśmy pół paczki

cameli. Na cmentarzu, zanim Rovira do mnie podszedł, uświadomiłem sobie, niczym prawdę objawioną, że nigdy nie zdobędę się na zdementowanie oficjalnej wersji śmierci Bolósa jako ofiary tragicznego w skutkach, niepojętego wypadku. Tylko ja wiedziałem o tajemniczej wiadomości nagranej w środę wieczorem na automatycznej sekretarce: „Simó, to ja, Franklin: ktoś nas śledzi”. Później nastął czwartek z nową porcją sensacji, a w piątek, gdy wróciłem z cmentarza, zatelefonowała Júlia z propozycją kolacji.

Rzeźkie powietrze na cmentarzu przypomniało mi nieco cieplejszy, ale przesycony lękiem klimat na Kurnat as-Sauda. Pogodziłem się niemal bez walki, że mimo przypuszczalnie bohaterskiego okresu w moim życiu teraz muszę się chować za ciemnymi okularami, udawać rozkojarzonego, powtarzać tak, tak, co za bezsensowny, tragiczny wypadek. I uciekać stamtąd, zanim mnie całkiem rozbroi pytające spojrzenie Marii. Oraz Júlia przy telefonie.

– Tak, słucham, pod jakim warunkiem?

– Żebyś mi pozwolił wybrać miejsce.

Pomyślałem sobie, co mi zależy, też jestem sam, przybity, zniechęcony, z głową pełną Bolósa i sercem ściśniętym lękiem. Tak spanikowany, że nie potrafiłem na cmentarzu spojrzeć Marii w oczy.

– W porządku, zgadzam się. Dokąd chcesz mnie zabrać?

– Niespodzianka... Bardzo przyjemna restauracja, niedawno otwarta. Musimy porozmawiać o wielu sprawach, Miquelu.

– O czym?

– O wszystkim. O Bolósie. Potrzebuję informacji do artykułu.

– Artykułu?

– Duran cię nie uprzedził? Dodatek dla uczczenia pamięci.

– Zostawcie Bolósa w spokoju.

– Co z tobą? Nie podoba ci się nasz pomysł?

– Fantastyczny. – Z wymuszoną emfazą: – Naprawdę.

Nigdy nie potrafiłem udawać i Júlia natychmiast to wyczuła.

– Nie podoba ci się.

– Ależ tak, Júlio. A ty co o nim wiesz, no, o Bolósie?

Teraz Júlia odpowiedziała dziwnym milczeniem – jej też nie najlepiej wychodziło udawanie.

– Ach, tyle co znalazłam w starych czasopismach, w bibliotekach. Rozumiesz? – Niezręczna dla obojga pauza. – Ale przydałyby się informacje o jego młodości, a ty... – Odchrząknęła. – Co? – I żeby mi dać czas na odpowiedź: – To urocza restauracja, mają tam dobre mięso, a ty powinieneś się rozerwać.

Uległem sile argumentów i powiedziałem, w porządku, do usług. Dobry sposób, żeby nie spędzać czasu na kanapie, w ciemności, nie myśleć o Teresie, o Bolósie, o sobie, o Teresie i o lęku wywołanym telefonem, gdy ochrypli głos groził mi jakąś straszną karą, jakby nie

wiedział, że najgorszą karą jest pamiętanie o tamtym mokrym ręczniku i dwudziestopięciowatowej żarówce. I wspomnianie Teresy.

Júlia przysłała po mnie o ósmej, ale zamiast wsiąść do samochodu, wyciągnęła do mnie dłoń z porozumiewawczym uśmiechem, z prośbą o kluczyki. Chciała konsekwentnie doprowadzić do końca swoją niespodziankę. A ponieważ wobec uśmiechu kobiety jestem bezbronny, złożyłem w jej ręce kluczyki i moje życie, też z uśmiechem, ale niepewnym, bo marny ze mnie pilot. Poza tym wiem, że Júlia jest typem kierowcy nostalgicznego i nieprzewidywalnego, cały czas gada, gestykuluje, zapomina o kierownicy, nerwowo puszcza sprzęgło, wzdycha i tylko z rzadka, od niechcenia sprawdza, co się dzieje na drodze. Czyli nastawiłem się na ciężkie chwile, i to dość długie, bo szybko się okazało, że ta uroczą restauracja nie znajdowała się w Barcelonie. Wyjechaliśmy z miasta Meridianą, jeszcze niezbyt zatłoczoną, a Júlia zmieniała pasy, kiedy chciała i jak chciała, chyba pod wpływem poetyckiego natchnienia, podczas gdy mnie cierpła skóra na karku. Tyle tylko, że dziewczynnie udało się odwrócić moją uwagę od smutnych myśli.

- Nie powiesz, dokąd jedziemy?
- Nie. Ale uprzedzam: ty będziesz płacić rachunek.
- Jeśli to do pracy, ściągnę pieniądze od Durana.
- Nie będzie chciał o niczym słyszeć.
- To się okaże.

Oparła dłoń na moim kolanie i ją tam zostawiła. Ja z Júlią?

Jechaliśmy w kierunku Feixes w coraz większym tłoku, torując sobie drogę między samochodami wyjeżdżającymi z Barcelony. Musiałem mieć głupią minę. Wzruszył mnie gest Júlii, ale nie spuszczałem oka z przerywanej linii, na którą ona uparcie najeżdżała, jakby tam było najbezpieczniej.

- Wszystkiego mi się odechciewa.
- Mnie też.
- No to jest nas dwoje.
- To będzie kolacja na cześć Josepa Marii.
- Jakiego Josepa Marii?
- Bolósa. - Zmieniła ton głosu na wystudiowany. - Niesamowite, jak ci ludzie prowadzą. Zauważyłeś?
- Bolós to mój serdeczny przyjaciel - wróciłem do przerwanej tematu. - A może byś się trzymała swojego pasa?

- Och, Miquel... Nie zaczynaj, dobrze?

Zapanowała cisza. Podziwiałem za oknem pejzaż z rzeką Ripoll, starając się przynajmniej przez chwilę nie denerwować tym, jak prowadzi Júlia.

- Wiesz, że wiesz mnie w kierunku mojego domu?
- Niesamowite. To ty nie jesteś z Barcelony?
- Nie. Mieszkam tam. Ale pochodzę z Feixes.



– Coś takiego.

Kolejne osiemset metrów w milczeniu.

– Popatrz, jak to się dziwnie układa.

Uszczypnąłem ją w policzek, co spowodowało gwałtowną zmianę pasa.

– No wiesz, bywają gorsze nieszczęścia niż nie pochodzić z Barcelony.

– Akurat. Musi być ciężko.

– Niektórym się udaje przepracować tę traumę.

Minęliśmy Sabadell po prawej i jechaliśmy prosto jak po sznurku.

– Z Feixes pochodzi rodzina twojego ojca czy matki?

– Ojca, dziadków, babć, pradziadków i prababć. Moja rodzina ze strony ojca wrastała w dzieje miasta od niepamiętnych czasów.

– Cholera.

– Słucham?

– Powiedziałaś cholera.

– No właśnie. Jeśli cię to nie nudzi, któregoś dnia mogę ci pokazać nasze drzewo genealogiczne. Mam takie, świetna robota. Byliśmy rodziną świadomą własnej przeszłości.

– Byliście?

– Byliśmy.

– To tak jak my. Mnie zostało tylko mgliste wspomnienie o jednym dziadku.

– Ja jeszcze parę lat temu miałem jednego, właściwie wujecznego dziadka. Wujek Maurycy. Wyjątkowa postać.

– Bo?

– Bo tak. Przeżył sto tysięcy lat, miał pamięć jak słoń i był niezłe zakręcony. – Zerknąłem, żeby sprawdzić, czy mnie uważnie słucha. – Ten wujek to czarna owca naszej rodziny.

– Wyjechał do Ameryki i tak dalej, prawda?

– Nie. Wszyscy go nienawdzili.

– Ty też?

– Nie. Ja nie.

Júlia przyglądała mi się kątem oka, a jednocześnie zjeżdżała z autostrady, nie włączając kierunkowskazu.

– Przedstawisz mi go? – rzuciła, nie przejmując się samochodem przed nami, który właśnie hamował.

– Nie żyje. – Zdążyliśmy się zatrzymać w ostatniej chwili, a mnie już serce podchodziło do gardła. – Proszę, zwolnij.

– Że co?

– To, co wiem o rodzinie, zawdzięczam jego manii przechowywania papierów. Wiedział dosłownie wszystko.

– Wszystko?

– Tak, dosłownie. W każdej rodzinie znajdzie się ktoś, kto jest skarbnicą pamięci, prawda?  
– Nie w mojej. Nie jestem pewna, czy w ogóle jesteśmy rodziną. – Kiedy już zjechała na boczną drogę, zaczęła głośno myśleć. – Wydaje mi się, że można tu skręcić.  
– No wiesz... Jest zakaz, ale dla ciebie to żadna przeszkoda.  
– Cholera, gdzie?  
– Za nami. – Biorąc głęboki wdech, wydusiłem z siebie: – Spokojnie, znów jest ruch dwukierunkowy.

– Wiesz, że już jestem głodna? – Zawahała się przez moment przed czerwonym światłem, ale w końcu zahamowała przy moim gorącym i entuzjastycznym moralnym aplauzie. – Zaraz dojedziemy, jeśli się tu nie pogubię.

Nie skorzystałem z okazji i nie powiedziałem jej, że wuj Maurycy ostatni rok życia spędził w domu wariatów, że kochał mnie mimo tego, co się wydarzyło, i że był jedyną osobą w rodzinie, poza matką, z którą mogłem prowadzić długie, niespieszne rozmowy. Nie przypuszczam, żebym kiedykolwiek mógł jej o tym opowiedzieć.

Zanim zdążyłem się zorientować, co się dzieje, Júlia już parkowała samochód na placu przed restauracją. Tak ją absorbowało parkowanie, tak bardzo się skupiła, żeby nie uderzyć za mocno w samochód stojący przed naszym, że nie zwróciła uwagi na moje milczenie.

– To jest ta restauracja?  
– Aha. – Westchnienie ulgi. – Jak ci się podoba?  
– Świetnie parkujesz. To jest ta restauracja?  
– Już mówiłam, że tak.

Odebrało mi mowę. Wysiadałem z samochodu na nogach z waty. Było jeszcze jasno, letni wieczór. Nie mogłem się powstrzymać przed szybkim spojrzeniem na drzewko truskawkowe. Bardzo się rozrosło, widać, że o nie dbają. Podeszedłem bliżej, ale nie dosłyszałem słów adresowanych do mnie przez wujka Maurycyego w jego ostatnim, długim liście. Zegar słoneczny pozostał na ścianie z pnącą różą, bezużyteczny, bez słońca, bez róż. Lekki wietrzyk uwięziony w gałązkach brzozy delikatnie poruszał liśćmi. Na pozór wszystko znajdowało się na swoim miejscu.

– Jak ci się tu podoba?

Júlia wyciągniętą ręką wskazywała budynek jak ktoś, kto się popisuje wielką rybą właśnie złowioną na wędkę. Cóż mógłbym powiedzieć: moja droga Júlia przywozła mnie właśnie do mojego rodzinnego gniazda, do Gensany, domu, w którym się urodziłem, rosłem, płakałem i marzyłem. Domu, z którego uciekłem, kiedy przyszedł czas. Parę lat temu matka nagle została poinformowana, że ma się wyprowadzić, że budynek już do niej nie należy, i wszyscy zgłupieliśmy, czy nie dość, że ojciec odszedł w kapciach, zostawiając nam długie, weksle i pretensje, żeby teraz na dodatek nagle stracić wszystkie wspomnienia. To wtedy wujek Maurycy wspiął się na krzew różany. Gensana, tysiąc siedemset dziewięćdziesiąt dziewięć, tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąt pięć. Niewiele brakowało do osiągnięcia pełnych dwustu lat udokumentowanej rodzinnej historii. Czuję się jak król Marcin Ludzki. Tu, z powodu mojego opieszalstwa, pogrzebana została posiadłość Gensana, zamieniona w groteskową

restaurację, która jak na ironię, nosi nazwę Czerwony Dąb, wypisaną designerskimi literami.

– Miquel, oddaję kluczyki.

– Że co? – Z trudem oderwałem się od swoich myśli i poszedłem za nią. Trzy stopnie, podest i jeszcze dwa. Karty Visa, MasterCard i American Express reklamujące się na szybie w drzwiach nadawały całosci jeszcze smutniejszy wydźwięk. Przed nami wyrósł jak spod ziemi mężczyzna z przyklejonym do twarzy uśmiechem maître'a i powitał nas w moim domu.

– Mamy zarezerwowany stół – oznajmiła, jakby już się tu czuła jak u siebie.

– Ależ nie!... – poprawiłem ją przestraszony.

– Ależ tak... – tłumaczyła cierpliwie, jak dziecku, z rozbrajającym uśmiechem. Zwróciła się do maître'a: – Rezerwacja na nazwisko Miquel Gensana.

Puściła do mnie oko. Niezawodna, kiedy chodziło o sprawy praktyczne. A ja przez moment, mimo że znaleźliśmy się tam, gdzieśmy się znaleźli, pomyślałem sobie, a może by się w niej zakochać i mieć to z głowy. Ale to takie trudne, gdy masz w głowie natłok myśli, zaczynając od Teresy, jakże by inaczej, oczywiście, ale do tego jeszcze to tchórzliwe poczucie lęku, które ochryply głos w ostatnim telefonie wywołał na nowo.

– Co z tobą? Nie podoba ci się tutaj?

Maître, energicznym ruchem ręki dając do zrozumienia, że nasza ekspedycja właśnie wyrusza w kierunku upatrzonego stolika, oszczędził mi odpowiedzi. Kiedy podążaliśmy za nim slalomem między pustymi jeszcze stolikami, okupującymi mój salon, moją jadalnię, och, bibliotekę też, wszystko obscenicznie ze sobą połączone, Júlia powiedziała mi na ucho, żeby dodać otuchy, że wybrała dla nas magiczny zakątek, Miquelu, tuż przy fontannie, która szmerze tak rozkosznie.

To było jak policzek, ta pożałowania godna fontanna w bibliotece, tam, gdzie zawsze stał fortepian wujka Maurycego, obok starodruków pradziadka Maura, poety. Już miałem powiedzieć parę słów do sluchu, ale chwilowo maître odwiódł mnie od tego zamiaru, podsuwając Júlii krzesło szarmanckim gestem. Mnie najwzyczajniej w świecie zignorował. Ukłonił się i odszedł, chyba po resztę ekipy, zanim zdążyłem otworzyć usta.

– Nie podoba ci się ten lokal? Co, Miquel?

– Ależ tak, jak najbardziej.

– Bo masz taką dziwną minę... Podają tu fantastyczne mięso.

– Spróbujemy.

Przystąpiliśmy do studiowania karty dań. Ona ze zdwojoną gorliwością, jakby chciała mnie wyręczyć. Tymczasem mnie w karcie najbardziej zainteresował ten rozłożysty dąb, logotyp restauracji, stylizowany na starą grafikę. Skojarzył mi się z wielkim drzewem genealogicznym Gensanów, które oglądałem na kolanach babci Amèlii, w domu, czy u wujka Maurycego w wariatkowie, kiedy pewną jeszcze wtedy ręką wskazywał miejsce należne ciotce Carlocie, jego prawdziwej matce, bohaterce romantycznej historii, czy miejsce dziadka Maura, poety. Oraz prababki Josefyny... Myślałem o jego obietnicy odtworzenia Prawdziwego, Nieznanego Drzewa Genealogicznego Rodziny.

– Prawda, że dobrze się zapowiada?

– Tak... – Rzuciłem okiem na dania. – Widzę, że mają wszystkiego po trochu.

– Mięso.

– Co?

– Tu obowiązkowo trzeba zamówić mięso.

Nie pamiętam, żeby w moim domu należało obowiązkowo coś jeść czy nie jeść; ani nie byliśmy Żydami, ani nie obchodziliśmy piątków w chrześcijańskim wielkim poście. Dlatego uśmiechnąłem się mimo woli do swoich myśli. Ona wzięła to za opór niewyrobionego smakosza i ze srogą miną stuknęła palcem w kartę.

– Mięso.

– Zgodna, mięso.

Z karty wynikało, że ci idioci chcieli przyciągnąć do restauracji snobistycznych klientów, takich jak Júlia i jej nieznośne towarzystwo. Mimo idiotycznej nazwy.

A ja stałem się ofiarą. Bo i co mogłem zrobić? Nic, pozwolić, żeby wszystkie wspomnienia stanęły mi przed oczami. Co mogłem zrobić? Nic, rozważyć tylko, och, gdyby życie potoczyło się inaczej, gdyby dało się przewidzieć konsekwencje czynów i decyzji... gdyby dało się cofnąć błędny ruch, jeszcze raz odtworzyć tę samą płytę, tym razem w zwolnionym tempie, żeby przeanalizować, na czym polegał błąd, w którym momencie sytuacja zaczęła wymykać się spod kontroli... Prawdopodobnie takie jasnowidztwo byłoby gorsze niż tortura. Albo prowadziłyby prostą drogą do cynizmu.

– Może lepiej nie widzieć nic poza czubkiem własnego nosa.

– Co? – Júlia spojrzała na mnie jak na wariata.

– Przepraszam... Po prostu...

– Tak... – Spojrzała w dół, a potem znów zmierzyła mnie wzrokiem. Júlia ma bardzo ładne oczy. – Dobrze się czujesz?

– Doskonale. – Nadrabiałem miną, próbując wysilić się na niefrasobliwy uśmiech. Júlia przyglądała mi się zmartwiona. Już chciała coś powiedzieć, ale się rozmyśliła. Na szczęście dla mnie, bo w tym czasie kłębił mi się w głowie natłok myśli wokół śmierci Bólosa i nie potrafiłem rozegnać, w którym momencie należało postąpić inaczej, żeby teraz nie zadreżać się tą śmiercią, widziałem siebie na cmentarzu, przypominałem sobie zrozpaczoną Marię, owdowiałą żonę Bólosa, i czułem do siebie wstręt, aż do chwili, gdy podszedł do mnie Rovira i zajął mnie rozmową o tysiącu innych spraw. Cały czas jednak dręczyły mnie wyrzuty sumienia z powodu własnego tchórzostwa, bo przecież doskonale wiedziałem, jaka była prawdziwa przyczyna śmierci Bólosa. Tę wiedzę dzielić chyba tylko z mordercą. I może jeszcze domyśla się Niebieskooki. A tymczasem ukrywałem się za ciemnymi okularami, aż przyszedł Rovira i zaczął nawijać o kobietach, jego stały temat, od kiedy zrzucił sutannę ze sto lat temu.

– Zamówię stek mignon – zawyrokowała Júlia, rezygnując z dalszego dręczenia mnie osobistymi pytaniami. Wyglądała na zadowoloną z podjętej decyzji. – A ty?

A ja właśnie doszedłem do wniosku, że w ciągu tych czterdziestu ośmiu lat, które miałem

na karku, mimo podejmowanych wysiłków nie udało mi się uwolnić od czegoś w rodzaju chronicznych, zadekretowanych wyrzutów sumienia, że nie wspomnę o mokrym ręczniku i dwudziestopięciowatowej żarówce. Przez całe życie zaczynałem i kończyłem jakieś etapy, zawsze z niekorzystnym dla mojej duszy saldem. Od wieków nie wierzyłem w Boga.

– A teraz pewnie mam ci mówić o Bolósie.

– Owszem, ale najpierw zajrzyj do karty.

– Spiesz ci się?

– Nie, wcale.

– Nie sposób mówić o Bolósie, nie wspominając o mnie.

– Dobrze. O tych czasach, kiedy byliście ze sobą blisko.

Spojrzałem bez entuzjazmu na menu. Jakby to wszystko wyjaśnić Júlpii?

– Czuję się przygnębiony.

Teraz patrzyła na mnie tak, jakby zamierzała zrobić mi awanturę. Przestraszyłem się. Najbardziej ze wszystkiego boję się rozgniewanej kobiety.

– Może byś tak wreszcie wybrał porządne danie mięsne, co? – wycodziła z obrażoną miną.

– Ja też jestem przygnębiona, ale trzymam fason.

– Bo ty nie jesteś przyjaciółką Bolósa.

Odłożyła kartę na stół i zmierzyła mnie spojrzeniem czarnym jak węgiel.

– Zjesz ze mną tę kolację czy nie? Pomożesz mi napisać artykuł o twoim przyjacielu czy nie?

– Jasne. Ja po prostu...

– Jasne. Ty. – Teraz widziałem przed sobą Júlię, urodzoną przywódczynię, ale zajmującą niższe niż ja miejsce w redakcji. – Zasięgnęłam języka, żeby znaleźć fajny lokal, zarezerwowałam stolik, wygospodarowałam czas w moim rozkładzie zajęć...

Nie wiedziałem, że sprawa jest aż tak poważna. Trudno, skupiłem się na karcie, jak niesforne dziecko, kiedy czuję na sobie groźny, surowy wzrok nauczyciela. Júlia milczała, chyba zirytowała ją moja apatia.

– Zdecyduję się na dorsza.

– Ale... – zaprotestowała, święcie oburzona, niczym Joanna d'Arc. – Przecież ci mówiłam, że to miejsce słynie z mięsa!

– Niech będzie mięso. No właśnie: mięso! – powtórzyłem z uśmiechem adresowanym do zde gustowanego maître'a, który przed sekundą wyłonił się spod jakiejś płytki i uzbrojony w notes zmierzył mnie nieufnym spojrzeniem.

– Jakie mięso, proszę pana?

– No nie wiem... – Na chybił trafił: – To z dwoma sosami. Już pan zapisał, co pani sobie życzy?

– Tak, proszę pana. Już jakiś czas temu.

Uznałem ten komentarz za arogancki.

Negocjacje nie poszły łatwo, ale udało nam się sensownie dobrać potrawy, tak żeby Júlia była zadowolona. Kiedy wreszcie maître sobie poszedł, zapisawszy uprzednio wszystkie uwagi (mało wysmażony, bez soli, sałatka à la Montpensier bez cebuli) w notesie przypominającym, nie wiedzieć czemu, blok z formularzami mandatów, Júlia spiorunowała mnie wzrokiem.

– O czym ty myślisz? Można wiedzieć?

– Wygospodarowałaś czas w swoim rozkładzie zajęć! Wielkie dzięki!

– No, nie udawaj. O czym teraz myślisz?

Żeby się nie rozplakać, zacząłem się śmiać. Uszczypnąłem Júlię w policzek, pokonując jałową pustynię stolika. Júlię, sprytną, energiczną, z oczami i włosami jak węgiel, o delikatnej cerze, młodą, wyzywająco młodą, moją wielką nieznaną, bo nigdy o niczym poważnie nie rozmawialiśmy; pewnie dlatego, że nie mogłaby zrozumieć mojego życia toczącego się między jednym niezdecydowaniem a drugim; te dwadzieścia lat różnicy między nami sprawiło, że czułem się niewyobrażalnie stary, wydany na bolesne ataki nostalgii i wyrzutów sumienia, a myśl o śmierci na dobre zagościła w mojej głowie, pokrywając wszystko cienką warstwą patyny. Co znaczyło, że młodość minęła bezpowrotnie. Ale jak to wytłumaczyć takiej młodej dziewczynie? Równie dobrze mógłbym powiedzieć widzisz tę restaurację, Júlio? To był mój dom. Tu, gdzie siedzimy, stał stary księgozbiór jednego z moich pradziadków, poety. Maur Gensana, słyszałaś o nim? Prawda, że nie? Wiesz, że ten twój maître ułokował nas w rodzinnej bibliotece? Ten magiczny zakątek to biblioteka. A ta, pożałuj Boże, fontanna, usytuowana tam, gdzie stał fortepian wujka, to policzek wymierzony w całkiem niezły gust mojej rodziny. Nie, nie mogłem jej tego wszystkiego powiedzieć, bo nie zamierzałem tu umrzeć ze wstydu. Musiałem zrobić cokolwiek, żeby się bronić przed spojrzeniem Júlii.

– Pewnego dnia – próbowałem ją zaintrygować – zakochałem się.

– Ach tak. – Zdziwiona podniosła głowę.

– Tak. To się zdarzyło w domu towarowym. Mnie ruchome schody unosiły w górę. A ona jechała w przeciwnym kierunku. Wysoka, jasnowłosa, zjawiskowa. Roztaczała wokół aureę piękna, rozumiesz?

– Phi.

– Spojrzeliśmy na siebie. Przeszła mnie wzrokiem i nie mogłem się oprzeć. Aż w końcu znaleźliśmy się obok siebie.

– I co dalej?

– Oboje się przewróciliśmy. Poczułem jej zapach. I znów przeszła mnie wzrokiem.

– Kto to taki? Znam ją?

Sięgnąłem po chleb. Wydawało mi się, że widzę rozmarzenie w jej oczach.

– Nigdy więcej jej nie spotkałem. Miłość uleciała.

– Miquel, czemu mi to mówisz?

Dlaczego? Bo byłem wściekły. Bo właśnie miałem zjeść kolację z dziewczyną, w której trochę się podkochiwałem, a ona, z tego, co wiedziałem, najwyraźniej bawiła się ze mną

w ciuciubabkę, zresztą nigdy nie próbowałem z nią rozmawiać o sprawach osobistych, nie zwierzałem się jej. Nie: nie zanosilo się na to, byśmy skończyli w łóżku. Opowiedziałem tę miłosną historię dla kurażu, bo jestem nieśmiały, bo właśnie pochowaliśmy Bolósa, a ta fontanna na środku biblioteki, czysty absurd, tkwiła w miejscu, gdzie wujek Maurycy, zanim go zamknęli, spędzał długie, niespieszne godziny wieczorne. Szukał sensacji w rodzinnym archiwum, oglądał obrazki w ilustrowanych żywotach świętych, grał Mompou i Bacha. Albo robił wycinanki z papieru. Denerwowałem się, bo przyszło mi stawić się incognito na kolację we własnym domu, siedzibie rodu Gensanów, gdzie od siedmiu pokoleń rodzili się i marli dziadkowie – Ton, Maur i wszystkie prababki, gdzie się urodził mój ojciec, gdzie ja też się urodziłem i wychowałem; domu, który był świadkiem moich dwóch ucieczek... Bo znajdowałem się w otoczeniu ścian stanowiących część mojego najbardziej osobistego, intymnego życia i moich wspomnień.

– Podoba ci się lokal, Júlio?

– Tak, bardzo. – Już się uspokoiła. – Uważam, że jest uroczy.

A więc mój dom wydał się jej uroczy. Dwieście lat życia rodzinnego, od Antoniego Gensany Pujadesa, oficjalnego założyciela rodu według drzewa genealogicznego, Antoniego I Gensany Protoplasty, aż do mnie, od końca wieku osiemnastego do końca dwudziestego, siedem pokoleń Gensanów, które dorabiając się majątku, tworzyły historię, które są fundamentem tych ścian, a cały ich wysiłek zasłużył teraz na ocenę uroczy. Nie wierzyłem własnym uszom.

– Tak, też uważam, że jest uroczy. Wiesz, że to był dom prywatny?

– Nie wydaje mi się... W takim domu nie dałoby się mieszkać, nie sądzisz?

– Aha.

– No tak, sam pomyśl! Jak nie duchy, to ściany by ci się waliły na głowę. No i musiałyby tu być sakramencko zimno.

W tej sprawie nie mogłem nie przyznać jej racji. Mówiła dalej:

– No wiesz, jeżeli ktoś tu mieszkał, musiał być nie lada dziwakiem albo dekadentem.

Nie myliła się i pod tym względem. Słuchałem dalej jej uwag.

– Wiesz, że znam właścicieli?

– Naprawdę? – zrobiłem się czujny. – Jakich właścicieli?

– Właściciele restauracji. Maite Segarrę i jej męża, teraz już byłego, Manola Seténa.

– Nie rozumiem.

– Jak to nie, ten plastyk. Nie mów mi, że go nie...

Zapaliłem papierosa, zastanawiając się, o kim ona mówi. Júlia rzuciła się jak sroka na zapalniczkę Isaaca Sterna.

– Ładna.

– Bardzo stara.

– I bardzo ładna. Skąd ją masz?

– Ach, masz na myśli tego Seténa, plastyka!

– Wiedziałam, że musisz go znać! – drążyła temat.

– Jak wpadł na to, żeby się zająć gotowaniem?

– Pewnie z nudów. Ej, muszą tu robić niezłą kasę. Och!

Upewniłem się, że Júlia odłożyła zapalniczkę na miejsce.

– Ale teraz jest tu dość pustawo – powiedziałem, żeby podtrzymać rozmowę.

– Wcześniej przyjechalśmy. Jak chcesz, później ci przedstawię Maite.

Przeglądałem się Júlii przeżuwiającej kawałek chleba. Patrzyłem na białe zęby, do których tyle razy chciałem dotrzeć w pocałunku. Dlaczego w życiu takie cuda się nie zdarzają?

Już dawno przestałem w nie wierzyć. Doszedłem do paru wniosków, zawsze prowizorycznych, na temat życia i śmierci. Jak na przykład, że ludzie od zwierząt odróżnia pragnienie wieczności; od wieków ludzkość desperacko walczy o nieśmiertelność różnymi sposobami: poczynawszy od umieszczenia własnej sylwetki na płótnie aż po dużo bardziej wyszukany wynalazek, jakim są religie, a pośrodku sytuuje się obsesja zachowania gatunku i przetrwania we własnym dziele. Według mnie są trzy sposoby na nieśmiertelność, których się dorobiliśmy: dzieci, sposób najczęściej stosowany, religia, sposób najbardziej prestiżowy, i sztuka, sposób najbardziej ze wszystkich wysublimowany. Ale co zostaje komuś takiemu jak ja, bezpłodnemu agnostykowi? Pewnie dlatego tak bardzo fascynuje mnie muzyka – jedni ją komponują, a drudzy wykonują; poezja – tworzy ją ktoś, kogo nie znam, a mimo to udaje mu się mnie wzruszyć, i malarstwo, którego nie umiałbym naśladować; nawet wziąć pędzla do rąk nie potrafię. Może dlatego płaczę, kiedy słucham Mendelssohna, i natychmiast szukam jakiejś kobiety, żeby mi otarła łzy. Ale gdy słucham mojego Albana Berga, nie ma na świecie osoby zdolnej powstrzymać mój smutek. Mało kto potrafiłby zrozumieć jego przyczynę. Najbardziej dręczy mnie to, że nie jestem ani muzykiem, ani malarzem, ani poetą, tylko zwykłym pieprzonym dyletantem, owszem, bardzo wrażliwym, ale niezdolnym do tworzenia. Nigdy nie byłem dobrym uczniem; Ramon, mój kuzyn, popisywał się, machając mi przed nosem świadectwem ze znakomitymi ocenami. Już w wieku dwudziestu czterech lat został inżynierem włókiennictwa, a dwa lata wcześniej zaczął pomagać ojcu rujnować naszą fabrykę. Ja tymczasem ledwo, ledwo przebrnąłem przez klasę matematyczno-fizyczną, zaliczyłem kursy przeduniwersyteckie na słabą trójczynę, zmieniłem profil na humanistyczny, a wtedy porwał mnie entuzjazm, ale nie do koniugacji czy architektury sakralnej, ale do wszelkiego rodzaju zgromadzeń spod znaku maja sześćdziesiątego ósmego i wielu innych rzeczy, i rzuciłem studia w połowie, bo rewolucja była pilniejsza, a Berta taka śliczna. A kiedy wojna się skończyła i Franco zmarł w łóżku, znowu się zakochałem. Małżeństwo z Gemmą trwało dwa lata, dwa miesiące, dwadzieścia jeden dni i trzysta godzin. Kiedy wróciłem do domu, do smutnej, milczącej matki, i zastanawiałem się, czy i co powinienem rozpocząć na nowo, uświadomiłem sobie, że mam dwadzieścia siedem lat i już dawno przestałem rozmawiać z ojcem. Juan Crisóstomo Arriaga zmarł w wieku lat dwudziestu. Czuję się strasznie stary i zniechęcony. Zamiast kupić bilet do Indii, żeby tam złapać jakąś egzotyczną gorączkę, zamiast rozpocząć rozglądanie się za chętnymi dupami wśród znajomych, poprzestałem na zakupieniu abonamentu do Pałacu Muzyki, a życie zostawiłem innym, może im lepiej się poszczęści. Piąty rząd na parterze,



miejsce prawie na środku. I poświęciłem się studiowaniu, lekturom, delektowaniu się pięknem. Teraz, po wielu latach, niektórzy uważają mnie za erudytę. Śmieszne, ale prawdziwe.

– Co ci mam opowiedzieć o Bolósie?

– Różne rzeczy. Prywatne. O jego młodości.

– Nie znałaś go, prawda?

– Ależ tak. Sam mi go przedstawiłeś. – Rozejrzała się, jakby chciała, żeby jej słowa pozostały tylko między nami, i świdrując mnie wzrokiem, zaatakowała: – Co się czuje, kiedy umiera bliski przyjaciel?

– Skąd przypuszczenie, że byliśmy sobie bliscy?

– Co się czuje?

– Nie wiesz, co się czuje? – Spojrzałem na nią kątem oka i stwierdziłem, że jest bardzo młoda. – Chyba nie umarł ci żaden przyjaciel.

– Nie. Ja nie mam przyjaciół.

– Nie wierzę.

– Nie. Tylko bardzo koleżeńskich kolegów. – Po cichu dodała: – Albo kochanków. Co się czuje?

Długo się zastanawiałem. Chyba za długo. Odpowiadając, unikałem jej wzroku, bo widziałem w nich Teresę.

– Nic, Júlio. Tylko chce się płakać.

„Urodziłem się w Feixes w 1905 roku, z Francesca Sicarta, obywatela, i Carloty Gensany, obywatelki. Ojciec mój, którego ojcowizna wskutek podziału między troje rodzeństwa równała się niemal zeru, musiał szukać środków do życia w zawodzie zegarmistrza, w którym istotnie był bardzo biegły. Matka, siostra wybitnego poety Maura II Gensany Boskiego i córka posła Antona II Gensany Złotoustego, była od niego bogatsza: miała urodę i cnotę. Nie bez trudności przyszło ojcu otrzymać jej rękę, jeszcze większe trudności mam ja, kiedy próbuję ją sobie przypomnieć”.

Uważam, że to bardzo szlachetny sposób zainauguowania stronic, które piszę, podczas gdy ty, mój Miquelu II Gensano Niezdecydowany, wyjechałeś na parę tygodni w jakiejś sprawie. Piszę je dla ciebie, bo wkrótce umrę, bez zbędnych ceregieli, podobnie jak wszyscy mężczyźni w naszej rodzinie. Jedynym kłamstwem w nagłówku skopiowanym niezbyt wiernie z Rousseau<sup>[5]</sup> jest zawód mojego ojca. Co do reszty, Miquelu, sam rozsądzisz wedle uznania.

Urodziłeś się trzydziestego kwietnia tysiąc dziewięćset czterdziestego siódmego. W tym czasie moje spojrzenie od pewnego czasu mąciła subtelna kreska nienawiści, napięta niczym wędkarska żyłka, cienka, ale mocna; umiejętnie zastosowana mogła stać się narzędziem dekapitacji. Już wtedy byłem Maurycym bez Ziemi, Odtrąconym, który nigdy nie będzie królował, podobnie jak ty. Kiedy się urodziłeś, miałeś jasne włosy i niebieskie oczy. Wkładałem palec do twojej rączki, a ty zaciskałeś piąstkę z całych sił, jakbyś walczył o życie. Wtedy zrozumiałem, że nie chcesz iść w ślady brata i dlatego tak mocno się mnie trzymasz. A byłeś trzecim Miquelem w moim życiu. Rodzice nazwali twojego brata Miquelem z powodu wyrzutów sumienia. W twoim przypadku tylko powtórzyli ten rytuał. Na pewno twoje imię jest jedynym moim zwycięstwem odniesionym w walce z rodziną, na której łonie przyjdzie mi umierać. Ale zanim doszło do chrztu, trzeba było, by moja wielka nieustająca miłość doznała najbardziej brutalnego ciosu, jaki można zadać namiętności.

W dniu, w którym przyszedłeś na świat, cała posiadłość rodu Gensanów pachniała mokrą ziemią. Od stulecia nie zapamiętano w Feixes tak deszczowej wiosny jak w tamtym roku. Zapach wilgotnej ziemi, najbardziej pierwotny z tych, jakie może rozbudzić wiosna, otula moje wspomnienia i kojarzy się z twoimi narodzinami. Obfite deszcze naruszyły dyscyplinę w ogrodzie, który teraz, wspaniały, bujny, prezentował się w pełnej krasie i strzelał w górę wszystkimi łodygami. Twój ojciec, z tym zamilowaniem do pustych gestów, posadził wtedy drzewko truskawkowe przy wejściu do domu. Pere nie zdawał sobie sprawy, jaka to nieostrożność wiązać życie człowieka z drzewem. Ale ponieważ nie mogłem mu w tym

w żaden sposób przeszkodzić, z rezygnacją przyzwyczailem się traktować truskawkowca jako część twojego życia; dlatego też, tej samej nocy, kiedy zostało posadzone, wyszedłem do ogrodu, okopałem sadzonkę i niczym nowe wcielenie fryzjera Midasa powierzyłem ziemi słowa mojej sekretnej miłości, by nie odpłynęły z chmurami. Pewnie dlatego teraz mam odwagę ci je powtórzyć. O ile wcześniej nie dotarły do twoich uszu któregoś wietrznego zmierzchu, wplątane szumem wiatru między listowie.

Nienawidzili mnie wszyscy mężczyźni w rodzinie. Poza twoim ojcem, on w młodości był moim serdecznym przyjacielem. Natomiast kobiety odnosiły się do mnie pobłaźliwie, bo wiedziały, że jedynym dozwolonym mi rodzajem szczęścia było obcowanie z muzyką Mompou, Satiego i Debussy'ego. Więc kiedy zasiadałem do fortepianu, nie zamykały drzwi biblioteki z kwaśną miną, tak jak to robił twój, pożał się Boże, dziadek Ton, Anton III Fabrykant.

Nie chciałbym, żeby sierżant Samanta znalazła zeszyt ciotki Pilar. Schowam go pod papierem do wycinanek. A kiedy wrócisz z tej twojej absurdalnej podróży dokądś tam, po wywiadzie z kimś tam, znajdziesz go tu po mojej śmierci.

Nie wiem, czy to jest dobry moment, żeby zacząć mówić o wujku, pomyślał Miquel.

W historii Miquela II Gensany jest kilka punktów zwrotnych, wyznaczonych, co tu dużo mówić, przez kobiety. Należy do nich to dzisiejsze spotkanie z Julią, która mnie zachęca do mówienia o Bolósie, zanim nam podadzą oliwki na przekąskę, ale żeby mówić o Bolósie, muszę mówić o sobie i obnażać się do przekraczających wszelkie wyobrażenie granic, pewnie dlatego, że Bolós stanowi część mojej duszy, tak samo jak Rovira, i nie ma znaczenia, że życie kapryśnie nas łączyło i rozdzielało. Ależ się guzdrzą z tymi oliwkami ci nowi mieszkańcy mojego domu. Kiedy to jeszcze było moje rodzinne gniazdo, a na dodatek ja w nim mieszkałem, marzyłem tylko o tym, by uciec stąd jak najdalej, udawać, że nie mam nic wspólnego z tym rozłożystym budynkiem. Stąd się wzięły moje eskapady. Ale w wieku szkolnym, chcąc nie chcąc, byłem z nim związany, bo samotne dzieciństwo Miquela to ciągłe wędrówki do szkoły i z powrotem, to książki wujka Maurycego i głowa pełna marzeń. Dlatego świetnie zapamiętałem te nieliczne noce, gdy nie spałem w domu.

W autobusie wrzeszczeliśmy co sił w płucach, jak to dzieciarnia, wkurzając kierowcę i zaczepiając ojca Romaniego, siedzącego z przodu na miejscu, które dwadzieścia lat później będzie zajmowane przez hostessy, informujące przez mikrofon po prawej Sagrada Família, dzieło znanego na całym świecie architekta Antonia Gaudiego, a spieczony na raka turysta robi zdjęcie ruin tej Sagrada Família, na pewno bardzo starożytnych, muszą pochodzić z czasów Rzymian, prawda, my darling, ten Gawdee to chyba jakiś Kartagińczyk, a my darling słucha nieuważnie, zastanawiając się, czy lody śmietankowe były marki Camy czy Frigo, a tymczasem hostessa oświadcza tu, dwadzieścia lat temu, tym autokarem albo innym, podobnym, ale bardziej staroświeckim, jechał Miquel II Gensana Myśliciel i jego nieodłączni przyjaciele, Rovira i Bolós, oraz czterdziestu innych rozrabiaków z szóstej klasy gimnazjum jezuickiego kolegium przy ulicy Casp do domu rekolekcyjnego w Hostalets, szczęśliwi, bo w ciągu najbliższych trzech dni nikt, nawet profesor od matmy, nie będzie im zadawał pracy domowej ani robił klasówek, nie będzie upominał, że hałasują na korytarzu, bo zapamiętajcie sobie, że decyzje przemyślane w ciągu tych trzech dni poświęconych medytacjom mogą się okazać o wiele ważniejsze w waszym przyszłym życiu niż wszystkie podejmowane przez was w przyszłości studia. Daj mi chleb i mów, zem kiep: przed nami trzy wolne dni, tylko to się liczyło. A w czasie podróży ojciec Romaní nie marnował czasu na wskazywanie tu, po prawej, Gawdee, tylko czytał brewiarz.

Weszliśmy do domu rekolekcyjnego głównym wejściem, popychając się nawzajem i jeszcze trochę pokrzykując; najsprytniejsi zostali z tyłu i teraz, ukryci za autokarem, wypalali ostatniego na wolności papierosa i popisywali się opowieściami o kobietach, o których nie mieli bladego pojęcia. Jakaś uśmiechnięta, dyskretna zakonnica przywitała się

z obu książkami (drugim był ojciec Valero, ten od religii) i coś tam im wyjaśniała. Od progu obszernego holu owionął mnie charakterystyczny zapach domu, w którym są czyste prześcieradła, lawenda, cisza przyprawiona odrobiną ługu i rozproszona w powietrzu woń kawy zbożowej. Rozlokowali nas w pokojach, o cholera, patrz, Rovira, pojedyncze sypialnie, a to ci dopiero. Miquel usiadł na jedynym w tej celi krześle, wyobrażając sobie, że jest mnichem. Do zapachu budynku doszedł teraz zapach sypialni, prawie taki sam jak na drugim piętrze w domu rodzinnym, królestwie służących, zapach skromnych sypialni, niewietrzonych, ale czystych. Wielebny Michaelus Saecundus OSB<sup>[6]</sup> podziwiał rozciągającą się przed nim panoramę: wąskie łóżko przykryte kocem w kolorze zabelonej kawy zbożowej, dwa czerwone pasy, krucyfiks u węgłowia zachęcający do pokuty, lampka na stoliku zapraszająca do studiowania teologii, malutka umywalka, szafa na ubranie nadgrzyzona przez korniki i czerwona, wyszczerbiona terakota na podłodze. Założę się, że jedna poluzowana płytką skrzypi, kiedy się na niej stanie, i będzie mnie rozpraszać w trakcie medytacji. Tak: poczuł się tu swoisko i serce zabiło mu radośnie, gdy sobie wyobraził, jakby to było pięknie zostać księdzem.

Trzy dni poświęcone na przemyślenia pod kierunkiem ojca Romaniego, który miał wprawę w przekładaniu głębokich refleksji świętego Ignacego na język zrozumiały dla dziatwy, trzy dni z niebem, piekłem, grzechem, ofiarnością, altruizmem, anegdotami i cytatami z Ewangelii, ze zbożową kawą z mlekiem, obfitością warzyw, mięsem w skromnych ilościach i czasem wolnym, żeby wyładować nadmiar energii na boisku. Ale Roviry futbol nie interesował, wołał iść na spacer, sam, drogą wysadzaną cyprysami, a Bolósa też trudno było namówić na kopanie piłki – wołał ukryć się z palaczami w pralni, mimo zakazu palenia.

Kiedy skończyły się Ćwiczenia Duchowe, stało się dla mnie jasne, że zostanę księdzem. Z wielu powodów: odnalazłem drogę, byłem spokojny i radosny, bo opowiedziałem się po stronie Prawdy i czułem potrzebę pokornego wskazywania tej drogi innym, którzy bądź z winy zaślepienia, bądź dlatego, że nie mieli szczęścia tu się urodzić, nie poznali dobrej nowiny Radości: Ja Jestem Drogą, Prawdą i Życiem. Wiedziałem, że jak już zostanę wyświęcony na księdza, zostanę misjonarzem i wybiorę misję najtrudniejszą, najbardziej odległą, bo co szkodziło doprawić szczerzy zapał szczyptą heroizmu. Oślepiiony światłem Michaelus powstał z ziemi i mimo że oczy miał otwarte, pozostawał niewidomy. Prowadzony za rękę wszedł do Damaszku. Przez trzy dni nie widział, nie jadł ani nie pił. Wrodzona nieśmiałość nie pozwoliła mu zakomunikować swojej decyzji ojcu Barnadesowi, który jako opiekun duchowy sprawdzał, jakie obiektywne skutki przyniosły te szczęśliwe trzy dni rekolekcji z ojcem Romanim. Tymczasem pewne niebieskie oczy o odcieniu przyprawiającym o zawrót głowy, jakby wyłoniły się wprost z morskiej toni, zachwiały niewzruszoną decyzją Miquela, w której towarzyszyło mu sześć koma siedem procent kolegów z jego klasy, dwa procent mniej niż w poprzednim roczniku, z roku na rok jest coraz trudniej, nie to co kiedyś, i uchowaj Boże, pewnego dnia.

Morska toń oczu należała do pewnej dwunożnej syreny w mundurku żeńskiego gimnazjum imienia świętej Joanny Lestonnac. Dziewczyna przyciskała uszczęśliwione podręczniki do ledwie pączkujących piersi, nosiła urocze skarpetki, a ponadto, jak mi się wydawało, spoglądała na mnie z sympatią. Na imię miała Lidia. Pomyślałem, o cholera,

zjawiskowa, szkoda, że teraz spieszę się na pociąg, i przez wiele dni adorowałem ją na odległość, na jej widok szybciej oddychałem, aż w końcu, nim serce wyskoczyło mi z piersi, niedoszły misjonarz Miquel zwrócił się o radę do Bolósa, eksperta w tych sprawach.

– Nie wiem, nie mam pojęcia, o którą ci chodzi.

Poszli więc pod jej szkołę, Bolós z zimnym spojrzeniem specjalisty, i starali się sprawić wrażenie, że przez przypadek spacerują ulicą Pau Claris tam i z powrotem, przez przypadek właśnie przed żeńskim gimnazjum Lestonnac, przypadkiem dokładnie o szóstej po południu. Uderzenie łokciem w bok:

– To ta!!!

– Idą cztery.

– Ta najładniejsza!!

– Cholera.

– Ta z długimi włosami!

– Co ty pierdolisz, Gensana: dwie mają długie włosy.

– Ale ta druga jest brzydka jak oset.

Przed wdaniem się w owocną dyskusję teoretyczną na temat świata roślin i kobiecej urody uchroniło Miquela przeznaczenie.

– Ta, która się śmieje. Widzisz? Prawda, że na mnie spójrzała? Jak ci się wydaje?

– Tak... – pełna namysłu cisza – tak.

– Tak? Co znaczy tak? Ej, no, jak ci się podoba?

– Jeśli mam być szczerzy...

– No jasne! Prawda, że jest prześliczna? Że człowiek podciąłby sobie dla niej żyły?

– Gensana, moim zdaniem jest całkiem przeciętna.

Miquel i Bolós nie rozmawiali ze sobą przez trzy dni. Podczas gdy nasza przyjaciółka zabrnęła na jałową pustynię, ja adorowałem moją ukochaną i chodziłem za nią krok w krok, starając się kroczyć dokładnie po tej ziemi, której dotknęło błogosławieństwo jej stóp. Wzdychałem z głębi duszy, a tymczasem plany nawracania Kameruńczyków w Czadzie na Drogę Prawdy i Życia rozбивały się o oczywistość piękna i rozpyływały we mgle, mimo że każdego dnia w kaplicy naszego gimnazjum robiłem, co mogłem, by podtrzymać płonący płomień.

Zdałem małą maturę w roku, kiedy w Barcelonie zaczynało się mówić o konieczności pozbycia się tramwajów, żeby miejskie autobusy mogły bez przeszkód zakorkować ulice i do woli zatruwać powietrze. A może to była spóźniona pokuta obywatelska za działanie w złej wierze tego Kartagińczyka, Gawdeego. Najważniejsze, że skończyłem szóstą klasę bez żadnej poprawki. Ramió, Camós i Torres powtarzali klasę, a ja poszedłem od razu na kursy przeduniwersyteckie (osobny budynek, nie trzeba już nosić tego upokarzającego fartucha, można palić, nie chowając się po partyzancku w toalecie, miało się status dorosłego, było się podziwianym z zazdrością przez młodszych kolegów), ale wobec zawiloci matematycznych te niezgłębione oczy z gimnazjum Lestonnac coraz bardziej płowiały i uznałem, że byłoby

głupotą podcinanie sobie żył z powodu dziewczyny, której imię powoli ulatywało mi z pamięci, a na dodatek miała nierówne zęby. A kiedy on, Murillo, Bolós i Rovira szli pogrążyć w piłkarzyki na ulicę Consell de Cent (teraz mógł wracać do domu późniejszym pociągiem), problemy Kameruńczyków rozplywały się niepostrzeżenie, aż wreszcie definitywnie uszło z nich życie, gdy musiał przysiąc nad matematyką, bo to akurat było najpilniejsze.

Więc kiedy znów ich zabrano do Domu Rekolekcyjnego, już nie byłem taki gorliwy, tylko uczciwie zastanowiłem się nad swoimi marzeniami i nad tym, co chcę robić w życiu. Doszedłem do genialnego wniosku, że jeśli chodzi o robienie, to najchętniej w życiu nie robiłbym nic, a co do poświęcenia duszy Bogu, to sam już nie wiem. Prawdziwą radością było poczuć się wolnym od łańcuchów, które skrępowały Szawła dwa tysiące lat temu, bo świat przepełniały oczy niebieskie, czarne, brązowe, piwne i zielone, głębokie jak morska toń, a uświadomienie sobie, że nie jest zakazane podziwianie ich z racji złożonych ślubów, okazało się szczytem rozkoszy. W głębi duszy Miquel Wątpiący uważał się za tchórza, bo nie wziął sobie prawdziwie do serca wezwania Pana i musiał porozmawiać o tym kryzysie powołania z ojcem Romaním, między jedną nauką rekolekcyjną a drugą, w jego gabinecie, a później jeszcze z Bolósem, w pralni, przy zakazanym papierosie.

– Jeżeli masz powołanie, nie ukryjesz się przed Bogiem, choćbyś nie wiem gdzie się schował, synu. Pomyśl o Jonaszu.

– Ależ ojcze... Skąd mam wiedzieć, czy to powołanie?

– Dureń z ciebie, Gensana; potrzebują księży, żeby im interes się kręcił.

– No dobrze, ale przecież mogę mieć prawdziwe powołanie, nie sądzisz?

– Mój synu, Pan nie będzie cię rozliczał. Jeśli nie odpowiesz na wezwanie, nie popełnisz grzechu... Tylko nie wykażesz się gorliwością w momencie, gdy On tego od ciebie oczekuje.

– Ale mogę być dobrym człowiekiem, ojcze, mogę być dobrym chrześcijaninem, pracując w swoim zawodzie.

– Co za skurczybyki! Romaní chce wzbudzić w tobie poczucie winy, jak się nie zdecydujesz iść do zakonu.

– Nie, nie, nikt mnie do niczego nie zmusza. Tak jak nikt mnie nie zmusza do wyboru kierunku studiów.

– Na jakie studia się wybierasz, synu?

– Nie wiem, ojcze.

– Przecież ty nie masz zielonego pojęcia, co chcesz studiować!

– I kto to mówi!

Ta seria ćwiczeń duchowych okazała się dla mnie bardzo owocna, zorganizowana wprawdzie przez ojca Romaniego SJ, ale prowadzona przez Josepa Marię Bolósa, Serdecznego Przyjaciela, Doktora od Cudzych Problemów, który najpierw długo mnie przekonywał, że najlepiej kochać wszystkie kobiety świata, a zaraz potem wypłakiwał mi się w rękaw, bo zawróciły mu w głowie czarne jak węgiel włosy, których falowanie Jesús Maria zauważył na ulicy Casp w drodze do szkoły, a ich właścicielka nazywała się Maria Victòria Cendra, mieszkała na rogu ulic Bruc i València, uczyła się gry na flecie poprzecznym w szkole

muzycznej, miała szesnaście i pół roku i na wakacje jeździła do Viladrau. W przeciwieństwie do mnie Bolós, kiedy wyznaczał sobie jakiś cel, angażował się na całego i zdobywał ważne informacje, podczas gdy mnie, marzycielowi, do szczęścia wystarczył uśmiech, może nawet nie do mnie adresowany. Coraz głośniejsze się mówiło, że tramwaje mają zniknąć, bo taka maszyna w wagonami mogła zabrać tylko trzystu pasażerów, autobusem zaś mogło podróżować aż dziewięćdziesięciu mieszkańców, no i ropa zawsze będzie tańsza niż prąd, a tymczasem nadeszła wiosna, kiedy dziewczyny wzdychają rozmarzone i stają się jeszcze piękniejsze w bluzkach z krótkim rękawkiem, a nawet przy odrobinie szczęścia w ogóle bez rękawów, bez pończoch i skarpetek, w nieco krótszych spódnicach, kiedy drzewa wybuchają tysiącnymi odcieniami zieleni, ku radości całego miasta, kiedy już wiadomo, że na pewno zaraz nadejdzie lato, a wraz z nim wakacje, a wakacje to wolność, jakie życie jest piękne, właśnie wtedy Miquelowi szczęka opadła z wrażenia, a Bolós wkurzył się na całego, ponieważ Rovira zakomunikował im, z całym ceremoniałem, podczas spaceru wysadzaną akacją ulicą Diputació, że postanowił zostać jezuitą i w połowie września wstępuje do nowicjatu. Pomyślałem: a to ci heca i natychmiast sobie skojarzyłem, o kurwa, Rovira, no a co z dziewczętami? Ale marzycielskie oczy Roviry wymierzone były powyżej tych spraw, wpatrywały się w zaświaty, tam, gdzie Droga, Prawda i Życie, a tymczasem obrażony Bolós w ciszy żuł gumę, a ja czułem się marnym pyłkiem i zazdrościłem Rovirze, bo okazał się wystarczająco odważny, żeby pójść za głosem Pana. Nie tak jak inni, którzy wrócili do domu, do Feixes i nie podzielili się prawie z nikim wieścią, że jeden z kolegów zamierza zostać księdzem, bo w tym momencie należało stoczyć ciężką walkę z ojcem, kiedy Miquel zdecydował, że nie pójdzie do Wyższej Szkoły Przemysłowej, jak wszyscy członkowie rodu Gensana, którzy chcieli w życiu do czegoś dojść. Od tego dnia relacje z ojcem stawały się coraz gorsze. A wujek Maurycy cieszył się w duchu i uśmiechał pod wąsem; chociaż wstrzymywał się od wygłaszania komentarzy, swoje wiedział – że Miquela, jego jedynego, najukochańszego bratanka, ciągnie do całkiem innych studiów. Do domu Gensana powrócił spokoj. Ojciec nadal był niezadowolony, ale tego spokoju nie zakłócał. A matka odetchnęła z ulgą.

W dniu inauguracji zajęć na uczelni Miquel założył krawat i wyjechał pierwszym porannym pociągami. Spotkałem się z Bolósem na placu przed uniwersytetem. Obaj starali się sprawić wrażenie, że wcale się nie denerwują, nie są podekscytowani. Pewnie dlatego poszliśmy na kawę do baru naprzeciwko, skąd od czasu do czasu spoglądaliśmy dyskretnie w stronę budynku Wydziału Humanistycznego, jakbyśmy się obawiali, że nam uciekną. Bolós też był w krawacie. W ciszy mieszaliśmy łyżeczką cukier, a Bolós wyciągnął fajkę, budząc tym moją natychmiastową zazdrość. Tak to każdy potrafi.

– Nie wiedziałem, że palisz fajkę.

– Zawsze mi się to podobało.

– Ale fajka jest nowa, prawda? – Miquel potrafił być upierdliwy, mimo że to jego najlepszy przyjaciel. Wyjął mu fajkę z ręki i oglądał, jakby się na tym znał.

– No dobrze, tak... Któregoś dnia trzeba zacząć.



Obok nich stała grupa studentów. Dużo dziewczyn. Wszyscy się śmiali, jakby się znali od wieków, jakby studiowanie na uniwersytecie było czymś całkiem naturalnym. Krawatów nie zauważył.

- Prawda, że tylko my z naszej szkoły wybraliśmy Wydział Humanistyczny?
- Aha!... - Bolós męczył się nad zapaleniem fajki. Na chwilę zasłonił go imponujący obłok amsterdamera, powodując lekkie mdłości. Po dwóch pociągnięciach fajka zgasła.
- Zgasła ci. - Och, Miquel, bądźże człowiekiem.
- Wiem, wiem, cholera. Co mówiłeś?
- Że tylko my wybraliśmy Wydział Humanistyczny.
- Tak. No i Rovira, prawda?
- Nie, coś ty, przecież zaczął nowicjat.
- No tak, jasne, masz rację. Tylko my. - Zaciągnął się energicznie. - Szkoda faceta, nie?
- Nie wiem. Pewnie wie, co robi.

Prawdopodobnie o tej porze, przed dziewiątą rano na początku października Rovira kłął w żywy kamień i powtarzał po jakiego chuja wpakowałem się w to gówno, kurwa mać, co ja tu robię, w tej sutannie, do diaska? A może przyjmował właśnie Najświętszy Sakrament podczas Eucharystii w namaszczeniem i szczególną pobożnością, przeniknięty poczuciem szczęścia do szpiku kości. Słuchaj, ani jeden. Żaden ze studentów nie założył krawata.

- Wszyscy z fakultetu humanistycznego poza mną poszli na prawo. - Teraz fajka wydawała jakieś denerwujące dźwięki, ale przynajmniej się kurzyła.

- A z fakultetu matematycznego tylko ja wybrałem Wydział Humanistyczny. Ej, Bolós, co to za dźwięk?

- Ślina. Tak, ty i ja, dwa lenie.

Kiedy człowiekowi dają prawo do marzeń, dobrze jest z niego korzystać. Miquel Gensana większość czasu na kursie przeduniwersyteckim spędził zatopiony w oceanie wątpliwości; nie wszystkie sprowadzały się do tego, czy ma być księdzem, misjonarzem, zdobywać niebo dla siebie i dla innych; uzasadnione wątpliwości dotyczyły też pozostałych życiowych spraw, jak na przykład całowanie wszystkich ładnych dziewcząt (czyli właściwie wszystkich dziewcząt, bo wiedziałem, że wszystkie są ładne), palenie papierosów tak, żeby nie zanościć się kompromitującym kaszlem, czy dokonywanie wyboru między inżynierem przemysłowym, włókienniczym, chemikiem, lekarzem, adwokatem, architektem i tak dalej. Zdecydowałem się na i tak dalej, chociaż z pewną obawą. Miałem pełną jasność, że nie chcę zostać ani inżynierem przemysłowym, ani włókienniczym, chemikiem, lekarzem, adwokatem czy architektem, a ze względu na rodzinę nie mogłem skorzystać z przekornej rady wujka Maurycego, jedyne w rodzinie podwójnego magistra, który przekonywał mnie, że jeśli chcę robić pieniądze, powinienem zostać mechanikiem samochodowym, wiem, co mówię, Miquelu: rano otwierasz, wieczorem zamykasz, a pieniądze same wpadają ci do kieszeni. Powinienem być tak zrobić. Ale wujek po to tak mówił, żeby zdenerwować rodziców i babkę Amèlię. W gruncie rzeczy wszyscy wiedzieli, że żaden Gensana nie mógł się wykręcić od studiów uniwersyteckich; choćby ich nie dokończył czy nie pracował w wyuczonym zawodzie.

To też ułatwiało sprawę Miquelowi, ponieważ od razu mógł machnąć ręką na takie zawody jak drukarstwo czy stolarstwo; wiedziałem też, że nie będę maszynistą, a nawet mi do głowy nie przyszło, żeby zostać pasterzem czy strażnikiem miejskim. Jednak mimo tych wszystkich ułatwień Miquel zaniepokojony, że nie wie co dalej, zaliczał kurs przeduniwersytecki. Aż pewnego dnia Bolós powiedział mi, że podobno jest coś takiego jak historia.

– Historia jako kierunek studiów? Tak jak architektura?

– Aha. – To było aha pewne siebie, bez fajki. Uniwersytet jeszcze był daleko.

– No, to by było fajnie, nie? Nie uważasz, że powinniśmy się tym zainteresować?

Zainteresowaliśmy się, w kolegium księży też sprawdzili, trochę zaskoczeni, że normalni, zdrowi chłopcy z dobrej rodziny nie chcą być adwokatami czy architektami, ale koniec końców, udzielili nam niezbędnych informacji, i Bolós z Miquelem zapisali się na Wydział Humanistyczny, skutkiem czego Bolós (Josep Maria Bolós, Nieodłączny Przyjaciel) przez całe lato wprowadzał swojego przyjaciela, czyli mnie, w tajniki łaciny, którą zdążyłem zapomnieć od czwartej gimnazjalnej, bo, jak mawia Pan, niezdecydowani zmieniają front szybciej niż kurek na dachu, i przez całe wakacje powtarzałem res, rei, fero, fers, ferre, tuli, latum i Arma virumque cano, Troiae qui primus ab oris Italiam, żebyśmy mogli się stawić w pierwszym dniu zajęć, pełni nadziei i w bezsensownych krawatach, przed Wydziałem Humanistycznym Uniwersytetu Barcelońskiego, gotowi rozpocząć nowy etap, poświęcony studiowaniu Historii, Języków i Dorobku Intellektualnego Ludzkości, która nie mogła się doczekać, aż zaczniemy ją reformować, unowocześniać i jej przewodzić.

– Dużo tu lasek, nie?

– Tak. Najwyższy czas.

Gotowi rozpocząć polowanie na spódniczki, denerwowaliśmy się, że aż tyle tu tego towaru, ale byliśmy dobrej myśli. Wchodziliśmy w świat dorosłych.

– Ciepło jest. – Miquel odpiął guzik pod szyją i na początek poluzował węzeł krawata. Bolós, któremu udało się dojść do porozumienia z fajką, też swój dyskretnie poluzował.

– To co? Wchodzimy?

Godzina ósma, trzydzieści siedem minut i dwanaście sekund, drugiego października tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego szóstego roku: my, dwaj nieustraszeni absolwenci kursu przeduniwersyteckiego, klasy A w kolegium jezuickim, którzy odważyli się nie zostać adwokatami, wchodziliśmy do Świątyni Mądrości z duszą na ramieniu, ze ściśniętym gardłem i z krawatami w kieszeni.

– Wiesz, że dopiero w domu wariatów odkryłem, kim jestem?

– A kim jesteś, wujku?

– Prawdziwym Maurycym bez Ziemi, Kronikarzem Wiatru, Zmysłaczem Rzeczywistości, byłem muzykiem, byłem filologiem, byłem twoim wujem.

– Nadal jesteś moim wujkiem.

– Nie. Teraz jestem Kronikarzem. Nie mogę być wszystkim naraz. – I zaraz, jakby chciał się usprawiedliwić, sięgnął po ostatni kawałek czekolady i wyszeptał: – Ty dla mnie jesteś jak syn.

– Dziękuję.

– Bardzo żałuję, że nie miałem dzieci... – Wujek zatopił się we wspomnieniach i milczał parę długich minut, aż w końcu zaczął mówić monotonnym głosem i powtórzył żałuję, że ich nie miałem. Tak samo żałuję ich braku, jak przeraża mnie ich posiadanie. Dla mnie córka, syn są biologiczną formą ciągłości, pozwalają zatrzymać nicłość. To tak jak skomponować sonatę czy sonet. Rozmawiałem o tym z twoim ojcem, zanim popsuly się nasze relacje: on uważał, że owszem, Maurycy, posiadanie dzieci to forma przetrwania, ale proces następstwa pokoleń jest nieubłagany i wykazuje ogromną determinację w wymazywaniu śladów. Działa skuteczniej niż śmierć. Może twój ojciec miał trochę racji, bo dajmy na to, kto jeszcze pamięta, jaki był ulubiony kolor mamy Amèlii? A zmarła zaledwie osiem czy dziesięć lat temu. A może dwadzieścia czy trzydzieści, sam nie wiem.

– Pięć.

– Co?

– Mówię, że babcia Amèlia zmarła pięć lat temu.

– Pięć... – Cisza. Drżące palce szukały czekolady, ale wobec jej braku zaczęły się wsłuchiwać w słowa wujka, a co z miłością mojej matki do czerwonych pnących róż przy wejściu? Tak: ja o niej pamiętam, ale ta pamięć umrze wraz ze mną. Dzieci moich dzieci, gdybym je miał, nic by o tym nie wiedziały. Tak więc dzień po dniu bliscy z przeszłych pokoleń umierają stopniowo, aż zostaje z nich tylko nazwisko, i nadchodzi moment, kiedy powiew zapomnienia zdmuchuje ich jak ziarno unoszone przez wiatr. Jaką więc wartość ma to, co się teraz mówi, że jesteśmy łańcuchem genetycznym, odradzającym się z osoby na osobę? Chętnie bym je poznał, te geny, przenoszone od milionów lat, przez całe pokolenia – niech spróbują skomponować symfonię. Twój ojciec... jak by to powiedzieć: twój ojciec to całkiem inna historia, bo jakieś tysiąc lat temu zniknął w kapiach, na deszczu, ze słowami

wychodzę na chwilę. A co zostało po twoich dziadkach? (Odpowiedziałem mu, że tak, pamiętam ich, wujku. Rodziców mamy pamiętam jak przez mgłę, kojarzę ich z ciemnym mieszkaniem w barcelońskiej dzielnicy Eixample, uszczypięcie w policzek, cukierki za plecami rodziców i pośpiech mamy i ojca, żeby wyjść stamtąd jak najszybciej; chociaż ciotki Mercè i Anna przyjmowały ich gościnnie, podwajając, w jeszcze większej tajemnicy, porcję cukierków.) A rodzice dziadków? Zdawkowe wzmiarki w rozmowie i ani jednego zdęcia. Pradziadek Giró miał na imię Miquel, tak jak ty. Ale ani ty, ani twój brat Miquel nie dostaliście tego imienia na jego cześć, tylko z powodu sekretnej historii miłosnej. Prababka Leonor była zaś córką żołnierza karlistowskiego. Nazywał się Jaume Gispert i brał udział w drugiej wojnie karlistowskiej, razem z ludźmi Galcerana, a potem jeszcze w trzeciej wojnie. Zdaje się, że służył w barwach Pretendenta. Ponoć w cywilu był cenionym rzemieślnikiem trudniącym się zloceniem figur, który przez całe życie przemierzał samotnie kraj w tartanie, od kościoła do kaplicy, restaurując i malując świętych, chrystusów, matki boskie i ołtarze. Mówią, że był znakomitym złotnikiem. Ale nigdy nie widziałem jego twarzy, nie wiem, z kim się ożenił, nie wiem, czy był leworęczny, czy lubił ryby. Łatwiej odtworzyć linię ojca od strony rodziny Gensanów, bo to ród z tradycjami, obsesyjnie przechowujący wszystkie dokumenty, mogący liczyć na wujka Maurycyego, który stał się jego Oficjalnym Kronikarzem. Nie wszystkim rodzinom przytrafia się taki wujek. Na dobre i na złe. Ród Gensana wyprodukował tyle papierów, że mógłbym dojść aż do Antoniego Gensany Pujadesa, protoplasty rodu. Ale przed nim nie ma już nic. To wszystko, co ci teraz przekazuję, wyczytałem w dokumentach albo nastawiłem ucha i wysłuchałem, co mówią ściany w naszym domu, bo one też mają swoją opowieść, a może wyczytałem w oczach postaci, których portrety wiszą w galerii. A może mi opowiedziała mama Amèlia, moja przybrana matka, albo Cinta, jedna z pracujących tu służących, kiedy ja się zjawilem. Ktoś musiał mi skomentować portrety wiszące w galerii nad kaplicą, która została zbudowana chyba tylko po to, żeby było gdzie umieścić podobizny przodków. Wiesz co, Miquel? Nasza rodzina chyba postanowiła zdobyć nieśmiertelność dzięki tym obrazom.

Wujek Maurycy miał rację. Mówił o portretach, które wisiały w galerii... i które, kiedy matka sprzedawała dom, dostarczono mi starannie zapakowane niczym cenny spadek. Jeszcze ich nie rozpakowałem ani nie zaniósłem na strych, bo strychu nie mam. Mimo to dobrze pamiętam oglądając przez całe życie poważną twarz Antoniego Gensany w obramowaniu peruki, obok surowej małżonki Adeli Caimamí. Były dwa obrazy przedstawiające tych prapradziadków. A najlepszy z nich, chyba najlepszy w całej kolekcji, wyszedł spod ręki Tremullesa. Pamiętam też rysy twarzy ich pierwotnego syna Maura Gensany i jego żony Josefiny Portabelli, a także ich psa, wodolaza, który, jak głosił napis na złoczonej ramie, wabił się Bonaparte, chociaż tamci pradziadkowie nie trzymali z Francuzami. Więcej podobizn zachowało się po synu tej pary z psem, następnym Anonim Gensanie, prapradziadku, zdrobniale zwanym Ton, który według annałów wujka Maurycyego przeszedł do historii jako Antoni II Złousty, bo próbował szczęścia w zakłamanym świecie hiszpańskiej polityki w połowie dziewiętnastego wieku, zawsze po stronie królowej Izabeli II. Z czasem zdobył ulotną sławę parlamentarnego mówcy. Do głowy by nie przyszło temu nieszczęśnikowi, że

czas (i sprytny geny) zmiesza jego krew czysto izabelińską z krwią złotnika rzeźb, walczącego po stronie Pretendenta, jego zdeklarowanego wroga. I że ten związek na początku dwudziestego wieku wyda jako coś w rodzaju owocu osobowości niezdecydowaną, kochliwą, wrażliwą, leniwą, nałogowego hazardzistę, człowieka niestałego, zakochanego w pięknie, niejakiego Maurycego bez Ziemi, któremu przytrafiło się to nieszczęście, że zwirował, a teraz robi tuzinami lwy abisyńskie z papieru, które, jak twierdzi, musi chronić przed destrukcyjnym gniewem sierzanta Samanty. Również nie mógł sobie wyobrazić, że ten związek morganatyczny w połowie dwudziestego wieku wyda na świat osobowość równie niezdecydowaną, kochliwą, wrażliwą, leniwą i niestałą, niejakiego Miquela Gensanę i Giró, który ma w nosie mrzonki Karola VI, hrabiego Montemolín, a jeśli przejeżdża taksówką przed pomnikiem dalekiego krewnego, generała Prima, w parku Cytadeli (pokonani zostali bez pomnika, na wieki wieków), nawet nie podnosi głowy, żeby sprawdzić, ile gołębi nasrało na głowę generała.

Dużo więcej wiadomo o Antonim II Polityku. Najpierw zbulwersował pół miasteczka Feixes, żeniąc się z paryską tancerką, której rodzice pochodzili z Manresy, z praprababką Margaridą. Ale później zostało mu to wybaczone, kiedy zawarł bliższą znajomość z generałem Primem, którego jeszcze wtedy gołębie traktowały z szacunkiem. U boku swojego sojusznika przeżył momenty krytyczne i chwile chwały. Udało mu się ożenić syna Maura, poetę, Maura II Boskiego, z bratanicą generała, prababką Pilar. Ale nie udało mu się zostać swatem z Walencji generała Prima, ponieważ Amadeuszowi Sabaudzkiemu strzeliło do głowy przyjąć tron hiszpański na rok przed tym tak oczekiwanym małżeństwem. W każdym razie poeta Maur dobrze na tym wyszedł. Chociaż jego żona nie należała do najważniejszej linii tych Primów, którzy mieli tytuł diuków Castillejos, ani nie była diuszczą Prim, zawsze jakieś odpryski prestiżu ich opromieniały. Ale mi pradziadek Maur bardziej niż herbowymi koligacjami imponuje tym, że był poetą. Okazuje się, że poza tym, że sam pisał, rywalizował z uporem godnym lepszej sprawy z innymi poetami, a przede wszystkim, w sposób nieunikniony, niemal teluryczny, z don Joanem Maragallem. Pradziadek Maur nie załamał się po śmierci żony i wnuczki Elviry podczas tego absurdu bombardowania Granollers tylko dlatego, że zmarł jeszcze przed wojną. Po jego synu Antonim, dziadku Tonim, który się ożenił z babcią Amelią, nie został żaden portret, tylko poźółkła fotografia, na której głównie rzucają się w oczy jego obfite wąsy.

– Oby Bóg go potępił, Miquelu.

– Co ty mówisz?

– Dziadek Ton jest odpowiedzialny wobec Historii za upadek świętej tradycji naprzemiennego nadawania imion Antoni i Maur, ponieważ swojemu synowi, twojemu ojcu, dano na imię Pere. – Wujkowi nabrzmiała żyła na szyi. – Ale to całkiem inna historia, znana jako Wojna Imion.

– I z powodu zmiany imienia przeklinasz go na wieczność?

– Nie. Przeklinam go, ponieważ był skurwysynem.

– To mój dziadek.

– A mój przybrany ojciec. Ale był skurwysynem. Słyszysz?

Żeby wujek się nie wściekał, nie zaczął krzyżeć, nie zbladł jak trup i nie spurpurowiał, szybko przytaknąłem tak, wujku, był skurwysynem. Był moim dziadkiem, ale i skurwysynem. I ten przeklęty nieudacznik włączył się do Wojny Imion, nadając mojemu ojcu imię Pere, a nie Anton.

– Nie, zgodnie z kolejnością powinien otrzymać imię Maur. Ty byłbyś Antonem.

Tak. Poważna sprawa, i owszem. Dlatego dziadek Ton, żeby naprawić swój błąd, chciał nadać ciotce Elionorze imię Maura, ale babcia Amèlia postawiła zdecydowane weto, nie chcąc napiętnować swojej córki na całe życie imieniem polityka, i ciotka została Elionorą. Zmarła trzy czy cztery lata później na febrę. A kiedy urodziło się trzecie dziecko, jeszcze jedna dziewczynka, dziadkowi Toniemu nawet do głowy nie przyszło proponować, by nadano jej imię Antònia, bo już wiedział, jak to się skończy. Otrzymała na chrzcie imię Elvira i zginęła w tym nieszczęsnym bombardowaniu. Babci Amèlii i dziadkowi Tonowi pozostał gorzki cień na dnie spojrzenia, już na zawsze. Może dlatego dziadek Ton zachował się tak, jak się zachował. Szczęście, że nie dożyli ucieczki jedyne go syna, który im pozostał; czasami śmierć stać na taki elegancki gest. Ale babcia była silną kobietą, podobnie jak Júlia. Po wojnie dziadkowie, już w podeszłym wieku, przelali całą miłość, jaka im jeszcze została, na swoich jedyne go wnuków, Miquela I i Miquela II, ostatnie latorośle starego rodu. Biedni dziadkowie nie wiedzieli, kogo obdarzyć nadmiarem uczuć po śmierci córek – Elionor w wieku czterech lat na febrę i Elviry w wieku lat dwudziestu w bombardowaniu. Tylko babcia Amèlia nie chciała uciekać z domu i ocalała dzięki temu, że nie posłuchała męża, a on wpadł w rozpacz, ponieważ niechcący wysłał na śmierć teściową i córkę. Babcia Amèlia to ostatnia postać z galerii portretów w domu Gensana, gdyż rodzice Miquela, z takiego czy innego powodu, nigdy nie znaleźli czasu, żeby zrobić sobie wspólne zdjęcie. A jak się wreszcie zdecydowali, to w przeddzień wizyty u fotografa Francino ojciec powiedział wychodzę na chwilę i już nie wrócił. Padał deszcz, a on był w kapiach.

Ja byłem tym pozbawionym portretu w galerii wujkiem Maurycym bez Ziemi, Pamięcią Rodziny, którego skołatanе serce przeżyło tyle śmierci, tyle cierpienia, że w końcu zwariowałem, bo moja głowa nie potrafiła znieść wprost niewyobrażalnego nagromadzenia nieszczęść. Nie mam żadnego olejnego portretu, ja, który tak szczerze oplakiwałem śmierć moich przyrodnich sióstr, najpierw Eli, a później Elviry, prześlicznej osiemnastolatki. I nie myśl sobie, Miquelu, że wchodzę teraz w fazę starczego zramolenia, kiedy się tęskni za zmarłymi, których wkrótce ma się spotkać. Po pierwsze dlatego, że nie wierzę w takie spotkania, bo nie ma niczego po śmierci. Po drugie, nie ma sensu mówić o zmarłych, kiedy chodzi o rodzinę, ponieważ życie to nieprzerwana sztafeta i nie ma w nim czegoś bardziej naturalnego niż śmierć. Miquelu, boję się umierać. Ale nie mam z kim o tym porozmawiać, nawet z sierżantem Samantą. Ona myśli, że jestem wariatem, i tylko pilnuje, żebyś mi nie przynosił czekolady.

– Nie sądzisz, że może ci zniszczyć wątrobę?

– Miquelu, jestem wolnym człowiekiem. – Przerzucił zawartość szuflady w szafce nocnej.  
– Spójrz na to.

Wujek Maurycy patrzył na mnie z fotografii, którą zawsze widziałem na dole przy schodach, tuż obok portretu ciotki Carloty, jego matki. Młodziutki, w kanotierze na głowie, z cygarem, w nonszalanckiej pozie, w szczęśliwych latach dwudziestych, które dla mnie nie były wcale szczęśliwe, Miquelu. Mimo to, popatrz, na zdjęciu staram się sprawiać wrażenie szczęściarza.

Zainteresowałem się.

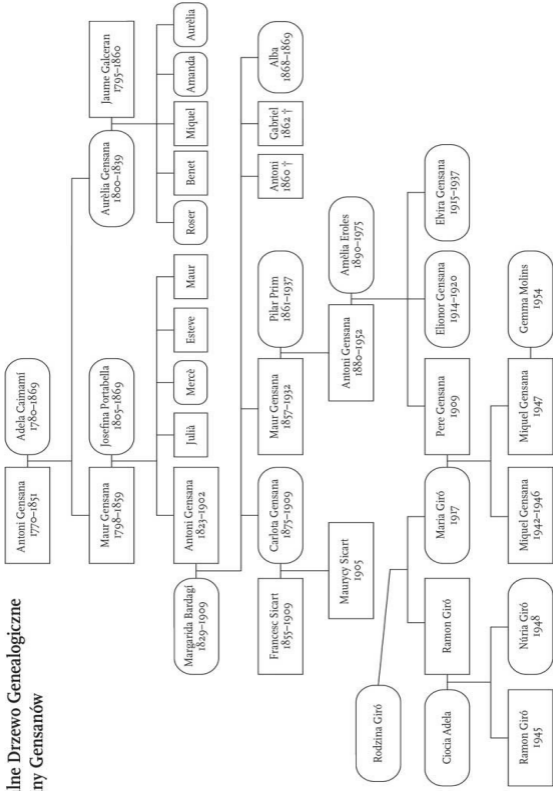
– Dlaczego ta fotografia nigdy nie wisiała w galerii portretów?

– Ponieważ według papy Antona Mauritius non erat dignus. – Nie uśmiechnął się. – Popatrz, to jest Oficjalne Drzewo Genealogiczne Naszej Rodziny.

– Dlaczego Oficjalne?

– Bo jest jeszcze inne, Prawdziwe, Nieznane i Potwierdzone. Mam zamiar ci je ułożyć, jeśli palce nie odmówią mi posłuszeństwa.

Oficjalne Drzewo Genealogiczne  
Rodziny Gensanów







Świątynia Mądrości. To górnotłone wrażenie przetrwało raptem pół godziny: dokładnie tyle, ile potrzebowali Bolós i Gensana (z przerażeniem w oczach i z krawatami w kieszeniach), chodząc od grupy do grupy, na wysłuchanie tego, o czym mówią studenci. Bardziej niż akolitów świętego miejsca przypominali muzyków z orkiestry, którzy mając powyżej uszu szesnastek, zajmują swoje miejsca, ziewają, dyskutują, czy należy im się dwadzieścia jeden czy dwadzieścia sześć dni urlopu, i może nawet żują gumę, zanim ze znużoną miną rozpoczną (wiolonczele i kontrabasy) Largo – Allegro moderato Drugiej Rachmaninowa. Profesor historii to faszysta, a ten od historii sztuki to faszysta do kwadratu. Mnie łacina zwisa i powiewa. A tobie? Ja czekam, aż się zwolni miejsce w banku, a tu tylko się rozglądam dla zabicia czasu. A ten od języka jaki jest? Nie mamy profesora od języka. To znaczy mamy, ale to tylko zastępstwo. Widziałeś? Zwolują dziś wiec w sali jedenastej. A która to sala? O której? Nie wiem, ale na pewno nie przed dwunastą. Skąd wiesz? Powtarzasz rok? Nie wiesz, czy wśród studentów są komuniści? Komuniści? Coś ty! Słyszałeś o Syndykacie Demokratycznym? Nie, a co to takiego? Co, zamierzacie iść dzisiaj na zajęcia, tak od razu, pierwszego dnia? A kto będzie robił tłum w barze i na patio? No więc ja mam zamiar popołudnia spędzać w bibliotece. Takiemu to dobrze, bo ja popołudniami pracuję; mogę chodzić na zajęcia tylko wieczorem. Miquel II Gensana Intelektualista stracił ostatnie złudzenia, kiedy zobaczył pierwszego kapłana Świątyni, pierwszego profesora, który wprawdzie nie żuł gumy, natomiast taszczył starą teczkę, z której wystawały poźółkłe kartki z notatkami, i przystępował do wykładu na temat dolnego paleolitu dwadzieścia minut po kwadransie akademickim, z niezrozumiałych względów nazywanym kwadransem grzecznościowym. Od razu pozbawił mnie skutecznie wszelkich złudzeń. I poznałem Bertę. Już na zajęciach z języka zwróciłem uwagę (Saussure, język i mowa, znaczone i znaczące), że mimo jaskrawego płaszczyka w czerwonym kolorze zachowywała się jak prawdziwa dama. Później, na patio, zauważył ją na ławce; rozmawiała z jakąś koleżanką i przyciskała do piersi książki, można by powiedzieć, że z uczuciem, odcinając się od świata czerwienią płaszczyka, a kiedy Miquel z bijącym sercem przedefilował przed dziewczynami (Bolós w tym czasie poszedł na kawę), ona (wtedy jeszcze nie wiedziałem, że ma na imię Berta) podniosła głowę i uśmiechnęła się do niego nieśmiało. Jakby właśnie czekała, aż przed nią przedefiluje. Parę kroków dalej dyskretnie się odwrócił, żeby sprawdzić, ale nie, nie uśmiechała się do każdego, kto przechodził obok ławki, uśmiechnęła się do mnie i tylko do mnie. I od razu się zakochałem.

Wiem, wiem, ale nic na to nie poradzę. Jeszcze dziś, mając czterdziestkę z hakiem, czuję przypieszzone bicie serca na widok zwiewnego tiulu, który mignął mi przez moment za

rogiem w korytarzu metra. Naprawdę, niewiele mi potrzeba. Ale wtedy byłem jeszcze młody i zakochiwałem się w prawdziwych dziewczynach. A pierwszą dziewczyną z krwi i kości (jeśli nie liczyć Victòrii z domu Molins i Lali, córki państwa Guiteresów, gdy miałem odpowiednio dwanaście i czternaście lat, a one latem przychodziły się bawić do domu Gensana i śmiały się, niby bardzo zgorszona, kiedy Ramon i ja podnosiliśmy im spódnicę) była Berta. Poza gimnazjalistką z Lestonnac, która była moją dozgonną miłością przez trzy miesiące. Dojeżdżając pociągiem z domu na uczelnię, czasu miałem aż nadto, żeby rozmyślać o jej ładnej buzi i o wszystkich nowych okolicznościach, głównie o kryzysie wiary, bo na uniwersytecie sprawy nie były tak oczywiste jak u jezuitów; tu bez problemu mogłeś być ateistą. Nawet robiło to dobre wrażenie. Miquel zawsze miał jakieś sekrety. Na przykład bardzo bym nie chciał, żeby Berta się zorientowała, dla kogo biło szybciej moje serce, albo żeby ktoś poza Bolósem (serdecznemu przyjacielowi wolno więcej) się dowiedział, że mieszkam w posiadłości, do której wtedy wstyd mi było się przyznać, a teraz do niej tęsknię, i że należę do rodziny z tradycjami; tymi kompromitującymi okolicznościami najlepiej zadrezczać się w samotności i nikomu nic do tego. Później doszedł jeszcze dyskomfort z powodu burżujskich korzeni, c'est dommage, a tak pięknie i elegancko byłoby urodzić się na łonie klasy robotniczej, jedynej, która nie musiała przeproszać, że żyje. Stare majątki i podupadające rody były nie na czasie, trzeba było natychmiast wywołać rewolucję, bo jak się zagapimy, to Franco gotów nam umrzeć ze starości we własnym łóżku. Nie wiem, jak by to zinterpretował Freud.

Wielki Zakochany dobrze się zapowiadał na początku studiów. Dużo się uczył, zainteresował się kilkoma przedmiotami. W towarzystwie nieodłącznego Bolósa – ten również miał na oku jakąś dziewczynę, też przyprawiała go o zawrót głowy i dlatego twierdził, że tylko drobnomieszczaństwo nie uprawia wolnej miłości, zaczął spędzać czas z paczką kolegów, których zadaniem było zdobywanie poparcia dla Syndykatu Demokratycznego wśród studentów, na przekór znieawidzonej policji przyczajonej tuż za murami uczelni, i odkrywał, czym jest strach, i bardzo się starał opanować drżenie głosu, kiedy wypowiadał się publicznie na wiecach zwoływanych w sali jedenastej. W tej paczce była Berta; nigdy się nie odzywała, tylko uważnie słuchała i pożerała świat wzrokiem. Czytała Bakunina i inne książki wydawane przez Ruedo Ibérico, nie mam pojęcia, skąd je brała. W tym czasie przyzwyczaiłem się zawsze nosić książkę w kieszeni, a klasyków czytanych pod zgubnym wpływem wujka Maurycego powoli wypierały powieści latynoamerykańskie, które przesłoniły mi świat; czułem się dzieckiem swojej epoki i pamiętam, że pewnego dnia spacerując po patio, wygłosiłem opinię, że czytanie klasyków to hipokryzja i strata czasu. Mówiłem to z pełnym zaangażowaniem, nie pamiętam tylko, czy sam w to wierzyłem. Aż pewnego dnia Berta, która już wtedy zamieniła czerwoną płaszczkę na kurtkę o wiele wygodniejszą, kiedy trzeba było uciekać przed policją, zaciągnęła mnie w oddalony zakątek w parku naszego wydziału, a ja myślałem, że śnię. Ale ona, zanim przystąpiła do zwierzeń, zanim powiedziała zwróciłam na ciebie uwagę i ciebie wybrałam, najdroższy, na co byłbym odpowiedział, ukochana, ja czuję to samo, zatrzymała się, podniosła głowę, żeby spojrzeć mi w oczy i zapytała Miquel, chcesz mi pomóc? To na pewno będzie ten pierwszy raz, kiedy Bolóswi przedstawię tylko skróconą wersję naszego spotkania, bez szczegółów, bo właśnie

zaczynałem odczuwać potrzebę prywatności. Serce mi waliło bum, bum, jakby chciało wyskoczyć przez gardło i objąć niższą ode mnie Bertę, która zadzierając głowę, patrzyła mi prosto w oczy. Cierpiałem. Ponadto było niemożliwe, żebym ja, żółtodziób, rozumiał wtedy, że dzieło jest klasyczne dlatego, że jest zawsze aktualne i stanowi owoc wszystkich epok.

– Ja? Tak, oczywiście. W czym ci mogę pomóc? Co tylko zechcesz, Berto. Ja...

Ale ona zakryła mu usta dłonią bez pierścionków, która pachniała mydłem kokosowym, i powiedziała poczekaj, zaraz ci wyjaśnię, ważne, żebyś wiedział, na co się decydujesz, a ja tylko się uśmiechnąłem i usiadłem na ławce, z zadowoloną miną, gotowy na wszystko. Wtedy ona przedstawiła mi sprawę ze szczegółami, bez nazwisk, łopatologicznie, na czym ma polegać zadanie. Miquel poczuł, że włosy mu się jeżą ze strachu (nie, to raczej panika), ale nie stać go było na odmowę Berto, w tych sprawach na mnie nie licz. To znaczy, zanim zdążył to z siebie wydusić, usłyszał, że jego usta wypowiadają tak, Berto, możesz na mnie liczyć, jasna sprawa. A wtedy ona wręczyła mi kluczyki.

Tego dnia Miquel sam zjadł obiad, bez Bolósa, bardzo podekscytowany, bo Berta zwróciła na mnie uwagę, dostrzegła mnie, zostałem namaszczony, Miquel II Gensana Wybraniec. Uwielbienie łączyłem z podziwem, gdy wyobraziłem sobie, do jakiego stopnia ta ładna, filigranowa kobieta musi być zaangażowana w Sprawę, żeby się zdobyć na coś takiego. To było naprawdę niesamowite... A jednocześnie bałem się, bo nie miałem podobnych doświadczeń ani też nie miałem odwagi się przyznać, że jeżeli tej nocy zostanę dłużej, nie będę miał czym wrócić do domu, że powinienem zawiadomić rodziców, że dosłownie srałem ze strachu. Powiedziałem jej możesz na mnie liczyć, Berto, jak jakiś Bogart. A kiedy już skończyłem soczewicę, jak zawsze w środę, w barze Aribau, zadzwoniłem do domu i powiedziałem matce, że nie wrócę na noc, żeby się nie martwiła, zostaję u Bolósa, będziemy razem się uczyć, w ostatniej chwili zapowiedzieli nam egzamin. Tak, z łaciny. Mamo, nie przejmuj się, co tam piżama, to tylko jedna noc. Tak, oczywiście, jutro wieczorem. No to cześć. Następnie spędził całe popołudnie w Bibliotece Katalońskiej, gdzie próbował rozgryźć pojęcie bazy i nadbudowy, które profesor historii uważał za przeżytek, takie tam wymysły marksistów, a materializm historyczny to leninizm i mydlenie oczu (i w tym momencie wszyscy rzucają się do słowników, leninizm, historyczny, materializm, jak kiedyś w dzieciństwie, gdy szukaliśmy takich słów jak kurwa czy jaja i nie mogliśmy znaleźć, bo wtedy dostępny był tylko słownik Vox), ale profesor filozofii twierdził, że te pojęcia są jak najbardziej aktualne i uczył nas odróżniać tezy Marksa od teorii Webera, tak że człowiek niemal czuł się zmuszony do wyboru między tymi dwiema opcjami, bo żyliśmy w czasach, kiedy niuanse były zakazane, a za wątpliwości się karało, kto nie jest ze mną, jest przeciw mnie. Nowy Testament oddalał się coraz bardziej, już go nie cytowaliśmy, ale jeszcze w tamtych czasach chodziłem na mszę w niedzielę, choć ten drobnomieszczański zwyczaj trzymałem w ścisłej tajemnicy przed wszystkimi, poza Bolósem. Kolać zjadłem w tym samym barze Aribau, jakby mi bardzo zależało, by jak najszybciej dorobić się wrzodów żołądka, a potem próbowałem rozładować napięcie, spacerując po Passeig de Gràcia, i pomimo coraz silniejszego lęku stwierdziłem, że Barcelona to całkiem ładne miasto, z tymi latarniami, których nie mieliśmy w Feixes; na ulicach tłumy ludzi, owszem,

przygaszonych, ale jednak ludzi, i strażnicy miejscy w hełmach korkowych, które przypominały Stanleya, i można było się gapić przed plakatami Pubi czy Savoya i myśleć jutro zaproponuję Bolósowi: może byśmy się na coś wybrali. Gdybym był dzikim zwierzęciem, wyczułbym w powietrzu strach, bo Barcelona przyczyła się pod zasłoną nieufności i tchórzostwa, ponieważ od paru tygodni my, studenci, zawładnęliśmy ulicami, i cała dzielnica Eixample w ciągu dnia była dosłownie okupowana przez tankietki szaruchów, szaruchy na koniach, wszędzie te nienawistne szare mundury policji. Ulice stawały się polem bitwy, a nocą robiło się jeszcze gorzej, bo jak spod ziemi czy może ze studzienki kanalizacyjnej mogło się nagle wyłonić czterech tajniaków, żeby cię wylegitymować, co robisz, dokąd idziesz, skąd i czy jesteś za Marksem czy za Weberem.

Kiedy dochodziła północ, Miquel zgodnie z instrukcją poszedł w stronę pasaża Domingo. Zgadza się: na samym środku pustej uliczki stał wysłużony skuter. Sprawdził kluczyki, pasowały. Zakochałem się w sprawności organizacyjnej Berty. Ja byłem oddziałem partyzanckim, a ona moją sekretną kochanką. Szkoda, że nie zobaczy mnie w akcji. A może to i lepiej.

Miquel Che Gensana podjechał skuterem do ulicy València. Stosując się ściśle do instrukcji, skręcił w ulicę Urgell i przejechał po raz pierwszy przed przystankiem autobusowym, żeby uspokoić nieznanego towarzysza, że wszystko jest w porządku. Gdy przejeżdżał tamtędy ponownie, zwolnił. Jakiś cień wskoczył na tylne siodełko i złapał go w pasie. Usłyszał głos Berty, mojej najdroższej, która szeptała mu do ucha Dani nie mógł przyjść, czterdzieści stopni gorączki, niestety; ale i tak to zrobimy. Serce, które przed chwilą chciało mu wyskoczyć z piersi ze strachu, kiedy musiał udawać odważnego, teraz mu biło pif, paf, pum, bo to Berta ogrzewała mu ucho swoim oddechem i trzymała go mocno w pasie, o bogowie, czegoż chcieć więcej. A Berta chyba to wyczuła i rozkosznie, delikatnie, oparła głowę na plecach Che Gensany, który prowadził w stanie upojenia miłosnego ulicą Mallorca, a gdy dojechali do Passeig de Gràcia, powiedziała później pójdziemy na piwo do Drugstore, a on tylko kiwnął głową, chcąc, żeby już było później. Skręcił w ulicę Pau Claris, a że nie było ruchu, zaraz się znaleźli na wysokości komisariatu na Via Laietana. Sytuacja stała się jeszcze bardziej emocjonująca, kiedy automatyczny system sygnalizacji miasta Barcelony zdecydował, że w tym momencie na przejściu przed komisariatem zapali się czerwone światło, i zatrzymali się w odległości dwudziestu kroków od uzbrojonego w karabin policjanta na warcie, on zaś spojrzął na nich podejrzliwie. Podczas gdy Miquel wyobraził sobie, że już jest trupem, usłyszał zduszony śmiech Berty, która szeptała mu do ucha jest zajebiście, a on sobie pomyślał dwie rzeczy: po pierwsze, Berta jako partyzant ma niewyparzoną gębę, a po drugie, bardzo to było upokarzające, ale tak, musiał przyznać, że ta kobieta niczego się nie boi. A ona przysunęła się bliżej i objęła go z tyłu, jakby byli zakochaną parą, aż policjant z karabinem przestał się im przyglądać. Miquel teraz naprawdę umierał, ze szczęścia. Zielone. Cholera, Miquel, zielone!

Kiedy mijaliśmy katedrę, już tęskniłem za jej uściskiem. Ale ona w wirze walki nie tylko nie czuła lęku; uderzeń serca chyba też nie czuła i powiedziała każde z nas musi działać osobno. On na to och, nie, dlaczego? Na co ona bo jesteśmy sami i musimy się pospieszyć, niebezpieczeństwo jest większe, ale to bez znaczenia.

Dotarli do pustego placu Sant Jaume, gdzie ich skuter narobił dużo hałasu. Przecięli plac, kierując się w stronę ulicy Ferran. Tu zaparkuj, poleciała, kiedy skręcili w ulicę Avinyó. W ciszy, która nagle zapanowała, Miquel odniósł wrażenie, że zza latarni wylania się właśnie autokar z psianią, a Berta chyba pomyślała to samo, bo powiedziała chyba powinniśmy byli zostawić skuter gdzieś dalej. Miquel aż jęknął, i co teraz; roześmiała się i poklepała go po plecach, wręczając mu torbę ze słowami tylko żartowałam, w nocy psy śpią.

Podzielili się pracą: ona miała iść pod dawny pałac Generalitat, a on pod budynek ratusza. Ponieważ nikt ich nie asekurował, musieli działać nie tylko sprawnie, ale przede wszystkim szybko. Bez nerwów, nie marnując czasu. Powtarzał w myślach ty samobójco, idioto, kto ci kazał... Ale wtedy Berta ostrzegła go po raz ostatni, podnosząc palec, jeżeli usłyszysz jakiś hałas, w nogi, zapomnij o skuterze. Tę instrukcję zrozumiał chyba najlepiej. Spotykamy się tutaj za pięć minut. I zniknęła w jakiejś ciemnej uliczce, bezszelestnie. Miquel patrzył bezradnie na puszkę farby w sprayu. Minęło półtorej minuty, a on nie ruszył się z miejsca. Pomyślał o Bercie z coraz większym podziwem i ocknął się; zaczął biec szybko, jak najszybciej, aż się zderzył z boczną ścianą budynku ratusza. Rozejrzał się wokół. Straż miejska musiała stać tylko przy głównym wejściu. Robią obchód? Mają szpiegów przyklejonych do ściany? Co on mógł o tym wiedzieć, ten niedoszły kamikaze. Dwie i pół minuty, czas mi się kończy, a ja jestem niezdolny do działania. Wyobraża sobie Bertę, jak pisze swoim starannym pismem, wyciąga koniuszek języka, pilna uczennica, jakby odrabiała lekcje. Potrząsnął głową, żeby odsunąć od siebie ten obraz. Trzy minuty, a on jeszcze głęboko w lesie. Zmusił się do wysiłku, żeby przypomnieć sobie pierwsze zdanie, żądanie amnestii czy coś w tym duchu. Zdjął z puszkii zakrętkę, a ta spadła na bruk z wesołym bum, bum, a on chciał się zapaść pod ziemię, bo dziesięć tysięcy policjantów właśnie lądowało na spadochronach z karabinami gotowymi do strzału; nie, nikt. Podniósł zakrętkę i kiedy zaczął bazgrać na odwiecznych murach, poczuł nowy przyływ energii. Teraz był bohaterem. Najpierw litera k, później o. Powoli, ale wyraźnie. Szybko skończył. Spojrzał na zegarek. Cholera, Berta czeka na niego już z dziesięć godzin. Dzwon w pobliżu zabrzmiał oskarżycielsko, informując go jednocześnie, że już pierwsza, i wtedy w nogi, do skutera, do Berty, nawet nie podziękował za informację. Na jednej ze ścian frankistowskiego ratusza w Barcelonie pozostało widoczne dla wszystkich, dopóki władze nie zdecydują się zamalować, oświadczenie kocham cię, które wyrwało się z mojego przerażonego serca. To były intymne, żalodne, opozycyjne oświadczenia.

### Ukochani Bracia w Chrystusie

Już od dawna noszę się z zamiarem napisania do Was listu, ale na przeszkodzie stanęły codzienne obowiązki w nowicjacie. Dziś mamy „wolny dzień”, czyli praktycznie tylko parę godzin, które chcę poświęcić na nawiązanie kontaktu z Wami obydwojma, z Bolosem i Gansaną, mimo że najprawdopodobniej przyplączę to przyplływem melancholii.

Nie wiem, czy jesteście zainteresowani, czym się zajmuję jako nowicjusz. Całe życie tutaj sprowadza się (i wypełnia!) do modlitwy i wyrzeczeń (o radości wyrzeczenia!) oraz do przygotowania duszy, abyśmy mogli, jeśli Bóg pozwoli, stać się szczodrymi siewcami Dobrej Nowiny. Nowicjat jest tylko etapem wstępnym na drodze do tego cudownego świata, jakim

jest życie zakonne. Wstajemy o siódmej rano na dźwięk dzwonka. Wiecie, że codziennie biorę zimny prysznic? Jak już się ogarniemy, mamy godzinę na modlitwę indywidualną w naszych celach. Potem zbieramy się wszyscy na Wielkiej Tajemnicy Eucharystii. Później jemy śniadanie, porządkujemy cele i jesteśmy gotowi do rozpoczęcia porannych zajęć z łaciny i greki. Przed obiadem przeznaczamy chwilę na indywidualne skupienie, a następnie zbieramy się w refektarzu. Po relaksującym spacerze w parku otaczającym nowicjat i krótkiej sjeście wracamy do nauki, ale tym razem nie studiujemy spraw „ziemskich”, lecz rozmawiamy o duchowości, by przeziąknąć duchem Towarzystwa Jezusowego. W zależności od dnia później mamy nieco więcej czasu wolnego, zajmujemy się porządkami w seminarium albo prowadzimy katechezę w okolicznych miejscowościach. A kiedy wracamy, po chwili przeznaczonej na indywidualne skupienie, przygotowujemy się do kolacji. Po kolacji można jeszcze pójść na spacer i już jesteśmy gotowi, około dziesiątej, by udać się na spoczynek, z ciałem zmęczonym, czujnym duchem i nieustannym pragnieniem, by każdego dnia wiernie podążać śladem dobrego Jezusa.

– Pasjonujący program – powiedział Bolós, podnosząc wzrok, żeby spojrzeć w oczy Gensanie.

– Tak, szkoda faceta. – Westchnąłem nad kuflem piwa. – Ale wydaje mi się, że on wcale się z nas nie nabija.

– Nie. Wyobraź sobie, że on w to wierzy.

– Niech mu będzie. Skoro jest szczęśliwy.

– Gówno prawda.

– Wątpisz w to?

– Zrobili mu pranie mózgu. Nie widzisz? Gdzie się podział ten wiecznie zbuntowany Rovira?

– Może wybrał sobie takie życie jako formę buntu.

– Co ty pieprzysz, Gensana! Nie. Tam wszystko się sprowadza do posłuszeństwa, co się będziemy oszukiwać.

– Może tak jest wygodniej. Nie musisz myśleć. Nie musisz o niczym decydować.

– Może dla ciebie, bo ty się kokosisz z każdą decyzją, jakbyś miał znieść jajo.

Nie podobał mi się ten kwaśny komentarz Bolósa. Ale Miquel osłodził go uśmiechem i podniósł kufel. Bolós wrócił do listu, który otrzymałem parę godzin temu, do nowinek, które pochłaniał, wdychając woń zapiekank, parówek i kawy, przy stoliku w jednym z ogródków przy placu Reial, drodzy przyjaciele, nie myślcie, że tęsknię za życiem pozostawionym za sobą, ale podziwiam was za odwagę podjęcia działalności politycznej.

– Ciekawe, co mu naopowiadałeś – zrewanżowałem się Bolósovi.

– Ja? Nic takiego. Same ogólniki.

Same ogólniki: mogłem sobie wyobrazić pełen entuzjazmu list, w którym opisywał naszą codzienną walkę z policją, odkrycie, że świat nie ogranicza się do tego, w co nam kazali wierzyć, że jest też miłość. I że najtrudniejszy jest pierwszy dzień, a potem szybko się przyzwyczajasz i wychodzisz na ulicę, żeby tam wykrzyzczyć swoją niezgodę, aż usłyszysz

syrenę policyjną, i w nogi, rzucaś transparent, ale nadzieja zostaje w sercu. Mogłem sobie wyobrazić, bo napisałem podobny list. Ale dziś, powstrzymując niecierpliwość naturalną w młodym wieku, skupiam się na tym, jak stać się dobrym księdzem. Chcę być użyteczny dla swoich braci, ad maiorem Dei gloriam. Może byście mnie kiedyś odwiedzili? Co drugą niedzielę przyjmujemy gości i poza członkami rodziny mogą do nas przyjeżdżać znajomi.

– Jak w więzieniu – odezwałem się.

– Co ty możesz wiedzieć.

– Może wkrótce się dowiemy. Jak sądzisz? Wybierzemy się do niego?

– Moim zdaniem to zbyt dołujące.

– Pewnie już chodzi w sutannie.

Bolós i Gensana spojrzeli sobie w oczy. Jeszcze nie opróżnili pierwszego kufła. Wybuchnęli śmiechem; Rovira w sutannie, szczyt wszystkiego.

– Nie uda nam się zachować powagi.

– Słuchaj, może odwiedzimy go innym razem?

Zostawili tę wizytę na później, nie, nie zrezygnowali, zobaczyć Rovirę, czemu nie, ale trudno było pogodzić tego rodzaju odwiedziny z naszą sytuacją studentów zaangażowanych politycznie, no dobrze, wiesz, innym razem, jeśli będzie nalegał, no właśnie, jeśli będzie nalegał.

Miquel nie przypuszczał, że dwa czy trzy tygodnie później będzie oglądał, otwierając szeroko oczy ze zdumienia, pejzaż migający szybko za oknem wagonu, i wyruszy na spotkanie z Rovirą, chociaż tamten wcale nie nalegał. Wyrzuty sumienia to moja specjalność, dlatego w tajemnicy przed Bolósem, żeby się nie narazić na kpiny, wybrałem się odwiedzić ukochanego brata w Chrystusie. Krajobraz za oknem uciekał, a ja myślałem, że nawet przyjaciele mają przed sobą sekrety, choć do tej pory wierzyłem, że Bolós to taki przyjaciel, który wie o mnie wszystko. Wie wszystko z wyjątkiem tych odwiedzin, z wyjątkiem uduchowionego uśmiechu Roviry, który mówiąc, robił retoryczne pauzy, kroczył powoli i dostojnie, a kiedy pokazywał na drodze prowadzącej w stronę jeziora jabłonie po prawej, brzoskwinie po lewej, nie mówił, że są piękne, tylko że są darem bożym. Bardzo rozmowny, podchodził z dużym entuzjazmem do nowego życia, trochę przytył, ale najgorsze było niemiłe wrażenie, że mój przyjaciel jest po drugiej stronie barykady.

– Jakiej barykady.

– Nie wiem, Júlio. Barykady. Już nie był jednym z nas.

– Albo wy zbyt różniliście się od takich jak on.

Tak, jasne. Rovira ksiądz to przyjaciel spisany na straty, mimo że po powrocie do seminarium, zanim go pozostawiłem sam na sam z jego myślami, objęliśmy się, a on bardzo się wzruszył. W drodze powrotnej nie zwracałem uwagi na pejzaż. Tego wszystkiego nie wiedziałem jeszcze dwa czy trzy tygodnie wcześniej, kiedy postanowiliśmy, że w porządku, jeśli będzie nalegał, zastanowimy się, czy do niego nie wpaść. Również nie wiedziałem, że Bolós zrobi dokładnie to samo co ja, tylko miesiąc później. Ponieważ tego nie wiedzieliśmy, wróciliśmy do przerwane go wątku.



- A jak on tam sobie radzi, tak zupełnie bez dziewczyn?

- Nic o tym nie wspomina w liście.

- To znaczy, że ma z tym problem.

- Tak sądzisz?

- No wiesz! Sam pomyśl. - Czasami wkurzała mnie pewność siebie Bolósa. A ja nie miałem argumentów, żeby z nim dyskutować. - Całymi dniami wśród mężczyzn, którzy wywracają oczami, a z kobiet widzą tylko Matkę Boską. I to ma im wystarczyć.

- Może są jakieś zakonnice.

- Akurat, zakonnice! Na jakim ty świecie żyjesz, Gensana?

Mój świat to Feixes, ale jedną nogą byłem w Barcelonie. Żyłem w permanentnej egzaltacji, przeświadczony, że świat na gwałt domaga się zmian. Z plakatu na drzwiach pokoju spoglądał na mnie Che Guevara, a w miejsce tradycyjnego wizerunku Czarnej Madonny z Monserrat powiesiłem maleńką reprodukcję (sądziłem, że była czarno-biała) *Guerniki*. Żyłem z głową w chmurach, podobnie jak Bolós, ale on potrafił nadrabiać miną, i niejeden uważny obserwator dawał się nabrać, czego mu szczerze zazdrościłem.

- Widziałeś dziś Bertę?

- Nie. Nie wiem, gdzie ją wciąło. Mam wrażenie, że coraz rzadziej pojawia się na uczelni. Jest nieosiągalna.

- Nie zniechęcaj się.

- Bez obaw. A jak tam Rosa?

- Rosa jest z Reus. Zauważyłeś, jaki ma śmieszny akcent?

- Już mi o tym wspominałeś. Jak się miewa?

- Słuchaj, może byśmy poszli na seans za piątkę w kinie Alexis?

- A co wyświetlają?

- *Kanał*. Polski film, tak mi się wydaje. O okupacji nazistowskiej.

- Na pewno dobry. Kto płaci za piwo?

- Kto zde gustuje wino?

Júlia i ja spojrzeliśmy na kelnera, który wyrósł jak spod ziemi z butelką w ręce.

- Może pani spróbuje - zaryzykowałem.

Ale energiczny gest Júlii rozwiął wszelkie nadzieje. Moje i kelnera. Udawałem, że zastanawiam się nad barwą, poruszyłem winem na dnie kieliszka, wsadziłem nos do środka i wypilem łyk. Wywróciłem oczami, świadom, że wszystkie wykonywane przeze mnie gesty miały ważną, niecierpliwioną publiczność. Skąd mam wiedzieć. Dla mnie każde dobre wino jest dobre.

- No i co, w porządku? - niecierpliwiała się Júlia.

- Przypuszczam, że tak.

- Jak to przypuszczasz? Ma gorzki posmak? Czuć je korkiem?

- Nie, nie... Uważam, że byłoby lepiej, gdybyś to ty degustowała.

Júlia zamknęła temat, spuszczać wzrok. A my dwaj uznaliśmy ten gest za aprobatę. Podoba mi się pozorna energia Júlii. Imponuje mi, bo jest tak różna od mojej nieśmiałości... i przypomina mi babcię Amèlię. Júlia spokojnie mogłaby być jedną z moich ciotek.

– Owszem, jest bardzo dobre. Ale będzie cię kosztować majątek.

– Co?

– Ciągłe chodzisz z głową w chmurach.

– Za pozwoleniem... – Wstałem, naśladowując styl kelnera, i schowałem zapalniczkę Sterna, która od momentu, kiedy Teresa mi ją podarowała, nie powinna była za często opuszczać mojej kieszeni. Júlia zauważyła ten niezbyt uprzejmy gest, ale go nie skomentowała. – Chciałbym umyć ręce. Nie wiesz, gdzie tu jest łazienka?

– W głębi, za tamtymi drzwiami. Przynajmniej damska.

Śmieszne pytać kogoś obcego, gdzie jest toaleta w twoim domu. No więc udałem się tam, gdzie jeszcze pięć lat temu na parterze była mała łazienka. Przy stole czekała na mnie kobieta, która chciała się dobrać do mojej duszy i co do której jeszcze nie zdecydowałem, jak ją mam traktować, która umówiła się ze mną w moim domu, bo chciała porozmawiać o moim najlepszym przyjacielu, a jak na razie tylko słuchała z zapartym tchem wszystkich wspomnień wywołanych obecnością tych ścian. Chociaż nie wiedziała, że Czerwony Dąb był kiedyś moim domem.

Młodziutki kelner wskazał mi korytarzyk prowadzący do toalet. Na drzwiach tego, co było naszą małą łazienką na parterze, teraz ktoś pozbawiony gustu umieścił okropną blachę przedstawiającą dżentelmena w stylu Prousta. Miquel otworzył drzwi podenerwowany. No proszę, jak sprytnie zagospodarowała przestrzeń, ta cała Maite Segarra! Wanna, grzejnik i szafki won. Ścianki działowe oddzielały kabiny z klozetami od pisuarów, tuż przy oknie, tym, przez które podglądał, czy kuzynka Núria bawiła się na huśtawce, czy może próbowała zwinąć obrazki, które sam jej podłożył na przynętę. Strumień moczu był obfity. To na pewno z powodu tej fontanny. Obok okna znajdował się dozownik mydła i dwie umywalki. A w rogu przy drzwiach umieszczono automat z przerwatywami. Jak do tego doszło, że straciliśmy dom? Dlaczego się nie zbuntowałem? Wolałby, żeby dom rozpadł się w efekcie nieustannego działania korników, zapomnienia, atakowany przez szczury, zielsko i karaluchy, a tymczasem stał się pastwą Maite Segarry i tych wszystkich klientów, którzy każdego dnia naruszają jego prywatność. Wrzuciłem monetę do automatu z kondomami. Gdzieś niedaleko awanturował się zachrypnięty, zmęczony kucharz, sądząc po akcencie, Marokańczyk, że ziemniaki jeszcze niepokrojone, a ja pomyślałem sobie, że życie to pasmo nieporozumień, w którym nie da się cofnąć błędnego ruchu. Ostatnio ta głęboka refleksja mnie prześladowa; tylko tak dalej, a dorobię się monstrialnej obsesji, w sam raz dla dobrego psychiatry. Ja przynajmniej mogłem sobie pozwolić na takie myśli, a biedny Bolós nie miał nawet tego – na dobrą sprawę odszedł, nie wiedząc właściwie, dlaczego umiera. Parlament nie pożalował grosza na klepsydry, a burmistrz nie chciał być gorszy. Bolós szedł prosto jak strzała, mierząc wysoko, i wiele by osiągnął, gdyby nie ten wypadek. Jego śmierć była jak grom z jasnego nieba.

Wyszedłem z łazienki z przerwatywą w kieszeni. Zamiast wrócić do biblioteki, skierowałem się do drzwi wejściowych, tych, które ojciec otworzył pewnego dnia i tyleśmy go widzieli. Zachowali je bez zmian. Gdzieś w oddali, od strony morza, błyskało, ale bezgłośnie. Było duszno w tym moim ogrodzie pełnym obcych samochodów. Drzewko truskawkowe jakby się chowało przede mną w półmroku i zawstydzone spotkaniem w nowych okolicznościach nie miało odwagi powiedzieć mi Miquel, słuchaj, stary, koniec końców, co za różnica, podlewają mnie codziennie; wiem, to nie to samo, ale nie zawsze masz wybór... Miquel odwrócił się, wzburzony tymi żalonymi wymówkami swojego rówieśnika, otworzył drzwi i wszedł do środka, ignorując ostentacyjnie podejrzliwy gest upierdliwego maître'a, i zatrzymał się na chwilę w holu, obserwując z tej perspektywy otwartą przestrzeń, i poczuł się nieswojo. Podobnie czuła się babka Amèlia siedemdziesiąt dwa lata temu, kiedy jeszcze nie była babką, zaledwie matką z przybranym synem, czyli ze

mną, twoim wujkiem Maurycym bez Ziemi, obecnie jedynym żyjącym prawowitym przedstawicielem rodu Gensanów, Oficjalnym Kronikarzem; Zatraconym w Szaleństwie od dnia, w którym uświadomiłem sobie, że są cierpienia przekraczające ludzką wytrzymałość, a mimo to nie umieram. Winę za to, że pozostałem przy życiu, by snuć opowieść o rodzinie, ponosisz ty, Miquelu, tylko ty. Za każdym razem, kiedy Miquel zachodził do domu wariatów przy ulicy Bellesguard, wujek Maurycy wywoływał z pamięci dziadków, spoglądając na ich portrety. Już ci mówiłem, wujku, wcale tego nie żałuję, ponownie ocaliłbym ci życie, bo cię kocham. Wujek się zjeżył i upomniął mnie Miquel, takie słowa nie powinny padać między mężczyznami. Zresztą jeśli pewnego dnia starczy mi odwagi, żeby wyjawić ci całą prawdę, na pewno przestaniesz mnie kochać.

Babci Amèlii nie przeszło przez myśl, że na tych drzwiach, które mąż przed nią otwierał taki dumny, na tych drzwiach, które mieli zainaugurować po remoncie przeprowadzonym przez Muncunilla, że na nich właśnie pojawią się jaskrawe kolory czterech prestiżowych kart kredytowych, dla wygody domowników. Klientów. Po przekroczeniu progu Amèlia, doña Amèlia Eroles, żona Gensany, westchnęła i odwróciła się ze łzami w oczach. Mąż zatrzymał się w drzwiach; bardziej był ciekaw jej reakcji niż swojego domu po remoncie, bo znał go już na pamięć.

– Podoba ci się? – zapytał z nadzieją. Domyśliła się, co chciał usłyszeć, i nie zamierzała go rozczarować.

– Tak, bardzo, Ton... To... To jest... Dom jest jak nowy. Wydałeś sporo grosza, Ton.

– Mamy, to wydajemy. Teraz musimy się tu rozgościć. Rodzice przyjadą dopiero w przyszłym tygodniu.

– Będziemy przez tydzień sami? – ucieszyła się.

(Sami, czyli oni oboje, moi jeszcze wtedy ukochani przybrani rodzice, ja, biedny sierota Maurycy bez Ziemi, przygarnięty po nieszczęściu przez twoich dziadków, których młodość natchnęła dobrocią – Amèlię, niech Bóg ma ją w swojej opiece, i Tona, oby Bóg go wypuł prosto do piekła; Pere, Pere I Gensana Uciekinier, twój ojciec, przez wiele lat mój najlepszy na świecie przyjaciel, o którym w twoim domu teraz nikt nie chce pamiętać, bo pewnego dnia ogarnął go lęk i zadbał tylko o siebie; no i jeszcze twoje ciotki, Elionor i Elvira, moje przyrodnie siostry. Do tego cztery służące. Miquelu, kiedyś ci opowiem, jak zapisały się w mojej pamięci pokojówki. Wiesz, co ci powiem? Dom Gensana zawsze wydawał się za duży na tak małą liczbę osób.)

Wujek Maurycy ciągle tworzył teorie na wszystkie możliwe tematy. Nazbierało mu się ich sporo podczas wielu nudnych wieczorów, a czas spędzony w domu wariatów jeszcze mu wyostrzył inteligencję. Jedną z tych teorii, którą przejął od księcia Lampedusy (wujek nigdy nie ukrywał swoich źródeł), głosiła, że dom dopóty nie jest prawdziwym domem, obszernym, gościnnym i wielowymiarowym, dopóki nie osiągnie proporcji pozwalających na ukrywanie sekretów, niedostępnych nawet dla jego mieszkańców. A jeżeli ponadto jest piękny, właściwie sam w sobie staje się zachętą, by żyć, płodzić dzieci i zadomowić się na dobre. To mówił on, który w życiu nikogo nie spłodził. Dom Gensana, zdaniem wujka, spełniał wszystkie wymienione warunki, ponieważ krył w sobie wiele tajemnic – tu każdy kąć mógł

opowiedzieć historię przelanych w jego zaciszu łez. A nawet potrafił się przeistoczyć w restaurację. Dom pozostawał prawdziwym domem, mimo że niektórzy jego właściciele, zwłaszcza jeden czy drugi Maur, uparli się, żeby z premedytacją go oszczędzić. Z pewnością żaden z mieszkających tam Gensanów (z wyjątkiem Maurycego) nie miał świadomości, jaki posiada skarb – spowszedniał im od oglądania go na co dzień. To już raczej goście, pojawiający się a to z okazji chrztu czy pogrzebu, a to na herbatkę czy z rewizytą, na imieniny Saura albo w dniu świętego Antoniego, byli pod wrażeniem i budynku, i ogrodu. Znaleźli się też zagorzali zwolennicy kaplicy w stylu epigońskiego baroku, udekorowanej zgodnie z wątpliwym gustem prapradziadka Maura, tego uwiecznionego na portrecie z pieskiem o imieniu Bonaparte, który zrobił wszystko, żeby pozbawić ją wdzięku, upychając, gdzie tylko się dało, koszmarnie figurki i bibeloty. Ale pomijając dekorację, kaplica jako taka, nie za duża, miała w sobie coś szlachetnego, choćby skromne, proporcjonalne wymiary. Poza tym żenili się tam i wychodzili za mąż potomkowie rodu Gensanów, wszyscy ci, którzy wchodzili w związki małżeńskie, bez wyjątku. Przez trzy okna na ścianie północnej ozdobione witrażami przedstawiającymi sceny ze Starego Testamentu wpadało kolorowe światło. Przeciwległa ściana była ślepa, nie licząc drzwi do zakrystii, bo przylegała do domu. Ołtarz na prezbiterium podwyższonym o dwie piędzi w stosunku do poziomemu nawy pozwalał rozwijać duszpasterską gorliwość ze dwudziestu księżom, którzy tam celebrowali mszę i całą serię innych obrzędów liturgicznych, praktykowanych przez ludność Feixes. Trzydzieści ławek i konfesjonał (wspaniała kryjówka podczas zabawy w chowanego) uzupełniały wyposażenie, razem z chrzcielnicą i trzema olejnymi obrazami o tematyce hagiograficznej na ślepej ścianie. Na zewnątrz w dzwonnicy z wolutami dwa dzwony, Antònia i Maura, odzywały się, kiedy trzeba było ogłosić, że w domu Gensana wydarzyło się coś naprawdę wyjątkowego.

Ale największym powodem do dumy rodziny Gensanów był sam budynek: reprezentacyjny parter, pierwsze piętro i drugie, dla służby. Dobrze poinformowani twierdzili, że były tam dwadzieścia trzy pomieszczenia, w tym dwanaście sypialni, i oczywiście pokój Elionor. Do tego dwie jadalnie, salon, galeria portretów, biblioteka pradiadka Maura (siedem tysięcy osiemset trzydzieści pięć woluminów i wspaniały fortepian), kuchnia i prasownia z półkami na wyprasowane sztuki bielizny i żelazka, pralnia i niewielkie patio, gdzie się suszyło pranie. I na pewno znalazłoby się coś jeszcze tam, gdzie nie sięgał wzrok żadnego z gości. Jeszcze większe wrażenie wywierał ogród: dwa hektary cienistych drzew, sadzawka z fontanną, pergola pokryta białymi kwiatkami jaśminu, najpiękniejszymi w lipcu, dosłownie można było się upoić ich zapachem, i aleja magnolii prowadząca do dzikiej części ogrodu, a na jej końcu kasztanowy zagajnik, w którym całowałem się z Gemmą. Tam stałem się mężczyzną, tam wcześniej całe pokolenia małych Gensanów płci obojga przeżywały mrozące krew przygody, walcząc z niewyobrażalnymi potworami. Teraz ten wspaniały historyczny ogród wreszcie został zamieniony na praktyczny parking dla klientów równie wspaniałej restauracji. W panujących na zewnątrz ciemnościach Miquel nie potrafił oszacować, ile drzew wycięto, żeby parking miał więcej przestrzeni albo żeby otoczenie miało więcej światła.

– Wujku.

– Co?

– Dom już do nas nie należy. Ojciec...

– Wiem. Myślisz, że bez powodu zwariowałem?

Wziął do ręki niebieską palemkę, którą wycinał podczas naszej rozmowy, i przyjrzał się jej tak uważnie, jakby od jej kształtu zależało jego życie. Popatrzył mi w oczy.

– Jakim prawem. – Nie miał siły zakończyć zdania pytajnikiem.

– Należał do ojca, nie?

Nie wiedziałem, jak interpretować milczenie wujka. Musiało upłynąć parę miesięcy, nim zrozumiałem.

– Jakim prawem on to zrobił? – Teraz dokończył pytanie.

– Może uda się dom odzyskać – kaslnąłem. – Adwokat mówi, że...

Adwokat nie miał nic do gadania, biedny Almendros, był jeszcze bardziej przybity niż my, kiedy musiał nam zakomunikować, że w ciągu miesiąca musimy usunąć z domu meble i wspomnienia. Ale ponieważ często kłamię, Miquel najbezcenniejszy w świecie dokończył zdanie:

– ...że możemy się odwoływać. Czeka nas parę ciężkich miesięcy.

Ponowne milczenie wujka potwierdziło to, co mi zawsze mówiła Gemma: że nie umiem kłamać.

Wujek trzymał w dłoniach papierową palemkę i bez słowa zaczął wyrywać listki jeden po drugim, jakby to była stokrotka, tak, nie, tak, nie, ale nie interesowała go przyszłość naszego domu, bo to, co mówił adwokat, było święte, tylko przyszłość mojego sumienia, które już od lat nabierało wody wszystkimi szczelinami.

System według Coseriu, inaczej niż u Hjelmsleva, nie ma charakteru formalnego. Definicja systemu Coseriu bardziej przypomina definicję normy Hjelmsleva: jest to funkcjonalna część języka. Tak na przykład systemowa definicja fonemu wskaże głównie jego cechy dystynktywne. Tak czy inaczej, pojęcie normy i według Hjelmsleva, i według Coseriu formułuje się na pewnym poziomie abstrakcji. Pod warunkiem że możliwe będzie uczestniczenie w zajęciach, bo atmosfera stawała się z dnia na dzień coraz bardziej napięta z powodu szarej, opresyjnej obecności policji. Studenci tacy jak ja, którzy na początku czuli się trochę zagubieni, bo sądziliśmy, że na uniwersytecie się studiuje, powoli orientowaliśmy się, że są sprawy pilniejsze niż rozstrząsanie różnic między systemem Coseriu a Hjelmsleva, na przykład – walka o demokrację; na przykład – egzekwowanie prawa do samostanowienia naszego narodu; na przykład – walka z faszyzmem i z frankistowskim reżimem; na przykład – rewolucja. Ponadto w kraju dyktatury personalnej, faszystowskiej i prawicowej mogą zaistnieć obiektywne warunki do wszczęcia procesu rewolucyjnego. Jest oczywiste, że bez Saussure’a Hjelmslev nie zdefiniowałby tak precyzyjnie istoty problemu i dziś nie mówilibyśmy o glosemantyce jako o czymś oczywistym. Trzeba zastrzec, że warunki obiektywne prowadzące do rewolucji mogą się pojawić w określonych okolicznościach społecznych i historycznych, w konkretnym społeczeństwie, lecz też mogą zostać wymuszone przez elitę rewolucyjną, która przejmuje stery walki w danym społeczeństwie, w procesie rewolucyjnym zmierzającym do stworzenia społeczeństwa bezwzględnie sprawiedliwego, po koniecznym, ale ograniczonym okresie dyktatury proletariatu. O takich sprawach człowiek się dowiaduje, gdy nastawia ucha, słucha i stara się przetworzyć w głowie zalew nowych informacji. Na tym polegał pierwszy rok studiów uniwersyteckich Miquela II Gensany Pojętnego. Na tym i na dyskretnym śledzeniu poczynąń Berty, która najwyraźniej stawała się coraz bardziej tajemnicza, i były dni, kiedy nie pojawiała się na zajęciach, natomiast rano zachodziła do baru, jadła kanapkę z serem i na uboczu wdawała się w ożywioną dyskusję z kimś nieznanym, tak zaabsorbowana, że w ogóle nie zwracała na mnie uwagi, a ja myślałem: słuchaj, koleś, nie zawracaj jej głowy, od tego ja tu jestem. Po tamtej pamiętnej nocy, podczas której oboje, Berta i Miquel, Abelard i Heloiza, malowali hasła na ścianach dwóch ważnych budynków frankistowskich władz w Barcelonie, nie wrócili do tamtego tematu. Odstawili skuter w pasażu Domingo, a potem, zgodnie z obietnicą, wypiliśmy piwo w drugostorze. Skruszony od razu chciałem się przyznać, że nie, nie stanąłem na wysokości zadania. Ale Berta nie dopuściła do żadnych zwierzeń, bo przez cały czas mówiła o klasowym podziale społeczeństwa, że teraz wszystko zrozumiała, teraz życie nabrało sensu. A Miquel powtarzał tak, Berto, i tonął w jej promieniującym energią

spojrzeniu, mało go obchodziło, czy trzeba dokonać szczegółowej analizy konkretnej rzeczywistości, bo było coś o wiele pilniejszego, czyli Berta. Kocham cię, uwielbiam, podniecasz mnie, paraliżujesz, ty jesteś Drogą, Prawdą i Życiem, ty nadajesz wszystkiemu sens, a na mnie w ogóle nie zwracasz uwagi, bo tamtej nocy, w drugstorze, spojrzała na zegarek i tak jakby ona też funkcjonowała dzięki wewnętrznej sprężynie, oświadczyła, och, jak późno, na mnie już czas, i położyła na stole sto peset, jak prawdziwa rewolucjonistka, która nie daje się zaprosić mężczyźnie, bo to takie dekadencie i drobnomieszczańskie. Poszła sobie, jak tylko dostała resztę. Żadnych szans, żeby ją odprowadzić. Zniknęła gdzieś na zewnątrz, daleko od Miquela i jego życia, choć byli sobie tacy bliscy, gdy wspólnie stawili czoło niebezpieczeństwu. Tej nocy nie miał czym wrócić do domu i tylko skulił się gdzieś w bramie, gdzie przemarł do szpiku kości. Od tamtego czasu, kiedy spotykali się na uczelni, Berta żadnym słowem ani gestem nie nawiązywała do ich nocnej przygody, a on albo skupiał się na różnicy między architekturą na planie krzyża łacińskiego i krzyża greckiego, albo czuwał, by nie przegapić dogodnej chwili na prawidłowe wywołanie rewolucji, albo błędził jak nawiedzony, aż się o niego zaniepokoił Bolós, który ciągle jeszcze chodził z tamtą niziutką dziewczyną z Reus; miała bardzo miłą buzię i taki zmysłowy, niepowtarzalny głos. Myślę, że Bolós zakochał się w tonacji mezzo. Uświadomiłem mu, że obaj kochamy się we własnych mrzonkach. Obaj chcieliśmy rzucić studia, a minęły dopiero dwa semestry. Nie chodziło o problemy z łaciną, surowość arabskiego (w moim przypadku) czy perypetie z greką (w przypadku Bolósa) ani o wkuwanie na pamięć dat historycznych (a właśnie, przedstawionych bez znajomości podstawowych zasad rewolucyjnych, co było bezsprzecznym dowodem, jak bardzo zafalszowana jest faszystowska historiografia uprawiana przez profesorów uniwersytetu), ani o tysiące reprodukcji z dziełami sztuki, których wyświetlanie zamiast sprawiać przyjemność, stawało się prawdziwą torturą. Nie, nie z tych rzeczy. Chodziło o oczy, o głos, to wystarczyło, żeby nas rozłożyć na łopatki. Pogodziliśmy się z tą oczywistością pewnego wieczoru, wychodząc z Biblioteki Katalońskiej na ulicę Hospital, kiedy postanowiliśmy pogadać szczerze, od serca, no i poplakaliśmy się nad piwem, jednym, drugim i trzecim. I Bolós, i Miquel dorobili się wtedy pamiętnego, totalnego, zawanego i zarzyganego kaca. Pijaństwo nad pijaństwami, wycie zdesperowanych serc, które jeszcze bardziej, o ile to możliwe, ich do siebie zbliżyło, ale nie uleczyło ze smutku. Od tego dnia Bolós i ja staliśmy się duchowymi braćmi, Júlio.

Kiedyś Miquel zastanawiał się, dlaczego Berta nie miała do niego pretensji o tamto zupełnie nierewolucyjne graffiti. Nieraz zbierałem się, żeby pójść dokończyć dzieło, ale ostatecznie zabrakło mi determinacji. Pomimo naszych hasel wypisywanych na ścianach policja robiła swoje. Barcelona w tamtych latach była miastem czarno-białym, melancholijnym, przygaszonym bezlitosną ręką dyktatora, miastem o smutnym spojrzeniu, mimo całego swojego uroku, niemożliwego do ukrycia. Biedna Barcelona, w której pierwszy lepszy policjant w stopniu kaprała miał więcej do powiedzenia niż kupiec z dziada pradziada z Passeig de Gràcia, odwracała się tyłem do morza, zupełnie nieświadoma swojej magii. Aż nadszedł dzień, gdy Miquel przestał widywać uśmiech Berty. Pytał o nią Bolósa i innych kolegów, wypytywał przedstawiciela ich roku w syndykacie, ale on też nic nie wiedział. Naprawdę zacząłem się martwić, dopiero kiedy zauważyłem, że nie podchodzi do



egzaminów. Przepadła bez śladu; nawet w pensjonacie, gdzie się zatrzymała, dowiedział się tylko, że wyjechała parę tygodni temu, nie mówiąc dokąd. I tak Miquel Marlowe Gensana nagle zorientował się, że znikła jego miłość. A Bolós, wielki specjalista od cudzych cierpień, powiedział mu stary, co ty pieprzysz, przecież kiedy ją widywałeś, nawet nie mogłeś jej dotknąć; nie rozumiesz, że to nie jest dziewczyna dla ciebie, że ona miała cię gdzieś? Nic mu nie odpowiedziałem, bo ciągle pamiętałem, jak mocno przytuliła się do mnie podczas jazdy skuterem, w trakcie samobójczej operacji malowania wywrotowych hasła, ukochana, nieobecna Berta, pani mojego serca.

Pod koniec roku akademickiego Uniwersytet Barceloński wrzał jak kocioł parowy, prawdziwy bastion antyfrankizmu naiwnego, ale szczerego. Władze nie wierzyły własnym oczom, że oto pokolenie wychowane przez drobnomieszczkańskich rodziców (którzy woleli siedzieć cicho i oportunistycznie uśmiechać się na życzenie) płynie pod prąd historii. Na początku drugiego roku Bolós i ja poznaliśmy Subiratsa. Berty ani widu, ani słyhu, chociaż zachowałem jej obraz w pamięci – w czerwonym płaszczyku, w kurtce, z książkami albo ze sprayem. Subirats, wysoki, dobrze zbudowany facet, otoczony aurą tajemniczości, który zniknął z sali wykładowej, gdy tylko zaczynały się zajęcia, zebrał sześciu czy siedmiu profanów, wśród których nie mogło zabraknąć Bolósa i mnie, i z bezgraniczną cierpliwością wprowadzał nas w istotę i tajniki najnowszej historii; byli tam i Marks, i Engels, Róża Luksemburg, Londyn, Niemcy, mienszewicy, bolszewicy, tezy kwietniowe, obiektywny regres tymczasowego rządu Kiereńskiego, rewolucja, Lenin, Trocki, Armia Czerwona, Stalin, Pałac Zimowy, a potem oglądaliśmy ze wzruszeniem zakazane filmy na szesnaście – *Październik*, *Iwan Groźny*, *Pancernik Potiomkin*, niczym luksusowy dodatek do rutynowej katechezy. Potem następował kolejny etap szkolenia: jakie są szanse na równość społeczną, czy lepsza jest partia mała i silna, zawodowa (teza leninowska), czy partia mas (teza socjaldemokratów), czy chrześcijanie mogą popierać socjalizm, kim są towarzysze podróży, czym jest Partia, na czym polega przodująca rola klasy robotniczej i centralizm demokratyczny (na tym etapie trzech z siedmiu uczniów już wstąpiło do PSUC<sup>[7]</sup>), wśród nich Miquel II Gensana Katechumen, i niczym pierwsi chrześcijanie obeszlą się bez ceremonii, był tylko uścisk dłoni odpowiedzialnego za ich komórkę, surowa uroczystość w katakumbach, święty Tarsycjusz, święta Pryscylla, święty Miquel Gensana, Komunista z Chrześcijańskim Rodowodem), surowa dyscyplina konspiracji, uwaga, nie ma żartów, to jest wojna. I dalej: komitety robotnicze, nieustanna gotowość do akcji, rewolucyjny zapal (teraz kolejnych dwóch prosi o przyjęcie do Partii), absolutna dyskrecja i bezwzględne przestrzeganie zasad bezpieczeństwa oraz nieokreślony lęk przed niebezpieczeństwem, przyczajony tu, w piersiach, niezbyt silny, ale stale obecny. Ból z powodu towarzyszy, którzy zawiedli. Cała ta specyficzna autokrytyka: co się stało, dlaczego do tego doszło, jak mogliśmy do tego dopuścić, dlaczego tego nie przewidzieliśmy... I zawsze okazywało się, że ty jesteś wszystkim winien, że działacz zawsze musi być czujny; to samo dobrze mi znane uczucie, które jezuita wbili mi do głowy zaraz po maturze, i już dojrzewała przyszła klientela psychiatrów, zgłoszą się do nich dziesięć czy piętnaście lat później. Przekonanie, że wszystko, co pochodzi ze Związku Radzieckiego, jest dobre, a my nie mieliśmy o tym pojęcia. Jankesi, go home. Pierwsza niedziela, kiedy umówiliśmy się z Bolósem, że żaden z nas nie pójdzie do

kościola, żeby sprawdzić, co się stanie, a następnego dnia obaj stwierdzili, że nie stało się nic złego, przeciwnie, coś bardzo dobrego: zyskiwałeś mnóstwo czasu. No i parę nocy później przeżyłem pierwszy incydent arytmii serca, i bardzo się wystraszyłem. To było w domu, w nocy. Babcia Amélia już dawno spała, a rodzice gdzieś wyszli; Pere i Przyszły Uciekinier coraz gorzej radził sobie z fabryką, ale jeszcze jakoś ciągnął z pomocą mojego kuzyna Ramona, z błogosławieństwem wujka Maurycego. Ramon, pochłonięty organizacją ślubu z Lali Bros, każdej nocy szybko zasypiał zmordowany. Odkąd pamiętam, zawsze zajmowałem oddzielną sypialnię, bo czego jak czego, ale pokoi w naszym domu nigdy nie brakowało, a mój był ogromny, aż do przesady. A jednak porzuciłem go, podążając za mrzonkami, Júlio.

Było ciemno; pogrążony w półśnie zmagając się z koszmarem, a w nim lęk przed policyjną pałką tamtego histerycznego, wściekłego policjanta, który ich zaatakował podczas południowej manifestacji, zlewał się z wyciem syren; ja i Bolós krzyczeliśmy, żeby zagłuszyć strach, bo na manifestację poszli tylko Bolós, Miquel i stu dziewięćdziesięciu ośmiu innych narwańców. (Odczuwanie lęku nie jest kontrrewolucyjne.) Desperacki gest, żeby rzucić się w pierwszą otwartą bramę, bo wiedziałem, że wpadnę w panikę, jeśli mnie złapią, zabiorą na komisariat na Via Laietana i będą mnie torturować; ach, wszystko, tylko nie to; Miquel nie był gotowy na ból fizyczny, ale w żadnym razie nie zgodziłby się zostać donosicielem, o nie; co to, to nie, nigdy w życiu. Takie rzeczy mu się śniły, natłok chaotycznych myśli, a na dodatek jeszcze jedno go martwiło: przez te ciągle protesty już od jakiegoś czasu nie miał ani chwili na naukę, nie zaglądał do biblioteki, nie chodził na zajęcia, moja przyszłość jako historyka (ciekawe, co włożysz do garnka, historyku; nie wstyd ci, że obca osoba, twój kuzyn, przejmie fabrykę?) stanęła pod znakiem zapytania. Zresztą nie byłem pewien, czy pod znakiem zapytania stała przyszłość historyka czy filologa, filologa specjalizującego się w teorii literatury, geografą czy arabisty, jeśli miałbym się kierować entuzjazmem, jaki wzbudzały we mnie kolejne przedmioty w tych niespokojnych latach, entuzjazmem, który jeszcze bardziej komplikował to, co samo w sobie było dla mnie skomplikowane, czyli podejmowanie decyzji. I wtedy wyrwał mnie ze snu dźwięk bębna, odległy, bliski, nieregularny. Obudziliśmy się w ciemności, spocony, a skórą bębna okazała się moja klatka piersiowa, z której dochodziło coś w rodzaju tik-tak-tok-bum-bum. Spanikowałem i z braku lepszych pomysłów poszedłem zaalarmować Ramona, który nocował u nas w dni robocze, ej, Ramon. Spał jak zabity. (Ten sam Ramon, który zaliczył staż z dobrym wynikiem, pomagał mojemu ojcu, czyli swojemu wujowi, spotykał się z Lali Bros i właśnie miał się z nią żenić, a w niedziele chodził na mecze, i z tych wszystkich względów było mało prawdopodobne, żeby szybko dał się zbudzić.)

– Co ci jest?

– Nie wiem – odpowiedział Miquel, przestraszony. – Dotknij tu.

Położył jego rękę na swojej piersi. Ramon zabrał ją natychmiast, jakby poraził go prąd. Przetarł oczy i znów położył mi rękę na piersiach.

– Cholera, co to ma być?

– Nie wiem.

- Kurwa, idę po twoich rodziców.
- Nie ma ich. - Tik-tak-tok-bum-bum.
- Babcia. Wujek.
- Umrą ze strachu. Przejdzie mi.

- Ja pierdolę! Co to do kurwy nędzy może być?

Ramon legitymował się nieskazitelnym życiorysem, ale miał niewyparzony język, co doprowadzało do rozpaczki jego matkę, która umierała ze wstydu, kiedy rzucał mięsem w obecności Lali Bros. Znowu przetaił oczy i zaczął filozofować:

- Jasna cholera, no to zajebicie, kurwa mać. To znaczy... Mogę zobaczyć? - Teraz przechodził do akcji i znowu kładł mi rękę na piersi. - A ty jak się czujesz?

- Chujowo. Poza tym w porządku.

- Ja też.

- Też w porządku?

- Też chujowo.

Wspaniały lekarz, który uspokaja pacjenta. (Spokojnie, proszę pana: dziewięciu na dziesięciu pacjentów nie przeżywa operacji, ale może akurat pan będzie miał szczęście, człowieku, nie ma co narzekać; jedyny problem, że drżą mi ręce.) Serce dołożyło jeszcze tuk między tik i tak. Minęło parę minut i Ramon znowu się odezwał.

- To może być arytmia, co?

- Bingo.

- To z nerwów. Na pewno. Gdyby było inaczej, już byś leżał w trumnie.

(Jeśli nie podamy panu sterydów, umrze pan, zanim dojedziemy do sali operacyjnej. Co? i tak spokojnie pan to mówi? O nie, jak mam być spokojny, kiedy mi pan psuje statystykę.)

Konsylium lekarskie zdecydowało na razie nic nikomu nie mówić, nawet wujkowi, który mieszkał na drugim piętrze, tam gdzie służba, w pokoju tak dużym jak inne, ale o wiele staranniej urządzonej. Doktor Ramon Giró pomógł swojemu kuzynowi, doktorowi Miquelowi, położyć się do łóżka, z wysoce profesjonalnymi zaleceniami: stary, odpoczywaj, połącz się wygodnie, rozluźnij się, na pewno ci przejdzie. A następnie wygłosił naukową diagnozę: dałbym sobie uciąć jaja, że to nerwy. Ramon usiadł na drewnianym krześle, tym rzeźbionym w kwiaty, na którym usiadła ciotka Carlota, żeby umrzeć na oczach męża, na którym babka Amèlia czuwała podczas powolnej agonii ciotki Elionor; dlaczego życiu musi zawsze towarzyszyć ból?

Znowu pogrążony w ciemnościach, Miquel nadal czuł nierówny rytm serca i nie potrafił się zrelaksować. Po chwili usłyszał no jak, stary, jak się czujesz? i aż podskoczył.

- Dobrze. Bez zmian. - Bum-bum, tik-tak-tuk.

- Ejże, rozluźnij się, stary. Spokojnie, wszystko pod kontrolą.

Pięć minut później usłyszałem ciche chrapanie kuzyna i zrobiło mi się smutno, że będę umierał sam. Pozazdrościłem Ramonowi jego spokoju, lecz zastanówmy się: kto mi kazał rzucać się na łeb na szyję w polityczną walkę? Dlaczego nie żyłem jak wszyscy? (Jeśli nie ma

czujnej awangardy, masy nie reagują.) Dlaczego dwa lata temu już prawie byłem zdecydowany nawracać Senegalczyków, a teraz nawracam burżujów? Kto mi kazał szukać guza? Serce nie przestawało protestować. Przeszło mi przez myśl, że na pewno nie dożyję jutra, i pożegnałem się ze sobą z żalem. Dyżurny doktor Ramon Giró pochrapywał w jednostajnym rytmie, ze spokojnym sumieniem.

Miquel Gensana przeżył arytmie. A właściwie nie tyle przeżył, co się przyzwyczaił, bo od tamtego czasu stała się jedną z jego częstych przypadłości. A życie toczyło się dalej, walka też, było nas o wiele więcej, niżby sobie życzyli i chcieli przyznać tamci, i już niewiele brakowało do maja sześćdziesiątego ósmego. Ramon się ożenił, w asyście obu zadowolonych rodzin, z wyjątkiem sceptycznego Miquela, który z daleka, nie chcąc się angażować, patrzył z pewnym politowaniem na te dekadentkie obyczaje, powtarzane siłą inercji, a jak przyszła pora na kieliszek szampana, zrobił ideologiczne pranie mózgu którejś kuzynce z dalszej rodziny (jak ona miała na imię?), ładnej i sympatycznej. Dowiedziała się, że aby stworzyć nowe społeczeństwo, musimy się pozbyć starych nawyków. To ta sama kuzynka (imienia nie pamiętam), którą dwa lata wcześniej, na chrzcinach jej braciszka, przekonywałem o doniosłości akcji misyjnych. Musi mnie nienawidzić.

Na początku lat siedemdziesiątych w państwie hiszpańskim bez żadnej konkretnej przyczyny statystyki nagle zaczęły wykazywać rosnącą lawinowo liczbę epileptyków wśród populacji męskiej w wieku od dziewiętnastu do dwudziestu trzech lat. Służba zdrowia rozważała możliwość ogłoszenia epidemii. A przyczyna była prozaiczna: mnóstwo młodych chłopców, którzy otrzymali powołanie, przedstawiało niepodważalne zaświadczenie lekarskie wystawione w Szpitalu Wojskowym, gdzie zgłaszali się po kilku nieprzespanych nocach, po paru łykach wódki przeszmuglowanej w butelce po wodzie kolońskiej. Pomijając skutki uboczne – pierwsze zadatki przyszłej marskości wątroby, wielu chłopaków dzięki życzliwości opozycyjnych lekarzy dostało zaświadczenie o niezdolności do służby Ojczyźnie, uniknęło wojska i zaczęło się przygotowywać do służenia krajowi, jeśli trzeba, również zbrojnie. Miquel, Bolós, Xandri, August Marull... Żaden z towarzyszy Miquela nie służył w armii; większość z powodu epilepsji, która ich wykluczała; inni z powodu rwy kulszowej albo przez trudności z trzymaniem moczu, a niewielka grupa, całkiem legalnie, z powodu platformy lub mglistej wizji świata, na co również mógłby się powołać Miquel, Metafizyczny Krótkowidz, i w ten sposób mógłby sobie oszczędzić jednego wódczanego delirium. A może w tamtych czasach jeszcze widziałem wyraźnie kontury rzeczy.

Podobnie jak inni, wystąpiłem z PSUC, żeby skrócić jeszcze bardziej w lewo. Wypisali się obaj tego samego dnia, on i Bolós, i czuli się tak samo nieswojo jak w pierwszą niedzielę, kiedy nie poszli na mszę, ale w zamian uzyskali paszport do niczym nieograniczonych marzeń, imagination au pouvoir, zbuntowana ulica, oczy płonące nadzieją. Miquel Gensana, latorośl wyrastająca ze starego pnia, którego korzenie sięgały w głąb wieków, przeżywał, ramię w ramię z Bolósem i z książką Julii Kristevy pod pachą, nie wiedząc, do czego to może doprowadzić, niewiarygodną dywersyfikację odłamów partyjnych, które z powodów taktycznych czy strategicznych określały się jako trockistowskie, stalinowskie, leninowskie czy maoistyczne; przeżył bolesne zerwanie z dawnymi towarzyszami, bo ci wybrali inne opcje. A i tak obaj na szczęście mieli podobne poglądy, a to utwierdziło ich w przekonaniu, że

nie błędą. Miquelowi nie mieściło się w głowie, że droga jego i droga Bolósa kiedyś mogłyby się rozjeść. O święta naiwności. Ta ideologiczna dywersyfikacja, której sprzyjał radykalizm celów, sprawiła, że odłam, który wybrali, który ich wybrał, musiał działać w pełnej konspiracji. Przenosząc się z jednego konspiracyjnego lokalu w Barcelonie do drugiego, całymi miesiącami młodzi rewolucyoniści podzieleni na komórki zużywali całą energię, poddając się przyspieszonej indoktrynacji (intensywnej katechizacji) w zakresie podstawowych prawd wiary w wersji trockistowskiej, maoistowskiej lub stalinowskiej, żeby osiągnąć odpowiednią nieugiętość duszy. To naprawdę frustrujące doświadczenie, Júlio, kiedy jedna i ta sama osoba, ja i Bolós, bliźniacze dusze, muszą przejść trzy kolejne procesy duchowej nieugiętości – najpierw z zakonnikami, potem z Partią, a teraz znów z Partią. A każdy nowy krok miał w sobie coś z apostazji, ponieważ wszystko było epifanią; na horyzoncie zablżyła kolejna jutrzienka i człowiek widział Nową Drogę, Nową Prawdę, Nowe Życie i dziękował Bogu lub Historii, że należy do wąskiego grona wybranych. A na twarzy pojawiła im się nowa zmarszczka, jak u wszystkich, którzy uważają, że posiadli Prawdę, tout court. Jakież to było emocjonujące – Miquel i Bolós zostali przyjęci do Partii w ogniu walki. Decyzją Komitetu Centralnego zostałem nazwany Simónem. Ksiądz Mossèn Roca już mnie ochrzcił dziewiętnaście lat temu imionami Miquel, Pere, Jaume i Benet, z rodowodem Gensana, Giró, Eroles, Sort, Prim, Gispert, Bardagí, Maldonado, Portabella, Tersol i Caimamí. Teraz chrzest się powtórzył, a ja stałem się bogatszy o nowe imię: Simó. Simó, ego te baptizo in nomine sodalium, et caellulae et centralismi democratici, amen. Och, ale by się ucieszył ojciec Bernades, gdyby w tej przemianie Miquela w Simóna rozpoznał żywy obraz jednej z dwóch Wielkich Zmian Imienia w Nowym Testamencie. I Simó powstał z ziemi, i mimo że oczy miał otwarte, pozostawał niewidomy. Prowadzony za rękę wszedł do Damaszku. Przez trzy dni nie widział, nie jadł ani nie pił. Aż wreszcie został zaakceptowany jako jeden z wielu, po prostu towarzysysz Simó. Miquel nie zdawał sobie sprawy, że dla niego najważniejsze było mieć jakiś cel. Należać do jakiejś wspólnoty. Dzień chrztu (Simó, szeregowy działacz czwartej komórki Centralnego Dystryktu) usankcjonował mój status bojownika o wolność, obrońcy pierwszych chrześcijan z Antiochii i Efezu przeciw dyktaturze frankistowskiej, zaangażowanego aktywisty, oddanego Partii, i rozpoczął się w moim życiu okres prawdziwej konspiracji, u boku Franklina, czyli Bolósa, następnego podeksycytowanego neofity, który przeżył tę samą cudowną przemianę.

Wróciłem do domu jak co dzień, może tylko trochę wcześniej. Spakowałem ubranie i wrzuciłem do torby parę książek – Brecht i Jewtuszenko; Borges i Josep Pla zostali, bo nie nadążali za duchem czasu. Następnie z całą bezwzględnością dziewiętnastolatka poszedłem pocałować na pożegnanie matkę siedzącą dokładnie tam, gdzie teraz jest stolik numer dziewięć, pod abażurem, z okularami na czubku nosa, skupioną na cerowaniu skarpetek, odgradzającą się od świata barierą muzyki z przyciszonego radia, które zawsze dotrzymywało jej towarzystwa.

- Wyjeżdżam, mamó.
- Teraz? Ale wrócisz na kolację?
- Nie, mamó.
- Dokąd się wybierasz?

– Wyjeżdżam.

– Tak, słyszałam. Ale dokąd?

Matka podniosła głowę znad robotki (akurat cerowała moją skarpetkę), zaniepokojona dziwnym tonem głosu Miquela.

– Po co ci ta torba? Co się dzieje, synu?

– Mamo, odchodzę z domu.

– Ależ...

– Nie martw się, wszystko jest w porządku.

– Co to ma znaczyć, że wszystko jest w porządku?

Kiedy odłożyła robotkę, z koszyczka wypadło szklane jajko do cerowania i wesoło potoczyło się po podłodze. Miquel się pochylił, żeby je podnieść i odłożyć na miejsce. Jeszcze teraz, dwadzieścia pięć lat i wiele litrów whisky później, pamiętam brzęk upadającego jajka, Júlio. Nie dodałem, że jajko zatrzymało się dokładnie tam, gdzie teraz stopy kelnera profanowały jego wspomnienie, a Júlia z grymasem przypominającym uśmiech milczała zasłuchana, nie zwracając uwagi na to, co miała na talerzu.

– No, Miquel, słucham?

– Mamo, odchodzę z domu. – I z dumą dodałem: – Ze względów bezpieczeństwa.

– Bezpieczeństwa? – Matka (biedna matka, nie rozumiała nic z mojego życia, od kiedy przestałem być dzieckiem) zdjęła okulary. – Ktoś ci groził?

– Na razie nikt. Ale nie chcę – teraz Miquel poczuł się jak bohater – żeby wam stała się jakaś krzywda z mojego powodu. Nie martw się.

Doña Maria Giró, po mężu Gensana, moja ukochana matka, mam wrażenie, że przeżyła kulminacyjne momenty naszego życia odsunięta na margines. Wstała zaalarmowana i chwyciła syna za ramiona: to, czego się obawiały wszystkie matki w tamtych czasach, właśnie się dokonało.

– Synu, wmieszałeś się do polityki?

– Lepiej, żebyś nie wiedziała. (Prawie jak Bogart.)

– Przecież ojciec cię ostrzegał. Dokąd się wybierasz?

– Mamo, nie mogę ci powiedzieć. Co jakiś czas będę ci wysyłał wiadomość. Naprawdę, nie przejmuj się. – Pocałowałem ją w czoło.

– A ojciec o tym wie? – Ostatnia nadzieja, lzy w oczach.

– Co do ojca... On nie chce mnie zrozumieć. – Niefrasobliwie wszystko zbagatelizowałem.

– Mamo, sama mu to wyjaśnij. A babci możesz powiedzieć, że podróżuję.

– To musi być teraz? Nie możesz poczekać, wszystko przemyśleć?

Miquel podniósł torbę podróżną. Cześć, mamo, nie przejmuj się, nie ma powodu. I zniknął w ciemnym korytarzu. Zostawił krótką wiadomość dla wujka na biurku (Hej, wujku, wrócę tu w lepszych czasach) i dla Ramona (Stary, dbaj o moich rodziców, uspokój ich, to nic takiego), zamknął za sobą oszklone drzwi, jeszcze wtedy nieoklejone reklamami kart kredytowych, i zbiegł po schodkach domu Gensana, spiesząc na spotkanie z marzeniami. Nie przyszło mu

do głowy, żeby się obejrzeć i pożegnać wzrokiem drzewko truskawkowe oraz swoją przeszłość.

A teraz stałem przed tymi samymi drzwiami, którymi uciekłem po raz pierwszy, nie oglądając się za siebie, a maître nie mógł się nadziwić niewydarzonemu klientowi, którego bez przerwy nosiło w te i we wte, jakby nie mógł usiedzieć na tyłku pięciu minut, a przed nosem miałem te niestosowne reklamy kart kredytowych. Bo kiedy poruszyłem temat uciezki, poczułem nagły przypływ miłości do truskawkowego drzewka, powiedziałem wybaczyć, Júlio, i znów wstałem, wyszedłem na zewnątrz i odniosłem wrażenie, że drzewka wcale nie gnębiły wyrzuty sumienia. Podszedłem bliżej, żeby w szumie liści usłyszeć sekrety wujka. Ale słychać było tylko świerszcze, a z oddali dobiegał obojętny szum samochodów zmierzających do Feixes. Westchnąłem z żalu za utraconą bezpowrotnie pasją życia, jaką się cieszył Miquel Che Gensana. Nie miałem szans, żeby ją jeszcze kiedykolwiek odzyskać, między innymi dlatego, że straciłem niewinność i według wujka Maurycego, co najwyżej mogłem się zdobyć na odgrywanie żalostnej roli Miquela Marcina Ludzkiego Gensany. Jasne: było mi przykro. Użalałem się sam nad sobą.

– A mnie jest jeszcze bardziej przykro, bo rodzice mnie odumarli i straciłem moje siostry... przyrodnie siostry. Żal mi tych wszystkich Miquelów, którzy odeszli. A co do twojego ojca... – Wujek Maurycy miał niewyraźną minę. Wziął głęboki wdech i pozwolił, by uleciały w powietrze słowa tak piękne jak jego figurki z papieru. – Zostawił po sobie tylko smutek, nic więcej. – Drżącą chusteczką otarł z czoła nieistniejący pot. – Co tam dom, to tylko kamienie, mała strata. – Uśmiechnął się do Miquela, odłożył wystrzępioną palemkę na szafkę i wziął do ręki następną papierową wycinankę. – Podoba ci się ten lew abisyński?

– Bardzo. Kiedyś musisz mnie nauczyć, jak się to robi. – Miquel podziwiał wujka, który potrafił wyczarować z papieru takie cuda mimo drżenia rąk.

– Zawsze mi to mówisz. A co sądzisz o tej tancerce? – zapytał z błyskiem w oku. Najwyraźniej chciał zmienić temat. – Zainspirował mnie obraz Degasa w Jeu de Paume. Byłem tam kiedyś z twoim ojcem.

– Wujku, przywiozłem ci więcej papieru.

– To było w latach dwudziestych. Dziękuję, synu, bo tu źle patrz na moje zamilowanie do origami. Zwłaszcza Samanta.

– Kim jest ta słynna Samanta? Jeszcze nie miałem okazji jej poznać.

– To sierżant naszego piętra.

– Blondynka?

– Blondynka. Z dużym biustem, ale... Wiesz, że mi przypomina królika Tomàsa?



I zaczął opowiadać o podróży do Paryża dwóch samotnych, młodych mężczyzn, którzy wyruszyli na podbój świata. Nie wnikał w szczegóły nocnego życia Paryża (akurat zebrało mu się na pruderię, tak mi się przynajmniej wydawało, zanim poznałem całą jego prawdziwą historię) i przeskakując z tematu na temat, doszedł do dnia, w którym przybył do domu Gensana jako prawowity członek rodziny, jeszcze przed przebudową domu, tuż przed wojną – pierwszą wojną światową, której wtedy nie nazywaliśmy pierwszą, bo nawet nam przez myśl nie przeszło, że może być następną, druga wojna. Na tamtej wojnie dziadek Ton (Anton III Gensana Fabrykant, zwany też Skurwysynem) dorobił się niesamowitej gotówki, o co nie mam do niego pretensji, bo wiem, jak ciężko pracował, żeby do czegoś w życiu dojść, zresztą nie wypada zaczynać od krytykowania Tona, mojego papy, bo on i mama Amèlia zaopiekowali się mną w nieszczęściu; są moimi rodzicami, Miquelu. Ale też nie mogę go przestać nienawidzić, bo to on mnie zniszczył.

– Powiedz, czym ci się tak naraził dziadek Ton.

Ściany sanatorium zamilkły, nastawiając uszu na zwierzenia wujka Maurycego. Ale on tylko przelknął ślinę, aż na fali wdychanego powietrza wróciły wspomnienia i dalej ciągnął opowieść, ignorując moje pytanie. Otóż wtedy dziadkowi Tonowi przydarzyło się bardzo poważne zmartwienie – zarabiał tak dużo pieniędzy, że musiał je na coś wydać. Ja już byłem na świecie, ale jeszcze mieszkałem z rodzicami, w ich domu; szczęśliwe dziecko przekonane, że życie jest równie proste jak oddychanie; moje wspomnienia o rodzicach są tak mgliste, że czasami się zastanawiam, czy ich sobie nie wymyśliłem albo nie wypożyczyłem z jakiejś bajki.

W każdym razie pan Anton III Gensana Fabrykant, który Pieniędzmi mógł sobie Tapetować Ściany, twój dziadek i przybrany ojciec wybitnego origamisty Maurycego bez Ziemi, wpadł na pomysł, by o projekcie przebudowy porozmawiać z architektem Muncunillem. Ten dobry artysta i zręczny rzemieślnik, taki trochę wizjoner, owładnięty obsesją na punkcie Kartagińczyka Gawdee'e'go, właśnie przeżywał klęskę urodzaju w Feixes, bo miasto gwałtownie się rozbudowywało. Prowadzili na ten temat długie dysputy przy swojej ulubionej zakrapianej kawie w zapuszczonym ogrodzie posiadłości Gensana, która wtedy jeszcze nie była moim domem. Pomysł polegał na tym, by zrezygnować z kaplicy, powiększyć piętro i dzięki przesunięciu ścianek działowych nadać całości bardziej praktyczny charakter. A jeśli trzeba będzie rozbudować parter, to też miejsca nie zabraknie. Miał dużo pomysłów Antoni Gensana, a architektowi Muncunillowi wystarczyło rzucić iskrę, żeby rozpalic płomień wyobraźni. Poznałeś go, Miquel? Taki facet z wąsikami i uszami jak liście winorośli. Był młodszym bratem ojca Muncunilla, autora książki *De Verbi Divini Incarnatione*, pamiętasz? Nie wiedziałem, o kim mowa, a wujek, ależ tak, dziadek Maur miał dzieła zebrane ojca Muncunilla i czytał nam fragmenty, żebyśmy docenili delikatne brzmienie łacińskiego słownictwa, zapomniałeś? Po prostu w tym momencie wujek Mauryce pomylił mnie z moim ojcem. Wtedy przyszło mi do głowy, że choć nazywał mnie Miquelem, jednak zawsze uważał mnie za coś w rodzaju kontynuacji jego ukochanego (albo znienawidzonego...) Perego.

Tak jak ci mówiłem, Miquel – teraz było jasne, że znów jestem Miquelem – twój dziadek Ton w tej sprawie starł się frontalnie ze swoim ojcem, który nie przyjmował do wiadomości,

że mógłby się zmienić wergiliański pejzaż opiewany przez niego w słynnych strofach nieuchronnej poezji:

*Sosna nabrzmiała zapachem,  
wezbrany pragnieniem strumień,  
dom rodzinny w miodu łunie,  
pod nieba czerwonym dachem.*

– Ty nigdy nie byłeś przekonany do poezji pradziadka Maura.

– Uważasz, że mógłbym się przekonać do poety, który używa takich słów jak nieuchronny? – Niezadowolony grzebał w pudełku z origami, mieszając abisyńskie lwy z miniaturowymi słoniami i wielkimi ptaszyskami. – Ale w sumie nic do niego nie mam. Był jedną z moich ofiar.

Dlatego kiedy syn spytał go o zdanie i poprosił o zgodę na zburzenie części domu, żeby stworzyć rezydencję jak Bóg przykazał, a stan konta pozwalał, poeta stawiał zdecydowany opór, szermując niepodważalnym argumentem swoich trzystu dwudziestu jeden wierszy, zainspirowanych rodzinnym gniazdem. Antoni przezornie zachował dla siebie opinię o wierszach ojca i energicznie przystąpił do negocjacji. Ustępował w wielu kwestiach i zmieniał plany, ku przerażeniu Muncunilla, który tylko kręcił głową, widząc, jak obracają się wniwecz jego najlepsze pomysły. Na koniec, żeby przekonać upartego poetę, ustąpił w czterech czy pięciu kwestiach, tak żeby były do przyjęcia dla wszystkich, i zgodził się, aby dziadkowie mieli pokój od frontu. Na fali euforii coraz bardziej prawdopodobnego zwycięstwa don Antoni Gensana wygłosił zaimprovizowaną mowę: czego więcej mógłbym pragnąć, ja, jak na razie ostatni potomek rodu Gensana, niż powiązania naszej rodziny, już wcześniej kojarzonej z muzyką dzięki naszemu prapradziadowi Sortsowi, naszego nazwiska, wyniesionego obecnie na wyżyny dzięki sztuce pięknego rymowania (serdeczny gest w kierunku ojca), z wybitną sztuką Lluísa Muncunilla, mistrza kamienia, formy i przestrzeni? Pozwolę sobie przypomnieć, że nazwisko Mancunill z nie-u-chron-nych powodów rodzinnych kojarzy się z kochanym księdzem Joanem, autorem *De vera religione*, któregośmy zawsze poważali w tym domu. Mógł od tego zacząć, bo dziadek Maur nie potrzebował innych argumentów, mimo nieufności, jaką w nim budzili młodzi architekci. Było oczywiste, że don Maur ustąpi wobec słów płynących prosto z serca, on, który przez całe życie zręcznie się uchylał od jakiegokolwiek pracy i zawsze żył z głową w obłokach, a natchnienie do pięknych, ulotnych aleksandrynów czerpał chyba z księżyca.

– Kaplicy nawet nie tkniemy. I założymy centralne ogrzewanie w całym domu. Ja za wszystko płacę.

– Tylko bez metafor, proszę.

– Co?

– Wiesz, skąd pochodzą twoje pieniądze?

– Z fabryki.

– A ty swoje! Czyja jest ta fabryka?

– Twoja. Ale ja nią zarządzam. No więc, pieniądze...

– Pusta retoryka. Ja i tylko ja sypnąłem groszem na remont. To znaczy rodzina, z moich pieniędzy.

– Zgoda, rodzina. Z twoich pieniędzy.

To była wisienka na torcie negocjacji. Zebrani zachowali nabożną ciszę, a tymczasem poeta się wahał.

– Zastanowię się – oświadczył, żeby mieć ostatnie słowo. Ale wszyscy pijący kawę przy stoliku zdawali sobie sprawę, że ta zwłoka to tylko retoryczna pauza. I faktycznie, dwa dni później dziadek Maur zakomunikował synowi radosną nowinę, że udziela zgody na remont, jeżeli ktokolwiek mu zagwarantuje, że nie zostanie wycięte ani jedno drzewo z ogrodu, który był dla niego szczęśliwym, poetyckim natchnieniem.

– Zgoda. Muncunill, do dzieła.

Architekt rozmówił się z kierownikiem budowy: musieli działać szybko, bo państwo zyczyli sobie, by dom nie pozostawał wywrócony do góry nogami nazbyt długo. W tych miesiącach Amèlia była w ciąży z Elviretą. Biedna Amèlia, która tylko co została przybraną matką (to ja, Maurycy bez Ziemi, byłem jej przybrany synem, a jej spódnicy czepiali się jeszcze Pere i Elionor), przeżyła szczęśliwie Wojnę Imion, a teraz musiała się przeprowadzić do mieszkania w Feixes na czas remontu, który wbrew temu, co się mówiło, nie był przeróbką starego, lecz budową nowego domu. Po starym została tylko kaplica od strony ogrodu. Co za zamieszanie, ta przeprowadzka do wynajętego mieszkania, człowiek nie wie, w którym kufrze szukać płóciennych koszul.

Uroczysta inauguracja domu po przebudowie odbyła się trzydziestego kwietnia, nie pamiętam roku, wiem tylko, że podczas pierwszej wojny, i okazała się taka wystawna, że przetrwała w pamięci wielu ludzi z Feixes z powodu przepychu. Kiedy już otworzył drzwi (wtedy jeszcze bez naklejki z logo kart kredytowych) przed zachwyconą małżonką, babcią Amèlią, kiedy ją zapytał podoba ci się? i usłyszał w odpowiedzi tak, bardzo, Ton... To... To jest... Dom jest jak nowy. Wydałeś sporo grosza, Ton, a on jej odpowiedział mamy, to wydajemy. Na jedną noc dziadek Ton otworzył bramy nowej rezydencji przed mieszkańcami Feixes i cała społeczność przybyła zaciekawiona, gotowa krytykować mankamenty i zaspokoić ciekawość w kwestii ogrodu, o którym opowiadano cuda, i zewnętrzne wystroju domu, podobno jakiś dziwaczny, bajkowy. Mimo że upały jeszcze się nie rozpoczęły, Antoni III Gensana Mecenas umieścił orkiestrę na zewnątrz, obok stawu. Na damach z Feixes największe wrażenie zrobiła para dumnych ląbędzy; podchodziły do stawu, żeby im się przyjrzeć z bliska. W zaciszu eukaliptusowej alei pewna niezdecydowana para przypieczętowała swoje narzeczeństwo przy wtórze muzyki Bizeta czy Berlioza rozbrzmiewającej w tle. W pobliżu cyprysowego gaju pewien przemysłowiec (Rigau Comamala, kuzyn państwa Rigau, mieszkających przy Fondo) zniechęcił swojego konkurenta, Gensanę, tak serdecznie, że mało go żółć nie załała. Tak więc przyjęcie przebiegało w atmosferze harmonii i spokoju.

Kiedy wyszedł ostatni gość, rodzina odetchnęła z ulgą, gotowa do zagospodarowania

przebudowanego domu. Rodzina składała się wtedy z don Antoniego III Bogacza i młodziutkiej mamy Amèlii (Amèlia I, caryca Feixes), ponadto z biednego Maurycego Smutnego, który już zaczynał się uśmiechać i czuć się jak u siebie w domu, choć ciągle nie mogłem się nadziwić, czemu ojciec i matka nie wracają ze swojej długiej podróży do nieba; a ponadto z trójki dzieci zrodzonych z małżeństwa gospodarzy: Perego, Elionor i Elviry, wtedy półrocznej, która całe przyjęcie przyjemnie spędziła w południowym skrzydle posiadłości, w towarzystwie niani. I dziadków: babci Pilar, skrywającej w spojrzeniu jakieś tajemnice, kiedyś ci o nich opowiem, milczącej ze wzruszenia, głównie dlatego, że okna jej nowego pokoju wychodziły na najpiękniejszą część ogrodu, i dziadka Maura II Wybitnego, który znęcał się nad każdym nieostrożnym słuchaczem, jaki mu się nadarzył, pokazując, niczym stacje drogi krzyżowej, konkretne miejsca, które go zainspirowały do napisania takiego czy innego wiersza. I z pięciu osób należących do służby. Rodzina Gensanów zadowolona, szczęśliwa, u progu pierwszego lata pełnego nadziei nie wiedziała, że za parę lat czeka ją pierwsza zima nieszczęścia.

Czwórka dzieci, razem z twoją ciotką Elvirą, beniaminkiem, która dołączyła do reszty, jak tylko nauczyła się chodzić, szybko pokochała nowy dom i ogród. Dom pełen tajemnic obudził w nas instynkt odkrywców. Uwielbiali penetrować pod moim dowództwem, bo ja byłem najstarszy, takie niezwykle miejsca jak kuchnia, albo schodzić, trzymając się wąskiej żelaznej poręczy do królestwa Rosy, gdzie w dużych kadziach gotowała się brudna bielizna, płukana w basenach tak niezmiernych jak morze, którego jeszcze nie znali, i zagłądali na niewielkie patio, gdzie rozwieszano pranie. Za białymi drzwiami była prasownia, a w niej regały i półki na wyprasowane sztuki bielizny, które później Gracieta albo Maria układały w szafach. Dzieciarnia zwykle się bawiła w pokoju na pierwszym piętrze, czasem pod opieką Marii, która przyłączała się do naszej zabawy. Niekiedy pozwalano nam zejść do salonu na parterze, gdzie stały pianola i fotel ojca, zawsze pusty, bo on wiecznie przesiadywał w fabryce, i tylko dziadków można było tam zastać; babcia Pilar usadowiona na sofie robiła na drutach i myślała o swoich sprawach, a miała o czym, kiedyś ci opowiem, a dziadek Maur albo chodził w tę i z powrotem, albo siedział w bibliotece przy biurku czy przy fortepianie i krytykował niemilosiernie wiersze jakiegoś Lópeza-Picó, że są nijakie, i odgrażał się, że w bliżej nieokreślonej przyszłości sam sięgnie po pióro, a wtedy znów gromko zabrzmiał jego pieśń! I było pięknie, bo twoja babka zapewniała mnie, że choć podróż się przeciąga, na pewno kiedyś znów zobaczę moich rodziców. (W tym momencie Miquel przełykał ślinę, bo jak się widzi, że mgłą zachodzący czy siedemdziesięcioletniemu mężczyźnie, gdy mówi o swoich rodzicach, to trudno się nie wzruszyć.) Pere i ja zajmowaliśmy jeden pokój; Elvira i Elionor drugi, ten, który z czasem przejdzie na własność Miquela II Gensany Niezdecydowanego.

– Dlaczego mnie tak nazywasz?

– Bo brak ci pewności siebie. Bo nic ci się nie wydaje pewne.

– Skąd to możesz wiedzieć, wujku?

– Widzę, jak gestykulujesz. I ciągle się z czegoś tłumaczysz. – Znów otarł z czoła nieistniejący pot. – Dlaczego czasami nie odpuszczisz? – Wujek Maurycy miał siedemdziesiąt

pięć lat, kiedy to mówił, a ja wtedy ponownie uciekłem z domu, ze świadomością trzydziestotrzyletniego mężczyzny.

Po paru sekundach wahania wujek na nowo podjął swoją opowieść. Teraz opisywał królestwo tajemnic na drugim piętrze, gdzie Lluïsa, Cinta, Angeleta, Rosa, Maria i jeszcze jedna Maria miały swoje sypialnie, swoje rzeczy, swoje sekrety. A kiedy była odpowiednia pogoda, za zgodą dorosłych, dzieci mogły wyjść do ogrodu, który się ciągnął bez końca, zawsze pod czyjąś opieką, a tam poznawały różnorodność drzew, wybrukowane drogi, żywopłoty z pachnącego bukszpanu czy cyprysów, klomby róż czy staw z łabędziami, wiecznie wyginającymi szyje jak milczący znak zapytania, królującymi na zielonym lustrze wody i patrzącymi na dzieciarnię z dumną obojętnością, zanim zanurzyły głowę w poszukiwaniu jakiejś niespodzianki. (Miquel uświadomił sobie, że nigdy nie widział łabędzi na stawie: nieomylny znak stopniowej degradacji domu.) Kiedy Maria na chwilę spuszczała nas z oczu, rzucałem kamieniem, próbując trafić łabędzia. Jakie piękne było życie, Pere, Miquelu. A Pere, który mnie we wszystkim naśladował, też rzucał kamieniem, ale wtedy, kiedy Maria na nas patrzyła, to jemu się dostawało. Aż w końcu całą tę błogość zmroził grymas śmierci.

Nikt nie mógł przewidzieć, że pierwszy ksiądz wejdzie do domu po przebudowie po to, żeby odmówić modlitwę za zmarłych. Nawet dziadkowi Maurowi, który uwielbiał rozkoszować się makabreską śmierci:

*Zawzięta i nieugięta, Dama z kosą,  
biały kościotrup w czarnym całunie, nocą  
wchodzi po kryjomu do pokoju łóż,  
by zerwać z bladego ciała lodowy bez*

zwłaszcza w wierszach *Popołudnie* i *Wieczór*, nie przyszłoby to do głowy. Babcia Pilar była przekonana, że Bóg ją ukarał za jej sekret; nie wiem, Miquelu, czy kiedyś zbiorę się na odwagę, by ci o nim opowiedzieć.

Wyobraź sobie, że z dziecka, które cieszyło się dobrym zdrowiem, została tylko skóra i kości, kiedy padło ofiarą tej przekłętej gorączki. I zmarło. To była zima. Śnieg nie padał, ale wszystkie dzieciaki miały zziębnięte dłonie, bo ogrzewanie w tamtych czasach było mało skuteczne. Śmierć, jak zawsze niesprawiedliwa, zabrała Elionor, moją nową siostrę, i wszyscy płakaliśmy gorzkimi łzami, poza Elvirą, ona niewiele jeszcze rozumiała. Wtedy szanowałem mojego przybranego ojca, który nosił od tej pory w duszy gorycz i nie miał odwagi poruszać tego tematu z żoną, żeby nie pogłębiać jej rozpacz. A później go znienawidziłem, Miquelu. Babcia Amèlia, zanim jeszcze została babcią, dzielnie wszystko znosiła, płakała niewiele, zdecydowanie za mało płakała; szukała pociechy w dzieciach pozostałych przy życiu i w Maurycym; czasem myślałem, że biedaczka pewnie by chętnie wymieniła śmierć Eli na moją, ale nigdy tego nie wyczytałem w jej oczach: tak tylko przypuszczam, Miquelu. Biedna Amèlia nie otrząsnęła się ze smutku aż do samej śmierci w wieku, no nie wiem, chyba dziewięćdziesięciu lat. Już do końca musiała znosić ból prawie

tak intensywny jak ten, który przeżyła piętnaście lat później, bo żebyś wiedział, Miquelu, najgorsze, co się może człowiekowi przydarzyć, to śmierć własnego dziecka, i pewnie dlatego ja ich nigdy nie miałem. Biedna mama nie zapomniała tego smutnego widoku, ona przy łóżku swojej córki, a nieszczęsna Elionor zapłakana, bezwolna, z oczami rozpalonymi gorączką, oddychała z trudem i zadawała pytanie, kierując je ku milczącym ścianom, dłaczego tak źle się czuję, mam, ja chcę wyzdrowieć, a doña Amèlia, nadrabiając miną, odpowiadała z uśmiechem będzie dobrze, Eli, zobaczysz, pójdziesz się bawić z rodzeństwem, a don Antoni, stojąc w drzwiach sypialni, nie miał odwagi wejść do środka i bił się z myślami oparty o ścianę, Boże, jak to możliwe, czemu to małe dziecko tak cierpi, a ja nic nie mogę na to poradzić, mimo że mam tyle pieniędzy. Nagły atak kaszlu sprawił, że Elionor oderwała się od ponurych myśli, a kiedy ustał, spojrzała mądrym spojrzeniem, jak ktoś, kto wie, że w pobliżu krąży śmierć, z prawdziwym lękiem w oczach, na starszego brata Perego i na kuzyna Maurycego, a my, stojąc w progu pokoju, do którego przeniesiono chorą, ponieważ gorączka była zakaźna, pytaliśmy po cichu jak się czujesz, Eli, a ona odpowiadała dobrze, już lepiej, niedługo przyjdę się z wami bawić. Amèlia chciała wtedy umrzeć z rozpaczy i my również.

– Kiedy przyjdzie do mnie Elvireta? – pytała czasem Elionor. A matka, która chudła w tym samym tempie co córka, odwracała jej uwagę arcyciekawą bajką o przygodach królika Tomàsa, ponieważ doktor Canyameres zdecydowanie zabronił kontaktów dzieci z chorą. Doña Amèlia wplatała swoje łzy w zmyśloną historię, żeby nie niepokoić dziewczynki, która powoli gasła. Pod powiekami pozostał jej na zawsze obraz cierpiącej twarzyczki i rozpalonego gorączką spojrzenia córki, która wypociła własną duszę. Aż po którymś gwałtownym ataku gorączki odeszła, nie wiedząc, że umiera, martwiąc się tylko bólem głowy, przejęta opowiadaną przez matkę absurdalną historią o króliku Tomàsie, który mieszka w ogrodzie i którego odwiedzimy, kiedy wyzdrowiejesz, córeczko, córeczko, córeczko... I została przy niej godzinę, a może trzy czy tysiąc godzin, siedząc na tym rzeźbionym w kwiaty krześle, krześle smutnej śmierci, trzymając ją za rączkę powoli stygnącą jej w dłoniach, zadręczając się, że to nie ona umarła zamiast tego aniołka, który jeszcze nie zdążył na dobre rozpoznać życia i nie rozumiał, czym właściwie jest śmierć.

– Amèlio, ona już nie żyje.

Poczuła na ramieniu rękę męża, zanim usłyszała te słowa. Dopiero wtedy pozwoliła sobie na łzy, słone jak suchy pot Elionor. Tamto poczucie bezradności będzie jej towarzyszyć przez całe życie. Nam wszystkim w rodzinie utrwaliła się pamięć jej choroby, Miquelu, i nadal mi towarzyszy, choć minęło już ze sto lat.

– Sześćdziesiąt.

– Sześćdziesiąt. Wszyscy płakali. (Teraz po policzku wujka Maurycego spłynęła niebieska łza. Jaką siłą mają wspomnienia.) Wszyscy; płakały nawet służące i dostarczyciel lodu, który miał wąsy jak Fu Manchu. A kiedy zabrali zimne ciało Elionor w białej trumnie, miało się wrażenie, że dom Gensana trochę się postarzał, bo od czasu budowy w końcu osiemnastego wieku Eli była pierwszym dzieckiem, które w nim zgasło. Dlatego pokój, w którym chorowała i zmarła, nazywaliśmy pokojem Eli, prawda, Miquelu? (Prawda. Kiedy Miquel z kuzynami bawili się tam trzydzieści lat później, opanowując cały teren i nazywając po

swojemu dawne kryjówki w domu i w ogrodzie – ciemny szalas, zielony staw, zakątek magnolii, kasztanowy dziedziniec, droga żółwia, strych duchów – nie przyszło nam do głowy, że ten nieużywany, duży jasny pokój nad tylnym wejściem mógłby się nazywać inaczej niż pokój Eli.)

Oczywiście nigdy bym nie pomyślał, że po tym wszystkim, co się stało z naszym domem, w pokoju Eli dyrekcja Czerwonego Dębu umieści uroczy gabinecik, w którym Maite Segarra będzie przyjmować gości, jeśli tacy się trafią, i powiesi kipiący żywymi kolorami plakat Vasarely'ego dokładnie w miejscu, gdzie Eli wypociła się na śmierć.

Tak samo jak racjonalna organizacja klubu piłkarskiego opiera się na piłkarzach i trenerach w pierwszym kręgu, członkach i sympatykach w drugim oraz dowództwie w trzecim, podobnie liczne grupy konspiracyjne, które funkcjonowały w bezpośredniej bliskości albo w pewnym oddaleniu od Partii, i sama Partia składały się z pierwszego kręgu, piłkarzy i trenerów, czyli znanych działaczy z długim stażem, którzy musieli udać się na emigrację, i z drugiego kręgu, członków i sympatyków, a wśród nich byliśmy Bolós i ja. Działaliśmy w częściowej konspiracji, nigdzie nie mieszkaliśmy na stałe i musieliśmy pracować jako robotnicy niewykwalifikowani, gdzie się dało, żeby zarobić na utrzymanie.

– A krąg dowodzenia?

Ci od futbolu palili cygara. Partyjne kierownictwo nie mogło palić, bo pełna konspiracja uniemożliwiała im pracę; chyba że mieli własną firmę, jak Niebieskooki, który prowadził kiosk. W ciągu trzech miesięcy cztery razy zmieniliśmy adres: Amílcar, Manigua, Felip II, Escòcia, wszystkie w tej samej okolicy. Simó Wykłęty wcielał w życie ewangeliczną zasadę, która nakazuje iść naprzód bez bagażu, prawie bez ubrania, jak dzieci morza: całe jego życie mieściło się w starej ciemnozielonej torbie z brezentu, z którą wujek Maurycy tuż po wojnie czekał na miłosną wiadomość, a w niej trzy zmiany bielizny, pięć koszul, sweter, grzebień, szczoteczka do zębów i książka (*Le modern état capitaliste et la stratégie de la lutte armée: Group Baader-Meinhof*). Raz byli tu, raz tam, stosownie do konkretnego lapidarnego rozkazu, który dostawali od kogoś z góry lub od Niebieskookiego.

Do lokali przy ulicach Amílcar i Escòcia został skierowany razem z towarzyszem Franklinem. Oczy im płonęły od nadmiaru aktywności. Simóna, Xato i Natàlię, ze względu na burżujskie pochodzenie, oddelegowano do pracy w fabryce urządzeń elektrycznych. Mieli się przekonać na własnej skórze, jak żyje klasa robotnicza, jakie są jej horyzonty mentalne, fizyczne, ekonomiczne i intelektualne, oraz odpokutować grzech urodzenia poza klasą robotniczą. W pierwszym dniu pracy Simó I Robotnik w swoim jedynym swetrze zamiast płaszcza, szeregowy działacz komórki z dzielnicy Congrès, przypisany do Partii od czasu niefortunnych nieporozumień z byłymi towarzyszami, rewizjonistami z PSUC, z bijącym sercem wkroczył do fabryki Torbe Componentes, mając świadomość, że oto pokonuje przepaść między zwyczajnym, mieszczańskim życiem a Świątynią Produkcji, w której Klasa Robotnicza Wykuwa swoją Przyszłość. Towarzysz Simó o mało się nie rozpląkał z wrażenia. Zatęsknił za Franklinem, z krawatem w kieszeni, ale tak to już jest w konspiracji, dziś tu, jutro tam, dziś się nazywasz Miquel Gensana, jutro jesteś towarzyszem Simónem albo robotnikiem, legitymujesz się świetnie podrobionym dowodem osobistym wystawionym na



nazwisko Ricard Montero z fabryki Torbe Componentes i wkraczasz na najkrótszą drogę do szizofrenii, niczym podrzędny aktor teatralny.

Ale samo życie robotnicze nie dostarczało zajęcia psychiatrom. Przy dniówce rozpoczynanej o siódmej rano maleje podatność na kryzysy. Pierwszy miesiąc przy taśmie miał dla niego urok nowości.

Radość z Uczestniczenia w rytuałach celebrowanych w Świątyni Produkcji i żal za grzech niesłusznego pochodzenia trwały krótko. Kiedy uświadomił sobie, że inni robotnicy nie pozuwają się do klasowej solidarności z towarzyszką Natàlią, że widzą w niej tylko dwie piersi i tyłek, że ostrożne aluzje do sytuacji politycznej rzucając mimochodem podczas przerwy śniadaniowej albo przy taśmie produkcyjnej spływają po nich jak po gęsi woda, bo bardziej niż praca u podstaw interesuje ich, gdzie kupić telewizor po najniższej cenie; że brygadzysta (niby robotnik, ale zaprzędany, ni pies, ni wydra, teoretycznie opravca, ale w sumie porządny facet, któremu wielu zazdrościło) bezwzględnie egzekwuje punktualność i trzy razy potrafił mu z dniówki, bo się spóźnił pół godziny (za każdym razem z powodu nocnego zebrania komórki, które za bardzo się przeciągnęło), w końcu doszedł do wniosku, że to jedno wielkie gówno, a życie jest o wiele bardziej skomplikowane, niż piszą w podręcznikach.

Tak czy inaczej, towarzysz Simó wyparł z obiegu obywatela Miquela Gensanę, o którego nikt, poza rodziną, się nie upominał, i żył teraz w stanie zadekretowanej szczęśliwości; lektura książki *Państwo a rewolucja* znudziła go i uspokoiła, ale powoli zaczynała go gnębić myśl, co on tu właściwie robi, przy tej taśmie, gdy tymczasem Llates już jest na trzecim roku, opublikował dwa artykuły, a historię współczesną ma w małym palcu. Gdyby jeszcze rewolucja była kwestią najbliższych dni, to pal sześć. Miałem wielką ochotę przeskoczyć kolejne etapy, tak aby uświadomiona awangarda (właśnie omawialiśmy tezy kwietniowe na zebraniach naszej komórki) raz wreszcie chwyciła za ster, do jasnej cholery, wywołała rewolucję i rozejdziemy się do domów. (A tam przyjęcie partyzanta, kwiaty i pocałunki.) W gruncie rzeczy pławiłem się w drobnomieszczańskiej mentalności i tylko Bóg jeden wie (tak się mówi...), jak mi było trudno skupić się i zaakceptować rzeczywistość, która jest zawsze nudna i niespieszna, inaczej niż marzenia. Tak jakoś się złożyło, że przez ręce towarzysza Simóna przechodziły wszystkie książki, które trafiały do ich mieszkania, i poza książkami przepisany na receptę zaczytywał się poezją, poezją w dużych ilościach, i historią, wszystkim, czym się dało, poza powieściami, bo to gatunek służący wyłącznie zgniliej drobnomieszczańskiej rozrywce.

Podczas skromnej kolacji (zupa z kostki i pół kielbasy) rozmowy z Natàlią i Xato nie były zbyt urozmaicone. Czasem w połowie kolacji wypadało zrobić jakiś komentarz na tematy społeczne, na przykład, że Vila i jej partner się rozstali.

– O cholera. Dlaczego?

– Skąd mam wiedzieć. To znaczy, tak: ostatnio Jordi był bardzo, no, rewizjonistyczny w życiu codziennym.

– Aha.

– Simó, masz coś zająrać?

- Weź sobie.
- Dzięki. No więc zdaje się, że się obijał, cała praca spadała na nią... I żeby tylko to.
- Ale z ciebie skurwysyn: ...żeby tylko to. Obowiązki domowe to sprawa obojga, nie tylko kobiety. Chcesz powiełać schematy...
- Cholera, Natàlia. Chciałem powiedzieć, że ponadto...
- Aha. Ale powiedziałaś żeby tylko to.
- Słuchaj, chciałem powiedzieć ponadto.
- Przepraszam.
- Wcale cię nie przepraszałem.
- Czy moglibyście już dać spokój... Co mówiłeś o Jordim i Vili?
- No więc że ponadto Jordi zaczął wygłaszać wywrotowe poglądy: a to bronił sztuki mieszczańskiej, a to znów...
- Lenin też jej bronił.
- Cholera, Simó, teraz ty mnie nie wkurzaj. O czym to ja mówiłem?

I Xato, który miał najwięcej do powiedzenia w naszej komórce, bo posiadał wyjątkowy talent do wylapywania wszystkich wiadomości ze świata, paląc ostatniego papierosa z mojej paczki, straszyl nas, że Jordi kwestionował nawet politykę sowiecką w Czechosłowacji, no nie wiem, rozumiecie? Z tego powodu Vila go rzuciła.

- A Rafa i jego dziewczyna? - Natàlia też znała plotki, a ja wpadałem w kompleksy i zastanawiałem się nad sobą, no kurwa, dlaczego ja nigdy o niczym nie wiem, zawsze z głową w obłokach. - Wygłosiła kontrowersyjny referat o znaczeniu tradycji w kulturze i sam Rafa dosłownie rozłożył ją na łopatki w czasie dyskusji. A teraz się zastanawiają, czy to już koniec. To znaczy, koniec ich związku.

- Nie sądzę, żeby rewolucjonista mógł się ożenić.
- Jak księża?
- Cholera.
- Nie, faktycznie. Nie może się żenić. Ale może pieprzyć.
- Jak księża.

Nie, nie pieprzyliśmy, żyliśmy jak księża. Natàlia była towarzyszką, szanowaliśmy ją, a poza tym czuliśmy się zmęczeni, a ja jeszcze nigdy nie widziałem nagiej kobiety, ale to był sekret głębiej ukryty nawet niż moje lektury Brechta, Espriu, Leóna Felipego czy niejakiego Nerudy.

Ale na ogół kolacje w naszej komórce były ciche i krótkie. Wszyscy troje zadręczaliśmy się, że praca u podstaw w Torbe Componentes nie przynosi efektów, na próżno wypruwaliśmy sobie żyły, a Komitet Centralny zaczął poważnie się przejmować brakiem postępów w tej konkretnej fabryce, podczas gdy inne zakłady produkcyjne okazywały się bardziej obiecujące. Ale my pokładaliśmy jeszcze nadzieję w Bogu (to też tylko takie powiedzonko) i nie chcieliśmy tak łatwo zrezygnować z fabryki z prawdziwego zdarzenia, i cała komórka jak jeden mąż błagała, aby Komitet Centralny nie zostawił Torbe Componentes na pastwę

zaniechania i nieświadomości, a Jahwe im odpowiedział, że jeżeli znajdą pięćdziesięciu uświadomionych robotników w całej załodze, Sodoma nie zostanie zburzona. Wtedy towarzysz Abraham, po wielu negocjacjach (czterdziestu pięciu sprawiedliwych, trzydziestu pięciu, dwudziestu...) zdał sobie sprawę, że cierpliwość Jahwe ma swoje granice i że przeciągnął strunę. A wtedy Jahwe zadał pytanie rozstrzygające: ilu, wierny towarzysz, ilu uświadomionych robotników jest w Torbe Componentes? A towarzysz Abraham skruszony musiał przyznać, że tylko Lot, jego żona i dwie córki; a Lot nazywał się Venancio Bustos, był robotnikiem wykwalifikowanym i przejawiał pewne odchylenie trockistowskie, łatwe do skorygowania (tym bardziej że to nie w złej wierze, tylko z niewiedzy). Wtedy Jahwe przemówił do Abrahama: „Powiedz, żeby Venancio Bustos wstąpił do Partii”. Kiedy tak się stało, Jahwe wycofał swoich działaczy z Torbe Componentes Eléctricos, bo zaczęły dochodzić do głosu tezy Niebieskookiego, a Komitet Centralny na podstawie konkretnej analizy konkretnej sytuacji, wobec postępującej sklerozy Franco, postawił na bardziej agresywną strategię, bezpośredni atak, żeby przypomnieć dyktatorowi i jego lokajom, że klasa robotnicza czuwa i gotowa jest do walki zbrojnej.

Niebieskooki był wyjątkowym przypadkiem trójmianu. Nosił pseudonim Allen, ale towarzysze w sytuacjach nieoficjalnych nazywali go Niebieskookim. Swojego przedwojennego imienia pewnie już sam nie pamiętał, bo chyba od zawsze walczył w konspiracji, zawsze z tą samą ironicznie-pryncypialną postawą, zawsze nieugięty, z siwizną we włosach, zawsze przekonany, że rewolucja wybuchnie lada moment. I to on wyłożył podstawowe zasady akcji zbrojnej komórce Simóna i Franklina (na szczęście byli znowu razem). Pokazał im, jak się składa i rozkłada pistolet automatyczny, wprowadził w tajniki systemu kontaktów i pewnego dnia zabrał ich, przerażonych, na pola za targowiskiem Encants na trening strzelania do celu. Pojawiał się i znikał w najmniej oczekiwanym momencie i dla wielu z nich był jedynym widocznym szefem całej partyjnej struktury. Ale o tym nie należało rozmawiać. Zdeklasowany Simó, chudszy o sześć kilo, bo wszystkie zarobione pieniądze szły na Partię, czuł się szczęśliwy, a jednocześnie smutny. Bał się, chodził, oglądając się za siebie, tęsknił za czerwonym płaszczykiem Berty, miał oczy z tyłu głowy, umiał posługiwać się pistoletem i coraz częściej dokuczala mu arytmia, jakby znów próbował się wykręcić przed wojskiem.

Przeżyłem te lata dzięki sile wewnętrznej, jaka towarzyszy bohaterom. W pewnym sensie ten, kto się buntował, skazywał był na bohaterski żywot. W tamtych czasach każdy gest musiał być ideologicznie umotywowany, tak jak dziesięć-dwadzieścia lat wcześniej wszystko dawało się sprowadzić do religii. Ludzie zachowywali się tak jak Rafa i jego dziewczyna czy Vila i Jordi – dyskutowali o ideologii i kłócili się z jej powodu; pary rozstawały się przez ideologię, niektórzy w imię ideologii uciekali z domów, ktoś się z kimś kochał motywowany ideologią, ktoś kogoś porzucał, też przez ideologię.

– Wydaje mi się, że przesadzasz – stwierdziła, przegryzając jedną z oliwek z przekąski, którą nam zaserwowano przed obiadem.

– Ależ nie, Júlio.

Skorzystałem z okazji i też się poczęstowałem. Przestraszyłem się, że pod wpływem emocji mogę się zagalopować i powiedzieć coś, o czym Júlia nie powinna wiedzieć, na

przykład, że śmierć Bolósa to nie był wypadek, ale o tym wiedziałem tylko ja, to znaczy tylko ja i zabójca. Dlatego nie mogłem spojrzeć w oczy jego żonie. Odrzuciłem tę myśl, przyjąłem ton profesjonalny, coś w guście mojej rozmówczynie, i oświadczyłem słuchaj, Júlio, to nie tak, że w Barcelonie pełno było wtedy ludzi nietolerancyjnych i bezkrytycznych; to by było zbytne uproszczenie. Ale faktycznie temperatura uczuć inspirowanych ideologią dochodziła do wrzenia. Całe to zaangażowanie nieuchronnie prowadziło do hysterii. Tak samo jak całymi miesiącami ulica Passeig de Gràcia wystawiała na światło dzienne swoje bebechy, bo zapadła decyzja, by w jej wnętrznościach zbudować parking, tak samo dusza wielu osób przypominała otwartą ranę i zastanawialiśmy się, czy życie zawsze będzie takie brutalne, czy zawsze będziemy tęsknić za utopijnym miejscem, w którym ludzie są mądrzy, wolni i szczęśliwi. Dlatego Simó, eks-Miquel, musiał lubić Brechta, śnić o Jewtuszence, zachowywać ostrożne milczenie na temat Majakowskiego i rozprawiać o Espriu i Nerudzie. Simó, Rewolucyjny Czytelnik, potrzebował sześciu czy siedmiu lat czytania, żeby zdać sobie sprawę, że tomiki *Veinte poemas de amor* [\[8\]](#) czy *Setmana Santa* [\[9\]](#) po prostu były dobre. Do rozpaczy doprowadza mnie wątpliwość, czy to nie była zwykła strata czasu; natomiast prawdą jest, że tak brutalna ewolucja, jaką przeżył jako czytelnik, w życiu człowieka zdarza się bardzo rzadko lub wcale. Można żałować, ale po czasie nie da się cofnąć błędnego ruchu. Kiedy to dotarło do Miquela Gensany, dawnego Simóna, już parkował własny samochód na wiekopomnym parkingu podziemnym przy Passeig de Gràcia.

Wysłuchanie koncertu skrzypcowego Mendelssohna z trzeciego rzędu na parterze w Pałacu Muzyki, w wykonaniu Sterna, było przyjemnością porównywalną z niewysłowioną rozkoszą oglądania na żywo, w odległości dwóch kroków między twoimi okularami a obrazem, autentycznego van Gogha, którego dotąd podziwiałeś tylko na reprodukcjach. Ta myśl zrodziła się w mojej głowie, kiedy pakowałem kolejną, już chyba dwutysięczną taśmę w Torbe Componentes, ale została odrzucona przez towarzysza Simóna jako dekadencja. Po iluś tam latach znów do mnie wróciła, ułatwiając przełamanie lodów na początku znajomości z Teresą.

Zanim do tego doszło, dużo wcześniej, kiedy Simó przeprowadził się po raz kolejny i w nowym miejscu znów spotkał się z Franklinem (radość z tego spotkania nie miała podłoża rewolucyjnego, ale była autentyczna. Obaj ukrywali ją pod ostentacyjną pozą dystansu podpatrzoną u Brechta). Nowa dyspozycja, dyskutowana i przedstawiona na piśmie w dokumencie liczącym osiemdziesiąt sześć stron, nakazywała wysłanie na intensywne szkolenie do Bejrutu sześciu działaczy. Simó, Franklin, Xato, Cunillera i jeszcze trzech inni wyjechali dwoma samochodami, ci do Andory, po masło, tamci w kierunku Puigcerdà, do apteki w Llívia. Dwa dni później spotkali się w Tuluzie, gdzie jacyś nieznanymi, ale bardzo skutecznymi towarzyszami z emigracji wyprawili ich w dalszą drogę, w kierunku Genewy i Bejrutu. Mimo że pierwszym obowiązkiem rewolucjonisty jest dystans do drobnomieszczkańskiego świata konsumpcji, serce zabiło mi żywiej, kiedy znalazłem się w Europie, daleko od dyktatury, i mimo woli myślałem: tak, ludzie tu mądrzy, wolni, beztroscy i szczęśliwi, czegoż chcieć więcej. Ale było coś w rodzaju mistyki rewolucyjnej, którą należało kultuwować za wszelką cenę, więc udawałem, że nie widzę Europy. A Bejrut stał się nową pożywką dla serca: oto ja, szeregowy członek komórki z dzielnicy Congrès,

stoję ramię w ramię z ważnymi rewolucjonistami. Poczulem swoją znikomość i byłem szczęśliwy, bardzo szczęśliwy, w jakiś dziwny, bardzo dziwny sposób. Przede wszystkim dlatego, że wewnątrz towarzysza Simóna, Miquela II Gensany Wiecznego Ucznia, widziałem po raz pierwszy Europę i Liban i przeczuałem, że wszystko to, czym towarzysz Simó teraz gardził z rewolucyjną żarliwością, może się kiedyś przydać Miquelowi.

Tamten miesiąc w Bejrucie zapamiętałem nie tyle ze względu na obiektywne umiejętności – jak ładować i rozładowywać szesnaście różnego typu karabinów i pistoletów ani jak postępować z materiałami wybuchowymi dwojakiemu rodzaju (babcia Amèlia mawiała, że wiedza miejsca nie zajmuje), ale dlatego że poznałem uczucie strachu. Dowiedziałem się, jaką strach przybiera twarz, gdy zrodzi się w twoim sercu. W Bejrucie strach miał twarz dziecka z wnętrzościami wyrwanymi wybuchem granatu, który podłożył jako przynętę na środku ulicy Akim, jego szesnastoletni szwagier, a nuż się skusi jego daleki kuzyn, ten osioł Ali, który się zadawał z dziewczyną z Szatili, choć był chrześcijaninem. Twarz strachu wylaniała się też zza wyszczerbionego po izraelskich bombardowaniach muru, zrujnowanego kolejnymi eksplozjami, przez który musiałeś przejść, mimo nienawistnego tra-ta-ta-ta karabinu maszynowego celującego do ciebie bez jakiegoś szczególnego powodu, tylko dlatego, że akurat tego dnia na ulicy Deszczowej stał na warcie niejaki Honoré Bahtil, którego palce same się rwały do strzelania, a ty mogłeś być wrogiem. W Bejrucie strach miał posmak śmierci, śmierci przypadkowej. Strach nie ogarnął mnie wtedy, kiedy uczyłem się, jak ładować i rozładowywać szesnaście różnego typu karabinów i pistoletów i jak postępować z materiałami wybuchowymi dwojakiemu rodzaju. To jeszcze było do zniesienia. O wiele silniejszy strach poczułem za Bejrutem, na górze Kurnat as-Sauda; tam przybrał kształt potężnego orła, który rzuca się na bezbronną jaszczurkę śpiącą na gołych skałach. Jaszczurką był towarzysz Simó, członek komórki z dzielnicy Congrès w Barcelonie, przypisany do Grupy Akcji Zbrojnej Partii, a orłem izraelski A-4N Skyhawk w misji odwetowej wymierzonej w domniemanych Palestyńczyków. To był prawdziwy strach, bo wtedy zadawałem sobie pytanie (podobne pytanie postawiłem sobie parę lat później nad pnącą różą na fasadzie domu Gensana), kto mi kazał w to się pakować, Miquelu, ty pieprzony kretynie, i ośmieszałem się, celując z bezużytecznego kałasznikowa do bryły skyhawka, który się wylaniał zza gór, jak imbecyl, biegnąc w desperacji ku wątpliwemu schronieniu pod gołą skałą, zastanawiając się, jak na migi dać do zrozumienia pilotowi, tak żeby do niego dotarło, że to, do cholery, nie twoja wojna, ty tu jesteś, kurwa mać, na kursie, tylko tamtędy przechodziłeś. I znów wracała myśl, kto ci kazał w to się pakować, zawsze wdepniesz w gówno, zamiast siedzieć sobie wygodnie w Bibliotece Wydziałowej czy w Katalońskiej, gdzie dysponując doskonałą dokumentacją, mógłbyś napisać znakomitą rozprawę o złożoności konfliktu żydowsko-palestyńskiego, na trzecim roku historii, i miałbyś już w dorobku publikację dwóch artykułów, jak Llates, kurwa jego mać. I może miałbyś dziewczynę.

– Baissez la tête, Dieu! – upominał mnie krzykiem Kamal, promotor mojego doktoratu na studiach uniwersyteckich w Al-Fatah, przyklejony do skały jak polichromia. A skyhawk przeleciał, rzygając kulami niczym bombami, i usłyszałem zzzzzzziiiiii tuż koło ucha, i to był szept śmierci, która o mało co nie przyszła do mnie z rąk porucznika Samuela Goldsteina,

mojego rówieśnika, do którego osobiście nic nie miałem (oficjalnie tak, ponieważ był instrumentem imperializmu północnoamerykańskiego) i który na pewno nie miał nic do towarzysza Simóna ani do Miquela Che Gensany, którego w pośpiechu pomylił z palestyńską jaszczurką. To był strach, bo na wojnach więcej ludzi ginie z przypadku niż z wojennego nakazu. A ta nieskończenie długa straszna chwila na Kurnat as-Sauda, która do tej pory mi się śni, trwała sześć i pół sekundy. Czasem myślę, że osoba ludzka jest zwierzęciem źle pomyślanym, jeśli sześć i pół sekundy mogą ci zrobić wyrwę w uśmiechu i po dwudziestu pięciu latach jeszcze widać na twarzy bliźnę wyrwy z ciągu sześciu i pół sekundy.

Na talerzyku została ostatnia oliwka. Oczywiście Júlpii przeglądały się w moim milczeniu. Już od wielu lat nie zdarzyło mi się tyle mówić, mieszając do tego stopnia moje wspomnienia z tymi, które wujek Maurycy zostawił mi w spadku.

– Dla kogo duszone warzywa?

– Dla pana.

Kelner z szerokim karkiem postawił talerz z wyraźną ulgą, jakby rozwiązał poważny problem. Ale problem polegał na tym, że nauki pobrane na Uniwersytecie Al-Fatah trzeba było wprowadzić w życie. Jak pierwszy lepszy stażysta odbywający praktykę w szpitalu, doktor Simó z pistoletem zatkniętym za pas znalazł się w ochronie manifestacji i na warcie przed domem w Valldoreix, gdzie odbywały się rozmowy ostatniej szansy pomiędzy byłymi towarzyszami, przedstawicielami Partii, a drugą stroną, reprezentowaną przez paru nawiedzonych maoistów, nieliczną, ale bardzo aktywną grupę. A ja roбіłem za goryla, siedząc na drzewie, ale się nie bałem, bo nie zanościło się na to, by na niebie nad Valldoreix pojawił się od strony Collseroli jakiś skyhawk, zniżając lot, żeby nas wykosić. Przejechał jeep żandarmerii, ale na szczęście nie dostrzegł nic podejrzanego w tym, że trzech głupich facetów wspina się jak małpy na drzewa w prywatnym ogrodzie.

Uporczywie wpatrywałem się Niebieskookiemu w oczy i przeklinałem własną głupotę, na którą nie było lekarstwa. W spoczonej dłoni ścisnąłem z całych sił mój przydzielony pistolet. W chustkach zakrywających twarze wyglądaliśmy, jak byśmy się zjawili prosto z West Fargo & Co.

– Nie luszać się! Spokój!

Personel posłuchał, bardziej pod dyktando własnej intuicji niż ze strachu.

– Wszyscy na wznak! – krzyknął Niebieskooki. Wszedł do gabinetu dyrektora, wyłączył alarm, kulturalnie wycelował broń w delegata i kazał mu dołączyć do pozostałych.

Wszyscy obecni, miłośnicy gangsterskich filmów, położyli się twarzą do terakoty. Poza jednym, który zgodnie z rozkazem położył się na wznak.

Niebieskooki energicznym gestem podzielił komando na dwie grupy: Simó i Natàlia do kasy, z nienawidzią w oczach, jak w gorączce, szybko, szybko, szybko, pieniądze na blat, no już; a Cunillera i jeszcze ktoś, nie pamiętam kto, do kasy pancерnej, z dwoma workami, a na samym środku, niczym dyrygent orkiestry, wspaniały, metr dziewięćdziesiąt wzrostu, Niebieskooki, musztrował jakąś kobietę, żeby się nie ruszała, i wkurzył się na jedynego klienta, który dosłownie wykonał jego rozkaz.

– Powiedziałem: twarzą do ziemi!

Teraz się zrozumieli i Niebieskooki, cedząc słowa, ogłosił dwunastu osobom, które były wtedy obecne w oddziale Caixa w Vallcarce, że nie muszą się niczego obawiać, że to jest napad legitymowany przez ludowe siły zbrojne.

– Legitymowany? – nie skapował ten sam upierdliwiec, który położył się na wznak.

– Realizowany – odpowiedział towarzysz Simó, z garścią banknotów w ręce, czując, jak mu wszystko podchodzi do gardła.

W tym momencie głos mu zamarł, bo po pierwsze, odezwał się do klienta (czego nie wolno robić podczas akcji ekonomicznej), ale przede wszystkim zorientował się, że właśnie nawiązał rozmowę z Costasem, kolegą ze studiów, byłym chłopakiem niejakiej Guiteres, działaczem PSAN<sup>[10]</sup>, redaktorem pism „Lluita”<sup>[11]</sup>, „Avant i Combat”<sup>[12]</sup>, z którym już nie raz dyskutowałem na uczelni, bo miał manię czepiania się słów. Costas mnie nie poznał, bo gdyby było inaczej, natychmiast by na mnie doniósł. Nudności Simóna się wzmogły i poczuł, że zaraz puści pawia, ale zwymiotował dopiero za drzwiami, przy akompaniamencie przenikliwego alarmu włączonego przez delegata, tego kontrrewolucjonistę i skurwysyna.

Całą konfiskatę podsumowali w ciągu trzech minut. Milion dwieście tysięcy, wspaniale, bez strat własnych, bez jednego strzału, i dopiero teraz, przy kościele Josepets, kiedy oglądali się za siebie i nasłuchiwali, czy nie ściga ich jakiś samochód na sygnale, a Franklin, który na nich czekał w samochodzie z włączonym silnikiem (stary model dauphine, który on i Xato skonfiskowali trzy godziny temu w Hospitalet), myślał na głos, jak to możliwe, że tak łatwo jest dokonać napadu; dopiero wtedy poczułem, że dosłownie zesrałem się ze strachu. Simó zaprotestował z tylnego siedzenia jak to łatwo? Ja o mało się nie zesrałem. I wszyscy poza Niebieskookim zaśmiali się nerwowo, jakby chodziło o łobuzerski wyglup na boisku Can Colapi. A gdy wysiedli z samochodu, żeby wykonać rozkaz i rozejść się po oddaniu wszystkich pieniędzy Niebieskookiemu, ten ich podsumował: dobrze, wiała, świetnie się spisałaście, ale jeśli przy następnej konfiskacie ktoś zechce puścić pawia, to mnie popamięta.

– Ależ...

– Ani słowa. – Niebieskooki spojrział na Simóna twardym, zimnym jak lód wzrokiem. – Jesteśmy żołnierzami, Simó.

– Nie mamy obowiązku nie czuć strachu.

– Doblanoc, towarzysze.

Chociaż był środek dnia. Czyli że będzie więcej napadów i wyglądało na to, że nasza komórka została przypisana do sekcji ekonomicznej Partii. Miquel Gensana przestraszył się nie na żarty, bo podobnie jak w Bejrucie, jakaś zabląkana kula w każdej chwili mogła go zabić, bez szczególnego powodu; choćby i rykoszetem.

Rody z długą tradycją, z pretensjami, z przemianą pokoleniową utrwaloną przez malarzy na płótnie utrzymują się w formie dzięki stałemu dopływowi nowej, świeżej krwi. Ja ci to mówię, Miquelu, jedyna latorośl dynastii Gensanów, która naprawdę jest Gensaną, choć nigdy nie królowałam. To brzmi jak paradoks, ale rodziny takie jak nasza istnieją tylko pod warunkiem metysażu. Gdyby nie to, dogorywałyby wśród osobników z prognatyzmem, o rozbieganym spojrzeniu, powolnych ruchach i ociężałych myślach, ze strużką śliny spływającą z ust, zwyrodniałe w spotworniałej postaci homunkulusów niezasługujących nawet na imię, jak w tych królewskich rodach, które dla utrzymania czystości krwi doprowadziły do takiej autodegeneracji pokoleniowej, że ich latorośle nie nadawały się do niczego, nawet do talii kart, chyba tylko do kolorowej prasy.

– To nowy lew?

– Tak. Abisyński. Nie zauważyłeś, jaką ma gęstą grzywę?

– Kiedyś musisz mnie nauczyć, jak się to robi.

– Zawsze mi to mówisz.

– Tak? Ale ja nie mam do tego zdolności. Musielibyśmy zacząć od statków i ptaszków.

– I od kapelusza Napoleona. Przywiozłeś mi więcej papieru?

– Tak. Położyłem na stole. Japoński.

– Wspaniale. A o czekoladzie nie zapomnialeś? – Teraz głos wujka przechodzi w nieśmiały szept.

– Jasne, że nie; nigdy cię nie zawiodę, wujku. Włożyłem do szuflady.

– Pułkownik Samanta nie zrewidowała cię przed wejściem?

– Nie. Jest dla mnie miła. Nie sądzę, żeby coś podejrzewała... Chyba że po mojej wizycie dostaniesz biegunki.

– Młodzieńcze, jeszcze nigdy nie bolał mnie brzuch od czekolady. – Wstęp coraz bardziej się przedłużał, wujek chyba zapomniał, jaki miał być dalszy ciąg. Spuścił głowę. – Proszę, podaj mi drzewo genealogiczne.

Pierwszy Antoni Gensana, założyciel rodu i budowniczy domu (w którym teraz nie mieszkał nikt poza Maite Segarrą i jej obmierzłym maître'em), ożenił się pod koniec osiemnastego wieku z Adelą Caimamí, praprababką i Matką Założycielką, której rodzina pochodziła z Majorki. Małżeństwo Gensany z Caimamí, Protoplaści, Czysta Esencja, spokrewnione było z Josepem Ferranem Sortsem, wybitnym artystą cyganem, który grywał kompozycje gitarowe w salonach Paryża i pałacowych komnatach Petersburga. Nie mam



pewności, Miquelu, ale gotów jestem zaryzykować swój prestiż Oficjalnego Historyka i twierdzić, że to ten sam Sorts, który przeżył ciężkie chwile w związku z jakąś ciemną aferą wywołaną przez wysokich urzędników barcelońskiej palestry. Jednak Antoni Gensana z powodów dla mnie niejasnych, ponieważ nie znalazłem żadnego dokumentu w tej sprawie, a jeżeli ja nie znalazłem, to znaczy, że coś takiego nie istnieje, wybrał teren na przedmieściu Feixes, na brzegu należącego do jego rodziny lasu, i tam zdecydował się wznieść siedzibę rodu, która od tej pory miała nosić miano domu Gensana. Tam oboje Założyciele, Ojciec i Matka, rozpoczęli proces dobiegający końca w chwale i glorii po dwustu latach epicko-heroicznej historii, we wspaniałej modnej restauracji, której maître krzywi się z obrzydzeniem na moją propozycję, że może byśmy otworzyli butelkę białego wina. Dobrze schłodzonego.

– Ależ proszę państwa... – Zupełnie zbity z tropu patrzył naprzemiennie to na jedno, to na drugie z nich, niczym widz na turnieju tenisowym.

– Po prostu chce mi się pić, a czerwone wino uderza mi do głowy.

Maître znalazł winnego. Bezczelnie zmierzył mnie wzrokiem i wycedził przez zęby:

– Mogę panu przynieść wodę. Rozumie pan, o czym mówię?

Zanim zdążyłem się podnieść, żeby go walnąć pięścią między uniesione brwi, Júlia uratowała sytuację.

– Butelkę wody gazowanej i jeszcze jedną butelkę wina. – Spojrzała na mnie surowo. – Oczywiście tego samego.

Odprawiła go uroczym gestem ręki. Maître uznał to polecenie za prawidłowo sformułowane. Spuścił głowę i kiedy już odchodził, z zemsty powiedziałem Júlii:

– Najwidoczniej skończyło im się białe wino. – Kątem oka upewniłem się, czy maître usłyszał moje słowa. Jeszcze jak usłyszał, ugryzł się w język i przysiągł na swoich ancêtres, że od tej chwili zacznie się zwracać tylko do mademoiselle i jeszcze bardziej, o ile to możliwe, będzie ignorował tego dochard z rozwianymi włosami. Odchodząc, objął wzrokiem całą salę, zwracając szczególną uwagę na stolik czternasty, trzynasty i ósmy, kalkulując, czy już można zaproponować kartę deserów. Wszystko, co robił, co tutaj teraz się działo, nie miało absolutnie nic wspólnego z historią tego salonu, w którym facet marszczył brwi każdego wieczoru. Historią, która według informacji pochodzących od wujka Maurycego rozwijała się, wypuszczając gałęzie Maurów i Antonich Gensanów, jakby brakowało innych świętych patronów w kalendarzu, w otoczeniu pozostałego, anonimowego rodzeństwa (bezceremonialnie zignorowanego przez Historię) i paru prababek, które były nową żywicą, konieczną, aby całe drzewo rodzinne, wielki, rozłożysty dąb z sięgającą wysoko koroną, nie usechł i nie skończył zamieniony na zapalki. Widzisz? Po Rodzicach Założycielach następują Maur I Gensana i Josefina Portabella; Margarida Bardagí, synowa wyżej wymienionych, żona Antoniego II Gensany Portabelli. Małomówna, markotna Pilar Prim Prat, udęczone małżonka niezrównanego poety don Maura II Gensany Bardagí, bezkonkurencyjnego uczestnika poetyckich konkursów felibrów, który o włos otarł się o tytuł Mistrza Wiedzy Radosnej (Laureata Żywego Kwiatu w 1891 i Złotej Róży w 1896), brata tajemniczej, pięknej i tragicznej Carloty bez Ziemi Gensany, która jest moją biologiczną matką, Miquelu, matką,

którą mogę wspominać tylko w marzeniach lub na tym dagerotypie. (Miquel pamiętał, że kiedy jego dom był jeszcze jego domem, dagerotyp ciotki Carloty wisiał w galerii, nad pnącą się w górę, w holdzie dla ciotki, palmą kencją). A następnie mama Amèlia, która żyła w dobie największego włókienniczego rozkwitu ze swoim mężem Antonem III Fabrykantem, moim zienawidzonym przybranym ojcem. Drzewo kończyło się na dzieciach mamy Amèlii: Perem i Uciekinierze i dwóch zapomnianych ciotkach, Elionor i Elvirze. Któregoś dnia powinniśmy rozbudować to drzewo, Miquelu, bo brakuje w nim twojej matki, ciebie i twojego brata. Kiedy ostatnio widziałeś mamę Amèlię?

– Wujku, babcia nie żyje.

– Ach, tak? Miquel, czemu go nie wydrukujesz na większej kartce? Chciałbym, żebyście się na nim znaleźli. Mówiłeś, że kto umarł?

Jeszcze nie wybrzmiało echo pytania, a już odwróciła jego uwagę niesamowita papierowa stokrotka. Ujął ją w drżące palce i dalej opowiadał tę samą co zawsze historię, teraz o mamie Amèlii, jego macosze, pierwszej synowej, która po pięciu pokoleniach Antonich i Maurów powiedziała dość i to przez nią wybuchła słynna Wojna Imion. Zapowiedziała, że jeśli kiedykolwiek będzie miała chłopca, nie będzie się nazywał Antoni (to imię uważała za brzydkie) ani Maur (jej zdaniem nieporęczne). Początkowo zarówno mąż, jak i teść zbagatelizowali tę deklarację dobrotliwym uśmiechem. Taka dzielna dziewczyna, zaopiekowała się biednym Maurycym Sicartem, kuzynkiem męża, synem nieszczęsnej Carloty, Oficjalnym Kronikarzem Rodziny, zręcznym mistrzem origami, mimo drżenia palców, królem domu wariatów przy ulicy Bellesguard. Ale kiedy brzuch zrobił się na tyle duży, że dało się już wyznaczyć datę porodu, Amèlia co jakiś czas, niczym zegar z kukułką, przypominała mężczyznom w domu (teściowa tym się w ogóle nie przejmowała, jakby to nie była jej sprawa), że jeżeli się okaże, że to, co ma w środku, to chłopiec, nie będzie miał na imię ani Maur, ani Antoni. „A niby jak ma się nazywać?“, pewnego dnia rzucił jej prosto w twarz sławny poeta. (To była jedna z tych nielicznych sytuacji, kiedy przypadkiem podniósł wzrok znad swoich heksametrów.) „Nie wiem; jakkolwiek, byle nie Antoni czy Maur“. „Ależ nie będzie się nazywał Antoni czy Maur“. Teraz zdenerwowany teść wycelował w nią ołówek rymotwórcy: „Tylko Maur“. „Niemożliwe“. „Można wiedzieć dlaczego?“ „Bo to imię jest nieodpowiednie dla dziecka“. Tymi słowami śmiertelnie obraziła teścia, skończyła się rozmowa i Amèlia wyszła z gabinetu poety. Święte oburzenie don Maura II Boskiego było w pełni uzasadnione, ponieważ całkiem niedawno w niezwykle żarliwych strofach, niesłusznie ciągle pozostających w rękopisie, odtworzył klimat swojego błogiego dzieciństwa:

*O, ziarno uśpione w jaśminu krainie,  
powoli nabrzmiewasz w łonie matki tkliwej,  
niebawem wyjdiesz, a ja, na pergaminie,  
ujrzę, jak wędrujesz przez lata leniwie.  
O, nieuchronny losie, co nie da się zwieść,  
on cię w końcu nakłoni, by wiersze wciąż pleść.*

Począwszy od tej chwili, teś Maur, najwyraźniej bardzo przejęty, bo według tradycyjnej rotacji wnuk powinien się nazywać tak jak on, rozpoczął intensywną kampanię na rzecz imienia Maur dla pierwszego wnuczka, jeśli to będzie chłopiec, a nie dziewczynka. Biedny Maurycy, który nazwisko Gensana krył na drugim miejscu, za Sicartem, i był tylko siostrzeńcem, nie liczył się; ja nigdy, Miquelu, nie liczyłem się w rodzinie. Dziadek Maur rozmawiał o tym z żoną doña Pilar, która tylko smutno pokręciła głową. Rozmawiał z synem, przekonany, że Amèlia w ostatniej chwili zmieni zdanie. Ponownie spróbował wciągnąć w to żonę, chciał wykorzystać jej siłę perswazji. Ale babcia Pilar znów smutno pokręciła głową.

– Można by pomyśleć, że w ogóle cię to nie martwi! – zarzucił jej rozgniewany poeta.

– Nie. – Próbowała skoncentrować się na przerwanej robótce.

– Ale to jest bardzo ważne! – Dziadek Maur, dogłębnie urażony, podkreślił wagę, podnosząc w górę palec.

– Nie, Maurze – westchnęła zrezygnowana babcia, która odłożyła robótkę na stolik i zdjęła okulary. – Zostawmy ją w spokoju. Ma prawo dać mu takie imię, jakie chce. To jego matka.

– Ale ja jestem ojcem chrzestnym! Będzie miał na imię Maur! Nieuchronie!

– Maur... – Mówiła coraz ciszej, co było najlepszym sposobem, żeby go zbić z tropu.

– Co?

– Amèlia jest matką dziecka. Niech robi, co chce.

– Nie! Z tym nie ma żartów! To tradycja naszej rodziny!

– Ona tworzy własną rodzinę. – Teraz głos babci Pilar zniżył się do szeptu, a gdybym ja wiedział, kochany Miquelu, że zachowanie babci Pilar wynikało z tego, z czego wynikało, czego nigdy nie będę mógł ci opowiedzieć, być może jeszcze bardziej bym ją podziwiał. Być może.

– Nigdy?

– Nigdy. Historia prababki Pilar to temat zakazany. I nie zmieniaj tematu, bo byliśmy w połowie Wojny Imion, a ty mnie rozpraszasz. Konflikt przybierał na sile; obrażony poeta krzychał o nie, moja pani, cał-ko-wi-cie się mylisz! Amèlia jest kontynuacją mojej rodziny! Rodziny Gensanów!

Przez chwilę jedyną odpowiedzią prababki Pilar był ironiczny uśmiech, którego sensu nigdy nie poznasz.

– Wujku, jeśli nie możesz o tym mówić, to nie rób aluzji.

– Denerwuję cię?

– Tak.

– Jak umrę, zostawię ci to wszystko na piśmie, żebyś mógł przeczytać, jak ja już będę leżał w grobie.

– Biorę. – Miquel z Uszami jak Radary odstawił żołnierzyka z folii po zakazanej czekoladzie na szafkę nocną. – Skończyłeś na słowach pradziadka Maura cał-ko-wi-cie się

mylisz.

– To ty się mylisz, Maurze. – Prababka Pilar westchnęła, odczekała, aż służąca (chyba Cinta) wyniesie z salonu filiżanki po kawie. Dopiero teraz rozmowa ją wciągnęła. Wstała, żeby mieć lepszą pozycję w stosunku do męża. Odczekała kilka sekund, jakby zbierała wszystkie siły, które ją opuściły w momencie ślubu z poetą. Spojrzała mu prosto w oczy.

– Ja nigdy nie chciałam, żeby mój syn miał na imię Antoni.

– Ależ... – Teraz don Maur Gensana poczuł się całkowicie zbity z tropu. – Od zawsze najstarszy syn...

– Bzdura. Ja nie chciałam. A to był mój syn.

– Nic nie mówiłaś.

– Kto by się ośmielił. – Babcia cały czas mówiła cichym głosem. – Ty i dziadek Tonet zjedlibyście mnie żywcem. Przemilczałam, bo tak wypadalo. – Teraz też zamilkła.

Po raz pierwszy dziadek Maur się zdziwił. Nigdy by nie przypuszczał. Dla niego było naturalne i oczywiste, że ktoś się nazywa Antoni czy Maur.

– A jakie imię ty byś dała Toniemu?

– Pere.

– Pere Gensana... – Dziadek Maur wsłuchiwał się we własne słowa. – Brzmi jak dysonans.

– Jeszcze teraz, w głębi serca, nazywam go Pere.

– Co? – Jakby usłyszał przyznanie się do niewierności.

Dezorientacja dziadka Maura trwała krótko. Na nowo podjął starania, choć z przetrąconym skrzydłem, skoro nie mógł liczyć na żonę. Porozmawiał poważnie ze swoim synem, zasięgnął opinii adwokata rodziny, a nawet odwiedził w tej sprawie księdza Vicenę, proboszcza z archikatedry, gdzie wnuk miał zostać ochrzczony. I przyczaił się, niczym drapieżnik czyhający na daniela, w oczekiwaniu na dalszy rozwój wypadków. Tymczasem dom wypełniał śmiech Maurycego bez Ziemi Sicarta, syna Caroloty, niekwestionowanego króla ulicy Bellesguard, sieroty, który ledwie odrósł od ziemi, ale ciągle się uśmiechał, jakby przeproszał, że żyje, mimo że w tak młodym wieku stracił już ojca i matkę.

Nadszedł dzień wielkiej bitwy. O poranku wszystko tonęło we mgle i było bardzo zimno. Dobiegało tylko niecierpliwe rżenie koni, którym spieszo było na spotkanie ze śmiercią. Niektórzy żołnierze pili gorącą herbatę, myśląc o ukochanej, która została w Smoleńsku, buntując się przeciw śmierci w tak młodym wieku. Metaliczny szczęk broni ginął w miękkiej mgle i dieduszka Maur Antonowicz wydał polecenie synowi, Antoszy Mauriewiczowi, aby skoro tylko znana będzie płeć noworodka, pobiegł do urzędu, niecałe dwie wiorsty od domu, i światu przybędzie kolejny Maur. O ile to będzie chłopiec. Miał być chłopiec, według doktora Canyameraesa. Ale Antoni bardzo się denerwował, bo po pierwsze, to był pierwszy poród, nie licząc własnego, który miał z nim bezpośredni związek, a po drugie, przejmował się poważnymi problemami, jakie zaistniały w fabryce (wersja oficjalna), co wpłynęło na tempo reakcji. Albo, według babci Amèlii (wersja bardziej prawdopodobna), nie był przekonany, że zrobiłby dobrze, postępując wbrew woli bezbronnej matki w połogu. Tak czy inaczej, Trójprzymierze pomiędzy matką (krzyki, ból, lęk, niepokój...), akuszerką (profesjonalny

dystans i święta cierpliwość) i babką Pilar, która pierwszy raz od wielu lat się ożywiła, z ironicznym uśmiechem i błyskiem w oku, okazało się wystarczająco skuteczne, by odwrócić uwagę dziadka, zagrozić ojcu i doprowadzić do tego, aby zarejestrował nowo narodzonego pod imionami Pere, Miquel, Maur i Antoni Gensana i Eroles, kuzyn Maurycego bez Ziemi, syn Antona i Amèlii i wnuk Maura i Pilar ze strony ojca oraz Jaumego i Matilde ze strony matki. Babka Pilar wygrała długą, nikomu nieznaną batalię i utorowała drogę wszystkim synowym wchodzącym do tamtej rodziny, która przekazywanie imion męskim potomkom, dziedzicom rodu, od pięciu pokoleń uważała za sprawę świętą i punkt honoru. Przez dwa lata z uporem maniaka dziadek Maur nazywał nowego dziedzica Maurem. Aż pewnego dnia jego synowa zbuntowała się i przypomniała mu raz na zawsze tato, mój syn nazywa się Pere I Uciekinier. Dziadek Maur ustąpił, a babka Pilar śmiała się w duchu. Boże, czemu nasza rodzina jest taka smutna?

Miquel zamilkł i spojrzał na Julię, która jeszcze nie zaprotestowała, że tak mało jej opowiedział o Bolósie. Przez chwilę poczułem panikę w obecności tej atrakcyjnej kobiety i pomyślałem, że to pewnie jej oczy stały się przyczyną mojej wylewności. Z tą swoją skłonnością do estetyzowania Miquel nie wziął pod uwagę, że to przez wino; tak czy inaczej, poprzysiągł sobie, że musi się zdobyć na poważny wysiłek, aby zachować przynajmniej część swoich wspomnień w największej tajemnicy. Aby nie wpaść nie-u-chron-nie w głęboką studnię tych oczu.

– Twoja rodzina jest smutna?

Nawet sobie nie wyobrażasz jak bardzo, pomyślał Miquel. Odpowiedział słuchaj, Júlio, jedyną osobą, której śmiech słyszałem, był wujek Maurycy, który przez całe życie robił, co chciał, pozostał kawalerem, ciesząc się wszelkimi przywilejami tego stanu, bez żadnych skutków ubocznych; studiował fortepian, prawo i filologię klasyczną, nigdy nie pracował zarobkowo, a kiedy przyszedł czas załamywania rąk, zwariował i oszczędził sobie kłopotów. Przynajmniej taka była oficjalna wersja, którą poznał Miquel II Gensana Niedoinformowany i którą przekazał Juli, zdziwionej, że tyle opowiada o swojej rodzinie, ale Miquel mówił jak w transie i nie potrafił przerwać. Mimo że zjawili się jako pierwsi, jeszcze nie skończyli pierwszego dania, a do niektórych stolików już podawano kawę i likier. Duszone warzywa całkiem wystygły.

– Słuchaj, ty musisz znać tych, którzy tu wcześniej mieszkali.

– Ja? – Miquel się sploszył. – Dlaczego?

Wiedział, że to nieostrożność. Wiedział, że nie powinien tego robić. Ale każdy ma prawo sprzeniewierzyć się własnym zasadom i dlatego towarzysz Simó nie uprzedził kolegów, że jedzie odwiedzić matkę. Sam też nie rozumiał dobrze swoich intencji. Dopiero po roku uświadomił sobie, że jego ucieczka z domu dokonała się bez podawania przyczyn. Oczywiście dzwonił do nich parę razy, zawsze wczesnym popołudniem, kiedy w domu panował spokój, a ojciec był w fabryce, i zawsze wtedy odpowiadał mu miły, wystraszony głos matki, która zrezygnowała z zadawania pytań, bo jej syn okazał się trudnym przypadkiem, i zadowalała się informacją, że żyje, dobrze się odżywia, nie marznie i nie naraża się na niebezpieczeństwo. Ze wszystkich kłamstw jedynym, które jakoś dałoby się wybronić, było to pierwsze. A kiedy odkładał słuchawkę, Miquel czuł smutek, bo nie chciał zasmucać matki, ale odsuwał od siebie tę myśl, przekonany, że robi to, co konieczne, że ktoś tego musi dokonać, a po rewolucji przyjdzie czas, gdy znów będziemy razem, zadowoleni i szczęśliwi. Ale jednak ten smutek towarzyszył mu przez kilka godzin.

Przy bramie do ogrodu nie dojrzał samochodu ojca. Drzewko truskawkowe wiernie trwało na straży, a cienie kładły się coraz dłuższe, bo z powodu zimowego chłodu słońce wołało wcześniej pójść spać. Dreszcz, który poczuł przy wkładaniu klucza do zamka, musiał być reakcją na zimno.

– Mamo?

Upłynął dopiero rok, od kiedy opuścił dom, a wydawało się, że to tysiąclecia. Uległ niezbyt odpowiedniemu dla rewolucjonisty nastrojowi drobnomieszczańskiej nostalgii pod wpływem wspomnień z dzieciństwa i stojąc w pograżonym w ciemnościach holu, poczuł ucisk w gardle na widok słabego światła dochodzącego z salonu.

– Mamo?

Ojciec podniósł głowę. Czytał w fotelu, w którym zwykle matka zajmowała się szyciem. Nie poruszył się ani jeden mięsień jego twarzy, co znaczyło, że jest bardzo zdziwiony. Poznałem to po drżeniu wąsów.

– Przestałeś robić z siebie idiotę i wracasz do domu?

– Nie. Przyjechałem odwiedzić matkę.

Przed sobą partyzant Simó miał postać symbolizującą mieszczański brak zrozumienia dla rewolucji. Natomiast Miquel miał przed sobą ojca, z którym przez całe dwadzieścia lat swojego życia zamienił może ze sto słów.

– Matka. Przyjechałeś odwiedzić matkę.

– Nie wiedziałem, że ciebie zastanę.

– Czyli mnie unikasz.

– Ojcze, nie zaczynaj...

– Słuchaj, pajacu: ja całymi dniami pracuję, żeby utrzymać rodzinną firmę.

– No i dobrze.

– Nie, nie dobrze. Ty uważasz, że to straszne.

Rzucił w niego pudełkiem zapalek, które leżało obok papierośnicy.

– No już, szybko. Leć podpalać fabrykę!

– Nie wiem, czemu się tak zachowujesz.

– Nie wiesz? Posłuchaj.

Ojciec miał już przedstawić listę pretensji, ale Miquel przerwał mu z rewolucyjną energią.

– Przyjechałem odwiedzić matkę, nie dyskutować.

– Czym ty się właściwie zajmujesz? – Wreszcie ojciec złożył gazetę i zdjął okulary. Spojrzał na mnie z mieszaniną nienawiści i ciekawości. – Jak cię złapią, będziesz mnie prosił o pomoc.

– O nic nie poproszę. Pracuję dla szlachetnej sprawy, a jeśli ty tego nie rozumiesz, to nie moja wina.

Ojciec uśmiechnął się zmęczony.

– Udało ci się przemówienie.

– Gdzie jest matka?

– Wróć do domu i o wszystkim zapomnimy.

– Co ty sobie wyobrażasz? Że to zwykły kaprys?

– Co ty właściwie robisz?

– Różne rzeczy.

– Rzuciłeś studia, uciekłeś z domu, bawisz się w politykę... – Patrzył na niego rozszokowany. – W tej rodzinie już się sparzyliśmy na polityce. Czyżbyś zapomniał?

– Nie. Muszę żyć własnym życiem.

– Jesteś żalorny. – Przez parę sekund skupił wzrok na złożonej gazecie, żeby mnie upokorzyć. – I co, całymi dniami wymyślasz proklamacje?

– Robię to, co mi nakazuje sumienie. Dla dobra klasy pracującej.

– Bzdura. – Wstał i podszedł do mnie. – Klasa pracująca to ci, którzy pracują. Tacy jak ja.

– No proszę!

– Ty się bawisz, a już jesteś w wieku, kiedy...

– Nie bawię się. Ryzykuję życie.

– Ryzykujesz? – Rzucił okulary na gazetę. – Żyjesz z głową w obłokach na mój koszt.

Miquel poczuł się urażony tym komentarzem. Odwrócił się na pięcie i kiedy już był w drzwiach, przybrał teatralną pozę. Nawet lekko uniośł brwi, jak nie przymierzając, jakiś

maître.

– Nic ci nie jestem winien, ojczu.

To były ostatnie słowa na wiele miesięcy. Czasami się zastanawiam, dlaczego ojciec i ja tak się od siebie oddaliliśmy, i widząc, że rośnie dystans, nie ruszyliśmy nawet palcem, żeby temu zaradzić. Miquel nie powiedział żegnaj, a ojciec wrócił do swojej gazety, z pewnością wewnątrznie roztrzęsiony. Kiedy był w holu, biała głowa wujka wyłoniła się z biblioteki, i popatrzył z zaciekawieniem.

– Skąd się tu wzięłeś, chłopcze? – wyszeptał.

– Nie zastałem matki, prawda?

– Chodź, wejdź do środka.

Zaprosił go do biblioteki i pocałował w policzek, nie pytając o zgodę.

– Dziecko, jak się miewasz?

Podeszli do biurka. W świetle lampki zobaczył otwarty tomik poezji. Czasem myślałem, że mieć takiego wujka, który czyta wiersze Foixa i gra utwory Mompou, to prawdziwy luksus. Ale dziś zrozumiałem, że luksusem było mieć wujka, który potrafił pocałować w policzek zbuntowanego bratanka.

– Musisz stąd zaraz iść. Słyszysz?

– Ale co się dzieje?

– Jak się miewasz, synu?

– Dobrze. Co się dzieje? Dlaczego jesteś taki wystraszony?

– Wczoraj pytali o ciebie.

– Kto?

– Dwaj faceci. Z policji. Masz coś na sumieniu?

– Nie. Czego chcieli?

– Nie wiemy. Chcieli się dowiedzieć, gdzie jesteś. Widziałeś ojca?

– Tak. Jest na mnie zły.

– Sam pomyśl. Też byłbym zły na jego miejscu.

– Wujku, do cholery, daj spokój.

– Dlaczego każdy Miquel musi zadawać ból?

Wtedy go nie rozumiałem. Ale Miquel zapamiętał dreszcz nostalgii, zapach wilgotnej ziemi, ogród zatopiony w półmroku, wszystko, co odezwało się w jego duszy w tamtej bibliotece, w obecności wujka. Ale musiał już wracać, chwilowy miraż rozsypał się w drobny mak i poczuł się rozpaczliwie zmęczony, jak rekin, który nie może przestać pływać, bo jak się zatrzyma, to umrze. Z głębi czulego serca Miquela, wbrew sobie, odezwał się Simó.

– Idę. Innym razem porozmawiamy.

– O, nie. – Wujek wyciągnął ramię i zmusił go, żeby usiadł. – Poczekaj, aż wróci matka.

– Nie. A jeśli obserwują dom?

– Nie mówiliś, że nie masz niczego na sumieniu?



- Pójdę już, wujku. Naprawdę, tak będzie lepiej.
- A co mam powiedzieć matce?
- Nic. Lepiej, żeby nie wiedziała, że tu byłem. Jak się miewa?
- Jest smutna.

Tym razem wujek nie przeszkodził, kiedy Miquel wstał, gotowy do wyjścia. W drzwiach, w ciemności, wujek Maurycy podał mu rękę. Niczym dyskretny prestidigitator włożył mu do ręki dwa banknoty pięćsetpesetowe z ostatnią, beużyteczną radą:

- Nie szalej. Nie warto.
- Nie chcę pieniędzy.
- Jak nie chcesz, to wyrzucić.

Wujek odwrócił się na pięcie i bezszelestnie zamknął drzwi za sobą, nie odwracając się, żeby po raz ostatni spojrzeć na Miquela, kto wie, może na bardzo długo. Miquel domyślił się, że wujek nie chciał, by dostrzegł nieposłuszną łzę, która mu spływała po policzku. Nie mógł jej powstrzymać.

Bez żadnego związku z tą drobnomieszczańską, kontrrewolucyjną, sentymentalną wyprawą kierownictwo Partii, które było bardzo poruszone, bo miało mocne dowody na to, że coś szwankuje w strukturze organizacyjnej pod względem bezpieczeństwa (bezpieczeństwo działaczy jest jednym z głównych aspektów troski na etapie przedrewolucyjnym, bo bez działaczy – awangardy klasy robotniczej, na której się opiera proces rewolucyjny, niemożliwy jest postęp historyczny), zmieniło usytuowanie czterech komórek, żeby stawić opór infiltracji; w efekcie Bolós i ja, chcę powiedzieć Franklin i ja, trafiliśmy do lokalu przy ulicy Badal w charakterze wolnych strzelców, członków zmilitaryzowanej grupy operacyjnej. Przy ulicy Badal czekali już Xato, Cunillera i wyidealizowane wspomnienie dzielnic palestyńskich na wschód od Bejrutu, powiewu wiatru na Kurnat as-Sauda oraz jakieś dziwne skurcze między duszą a żołądkiem. Miquel II Robin Hood Gensana czuł lęk.

Miquel zauważył, że Júlia ma coraz bardziej maślane oczy. Prawdopodobnie z powodu wina. Szkoda, że nie poznał jej dwadzieścia lat temu, kiedy wszystko było możliwe. Spojrzała ze wstrętem na stojącą przed nią sałatkę i zde gustowana rozgrzebała ją widelcem, jak chirurg, który decyduje zamknąć brzuch, bo nic się nie da zrobić.

– Czy nie prosiłiśmy, żeby nie dawali cebuli?

– Daj spokój.

– Nie, bo mnie to wkurza. – Teraz jej oczy błyszcząły. – Mówią ci tak, proszę pani, a potem robią po swojemu.

Júlia spiorunowała morderczym spojrzeniem plecy maître'a, który w tym momencie obsługiwał stolik siedemnaście. Miał facet szczęście – gdyby zobaczył te oczy, roztopiłby się jak fondue.

– Nie rób afery, teraz ty.

– Tylko dlatego, że Maite jest moją przyjaciółką, w przeciwnym razie... – Widelcem grzebała niezdecydowana w sałatce, aż się ożywiła. – Ale pasztet był znakomity.

Wujek opowiedział mu, z jakim trudem zachował w sekrecie jego krótką wizytę w domu. Chyba ze sto lat, Miquel, synku, twoja matka żyła z cierpieniem w sercu, bo nic o tobie nie wiedziała.

– I nic jej nie powiedziałeś...

– Kazałeś mi przysiąc. Zeszmaciłem się, ale milczałem. Nawet sobie nie wyobrażasz, jaka panowała u nas cisza. Udawaliśmy, że nie pamiętamy, że mamy dziedzica na wojnie, i mało się do siebie odzywaliśmy, a kiedy już ktoś musiał, to drżącym głosem. Twoja matka i ja nigdy o tym nie rozmawialiśmy w obecności ojca, bo dla niego byłeś martwy. Ja, który wychodziłem tylko do fabryki, poczułem, że dom jest dla mnie ciężarem, a przecież tak go kochałem, ale pamiętam doskonale, że te lata najchętniej bym na zawsze wykreślił; pewnie dlatego, że nie wiedziałem, co jeszcze nas czeka. Matka, biedactwo, myślała tylko o tobie, a Pere z każdym dniem coraz bardziej zamykał się w sobie, bo interesy nie szły dobrze, no i cierpiał z twojego powodu.

– Przeze mnie na pewno nie cierpiał.

– Ależ tak. Znam go dobrze. Ale nie chciał się do tego przyznać. Bo byłeś...

– Wujku, robiłem, co do mnie należało, i tyle.

– Kosztem innych.

– Zawsze wszystko się dzieje kosztem innych.

– No więc jesteś jednym z tych, przez których inni cierpią. Popatrz, jaka ludzka wieża; bardzo dobry jest ten japoński papier.

– Przywiozę ci więcej.

– Daję ci ją w prezencie. To wieża sześciopiętrowa, po trzech akrobatów na każdym poziomie. Nie wiem, czy w ogóle istnieją takie wieże.

W tym momencie, po kilku wizytach w psychiatryku przy ulicy Bellesguard, Miquel II Gensana Wnuk i Bratanek, miał już w domu dwa czy trzy tuziny lwów abisyńskich i nie mógł się zdecydować, by któregoś wyrzucić, bo byłby to ciężki zamach na własną przeszłość.

– Jeśli ty taką zrobisz, to już istnieją.

Korzystając z tego, że kapitan Samanta właśnie upominała jakiegoś dziadka na korytarzu i przez to nie mogła zajrzeć do pokoju, wsunąłem czekoladę do szafki nocnej. Już miałem zasunąć szufladę, ale on, nie komentując, dyskretnie przykrył tabliczkę plikiem nowego papieru, podczas gdy jego głos oddalał się w czasie i mówił moja matka urodziła się, aby cierpieć, ale to tak odległa przeszłość, że równie dobrze mogła się wcale nie wydarzyć.

– Kiedy urodziła się ciotka Carlota?

– W tysiąc osiemset siedemdziesiątym piątym – odpowiedział bez zastanowienia, jakby w tej sprawie nie miał żadnych problemów z pamięcią. Nieraz zastanawiałem się, czy nie zmyślał na poczekaniu. Przypomnił mi, że jego matka była młodszą siostrą Maura II Boskiego. Dużo młodszą, bo było między nimi siedemnaście lat różnicy, tak że prawie mógł być jej ojcem. I jeszcze dodał, że dziadek Maur nigdy jej nie kochał, tej swojej siostrzyczki, bo kiedy się urodziła, on już składał aleksandryny i w gruncie rzeczy relację między rodzeństwem zdeterminowała zawiść. A także głęboko ukryty niepokój, o którym Miquel wtedy jeszcze nie miał pojęcia.

Według teorii wujka Maurycego pradziadek Maur był przeciętnym poetą, typowym dla tamtych czasów, gotowym wyrecytować bez rumieńca wstydu takie pożal się Boże rymy:

*Jeżeli miłości nie ma bez cierpienia  
i konające serce w kochaniu rozdziera,  
co nas wiedzie na bezdroża zatracenia:  
kochać w śmierci albo w miłości umierać?*

a na dodatek jeszcze się nimi chwalił. Ale obok nich, zawstydzony, pisał do szuflady, nie pokazując nikomu, ale też nie niszcząc, takie perełki:

*Śnieżnobiały łabędziu,  
dumo tajemnej wody,  
zrodzony z muśnięcia ust  
świtu i pogodnej nocy.*

Wujek się zastanawiał, dlaczego ten wierszokleta, skoro potrafił dostrzec pocałunek świtu i nocy, nie dopuszczał do głosu prawdziwej wrażliwości poetyckiej. Natomiast zadowolony z siebie chwalił się przed Maragallem wierszami o śmierci uśmierconej miłości. Nie do wiary. Wujek Maurycy doszedł do wniosku, że pradziadek padł ofiarą mody. Do tego stopnia, że w ogóle sobie nie uświadamiał, z jakiego powodu jego poezja nie budziła entuzjazmu Zannego czy Maragalla; z grzeczności obaj wybitni poeci odsyłali mu jego wiersze bez komentarza albo co najwyżej z dopiskiem w rodzaju: jestem wdzięczny za zaufanie i możliwość przeczytania tego interesującego, inspirującego wkładu do aktualnej liryki. Niech pan się nie zniechęca i nadal podąża drogą poezji. Brak zażyłości z autorem zmuszał ich do miłosiernego kłamstwa. I tak niez mordowany poeta, pradziadek Maur, lekceważąc tajemne pocałunki łabędzi, nadal brnął w śmierć uśmierconej miłości.

Efekt był taki, że literatura katalońska traciła głos liryczny, który mógł być całkiem interesujący, a rodzina Gensanów zyskiwała zgorzkniałego frustrata. Ciekawe, filozofował wujek Maurycy, przeżywając kostkę nielegalnej czekolady, jak bardzo ludzie potrafią się zadreć sprawami, które same w sobie są pozytywne. Pradziadek Maur był człowiekiem dość zamożnym, mieszkał we wspaniałej osiemnastowiecznej rezydencji, której właściciele nie przegapili żadnej okazji, by ją unowocześnić dla własnej wygody; cieszył się powszechnym szacunkiem; nie musiał pracować, żeby się utrzymać, ponieważ przodkowie wykonali za niego pracę; zadbał o przyszłość syna, dając mu w prezencie fabrykę, czyli mógł liczyć, że jego następcy będą na niego pracować, a jednak czuł się nieszczęśliwy, gdyż jego wiersze nikogo nie zachwycały. Tylko uprzykrzał nimi życie innym. Jego syna (mojego przybranego ojca, Miquelu), Antoniego III Fabrykanta, usatysfakcjonowanego prezentem, nie interesowały takie subtelności i zamiast hemistychów, dwunastozgłoskowców i jambów zajął się sukmem i myślał o osnowie, wątku, krosnach i czółenkach, wykończeniu i barwnikach. Zgarniał pieniądze kosztami i zadawał się jak równy z równym z rodzinami Rigau (z tą bogatszą częścią rodziny), Comamalów i resztą doborowego towarzystwa. Też nie był szczęśliwy, ale przynajmniej zarabiał pieniądze. Wszyscy musieli znosić cierpliwie humory dziadka poety i wszyscy musieli zaakceptować, że rodzina Gensanów była bogata, a ja miałem dzieciństwo milionera – smutnego, bo miałem oczy wypatrujące zbyt wielu zmarłych, ale jednak milionera. To trwało aż do kłęski po ucieczce twojego ojca. Miquel wyobrażał sobie wujka w dzieciństwie, w tych samych grubych okularach, z ironicznym dystansem do życia, pławiącego się w dobrobycie i liczącego wydawane banknoty opuszkami dziecięcych paluszków.

Ale nie takiego obrotu spraw oczekiwał wujek od losu. Nawet w podeszłym wieku, kiedy ukradkiem przeżuwał przyniesioną przeze mnie czekoladę, wzruszał się, gdy mówił o swojej matce jako jedynej osobie z rodu Gensanów, która odczuwała w życiu potrzebę romantyczności. A konkretnie chodziło mu o to, że niedawno minęło sto lat, sto lat, Miquelu, od dnia, w którym Carlota Gensana i Bardagí w dniu siedemnastych urodzin (jej szanowny brat miał już dwunastoletniego syna, dziadka Antoniego), trzynastego października tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego drugiego roku, odpowiedziała tak (spojrzeniem tamtych oczu w kolorze błękitu nieba) na oficjalne oświadczyzny pana Francesca Sicarta, człowieka znikąd, bez przeszłości, z grubą kiesą, który wcale nie był zegarmistrzem, zakochanym na zabój

w tym powłóczyście spojrzeniu i dwadzieścia lat od niej starszym. Dwadzieścia lat. Tak więc mój ojciec złożył oficjalną propozycję małżeństwa w siedemnastej wiosnie jasnych oczu mojej matki, ciemnym spojrzeniem trzydziestosiedmiolatka. Nie musiał długo czekać na odpowiedź, bo matka nie mogła się doczekać, kiedy wreszcie wyjdzie z domu, jak najdalej od planów brata, dziedzica, fabrykującego heksametry zamiast majątku i uczciwie roztrwającącego rodzinną fortunę. Również miała dość plomiennych przemówień ojca (Antoniego II Gensany Złoustego), zarozumiałego polityka, który zabierał robotę do domu i podobnie jak artyści, żył w swoim świecie, wyniosłe odcinając się od otaczającej go rzeczywistości. Carlota powiedziała tak również dlatego, że się zakochała w tkliwej miłości czarnobrodęgo mężczyzny, który dla niej stracił głowę. Powiedziała tak, bo wreszcie poczuła się silna i potrzebna, ona, która dla własnego ojca spędzającego więcej czasu w Kortezach niż w salonie własnego domu w ogóle nie istniała, a brat, uznając brak zainteresowania jego poezją za dowód niewrażliwości, choć przecież kobietom przychodzi to tak łatwo, nazywał ją zerem.

Gdy wujek Maurycy opowiadał o swojej rodzinie, zawsze brał stronę matki, tej zbuntowanej. A trzeba pamiętać, że kiedy ciotka Carlota powiedziała tak Czarnobrodemu, brakowało jeszcze ośmiu czy dziesięciu lat do narodzin wujka i nic nie wskazywało na to, że z czasem będę mieszkał w domu Gensana, adoptowany przez babcię Amèlię, która stała się moją przybraną matką, mimo że miała nade mną przewagę zaledwie piętnastu lat życia. Moją prawdziwą matkę pamiętam tylko dzięki portretowi na podeście schodów. (Sukienka z gazy i oczy w kolorze jasnego nieba, energia promieniująca z zamysłonego spojrzenia, a w delikatnej, przezroczystej dłoni jeden z tomików jej brata nienadających się do publikacji.) Rodzina zapamiętała moją matkę jako ciotkę Carlotę, a w Historii zapisała się jako Carlota Ukochana. Poza mną i babcią Amèlią mało kto ciepło ją wspomina, ponieważ rodzina Gensanów jest bardzo brytyjska, jeśli chodzi o nieokazywanie uczuć, choćby były nie wiem jak silne.

– Tak sądzisz, wujku?

– Tak sądzę. Jeszcze jak sądzę. Jesteśmy rodziną milczków. – Pobrudził sobie rękę czekoladą, a teraz oblizywał palce ze smakiem. – Miquelu, gdybyśmy częściej kłócili się ze sobą, może by nie doszło do ucieczki twojego ojca.

Co Miquel mógł o tym wiedzieć. Ale wujka guzik obchodziło, co Miquel wie, a czego nie wie. Dlatego kontynuował opowieść o miłości swojej matki, dramatyczną historię z dramatycznym finałem, w wyniku której syn małżeństwa Sicarta i Gensany, Maurycy bez Ziemi, trafił do rodzinnego gniazda. Mając zaledwie pięć lat, stałem się starszym synem mamy Amèlii, która już wtedy nosiła drugiego syna w brzuchu. Stałem się synem przez nią niewynoszonym, od razu pięcioletnim, niczym cios wymierzony przez zły los.

Małżeństwo Sicartów zamieszkało w skromnym domu w centrum Feixes. Świeżo poślubiona małżonka, młodzianka Carlota z domu Gensana, żona Sicarta, nie tęskniła za swoim luksusowym panińskim pokojem, wielkim ogrodem z sadzawką i nadętymi łabędziami, sekretnymi zakątkami, gęstymi lasankami ani za prawie dwoma tuzinami pomieszczeń w siedzibie rodu. Ani za imponującymi reprezentacyjnymi schodami. Ani za obszernymi pomieszczeniami kuchennymi, ani za troskliwą opieką Luísy, która asystowała

przy jej porodzie i która miała umrzeć w tej posiadłości po czterdziestu siedmiu latach, bijąc absolutny rekord pobytu w domu Gensana wśród służących. Nie tęskniła za niczym, bo była szczęśliwa, kochała i była kochana. A jej Francusowi dnie i noce nie wystarczały, żeby się nasycić tym wymarzoną kobiecym ciałem. Żyli oboje, oni tak, w czymś w rodzaju niepowtarzalnego cudu, tak delikatnego jak mydlana bańka. Carlota była taka szczęśliwa, że zdecydowała się kontynuować wcześniej przerwane lekcje fortepianu. W domu Gensana muzyka przeskadzała ojcu politykowi i zakłócała spokój udręczonej, milczącej i smutnej matki, z którą nikt się nie liczył, mimo że pochodziła z rodziny Bardagi. (A może jednak miała coś pożytecznego do powiedzenia, w końcu to ona podsunęła mężowi pomysł, by ożenić dziedzica w ogrodzie układającego aleksandryny z panną z rodziny Prim, nie z córką polityka, tylko z jego bratanicą. Kiedy osiągnęła swój cel, doña Margarida zamilkła i już nie więcej nie powiedziała ani niczego nie dokonała. Kiedy Carlota wychodziła za mąż, ze smutkiem obserwowała to wszystko z dystansu, jakby z odległości innego kontynentu. Nie śmiała się ani nie płakała, w każdym razie nigdy w obecności postronnych osób.) Wiesz, Miquelu, jak bardzo babcię Amèlię, i mnie, który o rodzinie wiem wszystko, zaskoczyła ta kobieta na pozór zimna jak lód? Nie wpadliśmy na to, że przeżywała intensywny, płomienny, namiętny romans z serdecznym przyjacielem swojego męża, niejakim Playà, który miał dwie zalety: był kawalerem i nie był politykiem. Kiedy małżonek głośno protestował w Kortezach przeciw nadużyciom władzy, ten cały Playà i niepozorna doña Margarida pracowali nad swoją interpelacją z taką gorliwością, że mogliby uchodzić za jedną z najbardziej ognistych par w historii namiętności. Gdyby nie brak dokumentacji. Dlatego kiedy zrozumiała, że jej córka Carlota zakochała się w Czarnobrodym, nie wtrącała się, mimo dwudziestu lat różnicy między nimi. Jej mąż prawie nie zauważył tych zaręczyn. Najbardziej protestował Maur II Nieustępliwy, który nie chciał, żeby jego siostra wyszła za mąż za mężczyznę dojrzałego, starszego niż on. Nie i nie. Ale musiał się z tym pogodzić, bo rodzice w końcu pobłogosławili ten związek. W gruncie rzeczy sprzeciw Maura II Gensany Boskiego wynikał z czystej zawiści: był zazdrosny o zakochanego Sicarta (och, ta braterska kazirodzca miłość) i o bezdyskusyjną wzajemność Caroloty, która w wieku siedemnastu lat powinna brzdąkać na fortepianie utwory z *Albumu dla młodzieży* lub huśtać się pod lipami, a nie wdawać w romanse. Ta postawa wybitnego poety (który był już żonaty i dzieciaty, ale kochał się tylko w anapeście i świetnie mu się udało stworzyć własne, osobiste, sekretne piekło) pomogła Carolocie podjąć decyzję. Wyszła za mąż i nie miała dzieci. Mimo to małżonkowie byli szczęśliwi i wydawało się, że brak potomstwa im nie przeszkadza. I kiedy wszyscy już oswoili się z myślą o bezpłodności tej pary (nadmiar namiętności to grzech, a grzech nie prowadzi do płodności, teoretyzował ksiądz Vicenç, który z czasem awansuje na archidiecezjan), po ponad dziesięciu latach małżeństwa, pewnie po to, żeby zadać kłam tej opinii, urodziłem się ja, twój wuj Maurycy, niechlubnej pamięci, zdaniem niektórych. I ksiądz Vicenç, już wtedy archidiecezjan, ale jeszcze nie spoczął na laurach, zapewniał na chrzcinach, że dzięki boskiej interwencji miłość zawsze przynosi owoce i wszyscy przytaknęli poza noworodkiem, który był aniołkiem, biedactwo, takie maleństwo, taka kuleczka, tak bardzo bez Ziemi, takie zawiniątko pełne jęków z zamkniętymi oczami, które niczego nie widziały, mój anioleczek. Wtedy małżeństwo Sicartów poczuło się podwójnie szczęśliwe, ponieważ

nikt, nawet oni sami, nie może nigdy przewidzieć, co przyniesie przyszłość, jakie nieszczęścia im szykuje.

Ciocia Carlota zmarła nagle w dniu swoich trzydziestych czwartych urodzin. Tak nagle, że zaskoczyła nawet samą śmierć. Skończyła układać ubranka syna, czyli moje, a miałem wtedy z pięć lat (wyobrażasz mnie sobie, Miquelu, w tym wieku, teraz, kiedy mam ich z tysiąc?), i wchodziła po schodach, żeby powiedzieć mężowi, że stół już jest nakryty do śniadania. Zawsze w niedzielę Francesc i Carlota jedli śniadanie sami, w małej jadalni, bez pośpiechu; patrzyli sobie w oczy i uśmiechali się, po piętnastu latach małżeństwa. I żeby jakoś odróżnić ten dzień od innych, zamiast kawy pili herbatę. Zazwyczaj Francesc, który w wieku pięćdziesięciu pięciu lat szczycił się doskonałą kondycją, zamykał małą jadalnię na złoty kluczyk, kiedy tylko służąca skończyła przygotowania. Niedziela za niedzielą rozbierał z miłością swoją ukochaną i tam się kochali. Poduszki na sofie tłumiły krzyki i pozwalały zachować w sekrecie ten rytuał niedzielnych śniadań, godzina tylko dla nich, tylko dla dwojga i dla nikogo więcej. Nawet ja nie byłem dopuszczany, Miquelu. To była godzina wielkiej, wzajemnej miłości dwojga zakochanych, którzy się kochali mimo dwudziestu lat różnicy między nimi. Ich godzina.

W tamtą niedzielę Carlota weszła na górę, by zawołać swojego męża; schodzili po schodach oboje, trzymając się za ręce, a on, uśmiechając się w duchu, już widział oczami wyobraźni zaskoczenie swojej Carloty na widok niespodzianki, jaką jej przygotował – pierścionka z brylantem leżącego obok gorącego dzbanka z herbatą, symbolicznej świeczki, którą na jego polecenie zapaliła służąca, i tej fotografii, na której jego piękna Carlota wpatrywała się w obiektyw tak intensywnie (on jeszcze nie wiedział dlaczego), jakby rozpaczliwie trzymała się życia uwiązanego na wątlej nitce. Weszli do jadalni, gniazdko ich miłości. Służącej nie było. Francesc zamknął drzwi na klucz niemal ceremonialnym gestem, po czym zdjął szlafrok, z pewnością aby dać do zrozumienia, że tego dnia był w nastroju do zabawy. Ona podjęła wyzwanie i też zrzuciła szlafrok. Zdjął z niej delikatną białą koszulę i aż westchnął z wrażenia, kiedy ją zobaczył nago. Poczul się szczęśliwy. „Popatrz, co leży na stole, najdroższa”. Ruchem ręki zachęcił ją, by usiadła. Przysiadła, naga i wspaniała, na tym rzeźbionym w kwiaty krześle, a jej oczy odkryły otwarte pudzeczko. Światło świecy zaiskrzyło tysiącem marzeń na powierzchni brylantu. Ciotka Carlota otworzyła szeroko oczy ze zdumienia, a on poczul się szczęśliwy. „Nałóż go”. Tak zrobiła: iskiarki w nieskończonej ilości towarzyszyły każdemu jej ruchowi i odbiły się w jej oczach. „Och, Francesc...” „Nie musisz nic mówić... Nie masz pojęcia, jaka teraz jesteś piękna, ubrana tylko w pierścionek...”

Później przyszła kolej na następny prezent – fotografię. Bardziej niż dla niej był to prezent dla niego. Carlota przypatrywała się sobie w ciszy, przejęta, jakby przeczuwała, co za chwilę się wydarzy. Odsunęła od siebie jakąś ponurą myśl, odłożyła portret na stół i uśmiechnęła się do męża, który w tym momencie, czego nie zauważyła wcześniej, już stał przed nią całkiem nagi, namiętny i podniecony. Ona, z pierścionkiem na palcu, wstała, by połączyć się z ukochanym, który czekał ogarnięty wzruszeniem i wyciągał do niej ramiona. Kiedy już była blisko Francesca i stali tak oboje nadzy, wyciągając do siebie ramiona, nagle się zatrzymała, intensywnie wpatrując się w męża, na jej twarzy pojawił się cień uśmiechu, jakby prosiła go o wybaczenie, i umarła. Osunęła się na podłogę, niema i naga, i nie od razu

Francesc zorientował się, że całe jego szczęście, źródło jego witalności, leży nieruchomo na ziemi, z brylantem na palcu, ale bez nieskończonej ilości iskier w przerażonych oczach. I wtedy wujek Francesc zwariował. Ale to, synku, całkiem inna historia. Mam nadzieję, że teraz rozumiesz, dlaczego przez całe życie byłem zakochany w mojej matce. Ja ją zapamiętałem tylko dzięki fotografii подарowanej przez ojca w dniu jej śmierci.

Na pogrzebie ciotki Carloty Gensany stawilo się Feixes w komplecie. Bo nosiła nazwisko Gensana, bo była młodą piękną kobietą, ale też dlatego, że w mieście niewiele się działo, więc żal byłoby przegapić taką okazję. Również dlatego, że jeszcze w listopadzie ludzie za wszelką cenę próbowali zapomnieć o lipcowym Tragicznym Tygodniu<sup>[13]</sup>, którego dotąd nie odchorowali ani robotnicy, ani fabrykanci. Jednak nie wszyscy przyszli: nie pojawił się nikt z rodziny Rigau, ani na nabożeństwie, ani na cmentarzu. W pierwszym rzędzie w archikatedrze siedział don Francesc Sicart, debiutujący w roli wdowca, a obok niego, w żalobie, oszołomiony syn, do którego nie docierał sens tego, co się stało, i nie wiedział, że właśnie zaczyna się oswajać z przydomkiem Maurycy bez Ziemi. Spojrzenie wdowca, utkwione w trumnie, wilgotne od niedowierzania i stwardniałe z bólu, wydawało się tak mocne, tak głębokie, że w każdej chwili mogło mu rozsądzić gałki oczne. Ksiądz Vicenç mówił o rezygnacji, o wiecznym odpoczywaniu, o bożej dobroci i że pewnego dnia wszyscy się z Carlotą spotkamy. Ale Francesc go nie słuchał. Za bardzo się skoncentrował na trumnie, jakby w ten sposób mógł zapobiec definitywnej śmierci jego ukochanej Carloty; widział brylant, świecę, radość, ona podchodziła naga, on na nią czekał, szczęśliwy, że może kochać tę szczęśliwą kobietę, i otwierał ramiona, czekając, aż umrze.

Kiedy ją ubierano, kobiety zdjęły z jej palca pierścionek z brylantem i oddały go Francescowi. Ten, głosem zachrypniętym od cierpienia, powiedział, że chce, by ją pochowano z pierścionkiem. „Ale to klejnot”. Odpowiedział, że właśnie dlatego, i nie tłumaczył im, że podarował go parę sekund przed śmiercią, bo były jej urodziny, ani też nie powiedział, że ci, którzy umierają w dniu swoich urodzin, są wybrańcami bogów i ich przeznaczeniem jest żyć w pamięci innych. Tylko wrzuszyły ramionami i ponownie założyły pierścionek na palec zmarłej, teraz już sztywne. „Tysiące reali подарowanych robakom”, mamrotała pod nosem najbardziej pyskata. A pozostałe, niczym chór grecki, odpowiedziały święte słowa, z rezygnacją spełniając kaprys bogacza.

Ja też chciałbym umrzeć w dniu moich urodzin, Miquelu, bo dzięki temu przetrwałbym nieco dłużej w pamięci. A Miquel Gensana przyjrzał mu się uważnie, czy przypadkiem z niego nie żartuje.

– Kiedy masz urodziny?

– Dwudziestego siódmego maja.

– To dobry dzień, żeby umrzeć. – Miquel poprawił się na krześle. – Ale pamiętaj, że zawsze będziesz żył w moich wspomnieniach.

– A jeśli ty umrzesz wcześniej?

– No to będzie problem.

Od tamtego przekłętego dnia Francesc Sicart, wtedy pięćdziesięcioletni, niczym pożytecznym nie potrafił się zająć. Całymi dniami siedział, palił papierosa za papierosem,



wpominał, a jednocześnie zapominał o mnie, żywej istocie, użalając się nad sobą w milczeniu. Nie miał siły o mnie myśleć. Rodzina Gensanów z niepokojem zauważyła, że siostrzeniec pozostawiony został samemu sobie, na bożej łasce i na opiece służby. Babcia Amèlia powtarzała, że trzeba się zająć tym dzieckiem, ale gospodarz, Maur II Gensana Natchniony, który tak naprawdę nie kochał Carloty, wygłosił sentencję, że czas nieuchronnie leczy rany, Amèlio, wspomnisz moje słowa; cała reszta to tylko figury retoryczne, i jak gdyby nigdy nic wrócił do komponowania długiego poematu epickiego, zadowolony z dotychczas wymyślonych osiemdziesięciu aleksandrynów, bezbłędnych i bezplciowych.

Zachowam we wdzięcznej pamięci mamę Amèlię, która półtora roku po ślubie, kiedy jeszcze nie zdążyła się zdomowić w posiadłości Gensana, już musiała myśleć o remoncie Muncunilla. Mimo całego zamieszania z przewodządką nie dała za wygraną i ponaglała męża, by poszedł porozmawiać z wdowcem o nieobecnym spojrzeniu: „On zaniedbuje synka. Toni, to twój kuzyn. A małeństwo ma dopiero pięć lat”. Ale Antoni Gensana nie chciał się wtrącać, tym bardziej że ani jego ojciec, ani matka nie wykazali czynnego zainteresowania. Aż stało się nieszczęście i wszystkie sprawy i domysły same się rozwiązały, bez interwencji mamy Amèlii. Nieszczęście objawiało się stopniowo, jakby komuś bardzo zależało na tym, by nie ujawnić go od razu w całości, żeby do nikogo nie można było mieć pretensji. Najpierw (było to wczesnym rankiem w poniedziałek) do domu Gensana przyniesiono starannie zapakowaną paczkę, zaadresowaną na nazwisko Antoni Gensana i Amèlia Eroles, Gensana po mężu, bez nadawcy. Otworzyli ją zaintrygowani. W środku, w starannie posegregowanych kopertach, niecierpliwe palce Antoniego i przerażone oczy Amèlii, która już przeczuwała, że to nic dobrego nie wróży, natrafiły na dokumenty bankowe z informacją o zdeponowanych pieniądzech, niewielką liczbę akcji, jakie posiadał, akty notarialne domu i ziemi w Obac. A w ostatniej kopercie znaleźli to, czego tak bardzo obawiała się Amèlia: list, w którym ujawniał sens tej paczki i całej zawartej w niej dokumentacji. „Kochani Siostrzeńcy, nie przeżyję ani dnia dłużej bez mojej Carloty. Tu macie wszystko, co posiadam, w takim porządku, żeby nie przyczyniać wam pracy. Jednocześnie proszę was, byście mi wybaczyli, jeśli jednak będziecie mieć przeze mnie dodatkowy kłopot. Mam do was tylko jedną bardzo poważną prośbę: proszę was, byście się zaopiekowali synem Carloty i moim jak własnym dzieckiem. Kiedy trochę podrośnie, wyjaśnijcie mu, proszę, jakie miałem powody; mam nadzieję, że mnie zrozumie i mi wybaczy. Żegnajcie”.

Kiedy mi to opowiedzieli, zrozumiałem, Miquelu, ale do tej pory nie mogę mu wybaczyć. I oczywiście po przeczytaniu listu w domu Gensana wszyscy zeszli się ze strachu. Antoni wpadł w rozpacz, Amèlia milczała, ale miała do wszystkich żal, bo przecież uprzedzała już parę miesięcy temu, że to się źle skończy. A rodziców ta sytuacja przerosła, tylko kręcili głowami i powtarzali o Boże, nic nie rozumiem, co za ludzie, co za czasy. W domu Franscesca Sicarta nie było nikogo poza dwiema służącymi. Chłopiec był u zakonnic. I ani śladu pana. Żandarmeria, straż obywatelska, wizja lokalna, przesłuchania: Sicart zapadł się pod ziemię. Znaleźli go po tygodniu. Wybrał solidny dąb u podnóża góry Castellsapera, na jednym z należących do niego terenów. Natknęli się na niego myśliwi z Mury, którzy szli tropem postrzelonego dzika. Minęło jeszcze parę dni, zanim połączono to makabryczne odkrycie ze zniknięciem Franscesca Sicarta, ponieważ w tej sprawie, podobnie jak w innych,

władze niezbyt się spieszyły. Najbardziej zabolalo doię Pilar Prim, po mężu Gensana, że nie pomogły jej znajomości, by przelamać opór Kościoła i zięć Gensanów został pochowany poza murami cmentarza, bo Kościół odwraca się plecami do skrajnej rozpacz. W krzakach jeżyn, jak pies. Tak jakby psy mogły umrzeć z miłości.

Mama Amèlia wzięła mnie pod swoje skrzydła, mimo że miała wtedy niewiele ponad dwadzieścia lat i w domu, jako synowa, jeszcze nie zasłużyła na przekazanie jej przez teściową kluczy. Od tego momentu Maurycy Sicart Gensana, Maurycy bez Ziemi, w domu Gensana miał się czuć jak u siebie. Oby nigdy do tego nie doszło.

*Allegretto (Scherzando)*

Kiedy wydarzyło się to najgorsze, zawalił mi się cały świat. Wiadomo, że jak już wchodzisz na trampolinę, coraz wyższy skok zasadniczo niewiele się różni od poprzedniego. Z dzisiejszej perspektywy z przerażeniem zastanawiam się, jakim cudem dałem się wciągnąć w podobną aferę, choć równie przerażające jest to, że zdecydowałem się na wcześniejszy skok, parę centymetrów niżej, czyli na noszenie przy sobie broni. To samo dotyczyło Bolósa, Júlio. Znakomitego parlamentarzysty zmarłego w wypadku.

Jednym ze znaków, że przechodzisz w dojrzałość, jest akceptacja zasady, że w życiu nie istnieje replay. Że życie to taka gra, w której kostki rzuca się tylko raz. No więc nie: ja chyba jeszcze ciągle nie dorosłem. A cała afera z partyjnym kryzysem przekonała o tym Miquela dobitnie, i ponad dwadzieścia lat po tamtych wydarzeniach jeszcze się z nimi nie pogodził.

Problem w tym, że ani Simó, ani pozostali członkowie komórki niczego nie wiedzieli na pewno, ale przeczuwali, że wydarzyło się coś naprawdę poważnego. Stosownie do instrukcji Niebieskookiego i do ogólnych zasad bezpieczeństwa określających tryb postępowania w nadzwyczajnych okolicznościach bardzo szybko się przeprowadziliśmy, zaszyliśmy się w kryjówce i przyczajeni oczekiwaliśmy wybuchu bomby, modląc się do boga, w którego nie wierzyliśmy, żeby ta bomba nigdy nie wybuchła, o mój boże, o mój boże, kiedy wreszcie zaczniemy żyć normalnie. Stosowaliśmy się rygorystycznie do regulaminu, ustanowione zostały nowe kontakty i zasady bezpieczeństwa. Połowa kontaktów się nie sprawdziła, co znaczyło, że niespodziewana akcja policyjna przyniosła piorunujące efekty. Chodziły słuchy, że nie żyje jeden towarzysz, ale nie dało się tego sprawdzić, bo nie mogłeś pójść do agencji informacyjnej i zapytać: byłby pan łaskaw potwierdzić, czy to prawda, że podczas akcji szaruchów jeden bohaterski towarzysz wyskoczył przez okno z piątego piętra, żeby nikogo nie wydać, na to ten facet z agencji chwileczkę, zaraz sprawdzę; powiedział pan towarzysz, prawda? Simó myślał: tak, choć wolałby, żeby nie; ale to oczywiste, że zdradził ktoś z nich. Dyskutowałem o tym z Bolósem. Z Franklinem. Spędziliśmy kiedyś całą noc na paleniu i rozmawianiu szeptem, z obawy, żeby nas nie podsłuchali sąsiedzi i żeby pozostali dwaj towarzysze z tej samej prowizorycznej komórki, Cunillera i Xato, nie nabrali podejrzeń, że coś knujemy; bo zażyłość Bolósa z Miquelem wykraczała poza zaufanie dopuszczalne między dwoma towarzyszami i miała charakter kontrrewolucyjnej, prywatnej przyjaźni, zagrażającej konspiracji, ale skutecznie chroniącej ich zdrowie psychiczne. Dlatego Franklin i Simó przez całą noc dywagowali i drobiazgowo roztrząsali wątpliwości. Doszliśmy do wniosku, że te kontakty, które nie zawiodły, były, podobnie jak oni, zdezorientowane; to

oczywiste, że uderzenie odbiło się szerokim echem i że tamtym udało się pozbawić głowy, zdekapitować Partię, zostawić podstawowe komórki bez kierownictwa i programu działania. Prawdziwa bomba.

– Wydaje mi się, że musimy przejąć inicjatywę – westchnął Simó, kiedy wybiła piąta. Sam się zdziwiłem, że te słowa padły z moich ust.

– Ale jak? – odpowiedział biedny Bolós pięć minut później. – Chcesz iść do więzienia? Po co?

– Nie, przeciwnie, powiedziałem: przejąć inicjatywę.

Tak, to był dobry plan, ale nie do zrealizowania, dopóki nie będzie wiadomo, kto zdradził. To mógł być ktokolwiek. A to znaczyło, że nie mogli ufać nikomu.

– Nie. Zdrajcą musi być ktoś z kierownictwa. Za dużo wiedział.

– Tak, ale... – odpowiedział Franklin.

Po tym niepodważalnym argumencie mojego przyjaciela przez pół godziny w ogóle się nie odzywaliśmy. Wypaliliśmy pół paczki rumbo. I nie doszliśmy do żadnych wniosków.

Ale Partia czuwała nad wszystkim mimo trudności. Po dwóch bezsennych nocach, kiedy spodziewali się w każdej chwili wywalenia drzwi kopniakami i czarnych łuf policyjnych karabinów maszynowych nad głową, pewnego szarego poranka usłyszeli dzwonek. Co teraz? Słuchajcie, co robimy? Wszyscy czterej porozumiewali się wzrokiem, zanim podjęli decyzję, że tak, należało zrobić jakiś krok, bo od tego wiecznego siedzenia w ukryciu zdrętwiały im nogi i dusza. Otworzyłem. Za progiem stała pani doktor filozofii z Uniwersytetu Princeton w roli domokrażcy sprzedającego encyklopedie, w ciemnych okularach. Jej usta drżały, jakby miała nerwowy tik. Odpowiedziałem uprzejmie, że encyklopedię już mam, nie, dziękuję, ale pani doktor filozofii wcisnęła się do środka, mimo mojego oporu, ze słowami odsuń się, Franklin, bo ty jesteś Franklin, prawda?

– Nie.

– Xato?

– Nie.

– Simó?

– A ty kim jesteś?

Kiedy dziewczyna ściągnęła okulary, czający się za drzwiami Cunillera po charakterystycznym akcencie z Castelló rozpoznał w niej towarzyszkę, która zabierała głos na paru zebraniach ogólnych. Pani doktor z Walencji zakomunikowała nam, że te niedobitki kierownictwa, które przetrwały akcję policji, zdecydowały się podjąć radykalne kroki. Przede wszystkim nawiązano kontakt z uwięzionymi towarzyszami, w liczbie dwudziestu dwóch, przetrzymywanymi najpierw przez dwa tygodnie w kazamatach komisariatu przy Via Laietana, nim ostatecznie trafili do więzienia Model dla mężczyzn i do Wad-Ras dla kobiet. Dwudziestu trzech, jeśli doliczyć nieszczęsnego Minga, bo to właśnie towarzysz Mingo z Komitetu Centralnego bohaterko uleciał przez okno ku wolności, nie zdradzając nikogo, jako bohater Partii, Rewolucji i Ludu, biedny Xavier Caràs Hernández, towarzysz Mingo, który miał narzeczoną i prowadził teatr amatorski w Hospitalet, cześć jego pamięci.

Pomścimy twoją śmierć, przysięgamy, święty Mingo, towarzyszu i męczenniku. Dziewczyna z Castelló, towarzyszka Perpinyana, poinformowała nas, że siedmiu działaczy zostało zatrzymanych podczas zebrania Komitetu Centralnego; trzej kolejni mieli stać na straży i nie wiadomo dlaczego, nie zareagowali. A pozostałych policja zgarnęła z lokali konspiracyjnych i w pół godziny wszyscy dostali się w jej szpony, zanim ktokolwiek zdążył się zorientować, co się stało. No więc Partia zdecydowała...

– Jak się udało nawiązać kontakt z tymi, którzy siedzą w więzieniu? (Simó z naiwnym entuzjazmem zawsze zadawał pytania o rzeczy, o które nie należało pytać.)

Perpinyana uśmiechnęła się, a to znaczyło stary, na jakim świecie żyjesz, co ty sobie wyobrażasz, że ja ci powiem? Natychmiast przeszła do wydawania poleceń. Xato, Simó, Cunillera i Franklin słuchali jej uważnie, jakby była wyrocznią, starając się zapamiętać wszystkie rozkazy, które sprowadzały się do. Po Pierwsze, tak, już ostatecznie się potwierdziło, że jest zdrajca, na sto procent. Po Drugie, jeszcze nie wiemy, kto to jest. Po Trzecie, prawie na pewno zdrajcą jest jeden z uwięzionych, żeby nie budzić naszych podejrzeń.

– To skurwysyn, tak czy siak. Jakbym go dorwał, zabiłbym drania. (Cunillera.)

– Po Czwarte, wiemy już prawie na pewno, że to jeden z trzech towarzyszy, którzy mieli zapewnić bezpieczeństwo Komitetowi Centralnemu.

– Czyli już znamy imię – pospieszył się Franklin.

– Nie. Znamy trzy imiona, o dwa za dużo.

– Ale... Tak, jasne.

– Po Piąte, ten cios zdezaktywował dwie trzecie kierownictwa Partii.

– O tym nie powinno się mówić – poprawił ją surowo.

– Dlaczego? – Oczy Perpinyany przeszły mi mózg.

– Żeby nie zniechęcać towarzyszy.

– Prawda jest rewolucyjna.

– ...

Biedny Simó został przyłapany na rozumowaniu nierewolucyjnym, bardzo prawdopodobne, że wręcz drobnomieszczańskim. Za pokutę dziesięć zdrowasiek.

– Jasne? Kontynuuję: po Szóste czy Siódme, nieważne, do wykonania misji wyznaczona została wasza zmilitaryzowana grupa operacyjna.

Aż do tego momentu Perpinyana wygłosiła wszystko prawie na jednym oddechu. Teraz otworzyła torbę leżącą na przykrytym ceratą stole, wyciągnęła z niej paczkę krótkich celtes i sięgnęła po papierosa. Xato i Simó wpadli na ten sam pomysł.

– Wyznaczona do czego?

– Właśnie, do czego? – powtórzyli Franklin i Cunillera.

– Znaliście towarzysza Minga?

– Nie.

– Do czego nas wyznaczono? – zapytał teraz Simó.

– Dacie mi dojść do głosu? – upomniła ich, zapalając papierosa i znikając na chwilę w obłoku dymu.

– Jasne, zamieniamy się w słuch.

– Mam dla was wiadomość: ponieważ ta komórka składa się z towarzyszy z sekcji militarnej i wszystko wskazuje na to, że jesteście czyści – przerwała, żeby palcem zdjąć z języka okruch tytoniu – wyznaczono was do realizacji misji, która przywróci ducha rewolucyjnego wszystkim towarzyszom, tu i na zewnątrz.

– A konkretnie o co chodzi?

– Co mamy robić?

– Dlaczego przyszedł do naszego mieszkania z pominięciem kontaktu pośredniczącego?

Bolós wyszedł z jadalni i wrócił z pistoletem czarnym jak lęk. Położył go na stole, obok siebie, niczym ostrzeżenie, a Simó (Boże, co za efektowny skok z trampoliny) docenił jego refleks. Perpinyana tylko się uśmiechnęła, z papierosem w ustach, przymknęła oczy, chroniąc je przed dymem, znów zajrzała do torebki i wyciągnęła z niej jeszcze większy pistolet.

– Lepiej uważajcie, to nie żarty – wycedziła przez zęby.

Ale Franklin dalej drążył, jak to Bolós:

– Dlaczego weszłaś z nami w kontakt z pominięciem regulaminu?

– Niebieskooki wypadł z obiegu – powiedziała niechętnie, zmęczona całą tą dziecinadą i brakiem zaufania. Cztery towarzysze zdrętwieli, na moment zawiesili myślenie, jakby im umarł ojciec. Stać ich było tylko na to, żeby przelknąć ślinę i życzyć jak najgorzej zdrajcy, który tak im nabruździł. Perpinyana spojrzała na zegarek, westchnęła, zdusiła w popielniczkę to, co jeszcze zostało z papierosa, i z ostatnim dymem uleciały jej słowa:

– Po Siódme, jeszcze tego wieczoru...

Każdy z nich udał się tam osobno. Cunillera i Franklin spotkali się w Niebieskim Tramwaju, ale udawali, że się nie znają.

Jeden z nich na wszelki wypadek poczekał na następną turę. Bóg jeden wie, jak Xato dotarł na miejsce; on zawsze trzymał się na uboczu, po prostu dziwak. A ja, żeby przezwyciężyć coraz silniejszy strach, zdecydowałem się iść pieszo, co może było pomysłem rewolucyjnym, ale i dużą nieostrożnością, bo niby jak wyjaśnić, dlaczego młody mężczyzna samotnie wędruje szosą na górę Tibidabo. W każdym razie punktualnie o szóstej po południu, kiedy słońce zaczerwieniło się w drodze za horyzont, wszyscy czterej ustawili się w ogonku, jeden za drugim, aby wsiąść do kolejki linowej smutnego Wesołego Miasteczka, opustoszałego z powodu zimna i późnej pory. Przy wejściu stał chłopak z włosami w kolorze marchewki, z zaczerwienionym nosem, który niezmordowanie żuł gumę i przełykał ślinę. Sprawdzając bilety, spojrzał na nas smutno. Robiliśmy sztuczny tłok przy całkowitym braku innych chętnych, bo skoro na dole zimno zapierało dech, w wagoniku na górze musiały zamarzać nawet myśli.

Wszyscy czterej dostosowali się skrupulatnie do instrukcji Perpinyany. Nie zauważyli jak i skąd, ale w momencie, gdy już ulokowali się w wagoniku, nagle dosiadła się do nich piąta

osoba. Rudzielec zamknął drzwi i wysłał nas w kierunku nieba, poruszając szczękami niczym kołem zamachowym zasilanym gumą do żucia. Kiedy ludzie na dole zaczęli maleć, piąta osoba ściągnęła kapelusz i odsłoniła twarz: Niebieskooki. Od razu przystąpił do rzeczy.

– Mam lęk wysokości – powiedziałem. – Zawsze robi mi się niedobrze.

– To siadaj na podłodze, nie mamy czasu do stłacenia.

I tam, na tle nieba, gdzie jedynym świadkiem była figura Chrystusa z Rozłożonymi Ramionami na bazylice, Niebieskooki oświadczył, że póki co jego kiosk i dotychczasowe kontakty są nieaktualne.

– Myśleliśmy, że cię zgarnęli – uśmiechnął się Franklin.

– Mówiłem już, nie mamy czasu do stłacenia. Wyblali was do wymierzenia spławiedliwości. By uczcić pamięć towarzysza Mingi. – Mówił uroczystym tonem. – Zapewniłem Komitet, że będziecie dumni z tego wylóżnienia. – Przyjrzał się nam w milczeniu. – Chyba się nie pomyliłem, co?

Cisza, przetykanie śliny, a mnie wszystko podchodzi do gardła w rozhuśtanym wagoniku.

– Od dziesięciu lat walczymy wspólnie. – Głos dochodził z daleka, jakby przemówił Chrystus z Rozłożonymi Ramionami. – Paltia oczekuje, że godnie pomścimy męczeństwo towarzyszy.

Wszyscy zamilkliśmy, jakbyśmy odmawiali w ciszy modlitwę żalobną za zmarłego Xaviera Caràsa Hernández, którego prasa pożegnała zdawkową notką informującą o samobójczej śmierci robotnika Seata, który miał zaburzenia psychiczne. A zimny wiatr dopowiedział amen, Mingo, amen.

– Musicie działać w głupie: nieważne, kto będzie strzelał, i lepiej, żebyście nigdy nikomu tego nie ujawnili. – Franklin, Cunillera, Xato i Simó w nowej roli po raz pierwszy wymienili między sobą spojrzenia spiskowców powiązanych straszną tajemnicą. Wszyscy czterej próbowali uśmiechem zatuszować ogrom lęku, który ich ogarnął. Franklin, nadrabiając miną, zapalił rumbo, a ja, z głębokości mojej choroby lokomocyjnej, chciałem zwrócić na siebie uwagę niemądrym pytaniem:

– Czemu to ma służyć?

– Zniszczył nam paltię, zniszczył nasze życie, zldadził spławę i lewulację... i zabił Minga.

– Zdrajca jest gorszy niż wróg. – To wyrwało się Xato, który lubił czasami popisywać się teoriami.

– Poza tym psialnia powinna wiedzieć, że z nami nie ma żaltów.

– Chcicie, żeby policja się o tym dowiedziała? – przeraziłem się.

– Właśnie o to chodzi. Niech go znajdą z kulą w kalku. Niech wtedy splóbują ukłyć pławdę. Niech mówią o samobójstwie, jeśli potlafią. To nasz sposób na przejęcie inicjatywy. Nigdy nie uda im się dojść do tego, kto zabił.

Kolejka powoli zjeżdżała w dół, jakby ten rudzielec z gumą do żucia odgadł, że Niebieskooki już nam przekazał wiążące decyzje. Żaden z pięciu pasażerów nie skusił się na podziwianie pięknego pejzażu tamtej zastraszonej Barcelony, odwracającej się tyłem do morza, w której rozgrywało się tyle dramatów, która więziła ich towarzyszy i w której



zdrajca jeszcze oddychał. Niefrasobliwym tonem w ostatnich sekundach trasy Niebieskooki wymienił: albo Solà, albo Tolo, albo Sevillano. Bez najmniejszej wątpliwości. Pielwszy, którego wypuszczą, jest wasz.

– Ale my musimy mieć pewność.

– Tym się nie maltwicie. Chcę czystej loboty. Niebawem otrzymacie nazwisko i adles. – Niebieskooki na nich nie patrzył, jakby wstydził się własnych słów. – Nic więcej nie powinno was obchodzić. Nie musicie się przeprowadzać, jeszcze jest bezpiecznie. – Zawahał się na moment: – Po tej... opelacji dostaniecie nowe lokalizacje. Zawiadomię was przez Pelpinyanę.

Kiedy wagonik był już prawie na ziemi, od razu poczułem się lepiej.

– Doblanoc, dzieci – powiedział Niebieskooki, dając do zrozumienia, że posłuchanie skończone.

Wstałem z podłogi i z uśmiechem Humphreya Bogarta otrzepałem spodnie. Rudzielec kasował bilety nowych męczenników. Nie mogłem dostrzec smutku w jego oczach, bo wydawało mi się, że unikał naszego spojrzenia. Kiedy już stąpałem po twardym gruncie, z westchnieniem rzuciłem w stronę Niebieskookiego:

– Czyli przypadło nam w udziale wymierzyć surową krytykę naszego towarzysza prosto w kark...

Któryś się uśmiechnął, ale Niebieskooki zgromił mnie ponurym spojrzeniem.

Ciężko mi mówić o tych sprawach, Miquelu..., bo zdeterminowały całe moje życie, a dlatego przybrały taki, a nie inny obrót, że ja jestem, jaki jestem. Ale musiało upłynąć wiele tuzinów lat, zanim pogodziłem się z tym, że nie mogę być inny. Kiedy miałem siedemnaście czy osiemnaście lat, a może trochę więcej, tylko nad tym płakałem. Nie żeby mi było do śmiechu, ale kiedy teraz o tym mówię, oczy pozostają suche. Ale przede wszystkim przestałem to ukrywać, już mogę ci o wszystkim opowiedzieć. Mam wrażenie, że pierwszy wyraźny sygnał otrzymałem w wieku dwudziestu jeden lat. Twój ojciec w młodości był w stosunku do kobiet bardzo... Jakby to powiedzieć?

– Był dziwkarzem.

– No właśnie – wyszeptał wujek, niewygodnie oparty o szczyt łóżka, ze spojrzeniem zagubionym w intymnych wątkach z przeszłości ojca Miquela, o których syn nigdy nie powinien był się dowiedzieć. A teraz opowiadał, że już w wieku siedemnastu–osiemnastu lat Pere stał się mężczyzną w burdelu Manyana. Co do mnie, najwyraźniej mi się nie spieszyło. To on mnie tam zabrał, starając się sprawić wrażenie, z właściwym sobie od dzieciństwa pozostawstwem, że zna się na kobietach, na dziwkach, na szampanie i na cipach. Manyana to nie twoje czasy, ale możesz mi wierzyć: to był bardzo luksusowy burdel, położony przy drodze do Muru, w urokliwym miejscu, otoczony drzewami, z mnóstwem kotar i kurew. Podobno już za czasów moich rodziców był słynny, ale i później męska część mieszkańców Feixes w którymś momencie życia prędkiej czy później tam trafiała. W moim przypadku ten moment nadszedł w wieku dwudziestu jeden lat. Zaciągnął mnie tam rozentuzjasmowany Pere i Gensana Serdeczny Przyjaciel. Bardzo mu zależało, bym doświadczył wdzięków rozkosznej Llúci. Kazała się nazywać z włoska Lucia; młoda, piękna, czarnooka, zmysłowa, ciemnowłosa; miała doskonale ciało i oddanych adoratorów stojących do niej w długiej kolejce. Później się dowiedziałem, że Lucia pochodziła z Gironelli i była kimś w rodzaju siostrzenicy proboszcza, który siał prawdziwe spustoszenie w żeńskiej populacji. Było oczywiste, że demoniczna uroda Llúci to spadek, jaki dziedziczą po rodzicach dzieci grzechu.

– Usiądź wygodnie, wujku, bo ci zdętwieje ramię.

– Nie, tak jest dobrze. Nie przerywaj mi, proszę, kiedy w końcu zdecydowałem się mówić. Naprawdę Lucia była ładniutka, bardzo atrakcyjna, przynajmniej.

– Maurycy, jest twoja.

Speszyłem się: jak dla mnie, za dużo było tej kobiecości, ale Pere nie dopuścił mnie do głosu: to kobieta zdolna przyprawić o atak serca, otworzy ci oczy na świat, przy niej dowiesz się, co to radość życia, umarłego by postawiła na nogi. Te wszystkie mądrości wygłaszał twój

ojciec, siedemnastoletni smarkacz. Lucia musiała być z nim w zмовie, bo oboje się śmiali i miałem wrażenie, że ze mnie. Puścił do mnie oko i zostawił, sukinsyn, z tamtą onieśmielającą kobietą. I wtedy potwierdziła się moja wcześniejsza intuicja, wstyd mi się do tego przed tobą przyznać, ale to jedna z przyczyn rozpaczliwej ucieczki w studiowanie, a nuż mi się uda zapomnieć o sobie samym; albo jeszcze bardziej desperacka nadzieja, że uda mi się siebie zmienić. Lucia obnażyła się przede mną i zaczęła się przymilać i ściągać ze mnie ubranie, ale ja stałem nieruchomo jak kij od szczotki.

– Twój przyjaciel uprzedzał mnie, że jesteś bardzo nieśmiały.

– Ja... ale ja nie...

– Nieważne, Maurycy, mój ty królu. Zdał się na mnie...

– Tak, ale...

Na tych półsłówkach daleko nie zajechaliśmy. Tylko do łóżka – było na wyciągnięcie ręki. I wtedy sobie uświadomiłem, że to nie Lucia budziła we mnie odrazę, ale że nie da się pojąć, zbliżyć się, połączyć ciało z ciałem, gdy ono cię nie interesuje, bo wtedy automatycznie, niesprawiedliwie budzi w tobie wstręt. Kiedy to do mnie dotarło, wstałem z łóżka, mając wreszcie jasność, i powiedziałem jej po cichu, ale zdecydowanie:

– Nie podobają mi się kobiety.

Zastygła na parę sekund, po czym zaczęła mnie podniecać, majstrując przy genitaliach, żeby mi udowodnić, że kłamie.

– Widzisz? – powiedziała, głęboko urażona, minutę później. – Jak możesz mówić, że ci się nie podobam, skoro twój kurczaczek zrobił się twardy?

Lucia obraziła się za klęskę swojej uwodzicielskiej mocy, ale chyba też czuła się przedstawicielką wszystkich kobiet świata i nie rozumiała, jak taki przystojny młody człowiek nie merda na jej widok ogonkiem.

– Pierwsze słyszę, wujku.

– To najlepiej strzeżony sekret mojego życia. – Wreszcie zdecydował się usiąść wygodnie i Miquel poczuł ulgę. – Poza tobą, teraz, kiedy mi już wszystko jedno, wiedziały o tym tylko trzy osoby, a gdybym mógł powtórzyć niektóre fragmenty mojego życia... nawet te trzy osoby by się o tym nie dowiedziały.

– Powiedziałeś o tym mojemu ojcu?

– Nie. Nawet ja nie wiedziałem. Nikt mi nie objaśnił, co to znaczy być homoseksualistą. Wtedy się mówiło zniewieściału, ciota, pedzio, a nie homoseksualista, jak mówicie teraz, między innymi dlatego, że nikt nigdy nie poruszał tego tematu. Ale ja tym żyłem, sam o tym nie wiedząc. Po prostu wydawało mi się, że to normalne, bać się kobiet i trzymać je na dystans. Uciekałem w Wergiliusza i Horacego, a rodzina brała to za dobrą monetę; zwłaszcza dziadek Maur II Boski. Nie, on to uznał za naturalne. Nie wiedzieli tylko, że Wergiliusz stał się dla mnie kryjówką przed kobietami i odpędzał piękne męskie kształty, które mnie pociągały. Tylko nikomu tego nie powtarzaj, Miquelu.

– Kocham cię, wujku. – Zapadła cisza. W tej ciszy słycać było wyraźnie sierżanta Samantę udzielającej reprimendy jakiemuś dziadkowi, bo znów się posiadał bez jej zgody.

Żeby nie popaść w przygnębienie, Miquel spojrział w oczy wujka, który się ożywił, jakby znów wróciły lata dwudzieste.

– Ten chłopiec ma artystyczne usposobienie, zdecydował pewnego dnia twój pradziadek Maur II.

– Tak?

– Tak. Możemy z niego zrobić poetę.

I zapisał mnie na Wydział Filozofii i Literatury. Nie protestowałem, bo podobało mi się tropienie śladów starożytności. Na jakiś czas Pere i ja oddaliśmy się od siebie, bo jego przeznaczeniem była pomoc ojcu, twojemu dziadkowi, w fabryce naszej rodziny. A to, że ciągle mnie widziano z książkami pod pachą, dawało mi szczególny status, sankcjonowało jako dziwaka. W czasach charlestona całonocne imprezy podczas wesółych nocy w Feixes czy w Barcelonie kończyły się odsypianiem kaca w nie swoim łóżku. Tylko ze mną było inaczej.

– Maurycy, no chodź, cholera, wejdź ze mną.

– Będę czekał na dole, przy herbacie.

– Nie bądź ciotą, chodź na górę. Będzie świetna zabawa...

Twój ojciec mnie pouczał, jak bardzo wstrzemięźliwość jest niekorzystna dla zdrowia, że jeszcze mamy czas, żeby się ustatkować przy jednej kobiecie, i dalej w tym stylu. A ja za żadne skarby nie chciałem się przed nim przyznać, że boję się tych wymalowanych lafirynd, że mdli mnie na ich widok. Nie mogłem mu powiedzieć, że serce biło mi mocniej, kiedy widziałem muskularnego półnagiego mężczyznę ładującego łód na wóz albo na rusztowaniu, z trzydniowym zarostem, ogorzałego od słońca... i że wyobrażałem go sobie, jak stoi przede mną nagi, a ja go pieścę. Nie wiedziałem, że to właśnie jest pedalstwo ani że mogę mieć z tego powodu problemy. Jedynym, co podpowiadał mi instynkt samozachowawczy, było ukrywanie tej skłonności. Aż w końcu zdecydowałem się porozmawiać w zaufaniu z księdzem Vicenem.

– Po co?

– Tak się wtedy robiło. Ksiądz Vicenę był już stary, ale uchodził za osobę mądrą i zrównoważoną, więc miałem nadzieję, że potrafi wyjaśnić, co się ze mną dzieje i jak ten problem rozwiązać. I owszem, problem rozwiązał: dzięki niemu stałem się zgorzkniały do końca życia. Zrobił to fachowo.

– Wiesz, kim jesteś?

– Nie rozumiem, proszę księdza. Jak to, kim jestem?

– Wiesz, kim jesteś? – drżał jego głos ukryty w półcieniu konfesjonau.

– Nie, proszę księdza.

– Jesteś zboczeńcem.

Wyrok na całe życie. Ja, Maurycy bez Ziemi, Zboczeniec, wysłuchałem go przerażony. Dowiedziałem się, przybity, że ciąży na mnie przekleństwo Sodomy i Gomory i że osiągnie mnie kara boża, chyba że...

– Chyba że co, proszę księdza?

– Chyba że pohamujesz te nienaturalne skłonności i ofiarujesz cierpienie Naszemu Panu, powstrzymasz się przez całe życie przed jakimikolwiek stosunkami cielesnymi i pójdziesz z tym do lekarza.

– Do lekarza? Ja?

– I sto zdrowasiek.

Poszedłem do lekarza, do doktora Canyameraesa, który wysłuchał mnie z uwagą, ale od razu posmutniał. Cóż on mógł zrobić, rozumiesz, Maurycy, nie mogę ci przepisać żadnego lekarstwa... Chyba że sam coś z tym zrobisz...

– W jaki sposób?

– No wiesz, ja... nie żebym cię namawiał, ale... może byś spróbował z kobietą... Może ci się spodoba.

– Próbowałem.

– I?

– Kobiety mnie peszą. Nie. Robi mi się niedobrze. Boję się ich. To silniejsze ode mnie...

Dzięki księdzu z nieocenionej pomocy doktora Canyameraesa ja, Maurycy bez Ziemi, Zboczeniec, ksiązę Sodomy i władca Gomory, żyłem wewnątrznie rozdarty, uważając siebie za grzesznika.

Sześćdziesiąt lat później na szpitalnym łóżku wymierzył palec w kierunku swojego ciotecznego wnuka i bratanka, przyjrzał mi się uważnie i wyznał drżącym głosem, z cierpieniem w oczach, że po rozmowie z księdzem Vicençem i doktorem Canyameremem zrozumiał, że ciąży na nim przekleństwo: nigdy nie będzie szczęśliwy.

– Dlaczego się nie buntowałeś?

– Łatwo powiedzieć, teraz... – Nabrał powietrza i uśmiechnął się do mnie. – Jasne, że się buntowałem. Nie odmówiłem tych stu zdrowasiek.

– Wujku, chcesz trochę odpocząć?

– W wieku dwudziestu dwóch lat zakochałem się.

Na chwilę zamilkli. Z głębin pamięci wypłynęło kolejne wyznanie.

– Miał na imię Miquel. Miquel, tak jak ty, Miquelu. – Zatopił się w swoich wspomnieniach. – Miquel Rossell. Tylko nikomu ani słowa.

– Nie musisz mi tego opowiadać.

– Właśnie że muszę. Zaraz sam zrozumiesz. – Rzucił okiem na nocną szafkę. – Prawda, że mamy ochotę na coś słodkiego?

Pogryzając łąkomię czekoladę, wujek Maurycy powiedział, że Miquell Rossell był chłopakiem w jego wieku, trochę młodszym, tkaczem w fabryce Gensanów.

– Ciężko nam było przyznać się przed sobą do tej fascynacji. To było trudne, niemożliwe, rozumiesz?

– Nie musisz mi o tym opowiadać.

Ale wujek nie dał się zniechęcić i ciągnął dalej monolog o cierpieniu, teraz o cierpieniu z miłości. Miquelu, po raz pierwszy się zdarzyło, że na moje intencjonalne spojrzenie ktoś

odpowiedział w ten sam sposób. Miquel Rossell siedział na podłodze, oparty plecami o ścianę hali maszyn włókienniczych i obojętny na kurz, który u mnie wywoływał atak astmy, posilał się zimnym mięsem z godnością emira taify. Wujek opowiadał, że poszedł tam z Perem, szukali ojca i zapytali o niego Miquela i drugiego siedzącego obok robotnika. Usłyszeli, że owszem, szef, Gensana, poszedł do hali kotłów parowych. Maurycy spojrzął Miquelowi w oczy, a Miquel, nie przestając przeżuwać, odwrócił się spojrzeniem szczerym, wesołym, intrygującym. I zanim, szukając ojca, skrzył się do hali, Maurycy odwrócił się i z przerwaniem stwierdził, że ten przystojny chłopak idzie za nim. Powiedział Pere, zaraz cię dogonię.

– Jak ci na imię?

– Miquel.

– Ja jestem Maurycy.

– Wiem.

Zaśmiał się bezgłośnie, jak mało kto potrafi, Miquelu. W tym momencie już wiedziałem, że mógłbym go pokochać. Zaczęliśmy się spotykać, zawsze po kryjomu, niby przypadkiem; początkowo udawaliśmy nawet sami przed sobą, że nie jesteśmy świadomi, jak bardzo się sobie podobamy, aż któregoś dnia Miquel chwycił mnie za rękę. Właśnie złamałem gałązkę w lesie na Pla del Bonaire, gdzie wybraliśmy się na grzyby. Przez chwilę staliśmy, patrząc sobie w oczy, bardzo blisko siebie, za blisko, walcząc ze skrupułami i z falą pożądania, i to Maurycy bez Ziemi pierwszy powiedział kocham cię, Miquelu. Odczekał, aż echo słów przywołujących tak słodkie wspomnienie rozplynęło się między ścianami, i dodał, że Miquel odpowiedział na jego wyznanie delikatnym pocałunkiem. A kiedy otarły się o siebie dwa nieoogolone policzki, pomyślałem, że można jednak osiągnąć szczęście, dostępne innym ludziom, ale tylko dlatego, że w tamtej chwili rozpaczliwie odsuwałem od siebie myśl o grzechu, która mnie prześladowała od lat.

– Myślisz, że dobrze robimy? – odezwał się Maurycy bez Ziemi Moralista.

– Nic nie mów; po prostu mnie przytul. – Miquel nie dzielił włosa na czworo. I dlatego objęliśmy się, a ja straciłem głowę i od tej chwili wiedziałem, że tak, można osiągnąć przyjemność, choćby i zakazaną, o której nie mogłem mówić ani księdzu Vicençowi, ani doktorowi Canyameresowi, ani serdecznemu przyjacielowi, bo Pere i Gensana Uciekinier w tym czasie pewnie się gdzieś gził z dwiema kurwami naraz i wzdychał jakie piękne jest życie, a z grzechu się wypowiadałem, i po sprawie. Problem w tym, Miquelu, że tamte rozkoszne chwile, wysepki szczęścia, zdarzały się zbyt rzadko.

Miquel, tamten drugi, Rossell, był taki słodki i czuły. Udowodnił, że mogę być przedmiotem pożądania; nauczył mnie wielu nowych pieśczęt; nauczył, jak doznawać cudzego ciała. Tego ranka, Miquelu, nie szukaliśmy grzybów, szukaliśmy jeden drugiego i przypieczętowaliśmy nasze uczucie, nie wiem, może naszą miłość, otaczając je kłopotliwym ogrodzeniem tajemnicy. W naszej rodzinie niejedyn Gensana przez całe życie dźwigał na karku jakiś wielki sekret; ja byłem tylko jednym więcej. Prawda jest taka, że kochałem Miquela aż po grób.

Popołudnie upływało jak westchnienie w ciszy domu wariatów. Aż cienie rozplynęły się

w ciemności.

– Wujku.

– Tak.

– Mam na imię Miquel na pamiątkę twojego Miquela?

– Nie. Dostałeś imię po twoim bracie Miquelu, tak postanowiła twoja matka. Ale twój brat faktycznie został Miquelem z powodu mojego Miquela. – Wujek otarł łzę zmiętą chusteczką. – Wykorzystałem przywilej ojca chrzestnego, aby zachować na zawsze wspomnienie o moim ukochanym. Twoi rodzice nic o tym nie wiedzieli.

– Już nie byliście razem, kiedy się urodziłem?

– Miquel już nie żył, i to od wielu lat. Zabili go.

– Co? – Po chwili ciszy pełnej cieni: – Kto?

Miquel i ja nigdy nie byliśmy razem. Widywaliśmy się w ciemnościach. Albo w tłumie ludzi, udając, że nie jesteśmy tym, czym byliśmy dla siebie. On robotnik, ja krewny właściciela, obaj uczestniczyliśmy w proklamowaniu Republiki Katalońskiej na placu Sant Jaume w Barcelonie. Miquel był bardzo odważny i wkrótce wstąpił do FAI<sup>[14]</sup>. Obaj biegliśmy ulicami nadziei, nie mogąc chwycić się za ręce, ale zjednoczeni wielkim wspólnym marzeniem, podzielanym wtedy przez całe społeczeństwo. Razem odwiedzaliśmy pensjonaty portowe w Barcelonie (zawsze jak najdalej od Feixes i tamtejszych złych języków), gdzie uczyliśmy się zakazanych gestów czułości i powoli poznawaliśmy nasze niedoświadczone ciała. Owa tajemna miłość połączyła nas w jedno – Maurycyego, studenta języków klasycznych, i Miquela, tkacza, niewykwalifikowanego robotnika.

– Kto zabił twojego Miquela, wujku?

Dziadek Maur II Boski powiedział życiu dość pod koniec trzydziestego drugiego roku, w totalnej niezgodzie z niezwykle modną wtedy poezją, on, który literaturę znał lepiej niż osoby z najbliższego otoczenia. Jego śmierć była poetycka; don Maur zawsze sobie wyobrażał, że odejdzie w sposób godny opiewania w aleksandrynach: on wymawia ostatnie słowa (miał przygotowane trzy wersje), a wokół cała pogrążona w rozpacz rodziny. W drugim, jeszcze szerszym kręgu, oplakują go wszyscy aktualni pisarze, oszołomieni tak dotkliwą stratą, nie wiedząc, komu przekazać po śmierci Maura Gensany pochodnię geniuszu. Nic z tych rzeczy: dziadek Maur zmarł w północnej galerii, w fotelu, z fajką w jednej dłoni i zeszytem, na którym mocno zacisnął palce, w drugiej. Nikt nie wie, kiedy dokładnie umarł, ale dokonał tego w samotności. Może miał świadomość, że oddaje w ten sposób hołd wszystkim Antonim i Maurom z małżonkami, którzy patrzyli na jego śmierć unieruchomieni na portretach. Nawet piesek Bonaparte nie zaszczeakał. Znalazła go Lluïsa, już wtedy bardzo stara, która parę miesięcy wcześniej, kiedy proklamowano Republikę, obchodziła rocznicę czterdziestu sześciu lat nieprzerwanej pracy w domu Gensana. Ta biedna kobieta z cichym jękiem, którego nikt nie słyszał, biegła po całym domu, póki nie znalazła mnie w bibliotece, pochylonego nad Owidiuszem. Niedopalona fajka pozostała na zawsze na biurku dziadka poety, a biurko w gabinecie, też na zawsze. Natomiast zeszyt, na którym dziadek kurczowo zaciskał palce, natychmiast ukryłem, ponieważ twój wujek, Maurycy bez

Ziemi, zbłądł nie tyle na widok śmierci, ile raczej z wrażenia na widok tego zeszytu w dłoniach zmarłego. Dziadek Maur II Boski, Miquelu, zrobił to samo co wszyscy mężczyźni z rodu Gensana, od kiedy historia jest historią.

– Co zrobił, wujku?

– Zmarł nagle. To przekleństwo prześladowające nas od zawsze, wszystkich bez wyjątku. A w nekrologu, który doña Pilar kazała zamieścić w gazetach Feixes i we wszystkich barcelońskich dziennikach, całe pół strony zajmowała *Oda do Feixes* i *Oda do mego ogrodu*, uroczyste utwory świadczące o najwyższych wartościach artystycznych twórczości naszego szlachetnego poety, przedwcześnie zmarłego. Dziedzic Anton, mój przybrany ojciec, twój dziadek Anton, automatycznie stał się właścicielem wszystkiego jako Anton III Gensana Fabrykant. A ja, Miquelu, wiodłem życie między Wergiliuszem a Homerem, między marzeniami a lękiem przed piekłem. Z czasem piekło diabelskie ustąpiło miejsca piekłu ludzkiemu i obaj całą energię wkładaliśmy w to, by chronić naszą słodką tajemnicę. Tydzień później z ust notariusza usłyszeliśmy sensacyjną wiadomość, która na zawsze odebrała spokój tej rodzinie i która zgorszyła Antonów i Maurów wraz z małżonkami w galerii portretów, bo to, czego się dowiedzieliśmy u notariusza, stało się początkiem wszystkich nieszczęść, które również ciebie dotyczą, ponieważ ich kulminacją jest ucieczka twojego ojca.



Na moje, na nasze nieszczęście, szesnaście dni po wyprawie na Tibidabo otrzymaliśmy nazwisko i adres.

– Tu są klucze willi w Valldoreix, nie ma żadnych sąsiadów. Dziś o piątej macie go zabrać z domu i dostarczyć na miejsce. – Ta pieprzona Perpinyana nie patrzyła im w oczy. Wbiła wzrok w ziemię. – To jego adres. W Valldoreix czeka komitet powitalny, który udzieli wam dalszych instrukcji.

My, czterej skazańcy, nawet nie pisnęliśmy. Perpinyana, jak ktoś, kto wyświadcza wielką łaskę, teraz rozglądała się po ścianach.

– Partia wam gwarantuje, że nikt nigdy się nie dowie, kto załatwił Toro. I jest wam wdzięczna za waszą rewolucyjną determinację.

– Ale...

– Powodzenia. Życzę powodzenia, towarzysze.

Toro. Towarzysz Toro. Pięć lat w Partii. Pierwsza promocja absolwentów Université de Beyrouth: zaliczony cum laude przedmiot Materiały Wybuchowe. Ideolog ostatniego rozłamu. Stalinista do szpiku kości, aż do przesady. W Komitecie Centralnym od trzech miesięcy. Dlaczego, dlaczego, ekstowarzyszu Toro, dlaczego? Czy nie wiedziałeś, że Mingo był dobrym człowiekiem, miał narzeczoną i przyszłość?

To było proste, ale bardzo nieprzyjemne. Ekstowarzysz Toro nie spodziewał się tak szybkiej reakcji. Może w ogóle nie spodziewał się żadnej reakcji. Kiedy Simó i Xato wsadzili go do samochodu – Franklin siedział za kierownicą – stracił ten niepewny uśmiech, z jakim ich przyjął, i w jego oczach pojawiło się przerażenie. Kiedy byli w środku, ktoś wyciągnął pistolet, chyba Cunillera, najbardziej ze wszystkich zdenerwowany. Toro cały czas mówił towarzysze, co robicie, dokąd mnie wieziecie, co to wszystko ma znaczyć, a dawni towarzysze milczeli, śmiertelna cisza, ani słowa o Mingu, tak im rozkazano, jakby to wszystko w ogóle nas nie dotyczyło, bez nienawiści, ja wyglądałem przez okno, żeby się nie rozplakać, i przeklinałem dzień, w którym dałem się wciągnąć Bercie w malowanie hasel i wszystko, co nastąpiło później; myślałem: to niemożliwe, niemożliwe, niemożliwe, że przykładam rękę do zabicia człowieka, a drugi głęboki głos, przypominający Niebieskookiego, wołał z głębokości to świnia, zdlajca, moldelca, zaprzedał się wlogom. I tak cały czas podczas niespokojnej podróży do Valldoreix. Trzej zamaskowani mężczyźni zmusili go, by wyspiewał wszystko od a do zet. (Dlaczego, jakie informacje przekazałeś, dlaczego, jak długo to trwało, dlaczego, Toro, dlaczego, komu, nazwisko twojego kontaktu. Dlaczego, Toro? Jesteś wtyczką od samego początku? Jesteś z policji? Co? Robotnik, który współpracuje

z psianią? Czym cię skusili, co?) A on przez trzy czy cztery godziny wszystkiemu zaprzeczał, nawet temu, co oczywiste, przekonując, że to pomyłka, on przyjaźnił się z towarzyszem Mingiem, i krzyczał to nie tak. Ale ponieważ system konspiracyjnych przesłuchań nie mógł sobie pozwolić na stratę czasu, postawili go do pionu i zaczął śpiewać: że został konfidentem, bo ma chorą kuzynkę i musi opłacać szpital; że nigdy nic ważnego nie przekazał i nie rozumie, jak doszło do tej wpadki. Że ma rodzinę (prawda), która jest na jego utrzymaniu (kłamstwo). Padło nazwisko kontaktu z psianią. Uzyskali niemal absolutną pewność, że nie miał współników w Partii. Tymczasem Xato, Simó, Franklin i Cunillera, jak w klasycznych filmach o policjantach i złodziejach, grali w karty w innym, zadymionym pomieszczeniu i starali się skoncentrować na myśleniu o Mingu. Poza towarzyszem Simómem, który siedział w kącie z książką, na co pozostali patrzyli niechętnie, bo ileż można czytać. Ale wszyscy czterej czekali na dalsze rozkazy i żołądek im się przewracał, choć nigdy by się do tego nie przyznali, bo byłoby bardzo niebezpiecznie w takiej chwili wyjść na tchórza. Szczęście, że nikt z Partii, poza Niebieskookim, nie wiedział, kim są.

– I poza Perpinyaną – powiedział Miquel II Gensana Goryl, podnosząc wzrok znad książki. Pozostali spojrzeli na niego, jakby zobaczyli ducha, a on odchrząknął. – Przepraszam, głośno myślałem.

– Josep Maria też miał zwyczaj głośno myśleć – przypomniała nieśmiało Júlia.

– Jaki Josep Maria?

– Bolós.

– A ty skąd to wiesz?

– Mówiłam ci przecież, że go znałam. – Na jej talerzu została już tylko cebula. – Trochę.

Tak naprawdę nikogo nie interesował skład zmilitaryzowanej grupy operacyjnej oddelegowanej do wykonania egzekucji. Poza tym tylko dwaj z czterech podzielił się główną nagrodą i pozostali dwaj towarzysze nie będą wiedzieli, który ze szczęśliwców nacisnął cyngiel. Xato, Simó, Cunillera i Franklin wygrali los na listopadowej loterii, zwyciężyli w konkurencji wymierzania surowej krytyki prosto w kark.

Przesłuchanie ciągnęło się godzinami, a oni w tym czasie woleli patrzeć na ogród za oknem, byle tylko nie sobie w oczy. Ponieważ nikt się nie zgłosił na ochotnika, zdecydowali, że będą losować. Franklin przygotował cztery zapalki różnej długości i dał je Xato. Zadanie miał wykonać ten, który wyciągnie najkrótszą. Simó prawie zemdleł z radości, kiedy zobaczył, że jego była długa. Cunillera... krótka. Franklin... ni długa, ni krótka. Najkrótszą wylosował Xato. Cunillera i Xato, szczęściarze nagrodzeni podróżą na Karaiby dla dwóch osób. Po dokonaniu egzekucji na ekstowarzyszu. A nade mną otworzyło się niebo, bo nie będę fizycznym wykonawcą morderstwa, choćby i w słusznej sprawie. Podziękowałem nieistniejącemu bogu i spojrzałem kątem oka na Bolósa, który też dziękował swoim bóstwom. Tysiąc razy lepiej zająć się usunięciem zwłok niż zamienić Toro w trupa. Tysiąc razy lepiej czekać niż musieć wejść do środka, jak Cunillera i Xato, bladzi niczym śmierć. Tysiąc razy.

Kiedy Komitet Rozpoznawczy i Przesłuchujący dyskretnie się ulotnił, przypominając nam uprzednio, że za godzinę ma tu już nikogo nie być, a klucze pod wycieraczką, Cunillera i Xato

wstali. Simó zaproponował im rumbo, niczym ostatni papieros skazańców. Palili zachłannie, jakby rzeczywiście to były ich ostatnie chwile. Franklin, nadrabiając miną, dodawał im otuchy: niech wam nie zadrży ręka, towarzysze. To tylko zdrajca, pomyślcie o Mingu. A Cunillera spojrział z nienawiścią, rzucił mu niedopalony papieros pod nogi i wycedził przez zęby jeżeli to dla ciebie takie oczywiste, czemu sam nie pójdziesz, skurwysynu. Ja w ogóle nie znałem Minga. Ale Xato ujął go pod ramię i obaj poszli do pomieszczeń po drugiej stronie domu.

Franklin i Simó zaczęli chodzić w kółko, jakby czekali na wiadomość od akuszerki, nie mając odwagi na siebie spojrzeć, ani na wilgotny ogród za oknem, oby to jak najszybciej się skończyło, i na pewno myśleli: nigdy nie przypuszczaliśmy, że noszenie broni jest takie trudne. I wtedy usłyszałem strzał. O Boże. Dwa. Dwa przytłumione strzały. Surowa krytyka wymierzona w kark Toro, odrażającego zdrajcy. Obaj odetchnęliśmy, czekając na kwilenie niemowlęcia.

Xato i Cunillera wrócili, z pistoletami w kaburach. Nie wiadomo, który z nich strzelał. Straszny Sekret należał wyłącznie do dwóch Bohaterskich Towarzyszy. Bolós i ja woleliśmy nie patrzeć im w twarz. Odgadliśmy, że mają ogromną ochotę się upić. Towarzysz Mingo mógł spoczywać w pokoju.

– Teraz wasza kolej – powiedział Xato i uśmiechnął się z ulgą, że ma to już za sobą. Cunillera się nie odezwał. Obaj zniknęli w ciemnościach. Dopiero wtedy zauważyłem, że zostawiliśmy otwarte drzwi do ogrodu, dlatego w domu panował taki chłód.

– Do roboty – powiedział Franklin.

To było najgorsze. Simó uważał, że im przypadła trudniejsza rola. Co za koszmar, pozbyć się trupa. Najpierw musieli stawić czoło martwemu Toro, który chwilę temu był żywy, przerażony siedział w samochodzie, a teraz leży sztywny i zakrwawiony. Później trzeba go dotknąć, zaciągnąć do samochodu, gdzie wyrzucić, och, prawdziwy koszmar. On z Bolósem (Franklin i Simó, połączeni przeznaczeniem od dnia Pierwszej Komunii do dnia ich Pierwszej Egzekucji) wstali, nie podziękowali towarzyszom za wyrządzoną przysługę i z duszą na ramieniu weszli do korytarza po prawej szukać zwłok.

Stojąca w rogu lampa ze słabą dwudziestopięciowatową żarówką ledwie oświetlała pokój przy kuchni. Na środku pomieszczenia, na ziemi, z rękami związanymi na plecach, tuż obok przewróconego krzesła leżał Toro, zdrajca, i strumyk krwi wypływał z otworu, którym przed chwilą uciekło życie.

– Pomyśleli o wszystkim. – Franklin pokazał mi leżący na ziemi ręcznik. Simó smutno się uśmiechnął. Już miał mu okręcić głowę tym ręcznikiem, żeby nie zabrudzić krwią podłogi, kiedy stało się to, co pod żadnym pozorem nie powinno było się wydarzyć. Franklinowi, pochylonemu nad nieszczęsnym, odrażającym Toro, krzyk zamarł w gardle. Toro poruszył głową, otworzył oczy i jęknął.

– Co za pieprzone sukinsyny, gnojki, chuj! – zawołałem, a krzyk rozniósł się w głowie, w ten charakterystyczny sposób, który dociera aż na dno duszy. Byłem przerażony. – Te przekłete skurwysyny go nie załatwiły!

Natychmiast wybiegłem z pokoju, a za mną Franklin, krzycząc z wściekłości, łamiąc

kontrrewolucyjnie podstawowe zasady bezpieczeństwa i konspiracji. Wypadliśmy na pustą ulicę, ja i nieszczęsny Bolós, ciężko dysząc, wydychając powietrze, które tworzyło dymki w słabym świetle jedynej na tej ulicy latarni. Usłyszeliśmy obojętny turkot przejeżdżającego pociągu, dostrzegliśmy uwijające się w ciszy wiewiórki, ale ani śladu tamtych dwóch, największych sukinsynów, jakich ziemia nosiła, którzy tylko rozbabrali robotę. Tak, jasne, mógłbym teraz biec pustymi wilgotnymi ulicami, wpaść na dworzec, jechać do Sant Cugat i ogłosić wszem wobec, że Xato i Cunillera to ci, którzy wystawili do wiatru swoich kumpli, ponieważ nie dokończyli egzekucji i zostawili nas z rozbabraną robotą, a teraz my dwaj, Bolós, mój serdeczny przyjaciel, i ja, mimo że wyciągnęliśmy najdłuższe słomki, musimy dobić zdrajcę; tak, mógłbym tak postąpić. Albo mógłbym powiedzieć Bolósowi chodź, zbierajmy się stąd, i zostawić Toro sam na sam z jego agonią, a właścicieli domu z trupem. Albo...

– Miquel, mamy coraz mniej czasu. Opanuj się.

– Co za sukinsyny, nie?

– Pewnie są jeszcze bardziej spietrani niż my.

– Co robimy? Czekamy, aż umrze?

– Nie. To by było straszne. Nie. Może się ciągnąć godzinami. Tylko by niepotrzebnie cierpiał.

– Trzeba go dobić jak zwierzę.

– Cholera, zamknij się.

Zamilkliśmy. Wyciągnęliśmy papierosy i zmieszaaliśmy dym z parą naszych oddechów. Toro umierał w domu i Mingo nie miał tu nic do rzeczy. Papierosy rumbo pachniały i smakowały jak trociny. Nigdy później ich nie paliłem, ale te parę pociągnąć wtedy mnie uspokoiło.

– Niech los zdecyduje, Miquel.

– W porządku. Kciuk się nie liczy.

Miquel i Bolós beztrzesko grają w marynarza na nieznanym ulicy: parzyste, nieparzyste, raz, dwa, trzy. Ale stawką gry był dobijający strzał. Ten, który jest przywilejem dowódcy plutonu egzekucyjnego. Raz, dwa, trzy: padło na porucznika Franklina i gdy ten zbladł zdesperowany, chorąży Simó myślał: ale mam szczęście, nigdy w życiu nie będę narzekał na los.

– Biedny Josep Maria.

– Tak.

Wrócili w milczeniu, obaj ze świadomością, że zabicie Toro nieodwołalnie spadło na Bolósa, serdecznego przyjaciela, i gdy weszli do pokoju obok kuchni, Toro wpatrywał się rozpaczliwie w drzwi, a oni mieli wątplą nadzieję, że może już umarł, ale nie, mrugnął, próbował coś powiedzieć, a ja ledwo co widziałem przez łzy i zdążyłem zauważyć, że Bolós też miał łzy w oczach, a potem stanąłem tyłem i usłyszałem strzał porucznika, jeden, krótki, ostateczny, i kiedy chorąży Simó zakrywał twarz Toro, żeby go przetransportować, zauważył, że porucznik Franklin okazał współczucie – otworzył mu usta i wysłał kulę, niczym

święty wiatyk, prosto w pamięć.

Po tym nic bardziej przykrego nie mogło już nas spotkać. Włożyli trupa po dwukrotnej egzekucji do bagażnika samochodu. A kiedy go zostawili ciemną nocą na wysypisku śmieci koło Granollers, z nadzieją, że niebawem ktoś go znajdzie, że psiarnia się przestraszy i zrozumie, że z Partią nie ma żartów, poczuli pustkę w sercu, biedny Toro, sam, martwy, pośród śmieci.

W milczeniu pokonali trasę do warsztatu w Guinardó, gdzie mieli zmienić koła i zatrzeć ślady wewnątrz samochodu, a ja nigdy nie przestałem myśleć o tamtym samotnym ciele martwym od trzech drżących, niezdecydowanych krytyk wymierzonych w kark, które go pozbawiły życia, pozostawionym w towarzystwie chłodu, gwiazd i szczurów. Zachowałem to w pamięci, bo odebrałem tę sytuację jako wielką osobistą krzywdę, Júlio.

- Kapitan Samanta mówi, że ją oszukujesz.
- Ja? Przecież jej prawie nie widuję, kiedy tu przychodzę.
- Mówi, że ukradkiem przemycasz mi czekoladę – upierał się wujek.
- Bzdura! – odparł Miquel, wkładając dwie tabliczki do szuflady, pod japoński żółty papier, idealny do robienia abisyńskich lwów.
- Też jej to mówię. Ale ona...
- Może ostatnio miałeś problemy z żołądkiem?
- Nie, żadnych, wszystko w normie. Pani sierżant jest najmądrzejsza z całego wariatkowa.
- Sanatorium.

Wujek Maurycy nie podjął dyskusji na ten temat. Dopóki nie poczuł smaku pierwszej kostki czekolady, nie miał nastroju do gadania. Chwycił kartkę papieru i zapatrzył się w dal, a tymczasem same palce, z mądrością, którą wujek dzielił ze ślepcami, zaczynały składać papier, by nagle wyczarować niesamowitego mandryla z wydatnym tyłkiem. Kiedy skończył, palce same odstawiły go na szafkę nocną, jakby od niechcienia, ponieważ on przeżywał w tym momencie śmierć swojego wuja, Maura II Boskiego, tak jakby była rzeczywistością. I jedna łza spadła na prześcieradło.

- To ja zabiłem wuja.
- No nie, nie przesadzaj. – Ale łza na twarzy wujka nie była udawana. Miquel wskazał mandryla. – Ta małpa jest... Jest fantastyczna, wujku.
- Zabiłem go. Umarł dlatego, że przeczytał tamten zeszyt.
- Co było w tym zeszycie?
- Pewna historia. Przemyslenia...

Teraz wujek zgniótł w nerwowych palcach papier, który już zaczął przybierać kształt konia, i porzucił go na prześcieradle. Koń zamienił się w anonimową kulkę, a Miquel skojarzył to z niewolnikami z rzeźby Michała Anioła, wyłaniającymi się w ciężkim trudzie z kamienia i domagającymi się co sił w płucach formy, która ich powoła do życia.

- Źle zacząłem opowiadać.
  - Jeśli nie chcesz, wujku, nie musimy o tym rozmawiać.
  - Jasne, że chcę. – Potwierdził to energicznym gestem. – Siadaj.
- Jego palce zaczęły układać następnego mandryla: niedobrze, żeby małpa była sama.

Wtedy zaczął opowiadać o zaskoczeniu, jakie czekało całą rodzinę, kiedy notariusz Tutusaus odczytał testament pradziadka Maura II Gensany Boskiego. Testament jako tekst okazał się prawdziwą perełką literacką, w której pradziadek dywagował, w prawniczym dokumencie, na temat wyjątkowej urody ogrodu i wybitnej poezji powstałej z inspiracji tego locus amoenus. Były autocytaty, na przykład: o, cieniu wokół ściany kasztanowego zagajnika / równać się z tobą może tylko cień lip, wywołujące ziewanie jego syna, Tona, którego notariusz oderwał od pracy; cały tydzień zmarnowany: śmierć, czuwanie przy zmarłym, pogrzeb, a teraz to; dyskretnie wyciągnął zegarek, żeby sprawdzić, czy zdąży jeszcze wrócić do gabinetu, czy lepiej iść od razu do kasyna. Ale tylko sięgnął do kamizelki i ręka mu zastygła w połowie drogi, bo w tym momencie notariusz Tutusaus ogłaszał, że twój pradziadek, Maur II Boski, w związku z niezwykle okolicznościami, o których się właśnie dowiedział, dokonuje zmiany testamentu, sankcjonując tę zmianę w obecności et cetera, et cetera i wszyscy zauważyli, że notariuszowi w tym momencie zadrżał głos, a ta zmiana anuluje wszystkie wcześniejsze rozporządzenia, o ile pozostawałyby w sprzeczności z nową dyspozycją. Jej sens sprowadzał się do tego, że wszystkie dobra rodzinne, ziemia, budynki, ogród i rodowa posiadłość, własność fabryki, którą zarządza i nadal będzie zarządzał don Antoni Gensana i Eroles, grunty położone w górach aż do Navardles oraz gotówka, którą w tym momencie mam zdeponowaną w banku – cały mój majątek przechodzi na mojego ukochanego siostrzeńca, don Maurycego Sicarta Gensanę, Maurycego bez Ziemi, syna mojej ukochanej siostry Carloty, którego ustanawiam moim wyłącznym dziedzicem. A dziadek Ton, syn poety, otworzył usta i zamknął, jak brzana w ogrodowym stawie, który właśnie przestał do niego należeć. Wydziedziczony. Dlaczego? A fabryka? Dlaczego? W tej samej chwili, widząc spojrzenie, jakim mnie obrzucił twój dziadek, pojąłem, że miałem wroga tuż pod bokiem. Ale było mi o wiele bardziej przykro, Miquelu, że twój ojciec, nawet twój ojciec, spojrział na mnie krzywo, ponieważ zapewne uznał, że jedynym prawowitym sposobem dziedziczenia dóbr w domu Gensana jest męska sukcesja. Miałem dwóch wrogów pod własnym dachem. Prababka Pilar i mama Amèlia siedziały ciche i milczące, najwyraźniej zdezorientowane, bo trudno było cokolwiek z tego zrozumieć. Te spojrzenia mężczyzn pomogły mi w złożeniu samemu sobie przysięgi, że cokolwiek by się działo, nie dam się ruszyć z domu, bo jest mój. Podarował mi go poeta.

– Nie. On jest mój. Mam do niego moralne prawo. – Oskarżycielsko wyciągnął w moim kierunku palec wskazujący. – Oddawaj, co moje.

Papie Tonowi drżały wąsy. Dwa tygodnie później nadal nie dawał wiary; ciągle otwierał i zamykał usta jak brzana, ogarnięty zdumieniem; to samo zdumienie, pomieszczone z niezmiernym lękiem wynikającym z mojej nieoczekiwanej władzy, przeżywałem i ja.

Zamilkł. Wydawało się, że chce wrócić do formowania końskiej głowy, ale palce straciły zainteresowanie origami. Ponurym głosem wujek Mauryce dodał Miquelu, przysięgłem, że nigdy się nie ruszę z tego domu, bo jest mój. Przysięgłem też, że skoro jest mój, mogę nim dowolnie dysponować. Aż zwariowałem i przywieźliście mnie tutaj, na posterunek dowodzony przez sierżanta. W ten sposób streścił pięćdziesiąt lat historii, w której mieściło się całe życie Miquela. Obaj zamilkli, wsłuchując się w dalekie odgłosy dochodzące zza bariery ciszy.

– Dlaczego twierdzisz, że go zabiłeś?

Wujek spojrzał na Miquela takim wzrokiem, jakby wrócił z wyczerpującej podróży. Chwył końską głowę i nerwowymi ruchami rozłożył papier; znów miał przed sobą żółtą kartkę papieru pokrytą tajemniczymi załamaniem nie do odszyfrowania, które jeszcze chwilę temu aspirowały do bycia koniem. Wtedy mi powiedział, że mój pradziadek nigdy nie powinien był tego przeczytać. Tym razem nie schowałem go tak jak zawsze. To moja wina. Z tego, co się stało później, wywnioskowałem, że mój wujek, a twój pradziadek, musiał znaleźć zeszyt na biurku. Miał jeszcze tyle czasu, zanim wróciła rodzina, żeby wszystko przeczytać, wpaść w rozpacz, wezwać notariusza, zmienić testament, zasiąść w galerii portretów z zeszytem w dłoni, wpaść w jeszcze większą rozpacz i umrzeć.

Zamilkł na dźwięk despotycznych rozkazów sierżanta Samanty lub któregoś z jej janczarów. Spojrzał Miquelowi w oczy i powiedział, nie spuszczać wzroku: zapewne po to, by uspokoić sumienie, poprosiłem twój dziadka Tona, żeby nigdzie się nie wyprowadzał, on, jego rodzina i jego resentyment. Wtedy zaczęły krążyć po Feixes plotki, że byłem hazardzistą i że zacząłem trwonić rodzinny majątek, grając w bakarata. Ten epizod przeszedł do Historii jako Moje Pierwsze Wielkie Rozczarowanie.



Miesiące, które nastąpiły po dokonaniu zemsty, zarówno dla Simóna, jak i Franklina, były bardzo intensywne. Jakaś wrażliwa dusza w Partii dołożyła starań, żeby wszyscy czterej bohaterowie nie tylko nie mieli ze sobą kontaktu, lecz także mieli ręce pełne roboty i jak najmniej czasu na myślenie, bo myślenie mogłoby im zaszkodzić i osłabić ich sprawność bojową. Towarzysz Simó przeżył trzy przeprowadzki i uczestniczył w tuzinach zebraniach nowych komórek, których tematem była, poza surową autokrytyką z powodu złego funkcjonowania Partii, korekta linii ideologicznej ich organizacji. Zaangażował się ciałem i duszą i stał się, teraz naprawdę, apostołem pogan głoszącym dobrą nowinę ortodoksyjną; właściwie powinien był zmienić imię z Simóna na Szawła. A Mingo stał się dla niego kimś w rodzaju pierwszego mężczyzny.

Czasy były trudne; ostatnia secesja rewizjonistyczna zostawiła Partię gołą i bosą; ale Miquelowi to nie przeszkadzało, bo czuł, że stoi po stronie prawdy, że jest jednym z dziesięciu sprawiedliwych, których Jahwe zażądał od Lota. Co za satysfakcja wiedzieć, że jest się jednym z dziesięciu. Tymczasem Franco śliniąc się, z ustami otwartymi przez arteriosklerozę, zapamiętałe podpisywał niepotrzebne, okrutne wyroki śmierci, bo kto się urodził, zabijając, musi zabijać, póki nie umrze. Kraj czekał niecierpliwie na atak serca albo na jakiegoś niewyobrażalnego kamikaze i jeszcze nie odzyskał głosu po szoku wywołanym egzekucją Puiga Anticha. Co ciekawe, zainteresowania Simóna koncentrowały się w tym momencie na kluczowej kwestii, czy awangarda robotnicza przed rewolucją powinna paktować z intelektualistami i z chrześcijanami czy nie. Rewizjoniści twierdzili, że tak, a Simó, Apostoł Pogan, utrzymywał, że jednak nie. Że awangarda robotnicza powinna sprawować twardą ręką bezwzględną dyktaturę proletariatu, aby doprowadzić wreszcie do rewolucji socjalistycznej i spowodować Nadejście Komunistów, które przepowiadał Jezus. Jeszcze trudniejsza była kwestia, jaką postawę przyjąć wobec dawnych towarzyszy z PSUC, kontrrewolucyjnych rewizjonistów, którzy bez żenady, oportunistycznie dogadywali się z konspiracyjnymi partiami burżuazyjnymi. W tej sprawie polaryzacja opinii była najsilniejsza i nowa stara gwardia Partii twierdziła, że ci z PSUC są gorsi niż burżuje, bo to zdracy. A Miquel II Gensana Ortodoksyjny Apostoł poczuł się nagle (w dniu, kiedy wygłaszał przemówienie na uniwersytecie, w sali numer jedenaście, przed publicznością składającą się z pięciu osób) potwornie zmęczony, a w duchu, mimo słusznej świadomości, musiał się sam przed sobą przyznać, że tylko czekał na okazję, żeby się pożegnać z bronią. Ale przecież Berta, towarzysznica Pepa, nadal siedziała w więzieniu, wydana przez tego skurwysyna Toro. Dawne kierownictwo Partii, z wyrokami ośmiu i dziesięciu lat paki, próbowało opanować sytuację, podczas gdy skrzepy krwotoczne wykonywały swoje rewolucyjne zadanie w ciele

dyktatora. Partia zatrzęsła się w posadach, a działacze miotali się jak w ukropie, jedni z głową zadartą w górę, drudzy ze wzrokiem wbitym w ziemię. Kiedy Pinochet wracał do Chile po pogrzebie Franco, towarzysz Simó nie miał ani pieniędzy, ani możliwości, żeby kupić szampana i uczcić ten fakt jak wszyscy przyzwoici ludzie, a tymczasem stał się cud i Hiszpania z dnia na dzień okazała się monarchią z dziada pradziada. Wtedy Partia uznała, że w ramach procesu przemian działacze powinni wstąpić do PSUC, a Partia ma się rozwiązać. Wielu działaczy temu przyklasnęło i wołało zapomnieć, że zaledwie parę miesięcy temu sypali zarzutami wobec rewizjonistycznych braci z PSUC. Ale my, którzyśmy tego nie uznawali za oczywiste, którzy mówiliśmy, że po to, by w końcu wziąć udział w wyborach, nie trzeba było strzelać ostrymi nabojami i zabijać, że niepotrzebny był Bejrut, ani dwudziestopięciowatowa żarówka, ani ręcznik mokry od krwi Toro, my wszyscy dostaliśmy propozycję przystąpienia do projektu Equus. I proszę łaskawie nie zapomnieć, że macie się stawić z pistoletem za pasem. A ja, który nie marzyłem o niczym innym, tylko żeby już skończyć to wojowanie, wrócić do domu, zapisać się do jakiegoś stowarzyszenia weteranów, zasiąść w bujanym fotelu i wspominać dawne bitwy, powiedziałem, że przystępuję do projektu Equus, choć w duchu myślałem sobie: żadna z ciebie Antyгона, może raczej Edyp niezdolny się zbuntować przeciw rewolucyjnemu przeznaczeniu.

Wychodząc z pensjonatu w Madrycie, gdzie spędziłem noc, Miquel Gensana przyglądał się, jak przejeżdżały przede mną na placu Puerta del Sol najróżniejsze samochody, czarne, lśniące, z odkrytym dachem, pełne śmiechu i rockefellerów, fabioli i nowych królów. Ludzie na chodnikach, z otwartymi ustami i nadzieją w oczach (kiedy już wyschły nieutulone łzy wylane po śmierci bestii), cieszyli się, że znów mają rodzinę królewską. Stałem w odległości dwóch kroków od króla, z książką w jednej i pistoletem w drugiej kieszeni. Ogarnął mnie pusty śmiech i smutny, rozczarowany, zdezorientowany, z resztkami nadziei poszedłem w stronę metra, żeby wziąć udział w posiedzeniu Equusa w Puente Vallecas.

Spotkanie, projekt, który wyobrażałem sobie jako niepożądany i niewykonalny powrót do rutynowych działań w dążeniu do coraz mniej prawdopodobnej rewolucji, zamienił się w specyficzny, można powiedzieć akademicki akt: w dużej jadalni skąpo umeblowanego mieszkania dostałem chybotliwe krzesło kuchenne przy fornirowanym stoliku, a siedzący naprzeciwko, za długim stołem, Niebieskooki i trzech inni, nieznanymi członkowie Komitetu Centralnego podziękowali mi za wysiłek włożony w rewolucyjną walkę i oświadczyli, że w związku z definitywnym rozwiązaniem Partii, która łączy się z PSUC, lub w stosownych okolicznościach z bratnią partią PCE<sup>[15]</sup>, w związku z moją odmową przystąpienia do tej fuzji, od tej chwili zostaję zwolniony z wszelkich zobowiązań w stosunku do Partii i analogicznie Partia przestaje mieć w stosunku do mnie jakiegokolwiek zobowiązania czy oczekiwania. Kazali mi przysiąc, że nigdy, pod żadnym pozorem, nie zdradzę sekretów, do których miałem dostęp jako działacz, i że nigdy, niezależnie od okoliczności, nie zdradzę żadnego z dawnych towarzyszy, i analogicznie Partia nigdy nie będzie informować o moich partyjnych dokonaniach. Przypuszczam, że chodziło im o śmierć Toro i o moje studia w Libanie. Pierwszy raz o tym mówię, Júlio.

Z jednej strony Miquel Robin Hood II Gensana poczuł ogromną ulgę na myśl, że już nigdy więcej nie będzie na nim ciążyć brzemię konspiracji, ale dawny towarzysz Simó bardzo się

wystraszył, zawróciło mu się w głowie, bo oczywiście ryzykował życie i walczył z całą strukturą dyktatorskiej władzy, ale przede wszystkim walczył ze sobą, żeby wierzyć w to, czym żył, i to na dodatek z rewolucyjnym entuzjazmem. Miquel i Simó zajrzeli w głąb własnej duszy.

– I co teraz mam zrobić ze swoim życiem?

Powiedziałem to spontanicznie, patrząc w oczy Niebieskookiego, tonem skargi i wyrzutu, bo nie da się wszystkiego przeorientować z dnia na dzień. Ale mężczyzna z gęstymi wąsami, który zdaje się, miał tam najwięcej do powiedzenia, z wiecznie łzawiącymi oczami, rozproszył moje wątpliwości lekceważącym gestem ręki: nie zebrali się tu w celu debatowania.

– Proszę oddać pistolet. Towarzysz Pablo odbierze.

Zrobiłem, co mi kazali, z uporem wpatrując się w Niebieskookiego.

– No co?

Po raz pierwszy od wielu lat Niebieskooki pominął milczeniem moje pytanie i patrzył w sufit, kiedy towarzysz Pablo wręczał mi kopertę z konkretną, ale skąpo wyliczoną kwotą, na dobry początek mojej ponownej integracji w społeczeństwie, które się śmieje, kocha się, spaceruje, kiwa palcem w bucie, pisze rozprawy doktorskie, chodzi do kina, a na ulicach nie ogląda się za siebie z lęku przed przypuszczalnym prześladowcą.

Wyszedł z salonu mieszkania w Puente Vallecas, nie mając odwagi ponownie wymienić spojrzenia z Niebieskookim, nie mając odwagi zapytać o los uwięzionych towarzyszy takich jak Berta, to znaczy towarzyszka Pepa, nie zapytał, jak się zachował towarzysz Franklin, czy już został poddany tej samej procedurze, nie zapytał, co za lajdak wymyślił tę nاپuszoną nazwę, projekt Equus, dla czegoś w rodzaju nieuniknionej zbiorowej dymisji adresowanej – jak mi powiedziano – tylko do tych działaczy, którzy czymś się wyróżnili w działaniach czy strukturach Partii, a nie zdecydowali się wstąpić do PSUC.

Pieniądze od towarzysza Pabla wydałem na benzynę do mojej vespy, którą przyjechałem do Madrytu. Wracalem do Barcelony jako Miquel II Gensana Wyzwolony z Wszelkich Ciężkich Zobowiązań z Wyjątkiem Wspomnień. Śpiewałem, jadąc sześćdziesiąt kilometrów na godzinę, śmiałem się, płakałem i patrzyłem wyzywająco na żandarmów z drogówki, bo nawet gdyby mnie teraz wylegitymowali, nie przeżyłbym chwili grozy na myśl, że mogą znaleźć pistolet w kieszeni albo trwogę w sercu.

Miquel miał sześćset kilometrów na przemyślenie, jaka powinna być, poczynawszy od tej chwili, jego postawa. Za żadne skarby nie chciał wracać do domu: w ten sposób przyznałby się do błędu; musiałby znieść milczące, triumfujące spojrzenie ojca i, być może, gesty współczucia wujka Maurycego, ale przede wszystkim musiałby skonfrontować się z milczeniem matki. To naprawdę wywoływało w nim panikę. W Monegros zmienił zdanie po raz trzeci; dopiero we Fradze powiedział sobie, koniec końców... Ale nie: zostało mu jeszcze sto czterdzieści kilometrów na rozważanie wątpliwości i wtedy zastanowił się, wybrał się i poszedł do swojego ojca. A gdy był jeszcze daleko, ujrzał go jego ojciec i wzruszył się głęboko; wybiegł naprzeciwko niego, rzucił mu się na szyję i ucałował go. A syn rzekł do

niego: Ojczy, zgrzeszyłem przeciw niebu i względem ciebie, już nie jestem godzien nazywać się twoim synem. Lecz ojciec rzekł do swoich sług: Przynieście szybko najlepszą szatę i ubierzcie go, dajcie mu też pierścień na rękę i sandały na nogi! Przeprowadźcie utuczone cielę i zabijcie: będziemy ucztować i bawić się, ponieważ ten syn mój był umarły, a znów ożył; zaginął, a odnalazł się. I zaczęli się bawić<sup>[16]</sup>.

– Czy mogę już podać mięso?

Maître patrzył zniecierpliwiony na warzywa na talerzu Miquela, ledwie napoczęte z jednej strony. Miquel wrócił do rzeczywistości i podążył za jego wzrokiem. Maître uniósł brwi i oskarżycielskim tonem zapytał:

– Może panu nie smakuje?

– Skądże, ja tylko...

Odłożył sztućce ze skruszoną miną. Júlia spojrzała na niego ze współczuciem i wymownym gestem zawróciła maître'a. Ten pstryknął palcami na kelnera, żeby zabrał talerze.

– Miquel, mniej mów, a więcej jedz.

– Nie mogę przestać mówić. Za długo milczałem. – Zauważył jej uśmiech i zastanowił się, ile z tego wszystkiego potrafiłby jej wyjaśnić. W tym momencie podszedł kelner z dwoma mięsnymi daniami, które najwyraźniej nie mogły się już doczekać na swoją kolej. W ślad za kelnerem zjawiał się maître z uniesionymi brwiami, który postawił sobie za punkt honoru nie dać nam spokojnie zjeść, i zapytał, czy podać następną butelkę wina, powiedzieli, że tak, proszą o wino, żeby mieć pretekst do przedłużenia kolacji, nigdzie nam się nie spieszy, Júlio. A poza tym ściągnęłaś mnie tu, żeby mówić o Bolósie, i sama widzisz.

Spełniło się wszystko, czego się obawiał Miquel II Gensana Syn Marnotrawny: kuzyn Ramon, telefonując z fabryki, zapytał, czy już naprawił świat, i na koniec obraźliwie się roześmiał. Núria powiedziała cześć, dobrze, że wróciłeś, i nic więcej, żadnego nawiązania do triumfalistycznej deklaracji, jaką jej wysłał, kiedy wkraczał na konspiracyjną ścieżkę chwały. Zaprosiła go do siebie, żeby poznał małego kuzynka. Ojciec popatrywał na niego z ironią, ale (upomniany przez matkę) nie robił mu żadnych wyrzutów. Wyrzucił je wszystkim spojrzeniem i westchnieniem ulgi i wrócił do fabryki, bo niektórzy muszą pracować. Wujek podniósł na niego wzrok znad książek, z biblioteki, wczuwając się w cierpienie ukochanego bratanka, Miquela, który wreszcie wrócił do domu. Tak jak się obawiał, najtrudniej było znieść milczenie matki. Żeby je złagodzić, a może żeby odbyć pokutę, Miquel dotrzymał jej towarzystwa przez cały wieczór, siedząc w fotelu tuż przy ogromnym radioodbiorniku, który od zawsze stał przy ścianie, tuż za plecami Júlii, i wsłuchiwał się w ciszę, a ona tymczasem czerpała skarpetki i obrębiała mankiety spodni przy muzyce tak subtelnej, że nie wychodziła poza krąg światła lampy. Ich rozmowa toczyła się bez słów. Powiedział sama widzisz, mamó. Tak, synu, nie musisz mi niczego wyjaśniać, bardzo się cieszę, że tu jesteś, cały i zdrowy. Myślałem o tobie, mamó, ale to były kontrrewolucyjne myśli i nie mogłem dopuścić, by odebrały mi chęć działania. Rozumiem, nie, nie rozumiem, ale przyjmuję do wiadomości, najważniejsze, że wróciłeś, a co masz zamiar teraz robić? Nie wiem, mamó; wydaje mi się, że chcę studiować, ale nie wiem co. Potrzebuję paru dni, żeby się zastanowić,

czy chcę kontynuować historię, czy może poświęcić się czemuś innemu. Tymczasem zza uchylonych drzwi biblioteki zaczęły dochodzić powolne takty *Música callada*, milczącej muzyki, i rozumiałem, że to powitanie, jakim chce mnie uraczyć wujek. Matka zgasila radio, żeby nie zagłuszać kompozycji Mompou, i przegryzła nitkę, z okularami na czubku nosa, i dalej mówiła w myślach. Nie spiesz się, Miquelu, nie zwracaj uwagi na obrażoną minę ojca, bo teraz nastąpił bardzo ważny moment w twoim życiu, synu marnotrawny.

– Ojciec jest rozdrażniony, bo źle idą interesy. – Teraz, po dwóch godzinach milczenia, matka spojrziała mu w oczy i odłożyła robótkę na kolana. – Wszyscy plajtują i on też się boi, że trzeba będzie zamknąć fabrykę.

– Ale co się dzieje, czy nie wystarczy pomoc Ramona?

– Nie w tym rzecz. Jest kryzys, mówią, że światowy. Nie ma pieniędzy na nowoczesne maszyny. Przemysł włókienniczy to już przeżytek, synu.

– Ale nie przestaliśmy nosić ubrań. Nigdy tego nie zrozumieć.

Gdybym tylko tego nie rozumiał w życiu... Tak czy owak, powoli określiłem swoje miejsce w życiu codziennym domu i wróciłem z nową energią do czytania; teraz nastala moda na Todorova i Barthes'a. Ojciec całe dni spędzał poza domem, matka patrzyła na mnie z daleka z czułością, a ja spacerowałem po ogrodzie, sam, samotny, kawaler, i odnalazłem staw bez łabędzi i kasztanowy zagajnik. Robiłem plany na przyszłość, dzwoniłem do przyjaciół, którzy dziwili się, że jeszcze żyję, omijałem w książce telefonicznej stronę z numerem Bolósa, zamykałem się z wujkiem w bibliotece, gdzie przekazał mi w sekrecie, tak między nami, że jego ostateczne miano, pod którym przejdzie do Historii, to Maurycy bez Ziemi. Już wtedy złe języki zaczynały szeptać, że wujek świruje. Pokazywał mi odgałęzienia, które chciał włączyć do drzewa genealogicznego rodziny, i zadreżczał moją matkę, nalegając, żeby zrobiła sobie zdjęcie z ojcem do galerii portretów. Aż zdecydowałem się zamienić historię na filologię; bo tak, bo przeczytałem trzy wiersze Foixa i zacząłem odkrywać, że sztuka jest zjawiskiem, w które możesz się włączyć, nie pytając nikogo o zgodę, i nie musisz przed nikim się rozliczać z podjętych działań. Byłem jeszcze wtedy zbyt naiwny, żeby się przejąć istnieniem krytyków. Byłem też zbyt młody, żeby zrozumieć, że szukałem drogi ocalenia.

Na uniwersytet wróciłem tylnymi drzwiami. Nic nie zostało z dawnej Świątyni Mądrości, choćby dlatego, że zajęcia nie odbywały się przy placu Universitat, ale były rozrzucone chaotycznie w budynkach po obu stronach alei Diagonal, w jej górnej części, którą przy odrobinie dobrej woli i wyobraźni, od biedy można było nazwać kampusem. Wychodząc z wykładu Ricarda Salvata, poznałem Gemmę. Jadła croissanta, a ja natychmiast zwróciłem uwagę na dołeczki w jej policzkach. Berta była już tylko wspomnieniem. I chociaż teraz wydaje mi się to nieprawdopodobne, Teresa też jeszcze się nie pojawiła na horyzoncie. Ponieważ już nie musiał się ukrywać, Miquel Gensana dostosował się do rytuału podyktowanego przez aktualne znaki czasu i zapuścił brodę.

Nasza rodzina przypomina reprezentacyjną fasadę domostwa przystrojonego na Boże Ciało gobelinami wywieszonymi na balkonach, które ludzie, chcąc nie chcąc, muszą podziwiać. Przez pokolenia cały ród Gensanów jak ognia unikał skandalu. Od czasów pradziadka Antona II Chryzostoma Gensany, który opowiadał cuda na forum publicznym, a nie miał pojęcia o koronie z rogów na własnej głowie, nic nie wypłynęło na zewnątrz. W ciągu dwustu lat nagromadziło się sporo brudów, ale zawsze praliśmy je w czterech ścianach własnej pralni. Zawsze, Miquelu. Tylko twój ojciec złamał tę świętą zasadę. A ja, Maurycy Pan na Włościach, jestem nieodrodnym synem tego rodu, który skandalu boi się bardziej niż zarazy. Dlatego gdy życie mnie obsypało niewyobrażalną ilością pieniędzy, a ja przeżywałem sekretną miłość do Miquela Rossella, niczego nie bałem się bardziej niż ujawnienia, że jestem rozwiązłym zbrojencem, i zazdrościłem greckim efebom kochającym się bez lęku i w pełnym świetle. Twój ojciec przestał mnie namawiać do udziału w swoich rozrywkach, nie żeby niepokoiła go moja orientacja, raczej z powodu nieoczekiwanych rozstrzygnięć w testamencie poety, które go głęboko zraniły. Skończyły się żarty, zwierzenia, kufle piwa i wspólne palenie papierosów. Spojrzenie Perego I Uciekiniera stało się milczące i nieufne. Oczywiście nic się nie zmieniło w naszym życiu, mimo że byłem panem wszystkiego: poza notariuszem nikt spoza rodziny nie wiedział o tym sekrecie, który nam zatruwał życie, a ja nadal fabrykę omijałem z daleka, zajmowałem się moim Plautem i Horacym i miałem takie kieszonkowe, że mogłem szastać pieniędzmi. Próbowałem namówić mojego Miquela na obstawianie koni na Canòdromie i wprowadziłem go do półlegalnych klubów, gdzie się ostro grało w karty. Dawałem mu gotówkę, żeby ją wydawał lekką ręką. Aż pewnego razu złapał mnie za kłapy marynarki i zamiast pocałować, zagroził, że jeśli nadal będę ulegał takim poniżającym nałogom, to z nami koniec. Tak było, Miquelu. Zerwałem z hazardem. Z miłości.

W domu czułem się jeszcze bardziej samotny, bo nie mogłem tam zaprosić Miquela. W efekcie rozmawiałem tylko z fortepianem, a babka Pilar i mama Amèlia przychodziły do biblioteki posłuchać i choć milczały, przypuszczam, że w głowach kłębiły im się setki pytań, na które nie znały odpowiedzi, a kiedy patrzyłem na babkę Pilar, miałem łzy w oczach. To były ciche lata w domu Gensana, jakby cała rodzina odwróciła się tyłem do wrzenia, jakie historia wywołała w całym kraju w tych pełnych nadziei latach trzydziestych. Widzisz, Miquelu? Teraz robię klatkę dla małp.

To moja wina: nie widzieliśmy się od wielu dni i ściągnąłem go nagle, trochę przez kaprys. Było lato, noc zachęcała do spacerów. Wpuściłem go po kryjomu przez furtkę w ogrodzeniu, tuż obok kasztanowego zagajnika. Byliśmy jak spragnione zwierzęta. W momencie, kiedy

już miał mnie poślążyć, namierzyło nas nagle brutalne światło. Usłyszałem przekleństwo z ust twojego dziadka, a Miquel, z fiutem na baczność, z rewelacyjną szybkością nagi przeskoczył przez ogrodzenie i zniknął. Nigdy się nie dowiedziałem, jak mu się udało wrócić do domu. Natomiast dobrze pamiętam, że mój przybrany ojciec od przekleństw przeszedł do oszczerstw i rzucił mi w twarz, że jestem degeneratem, świnią i pedałem. Ale nie rozpoznał mojego ukochanego i mimo wstydu poczułem ulgę. Wtedy dotarło do mnie, jaki jestem bezbronny i nagi wobec tego mężczyzny, który zastępował mi ojca, który mnie nienawidził, bo jego ojciec oddał mi wszystko. I jeszcze zauważyłem, że ktoś za nim stał i nigdy się nie dowiedziałem, czy to był Pere, czy to tylko wymysł mojego skołatane serca. Zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, twój dziadek zostawił mnie w ciemności sam na sam z moją rozpaczą. Tej samej nocy na północy Afryki pewien generał, który miał skończyć jako sklerotyk we własnym łóżku, zbuntował się przeciw legalnemu rządowi. Ale ja płakałem z innych powodów, zwinięty w kłębek w kasztanowym zagajniku, tuląc porzucone przez Miquela ubranie. Miałem poważny powód do płaczu, ponieważ mój najcenniejszy sekret wpadł w ręce osoby, która mogła mnie bardzo dotkliwie skrzywdzić.

Następnego dnia faszystowska rebelia stała się faktem. Ale dziadek, kiedy już się upewnił, że Pere nie zostanie powołany do wojska, zamknął się ze mną w bibliotece. W mojej bibliotece. Z bardzo cynicznym dokumentem i z rozkazem.

– Podpisz to.

– Co to jest?

Drobiazg, zrzeczenie się prawa własności do fabryki. A gdybym nie podpisał, rozgłosi na całe Feixes, że jestem zboczonym pedałem. I jeszcze mnie postraszył, że doskonale wie, z kim byłem. Spojrzałem mu w oczy i pomyślałem: to blef.

– Nie wiesz, kto jest moim kochankiem.

– Kochankiem? Ty to nazywasz kochankiem? Kanalia! Jasne, że wiem!

– Nie mam zamiaru podpisać. Rób, co chcesz.

Twój dziadek podszedł do telefonu, połączył się z centralą i poprosił o numer redakcji pisma „La Veu”<sup>[17]</sup>. Pokerowe zagranie? Był wściekły i zrozumiałem, że jest zdolny do wszystkiego. A ja w tamtych czasach wstydzilem się, że jestem, jaki jestem. Wziąłem do ręki pióro, a twój dziadek odłożył słuchawkę. Teraz myślę, że tak, że blefował, bo twój dziadek też nie chciałby skandalu. Podpisałem dla dobra Miquela; fabryka mało mnie obchodziła. Tak czy inaczej, wróciła do niego w banalnie prosty sposób, Miquelu. A ja czułem się zbrukany i godny pożałowania. Nie oplakiwałem straty fabryki, bo nigdy w życiu nie zabiegałem o bogactwo, chociaż ono zawsze było na wyciągnięcie ręki. Zapłakałem jeszcze raz, kiedy dwa dni później Miquel oświadczył, że wprawdzie kłótnie burzują go nie obchodzą, ale ponieważ mój przybrany ojciec zrobił mi świństwo, pewnego dnia mnie pomści. I że idzie na front. Wtedy uczucie samotności i kłęski dosłownie mnie przygniotło. A twój ojciec milczał i mnie unikał. Nie oskarżam go: miał tylko dwadzieścia dwa lata, toczyliśmy wojnę. Nie oskarżam go, ale to było moje Drugie Wielkie Rozczarowanie.

– Co ty tam widzisz?

– Nie, nic. Zamyśliłem się. – Miquel obserwował ogromny befsztyk, zastanawiając się, z której strony go zaatakować.

– Mówisz bez przerwy, a mięso tymczasem pewnie całkiem wystygło. – Júlia strofowała mnie tak jak kiedyś matka. Albo babcia Amélia.

– Może dla odmiany teraz ty mi coś opowiesz. – Owszem, mięso było miękkie, nóż wchodził jak w masło.

– Nigdy nie słyszałam, żebyś się tak rozgadał, Miquel.

– Ja też nie.

– To ta restauracja tak cię inspiruje.

Zamilkłem. Kawalek na widelcu wyglądał apetycznie. Zanim go podniosłem do ust, uśmiechnąłem się do Júlii.

– Nie. Nie podoba mi się tu.

– Nieprawda. To dzięki tej restauracji mówisz i mówisz. Może znasz tych, którzy tu mieszkali?

– Już ci mówiłem, że nie, Júlio, do jasnej cholery! – Faktycznie, mięso było zimne.

– A może to ty tu mieszkalesz? – Uroczym pytającym gestem rąk objęła cały dom, przeszłość, dawnych mieszkańców i nadzieję, że ja byłem jednym z nich. – Co?

– Aleś się uparła, dziewczyno...

Miquel uderzył pięścią w stół, co tout de suite zostało dostrzeżone przez maître'a i napiętnowane uniesieniem brwi, mimo że był zajęty zaspokajaniem kaprysów stołu numer dziewiętnaście. (Trzy samotne panie, tak na oko członkinie jakiegoś ekskluzywnego klubu brydzowego.)

– Co cię ugryzło?

Miquel uśmiechnął się przepaszająco i wyciągnął rękę przez jałową pustynię stołu w poszukiwaniu dłoni Júlii, która właśnie sięgała po widelec. Kilka sekund nałożenia rąk, gest ceremonialny, ale potrzebny, rodzaj przeprosin za uderzenie, niepanowanie nad sobą, niecierpliwość, osłodzony niewyraźnym, sceptycznym uśmiechem, podyktowanym zwątpieniem, bo nie byłem pewien, czy zrozumie całą zawartą w nim czułość.

– Co z tobą, Miquel?

A więc nie. Nie rozumiała. Ale taki miała styl i dlatego mi się podobała. Westchnąłem.



– Mięso wystygło.

– Mam poprosić, żeby ci podgrzali?

– Nie, nie... Jeszcze by mi kazali zapłacić mandat za...

– Bez dyskusji! – Wymawiając te słowa, wstała, chwyciła mój talerz, pstryknęła na maître'a i ten, mimo odległości do pokonania, natychmiast wylądował u jej stóp. Wszystko to w tak krótkim czasie, że nie zdążyłem nawet otworzyć ust, by powiedzieć nie trzeba, Júlio, naprawdę. Anioł nie kobieta.

Podczas gdy mój befsztyk powędrował do regeneracji, ona spłotła dłonie, uśmiechnęła się i poprosiła, żebyśmy mówili dalej.

– Ale ja nie wiem wszystkiego o Bolósie.

– Ty wiesz więcej niż inni. Więcej niż jego żona.

Wiedziałem tylko, że z Bolósem dzieliłem dojrzenie, wątpliwość, zainteresowanie nieosiągalnymi kobietami, a Franklin z Simónelem dzielili marzenia, lęk i lzy. Biedny Bolós podobnie jak ja zakochał się w gruszkach na wierzbie. Biedny Bolós, który mógł się postarać, by odroczone zemsta nie spadła na niego, lecz na mnie. Skoro tego nie zrobił, to znaczy, że poważniej niż ja traktował przyjaźń. Nasza nierozłączna paczka rozpadła się, gdy na etapie trzech muszkieterów, kiedy cały świat do nich należał, Rovira postanowił zostać zakonikiem, a Bolós i ja nie wiedzieliśmy, jak zareagować, kiedy nam oświadczył będąc jezuitą, zaczynam nowicjat tego lata. Miquel i Bolós zostali dopuszczeni do Świątyni Mądrości, ale nie mieli odwagi spojrzeć sobie w oczy; odosłali wrażenie, że stracili przyjaciela, umierał na ich rękach, w wieku siedemnastu lat dał się pogrzebać żywcem, nie zawahał się zrobić to, co i mnie przeszło przez myśl ze trzy razy. Nie miałem odwagi powiedzieć mu cholera, Rovira, nie odchodź, ani go nie zapytałem: ale co z kobietami?

Rovira z klasy maturalnej B wstąpił do nowicjatu dwudziestego drugiego września. Obaj pożegnali go na Estació del Nord. Na dworcu były całe rodziny podobnych jak on wariatów, którym marzyła się ta sama przygoda. Bolós i Gensana trzymali się na uboczu, w milczeniu, z wymuszonym uśmiechem; próbowali nawiązać z Rovirą kontakt wzrokowy i obserwowali, jak rozdaje na prawo i lewo pożegnalne całusy i nadrabia miną, aż ten sukinsyn sam do nich podszedł z wyciągniętą ręką, ale nie patrzył im w oczy, i Miquel poczuł, że jest bliski łez; wydusił z siebie tylko: obyś był szczęśliwy, Rovira, a ten, zadowolony, odpowiedział dziękuję, Gensana, życzę ci tego samego, będziemy do siebie pisywać, dobrze? i Miquel zapewnił no jasne, nie wiedząc, że kłamie. Bolós poklepał Rovirę po plecach i wysilił się na dowiec dzięki, Rovira, dajesz nam wolną drogę, będziemy zdobywać wszystkie dziewczyny świata, a Rovira zaśmiał się przesadnie głośno i unikając ich wzroku, poszedł dalej, uściśnąć rodziców, bo pociąg już sapał zniecierpliwiony, i oby szlag trafił wszystkie dworce i pożegnania, które chwytają człowieka za gardło.

Dlatego kiedy dwanaście lat później, parę miesięcy po tym, jak Rovira zrzucił sutannę po dwóch latach w nowicjacie, dwóch następnych edukacji humanistycznej, trzech latach filozofii i kolejnych latach poświęconych studiom nauczycielskim, kiedy już miał rozpocząć teologię zamykając długi okres formacji jezuickiej, spotkali się we trzech, bo Rovira wyraził niemożliwe do spełnienia życzenie odbudowania tego, co zostało przerwane. Długo się

zastanawiałem, nim powiedziałem tak, i pewnie tak samo było z Bolósem, bo Franklin i Simó nie widzieli się od czasu projektu Equus, unikali się, może ze wstydu, a może z obawy, że kiedy się zobaczą, powróci wspomnienie Toro. A teraz niczego nieświadomy Rovira prosił ich, żeby się gdzieś umówili, jakby dwanaście lat nie było przepaścią, i tak bardzo nalegał, że w końcu się zgodzili, wszyscy na progu trzydziestki, Bolós ożeniony z Marią, a ja zapatrzony w rozkoszne doleczki w policzkach Gemmy. Siąść przy stole i kontynuować przerwany wątek nie jest wcale łatwo, bo mówienie to nie problem, wino rozwiązuje język, ale jak połączyć trzy spojrzenia; kontakt wzrokowy jest najtrudniejszy, jest zbyt bezpośredni, zbyt oczywisty, tak jakby oczy były muzyką.

Zasiedliśmy w pustej restauracji w Barcelonie, morze mieliśmy na wyciągnięcie ręki; wszyscy trzej zatopieni w myślach o swoim koncertowo przegranym życiu. Rovira szybko się dostosował do obowiązującej mody: zapuścił brodę, długie włosy, nieodłączny papieros w ustach, niczym się nie odróżniał od Bolósa i ode mnie. Powiedział, że owszem, to był bardzo trudny okres, ale wiele się nauczył, nauczył się być sam na sam ze sobą; nauczył się doceniać ciszę, upływ czasu, samotność.

– Zgoda, Rovira, ale co z kobietami? – z wrodzonym sobie taktem zaatakował go Bolós.

Rovira długo zastanawiał się nad odpowiedzią, tak jakby musiał rozważyć możliwe niuanse pytania, na które nie było dobrej odpowiedzi. Pokręcił głową.

– Straszne. Słowo honoru. Całymi latami cierpiełem przez samotność serca. I nadal cierpię. – Dodał na jednym oddechu: – To nieludzkie: nie da się żyć bez kobiet. Zakochałem się w Madonnach z ołtarzy i całe godziny poświęcałem na ćwiczenia fizyczne, żeby odsunąć od siebie pokusę.

– Ale kicha, nie?

– Nie kicha: horror. Zrzuciłem sutannę przez kobiety.

– Kobiety w ogóle czy jedną konkretną?

Po raz pierwszy Rovira spojrzał im w oczy. Od dwunastu lat.

– Kobiety w ogóle. I jedną konkretną.

– To zaczyna być interesujące – roześmiał się Bolós, zapalając papierosa. (O fajce już całkiem zapomniał.)

– Kochałem się w pewnej dziewczynie... Nie: jestem zakochany w pewnej dziewczynie...

– Fantastycznie! – odpowiedzieli obaj jednocześnie.

– Nie, nie... To trudno wyjaśnić.

– No, stary – zachęcałem go. – Wszyscy kiedyś byliśmy zakochani. – Skłamałem: – To wspaniałe uczucie.

– Ale dla mnie to prawdziwa udręka, pomyśl, jeszcze parę dni temu chodziłem w sutannie i... Cholera, prawie jestem księdzem, co się będziemy oszukiwać!

– Ale staje ci, jak każdemu.

– Nie w tym problem, żeby stanął, do cholery, Gensana!

– No to w czym problem?

– Serce wymyka się spod kontroli. I nic się z tym nie da zrobić.

– No dalej, opowiadaj co i jak.

No więc zakochał się w katechetce z Vernedy. Myślał o niej dniami i nocami, nie mógł sobie znaleźć miejsca, przez cały tydzień czekając na sobotę, kiedy jeździł do Vernedy nawracać Cyganecki, a brudne, zablokowane uliczki miały zapach różany, bo stąpała po nich Montserrat i radość nosiła jej imię. Była sympatyczna, zawsze uśmiechnięta, miała białe zęby i oczy w trudnym do określenia kolorze, aż pewnej soboty, o mój Boże, uszczęśliwiła go, proponując wspólny spacer, podczas którego (on w sutannie, ona w prostej sukience, ale co tam sukienka, ona byłaby piękna nawet w worku!) niewiele mówili, tylko o swoich marzeniach, co będą robić, a czego nie, i kiedy dotarli do przystanku, on czekał, aż podjedzie jej autobus, uścisk rąk, spojrzenie w oczy, jej uśmiech, i pewnego dnia mocniej uściśnął jej dłoń, tylko przez sekundę, naprawdę, a ona spojrziała na niego zdziwiona i wsiadła do autobusu bez słowa pożegnania. Przez cały tydzień lamentował, wyobraźcie to sobie, miałem powtórzyć *Soliloquia* do egzaminu, a tu lży w oczach jak u pensjonarki i z nikim nie mogę się podzielić moim problemem. Horror. Płakałem, czułem się nieszczęśliwy, a kiedy nadeszła sobota, wydawało mu się, że się nie doczeka, aż autobus dojedzie do cygańskiej dzielnicy, i serce tak mu waliło, że aż dziw, że ziemia jeszcze się kręciła, jak gdyby nigdy nic, ale Miquel dobrze znał ten stan, bo mimo że teraz był na etapie zachwytu nad dołeczkami w policzkach Gemmy, z całą siłą wracało wspomnienie gwałtownego, konspiracyjnego uczucia do Berty, zwłaszcza kiedy Berta stała się Pepą, zwłaszcza kiedy miał ją tak blisko, że dosłownie rozpyływał się z miłości, ale o niczym takim nie mógł opowiedzieć Bolósowi, bo w tamtych bohaterskich czasach zamiast Bolósa był Franklin, a Partia nie pozwalała, by takie drobnomieszczańskie sprawy zaprzętały głowy towarzyszy. Ale najgorsze dla Roviry było to, że Montserrat nie pojawiła się już nigdy więcej. Nie dała znaku życia, żadnego listu, telefonu, żadnego śladu. Zniknęła. Nigdy więcej.

– Nie spotkaliście się później?

– Ale historia, stary. Kto ma fajki?

– Nigdy więcej. Musiała się zorientować, że przez nią cierpiałem i...

– Uczciwa, co?

– Słucham?

– Porządna dziewczyna. Zniknęła, żebyś przez nią nie cierpiał...

– Gównno, żeby nie cierpiał. Teraz dopiero naprawdę cierpię.

– Może ma chłopaka.

– Nie. Znam całe jej życie.

– Jedź do niej.

– Nie wiem, gdzie mieszka. Widywaliśmy się tylko w soboty. Wiedzieliśmy, że na pewno się zobaczymy, i to nam wystarczało...

– Oj, Rovira, Rovira... Miłość platoniczna.

– Gównno, nie platoniczna.

Tak naprawdę Rovira zdecydował się prosić o dyspensę i zrzucić sutannę dla niej, bo nie

wyobrażał sobie życia bez Montserrat o niebiańskim uśmiechu. Zwierzchników nie zbulwersowała ta prośba i wszystko poszło gładko, a Rovira opuszczał Towarzystwo Jezusowe zdesperowany, zakochany i smutny, gotów chodzić po ulicach Barcelony i wołać Montserrat, Montserrat. Rozstał się z przyjaciółmi, których miał w zakonie, a nie miał nikogo poza nim, bo dwanaście lat, to dwanaście lat. Ale ponieważ nie był tego świadomy, udreżony miłością ściągnął ich do Barcelonety, żeby się przed nimi wyzalić i zapytać, czy ktoś przypadkiem nie widział mojej Montserrat? A co oni mogli poradzić, skoro przeżywali w tamtych latach własne historie pełne miłosnych udręk i śmierci, w organizacji, która kategorycznie zabraniała miłostek między towarzyszami, jeśli nie byli małżeństwem lub nie pozostawali w trwałym związku, piętnowała zdrady i narzucała surową moralność dla dobra walki i rewolucji, a wcześniej wszystkich razem i każdego z osobna dokładnie przepytala ze spraw intymnych. Ad maiorem Dei gloriam.

Ale Rovira nie zdawał sobie sprawy, że stawia Franklina i Simóna w niezręcznej sytuacji i nadal wypłakiwał się im w rękaw, chory z miłości. Nie zdawał sobie sprawy, że już od lat Bolós i ja nie zwierzałyśmy się sobie, mimo że obaj dzieliłyśmy Straszna Tajemnicę. A może właśnie dlatego. Tymczasem Rovira uparł się, że musimy mu opowiedzieć swoje życie od dnia, kiedy się pożegnaliśmy na Estació del Nord, gdy on odjeżdżał w pogoni za swoimi marzeniami.

– Zabijaliśmy ludzi – odpowiedziałem, patrząc po raz pierwszy Bolósowi prosto w oczy. A on zgasił papierosa i potwierdził, wydychając dym:

– No właśnie: zabijaliśmy ludzi.

– Nie, bez jaj. Nie chcecie mówić?

Bolós opowiedział mi pasjonującą historię, której ja nie znałem: że podjął pracę w kancelarii adwokackiej, chodził z koleżanką z pracy i z całą pewnością zajmie się polityką, a ja spojrzałem na niego zdziwiony i zapytałem ty, Bolós? A on, prawie obrażony, o co ci chodzi, co w tym dziwnego? Na to ja stary, bo... myślałem, że masz dość. Mów za siebie, Bolós uciął temat, a Rovira znalazł się poza kortem, kibicując tenisowej rozgrywce, której zasad jeszcze nie poznał. Ponieważ jednak byliśmy na jak najlepszej drodze do kłótni, znów skierowałem rozmowę na jego problemy miłosne i zapytałem nie sądzisz, Rovira, że my wszyscy trochę się pogubiiliśmy w życiu?

– Mów za siebie – powtórzył Bolós.

– No to tylko ty, Rovira i ja pogubiiliśmy się w życiu. Co się będziemy oszukiwać.

Bolós skoncentrował się na swoim piwie, a mnie zignorował. Zwracając się do Roviry, zaczął teoretyzować, co było najlepszym sposobem, by uniknąć rozmawiania o nim i o mnie. Miquel przyjął tę konwencję i przez parę minut obaj snuli teorie na temat czynników fizycznych i metafizycznych stojących na przeszkodzie przyjaźni między mężczyzną i kobietą. Ponieważ (broniał swojego stanowiska Miquel, ekspert w temacie) jeszcze zanim ci stanie z jej powodu, serce już każe na nią patrzeć w inny sposób. A uczony Bolós (master in friendship z Yale) dodawał, że na tym właśnie polega przyjaźń, że to uczucie bezinteresowne, nie oczekuje niczego w zamian, a już zwłaszcza zaspokojenia erotycznego. A Miquel, któremu piwo uderzyło do głowy, próbował wytłumaczyć Rovirze, że prawdziwa

miłość wyzbyta egoizmu może zaistnieć tylko między przyjaciółmi. Na co tamten baję, baję, będziem w raju. Bo jeżeli mężczyzna i kobieta usiłują być przyjaciółmi, tak czy siak, w końcu zawsze się zakochują (Herr Michael Gensana, doktor in Freundschaft z Heidelbergu), bo ludzie, Rovira, są naiwni jak dzieci. I mężczyzna zawsze w końcu traci głowę. Na to Bolós: skądże znowu! Bardzo często pierwsza angażuje się kobieta: wiem, co mówię. (Żalony popis pod publiczność.)

Ale Rovira za bardzo cierpiał, żeby się podniecać tą sofistyką. Ten skromny stażysta, początkujący uczeń, wykorzystał moment, kiedy Bolós i Miquel jednocześnie wzniesli kufle i wyrwał się z własną opinią jak filip z konopi:

– A jeżeli zakochają się oboje?

– Wspaniale. – Herr doktor Michael Gensana ocierał piwo z brody papierową serwetką. – To początek niesamowitej miłosnej historii.

– Aha! – Bolós jak zwykle czujny. – Czy ty przypadkiem nie mówisz o sobie?

– Tak. Jestem pewien, że Montserrat też mnie kocha. Gdyby było inaczej, nie uciekaby przede mną.

– Wiesz co? Lepiej jej nie szukaj.

– Dlaczego? Przecież ją kocham.

– To idiotka. Nie warto.

– Zniknęła dla mojego dobra. Bo mnie kocha. Jest szlachetna.

– Gdyby cię kochała (Bolós był wielkim ekspertem w kwestii cudzych problemów miłosnych), ona sama wyciągnęłaby cię z zakonu, czy jak to tam się nazywa.

– Nie pieprz! Ona ma zasady.

– A ty nie?

– Ja jestem zakochany. – Spojrzał na nich nieśmiało i przyjął papierosa z paczki, którą podsunął mu Miquel. – Chociaż zrzuciłem sutannę, nadal jestem wierzący.

– Już niedługo, Rovira.

– Dlaczego twierdzisz, że Bolós był wielkim ekspertem w kwestii cudzych problemów miłosnych?

– Dlatego. Taki miał charakter, Júlío.

Maître przyniósł mi befszytk trochę ciemniejszy niż przedtem i wzrokiem rozkazał mi allez-y, monsieur lambin.

Piekły go oczy od niedostrzegalnej sadzy z dymu lokomotywy, ale nie podniósł się, żeby zamknąć okno; bardzo wziął sobie do serca konspiracyjne obyczaje i uznał za rzecz normalną, że lepiej cierpieć niż zwrócić na siebie uwagę; obawiał się, że gdyby się poruszył, uśmiechnął (jak ta młoda kobieta w brązowej sukience, z ustami wymalowanymi na krwistoczerwony kolor, która wsiadła w Balenyà, a teraz uśmiechała się do zapłakanego niemowlęcia; z jej twarzy emanował spokój i mówiła Aniu, zaraz przyjedziemy do domu, do taty, a dziewczynka się uspokoiła, jakby zrozumiała słowa matki), gdyby wstał, żeby zamknąć okno przed dymem, naraziłby się na śmiertelne niebezpieczeństwo. Dlatego tylko mrugał i dla zabicia czasu wyobrażał sobie życie tej uśmiechniętej matki i jej maleństwa, bo mimo że dopiero parę lat temu skończyła się wojna, niektórzy już próbowali się uśmiechać, nieśmiało, jakby łamali zasady surowej żałoby po klęsce. Nawet się zdrzemnął, upewniwszy się uprzednio, że nie ma powodu do niepokoju, żeby wykorzystać minuty dzielące go od dworca Estació de França.

Policjanci z oczami i wąsikami jak fretka, którzy na peronie przyglądali się pasażerem wysiadającym z pociągu z Puigcerdà, nie zwrócili uwagi na przyspieszone bicie serca Rossella, który przechodząc przed patrolem, rozpaczliwie udawał, że on i uśmiechnięta kobieta z osekkiem, z dziewczynką, są razem. Kiedy tamten siwowłosy inspektor w przyciemnionych okularach, dwadzieścia metrów dalej, podejrzliwie spojrzął na Rossella, on już widział siebie z dwiema kulami w głowie, na peronie. Jedną tysięczną sekundy przed zrealizowaniem planu: rzucić się pod pociąg i próbować uciec między torami, jak szczur, poczuł, że kobieta, nie przestając się uśmiechać, wkłada mu do rąk dziewczynkę ze słowami masz, tatusiu, teraz ty ją potrzyj, ja już się zmęczyłam, i przechodząc przed podejrzliwym, teraz nieco skonfundowanym inspektorem, wzięła Miquela pod rękę... Kiedy go mijali, mówiła swoim dźwięcznym głosem, który zapamiętał na całe życie (szkoda, że pozostało mu go tak niewiele!), dziś na kolację zrobię rybę, bo Tonet przyniósł nam makrele.

– Dobrze. Uwielbiam makrele.

Inspektor pozostał za nimi; teraz prześwietlał wzrokiem kark Rossella, ale szybko zmienił obiekt obserwacji, gdy kolega trącił go łokciem, żeby zwrócił uwagę na innego samotnego mężczyznę, który włókł się peronem zniechęcony, z pewnością skupiony na tym, skąd wziąć środki, żeby dotrzeć przynajmniej do połowy miesiąca.

Wyszli z dworca w milczeniu, a kiedy się znaleźli na ulicy, wśród ludzi, w szumie samochodów i tramwajów, kobieta wreszcie się odwróciła i skierowała wzrok gdzieś ponad głowę Rossella.

– Byłby pan uprzejmy oddać mi dziecko?

Rossell natychmiast posłuchał i mimo woli poczuł, jak spływają mu po twarzy dwie duże łzy, bo uświadomił sobie, że nie jest sam i że ostrożności nigdy za wiele.

– Bardzo pani dziękuję. Nigdy tego nie zapomnę.

– Ja też nie. Bardzo się bałam.

– Czy mogę panią odprowadzić?

– Myślę, że najlepiej będzie, jak pan stąd szybko się ulotni. – Miała bardzo ładne usta. – A poza tym mieszkam tu naprzeciwko.

Rossell pozwolił sobie na pieśzcotliwe uszczyplenie niemowlęcia w policzek: „Żegnaj, córeczko”, usłyszał swoje słowa, kiedy już je wypowiedział. Łzy w oczach sprawiły, że widział kobietę jak przez mgłę. Na dowód miłości powiedział: „Od pięciu lat żyję bez rodziny”. Odwrócił się i pobiegł szybko przed siebie, żeby nie widzieć twarzy kobiety; wskoczył do tramwaju, kiedy ten z leniwym jękiem ruszał w stronę centrum.

W środku było sporo ludzi, ale znalazł miejsce siedzące. Podniósł kołnierz marynarki i zajął się wyglądem przez okno, najlepszy sposób na ukrycie twarzy przed ewentualnym tajniakiem, który mógł jechać w tym samym wagonie. Jaka szara była Barcelona w tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim roku... Wyglądała jak jedno wielkie ponure więzienie. Ludzie szli szybko, nie patrząc sobie w oczy, ze spuszczoną głową, kuląc się jak od chłodu, choć wcale nie było zimno. Wróciło wspomnienie kobiety z pociągu i w myślach przesłał jej pocałunek. Jeszcze pół godziny. Obliczył, że zdąży, że nie spóźni się na własną śmierć.

Miquel Rossell wysiadł przy Łuku Triumfalnym i dalszy odcinek drogi, ulicą Trafalgar, ze względów bezpieczeństwa pokonał pieszo, żeby się upewnić, że nie dzieje się nic niepokojącego w miejscu umówionego spotkania. Niczego nie zauważył, ale nie był asem wywiadu. Znał się tylko na tkactwie, prosty robotnik, który wstąpił do FAI i działał aktywnie przez rok, potem walczył na froncie pod Huescą, uciekał z dwudziestą drugą kompanią, z ludźmi z Iberyjskiej Federacji Anarchistycznej i z PSUC, tęsknił za Maurycym, działał w konspiracji, żył w ciągłym strachu we Francji Pétaina, a teraz został wysłany do Barcelony, żeby nawiązać kontakt z towarzyszymi w kraju. A konkretnie z Saboritem. Miał dla niego instrukcje na piśmie. Zaszyfrowane, ale na piśmie. Blisko serca, które waliło jak młotem, kiedy dochodził do kina Borràs i upewnił się przed wejściem, że nie, nie dzieje się nic niepokojącego, wszystko w porządku.

Kasjerka sprzedała mu bilet, nie przerywając szydełkowania. Nawet na niego nie spojrzała. Wszedł do ciemnej sali i usiadł na umówionym miejscu. Po jego lewej ręce jakiś kształt, Saborit, coś wymamrotał, jakby mu wyrzucał spóźnienie, a Rossell pomyślał: kiedy ten Saborit nabierze oglady. I położył rękę na sercu, żeby wyciągnąć papiery, które już go paliły. Dalej sprawy potoczyły się bardzo szybko: Saborit odwrócił się do niego twarzą i coś mu założył na lewy nadgarstek. Coś. Kajdanki. Pociągnął z całej siły, skoczył do tyłu, do pustego rzędu, w kajdankach na jednej ręce, słysząc zduszone przekleństwo. W ciemności, kierując się tylko czerwonym światłem, skierował się do toalety (żeby uniknąć niebezpiecznego wyjścia głównego) i pomyślał: no nie, musieli złapać Saborita, cholera, tylko nie to, a kiedy już był w ubikacji, dwie sekundy wystarczyły mu na podjęcie decyzji: sześć

stron instrukcji, porwane na cztery części, trafiły do klozetu, a on, przez otwór okienny, wyskoczył na ulicę Jonqueres i podjął desperacką ucieczkę, w takiej desperacji, że nawet nie zauważył, że biegnie w stronę komisariatu. Nie zdążył o tym pomyśleć, bo w tym momencie pierwszy strzał, ten, który powalił go na ziemię, przeszył mu nerki. Drugiego, który go pozbawił życia, nawet nie poczuł: już leżał na ziemi, z nadgarstkiem ozdobionym hańbiącą bransoletką kajdanków. Jestem pewien, że w ostatniej chwili pomyślał o mnie. I może również o kobiecie o karminowych wargach.

– Wujku, proszę, weź chusteczkę.

– Od tamtej chwili minęło czterdzieści lat, a ja nadal nie mogę powstrzymać łez. – Głośno wytarł nos. – Biedny Miquel, błakał się gdzieś w Pirenejach, walczył, podczas gdy ja siedziałem w domu, zagrzebany po uszy w książkach. Tłumaczyłem *Eneidę* i bez przerwy grałem *Les adieux*, opus 81a, rozumiesz? Tęskniłem za moim Miquelem i marzyłem, że za parę miesięcy znów się spotkamy. Nie przyszło mi do głowy, że zaangażuje się w ruch oporu. – Znów wytarł nos. – Ale z drugiej strony znając go, można było tego się spodziewać... – Westchnął z głębi serca, pogrążony we wspomnieniach. – Mój Miquel mógł zginąć tylko wtedy, kiedy ktoś go zdradził, tak jak bohaterowie klasyczni.

Milczeli bardzo długo. Aż Miquel, który nie płakał, nie wytrzymał:

– Wiesz, kto go zdradził?

– Tak.

– Kto?

– Ktoś, kto eliminując mojego Miquela, za jednym zamachem mógł zabić partyzanta i pogrzebać rodzinny skandal.

– Kto?

– Twój dziadek Ton.

– Żartujesz.

– Tak. Miał wiele powodów, żeby to zrobić. A Pere mu w tym pomógł.

– Mój ojciec?

– Twój ojciec. To było Trzecie Wielkie Rozczarowanie. Od tego dnia zniechęciłem nawet cień mojego przybranego ojca. Wtedy postanowiłem postawić dom Gensana w grze.

– Co takiego?

– W pokerze. – Unikał spojrzenia Miquela. – Wiem, obiecałem mojemu Miquelowi, że nie postawię więcej ani grosza, żeby zadać kłam cholernej prawdzie, że hazard przedziurawił Maurycemu Sicartowi kieszenie. – Już spokojniejszym tonem poprawił się po chwili: – Przepraszam, ale faktycznie taka była prawda.

– Chyba cię źle zrozumiałem.

– Dobrze zrozumiałeś. Moją stawką wejściową jest majątek Gensana. Dom i ogród.

– Dom Gensana jest twój?

– Tak.

– Nie wierzę.



Comerma wysączył ostatnią kroplę anyżówki z kieliszka i zaciągnął się cygarem. Tymczasem Maurycy Pan na Włóściach rozkładał na okrągłym stoliku kawiarni kasyna Amos dokumenty notarialne wystawione na niejakiego Maurycego Sicarta Gensanę (pseudonim używany przez Maurycego bez Ziemi w kwestiach biurokratycznych). Comerma wygładził papiery wierzchem dłoni i kamień w jego sygnecie zaiskrzył, odbijając światło, co uznałem za dobry znak, a jeśli cię to gorszy, że twój wujek, kulturalny i wrażliwy, uległ nałogowi, to się dowiedz, że zerwałem z nim już dawno temu, a teraz nawet nie miałbym ochoty postawić jednej z tych żyraf w grze z kapitanem. Comerma mi się przyglądał, pociągał cygaro, a jego sygnet nadal rzucał iskry. Zastanawiał się w co chce mnie zrobić ten popieprzony Sicart, nie ufam mu za grosz.

– Nie ufasz mi, co?

– Nie żebym nie ufał... Ale wiesz, że...

– Ja tylko chcę wiedzieć, jaką stawkę wejściową proponują inni.

– No wiesz... Ja, tak od razu...

– Ja stawiam majątek wart kupę forsy. – Dopiero wtedy przyjąłem cygaro, którym mnie wcześniej częstował. – Zbierzesz stolik?

– Najwyżej czterosobowy.

– To mi wystarczy. Jeśli partnerzy będą wyplacalni.

– Daj mi tydzień.

– Dlaczego postawiłeś dom, skoro to całe twoje życie? – Miquel, niczym figurka papierowego konika, zdumiony wtrącił się do zamierzchłej historii.

– No właśnie – powiedział Comerma. – Czemu ryzykujesz utratę domu?

Uśmiechnąłem się tylko, zaciągnąłem się cygarem i wypuściłem dym. Oczywiście, że go lubiłem: był całym moim życiem i wszystkim, co miałem, od kiedy fabryka przeszła mi koło nosa. Stał się mój na mocy niespodziewanej decyzji poety, który go przekazał w moje ręce, jedyne prawdziwego Gensany, jedyne, który potrafi docenić wartość zdeponowanej tam historii, kaplicy i dzwonów, których dźwięk upamiętniał ważne rodzinne wydarzenia, sekretnych zakamarków i wszystkich pokoleń, które tam się rodziły i umierały. Taki dom jest bezcenny. Dlatego o niego zagrałem. Nie z desperacji, nie dlatego, żebym grając ostro, na granicy swoich możliwości finansowych, dał się omamić trójce ósemek i w ciemno prosił o kredyt, najpierw pod zastaw samochodu ojca, później moich akcji Pearsona i wreszcie, kiedy do trójki doszła skromna para, pod zastaw domu, mierząc się z innym nieszczęśnikiem, który też kładł na szali swoją fortunę. Nie, to nie tak. To było zagranie przemyślane, wyrachowane i wykalkulowane. Chciałem zadać cios tym, którzy mną do tego stopnia gardzili, że posunęli się do zabicia mojego ukochanego, w kajdankach na jednej ręce, na ulicy Jonqueres, dwiema kulami nafaszerowanymi nienawiścią. Bo kiedy dowiedziałem się o śmierci Miquela, Miquelu, złożyłem dwie przysięgi: po pierwsze, że będę nimi gardził do końca życia, a po drugie, że zemszczę się za wyrządzoną mi krzywdę. Właśnie z powodu pierwszej przysięgi postawiłem dom: ponieważ gardzę moim ojczymem Antonem III Gensaną Fabrykantem i choć wyznaję to ze łzami w oczach, gardzę jego synem Perem I Uciekinierem Dawnym Serdecznym Przyjacielem, który stał się cieniem własnego ojca,

wyrachowanym kunktatorem, i dlatego po zakończeniu wojny wstąpił do Falangi, bo jego priorytetem było zachowanie fabryki, która znów do niego wróciła, nieważne jakim kosztem. Więc dobrze: postawiłem dom w grze, w której decydują kolory, z zamiarem przegrania, i wyobrażałem sobie ten dzień, gdy ciężarówka z napisem Przeprowadzki stanie w ogrodzie przed drzwiami wejściowymi, otworzy mama Amèlia i usłyszy: czy pani opuści dom sama, czy z meblami, i co się wtedy będzie działo, będą musieli piorunem ściągnąć Antona z fabryki, i przy odrobinie szczęścia może zjeździe na zawał. A za nim Pere, wystraszony, nie śmie spojrzeć mi w oczy. To był doskonały plan, z wyjątkiem krzywdy, jaką mogłem przy okazji wyrządzić mamie Amèlii. Był doskonały, bo metodą faktów dokonanych unikałem nowego podłego szantażu papy, który zastanie tragarza ładującego jego biurko na pakę.

– Po to, żeby sprawdzić, co się wtedy czuje – skłamałem w odpowiedzi na pytanie Comermy, składając papiery i chowając je do kieszeni. – Comerma, jestem hazardzistą.

– Pamiętaj, że długi karciane są święte.

– Komu ty to mówisz?

Mimo wszystko ustaliłem kilka warunków, żeby się asekurować. Zależało mi tylko na tym, żeby wyrzucić z domu twojego dziadka Tona. Reszta była nieważna.

– Ja jednak nie rozumiem, skąd ta pewność, że to dziadek z ojcem wydali twojego Miquela.

– Któregoś dnia o tym ci opowiem. – Usiadł na łóżku. – Jeśli masz dla mnie więcej czekolady, będę mówił dalej.

Miquel wyjął tabliczkę, osiemdziesiąt procent kakao, z tych, które kupowało się tylko w Andorze. Żeby uczcić fakt pierwszej stałej pracy, odbył konsumencką podróż do strefy wolnodowej: jego postrewolucyjne sumienie zniosło to całkiem nieźle; wrócił z czekoladą dla wujka, serem dla matki, a dla siebie zachował płyty i wspomnienie pejzaży. Wujek udamał kostkę i wrócił do przerwanej opowieści. Przy stoliku siedział doktor Vilalta, pianista i patolog z Feixes, który postawił bibliotekę swojego dziadka na kiery i trefle; fabrykant z Manresy z nieprzyjemnym nerwowym tikiem; zawodowy hazardzista z Barcelony i ja. Od razu zacząłem się zastanawiać, któremu z tych trzech sępów dostanie się dom. Comerma, bardzo zdenerwowany, przedstawił nas sobie, poinformował wszystkich, jaką stawkę wejściową wnoszę, inni zaproponowali część swojego majątku, doszliśmy do porozumienia, Comerma spojrział na zegar, zabrał swoje tantiemy i zostawił nas samych w oparach dymu cygara Vilalty i tego drugiego gracza z Manresy. Pokój nie miał okien, nielegalny, zakamuflowany jak zakazana jaskinia. Tam przechodziły z rąk do rąk majątki mieszkańców Feixes, którzy nie potrafili się powstrzymać, by wystawić na lut szczęścia to, co osiągnęli w pocie czoła. Pierwsze dwa czy trzy rozdania dały nam pojęcie o stylu gry partnerów, a ja jakoś nie zwróciłem uwagi, że gracz z Barcelony nie sięgnął nawet po papierosa. I wtedy powiedziałem, że już jestem gotów rzucić na stół ogród. Po tym oświadczeniu zapadła cisza. Pozostali popatrzyli na siebie ukradkiem, bez słowa. Zawodowy hazardzista, bardziej doświadczony niż doktor, wsadził rękę do kieszeni, ale zamiast wyciągnąć stamtąd zwitek banknotów, wyjął odznakę.

– Policja – powiedział.

Zauważyłem, że Vilalta i fabrykant z Manresy spuścili wzrok, żeby nie patrzeć mi w oczy. Miquelu, pamiętaj, nigdy nie ufaj graczowi, który nie pali: za późno się o tym przekonałem. Po jakimś czasie dowiedziałem się, że ten skurwysyn Comerma opowiedział o moim planie papie, a ten wymyślił ten podstęp, żeby dać mi nauczkę. W każdym razie pożegnałem się kulturalnie z towarzystwem przy stoliku, wstałem, pozwoliłem założyć sobie kajdanki, zbliżając się tym samym do mojego Miquela, i spędziłem sześć dni w areszcie, gdzie nikt się nie pofatygował, żeby mnie przesłuchać, ani w ogóle nie zainteresował się mną nawet pies z kulawą nogą. To było upokarzające. Bo po upływie tygodnia papa Anton przyszedł po mnie. W drodze powrotnej nie odezwał się słowem; nikt też mnie nie zademonstrował z powodu nielegalnego hazardu, jakby nic się nie stało. Tylko dali mi nauczkę, że z majątkiem rodzinnym nie ma żartów. Dlatego kiedy dotarliśmy do domu, pocałowałem bez słowa mamę Amèlię i zamknąłem się w bibliotece z preludiami Chopina, czekając, aż przyjdzie papa. Zagrałem sześć preludium, nim się zjawił w towarzystwie Perego. Zamknęli drzwi na zasuwę z takim wyrazem twarzy, jakby chcieli mnie zabić. Ja z pokerową miną dokończyłem preludium. Niestety, kiedy wybrzmiała ostatnia nuta, papa Ton odchrząknął, nabral w płuca powietrza, ale zanim zdążył otworzyć usta, uprzedziłem go:

– Daję wam tydzień na opuszczenie mojego domu.

– Synu, zwariowałeś.

– Nie nazywaj mnie synem. Nie chcę was tutaj.

– Nie.

– To mój dom.

– I nasz. Naszej rodziny. – Podeszedł do mnie z groźną miną. – Gdybyśmy cię tu zostawili samego, straciłbyś go w mgnieniu oka i majątek wpadłby w jakieś obce ręce.

Przyjąłem pozę cynika i oświadczyłem, że dom jest mój, więc mogę z nim zrobić, co mi się żywnie podoba. Wtedy papa Ton zaczął krzyczeć i wygadywać głupoty o ubezwłasnowolnieniu mnie z powodu utraty poczytalności. Kiedy skończył, sprawdziłem, że Pere siedzi z boku i odwraca twarz w drugą stronę, i wolno, ściszym głosem, wycedziłem jedno słowo:

– Zbrodniarze.

– Co powiedziałeś?

– Nie chcę żyć pod jednym dachem ze zbrodniarzami. Wynoście się.

Papa Ton uśmiechnął się i powiedział chcesz wojny, będzie wojna, a ja już byłem na straconej pozycji. Od tego czasu nic tylko przegrywam, Miquelu.

– Jeśli nas stąd wyrzucisz, zrobimy z ciebie wariata – zagroził.

– A ja na was doniosę, że... – Miał na końcu języka: że wydaliście Miguela, ale natychmiast uświadomił sobie, że w tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim roku nikogo nie mógł oskarżyć o zdradę partyzanta. Musiałem się zamknąć.

– Słuchaj, Maurycy. – Papa już zmierzał do końca. – Jeżeli jeszcze kiedyś będziesz insynuował, że chcesz wyrzucić stąd swoją matkę...

– Matka może zostać.

– Jeżeli jeszcze kiedyś będziesz insynuował, że chcesz nas wyrzucić z naszego domu, rozpuszczę plotkę, że jesteś zбочonym pedałem, który posuwa szoferów ciężarówek.

Naprawdę tak powiedział, Miquelu: że ja posuwam szoferów ciężarówek. Jasne, że musiałem jakoś rozładować napięcie, ale zawsze w sposób dyskretny, nigdy z szoferami ciężarówek, którzy i tak mają tylek zjechany z racji zawodu. Przepraszam.

– Tu quoque, Petrus?

Powiedziało mi się, jak Cezarowi. Ale twój ojciec, zamiast zdystansować się do słów papy, spuścił głowę i zapalił papierosa, udając, że to nie jego sprawa. To było Czwarte Wielkie Rozczarowanie. Odtąd w domu mogłem liczyć tylko na mamę Amèlię. W milczeniu zaakceptowałem tych przymusowych współlokatorów. Wtedy zacząłem się interesować figurkami z papieru, chyba dlatego, że gdy palce nadawały im formę, skoncentrowany na tym zajęciu nie myślałem o upokorzeniu, jakim była obecność ojczyzna w moim domu. Więcej im już nie groziłem, bo spanikowałem na myśl, że całe Feixes pozna sekrety mojego życia. A przede wszystkim chciałem ocalić pamięć Miquela Rossella, najśłodsze z intymnych wspomnień. Kiedy minął pierwszy szok po szantażu, przysięgłem, że choćbym miał w domu samych wrogów, choćby nie wiem, co się działo, nigdy się stąd nie wyprowadzę: wystarczy, że raz naraziłem dom na niebezpieczeństwo; teraz zostanie w nim do śmierci.

Wujek posmutniał i zamilkł. Oplakiwał dom, swoją miłość, obie matki i Miquela Rossella; płakał, bo jednak doszło do tego, że będzie umierał poza domem, wbrew złożonej przysiędze. Miquel przez chwilę żałował, że nie jest supermenem. Ale stać go było tylko na odwrócenie uwagi wujka od smutnych myśli.

– Naprawdę nie rozumiem, skąd ta pewność, że to dziadek Toni doniósł na twojego Miquela.

Uśmiechnął się zmęczony i zaczął opowiadać, że po zakończeniu wojny domowej jego ojczym odzyskał fabrykę, którą Miquel mu odebrał. Mnie to było obojętne. Nigdy jej nie pragnąłem, choć mi się dostała w spadku, więc kiedy straciłem ją wskutek intrygi, poczułem ulgę. Ale prawda jest taka, że papa od razu się opowiedział po stronie zwycięzców. Ten zdrajca nigdy nikogo nie rozliczył ze śmierci swojej matki i córki, nikogo. Wręcz przeciwnie, zapisał Perego do Falangi. Ze mną tego nie próbował, gdy zobaczył moją minę, a zresztą miałem już swoje lata i do niczego nie mógł mnie zmusić. Ten typ od miesięcy przygotowywał strategię. Pod koniec wojny, kiedy widział, że będzie źle, wbił twojemu ojcu do głowy, że powinien zdezertować. A w odpowiednim momencie nie dopuścił, żeby wyruszył na emigrację z wojskiem republikańskim. Tłumaczył, że za dużo już było śmierci w rodzinie, uparcie wypierając ze świadomości fakt, że to bombowce Franco zabiły mu córkę i matkę. Pere, mój serdeczny przyjaciel, przyszedł po mnie do sztabu wojskowego jeszcze w mundurze, kiedy składaliśmy dokumenty do kartonów i pakowaliśmy na ciężarówkę. Przerwałem pracę i obaj wyszliśmy głównym wyjściem, a dwie paczki, które wtedy niosłem, zostawiłem obok ciężarówkę. Szliśmy w górę Rambli, nasłuchując, czy ktoś za nami woła stój, ale dowódcy mieli ważniejsze sprawy na głowie niż pilnowanie dwóch młokosów, którzy w ostatniej chwili postanowili zdezertować. W burdelu przy ulicy Sant Pau czekała walizka

z cywilnym ubraniem. Przez pięć dni ukrywaliśmy się na strychu domu w dzielnicy Horta u krewnych twojej matki, którzy przyjęli nas bez entuzjazmu, ale i bez komentarzy. To chyba wtedy twój ojciec poznał Marię. Ja czekałem na powrót mojego Miquela. Od dwóch miesięcy nie dostałem od niego żadnego listu. Dzięki kryjówce w Horcie uniknęliśmy obozu koncentracyjnego i emigracji albo powrotu ze znaczkami w uchu. Kiedy już było jasne, że żaden wojskowy nie będzie nas szukał w domu Gensana, wróciliśmy tam i nie odchodząc od radia, nasłuchiwalimy wiadomości, a mnie się włosy jeżyły na głowie na widok ostentacyjnej radości dziadka Tona, że już wkrótce wejdą ludzie Franco i wreszcie zaprowadzą u nas porządek. A jego matka i jego córka jeszcze nie wystygły w grobie. Mama Amèlia milczała, rozumiejąc, że trudno jest cierpieć z godnością. Zacząłem gardzić papą, który zapomniał o nienawiści do zabójców córki, bo drżał o swoją fabrykę. Nawet jej nie tknęli. Wręcz przeciwnie, odmalowali mu ją i parę miesięcy później już produkowała materiał na uniformy dla tramwajarzy, to brązowe sukno w kolorze lat czterdziestych, obecne na każdym kroku, kiedy się jechało do Barcelony. Fabryka szybko zaczęła prosperować, a dziadek Ton jeszcze szybciej przebaczył zabójcom, gromadząc kapitał na koncie w banku. Nie patrz tak na mnie, Miquelu. Nic złego w tym, że się bogacił; chodzi o to, że tak łatwo zapomniał, ile było ofiar.

Pewnego dnia dziadek Ton, który jeszcze wtedy nie był dziadkiem, tylko panem Tonem Gensaną, ustawił nas obu pod ścianą i w krzyżowym ogniu pytań próbował ustalić, jak zamierzamy pokierować własnym życiem. Pere, który głównie się objął, ale zrobił też jakieś kursy włókiennicze w tutejszej szkole, odpowiedział z rezygnacją, że jeśli ojciec chce, to on zacznie chodzić do fabryki. Od tego dnia Pere i Gensana zaczął pomagać ojcu w fabryce.

– A ty, Maurycy, jakie masz plany?

– Nie wiem, papo... Chciałbym kontynuować studia. A poza tym to nie twoja sprawa.

– Chcesz studiować łacinę i takie tam?

– Tak. I fortepian.

Tak naprawdę głowę miałem wtedy zaprzątniętą oczekiwaniem na list od Miquela, ale nie mogłem się do tego przyznać. Pragnąłem tylko, żeby minęło niebezpieczeństwo, na które się narażał, i żeby mógł do mnie przyjechać. Kiedy Niemcy wkroczyli do Francji, świat mi się zawalił.

– Nie sądzisz, że w twoim wieku nie wypada tak się objąć? Ile masz lat? Trzydzieści?

– Trzydzieści pięć, papo. Cały czas studiuję.

– Pozwól mu studiować. – Głos mamy Amèlii zabrzmiał jak błogosławieństwo.

– Gdyby był kobietą, to jeszcze. Masz przychodzić do fabryki.

– Mam inne kwalifikacje, do czego innego, do życia.

Papa wolał nie zarzucać mi w obecności mamy, że jestem pedałem. Powiedział tylko ach, tak? Jakie kwalifikacje? Do czego?

– Do studiowania, pracy naukowej... – Mówiłem cokolwiek, nie przestając myśleć o Miquelu.

– Do fabryki. Od jutra.

– Nie ma mowy. Fabryka to twoja sprawa. Zabarałeś mi ją.

– Nie będę tolerował obiboków w domu.

– To mój dom, papo. Bądź łaskaw o tym pamiętać. – I uśmiechnąłem się. Wydaje mi się, że mogłem sobie ten uśmiech darować.

Żebyśmy się nie rzucili na siebie z pazurami, mama nas pogodziła i zdecydowała, że mógłbym przez parę dni w tygodniu chodzić do fabryki, wykonywać jakąś konkretną pracę w biurze, ale bez przymusu, dobrowolnie. Ponieważ to była propozycja mamy, wydała mi się rozsądna, i zacząłem spędzać po parę godzin w fabryce, wypełniając księgi kolumnami cyfr, a o dwunastej wracałem do domu, zamykałem się w bibliotece i pisałem pracę doktorską, której w końcu nie obroniłem, bo się obraziłem na cały świat. Grałem dużo Chopina, pasował do mojego dekadentckiego nastroju, i myślałem o Miquelu. Aż pewnego dnia w biurze fabryki Gensanów pojawił się jeden z tych ponurych hyclów w prochowcu, z notesem w dłoni i zapytał o niejakiego Miquela Rossella, niewykwalifikowanego robotnika.

– Znamy go, jeszcze jak! Prawda? – Obrzucił wszystkich wzrokiem, czekając na nasze echo, oh, jeszcze jak znamy. – To ten skurwysyn, który mi skonfiskował fabrykę. Przekłęty anarchista.

– Gdzie on teraz jest? – Ten w prochowcu przewrócił kartkę w notesie palcami żółtymi od nikotyny.

Nie, niejaki Miquel Rossell zniknął bez śladu pod koniec wojny, a ja tak poblądłem, że dla bystrzejszej policji oczywiste byłoby moje cierpienie emanujące wszystkimi porami skóry. Dziadek Ton został pouczony, że gdybyśmy się czegoś dowiedzieli, naszym patriotycznym obowiązkiem jest natychmiastowe zawiadomienie władz. Wszyscy zamilkli, bo już trzeci raz się zdarzyło, że przybywali nagle, wyczytywali nazwisko i rzeczonego delikwent zniknął raz na zawsze. Ale dziadkowi Tonowi podejrzenie zabłysły oczy.

Nocą w domu grałem *Fêtes lointaines* Mompou i płakałem, ponieważ pierwsze takty pierwszego utworu z *Six pièces pour piano* były moim krzykiem rozpacz, próbą przywołania Miquela z Francji. Czułem się jak Penelopa tkająca szatę nutami. Miquelu, nie masz pojęcia, jak trudno jest czekać. Trzeba mieć kobiecą wytrzymałość, żeby to znieść. Wtedy twój dziadek Ton wszedł do biblioteki i powiedział Maurycy, o co chodzi z tym anarchistą Rossellem z FAI. A ja zrobiłem się błądy jak kreda. Musiał powtórzyć pytanie parę razy, za każdym razem inaczej:

– Co cię łączy z tym jakimś Rossellem? – Wyciągnął list. – To ten, który cię dyma, zasrany pedale? Co? Ten, który chciał wydymać całą naszą rodzinę?

Nie musiałem się przed nim tłumaczyć, więc się nie tłumaczyłem. Ale wtedy dziadek Ton pomachał mi przed nosem listem, na który czekałem od miesięcy, który Miquel, równie niecierpliwy co nieostrożny, wysłał na mój adres, i poczułem się obnażony i zdradzony. Nigdy nie przebaczyłem papie, że otworzył kopertę. Miquel pisał do mnie ogólnikowo, jakby zdawał sobie sprawę, że korespondencja może wpaść w jakieś drapieżne szpony. Nie podał adresu nadawcy, ale sugerował, że moglibyśmy się spotkać dzień po Trzech Królach. Miał zamiar do mnie przyjechać. Zabili go siódmego stycznia.

– Ale to jeszcze nie znaczy, że dziadek Ton miał z tym coś wspólnego. – Nieświadomie Miquel Gensana brał stronę dziadka.

– Owszem, to właśnie znaczy. Rzucił mi w twarz, że tego anarchistycznego wichrzyciela złapią, zanim zdąży się do mnie zbliżyć na odległość dwudziestu metrów, i on już się postara, żeby tak się stało. A ja odchodziłem od zmysłów, bo nic nie mogłem zrobić, nie miałem jak ostrzec jego samego bezpośrednio ani przez przyjaciół, bo ich nie znałem. Parę dni kręciłem się po barach, gdzie bywali ci z Iberyjskiej Federacji Anarchistycznej w czasie wojny, ale teraz wszystko się zmieniło i było nie do pomyślenia, żebym zaczął kogoś nieznanego, ej, kompanie, szukam mojego kochanka, może przypadkiem jesteś z FAI?, bo mógł się okazać tajniakiem. Straszne uczucie, Miquelu. Od tamtej chwili często myślę o biednej babce Pilar, o jej bezgranicznej miłości do syna, który był zakładnikiem niemożliwej miłości. Czy mogła sobie wyobrazić, że ten syn wyrośnie na człowieka bez sumienia?

– Nie możemy ponosić odpowiedzialności za ludzi, którzy są poza naszym zasięgiem – głośno myślał Miquel Darwin Gensana, częstując się czekoladą wujka. – Choćby byli efektem ewolucji naszych genów. – Wujek przyglądał mu się bez słowa i Miquel się zawahał, zanim dokończył: – W przeciwnym razie żadna jednostka nie osiągnęłaby moralnego spokoju. Obciążałoby mnie to, co zrobił Hitler.

– Masz rację. – Ułamał kostkę czekolady, rozglądając się wokół, jakby się bał, że kapo Samanta nagle wyłoni się spod łóżka. – Prawdopodobnie masz rację.

– Dlaczego nie opuściłeś domu?

– Mojemu domu? Nigdy w życiu. Zmusili mnie, bym znosił ich obecność, a ja uznałem, że dom Gensana jest wystarczająco duży, by się pomieściła w nim skłócona rodzina. Nie chciałem rozstawać się z biblioteką, ze wspomnieniem o matce... A ponadto byłem jedynym prawdziwym Gensaną pośród wielu fałszywych, nawet jako Maurycy bez Ziemi. Pere ożenił się z Marią, wkrótce urodził się twój brat, i Pere pozwolił, żebym mu nadał imię Miquel. To była ostatnia przysługa, jaką mi wyświadczył twój ojciec.

Pierwszej nocy, kiedy spałem sam, bez Gemmy, nie mogłem uwierzyć, że do tego doszło. Przeżyliśmy ze sobą dokładnie rok, siedem miesięcy i dwanaście i pół dnia, a mnie się wydawało, że to całe życie. Wrzuciłem naprędce ubranie do walizki i hamując wściekłość, po cichu zamknąłem za sobą drzwi. Schodziłem po schodach, żeby nie spotkać się w windzie z jakimś sąsiadem, który by mnie zagadnął co, młody, wyjeżdżasz? a ja musiałbym sprostować nie, nie wyjeżdżam, po prostu odchodzę z domu, bo pokłóciłem się z żoną, a tamten na to o cholera, coś za szybko wyczerpuje się cierpliwość, wam, młodym, a Miquel musiałby się bronić, problem polega na tym, że od samego początku nam się nie układało; nie było jak Bóg przykazał. Nie, nie to, co myślisz, to nie było piekło, nie, ani różnica poglądów, nic z tych rzeczy. Skądże znowu, nie wtrącała się jej czy moja rodzina; i nie żebym ja był satyrem, a ona zimna jak lodówka. Nie, no skąd! W łóżku było całkiem znośnie, nie mogliśmy narzekać. Ani nie chodziło o rogi, bo ja za dużo przeszedłem, żeby szukać przygód, i jakby to powiedzieć, Gemma mi wystarczała do szczęścia, taka jest prawda. Gemma? Skąd! No nie, wykluczone, na ile ją znam. Co? Że mąż dowiadyuje się ostatni... Dobrze, niech ci będzie. Po prostu mówię, że nie w tym rzecz; jeśli mnie zdradzała, wolna droga, ale rozstajemy się z innego powodu, do cholery. Jak nie chcesz, nie będę opowiadał. Ponieważ jednak sąsiad powiedziałaby ależ tak, opowiadaj, opowiadaj, Miquel musiałby coś zmyślić na poczekaniu, bo nie rozstawali się z jednego konkretnego powodu; nagromadziło się wiele małych i dużych spraw, które... On by je podsumował w paru hasłach, no więc słuchaj: Gemma to taka babka, no nie wiem, która chce, żebym wszystko robił w domu. Bo ona, jak twierdzi, jest feministką. A sąsiad by mu odpowiedział to masz przesrane, młody, a wiesz, że ja też jestem feministą? Będzie wypadło mu odpowiedzieć co ty sobie wyobrażasz, że ja nie? Ale nie chce mi się zapieprzać. Nie mam zielonego pojęcia o gotowaniu, rozumiesz, ani be, ani me, ani kukuryku. Prasować też mi się nie chce, sam rozumiesz. No, no, odpowie tamten: codzienność cię dopadła, przykro mi, młody. Gdyby tylko chodziło o nieudany skok w bok, zawsze mógłbyś się pocieszyć, że szukaj wiatru w polu, wiesz, co mam na myśli, Miquelu. I mogłoby tak dyskutować bez końca, bo winda jedzie wolno: słuchaj, Miquel, nie próbowaliście się jakoś dogadać? Cholera, a tobie co do tego! Nic, stary, ale jest mi przykro... kurczę, nie widzisz, jaka z was ładna para. A wtedy Miquel musiałby się przyznać, że dzień w dzień klóciłiśmy się o drobiazgi, aż w końcu i on, i ona wygarnęli sobie z grubej rury, a tego, co zostało powiedziane, już nie cofniesz. Wtedy sąsiad, człowiek wrażliwy, który w niedzielę zamyka się w swoim pokoju i układa wiersze, poklepałby go po ramieniu otwartą dłonią i powiedział olej to, chłopie: słowa ulatują z wiatrem, i wysiadłby z windy, przytrzymując drzwi, żeby mi było łatwiej wynieść walizkę



i własne troski, żegnając mnie słowami przemyśl to jeszcze, młody, żebyś potem nie żałował. A ja wolałbym, żeby mnie poklepał po plecach ze słowami chłopie, skończyło się? to korzystaj z życia, póki jesteś młody; chcesz, żebym ci przedstawił apetyczną brunetkę, która... Ale nie.

Faktycznie, już na podeście trzeciego piętra (Gemma i Miquel mieszkali na szóstym) zmieniłem zdanie. Wyglupiłem się. Ale ona na pożegnanie spiorunowała mnie wzrokiem i powiedziała, że nie chce mnie więcej widzieć, pod żadnym pozorem, a ja nie chciałem przejść upokorzenia powrotu i przeprosin, nie chciałem się ludzić, że ona też się zdobędzie na wspaniałomyślny gest. A jeżeli nie zdobędzie się na żaden gest? Wcale bym się nie zdziwił. Kiedy na mnie patrzyła wzrokiem pełnym pogardy, dołeczki w policzkach zastęgały i nadawały jej twarzy nienawistny wygląd... Och, na pewno nie zdobędzie się na wspaniałomyślny gest.

Tak więc Miquel Świeżo po Rozstaniu nie wziął sobie do serca tamtych wątpliwości na podeście trzeciego piętra. Schodziłem po schodach i zastanawiałem się, co na to moja rodzina. Dla matki to będzie straszny cios. Tak samo zareagowałaby babcia Amèlia, gdyby jeszcze żyła. Ojciec tylko parsknie i wróci do fabryki. Ramon pogardliwie wzruszy ramionami, po czym stwierdzi a nie mówiłem, Miquel jest niepoprawny jak dziecko, nigdy nie dorośnie; trzydziestka na karku, prawda? a studia dopiero w połowie; nie, o czym tu mówić...; i w zależności od tego, z kim by mnie krytykował, pokiwa palcem i podsumuje co za szczęście, że nie mają dzieci, wiesz, co mam na myśli? Tylko Núria spojrzy smutno i da mi całusa. A rodzina Gemmy? Oszaleje z radości, córeczka wraca do domowego ogniska, pozbyła się wreszcie tego lekkoducha i łowcy posagów, który jej zawrócił w głowie; tak, córeczko, nie przejmuj się, odpoczywaj, używaj życia, zapomnij, nie ma o czym mówić. My się wszystkim zajmiemy. Chyba nie jesteś w...?

Okropność, pomyślałem, jak już się znalazłem na parterze, z walizką w ręce, gotowy do wyjścia na ulicę. Kiedy przeszło mi przez myśl, że już nigdy więcej nie zobaczę tej sieni, powiedziałem sobie, no nie, że też w tym właśnie momencie musiał wejść sąsiad feminista, którego chciałem uniknąć w windzie, ponadto w niebezpiecznym towarzystwie swojej połowicy (był z tych, którzy o żonie mówią połowica) i z chęcią na pogawędkę. Kiedy tylko wypatrzyli go w półmroku, sąsiadka zapaliła przekłete światło, a sąsiad, wskazując walizkę, zapytał:

– Co, młody? Wyjeżdżasz?

– Tak... Jadę do... do Nowego Jorku.

– Och, Nowy Jork, Piąta Aleja, Greenwich Village, Tyffanis i tak dalej. Takiemu to dobrze. Na długo?

Miquel już chwycił za klamkę, żeby jak najszybciej znaleźć się na ulicy. Zacząłem zmyślać na chybił trafił:

– Jeszcze nie wiem; ale nie będziemy się widywać przez jakiś czas, bo czeka mnie delikatne zadanie.

– Takiemu to dobrze – nieszczercze i bez entuzjazmu powtórzyła połowica, wyjmując korespondencję ze skrzynki.

– No to do widzenia, na mnie już czas.

– Do widzenia, chłopcze, szczęśliwej podróży. O, popatrz, list z Puigcerdà. – Nikomu nie przyszło do głowy, że o tej popołudniowej porze nigdy nie wylatywał żaden samolot do Nowego Jorku.

Miquel Gensana Dawno po Rozstaniu znalazł się na środku ulicy, sam, z walizką rozpaczliwie oskarżającą go o ucieczkę. (Nie było wyjścia: to on musiał odejść; mieszkanie zostało kupione praktycznie za pieniądze rodziców Gemmy i wszelkie dyskusje terytorialne stawały się bezprzedmiotowe i z góry skazane na klęskę.) Sam, na środku ulicy, o zmierzchu, bez pomysłu co dalej, nie wiedząc, dokąd pójść, zmierzył się z problemem, jak znaleźć pensjonat w Barcelonie, skoro mieszkasz w Barcelonie. Zanim gdziekolwiek się ruszył, dotknął kieszeni, żeby sprawdzić, czy zabrał portfel. Przewornie oddaliłem się od domu (balkon zamknięty, zaciągnięte zasłony, w jadalni zgaszone światło, ale Gemma mogła mnie obserwować) i spojrzałem na zegarek. Żeby sobie dobrze przemyśleć strategię, wszedłem do tamtego baru. I tam się wszystko zaczęło.

– Topisz tloski w kieliszku. Pławda?

Miquel odwrócił się lekko zamroczony, ale i zaalarmowany odgrzebanym żywym wspomnieniem. Czuł na sobie wzrok śmiejących się, załawionych, pokrytych czerwonymi żyłkami oczu, które przyglądały mu się z ciekawością. Matowy głos nalegał:

– Co, Simó?

Minęło parę sekund, nim się zorientowałem. To było jak piorun z jasnego nieba.

– Niebieskooki! – krzyknąłem.

– Nazywam się Galcia – natychmiast mnie poprawił Niebieskooki.

– A ja Miquel – odpowiedział szybko dawny towarzysz Simó i udał entuzjazm, którego wcale nie czuł. – Co tu robisz?

– Tę kolejkę ja stawiam. – Zwrócił się do kelnera z gęstymi brwiami: – Dla mnie J&B na dwa palce. Bez lodu. – Uśmiechnął się do mnie i trącił łokciem, prosto w wątrobę. – No, a co u ciebie?

Milczeliśmy i uśmiechaliśmy do siebie. Co możesz mu powiedzieć po tylu latach, na dodatek w dniu, kiedy uciekłeś z domu... Niebieskooki odchrząknął:

– Pławda, że się nie pomyliłem? Pławda, że jesteś smutny?

Miquel znów poprosił o whisky i szybko wypił łyk. Alkohol palił go w środku i wywołał nieprzyjemne uczucie nadkwasoty żołądka. O to chodziło: osiągnąć stan zamroczenia, żeby móc stawić czoło tej pierwszej przekłętej nocy.

– Nie bój się, chłopcze, nikt mi o tobie nie opowiadał. Sam się domyśliłem. – Wyciągnął nie wiadomo skąd paczkę papierosów i poczęstował mnie. Podczas gdy zapalałem, on, otoczony dymem, kontynuował przesłuchanie. – No to jaki masz problem?

– Nie mam żadnych problemów.

– Kobiety, co?

Trzy whisky nie wystarczyły, żeby się zwierzyć ze wszystkiego. Z góry było wiadomo, że

to niemożliwe przedsięwzięcie, bo co można powiedzieć komuś, z kim się walczyło o sprawę, kiedy nie ma już sprawy i minęło pięć lat? Zresztą głowę miał zaprzątniętą czym innym. No właśnie, piłem i myślałem o matce, zastanawiałem się, czy wrócić do domu i powiedzieć mamó, rozstaliśmy się; znajdziesz dla mnie kącik? Spojrzenie matki, badawcze, milczące, pytające bez słów, pół na pół z wyrzutem i troską o syna, tego niespokojnego ducha, który uczy się na własnych błędach, synu, jaki kącik... o czym ty mówisz, Miquel, przecież tu jest mnóstwo pustych pokoi.

– Nie chcę niczyjego współczucia – wymknęło mu się, bo nie chciał się zwierzać Niebieskookiemu. Nie, mimo że go szanował. A gdyby tak zatrzymać się u przyjaciela?

– Oj, młody. – Niebieskooki mlasnął językiem. – Tak postępuje mężczyzna: tloski dusi w sobie.

Ale u którego przyjaciela? Żaden mu nie pasował do tego rodzaju przysługi. Po prostu nie miał przyjaciół tak jak każdy. Pensjonat: rozwiązaniem będzie pensjonat. I wtedy pomyślałem o Bolósie. Ale wieki całe minęły od pierwszych wyborów lokalnych, kiedy widział go po raz ostatni. Jakby wzięli rozwód.

– Znasz jakiś pensjonat w pobliżu?

– Najtłudsza jest pielwsza noc.

– O co chodzi? Po czym poznałeś?

Niebieskooki uśmiechnął się i powiedział, że doświadczenia nabiera się z czasem; ty jeszcze jesteś gówniarz, Simó, a ja mam już piąty krzyżyk na kalku. Wyciągnął banknot z kieszeni, dał mi jeszcze jednego kuksańca w wątrobę, kiedy usiłowałem zapłacić, i zagadał do kelnera, który ciągle marszczył gęste brwi. A ja stałem obok z walizką, whisky uderzyła mi do głowy i obsesyjnie myślałem o słowach Gemmy nie chcę cię widzieć nigdy więcej.

– Chodź ze mną.

Zataczając się, zawiany, zniechęcony, Miquel dotarł do pensjonatu Niebieskookiego przy ulicy Consell de Cent, gdzie miał spędzić pierwszą noc. Żaden luksus, ale on czuł się z niego dumny, bo kiedy stracił kiosk, swoje źródło utrzymania, było mu naprawdę ciężko. Mimo że był ważną figurą w Partii, jak przyszło do likwidacji, został z gołymi rękami, tak jak wszyscy. Powiedział, że sypia z właścicielką pensjonatu, niejaką Lidią, i dzięki temu ma telaz lobotę i ciepłe łóżko. Nie ma co narzekać, opowiadał coraz bardziej zawianemu towarzyszewi Simónowi w drodze do Edenu. Zamiast mu się zrewanżować analogiczną porcją zwierzeń, Miquelowi przyszło do głowy jedno pytanie: Niebieskooki, o co, do cholery, chodzi z tym Edenem?

– Jestem Galcia. Tak się nazywa. Pensjonat Eden. Zobaczysz, znajdziesz inną kobietę, wierz mi.

Na moment Miquel uwierzył, że oczy Niebieskookiego prześwieciły mu duszę.

Z niemal macierzyńską troską, nie zwracając uwagi na lodowate spojrzenie Lidii, która oczekiwała natychmiastowych wyjaśnień od swojego faceta, Niebieskooki przygotował Miquelowi mocną kawę. Rozebrał mnie, zabrał do ubikacji, żebym zwymiotował całą wypełniającą mnie gorycz, zmusił do wypicia wody z cytryną, wsadził pod przyszcic,

troskliwie wytarł rękami i położył do łóżka. A Miquel cały czas płakał i mówił głupoty, ciągle to samo: co za gówno, psuję wszystko, do czego bym się nie zabrał, w trzynastu czy cztertnastu wariantach.

– Ja bym tego nie zrobiła nawet dla ciebie – usłyszałem, że Lidia rozmawia z Niebieskookim. – Co to za jeden, ten chłystek?

– To przyjaciel.

– Chyba bardzo bliski przyjaciel.

– Z wojny. Ciężko to przeżył, chłopisko.

I Lidia przestała protestować.

Mimo troskliwości Niebieskookiego (teraz już możesz wymiotować, Simó, wojna się skończyła) przez całą noc czułem skutki pijaństwa i kiedy wreszcie się obudziłem następnego dnia późnym rankiem, ból głowy był nie do wytrzymania. Przede wszystkim nie wiedziałem, gdzie jestem i jak się tu znalazłem. Czułem się tak, jakbym miał całe ciało z korka i najmniejszy odgłos Edenu rezonował w mojej głowie jak dzwon. A język był jak ścierka. Powoli korkowate ciało wypełniło się myślami i oceniłem moją sytuację. Moją nową sytuację. Zastanawiałem się, czy lepiej znowu wejść pod prysznic, czy od razu rzucić się z balkonu, kiedy usłyszałem znajomy głos Niebieskookiego, który przywracał mnie do życia.

Miquel dochodził do siebie przez dwa dni. W tym czasie zamknął się w pokoju i palił jednego papierosa za drugim, żeby zaczadzić mózg, i pił piwo, za zgodą Niebieskookiego, pod walunkiem, że nie wezmę do ust ani kropli tlunków wysokopłocentowych. Miquel rozmyślał godzinami, jak to jest, że się nie da cofnąć czasu, zacząć od nowa, od zera i spróbować tym razem zrobić wszystko jak trzeba, bo nie może tak być, żeby w dziedzinie etyki życie nie pozwalało na próby, tylko od razu wszystko się liczy, włącza się licznik i regulamin jest dramatycznie egzekwowany. I jeszcze więcej piwa, najlepszy sposób, żeby jak najszybciej się pogrzążyć. W tych dniach podjął najbardziej niefortunną, bezsensowną decyzję, żeby nie kończyć studiów, skoro na studiach poznał Gemmę, i niech szlag trafi formy czasownikowe ryzotoniczne. To była jego zemsta na Gemmie, która już go nic a nic nie obchodziła.

W Edenie przekonałem się, że żadna miłość nie jest odporna na brak wzajemności, ale mimo to śmierć jednej miłości, choćby była spodziewana i oczekiwana, zostawia po sobie trudną do wyjaśnienia pustkę, jakby po amputacji. A ponieważ nie chcesz chodzić chromy, starsz się jakoś zastąpić odciętą kończynę. Czasem nienawiścią. Czasem smutkiem. Wielu ludziom udaje się przekształcić swoje życie uczuciowe we wspaniałą katastrofę.

Minęło parę dni, podczas których więcej wymiotowałem, niż jadłem, ale ciągle nie mogłem się przełamać, żeby porozmawiać i wyjaśnić Niebieskookiemu przyczyny swojego zachowania. Schudłem parę kilo: trzy czwarte przygębienia uleciało w formie pustej energii ku tej części uniwersum, gdzie rozplývają się westchnienia wyrwane z serca cierpieniem. Mało brakowało, a nabawiłbym się wrzodów żołądka. Kiedy opuściłem Eden, Niebieskooki nie prosił mnie o żadne wyjaśnienie, nie ponaglał mnie ani nie oczekiwał niczego w zamian za swoją cierpliwość. Przy pożegnaniu Miquel II Gensana z Ciężką Głową, z lżejszą już duszą, ale z bólem karku, nie przekonał gospodarzy, że powinien przynajmniej zapłacić im

za te dni, które... Ani Lúdia (też coś, co ty sobie wyobrażasz!), ani Niebieskooki (doblanco i trzymaj się ciepło, mam nadzieję, że mnie lozujesz, Simó) nie chcieli go słuchać, no, idź już. Ledwo zdążył im podziękować. Ale wtedy pomyślał: jakie to szczęście, że na świecie od czasu do czasu spotyka się taką Lúdię i takiego Niebieskookiego, mimo że czasami, żeby go zrozumieć, dobrze byłoby dysponować słownikiem Niebieskooki-kataloński, kataloński-Niebieskooki. Miquel, po przemyśleniu, zdecydował się wrócić do domu Gensana, porozmawiać z matką i przemyśleć, co dalej. Poczł się po raz drugi w życiu jak syn marnotrawny i pomyślał, że tak jak są rzeczy, które nigdy się nie zmieniają, tak ja nigdy nie będę normalnym człowiekiem, bez problemów, z beztróskim uśmiejchem.

– Może po prostu zostaniesz w domu?

Miquel unikał patrzenia matce w oczy i nawet nie próbował czegokolwiek wyjaśnić ojcu, który całymi dniami przesiadywał w fabryce. Widziałem, jak matka rozpaczliwie próbowała wypełnić życiem wyszystkie te mury, ściany, korytarze i pomieszczenia. Nie było w nich nikogo poza nią, panią Angeletą, szwaczką, która przychodziła do pomocy na parę godzin, i ojcem, który pojawiał się i znikał jak duch. Była jeszcze nieszczęsna Remei, jedyna służąca w tym podupadającym powoli domu, jedyna osoba zainteresowana telewizorem, dużym, ciężkim, szarym, nudnym odbiornikiem, który don Pere zainstalował w salonie tylko dlatego, że wszyscy już mieli.

– A jak się miewa wujek?

– Dobrze. Zostań w domu, synu.

W jej oczach mogłem wyczytać czuję się samotna, twój ojciec myśli tylko o długach, kuzyn Ramon chce zamknąć fabrykę, byle jak i za marne pieniądze, zanim całkiem się pogrąży, ale też jest już u kresu sił; jestem zmęczona, ten dom mnie przytłacza, chciałabym zamieszkać w Feixes, w kamienicy, któregoś dnia przysli wycenić bibliotekę pradziadka Maura, jest takie towarzystwo inwestycyjne, które pyta o cenę domu, nie korzystamy nawet z jego piątej części, od lat nie byłam na strychu... A wujek Maurycy nie chce go sprzedać za nic w świecie. To znaczy: kiedy próbuję z nim o tym rozmawiać, milczy jak grób.

– Ale ja wolę mieszkać w Barcelonie. – Czuję się jak kanalia, wypowiadając te słowa. Ale taka była prawda.

– Stąd miałbyś blisko. Doprowadzają tu autostradę. Możesz jeździć codziennie... Albo dojeżdżać pociągiem jak w czasie studiów.

– Mamo...

Po chwili milczenia matka powtórzyła, jak westchnienie:

– Musimy sprzedać ten dom. Musimy przekonać wujka.

– A co ojciec na to?

– On by już dawno go sprzedał. Żeby spłacić długi.

– Nie róbcie tego. To jedyne, co wam zostało.

– Wygodniej byłoby w kamienicy. – Uśmiejchnęła się zmęczona. – Tu się zrobił dom starców.

– Nie trzeba sprzedawać. Ty przyzwyczyłaś się do ogrodu. Jak sobie poradzisz bez

kwiatów?

– Są rośliny doniczkowe.

– Sama w to nie wierzysz. Nie, mam... Zostanę z wami tydzień... Możemy przygotować mój pokój. Będę przyjeżdżał od czasu do czasu.

– Święte słowa.

Westchnienie i cisza. Obok niej na krześle porzucona robótką, szalik dziergany na drutach, pewnie dla Rogera, syna Ramona. I wtedy padło pytanie, które nie mogło dłużej czekać:

– A co u ciebie, Miquel?

Nie da się, w wieku trzydziestu lat, nagle, po długiej nieobecności w domu, zwracać się matce. Jak miał jej wytłumaczyć, dlaczego on i Gemma się pokłócili, dlaczego postanowił rzucić studia, dlaczego pije już piątą w ciągu tego dnia whisky, dlaczego całymi godzinami układa wiersze, które później rwie zrozpaczony, dlaczego zaczął regularnie chodzić do Pałacu Muzyki, żeby tylko nie być z Gemmą, dlaczego tak często płacze, zagłębiony w anonimowym fotelu sali koncertowej przy skocznych dźwiękach fletu czy głębokim jęku wiolonczeli... dlaczego ma dość uczenia w szkole, żeby nie spotykać się z Gemmą w pracy, i beznadziejnie długie et cetera. Miałem jej to wszystko powiedzieć?

– Jakoś leci, mam... Ale chcę być sam, żeby wszystko przemyśleć.

– Tutaj też możesz być sam.

– Mam... Chcę mieszkać w Barcelonie. Sam.

Nie mogłem spać pierwszej nocy po powrocie syna marnotrawnego do domu. Zjadłem kolację z matką, wujkiem i Remei niemal w milczeniu; gesty kobiet były tak ostrożne, jakby się obie bały, że stłuką jakieś szkło; rozmowa się nie kleiła, bo rozumiały, jak mi trudno mówić o problemach małżeńskich. Wujek milczał ze wzrokiem wbitym w talerz. Ojciec jadł kolację poza domem, żeby tylko mnie nie oglądać. Mój Boże, tak szybko, jeszcze nie minęły dwa lata od ślubu, oni od razu mówili, że to nie jest dziewczyna dla mnie. A teraz co mamy powiedzieć rodzinie Molins, kiedy ich spotkamy na ulicy? Czy nadal są naszą rodziną? Może byś ich odwiedził? Wtedy odezwał się wujek ależ Mario, kobieto, daj spokój z Molinsami. Nie w tym problem. Wujek chciał powiedzieć, że problemem był Miquel II, jego ukochany jedyny bratanek. A Remei podawała talerze i szeroko otwierała oczy, jakby ją zainspirowały uniesione brwi przysłego maître'a, który będzie kiedyś marszczył brwi w tych ścianach, nieświadomy całego nagromadzonego tu cierpienia i nieznaną gestów Remei. Jakie straszne rzeczy kryje w sobie przyszłość.

– Synu... – Nerwowe ugniatanie kruszyn chleba opuszkami palców. – Czy ta separacja jest nieodwołalna?

– Nie chcę o tym rozmawiać, mam... – W tym momencie Remei wstaje, niby że musi coś odnieść do kuchni.

– Ależ synu... Ja przecież nie chcę...

– Już jestem dorosły. – Oschłym tonem: – Dziękuję.

Matka nie odważyła się dyskutować z tym rozkazem. Bała się zbyt mocno naciskać, żeby

się nie załamał, żeby biedny Miquel nie odszedł z domu. Tak więc dalszy ciąg kolacji przebiegał w milczeniu, słychać było tylko stukanie niedomkniętej okiennicy poruszanej wiatrem.

– O której ojciec wraca?

Kiedy już był na górze, w swoim pokoju, Miquel otworzył okno i zapalił papierosa. W pogrążonym w ciemnościach ogrodzie kształt korony pozwalał się domyślać, gdzie jest truskawkowe drzewko. Wiatr rozwiął nieliczne chmury na niebie i cały orszak gwiazd uszczęśliwionych moim powrotem wyszedł mnie przywitać. Uświadomiłem sobie, że już od ośmiu lat nie podniosłem głowy, żeby obserwować niebo nocą. Dokładnie od chwili, kiedy uciekłem z domu, żeby robić rewolucję, a matce wypadło z rąk szklane jajko do cerowania skarpetek. Wsiadł do pociągu, wyekwipowany w torbę podróżną i rewolucyjne marzenia, z solennym postanowieniem, że nie wróci do domu, póki Dzieło się nie dokona. W tamtych czasach poczucie misji dodawało mi energii; pozwalało czuć się człowiekiem czynu. Udowodniłem to w dniu, kiedy podczas manifestacji w Zakładach Metalowych powaliłem uderzeniem pięści tajniaka, uniemożliwiając mu zatrzymanie działacza Partii, który, jak się później dowiedziałem, był ważną figurą. Tak, to był akt bohaterstwa, ale widziany z perspektywy Miquela był zwykłym odruchem: zdzielił go pięścią w twarz, bo srał w portki ze strachu, chciał uciekać, a ten mu zagroził drogę. Towarzysz, podobnie jak ja, zmykał gdzie pieprz rośnie i wtedy, przerażony, usłyszałem za sobą strzały, i dalej leciałem jak na skrzydłach. Najważniejsze, że do curriculum już mogłem wpisać heroiczny czyn. Ale sprawy źle się przedstawiały, bo policja miała obsesję na punkcie tego, co nazywała marginalnym zjawiskiem, czyli oprócz nas pięć czy sześć innych organizacji podsycających płomień walki, jeśli trzeba, to zbrojnej, teraz, kiedy PSUC odpuścił, a inne siły, jeśli gdzieś były, to nikt poza nimi nie wiedział o ich istnieniu. Mniej więcej w tym czasie, gdy już od sześciu czy siedmiu miesięcy mieszkalem w lokalu konspiracyjnym naszej komórki, dostałem pistolet. Ja przez trzy lata spałem z pistoletem.

Ale życie Miquela Che Gensany miało się jeszcze bardziej skomplikować. Do problemów wojennych doszły sercowe, a to było już ponad siły. Aresztowanie czterech czy pięciu działaczy zburzyło schemat organizacyjny komórki w dzielnicy Congrès i należało dokonać reorganizacji podstawowych jednostek partyjnych. Czwarta połączyła się z piątą, dzięki czemu znów byłem z Franklinem-Bolósem. Ale o prawdziwy zawrót głowy przypisał go nowy towarzysz, a właściwie towarzyszka, odpowiedzialna za ich komórkę. Towarzyszka Pepa. Miquel parę razy musiał przełknąć ślinę i powiedzieć sercu, by przestało walić bum, chlast, łup, bo od kiedy znikła z uczelni, nigdy później nie spotkał Berty, to znaczy Pepy, towarzyszki Pepy, Berty, która już dawno pozostała się z czerwonym płaszczkiem, nieodłącznym na początku studiów, Berta, z którą malowałem hasła wywrotowe na ścianach ratusza. O nie, Berta i ja pod tym samym dachem albo prawie, ona z taką samą jak zawsze energią, zapatrzona w jeden konkretny cel, jakby nie była zdolna do zakochania ani nie wierzyła, że ktoś może się w niej zakochać, Berta, och, Berta. Stosunki uczuciowe między towarzyszami niepozostającymi w stałym związku były zakazane; byłoby kontrrewolucyjnym błędem przedkładanie spraw prywatnych i osobistych nad cele organizacji. A im bardziej lodowata stawała się Berta, tym szybciej ja topniałem. Dlatego

przy powitaniu, sam na sam (bum, chlast, łup), chciałem pokazać, że co-to-dla-mnie.

– Mogłaś wybrać sobie inne imię, nie takie banalne, Berto.

– A z ciebie zawsze będzie wylazić drobnomieszczarska mentalność, towarzyszu Simó.

Roztopiłem się jak wosk. Gwiazdy oglądane z okna mojego pokoju w domu Gensana puszczaly do mnie oko, a ja tymczasem dopaliłem pierwszego papierosa. Owszem, wspomnienie Berty łączy się z wojną, ale ona była też moją pierwszą nieodwzajemnioną miłością. Dlaczego ludzkość zawsze zakochuje się, w kim nie powinna? W pokoju nie było popielniczki, a ponieważ nie miałem ochoty kręcić się po domu i narażać na pytające spojrzenia matki czy wujka, postanowiłem wykorzystać do tego celu pudełko po butach, które znalazłem pod stołem. Po butach do garnituru ślubnego. Tyle rzeczy wydarzyło się w moim życiu od tamtego czasu, a byłem tylko marnym pyłkiem. Od kiedy Franco zmarł w łóżku i wszystko się skończyło, nie spotkałem już więcej Berty. Skończyły się punkty kontaktowe. Przez parę miesięcy płątałem się zagubiony. Wróciłem do domu jako ofiara operacji Equus, witany westchnieniem ulgi matki i milczeniem ojca, który prawie się do mnie nie odzywał. Miquel Gensana Wojownik w Stanie Spoczynku zdecydował się wrócić na uniwersytet, podobnie jak Bolós, by podjąć studia przerwane przez Sprawę. A ojciec już przygotowywał swoją ucieczkę. Wtedy poznałem Gemmę, dziewczynę z mojego roku. Nazywała się Gemma Molins i miała dołeczki w policzkach, zabawną buzię, że tylko całować. Zrobiła na mnie piorunujące wrażenie. Bolós w tym samym czasie stracił głowę dla niejkiej Marii, brunetki, moim zdaniem nic szczególnego. Gemma była sympatyczna, wesola, dwa–trzy lata ode mnie młodsza, bardzo pilna, a ja jej też przypadłem do gustu. To ona podsyciła na nowo moje zainteresowanie muzyką, rozbudzone kiedyś przez wujka. Zaczęliśmy razem chodzić na koncerty i natychmiast połknąłem bakcyła, bo miałem potrzebę głębokich przeżyć, a od kiedy zostałem bez Sprawy, w mojej duszy ziała niezdolna pustka. Wreszcie życie stało się znośne, bo mimo że jeszcze czasami nocą budziłem się z krzykiem, zlany potem, bo przyśnili mi się Mingo i Toro, Toro z tym okropnym wyrazem twarzy, i mokry ręcznik, och, wszystko naraz, jednak te straszne sny powracały coraz rzadziej i mój umysł odzyskiwał spokój. Czasem niepokoiło mnie wspomnienie Berty. Myślałem: Berta, co się z nią stało, z Bertą, z towarzyszką Pepą. Chyba nawet zdarzyło mi się uronić łzę. Ale wszystko wydawało się znośniejsze, bo coraz częściej miałem przed sobą i obok siebie Gemmę. Dzięki niej wróciłem do muzyki, tak, i Miquel Zdezorientowany postanowił przenieść się z historii na filologię, bo był na etapie odkrywania czarodziejskich możliwości poezji. Gemma studiowała z determinacją buldożera, a on w tym czasie marzył, zdawał egzaminy, a popołudniami dorabiał w prywatnej szkole, żeby opłacić studia. Świat stał się łatwiejszy do zaakceptowania. Pojawili się w nim poeci: Vinyoli, Palau i Fabre, Artaud i Rimbaud, najbardziej mroczna część twórczości Góngory, a od niego już było blisko do Cernudy i Guilléna, i Ausiàsa Marcha. Przechadzając się z książką w ręce po arystokratycznym, ale zapuszczonym ogrodzie, przy zarosłym rzęsą stawie bez łabędzi, Miquel, nieustraszony katechumen nowej religii – poezji, recytował na głos: Tam, gdzie by zapomnienie siedzibę swą miało; w ogrodach bez jutrzeńki, tam byłbym tylko pamięcią głazu, co leży wśród pokrzyw, głazu, nad którym wiatr do snu się kładzie<sup>[18]</sup>, i wiedząc, że nikt, chyba tylko jakaś zabląkana zięba, nie może go słyszeć, mówił: Z wielkiej miłości



w życie swe zwątpilem, oraz Szalony, czemu pytasz, czy tęsknię za tą, bez której żyć nie mogę?<sup>[19]</sup> i żałował, że nie jest zakochany do szaleństwa w Gemmie, a jednocześnie nie potrafił pozbyć się wspomnienia, im bladszego, tym silniej oddziałującego na wyobraźnię, czerwonego płaszczyka Berty, wspomnienia rozplywającego się we mgle, a kiedy z tego powodu ogarniał mnie wielki smutek, szedłem do adapteru wysłuchać w skupieniu *Ofrena Musical* w wykonaniu Karla Richtera, i wołał do Boga, w którego nie wierzył, czemu nie dał mi talentu, bym mógł być muzykiem lub poetą, i czułem się marnym pyłem, a gdy mówiłem o tym Gemmie, tylko zmartwiona kręciła głowę i taktownie mówiła ależ Miquelu, w twoim wieku już nie wypada żyć z głową w obłokach, a on jej odpowiadał, że za długo grał w kiepskiej komedii, a teraz musi odzyskać stracony czas, i tej samej nocy zaczynał lekturę Prousta po francusku, i czuł się jeszcze bardziej znikomy, dziwiąc się, że takie bogactwo uczuć wyłania się ze słów nanizanych jedno po drugim, i dochodził, niczym jego święty patron, do tego samego entuzjastycznego wniosku, i wołał któż jak sztuka! w ogrodzie, tuż obok nieobecnych labędzi. A moja kantyczka miała posmak blasfemii.

Po drugim pecie uznałem, że moja prowizoryczna popielniczka znakomicie się sprawdza. Wziąłem krzesło, postawiłem przy oknie, cały czas myśląc o Gemmie, jaką była pilną studentką. W czasie tych nielicznych godzin, które spędzali razem, zawsze trzymała książkę, a on napełniał swoje dłonie z jej rąk. Zawsze tak było. Pewnego dnia zaproponował, że ją zaprosi do domu po egzaminach (nie wcześniej, w tych sprawach była bardzo zasadnicza), a ona się zgodziła. Nie chodziło mu o przedstawienie jej rodzicom, tylko chciał się przed nią pochwalić domem i ogrodem. Ale rodziców też poznała. Mimo że ich oficjalnie nie uprzedziłem, że chodzimy ze sobą, zostawili nas sam na sam. Nasze rodzinne gniazdo wzbudziło entuzjazm Gemmy, który próbowałem ostudzić, mówiąc o wilgoci, szczelinach przepuszczających zimno, złym oświetleniu. Ogród ją dosłownie urzekł, cudowny, Miquel, oczom nie wierzę, coś takiego w dwudziestym wieku! Niesieni euforią tych odkryć poszli w gęstwinę, do kasztanowego zagajnika, i tam poznawali swoje życie i swoje ciała, z prawdziwą rozkoszą, bo Gemma okazała się dziewczyną z temperamentem. I nie była dziewczyną.

– Ale o co ci chodzi, Miquel?

– O nic... Po prostu... jestem zaskoczony.

Ubrali się nie w wyniku rozmowy, tylko ze względu na wiatr, ale nadal byli pod kasztanami, w tym samym miejscu, gdzie wujek Maurycy bez Ziemi dokonywał rzeczy, o których lepiej nie mówić, a don Pere I Uciekinier obmacywał od góry do dołu kilka zaprzyjaźnionych pań. Tam, gdzie wiele latorośli starego rodu potajemnie doświadczało własnego ciała, samotnie lub w miłym towarzystwie. Jakby w domu Gensana brakowało łóżek. Gdyby te kasztany przemówiły.

– No dobrze, słuchaj, wiem, że ty też byłeś z innymi kobietami i nie robię z tego problemu.

Miquel wziął źdźbło trawy i włożył je do ust. Uśmiechnął się i oparł o pień kasztanowca, wdychając:

– Nigdy nie byłem z żadną kobietą.

- No nie... - Sceptyczne, nieufne i okrutne „nie” pierwszej połowy lat siedemdziesiątych.
- Dziś pierwszy raz widziałem nagą kobietę.
- No nie... - Jeszcze bardziej nieufne „nie” drugiej połowy lat siedemdziesiątych.
- Dziś pierwszy raz widziałem cipę z bliska.

Po tej deklaracji zasad przez chwilę milczeli. Nie tylko chwilę, większość popołudnia, bo nie wpadli na to, że najprostszym wyjściem z tej sytuacji byłoby wykonanie kilku figur gimnastycznych i to od razu zamknęłoby sprawę. Miquel miał na końcu języka: chcę wiedzieć, z kim się pieprzyłaś wcześniej, Gemmo, ale sto tysięcy razy ugryzł się w język, bo się bał, że usłyszysz a co ci do tego. Albo jeszcze gorzej, mogła mu powiedzieć kochany Miquelu, nie jeden, tylko trzech czy czterech, z każdym po parę razy, a mnie było głupio, kiedy pomyślałem, że ona ma sekret, którego nigdy nie poznam, i bardzo mnie to zabolalo, tym bardziej że mimo całej mojej wiedzy (koniec lat sześćdziesiątych, wolna miłość, Berkeley, yankees go home, Marcuse) i przekonania, że zazdrość jest typowo drobnomieszczańskim przeżytkiem, kiedy to jego dotyczyło, Miquel Radykalny Teoretyk był tak samo zazdrosny jak pierwszy lepszy szary obywatel. Czyli bardzo zazdrosny.

- Nie wierzę, że nigdy nie byłeś z kobietą.
- Co w tym dziwnego?
- To jak sobie radziłeś do tej pory? Walileś konia?
- Cholera, Gemma...

Jak tu jej wyjaśnić, że problemem nie był fiut, tylko serce? Jak się przyznać do podekscytowania na widok jej nagiego ciała, do ogromu czułości, z jaką się zaangażowałem w tę miłość. Ja naprawdę czułem się kochany przez tę dziewczynę z uroczyimi dołeczkami w policzkach, która prosiła, żebym w nią wszedł po krótkiej grze wstępnej, a ja, o mój Boże, robiłem wszystko, żeby nie doszło do przedwczesnego wytrysku, bo cała nadzieja świata skoncentrowała się w tym momencie pod kasztanami w naszym ogrodzie, co za emocjonująca chwila. Byłem tchórzem, więc nie zapytałem a co będzie, jeśli zajdziesz w ciążę? ale uznałem, że ona wie, co robi.

- Nawet z dziwkami? Nigdy?
- Nigdy. Nie jestem jakimś dziwakiem, Gemmo. Miałem inne sprawy na głowie.

Szczerzy śmiech Gemmy wystraszył ziębę na drzewie; Miquel, zawstydzony i zaskoczony przez tę dziewczynę, która teraz dawała się poznać jako wyzwolona, wcale się nim nie przejął. Niepokoila go tylko jego własna zazdrość, a może nadmiar wyobraźni. Pomijając to, że trochę rozminąłem się z prawdą, bo chociaż od strony technicznej rzeczywiście nigdy nie byłem z dziewczyną, to jednak jej nagość widziałem, a nawet... ale w tym momencie wolałem nie opowiadać o Bercie i o tym dniu, kiedy po zebraniu połączonych komórek partyjnych ona postanowiła zostać w lokalu zajmowanym przez Miquela, bo źle się poczuła, a ja jej zaproponowałem możesz zająć moje łóżko, Berto, Pepo, towarzyszeko Pepo. Powiedziała dziękuję i od razu się położyła, podczas gdy ja, towarzysz Simó, przygotowywałem w kuchni zupę z torebki dla nas dwojga i przeszło mi przez myśl, że jest tak, jakbyśmy byli małżeństwem, ale tylko pokręciłem głową, żeby odpędzić te

drobnomieszczańskie myśli.

– Gemmo, czy to dla ciebie jakiś problem, że nigdy nie byłem z kobietą?

Ujęła jego dłoń i pocałowała ją, niemal z szacunkiem.

– Głuptasie – powiedziała. Chyba odgadła moje czarne myśli, bo dodała: – Nie przejmuj się tym, że ja... To było dawno temu, z chłopakiem, którego więcej nie spotkałam. – Teraz wiatr bawił się liśćmi kasztanowca, jakby chciał wziąć udział w rozmowie, bardzo zainteresowany jej tematem. – I którego nigdy więcej nie zobaczę.

– Mnie to obojętne – skłamałem. – Niech każdy robi, co chce, ze swoją przeszłością.

Czułem się jak bohater. Bohater tłumiący łzy.

W każdym razie po wydarzeniach pod kasztanami Miquel pokochał Gemmę jeszcze mocniej i coraz więcej o niej myślał. Powoli wciągał się w zakochanie, późne i niespieszne. Również przekonałem się, choć trudno mi to było zrozumieć, że przysłowie o skórze kobiety, że ma większą siłę przyciągania niż zaprzęg mułów, jest fałszywe. No więc nie, jeśli chodzi o skórę, samą skórę, nie podniecała mnie tak jak uśmiech, spojrzenie czy wspomnienie, a życie układało się tak, że udany stosunek zostawiał w moim sercu mniejszy ślad niż uczucie podtrzymywane na odległość. Ale Miquel II Gensana Prawiczek był za młody, żeby zrozumieć, o co w tym chodzi, ponieważ miał dopiero dwadzieścia osiem lat, czyli był w wieku, kiedy anielski Schubert, już zarażony syfilisem, skomponował Tria, dziewięćdziesiąt procent swoich Lieder (łącznie z *Die Schöne Müllerin und auch Die Winterreise*), wszystkie kwartety, siedem mszy i wszystkie symfonie, poza Wielką.

– Byłam pewna, że mnie zrozumiesz, Miquelu.

Trzeba mieszać łyżką i czekać, aż znów się zagotuje. Gotować na wolnym ogniu. Zapach zupy przypomniał mu rodzinne kolacje i poczuł się w kuchni jak we własnym domu, w odległości zaledwie dziesięciu kroków od Berty. Zupa avecrem obudziła w nim apetyt i dał się ponieść drobnomieszczańskiej tęsknocie, wyobrażając sobie, że są małżeństwem. Przez całe dziesięć minut gotowania na wolnym ogniu pod przykryciem nie ruszył się z miejsca, nasłuchując odgłosów z pokoju. Chyba zasnęła. Faktycznie, źle wyglądała podczas zebrania, nie wypaliła ani jednego papierosa, ona, która... Simó wlał zupę do talerza i zaniósł Bercie. W pokoju było ciemno.

– Berta? – powiedziałem. – To znaczy, Pepa?

– Mhm.

Miquel Bucose postawił talerz na ziemi i zapalił światło. Berta leżała rozebrana. Miała na sobie tylko podkoszulek na ramiączkach i majtki. Nie jestem pewien, czy mnie widziała, mimo że oczy miała otwarte. Prześcieradło przesiąknięte potem.

– Masz gorączkę?

– Mhm.

– Idę do apteki. Trzeba zbić temperaturę.

Potknąłem się o talerz, zakląłem, zupa się rozlała, a ja zszedłem na dół szukać dyżurnej apteki, z dwudziestoma pięcioma pesetami w kieszeni. Z daleka, od strony Passeig Maragall dobiegł zgrzyt nocnego tramwaju. Poszczęściło mi się, bo najbliższą aptekę znalazłem

w ciągu kwadransa. Już miałem na końcu języka, żeby aptekarzowi, który przyglądał mi się nieufnie ze względu na późną porę, wyznaczyć wszystko: panie magistrze, nie mam pieniędzy, ale moja ukochana umiera w gorączce, a ja chciałbym ją uleczyć, ale nie mam pieniędzy, ona nazywa się Berta, ale każę do siebie mówić Pepa, ja też mam na imię Miquel, ale przechrzcili mnie na Simóna, wie pan? Słyszał pan o konspiracji, tak, do cholery, narażamy życie. To nie żarty! Rzecz w tym, że Berta jest wspaniałą kobietą, urodzonym przywódcą, choć takie z niej chuchro, a dziś zobaczyłem ją naga; to znaczy, prawie naga, i dlatego jestem taki podekscytowany, gotowy obejść cały świat, żeby zdobyć dla niej chininę na paludyzm, rozumie mnie pan, Livingstone? I niech pan sobie nie myśli, że płaczę się w zeznaniach, bo nie wiem, jak pana poprosić o prezerwatywy, ale mimo że mam już dwadzieścia trzy lata, dotąd nie przyszło mi do głowy, że na taką jak ta okazję dobrze jest mieć je pod ręką; chyba tylko raz widziałem prezerwatywę; a poza tym między Bertą, to znaczy Pepą, i mną, nic z tych rzeczy, naprawdę, wątpi pan? nic. To tylko towarzyska.

Aptekarz cały czas patrzył nieufnie na tego zamkniętego w sobie bohaterskiego odkrywcy w korkowym hełmie, który wynurzył się z głębokiej selwy.

– Ile kosztuje listek aspiryny?

– Dwadzieścia trzy.

Odetchnął. Jesteśmy uratowani. Jasne, że prezerwatywy nie wchodziły w grę. Ale przynajmniej mógł wrócić biegiem, pokonując selwę z cennym ładunkiem sulfonamidowym, żeby walczyć z trądem w obozowisku. Zostały mu jeszcze dwie pesety.

– I pastylki Juanola na kaszel.

Kiedy wrócił do domu, już w przedpokoju usłyszał jakieś odgłosy z sypialni. Światło było zapalone i Berta, teraz już tylko w majtkach (różowych, z koronką w kształcie kwiatuszka, pamiętam do dziś), rzuciła się niespokojnie wśród książek, które na nią spadły, kiedy w gorączce nieprzytomnie wymachiwała rękami; Lucács zakrywał jej jedną pierś, a Arnold Hauser naciskał na żołądek. Zdjąłem z niej całą moją konspiracyjną bibliotekę i przysięgam, że przyglądałem się tylko parę sekund, zastanawiając się, czy trzeba wezwać lekarza, ale jak to zrobić, nie budząc podejrzeń?

– Berto, Pepo, spokojnie, to ja.

Dotknąłem jej czoła, które płonęło, była cała spocona, wycierałem z miłością ręcznikiem jej piersi i szyję, a ona, nie w pełni świadoma, nie protestowała. Co chwilę otwierała suche wargi, jakby miała pragnienie, i Miquel, coraz bardziej spanikowany, idąc w stronę kuchni, ponownie wdepnął w talerz po zupie, który cały czas stał na podłodze, znów zakląłem, i rozpuściłem w szklance dwie pastylki z odrobiną wody. Zaniosem chorej lekarstwo, Berto, Berto, musisz to wypić, no już. Och, Simó i Stanley, ratujący ledwo żywą od ukąszenia węża partnerkę życiodajnym roztworem, podczas gdy na zewnątrz jaskini dzikie bestie czekają przyczajone. Pepa, jak zawsze zdyscyplinowana, wypila z grymasem niesmaku, ale nikt nie obiecywał, że chinina będzie smaczna. Dałem jej trochę wody do popicia. Później jeszcze się rzuciła na łóżku niespokojnie i powtarzała wszystko jest pod kontrolą, towarzyszu, nie przejmuj się, nikt o tym nie wie. Simó nie wiedział, czy to było adresowane do niego, czy mówiła w malignie; chwyciła go za nadgarstki, czy miała rozbiegane, wargi znowu suche,

ledwo udało mu się je zmoczyć ręcznikiem, Berto, Berto, jak się czujesz, Berto, a dziewczyna mówiła coś bez sensu i rzucała się w gorączce; mówiła gorąco mi, tak mi gorąco i nim zdumiony Simó się obejrzał, Michel Le Voyer stał się świadkiem, jak towarzyszka Pepa, odpowiedzialna za komórkę partyjną i za propagandę w Komitecie Dzielnicowym, weteranka za najdłuższym stażem w Partii, surowo przestrzegająca partyjnej ortodoksji, ściąga majtki, bo jest jej za gorąco. Całkiem naga próbowała ściągać z siebie nieistniejące ubranie, a Miquel na parę sekund zapomniał, że to towarzyszka, że jest chora, i skupił się na kontemplowaniu tego, co widział, i w nabożnym skupieniu mierzył ją wzrokiem z góry na dół i z dołu do góry, nie mogąc się napatrzeć na wszystkie zakamarki tego ciała, drobnego, ale pełnego energii, i jeszcze mocnej ją kochał miłością tajemną. Nie wiem, czy to pod wpływem aspiryny, czy z innego powodu, ale z ulgą zauważyłem, że po piętnastu minutach Pepa przestała się rzucać i odzyskała równy oddech. Otworzyła oczy. Uśmiechnęła się, pewnie dlatego, że napotkała mój przerażony wzrok.

– Co się stało? – zapytała jak ktoś, kto się dowiaduje, że podczas jego snu spadł deszcz.

– Masz gorączkę. Jesteś chora.

– Nie. Jestem epileptyczką. Nie pierwszy raz mam taki napad gorączki.

– Ale...

– Spokojnie, Simó, już mi przeszło.

– Słuchaj. Uważam, że...

– Dziękuję, Simó.

Odwróciła się do mnie plecami, na łóżku, naga, nieświadoma swojej nagości, wyczerpana, może też zmęczona koniecznością powtarzania tych samych wyjaśnień w różnych okolicznościach, i Miquel przysiadł koło niej na łóżku z pytaniem, czy aby nie powinnaś pójść z tym do lekarza, Berto, Pepo?

– Tak. Kiedy się skończy rewolucja.

Kiedy się skończy rewolucja. Biedna Berto, Pepo, pani mojego serca, którą kocham na odległość, leżysz tu teraz naga na wyciągnięcie ręki, a ja nie mogę cię dotknąć, działaczko Komitetu Dzielnicowego, gdyby mi wystarczyło determinacji, wziąłbym cię za uszy i zaciągnął natychmiast do lekarza, panie doktorze, niech pan spojrzy, oto rewolucjonistka, podróżniczka i epileptyczka; niech mi ją pan przywróci do stanu sprzed rewolucji. Ale Miquel tak nie postąpił i dlatego tak, a nie inaczej potoczyła się historia biednej Berty, jasna cholera, kurwa, szlag, dlaczego nie uświadomiamy sobie tego, co ważne, kiedy jest czas, a dopiero, kiedy jest za późno? To skandal, że życie toczy się tylko w jednym kierunku. Poza tym nie wiem, jak ja to robię, ale kobiety mojego życia pozostają w mojej głowie, a Berta jest jedną z nich, daleko od Teresy, ale jest tam, jestem tego pewien, teraz, siedząc naprzeciwko Júlii, która jest w wieku tej Berty, która usiadła na łóżku i powiedziała musisz mi pomóc, Simó, a na to Miquel Pepo, powiedz, co mam robić? Prawie wywietrzało mu z głowy, że Berta była prawie naga. Nie prawie. Całkiem naga.

– Muszę wziąć prysznic, zmyć z siebie cały ten brud.

Dotknęła piersi jedną ręką, gestem, który nie miał nic wspólnego z lubieżnością, święta

Berta in pectore insudato. Sancta Iosepha.

– Ale musisz mi pomóc, nie mam siły się podnieść.

Simó, rewolucjonista, który właściwie już nawet spał z pistoletem, którego za parę miesięcy wycofają z regularnych struktur, żeby włączyć do Grupy Akcji Zbrojnej, nie wierzył we własne szczęście, mając obok siebie nagą Berenicę, ale bardzo mu to odpowiadało, i czułem przyjemne łaskotanie w duszy, gdzieś z lewej strony. Chyba urodziłem się, żeby być czyjąś maskotką. Sancta Iosepha spojrzała mi w oczy i zapytała zrobisz to dla mnie, Simó, Miquel?

– Och tak, oczywiście... Ale nie sądzisz, że powinniśmy pójść do lekarza?

– Daj spokój, zamiast gadać, lepiej mi pomóż.

Postawiłem ją na nogi i służąc jej za laskę i za świętego Krzysztofa, zaprowadziłem do łazienki. W drzwiach pokoju Miquel Łamaga jeszcze raz wdepnął w talerz po zupie.

– Co to jest? – Towarzyszka (coraz bardziej Pepa, coraz mniej Berta), mimo swojej nagości, zaczynała odzyskiwać kontrolę nad sytuacją.

– Nic. Pusty talerz. – Powiedziałem to tak, jakby rozstawianie głębokich talerzy pod drzwiami sypialni było typową praktyką rewolucyjną.

Miquel kąpał, mydlił i podtrzymywał z miłością swoją towarzyszkę, spłukiwał mydło, pytał sto tysięcy razy, czy dobrze się czuje, sam się przy okazji ochlapał i wytarł ją ręcznikiem, jakby była małą dziewczynką, a nie kobietą, drobną, tajemniczą, o wspaniałych piersiach, okrągłych biodrach, z czarnym, egzotycznym wzgórkim łonowym, a ona, niewzruszona (święta Berta), pozwalała się o siebie troszczyć i nie widać było, żeby się czuła skrępowana. Kiedy wycierałem jej włosy, ciągle zmieszany, ona przejęła ręcznik, jakby w tym momencie skończyła się nagość spowodowana osłabieniem, i powiedziała Miquel, jestem ci bardzo wdzięczna za wszystko, co dla mnie zrobiłeś; nigdy ci tego nie zapomnę. A ja czuję serce, trzask-chlast-prask, na granicy zawału. Udało mi się przywołać na twarz uśmiech Bogarta i wyszedłem z łazienki ze słowami: do usług, Berto, możesz na mnie liczyć; a w środku zalewałem się łzami jak imbecyl i przez chwilę myślałem, że to początek długiej, niemożliwej przyjaźni, bo ona jest kobietą, a ja mężczyzną, a kiedy w grę wchodzi płęć, przyjaźń trafia na grząski grunt, bo między kobietą i mężczyzną seks zawsze w końcu dochodzi do głosu. Och, wielki teoretyk przyjacielskich relacji, Miquel Zygmuntfreud, wracał teraz do kuchni ze wzburzonym sercem i zabierał się do rozpuszczania kolejnej porcji zupy z torebki, żeby zmieszać z tym, co zostało z pierwszej, a pamięć mu podsuwała atrakcyjny obraz ciała, które znów stało się nieosiągalne, wytęsknione, no i co ja mam teraz począć. Wtedy zdał sobie sprawę, że się podniecił, i zaczął się masturbować, patrząc na wrzącą wodę, smutny i przygnębiony. W tym momencie Berta poruszyła się w łazience i dałem sobie spokój, bo walenie konia jest kontrrewolucyjne. Jednak po tym wszystkim został mi niesmak i dlatego, kiedy pod kasztanami w przydomowym ogrodzie niesamowita Gemma odsłoniła przede mną swoje sekrety i zaśmiała się tym słodkim śmiechem, z dołeczkami w policzkach, wyznałem jej, że nie byłem z żadną kobietą i żadnej nie widziałem nagiej. Ten śmiech sprawił mi przykrość i musiałem bardzo się starać, żeby zdusić w sobie zazdrość. Wygłosiłem doniosłą deklarację:

– Bardzo się cieszę, że ty byłaś pierwsza.

Z całą pewnością pocałunek, który po niej nastąpił, pod kasztanami w ogrodzie domu Gensana, był najśodszy w całej ich wspólnej historii. Razem przeżyli udział w pierwszych wyborach; Gemmo, mam już prawie trzydzieści lat, a pierwszy raz głosuję, i podeszliśmy do tego wydarzenia z niemal rytualnym namaszczeniem. Pobraliśmy się parę miesięcy wcześniej, ku zadowoleniu mojej, już zmęczonej mną rodziny, i przy demonstracyjnie nieufnym podejściu ze strony jej bliskich. Nawet nie kryli, że uważają mnie za lekkoducha bez przyszłości, który połakomił się na posag. Nie mieli racji co do tej ostatniej kwestii, bo mnie interesowały dołeczki w policzkach Gemmy, a nie stan konta jej rodziny, ale nie pomylili się ani o jotę co do mojej przyszłości.

Na uniwersytecie, coraz bardziej nijakim, młodzi ludzie albo w ogóle niczym się nie interesowali, albo szybko zapisywali się do młodzieżowych przybudówek partii zinstytucjonalizowanych, a Miquelowi Gensanie z dawnych przyjemności został tylko spacer po patio starego gmachu, ponieważ tych z filologii nie przeniesiono na kampus. Czasami myślał o Toro i czuł zawód, że cała energia, z jaką narażali się na niebezpieczeństwa, więzienie i śmierć, wykorzystana została do stworzenia partii politycznych, które za wszelką cenę starały się zaistnieć, jakby ich byt był celem sam w sobie. Po prostu kiedy ludziom uda się dorwać do władzy, tak się nią ekscytują, taki czują drybling w duszy, że zapominają o swoich marzeniach i tylko chcieliby utrzymać to, co zdobyli. Brzmi okropnie, Gemmo, ale taka jest prawda.

– A ty zawsze z głową w obłokach. Najważniejsze, że mamy demokrację.

– Ja walczyłem o coś więcej. Chociaż oczywiście cieszę się, że mogę głosować.

– Kiedyś musisz mi opowiedzieć, jak było w konspiracji.

– Tak.

Z niesmakiem zauważył, że teraz dyskutowano o tym, czy ma być gruba kreska, czy reforma. Problem w tym, że polemika nie toczyła się na ulicy, tylko w łonie partii. I jak zwykle górę wzięło kunktatorstwo. A marzenia się oddalały, cel, o który walczyli Berta, Franklin, Simó, Toro-Judasz, Niebieskooki, Mingo Pierwszy Męczennik i tysiące innych towarzyszy, teraz był tylko czymś w rodzaju dziecinnej mrzonki.

Pewnego dnia parę miesięcy po ślubie, kiedy Miquel w nowym, prawie całkiem już urzędowym mieszkaniu w dzielnicy Guinardó słuchał *Quatuor pour la fin du temps*, zachwycony mesjańskim brzmieniem drugiej części, dokonał odkrycia, że na świecie piękno przybiera wiele form wyrazu dostępnych dla wszystkich, a on z własnej woli odciął się od nich jak mnich, uznając je za dekadentcki estetyzm drobnomieszczański. Przyszło mu do głowy, że osoba ludzka musi być bardzo ograniczona, skoro nie potrafi dokonać syntezy wszystkich zainteresowań. I wtedy dźwięk telefonu wyrwał go z tych rozmyślań.

– Gensana, to ja, Rovira.

– Kurczę, chłopie, co u ciebie? – powitał go Miquel bez entuzjazmu.

– Jakoś leci.

– Aha. No i co?

– Sam widzisz. Słuchaj, mam nadzieję, że nie przeszkadzam?

– Nie, skądże. Co tam? Opowiadaj.

– Nie, nic szczególnego.

– Aha.

– Słuchaj, chciałbym się z tobą spotkać. I z Bolósem.

Och, nie, tylko nie to. Mam chorobliwą skłonność do zanurzania się w przeszłości. Wtedy też taki byłem. Tylko Roviry mi brakowało, żeby poćwiczyć powrót do tego, co minęło. W żadnym wypadku. Nie.

– Oj, oj, oj, będzie trudno, jestem bardzo zajęty.

– Nieważne, ja się dostosuję.

– Stary, no wiesz... A z Bolósem już rozmawiałeś?

– Tak.

– I co ci powiedział?

– Żebyś ty wyznaczył datę.

Ot, i cały Bolós: najlepiej zrzucić odpowiedzialność na mnie. Nie, jestem niesprawiedliwy, przecież w Strasznej Chwili to on nacisnął spust, mierząc w usta Toro-Judasza, zdrajcy, i nie przyszło mu do głowy powiedzieć Simó, ty się tym zajmij, ja jestem bardzo zajęty.

– Ach. W takim razie... W przyszłym tygodniu... Może znajdę trochę czasu.

Cały Gensana: ustąpić przy pierwszym nacisku, bo nie potrafię z nikim się kłócić, przeciwstawić się cudzym zachciankom; bardzo łatwo dostosowuję się do oczekiwań innych; posunąłem się do kłamstwa, mówiąc o wolnej chwili w przyszłym tygodniu, bo Miquel Gensana miał nadmiar wolnych terminów w pustym kalendarzyku. Jego terminy to Chrétien de Troyes, Jordi de Sant Jordi, baron Maldà czy źródła modernizmu w literaturze – tematy, które całymi dniami studiował. Słuchał muzyki, chodził na koncerty, korzystając z mądrych sugestii Gemmy, brał prywatne lekcje łaciny, czytał i bronił się przed zainstalowaniem w mieszkaniu telewizora, mimo że zde gustowani rodzice Gemmy atakowali na całym froncie, że to przecież prezent, i nie potrafili zrozumieć jego uporu. Na dodatek kolorowy, szlag by go trafił. Tak czy inaczej, zostawało mu wiele pustych godzin. Gemma miała niezadowoloną minę, ale i tak poszedł, wbrew sobie, miło spędzić czas z przyjaciółmi.

Zimny wiatr na pustym molo Escullera zmusił ich do podniesienia kołnierzy kurtek. Ciszę przerywały tylko uderzające o brzeg fale, aż wreszcie Bolós, po wypaleniu trzeciego papierosa, burknął: kto wpadł na genialny pomysł, żeby wybrać tak niepraktyczne miejsce na pogawędkę. Następne zdanie na ten temat padło już przy Passeig Maritim, w przytulnym zaduchu jakiejś tawerny z widokiem na morze. Z nieodzownym kulfem piwa Rovira przyznał się, że musiał z kimś porozmawiać, bo inaczej by zwirował, a my jesteśmy jego prywatnymi spowiednikami i prosi nas tylko, żebyśmy go wysłuchali. Skupiliśmy się na sączeniu piwa małymi łykami, żeby jakoś ukryć swój dyskomfort.

– Ciągle myślisz o tamtej dziewczynie.

– Ciągle mam w głowie Montserrat. Obawiam się, że już na zawsze. Ona otworzyła mi oczy na zupełnie nowy wymiar kompromisu. A mój kryzys egzystencjalny bierze się stąd, że



nie mogą się realizować, ponieważ ona, kluczowy element planu, znikła z mojego życia. Ale nie z mojej głowy.

– Zawsze w końcu znikają. – Gensana wypił pierwszy łyk piwa.

– Nie Montserrat. Ona jest taka, takiego rodzaju, że nie, trwa przy tobie jak obsesja i nie daje ci żyć.

– Nie, Rovira. Jesteś takim samym facetem jak wszyscy. Montserrat kiedyś da ci spokój – odezwał się Herr Doktor Bolós.

Miquel Gensana popatrzył na plażę. Fale były równie szare jak oni trzej, i poczuł żal, że sam jest równie efemeryczny jak fala, która składa się tylko z wiatru, z tego, co pochodzi z zewnątrz. Po raz pierwszy spojrzał na Rovirę z sympatią.

– A jak ci nie przejdzie, nauczysz się żyć z tą myślą.

– Raczej umrę.

– To umieraj.

Zamilkli. Oczywiście, nie powinienem był tego mówić, ale wkurzył mnie, bo zrobił ze swojego problemu jedyny ważny problem. Gdyby mu opowiedział o Bercie! Gdybym zaczął go wtajemniczać w mój stan zakochania... A i tak Miquel jeszcze nie miał pojęcia o uczuciu, które go naznaczy na całe życie, a które nawet nie zaczęło się wykluwać. Wtedy jeszcze nie przeczuwał istnienia Teresy i jej skrzypiec.

Dwa kufle piwa później maślane oczy Roviry zalały się łzami. Bolós i Gensana, serdeczni przyjaciele, którzy już dawno przestali się sobie zwierzać, poczuli się bardzo niezręcznie, patrząc na płaczącego Rovirę. Dawny przyjaciel wziął w nawias lata spędzone w klasztorze, jakby czas zatrzymał się w miejscu, i wrócił, oczekując od nich takiej przyjaźni, jaką oni zagubili bezpowrotnie na życiowych wertepach. No, może gdyby wszyscy trzej byli kobietami. Ale ponieważ nimi nie byli, dobrze było mocno uchwycić się kufła, choćby po to, żeby nie patrzeć sobie w oczy, i próbowali się upić, podczas gdy Rovira drżącym głosem wyznawał, że aby usunąć Montserrat ze swoich myśli, przez tydzień zadawał się z dziwkami, aż do przesytu, chociaż wcześniej nie był z żadną kobietą, a ogarnięty obsesją na tle Montserrat wyobrażał ją sobie jako niepokalaną dziewicę.

– No i co? – Herr Doktor Bolós podtrzymywał rozmowę.

– Spodobało mi się. Niektóre są bardzo ładne. A jak trochę zbałamucisz serce i wyobrazisz sobie, że to kobieta, którą kochasz, jak w teatrze epickim Brechta, rozumiecie mnie? i... To jest tak, jakbyś był na scenie życia, świadomość ci podpowiada, że grasz, ale w gruncie rzeczy jesteś tam, bo chcesz osiągnąć coś niemożliwego... Nie wiem, czy mnie rozumiecie. Najważniejsze, że to działa. A potem...

– Co potem?

– Niedobrze: potem płaczesz tak samo jak przedtem. Ale przeżyłeś miłe chwile... Daj mi papierosa.

– Dużo babek zaliczyłeś?

– Tak. Chcę nadrobić stracony czas.

– Nie uwierzę, że przez te lata w zakonie nie urywałeś się czasami.

Rovira zmierzył go takim wzrokiem, jakby miał przemówić z ambony. Przybrał ton pryncypialny.

– Nawet mi to przez myśl nie przeszło. Wyszedłem z zakonu tak czysty jak w dniu, kiedy do niego wstąpiłem.

– Ale ludzie mówią, że...

– To kłamstwo. Teraz dopiero sobie pozwalam, żeby do was dorównać.

– Nie wyobrażaj sobie Bóg wie czego – wymknęło się Gensanie.

– Nie rozumiem.

– Nie, nic.

– On chce powiedzieć, że wcale się nie pieprzy, do cholery, Rovira!

– Stary, nie w tym rzecz...

– Nieważne. Po prostu, kiedy już człowiekowi przejdzie obsesja na tym tle, daje sobie spokój. Tobie też przejdzie, Rovira.

– Nie byłbym taki pewien. Przemysławszy sprawę, stwierdzam, że tym, co stanowi o człowieczeństwie ludzkiej istoty, jest biologia... – Otworzył szeroko oczy, wsłuchując się w echo własnych słów. Z brodą, długimi włosami i bardzo długimi wąsami, mokrymi od piwa, wyglądał, jak nie przymierzając Rasputin – ...i w związku z tym wszystkie środki wyrazu na poziomie uczuć muszą zawierać czynnik fizyczny, który pozwala na ustalenie prawidłowych parametrów.

– Co powiedziałaś? – zapytał Herr Doktor.

– Chciał powiedzieć: trzeba się pieprzyć, bo koniec świata bliski – przetłumaczył Gensana i skupił się na zgłębianiu kufła aż do dna.

– Chciałem powiedzieć – zabrał głos sam zainteresowany – że zamierzam zaliczyć wszystkie kobiety w Barcelonie, ale tylko zaliczyć, bo to jedyny sposób, żeby zapomnieć o Montserrat. – Teraz w jego wzroku zapłonęły ogniki. – A jeśli mi zostanie jeszcze trochę czasu, zrobię magisterium z łaciny.

Zamilkli, jakby potrzebowali chwili namysłu. Miquel przyglądał się falom po drugiej stronie Passeig Marítim i uznał, że są jeszcze bardziej szare niż zwykle. Pod wpływem swojej nieuleczalnej frustracji miał ochotę wykrzyczeć słowa *où sont les neiges d'antain*, tak bardzo było mu potrzebne poczucie bliskości z tymi dwoma rozczarowanymi życiem przyjaciółmi, którzy podobnie jak on, mimo że młodość minęła, jeszcze nie dali za wygraną. Ale nie odważył się tego zrobić, wołał zachować dystans.

– Wreszcie ktoś wie, co zrobić ze swoim życiem.

Tę głupią odzywkę okupili kolejnymi pięcioma minutami milczenia. Bolós zamówił następną kolejkę; wszyscy po kolei poszli się wysikać i mogli po drodze sprawdzić, do jakiego stopnia zamroczył ich dotychczas wypity alkohol.

Kiedy znów wszyscy usiedli (fale za oknem kontynuowały swoje dzieło), Bolós zaczął mówić tonem, którego Miquel nie znał. Powiedział, że mając trzydzieści lat na karku, trochę się pogubił w życiu, ale teraz znalazł pracę, która wreszcie otworzyła mu...

– Gdzie pracujesz?

– W kancelarii adwokackiej.

– Ale ty nie...

– Ja nie. Zaliczyłem dwa i pół roku historii. Nie mam bladego pojęcia o prawie, ale nie brak mi kultury. I tak jak wam mówiłem, otwierają mi się oczy.

– W jakim sensie? – pytał Miquel, bo skoro już podjęli ten temat, przy okazji warto się czegoś dowiedzieć.

– W tym sensie, że czuję się zobowiązany nadal się angażować.

– O jakim zaangażowaniu mówisz? – Głos Roviry dochodził z głębi jego cierpienia.

– Politycznym.

Miquel rzucił mu porozumiewawcze spojrzenie. Co chciał przez to powiedzieć? Wrócić do... Nie, Franklin, tylko nie to. Nie zdajesz sobie sprawy, że ten etap musimy pogrzebać, żeby móc zapomnieć o śmierci i...

– Co rozumiesz przez zaangażowanie polityczne? – drążył temat Rovira, rozochocony nadmiarem piwa.

– Mam zamiar kandydować w pierwszych demokratycznych wyborach regionalnych.

– O cholera.

– Z ramienia jakiej partii?

– Socjalistycznej.

– Ależ Bolós... przecież ty...

– Coś ci się nie podoba, Gensana?

– Nie w tym rzecz. Ale my walczyliśmy o...

– A teraz siedzimy z założonymi rękami. Lepiej robić cokolwiek niż nic. Nawet jeśli to idzie zbyt wolno. Nie ma na co czekać.

– To musiało być w roku siedemdziesiątym dziewiątym – obliczyła Júlia i coś zapisała na świstku papieru, który nie wiem skąd nagle się pojawił.

– Nie wiem. Nie wiem, czy nie pomieszalem kolejności. Ale dokładnie tak było: czułem się jak szara morska fala i Bolós na pewno czuł się podobnie. Gensaną słowa Herr Doktora przygniotły, jakby były z ołowiu. Nieraz się nad tym zastanawiał, ale nigdy się nie zniżył do uczestniczenia w drobnomieszczkańskich projektach działań parlamentarnych w ramach obecnego porządku politycznego.

– Jesteś rewizjonistą, Bolós.

– A ty reakcjonistą. Siedź sobie z założonymi rękami i sam się przekonaj, czy twoje życie ma sens.

– Zajmujesz się polityką, żeby szukać w życiu sensu?

– Żeby szukać ocalenia.

– Ja znajduję ocalenie w seksie, Bolós – odezwał się Grigorij Jefimowicz Rowirow Rasputin ze śladem piwa na wąsach.

– To masz szczęście.

– A ja... próbuję zaczynać od zera... – Gensana wolałby nic nie mówić, ale poczuł się zobligowany. Sam nie wiedział, jak to wyrazić. – Po tamtej próbie zaangażowania mam dość polityki.

– Dlaczego?

– Nie mam ochoty teraz o tym mówić, Rovira...

– To co chcesz robić? – zapytał Franklin oskarżycielskim tonem.

– Nie wiem. Czytam dużo poezji...

– Ja ciebie pytam, co chcesz robić.

– Właśnie to: czytam poezję. Chodzę z Gemmą na koncerty i zaczynam rozumieć muzykę...

– W porządku, stary – dodawał mu otuchy Rovira. – To nigdy nie zaszkodzi. Ale co masz zamiar robić?

– Dekadencki esteta. – Ton Herr Doktora Franklina był kategoryczny. Właściwie pozostawało już tylko powiedzieć dobranoc i zakończyć rozmowę. Ale Gensana nie wziął sobie jego słów do serca; wyczuł w nich cień lęku czy może zazdrości.

– Zazdrościł ci – przesądziła Júlia, opróżniając kieliszek i sprawdzając, ile wina pozostało w butelce.

– Chciałbym być artystą.

– Ale artystą w jakiej dziedzinie?

– Nie wiem. Szukam czegoś dla siebie. Niestety, nic nie umiem. Ani grać na żadnym instrumencie, ani komponować, ani pisać... Ale dzieła sztuki nadają mojemu życiu głębszy wymiar. Sztuka jest...

– Jest tyle roboty przy tworzeniu demokracji, a ty bujasz w obłokach.

To była zazdrość. Bolós mu zazdrościł. Natomiast on czuł się przytłoczony, bo wybrał właśnie drogę dziwną, ku własnemu zaskoczeniu, choć nie miał wystarczających umiejętności. Miquel II Gensana Marzyciel zawsze błędził, kiedy należało wybrać spośród własnych marzeń. Nieosiągalne kobiety, jak Teresa, jak Berta... I pamięć o tych kobietach... Wracając do tych spraw w rozmowie z Júlią, Miquel miał łzy w oczach. Łzy, które spływały w głąb serca, do wewnątrz, paliły go, ale nie chciał się w jej obecności rozplakać. Mimo że przed nią otwieram serce, nie znamy się aż tak dobrze, żeby ujawniać przed sobą, co oplakujemy w duchu. Mam wrażenie, że teraz po raz pierwszy myślę o Gemmie, nie wpadając w histerię. Co robi, z kim przebywa, z kim romansuje, ile szczęścia przypało jej w udziale. Berty może już nie, ale Gemmę chętnie bym o to zapytał.

Uświadomiłem sobie, że wypełniłem niedopałkami pudełko po butach; skończyły się papierosy, a wierne gwiazdy, świadkowie moich chaotycznych dywagacji, zdążyły w tym czasie przewędrować po niebie w kierunku zachodnim. Zza ogrodu domu Gensana dobiegło pokiwanie sowy. Na pewno była gdzieś nad rzeką.

Nie wiem, czy przyczyną była nadzieja znalezienia przypadkowego papierosa w domu, w którym nikt nie palił, w każdym razie Miquel Gensana zdecydował się wyjść z pokoju i po

cichu zszedł do galerii portretów. Tyle cierpienia, tyle życiowych zakrętów. Nawet nie podejrzewał, że już wkrótce pozna Teresę.

Anton III Gensana Zdrajca nigdy się nie dowiedział, dlaczego ojciec, poeta, go wydziedziczył. Nie wiedział, co legło u podstaw prawdziwych powodów tej korzystnej dla mnie decyzji, ale od tego momentu nienawiść, jaką w nim budziłem, już na dobre zamieszkała w naszym domu.

– A ty znasz te powody, wujku?

Wujek przechylił się przez barierkę. Korzystając z pięknego słonecznego popołudnia, wygrzewali się na tarasie sanatorium. Palce wujka poruszały się odruchowo, jakby im brakowało japońskiego papieru, żeby zrobić konika morskiego.

– Twój dziadek zaczął mnie nienawidzić z powodu literatury.

Miquel nieraz myślał, że wujek Maurycy wcale nie jest takim wariatem, za jakiego oficjalnie uchodzi, ale tego popołudnia o mało sam nie uwierzył w jego szaleństwo. Dlatego pozwolił, żeby czas upływał w ciszy.

– Ten wyczyn, który przeszedł do Historii jako dzieje babki Pilar – odezwał się wujek pod wieczór – stał się przyczyną mojego rozstroju nerwowego i całego późniejszego szaleństwa.

Miquel nie odważył się protestować, wujek też nie dał mu na to czasu, bo od razu zaczął mówić: jak tylko mój Miquel dowiedział się, że przybrany ojciec odebrał mi fabrykę, stosując podły szantaż, obiecał, że mnie pomści. To był jedyny raz, kiedy się pokłóciliśmy. Ja wolałbym nie rozgrzebywać gówna i skoro znów miałem żyć bez Ziemi, zaakceptowałbym swoje przeznaczenie bez szemrania, Miquelu; ale Miquel chciał przywrócić właściwy porządek rzeczy, cokolwiek to dla niego znaczyło.

– Przysięgam, Maurycy: fabryka znów będzie twoja.

Nie mógł od razu spełnić przyrzeczenia, bo poszedł na front. Ale po paru miesiącach wrócił w glorii zwycięstwa, bohater z chustką zawiązaną na szyi, z błyskiem w oku, i na czele bojówki anarchistycznej zjawił się w fabryce, by oświadczyć mojemu przybranemu ojcu, że od tej chwili fabryka należy do ludu, a on, jeśli chce, może pracować w przędzalni. W dziadka jakby piorun strzelił. Ten wstrząs musiał go uodpornić, bo później, w obliczu śmierci, nie cierpiał tak jak jego żona, godząc się z tym, co nieuniknione. Widząc, na co się zanosi, na czas zawieruchy wysłał swoją matkę, a swoją prababkę Pilar, i swoją córkę Elvirę jak najdalej od Feixes. Wysłał matkę i córkę na śmierć, jakby mu się spieszyło, by jak najszybciej mogły się połączyć z Elionor, nieszczęsną córeczką zmarłą na febrę z tysiąc lat temu. Biedna mama Amèlia nie mogła tego znieść i już do końca życia miała złamane serce. Pewnego dnia, dawno temu, powiedziała mi, że bardziej okrutny niż sama śmierć jej córeczki Eli przed drzwiami nowego wieku zatrzaśniętymi przed nią przez gorączkę jest fakt, że upływające

lata, wbrew jej niezłomnej woli, pokrywają subtelną warstwą melancholijnej patyny to cierpienie, jedną, drugą i następną, a ona z rezygnacją patrzy, jak mała Eli się oddala i po dziesięciu–piętnastu latach już nie wylewa łez i zdaje sobie sprawę, że Eli jest coraz bardziej martwa, bo nawet nie budzi smutku, a jej matczyne serce dostrzega w tym wielką niesprawiedliwość. Nigdy o tym nie rozmawiała z papą Tonem, by nie wywoływać w nim bólu, ale też z tego powodu, że on już dawno znalazł pociechę w fabryce, gdzie nieskończone metry sukna złagodziły i przytłumiły jego cierpienie. Papa obciążył winą za te nowe śmierci FAI i mojego Miquela, a nie samoloty Franco. Wtedy jeszcze nie wiedział, że anarchystyczny oficer w fabryce to ten sam mężczyzna, którego przepłoszył w ciemności z naszego miłosnego zagajnika pod kasztanami. Historia pisana jest indywidualnymi fobiami i filiami.

– Nie zgadzam się z tobą, wujku.

– Bo ty jesteś marksistą.

– Sam już nie wiem, kim jestem.

– Człowiek staje się marksistą, obserwując świat. – Wrócił do przerwanej wątku: – Mój Miquel nie zgadzał się z Marksem, mimo swoich anarchystycznych poglądów. Uważał jego koncepcję Historii za reakcyjną. Ale co on tam mógł wiedzieć, niewykwalifikowany robotnik.

Zadzwonili z ratusza w Granollers, szukając rodziny dwóch zabitych kobiet, a mnie serce się ścisnęło, gdy patrzyłem na łzy mamy Amèlii i bezgraniczne cierpienie papy Tona, który w ponurym milczeniu zapewne wspominał wydarzenia sprzed wielu lat, śmierć swojej pierwszej córki, i porównywał ją z ukochaną Elvirą, która już zaczynała się umawiać z synem państwa Arumi...

– Sam widzisz, że kochałeś dziadka Tona.

– Gówno prawda. Ale cierpiał naprawdę, tak.

Kiedy wiozłem moich przybranych rodziców do Granollers, mało brakowało, a w naszym samochodzie wybuchłaby bomba wyrzutów: dlaczego wysłałeś je do Granollers, Ton, a ja przeklinałem kapryśne przeznaczenie, które tym swoim piskliwym, odrażającym śmiechem hermafrodyty wydało nas na pastwę cierpienia. Musiałem bardzo się starać, aby dostrzec przez łzy dziury na drodze. Kiedy w domu zapanował cmentarny nastrój, wołałem nie patrzeć, jak mama Amèlia składa ubranie swojej teściowie ze ściśniętym gardłem, a rzeczy swojej córki ze łzami jak groch. Po raz drugi w życiu biedna Amèlia musiała zdecydować, co zrobić z tym, co zostało po zmarłej córce. To ona powinna była zwariować, a nie ja. Ale mama Amèlia zawsze była silną kobietą. Podobnie jak jej teściowa, babka Pilar, doña Pilar Prim, żona Gensany, Pięknie Milcząca, która potrafiła zachować swój sekret w tajemnicy. To jest początek opowieści o twojej prababce Pilar, która dotychczas odezwała się tylko raz, wypowiadając swoją opinię podczas Wojny Imion. Wtedy Pilar Prim de Gensana obudziła się ze swojego tajemniczego letargu, w który zapadła, wychodząc za mąż za poetę, wzięła stronę synowej, szczęśliwej Amèlii, i poinformowała zaskoczonego Maura II Gensanę Niezrówanego, że ona uważa tę rotację imion Maurów i Antonów za głupotę. A następnie ponownie pogrzeżyła się w milczeniu, już na zawsze, ze wzrokiem zatopionym w głębinach swojego sekretu.

Pozwoliła się wydać za dziadka Maura głównie dlatego, że czas jej było iść za mąż; nie

protestowała zbyt głośno, poinformowana przez matkę o decyzji ojca, ponieważ po pierwsze, nie miała innych poważnych propozycji (ten mężczyzna, dla którego żywiej zabiło jej serce, wyjechał do Hawany bez słowa), a po drugie, była ciekawa, jak się żyje u boku poety z bogatej rodziny. Kiedy już się dowiedziała (po dwóch i pół miesiącach znoszenia płomiennych mów teścia, Antoniego II Gensany Chrysostomosa, deklamacji męża, Maura II Gensany Boskiego, ciągłych pouczeń teściowej i obowiązku bezgranicznej wdzięczności za sześciodedykowanych jej sonetów, dla których ona stała się natchnieniem), uznała, że popełniła błąd, że życie w tym domu jest nie do wytrzymania, i nawiązała kontakt z Perem Rigau, który wrócił z Kuby ze spuszczoną głową, po nieudanej próbie budowy stoczni i błyskawicznym bankructwie. Niezamożny Pere Rigau był spokrewniony z zadzierającymi nosa i trzymającymi dalszą rodzinę na dystans właścicielami fabryki Rigau del Vapor, jednym z najzamożniejszych w Feixes rodów. Pere Rigau, doznawszy uszczerbku na dumie i na majątku, po dwóch latach nieobecności odkrył zaskoczony, że dziewczyna, do której się zalecał przed wyprawą na Antyle, wyszła już za mąż, a on w wieku dwudziestu siedmiu lat za cały majątek miał dwie ręce. Zaczął szukać pociechy w różnych podejrzanych miejscach, a te wcale nie uwolniły go od smutku, tylko wpędziły w stan jeszcze większego napięcia. Stał się stałym klientem burdelu Manyana i postawił sobie za punkt honoru, że zaliczy wszystkie pracujące tam panienki (podobnie jak seksoholik Rovira, skojarzył Miquel), z takim zaangażowaniem, że szybko dorobiliby się zawału, gdyby w samą porę nie odstąpiła go od tego sposobu zapominania jakże fortunna, acz przykra wysypka w kroku i skłoniła go do podjęcia rzetelnego wysiłku, by się ustatkować. Zmienił taktykę. W ciągu paru zaledwie tygodni, starając się, żeby wszyscy ludzie w Feixes, a w szczególności Pilar Prim, to zauważyli, zalecał się i wkrótce poprosił o rękę najstarszą córkę z rodziny Colomer (tych Colomerów od bawelny, mieszkających przy Fondo, rozumiesz). Kiedy się pobrali, ku wielkiej radości ubogiej części rodziny Rigau i przy mniejszym entuzjazmie nieufnej rodziny Colomerów, Pere Rigau już nosił w płucach nieujawniony jeszcze stygmat śmierci. A przeznaczenie, widząc, że ci, którzy kiedyś byli w sobie zakochani, Pilar i Pere, wstąpili w związki małżeńskie z kim innym, tylko roześmiało się pogardliwie i zabrało się do dzieła.

Przez parę miesięcy nie wydarzyło się nic szczególnego. Obie pary małżeńskie, państwo Gensanowie i państwo Rigau, żyli na pozór bez problemów. Aż do momentu, gdy zarówno Pere Rigau, jak i Pilar de Gensana zorientowali się, że jedyną przyczyną ich religijnej nadgorliwości była potrzeba nawiązania kontaktu wzrokowego, żeby za pośrednictwem wymiany spojrzeń zadać pytanie, czy jedno czuje to samo co drugie. Aż pewnego dnia zderzenie tych spojrzeń wykrzesало tyle iskier w ciemnościach Ducha Świętego, że kiedy wychodzili z archikatedry, popełnili nieostrożność i w obecności współmałżonka ona zaprosiła małżeństwo Rigau do domu na kawę. A później wszystko potoczyło się bardzo szybko. Pierwsze oficjalne spotkanie ułatwiło pierwszą tajemną randkę, po kawie z ciasteczkami, gdy obie pary spacerowały w ogrodzie wokół stawu, a don Maur, w obecności dwóch obojętnych łabędzi, zabawił głupią i brzydką (zdaniem Pilar) panią Rigau recytowaniem wybranych na chybił trafił utworów ze swojego dorobku – sonetu i sekstyny poświęconych tęczy barw na stawie majątku Gensana wieczorową porą. A pani Rigau (zdaniem don Maura osoba inteligentna i wrażliwa) przytakiwała ukontentowana, z rozkoszą przymykając oczy.



To był ten moment, kiedy mogli porozmawiać sam na sam.

– Ciągłe nie mogę w to uwierzyć.

– W co?

– Że wyszłaś za mąż. Że ja się ożeniłem.

– *O, lustro wody, co drzysz z niepewności; / o, dźwięku barwami tęczy błyszczący...*

– Wyjechałeś bez słowa.

– Musiałem spróbować własnych sił. Wybacz mi, Pilar.

– Wszystko zniszczyłeś.

– Nie.

– *O, wy, w nocnym jeziorze mieszkający, / którym na wodzie przyszło domy gościć.* To taka metafora, miałem na myśli łabędzie.

– Och, jakie to ładne. A co pan chciał przez to powiedzieć?

– Mieszkańcy tego jeziora, którzy na wodzie budują dom. To znaczy, że mają siedzibę, swój dom, na wodzie.

– Ależ tak, to dlatego że tam pływają, prawda? – Pani Rigau głęboko westchnęła. – Jaka piękna jest poezja!

– Nie spytałeś mnie o zdanie.

– Napisałem do ciebie z Hawany.

– I to ma być wymówka. Zraniłeś mnie.

– Zrobiłem to z myślą o tobie. Żeby mieć ci coś do zaoferowania...

– Mogłeś mnie zapytać, czy sobie tego życzę.

– *...rozmawiając z wieczornym wiatrem.* To jest sonet. A teraz będzie sekstyna, pani Natàlio. Ale nie chciałbym pani zanudzać.

– Jak pan może tak mówić. Jestem bardzo wzruszona. Nigdy nie poznałam żadnego prawdziwego poety. Och!

– No więc sekstyna brzmi tak:

– Kiedy możemy się spotkać, żeby spokojnie porozmawiać?

– Nigdy. Stało się. Ty zdecydowałeś za nas oboje.

– Pilar... Chcę ci wszystko wytłumaczyć bez konieczności ściszenia głosu.

– Nigdy.

– Pilar, kochana...

– Mój mąż wyjeżdża w przyszłym tygodniu.

Słowo się rzekło, klamka zapadła. Począwszy od pierwszej tajemnej schadzki, wszystko się potoczyło w zawrotnym tempie. Na początku Pere bez przerwy się tłumaczył i prosił o wybaczenie. W kolejnych dniach dużo milczeli, przyznając tak, Pere, tak, Pilar, nigdy nie przestałam/nie przestałem o tobie myśleć. A w trzeciej turze randek już dojrzeli do nieśmiałył kontaktów fizycznych (całusy, trzymanie się za ręce, westchnienia i długie, bardzo długie milczenie). Wtedy też zaczął się okres zazdrości o odnośnych małżonków (jak

sobie pomyślę, że on/ona kładzie się do twojego łóżka...) i jej łez, bo sytuacja stawała się nerwowa. Aż postanowili zostać kochankami i spokój zapanował w ich umysłach. Pod wpływem samobójczego impulsu prababka Pilar zaczęła pisać pamiętnik, w którym notowała przeznaczone dla ciebie, Miquelu, dla mnie i dla niezliczonych smutnych wybrańców szczególnie tego związku, dzięki któremu siedzisz tu teraz przede mną z miną śniętej ryby i słuchasz z zapartym tchem i cieniem wątpliwości w sercu. W tym momencie wujek Maurycy wyciągnął spod krzesła słynny zeszyt z twardą okładką, niecierpliwie, jakby od dawna czekał na ten moment. Wręczył go Miquelowi bez słowa.

Miquel otworzył zeszyt na pierwszej stronie. Pismo babki Pilar było staranne, gęste, zdawało mu się, że mało kobiece, emanujące energią, która niewiele miała wspólnego z tym niewyraźnym obrazem przywidłej kobiety, jaki mu przekazała rodzinna tradycja. Zaczął czytać, stojąc, a tymczasem wujek czekał niecierpliwie na jego reakcję.

20 marca 1886 roku

Drżąc ręką zaczynam kreślić te sekretne linijki, które tylko ja mam oglądać, czytać i do nich wracać ponownie. Nie wiem, czemu to robię. Nie dlatego, że mnie pociąga ryzyko, ale jeśli tego nie zapiszę, będę się czuła najniešťszeliwszą z kobiet. Moje życie jest bardzo smutne, bo tam, gdzie mogłabym znaleźć miłość, szczęście i ukojenie, wejść mi nie wolno. Z moim ukochanym postanowiliśmy obalić barierę narzuconą nam przez ludzi. Ale też postanowiliśmy, że nikt, nikt z naszych rodzin, nikt z Feixes, nie będzie o tym wiedział. Nasza miłość jest głęboka i sekretna. To miłość niemożliwa i dlatego tak głęboko trzeba ją ukrywać. Mój Boże! Jakże cierpię z tego powodu! Przez wiele dni zastanawiałam się, czy powinnam zrobić pierwszy krok, albo inaczej: czy powinnam się zgodzić, by za pierwszym poszły następne. Chociaż bardzo tego chciałam, nie zdecydowałam się opowiedzieć o całej sprawie księdzu Vicençowi. Mimo że jest moim spowiednikiem, od kiedy wyszłam za mąż, nie ma wielkiego doświadczenia. Jest za młody, niewiele jeszcze przeżył i wyczulałam u niego poważne braki w znajomości kobiecego serca. Na pewno by mnie nie zrozumiał, potępiłby mnie, a przede wszystkim kazałby mi wyrzec się na zawsze tego szaleństwa. Może nie jestem wykształcona, ale zdrowy rozsądek podpowiada mi, że nie da się walczyć z odruchami serca, kiedy są tak mocne. Rozmawiałam o tym długo z moim ukochanym i przekonał mnie, że tak głęboka miłość nie może być grzechem, że tak potężne miłowanie powinno się hołubić i podsycać. Tak, to prawda: oboje popełniliśmy błąd; powinnismy byli się pobrać. Popełniliśmy błąd i teraz za niego placimy, mimo że to nie nasza wina. Wiele rozmawiałam o tym z moim ukochanym, bardzo wiele. A jeszcze więcej sama się nad tym zastanawiałam, spacerując po domowym ogrodzie czy zamknięta w swoim pokoju, gdy mąż był poza domem. Chwilami wydaje się, że najtrudniejsza w tej trudnej, ale już zaakceptowanej sytuacji, jest konieczność ukrywania uczuć, kiedy się wie, że trzeba będzie czekać wiele, zbyt wiele dni, by dać im upust. Dlatego postanowilam przelać moje cierpienia na te intymne strony. Nawet mój ukochany o nich nie wie. To mój sekret. Dziś ukochany całował mnie jak nikt nigdy. Gdyby zechciał, oddałabym mu się natychmiast. Jestem spragniona miłości. Kiedy wróciłam do domu, do tego wspaniałego domu, w którym mieszkam, i zastałam męża siedzącego w gabinecie, czytającego w ciszy i spokoju jedną z ksiązek ze swojej biblioteki... poczułam się bezgranicznie smutna i pomyślałam sobie, że jestem złą, zepsutą kobietą.

– Pozwolisz mi go zabrać do domu, wujku?

– W żadnym razie. Jest mój. – Westchnął i spojrzął na pejzaż. – Możesz go czytać tutaj; czasu mam w nadmiarze.

Pierwsze strony dziennika były litanią intencji i wątpliwości, naznaczoną ciąglą obsesją usprawiedliwiania czynów, które skostniała moralność prababki Pilar musiała surowo potępiać.

– Ile się nacierpiała, biedna kobieta.

– Oczywiście. – Wujek wziął zeszyt i przesunął wzrokiem po literach, nie wnikając w treść. – Kiedy go... czytałem po raz pierwszy, identyfikowałem się z nią całkowicie: ciotka Pilar przeżyła taką samą potajemną historię jak ja z Miquelem... To było tak, jakbyśmy siłą słów zjednoczyli się w jednej cierpiącej osobie.

– Prababka całkiem nieźle pisała.

– Pamiętasz jej twarz?

– Wujku. Kiedy się urodziłem, ona już nie żyła od dziesięciu lat.

– Tak? – Na moment się zawahał, zdezorientowany. – Ale pamiętasz jej portret w galerii, mam nadzieję.

Pamiętał, jeszcze jak pamiętał twarz prababki przedstawioną na obrazie, oglądał go przez całe życie: szczupła kobieta, skromnie ubrana, o marzycielskich oczach, o których teraz się dowiadywał, że była w nich również determinacja: uparte, buntownicze milczenie prababki miało głęboką przyczynę. Na obrazie była kobietą dwudziestoparoletnią, kiedy już pogodziła się z podwójnym życiem, które zaczynała z takimi oporami. Dlatego nieszczęsny malarz (Rafael Colàs z Manresy) musiał się bardzo natrudzić, żeby oddać tajemniczy nastrój tego spojrzenia. Prababka Pilar w młodości miała ciemne włosy, ale jej oczy teraz określiłbym raczej jako jasne, głębokie, tajemnicze, pełne sekretów, smutne, zbuntowane i wyjątkowe.

4 maja 1886 roku

*Dużo płakałam. Dzisiaj dużo płakałam. Mój mąż już od paru dni jest zmartwiony moim smutkiem, którego przyczyny nie zna. Widzę, że nie ma odwagi mnie zapytać, zamyka się w swoich wierszach, może dlatego, że woli nie wiedzieć, co mi jest. Dziś płakałam z radości i z cierpienia. Z cierpienia, bo muszę ukrywać moją miłość. Z radości, bo ostatecznie zdecydowałam nie zastanawiać się dłużej nad swoją sytuacją. Akceptuję ją. Miłość nie jest grzechem. Skoro okoliczności sprawiły, że muszę przeżywać miłość w ukryciu, niech tak będzie. Ale niech nikt mnie nie osądza, bo wiem, że postępuję właściwie. Jeszcze się nie zdecydowałam, czy wyznać to na spowiedzi. Może nigdy tego nie zrobię. Nie wiem. W każdym razie argumenty mojego ukochanego dodają mi sił. On wierzy z całego serca, że nie grzeszymy, że nie musimy się z niczego spowiadać, że księża, jeśli się o tym dowiedzą, tylko namotają po swojemu, bo ich absurdalne zasady nie biorą pod uwagę prawdy ludzkiego serca. Już mnie prawie przekonał. Ale... czy mogę przystępować do komunii? Na pewno nie żyję w stanie grzechu? Zawsze mogę iść do spowiedzi tam, gdzie mnie nie znają. Sama myśl o grzechu mnie przeraża. Myśl o utracie ukochanego też. O mój Boże, jaka jestem nieszczęśliwa!*

30 maja 1886 roku

*Dziś, żeby rozproszyć mój smutek i cierpienie i ucieszyć moje serce, mąż podarował mi imponujący fortepian. Ustawiony został w bibliotece, a ja płakałam, płakałam jeszcze więcej, bo jestem niewdzięcznicą. Mąż mówi, że może powinnam iść z tym do lekarza. Ach, gdyby wiedział, że na moją chorobę nie ma lekarstwa!*

– Nie sądzisz, Miquelu, że życie z tą kobietą musiało być fascynujące? A ja przeżyłem trzydzieści lat obok niej i nawet do głowy mi nie przyszło, że może mieć cokolwiek wspólnego z namiętnością, ale jeśli nie masz nic przeciwko temu, wejdźmy już do środka, bo zaczynam marznąć.

– Jest luty, wujku.

– Spieszysz się?

– Wcale. Czy wewnątrz można palić?

– Spróbuj. Jak usłyszymy krzyki, znaczy, że nie.

Rodzina Gensanów uważała za coś oczywistego, że nowa synowa wychodzi z domu pod byle pretekstem. Lubiła osobiście nadzorować codzienne zakupy i często towarzyszyła Rosie, kiedy ta szła na targ. Ponadto do jej obowiązków należało składanie wizyt i zawsze znajdowała wolną chwilę, żeby wpaść do znajomych albo do swojej matki, która mieszkała po drugiej stronie miasta. Ale opracowanie systemu randek między kochankami wymagało wyobraźni i sprytu. Miquelowi przypominały się niebezpieczne kontakty z czasów konspiracji i towarzyszące im ostrożne podchody osaczonego zwierzęcia. (Punktualnie o trzeciej przejść przed dworcem Terminus. Uważać, czy nie dzieje się nic podejrzanego. Pół godziny później przejść po raz drugi. Nawiązać kontakt wzrokowy z łącznikiem. Przejść po raz trzeci po dwudziestu minutach. Spotkanie za piętnaście czwarta w barze Campeón, ulica Pau Claris. Dziesięć minut. Żadnych zbędnych słów, przekazujemy informację i życzymy towarzyszewi powodzenia. Ty wychodzisz pierwszy, ja oczekam parę minut. Nie wsiadać do metra.) Czasem spotkanie było krótkie: wychodziła na spacer do ogrodu i niby przypadkiem skręcała do kasztanowego zagajnika. Tam, przyczajona przy drewnianej furcie, czekała, aż usłyszy odgłos powozu po drugiej stronie muru. Kiedy Pere podjeżdżał, otwierała furtkę i błyskawicznie wskakiwała do berliny, którą on powoził. Kierował pojazd w stronę odludnej drogi do domu Boada, ale zawracał, nim do niego dotarli. W tym czasie wykorzystywali każdą minutę na miłosne deklaracje, zaklęcia, że się kochają, bez wielkich planów na przyszłość, bo niczego nie dawało się przewidzieć. A przede wszystkim trzeba się umówić na kolejną randkę, zawsze w innym miejscu, nigdy dwa razy w taki sam sposób. Aż w końcu Pere zdobył klucze do pokoju w opuszczonym domu należącym do zubożałej staruszki, głuchej, zainteresowanej tylko pieniędzmi, które ten kawaler zostawiał jej za każdym razem w zamian za całkowitą dyskrecję. To tam sprawy nabrały rumieńców, Miquelu. Oj, na pewno nie można palić, bo nadciąga jak chmura gradowa.

– Przepraszam.

– Nie ma za co. Teraz już wiemy. – Chowa szybko czekoladę, którą przed momentem rozpakował. – Widziałeś, jaki biust ma ten mój sierżant?

22 czerwca 1886 roku

Dzisiaj z nim spałam i nie wstydzę się do tego przyznać. Natomiast o wiele trudniej mi opisać, co się dzieje między moim mężem a mną. Albo dokładniej, dlaczego tak niewiele się między nami dzieje. On nie jest zbyt namiętny, w życiu codziennym raczej prozaiczny, ma niewiele potrzeb sercowych. Chyba go całkowicie zaspokaja poezja. Patrzy na mnie uważnie, pewnie zauważył, że jestem smutna. Ale nic więcej. Myślę, że jeśli czasami się zastanawia nad przyczyną tego smutku, to tylko w wierszach. Oczywiście, konsumujemy; ale rzadko, bez zaangażowania i z jego strony tylko w celu spłodzenia potomstwa, które jak na razie się nie pojawia. Możliwe, że jestem bezpłodna, jak sugerował doktor Canyameres, ale to, czym się tak bardzo przejmuję mój mąż, mnie jest obojętne. Nawet wołę, żeby za bardzo się nie spieszył do mojego łóżka, bo coraz trudniej jest mi udawać i kiedyś wreszcie mnie zapyta, dlaczego jestem taka oziębła. Nie kocha mnie i ja go też nie kocham. Ale właśnie ta wzajemna obojętność sprawia, że nasze współżycie nie zamienia się w piekło. Przynajmniej na razie.

Ale nie o mężu chciałam mówić, tylko o moim ukochanym. Dziś spaliśmy razem. Dziś czułam, że obejmują mnie ramiona silne, lojalne i kochające. Dziś mogłam złożyć głowę na piersi, którą serce rozsadza swoim biciem. Dziś mogłam pozwolić, by on odkrywał moje ciało, i czułam bezbrzeżną przyjemność, widząc, że jestem adorowana. A on mi powiedział, że jestem dla niego personifikacją piękna, pozwolił mi się oglądać i... Są rzeczy, o których nie powinien wiedzieć nawet pamiętnik. Czułam się najszczęśliwszą, najbardziej spełnioną kobietą na świecie. Miałam w sobie mego ukochanego i osiągnęłam pełnię kobiecości. Jak to jest, że piękne słowa, które mi mówił mąż w okresie narzeczeńskim, nie przejmowały mnie takim dreszczem, jaki czuję, kiedy do mnie mówi mój ukochany? Jestem szczęśliwa, bo nasz sekret nabiera rumieńców. Czy już wyznałam, że „jestem szczęśliwa”? Tak, już to napisałam. Ale zarazem jakaż się czuję nieszczęśliwa! Za cztery dni znów się spotkamy w tym samym miejscu i poproszę go, by znów mnie posiadał. Jestem szczęśliwa. Ktoś mnie woła. O tej wieczornej godzinie, kiedy mrok sprawia, że wszystkie przedmioty zlewają się w jedno, pewniej się czuję, spacerując długimi korytarzami domu Gensana. Muszę pójść sprawdzić, czego ode mnie chcą. Muszę wydać polecenia co do jutrzejszej kolacji: mąż zaprosił mojego ukochanego z jego nudną żoną. To był jego pomysł, a ja się nie sprzeciwiłam, i chociaż mnie przeraża myśl, że możemy się czymś zdradzić, jestem podekscytowana perspektywą, że znajdzie się tak blisko mnie i będę mogła na niego patrzeć. Słowik się odezwał. A kanarki w galerii nie przestają śpiewać, jakby światło.

Spędziłam trochę czasu, brzdąkając na fortepianie, na wypadek gdybym jutro odważyła się coś zagrać. Ale palce nie są już tak posłuszne jak za czasów panięskich. Pewnie dlatego, że jestem chora z miłości.

– Nie wiem, co o tym myśleć, ale styl mi się podoba.

– Historia bywa niesprawiedliwa – podsumował. – Kto by przypuszczał, że ta zamknięta w sobie kobieta miała większy talent literacki niż jej mąż.

- Dlaczego wkładasz płaszcz?
- Wyjdźmy na zewnątrz, będziesz mógł spokojnie zapalić.
- Ależ wujku, nie trzeba.
- No już, biegiem. Weź zeszyt.

Podczas kolacji, którą później opisała ze szczegółami babka Pilar, wiele się działo. Nie potrafiła skupić się na temacie rozmowy. Dwa razy coś rozlała, pomyliła się przy wydawaniu poleceń służbie (kazała dolać wina do pełnych kieliszków i podać deser przed drugim daniem) i nie odważyła się podnieść wzroku na ukochanego, chyba że ukradkiem, z obawy, że ta głupia Natàlia, jego żona, domyśli się, jaki jest powód jej rozkojarzenia. Natomiast on, jak przystało na światowca, tak zręcznie udawał, śmiał się i nalegał, by Maur II Wierszokleta z Feixes przeczytał im swoje najnowsze wiersze, z taką rewerencją odnosił się do teściów (prapradziadka Antoniego II Gensany Zoon Politikon, na emeryturze z powodu afonii, i praprababki Margaridy), że wzbudził nieklamany zachwyty domowników swoim obyciem i kulturą osobistą.

- Dziecko, czy ty źle się czujesz?
- Ja? Co ci przyszło do głowy?

Don Maur Gensana odpinał szelki i ściągał nakrochmalony kołnierzyk, który zdążył go nieźle umęczyć w ciągu dnia. Zanim założył opaskę na wąsy, zajrzał do buduaru Pilar, żeby zadać jej to pytanie. Ona, obawiając się, że to jest wstęp do oskarżenia, uśmiechnęła się niewinnie do odbicia męża w lustrze.

- O co ci chodzi, co?

- Byłaś jakby nieobecna. - Zwrócił się do niej autorytatywnym tonem: - Słuchaj, Pilar. Czy ci odpowiadają czy nie goście, których ja zapraszam... - zrobił pauzę, żeby podkreślić wagę wypowiedzianej sentencji - masz obowiązek zachowywać się jak należy, nie jesteś dzieckiem.

- Ależ ja...

- Bez dyskusji. Kiedy wychodzili, pan Rigau mi powiedział, że chyba coś ci dolega.

- Tak ci powiedział? - przestraszyła się babka.

- Dziwisz się, że są jeszcze na świecie ludzie dobrze wychowani?

Żeby nie musieć odpowiadać, doña Pilar zaczęła wycierać twarz wacikiem, udając, że tamten uprzejmy Rigau i jego sympatyczna małżonka są jej całkiem obojętni. Nawet ten szczegół zanotowała, biedna kobieta, w swoim pamiętniku. I faktycznie, Miquel sam mógł ocenić, z większym talentem literackim niż jej niezrównany mąż.

30 grudnia 1886 roku

*Nie jestem bezpłodna. O mój Boże, teraz nie wiem, co robić. Spodziewam się dziecka mojego ukochanego i jestem przerażona, bo nie tylko nie mam z tego powodu wyrzutów sumienia, ale wręcz jestem z tego dumna. Czyżby aż tak zmieniła się moja świadomość? Czy miały na to wpływ liberalne poglądy mojego ukochanego? Nie wiem, ale już nie myślę o piekle z takim lękiem jak jeszcze parę lat temu. On twierdzi, że krok po kroku zbliżam się do wyzwolenia, ale ja jednak nie zapomniałam o ogniu*

piekielnym.

Jestem w ciąży z moim ukochanym. Nie z moim mężem, bo już dawno... Nieważne, wiem, i już. Dziś doktor Canarymeres potwierdził moje przypuszczenia. Prosiłam doktora, żeby na razie zachował absolutną dyskrecję, bo chcę sama poinformować męża o tym radosnym fakcie.

– Jest jakiś problem, pani Gensana?

– Nie...

– Ależ pani mąż niczego tak nie oczekuje jak tej wiadomości.

– To prawda. A jednak proszę...

– Wręcz przeciwnie, uważam, że powinienem mu natychmiast powiedzieć.

Musiałam się powołać na tajemnicę zawodową, bo z powodów, których doktor nie musiał znać, wolałam zaczekać parę dni, zanim poinformuję męża.

– Doktor Canarymeres był głupim nudziarzem – skomentował wujek, patrząc w stronę zimnego zmierzchu. – Ja go poznałem, kiedy był już starym, bezużytecznym pierdzielem.

10 stycznia 1887 roku

Minęło dziesięć dni od wizyty u lekarza i jeszcze mu nie powiedziałam.

11 stycznia 1887 roku

Długo i poważnie rozmawiałam z moim ukochanym o dziecku, które noszę w łonie. On szaleje z radości, mówi, że najchętniej od razu uciekliby ze mną do Ameryki, bez zastanowienia... Przez moment zastanawialiśmy się nad takim wyjściem, ale ja się nie odważyłam. Nie chcę nikogo krzywdzić, wolę cierpienie wziąć na siebie, zaakceptować ograniczenia, jakie narzuca ta niezręczna sytuacja, i czekać na lepsze czasy. Ale on bardzo nalega i twierdzi, że nie ma innego wyjścia. Sama nie wiem...

Przed chwilą, pisząc te słowa, zaczęłam się zastanawiać, wyobrazić sobie, jak by to było, gdybym postąpiła zgodnie z oczekiwaniami mojego ukochanego. Bardzo to skomplikowane, owszem, ale też co za uczucie szczęścia, on i ja, sam na sam, na statku zmierzającym w kierunku przyszłości. Zmusiłam się do myślenia o swoim mężu, a nawet o żonie mojego ukochanego, i odkryłam coś, co mnie przeraziło: myśląc o statku, o nowym, innym świecie, zdałam sobie sprawę, że nie będę tęsknić za mężem, za moimi rodzicami, za rodziną mojego męża, za wielkim domem, w którym mieszkam ani za wygodnym życiem, jakie prowadzę. Z przerażeniem musiałam przyznać, że będzie mi brakowało tylko śmiechu Carloty i mojego fortepianu. Wtedy zdałam sobie sprawę, jaką jestem egoistką. Ale intensywne uczucie na wszystko znajdzie usprawiedliwienie.

12 stycznia 1887 roku

Nie wiem, co robić. Nie mam pojęcia, co począć. Wkrótce moja ciąża będzie widoczna. Podjęłam decyzję, która mnie wiele kosztowała, ale nie chcę, by dziecko, które noszę w łonie, stało się ofiarą

mojego niezdecydowania. Nie rozmawiałam o tym z ukochanym, bo nie mam prawa zadawać mu bólu. Na razie chcę, żeby mój mąż uwierzył, że to jego potomek. Dzięki temu zyskam parę dodatkowych dni, żeby jeszcze się nad tym zastanowić.

Pere jest smutny. Utwierdza się w przekonaniu, że powinniśmy uciec. Ja też. Ale przeraża mnie myśl, że nie będę potrafiła za niczym tęsknić.

13 stycznia 1887 roku

Chyba uniknęliśmy najgorszego. Przespałam się z moim mężem jak Bóg przykazał i teraz już spokojnie mogę mu zakomunikować nowinę. Pod warunkiem, że mnie nie uprzedzi ten wścibski doktor Canyameres. Nie jestem pewna, czy to dobra decyzja. Wcale. Jeżeli będziemy czekać, nasz syn zostanie przypisany do rodziny Gensanów i nigdy nie pozna prawdziwego ojca. Z tą niesprawiedliwością nie mogę się pogodzić. Pere i ja musimy mieć więcej odwagi, by stawić czoło rzeczywistości: im dłużej zwlekamy, tym będzie trudniej. Chyba pozostaje nam tylko ucieczka.

Chciałabym kogoś prosić o radę, ale nie wiem, do kogo się zwrócić. Gdyby Carlota nie była dzieckiem, zostałaby moją powiernicą. Carlota zaczyna pobierać lekcje gry na fortepianie i całkiem niezle jej idzie. Nie sądzę, żeby planowanie ucieczki było w porządku.

17 stycznia 1887 roku

Nie boję się ucieczki, bo to nie ucieczka, ale wyprawa ku naszej przyszłości.

17 stycznia 1887 roku

Dziś mój mąż zadedykował mojemu synowi pierwszy wiersz. Tej nocy, zanim poszliśmy spać, powiedziałam mu, że jestem w ciąży. Najpierw biedaczek nie zrozumiał (jakby to było nie wiadomo co), potrzebował czasu, żeby się oswoić z tą myślą. Chyba nawet się ucieszył. Tego ranka, jak tylko wstałam, przyszedł rozpromieniony, szczęśliwy i usatysfakcjonowany, z gotowym wierszem. Owszem, całkiem ładny, ale mnie zasmuca, bo jego inspiracją była niezajomość rzeczywistości. Aż mnie dreszcz przeszedł, kiedy przeczytał strofę „o latorośli tętniąca moją krwią / owocu wydany przez bujne drzewo...”. Biedaczek, gdyby wiedział, jaka jest prawda!... Biedny ten mój mąż, ale jego nieszczęścia wcale mnie nie martwią.

28 lutego 1887 roku

Zupełnie się pogubiłam. Kiedy zaczęły się wymioty i zawroty głowy, zauważyłam pewną obojętność i dystans ze strony męża, jakby to, co się dzieje, nie miało z nim nic wspólnego. Jakby coś podejrzewał. A może to konsekwencja jego lodowatego usposobienia? Rozmawiałam o tym z moim ukochanym i powiedział, że to nawet lepiej, że dzięki temu nie będę się czuła winna, i skoro tak szybko przestał się interesować „swoim” synem, mogę się czuć wolna. Ale ja się obawiam, czy przypadkiem ta obojętność nie wynika z podejrzeń. To byłoby straszne. Musimy się stąd zabierać, zanim to się



potwierdzi.

Czyli, drogi synu, pradziadek Maur II Gensana Boski nie wiedział, że tak naprawdę był Maurem II Gensaną Rogaczem albo Byczą Głową, ostatnim biologicznym Gensaną z głównej linii i bierną przyczyną pojawienia się nowych potomków Gensanów, którzy począwszy od jego syna Antona III Gensany Bastarda, czy inaczej Owocu Miłości, stali się odgałęzieniem dzikim, nieprawowitym, bez żadnego związku genetycznego z wcześniejszymi Gensanami.

– A więc ja nie jestem Gensaną, tylko Rigau.

– Martwi cię to?

– Nie. Jeśli to prawda... – Miquel Postępowy z trudem się oswajał z tą myślą, ale w końcu siłą wydobyl ją z siebie na światło dzienne: – Jeżeli to prawda... cieszę się, że tak się stało, bo gdybym był praprawnukiem dziadka Maura, byłbym kim innym.

– Tak. I twój ojciec, i twój dziadek. Wszyscy bylibyście innymi ludźmi. Natomiast ja byłbym taki sam.

– Czyli ty jesteś jedynym żyjącym reprezentantem rodu Gensanów.

– Tak: Maurycy bez Ziemi Prawowity, syn Carloty, Owoc Innej Wielkiej Miłości. Ale nic mi z tego nie przyszło.

– Teraz faktycznie muszę sobie zapalić. Dlaczego oni nie uciekli, wujku?

W trzecim miesiącu ciąży wyznaczili termin ucieczki. Na początek wiosny. On udał się w krótką podróż, żeby zlecić prowadzenie wszystkich swoich spraw zaufanemu adwokatowi. Odnowił kontakty z kubańskimi kupcami, których poznał podczas poprzedniego pobytu, i przygotował najlepiej jak potrafił plan ucieczki. Wyjaśnił wszystko w najmniejszych szczegółach prababce Pilar. Powiedział jej nawet, gdzie schował dokumenty potrzebne do rozpoczęcia nowego życia i bilety na statek, który miał ich unieść ku wyzwoleniu. Ale jednego nie wziął pod uwagę, biedny Pere Rigau, nie pomyślał o tym, że ze śmiercią się nie dyskutuje. Na dwa tygodnie przed umówionym terminem, kiedy doña Pilar po raz tysięczny przeredagowywała list zaczynający się od słów drogi Maurze, to nie dlatego, żebym z premedytacją chciała cię skrzywdzić, tylko po to, żeby osiągnąć szczęście, którego nie znalazłam u twojego boku; nie wiem, czy potrafisz mi przebaczyć, tak jak ja ci przebaczam twoją obojętność, miarkuj twój gniew i surowy osąd, i nie martw się o mojego syna, syna mężczyzny, z którym teraz będę żyła, nie twojego, i żeby ci nie przyszło do głowy podejmowanie jakichkolwiek działań; nie odzyskasz go, gdyż jego ojciec i ja będziemy walczyć do upadłego, żeby go zatrzymać. Kiedy doña Pilar Uciekiniarka już spakowała walizkę i ukryła ją na dnie najgłębszej szafy, Pere nie stawiał się na spotkanie. Minęły dwa, trzy dni i żadnej wiadomości. Aż w desperacji wysłała służącą, najprawdopodobniej Finę, żeby zaprosiła państwo Rigau na podwieczorek. Służąca wróciła z wiadomością, że pan Rigau leży w łóżku z wysoką gorączką. Stało się to błyskawicznie. W dniu, w którym dzwony archikatedry wybiły ding, a potem dong na znak żałoby, nieszczęsna doña Pilar przekonała się, czym jest absolutna samotność, bo nie mogła być u boku ukochanego, nie mogła go pocieszać ani przy nim czuwać, ani zawinąć go w całun, a przede wszystkim – nie mogła po

nim płakać. Wszystkie jej nadzieje, uczone w wątlej nitki, która właśnie pękła, miały zostać wymazane przez śmierć. Wszystkie. Szczęście w nieszczęściu, że kochankowie nie zdążyli jeszcze nikomu zakomunikować swojej decyzji. A doña Pilar tego dnia zamilkła i skupiła się wyłącznie na dziecku w swoim łonie. Początkowo martwiła się, co będzie, kiedy Natàlia odkryje papiery jej kochanka, bo stanie się oczywiste, że zamierzał uciec z nieznaną, ale ponieważ dni mijaly i nikt nie wszczynal alarmu, tylko wszyscy przezywali zalobę, przestala się tym zadreczac. Aby móc wychowac owoc swojej milosci, milczala i pozwolila, by stal się Gensana, synem poety. Zachowala milczenie. Tylko w glębi serca zawsze nazywala swojego syna imieniem Pere, czyli dziadek Ton tak naprawde nosil inne imie, nadane w sercu twojej prababki. Prababka Pilar to najbardziej samotna istota, jakà kiedykolwiek poznalem. Oszukala nas wszystkich, bo przemienila samotnosc w milczenie, na przemian z dlugimi godzinami spedzanymi przy fortepianie.

– Dlatego nie zniszczyła zeszytu.

– Tak? – Stwierdzenie Miquela zaskoczyło wujka Maurycego. – Tak, jasne, dlatego. – Jakby chciał ukryć zmieszanie, z dumą wskazał w pamiętniku odpowiedni fragment. – Popatrz, tu jest mowa o mnie.

*11 listopada 1914 roku*

*Biedny Maurycy, syn Carloty, owoc wielkiej miłości, jest jedynym prawdziwym Gensana, który pozostał z całego rodu. Na nic portrety i zadzieranie nosa. Pozostali Gensanowie, dumni ze swego nazwiska, to tak naprawdę rodzina Rigau, potomkowie mojego ukochanego Perego, który zasiał ziarno, ale nie mógł go opatrzyć swoim nazwiskiem. Mój syn Pere, którego wszyscy nazywają Tonet, jest synem Perego Rigau i ma jego oczy. Mój wnuk Pere jest wnukiem Perego Rigau. Jest do niego podobny. A ja, choć nie miałam takiego zamiaru, wpłynęłam na bieg wydarzeń w sposób tak drastyczny, że lepiej będzie, jeśli nigdy nie wyjdzie na jaw do jakiego stopnia.*

*27 sierpnia 1932 roku*

*Mój mąż nie żyje. Umarł, ponieważ przeczytał ten zeszyt. Wiem, że całymi latami go szukał, bo wiedział, że dzieliła nas jakaś tajemnica. W końcu ją odkrył, po pięćdziesięciu latach, kiedy już myślałam, że przeszła mu ta obsesja. Biedny Maur. Nigdy go nie kochałam. Szanowałam go, ale bez miłości. Nie uważam, że bym mu była niewierna.*

*20 września 1923 roku*

*Maurycy odkrył mój zeszyt; widzę to w jego spojrzeniu. I wiem, że będzie milczał.*

To ostatnie słowa zapisane w pamiętniku. Później następowały już tylko białe strony, na próżno oczekujące, że ktoś nada im formę i tchnie życie dzięki historii opowiedzianej za pomocą słów albo mądrych znaków, które przemienią je w stworzenia z jakiegoś fantastycznego zoo. Jaka szkoda, że prababka Pilar nie mogła uzupełnić pamiętnika notatką

o treści mój prawnuk Miquel to wykopany Pere Rigau, jego pradziadek, bo dziesięć lat przed twoim urodzeniem zginęła w bombardowaniu Granollers, przytulając do siebie wnuczkę Elvirę, która była wnuczką Perego Rigau i była do niego podobna.

Wujek płakał, wracając do swojego pokoju z zeszytem w dłoni. Odwrócił się i powiedział oskarżycielskim tonem:

– A potem mówi jeden z drugim, że literatura nie ma siły sprawczej. – Pokazał mi nową kartkę złożoną na czworo. – Popatrz, jak poprawiłem drzewo genealogiczne naszej rodziny.

Drżącymi palcami rozłożył papier i pokazał mi Drugie Drzewo Genealogiczne; Prawdziwe, Nieznane i Pewne Drzewo Naszej Rodziny.

– Wujku...

– Co? – Zjeżył się, jakby się szykował do odparcia ataku, a jednocześnie starannie składał na czworo Drugie Drzewo.

– Nie będzie mnie przez parę tygodni.

– Trzeba to oprawić, Miquel. – Zmienił temat, wracając do rzeczywistości: – Nie przyjdiesz mnie odwiedzić?

– Tak, jasne, że tak. Jak wrócę.

– Gdzie się wybierasz?

– Mam przeprowadzić wywiad. To moja nowa praca.

– Ze mną też przeprowadzasz wywiad.

– To nie to samo, wujku. To będzie wywiad z pisarzem.

– Ja też jestem pisarzem. Z kim się spotkasz?

– Z niejakim Amisem.

– Musi być bardzo stary.

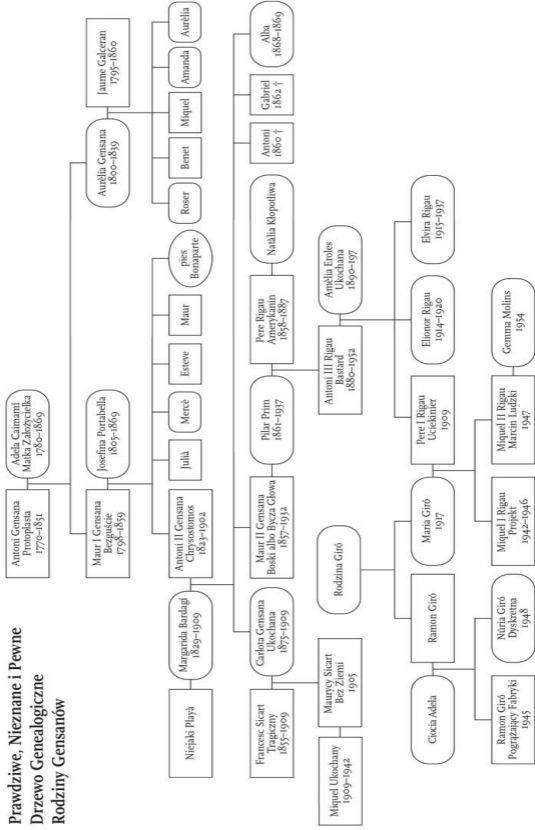
– Nie. To nowe pokolenie brytyjskie.

– Ach. Myślałem o kimś innym. Może to jego syn. Albo bratanek. – Obrażony, jakbym mu pokrzyżował plany. – Długo cię nie będzie?

– Najwyżej dwa tygodnie. Mogę zabrać pamiętnik babki?

– Nie. Pospiesz się, bo ja już chcę umrzeć.

# Prawdziwe, Nieznane i Pewne Drzewo Genealogiczne Rodziny Gensanów





I wszystko wypełniło się zgodnie z tym, co stało napisane w piśmie. Pewnego dnia, a był to jesienny deszczowy piątek, po obiedzie ktoś zapukał do drzwi. Ojciec wbrew swoim zwyczajom poszedł otworzyć. Jakby tylko na to czekał. A może i nie czekał, w każdym razie to on podszedł do drzwi. Później wspólnie z przygnębioną matką i zdenerwowanym wujkiem odtworzyliśmy bieg wydarzeń.

Ja byłem nieobecny duchem. Zatopiony w lekturze Borgesa, lizałem rany po separacji z Gemmą. W domu panowała cisza, jak zwykle po południu, zakłócana tylko tykaniem zegara w przedpokoju i tajemniczym skrzypieniem stuletnich mebli. Z kuchni, gdzie krzątała się Remei, dochodziły przytłumione odgłosy, a matka w swoim fotelu cerowała czy może robiła na drutach, jak zawsze wtedy, gdy w rodzinie miało się wydarzyć coś ważnego, odizolowana od świata, w kręgu muzyki z przyciszonego radia stojącego dokładnie tutaj, przy ścianie, za Julią.

– Na zewnątrz musi być bardzo zimno.

Ojciec przeglądał roztargniony gazetę i zamiast odpowiedzieć, spojrzal na zegarek. Traktując to jako odpowiedź, matka mówiła dalej:

– Nie idziesz dziś do fabryki? – Wobec jego milczenia nalegała: – Co, Pere?

– Może i tak. Później. – Przerwa na przewrócenie strony. – Dlaczego pytasz?

– Nie, nic... Tylko już dawno nie widziałam, żebyś był taki zrelaksowany o tej porze.

Ojca pochłonęła lektura jakiegoś artykułu w prasie. Miquel słyszał wszystko jak przez mgłę, skupiony na magicznym *Alefie*, który miał mu pomóc odpędzić myśli o Gemmie. Wtedy ktoś zadzwonił do drzwi.

– Ja otworzę.

Ojciec zostawił gazetę otwartą na stronie wiadomości ze świata, odłożył okulary i poszedł do przedpokoju, szurając kapciami.

– Patrz, jak leje – zwróciła się do mnie matka, odrywając się od swojej muzyki.

Później, gdy rekonstruowaliśmy, co się stało, ustaliliśmy, że po tym patrz, jak leje, słyszeliśmy, że ojciec z kimś rozmawia, powiedział wychodzę na chwilę, matka zapytała w taki deszcz? a Miquel, roztargniony, przewrócił kartkę. Upłynęło parę minut, pięć czy dziesięć, i matka, idąc do kuchni, zauważyła, że drzwi wejściowe są otwarte, a deszcz, mimo zadaszenia, zmoczył płytki w holu.

– Pere?

Później zawołała mnie, trochę zaniepokojona. Miquel wystawił nos za próg. Samochód

ojca cierpliwie mówił na deszczu. Ani śladu jego właściciela, ani żywej duszy. Pod osłoną dużego parasola, wołając ojciec? przeskakałem cały ogród; jakiś dziwny niepokój, podszyty literaturą, skierował mnie w stronę stawu, ale nie znalazłem tam żadnego trupa. Kiedy już przetrząsnęliśmy cały dom, zebraliśmy się wszyscy w salonie i wtedy matka zaskoczona zwróciła uwagę na okulary swojego męża, które leżały spokojnie na gazecie, i spojrzała na mnie. Zrobiło mi się smutno, bo zauważyłem, że matka w desperacji wzrokiem przepytuje ściany.

– A gdzie jest wujek?

– Nie wiem. Wyszedł zaraz po obiedzie.

– Nie pamiętasz, czy ojciec nie wybierał się gdzieś, gdzie...

– Nie.

Matka zadzwoniła do Izby Handlowej, ale tam nie widzieli pana Gensany od wielu dni; a kto pyta? W fabryce też nic nie wiedzieli; uprzedził ich tylko, że po południu nie przyjdzie, proszę pani. Oboje pomyśleliśmy równocześnie, że trzeba zawiadomić policję, ale żadne z nas nie odważyło się powiedzieć tego głośno, żeby nie przestraszyć siebie nawzajem i żeby się nie wygłupić.

Wujek Maurycy wrócił do domu, kiedy już od godziny nie padało i zaczynało się zmierzchać. Wysłuchał w milczeniu obaw matki, strzepnął jakieś nieistniejące krople z nieprzemakalnego płaszcza i bez słowa usiadł w fotelu.

– Nic ci nie powiedział, co, Maurycy?

– Nie. Przecież wiesz, że...

Nie dokończył, żeby nie zranić matki; poza tym miałby do powiedzenia tylko tyle: przecież wiesz, że my dwaj prawie ze sobą nie rozmawiamy. Wspólnie przeanalizowaliśmy wydarzenia. Wujkowi trzęsły się ręce, gdy nas pytał, a ty gdzie wtedy byłeś, gdzie byłaś, nikt nie wyszedł, żeby sprawdzić, z kim rozmawia, co w tym momencie robiliście, skąd wiesz, że z kimś rozmawiał, nie słyszeliście głosu tego kogoś? Później zamknął się w swoim pokoju, kto wie, może po to, żeby się zastanowić nad tajemniczym zniknięciem.

Matka zadzwoniła na policję po północy, kiedy już stało się oczywiste, że wszystko to było zagadkowe i niezwykle. Wyszedł w kapciach podczas ulewy, z podwiniętymi rękawami, bez okularów, i rozplął się w powietrzu w naszym ogrodzie.

Następne dni i tygodnie były bardzo dziwne. Nad domem Gensana zawisła cisza, a działania policji okazały się całkowicie nieskuteczne. Matka każdej nocy czekała na telefon, na słowa hej, jestem w Brazylii, nie przejmujcie się, u mnie wszystko dobrze, albo jakiś cudowny głos z zaświatów, który doniesie, że w piekle jest bardzo gorąco. Ale nic z tego. Tymczasem wujek Maurycy krążył po wszystkich zakątkach drugiego piętra, spędzał całe godziny zamknięty w bibliotece albo zaopatruwszy się w stopy nut, nokturnów Chopina i Mompou, romansów bez słów Mendelssohna i Schumanna, bez końca grał na fortepianie babki Pilar, żeby nie musieć rozmawiać z domownikami. Policja przesłuchiwała go, tak jak nas wszystkich, ze dwa czy trzy razy, i po każdym przesłuchaniu był wytrącony z równowagi i wyraźnie roztrzęsiony, biedny wujek Maurycy, nie rozumiał, jak to możliwe, że serdeczny przyjaciel, a zarazem znenawidzony wróg, jego kuzyn, z którym mieszkał od zawsze, nagle

stał się wygnańcem bez skrupułów, tchórzem, który uciekł bez uprzedzenia. Pewnych rzeczy w życiu się nie robi, Uciekinierze. Wtedy jeszcze wujek był dla mnie wielką zagadką, życzliwym cieniem snującym się po domu, nie wiadomo na jakiej zasadzie, jakby nie chciał się rzucać w oczy. Przebywał głównie w bibliotece przed fortepianem, na którego klapie urządził prawdziwe zoo, świat wyczarowany z papierów zbieranych po całym domu, ciągle pogryzał czekoladę, ulatniał się, gdy należało podejmować ważne decyzje, i świetnie się dogadywał z dziećmi. Kiedy Ramon i jego siostra mieszkali w domu Gensana, w latach dzieciństwa Miquela, był jedyną dorosłą osobą, której nie żał było tracić czasu na ich fanaberie.

Sytuacja przybrała inny obrót, kiedy po początkowym zamieszaniu okazało się, że sekretarka działu sprzedaży w fabryce zniknęła w tym samym czasie co Pere. To tylko pogłębiło ranę matki, z kobiety zdezorientowanej stała się kobietą upokorzoną. Rodzina Gensanów robiła dobrą minę do złej gry i puszczała mimo uszu plotki, od których Feixes aż huczało, o zaginięciu Perego Gensany, którego widziano w Paryżu z jakąś francuską prostytutką, w dzielnicy rozpusty Frankfurtu czy w Mediolanie, jak wychodził z kina pornograficznego w towarzystwie dwóch tlenionych blondynek, podejrzanie wesółch. A wszystko to w ciągu jednego tygodnia. Oficjalnie, ale bez mocnych dowodów, policja przyjęła wersję, że najprawdopodobniej Pere Gensana uciekł z zaginioną sekretarką, najprawdopodobniej do Ameryki Południowej, i szukaj wiatru w polu.

Pewnego dnia, gdy rano Remei zaparzyła nam kawę i poszła na zakupy, matka i syn w milczeniu jedli śniadanie w kuchni. On starał się nie myśleć o Gemmie, a ona próbowała zapamiętać o Perem.

– Ojciec podle postąpił.

Kiedy Miquel przetykał kawę z mlekiem, poczuł, że matka zesztyniała, jakby rażona prądem, i odstawiła ostrożnie filiżankę na spodeczek.

– Nie osądzaj ojca, Miquelu. – I matowym głosem dodała: – Nie osądzaj nikogo, bo nie siedzisz w jego skórze.

– Ale zrobił nam krzywdę. Tobie wyrządził krzywdę.

– Tak.

– I ty tak spokojnie to mówisz.

– Nie. Ale nie chcę, żebyś go osądzał.

Trudno nie osądzać człowieka, który wobec nieuchronnego bankructwa fabryki postanowił zgromadzić kilkadziesiąt milionów, po kryjomu przelewając systematycznie pieniądze na osobiste konto, i nic nikomu nie mówiąc, dogadał się z Marioną Crespi (Czy przedtem też coś między nimi było? To jego stała kochanka? Mój ojciec miewał kochanki?), milczał, wyprowadził w pole swojego siostrzeńca Ramona, który najprawdopodobniej zostałby jego następcą w fabryce, i wreszcie uciekł gdzie pieprz rośnie, żeby nie oberwać kamieniem, kiedy firma założona przez jego ojca, dziadka Tona III Bękarta, będzie się walić. Czy czuł się odpowiedzialny za tę katastrofę? A może odczuwał satysfakcję, że udało mu się przeżyć dziesięć burzliwych lat, gdy w samym w Geixes zamknięto dwadzieścia siedem fabryk?

– Nie wiem, dlaczego nie miałbym go sądzić.



– Żyłeś własnym życiem, popełniłeś własne błędy. Tak czy nie?

Wypiłem lyk kawy, zamiast odpowiedzieć tak, matko, wiele błędów.

– I nigdy nie interesowałeś się fabryką.

To był pierwszy raz, kiedy matka cokolwiek mu wypominała. Dotychczas cierpliwie patrzyła, jak jej syn po raz kolejny rzuca się z motyką na słońce; ale w końcu przyszedł czas rozliczeń.

– Szczęście, że mogliśmy liczyć na Ramona.

– Nie mam obowiązku tłumaczyć się...

– Wiem. Ale ty zawsze żyłeś na marginesie domowych problemów, więc teraz nie narzekaj.

Musiałem się zamknąć. A matka miłosiernie oszczędziła mu opowieści, przez jakie piekło musiał przejść Ramon, żeby zlikwidować deficyt, odsprzedać, co się dało, ze stratą, stawić czoło bankructwu i niecierpliwości wierzycieli i godzinami naradzać się z matką i wujkiem, coraz głębiej pogrążonym w swoim świecie, o ewentualnym pozbyciu się ziemi, żeby mieć czym spłacić tych najbardziej niecierpliwych. A kiedy udało się dojść z nimi do porozumienia, po wielu miesiącach łamania sobie głowy, z całego majątku rodzinie pozostał budynek, w którym mieszkali, i otaczający go ogród. Cała świetność rodu Gensanów, wszystkich Maurów i Antonów, definitywnie przeszła do historii. Ale to jeszcze nie był koniec nieszczęść, bo Ramon, który przez pewien czas się nie pokazywał, wrócił przygnębiony i oświadczył, że nie ma z czego pokryć kolejnej pilnej płatności. Matka spojrzała ukradkiem na wujka i wyszeptwała:

– Ramon, załóż hipotekę na nasz dom. Sam teren jest dużo wart.

– Nie mogę.

– Dlaczego?

– Już jest obciążony hipoteką. Z tytułem wykonawczym. – Zasłonił twarz rękoma, mówiąc te słowa: – Wujek go zastawił w tajemnicy przed nami.

Wujek wstał, błydy, zaskoczony. Spojrzał na Ramona z niedowierzaniem. Powiedział nie, tylko nie to; spojrzał na Marię, a potem bez słowa opadł na fotel. Matka zapytała ledwie dosłyszalnym głosem:

– Co to znaczy: z tytułem wykonawczym?

– Że go wam zaborą, ciociu.

Następnego dnia, w dniu, kiedy zabrano wujka Maurycego z domu Gensana, było bardzo zimno, mimo babiego lata. Na długo przed śniadaniem, gdy jeszcze słońce się zastanawiało, czy warto wschodzić w taki chłód, wszyscy, poza Remei, która już się krzątała w kuchni, jeszcze spali. Leżałem w łóżku, kiedy usłyszałem śmiech, a zaraz potem uderzenie okiennicy o ścianę, i próbowałem znaleźć między jednym a drugim jakiś logiczny związek. Remei później opowiadała, że właśnie robiła sobie kawę i nastawiała duży ekspres dla domowników. W tym momencie usłyszała trzaśnięcie i pomyślała no, no, wiatr porusza okiennicą. Po chwili wyrzała do ogrodu przez kuchenne okno i zdziwiła się: przecież nie ma

wiatru. Ale poczuła zapach kawy i przestała się nad tym zastanawiać. Później wszystko potoczyło się szybko i bez sensu. Kiedy sobie uświadomiła, co się dzieje, i krzykiem obudziła cały dom, wujek Maurycy już siedział na parapecie okna swojego pokoju na drugim piętrze i próbował uchwycić się pnącej róży (starego krzewu o zdrewniałych łodygach, który przez całe lato był obsypany tuzinami czerwonych pachnących róż, z dumą pnącego się w górę po fasadzie, na prawo od drzwi wejściowych. Tę różę matka kazała posadzić, kiedy urodził się Miquel I. Przeżyła go o tyle lat!). Najwyraźniej postanowił zejść do ogrodu tą drogą, ale nie wziął pod uwagę kolców (wujek Maurycy zapomniał o Schubercie) i każde zadrapnięcie rozkwitało na jego skórze czerwonym kwiatem i przechodziło w krzyk bólu, któremu towarzyszył dziwny, niemal demoniczny śmiech. W ciągu niewielu minut – szlafrok, kaptcie, dreszcz zimna, gwałtowna pobudka – matka, Remei i Miquel zgromadzili się w komplecie przed fasadą i przerażeni wpatrywali się w wujka, który zawisł w powietrzu w samej piźniamie i krzyczał, raniąc się o kolce, a jednocześnie patrzył w dół, jakby przymierzał się do skoku (och, nie, wujku, roztrzaskasz się, o nie), i nikt nie miał pojęcia, co robić, a wtedy Miquel, jak za czasów Kurnat as-Sauda, podbiegł do drzwi, krzycząc do matki i do Remei materace, materace! dzwońcie pod zero dziewięćdziesiąt dwa. Wbiegł na górę reprezentacyjnymi schodami, przeskakując po trzy stopnie, aż mu się paliła pod ręką dębowa poręcz, i powtarzał nie, wujku, odbiło ci, co ty kombinujesz, do cholery, a kiedy już był na górze, złapał za klamkę, ta ani drgnęła, i z rozpędu wyrzucił twarzą w drzwi zamknięte od środka. Przez parę sekund wydawało się, że już wszystko stracone, ale natychmiast się pozbierał, wujku, ty pieprzony chuju, nie skacz, poczekaj. A na dole matka, z suchymi łzami w oczach, przerażona, co ci jest, jesteś smutny, Maurycy? dlaczego? czegoś ci brak, coś ci dolega? a wujek wył, utrzymując się cudem na grubej gałęzi bez kolców, i wołał zaraz schodzę, Miquel, już schodzę, a matka Miquel, Miquel? Miquel, on cię woła! a to wszystko niespełna parę tygodni po zniknięciu Perego I Gensany Uciekiniera. Gdyby matka Miquela i wszyscy inni zdawali sobie sprawę, czemu mówi Miquel, już schodzę, może pozwoliliby mu skoczyć i byłby spokojny, bo bardzo, wprost niemożliwie ciężkie jest przeżywanie takiego piekła, jakie krył w sobie wujek Maurycy, piekła, o którym wiedział tylko on; ani matka, ani ja niczego nie podejrzewaliśmy. Tymczasem Miquel, który już poobijał sobie prawy obojczyk, usiłując wyważyć drzwi, teraz zaatakował lewym i zaciskając zęby z bólu, prosił: zawołajcie Ramona, niech przyjdzie Ramon, i wtedy drzwi ustąpiły z jękiem, coś jak trzask łamanej kości, a krzyki Remei wypełniały wszystkie zakątki domu Gensana, aż po galerię portretów pradziadków, i zadrzała z przejęcia palma kencja pod portretem Carloty, tak jakby nieszczęsna Carlota cierpiała z powodu syna, któremu wszystko się poprzestawiało w głowie. Najważniejsze, że drzwi w końcu się otworzyły i Miquel wychylił się przez okno. Nie dosięgnął wujka. Wziął głęboki wdech i kątem oka sprawdził, czy na dole w ogrodzie jest już wystarczająco dużo materacy i policyjnych suk.

– Wujku. – Wyciągnął rękę, jakby chciał mu zaoferować pomoc. Było zimno.

– Nie ruszaj się, bo skoczę.

Już miał na końcu języka pytanie dlaczego, ale uznał, że jest śmieszne.

– Nie będę się ruszał. Ale ty wyciągnij rękę, może mnie dosięgniesz.

– Po co miałbym wyciągać?

– Bo... Moglibyśmy zejść razem.

– Dobry pomysł. – Krzyknął: – Ta pieprzona róża kluje! – To było pierwsze przekleństwo, które usłyszałem z ust wujka.

Wtedy Miquel dostrzegł plamy krwi na jego piżamie i mimo zimna spocił się przerażony. Zauważył, że na dole matka i Remei wyniosły materac, i pomyślał to na nic, trzeba by zgromadzić pełno materacy, a straż miejskiej jak nie było, tak nie ma.

– Nie ruszaj się.

– Tak, ale ty chodź do mnie. Stąd jest piękny widok. Widzę staw i łabędzie.

– Już dawno nie ma tam łabędzi.

– A ja je widzę.

– Naprawdę? Ja też chcę zobaczyć.

Wszedł na parapet i matka, która zdążyła zadzwonić na policję, zamarła na ten widok, nie, nie, Miquel, zabijesz się, i ta myśl rozdarła jej serce, tego by już nie zniosła, już miała na końcu języka zostaw go, Miquel, niech się zabije, jak chce, nie widzisz, że zwariował? On jest stary, a ty masz życie przed sobą. Ale nie wypowiedziała tych myśli na głos. Tylko powtarzała nie, nie, nie... Remei też była wystraszona i biegła bez przerwy po poduszki, oparcie sofy, małe materace, jak w gorączce, i też myślała, że zwariował. Nikomu nie przyszło do głowy, że tym, co postawiło tamę jego myślom, nie było szaleństwo, lecz nadmiar smutku; smutku spowodowanego świadomością, że nie można cofnąć czasu i to, co w życiu zrobiłeś, trwa. W najlepszym razie zostają ci na pociechę wyrzuty sumienia. Miquel zdążył się ukłuć pierwszym kolcem i pomyślał: co za złośliwy chwast z tej róży.

– Bardzo tu przyjemnie, wujku.

– Tak. Widzisz łabędzie?

– Och, jasne. – Powiedział to z nosem rozkwaszonym na kamiennej ścianie. – Jakie ładne.

– Kocham cię, Miquelu.

Miquel jeszcze wtedy nie rozumiał, skąd to wyznanie, dlatego nie zwrócił na nie uwagi. Znów pomyślał to samo co na Kurnat as-Sauda, kiedy tamten druz z wściekłością w oczach, z krzykiem zagłuszającym terkot moździerzy, wymierzył w niego czarną czeluszkę kalasznikowa, o Boże, kto mi kazał w to się pakować, pieprzony idiota ze mnie, kurwa, co ja tu robię, zawieszony pięć metrów nad ziemią, z mózgu zostanie miazga, jak noga mi się osunie. Ach, w prostej linii pod sobą widzę krawędź stopnia schodów przed drzwiami wejściowymi, a ja tu wiszę jak idiota, świat zbawiam, chcę ocalić to, czego ocalić się nie da. Tacy jak ty na kamieniu się rodzą, Miquel.

– Zatrzymamy się tu chwilę, wujku?

– Tak. Aj, ukłułem się! – Poruszył się gwałtownie, rozrywając nogawkę piżamy, spod której wyłoniła się cienka kreska, jakby zarysowana długopisem, ale w czerwonym kolorze, na udzie białym jak mleko. – Chyba już skoczę. Dołączysz do mnie, Miquel?

Straż miejska, karetka pogotowia, migające światła, wujek; wszystko zlało się w jedno za mgłą, w drodze na ostry dyżur. Dwa dni później zabrali go, już spokojnego, przynajmniej na pozór, do sanatorium przy Bellesguard. Wtedy zaczęły się wizyty Miquela. Zacząłem

poznawać wujka i nasze tajemnice, wbrew woli rodziny, która wolałaby, by nigdy nie wyszły na jaw. Dopiero wtedy zrozumiałem, że wujek Maurycy nie był wariatem, tylko zbyt wiele pamiętał.

– Matka zadzwoniła do mnie do Oksfordu. Skończyłem robić wywiad z Martinem Amisem tego samego dnia wieczorem.

– To był twój pierwszy wywiad, prawda?

– Tak. Pierwszy. Teraz bym go zrobił zupełnie inaczej. – Miquel machnął ręką. Nie chciał, żeby Júlia przerwała mu wątek. – Najgorsze jest to, że kiedy dotarłem na Bellesguard, wujek już był w prosektorium. Milcząca Samanta wręczyła mu teczkę pełną niepotrzebnych rzeczy, które po nim zostały. Z bólem przyjął do wiadomości, że wszystkie lwy abisyńskie trafiły do śmieci. W teczce leżał zeszyt z czarną okładką babki Pilar. Nie byłem przy śmierci wujka. Umarł sam, bez swojego Miquela, beze mnie, bez domu. Nie sądzę, żebym mógł kiedykolwiek to sobie wybaczyć. Dwa miesiące wcześniej musieliśmy opuścić dom Gensana. Na początek wynajęliśmy mieszkanie w Feixes, a ja zacząłem pracować w tygodniku „Czasopismo”. Bolós nagrał mi tę robotę. On robił karierę w Partii Socjalistycznej i nie podzielał mojego niepraktycznego stosunku do życia. Ale nadal byliśmy przyjaciółmi; jeszcze o mnie pamiętał i znalazł mi pracę, biedny Bolós.

– To on cię wciągnął do „Czasopisma”?

– Tak. On był jednym z jego założycieli.

Júlia o tym nie wiedziała. Obrzuciła spojrzeniem mój talerz, na którym ciągle leżał niewiarygodnie duży kawał mięsa.

– Czyli należysz do redakcji „Czasopisma” od lat osiemdziesiątych?

– Tak. Od roku, w którym wujek trafił do szpitala, kiedy umarł. Roku, w którym straciliśmy dom.

– Wiesz co, Miquel?

– Nie.

– Wszystko, o czym mi mówisz, mam wrażenie, jakby się wydarzyło w tym domu.

– To jest restauracja.

– Rozumiesz, co mam na myśli.

– Nie. Nie rozumiem.

– Prawda, że to był twój dom?

– Już ci mówiłem, że nie, Júlio.

Żeby nie brnąć dalej w kłamstwo, Miquel zaczął mówić o Gemmie, bo mnie się ciągle wydawało, że całkiem niedawno się rozstaliśmy, i w ogóle uznawałem swój pobyt na ziemi za tymczasowy. Byłem w tak melancholijnym nastroju, że wszystko, co nie układało się po mojej myśli, zamiast mnie denerwować, tylko mnie zasmucało. A matka coraz częściej sugerowała, że każde życie można naprawić, i przy kolacji, jeśli akurat byłem w domu, nalegała łagodnym głosem, żebym poszukał sobie jakiejś kobiety, założył rodzinę, przecież życie toczy się nadal, to nie koniec świata... Miquel milczał albo zmieniał temat i pytał

o wujka, kiedy będzie można go odwiedzić, a matka spuszczała wzrok i broniła się przed myślą, dlaczego musiał umrzeć mój pierwszy Miquel, skoro ten mój drugi syn, jak się wydaje, w ogóle nie ma chęci życia? Żeby uciec z domu przed spojrzeniem matki, rzuciłem się w wir takiego życia, jakie poznałem u boku Gemmy i do którego przygotował mnie wujek, opowiadając o Mendelssohnie i Ausiàsie Marchu, jakby mimochodem, ale z błyskiem w oku. W tych miesiącach pojawiałem się jak potępieniec na wszystkich możliwych wernisażach i koncertach, licząc na to, że zanurzenie się w jakiegokolwiek muzyce złagodzi mój niepokój. Choć nie szukałem tam Gemmy, odnajdywałem ją w śmiechu, gestach i spojrzeniach wszystkich kobiet, które oglądały obrazy lub słuchały muzyki. Obrzydło mi udawanie, że znam pozdrawiających mnie ludzi, a ja nie wiedziałem, kto zacz. Uśmiechałem się do nieznanym twarzy, które najwyraźniej mnie kojarzyły i reagowały zdziwieniem, że nie przyszedłem z Gemmą. Ukradkiem spoglądałem na dziewczynę, która znikła za kolumną w kawiarni Pałacu Muzyki, w złudnym przekonaniu, że to ona. Piłem whisky i zastanawiałem się, czy będę zdolny znieść z godnością pierwsze spotkanie z moją eks, słuchałem Schumanna i Skriabina, Messiaena i Lutosławskiego i rozmyślałem, jakie mają szczęście ci, którzy potrafią tworzyć piękno, bo do nich należy królestwo szczęścia.

– Kopę lat, Gensana. Poczęstuj się.

– Fakt. Podróżowałem. Nie, dziękuję, rzucam palenie.

– Daleko podróżowałeś?

– Nie, tu i tam, pim-pam, nic wielkiego.

– Widziałeś go kiedyś na żywo?

– Kogo, Sterna?

– Aha.

– Nie. – A jeżeli przyjdzie Gemma w towarzystwie jakiegoś dupka? Czy będę zazdrosny? Powiem cześć, Gemma, jak ci leci, a ona och, Miquel, pozwól, że ci przedstawię, to jest Ricky, on jest Amerykaninem. Na pewno by mnie zabolalo.

– Więc podobno szykuje się wyjątkowy spektakl. Mówi się, że na bis zagra *Cant dels ocells*.

– Potrącił go łokciem na znak porozumienia. – Wiesz, hołd dla Casalsa, rozumiesz?

Pomyślałem sobie: co mnie to obchodzi, i tylko się uśmiechnąłem. Ja szukałem Gemmy, żeby móc jej unikać. Sam byłem zaskoczony, że separację okupię takim cierpieniem. Mimo że wynikała z irytacji, mimo że opuściłem dom, przeklinając tę dziwkę, moją żonę, teraz za nią tęskniłem, aż do bólu, bo każda utracona miłość pozostawia po sobie pustkę, choćbyś przedtem nie wiem jak bardzo pragnął z nią zerwać. Ta pustka sprawia, że czujesz się niepełny, mimo że starasz się uporządkować myśli i szukasz logicznych przyczyn rozstania. Przez cały dzień, mimo tego, co się stało z ojcem, miałem w głowie Gemmę, bo w gruncie rzeczy jesteśmy dziećmi naszych obsesji i jest oczywiste, że bez Gemmy nie jestem już taki sam; jestem Miquelem II Gensaną Okaleczonym, a biorąc pod uwagę, że Miquel miał dobrą pamięć, tak jak wujek, to kiedy wyrzekł się Gemmy, zaczął tęsknić za wszystkim, co w niej było niepowtarzalne, i świat stał się niezmiernym oceanem, a Miquel – rozbitkiem miłości, a to wywoływało ból i miałem wrażenie, że przyszłość jest bez sensu, Júlio. Dzwonek nam przypominał, że Isaac Stern jest gotów wyjść na scenę ze swoim uśmiechem,

swoim brzuszkiem i swoim guarneri del Gesù.

Poszedłem na wernisaż, żeby się umówić na wywiad z Vidalem-Fornellsem, jeśli tylko uda mi się do niego podejść, bo był otoczony wianuszkami egzaltowanych pań. Usłyszałem za sobą głos, który mówił hej, Gensana, stary fiucie, i odwróciłem się z uśmiechem, z myślą: wreszcie ktoś znajomy, ale zrobiłem długą minę, bo nie miałem pojęcia, kim może być ten niski młody grubas z twarzą imbecyla nazwający mnie starym fiutem. Zagroził mi drogę i zaczął nawijać o Triu Rimsky, a ja zrobiłem smutną minę i z wystudiowaną melancholią, mając pełną świadomość pozerstwa i czerpiąc z tego przyjemność, zakomunikowałem mojemu rozmówcy, że jest mi przykro słuchać, kiedy mówi o muzykach, jakby uczestniczyli w zawodach sportowych, a oni przecież tworzą sztukę. Że traktuje ich jak konie na wyścigach, a ja nie...

– Faktycznie, w pewnym sensie nimi są – uciął nieznajomy, ze szklaneczką whisky w dłoni, zerkając przy okazji kątem oka, bez szczególnego zainteresowania, na jeden z obrazów Vidala-Fornellsa.

– Są muzykami – powiedziałem, jak ktoś, kto ogłasza dobrą nowinę.

– Są wykonawcami, którzy marzą o karierze. – Łyk whisky. – Ustawili się na starcie i czekają na sygnał.

– Sztuka jest ponad zawodami i rywalizacją.

– Sztuka może i tak, ale serce ludzkie...

Wkurzała mnie ta rozmowa, więc poprosiłem o szklaneczkę whisky, żeby walczyć jak równy z równym. Ta była pierwszą z wielu następnych, które wlewałem w siebie, dopóki nie zacząłem rozmawiać z Teresą. Podejmując wyzwanie, pociągnąłem długi, bardzo długi łyk, jakbym w ten sposób chciał ostrzec mojego rozmówcę. Miałem już dość odgrywania wiecznie bujającego w obłokach idealisty i nie uśmiechało mi się zostać apostołem czystości w sztuce. Ale wkurzało mnie mówienie o muzykach, jakby byli zwierzętami wystawionymi w zawodach. Miquel rozejrzył się dyskretnie, z obawą i, o bogowie, ciągle jeszcze nadzieją, czy nie spotka się przypadkiem z Gemmą.

– Wszyscy płacimy trybut sercu, możesz mi wierzyć, Gensana – Łyk. – Nie istnieje coś takiego jak czysty artysta. Uważasz, że Vidal-Fornells jest czystym artystą?

– No wiesz...

– Już ci wyjaśniam – upierał się nieznajomy, gotowy bezinteresownie otworzyć mu oczy na rzeczywistość. – Vidal-Fornells dobrze maluje, ma pewien oryginalny talent...

– Oryginalność, moim zdaniem...

– Nie przerywaj, Gensana, daj mi skończyć.

Chciałem powiedzieć, że dla mnie oryginalność to co najwyżej wartość dodana, a nie esencjonalna. Ale musiałem się zadowolić wzruszeniem ramion, podczas gdy nieznajomy (cholera, skąd ja go znam) kontynuował swój wykład.

– ...dysponuje zręcznością techniczną, wrażliwością i tak dalej.

– I tak dalej. – A jeśli Gemma pojawi się w wojowniczym nastroju? Nieraz śniło mu się, że

chodzi za nim i nalega wróć, Miquel, bądźmy znów razem, a on w odpowiedzi zalewał się łzami i jego własne zawrodozenie go budziło. Dlaczego ciągle o niej myślał?

– Tak: i tak dalej. Rozumiesz, co mam na myśli. – Teraz wskazywał malarza, który ze wzrokiem błyszczącym od nadmiaru whisky i pochwał uśmiechał się do pań, do kolumn w kolorze zielonym i do uroczego storczyka ustawionego w rogu, dokładnie takiego samego jak ten, który matka trzymała w bibliotece domu Gensana. – Ale musisz wiedzieć, przyjacielu Gensana, że Vidal-Fornells tylko czeka na pochlebstwa i gratulacje, i nie będzie się zastanawiał, czy są szczere, czy podyktowane hipokryzją ani czy ten, kto je wypowiada, zna się na rzeczy, czy zabłądził tu przypadkiem. A po drugie, kalkuluje, czy na wernisażu i wystawie jest ktoś zainteresowany kupnem. Może też żałuje, że ceny wystawione przez marszanda są za niskie albo za wysokie. – Triumfalne spojrzenie. – Mogę cię zapewnić, że ostatnią rzeczą, o której myśli, jest sztuka.

– Ale myślał o niej, kiedy malował – zaprotestował Miquel i przez moment wydawało się, że kobieta stojąca do niego tyłem, niedaleko, gestykułowała dokładnie tak jak Gemma.

– Akurat. Już się nastawiał, awansem, na dzisiejszy dzień.

– No nie wiem. Uważam, że to bardzo cyniczne podejście.

– Och... Niczego nie zmyślam. Samo życie.

W tym momencie nieznamy (Skąd ja go znam? Ze szkoły? Ze studiów? Z partii? Z wojny? Z czym mu się kojarzyła twarz tego cynika, który tak się spoufalił, że się do niego zwracał per przyjacielu Gensana) przerzucił się z malarstwa na muzykę, powołując się na pierwszy z brzegu przykład, Trio Rimsky.

– Nie znam.

– To musisz ich poznać, Gensana. – To był rozkaz.

I wdał się w skomplikowane kalkulacje na temat sportowych możliwości tego zespołu muzycznego oraz jego problemów, zwłaszcza rodzeństwa Moliner.

– Ej, a skrzypaczki nie krytykujesz?

– Stary, to przecież Teresa Planella.

– Aha.

– W przyszły wtorek, Gensana, będziesz mógł ich posłuchać na żywo. Pozdrowienia od Gemmy.

– Słuchaj, nie gniewaj się, ale chciałbym zapytać... jak ty się nazywasz? Skąd my się znamy?

Ale tamten odwrócił się na pięcie i już był przy bufecie po nową szklanceczkę i do tego coś na ząb, a tam bez uprzedzenia zaatakował jakąś piękną kobietę, która sobie spokojnie oglądała obrazy, wciągając ją w dyskusję na temat wątpliwej przyszłości Akademii Sztuk Pięknych, mimo że wydawała się autentycznie zainteresowana wystawą. Wyszedłem sam, bo nikogo więcej tam nie znałem. Powiedział pozdrowienia od Gemmy? Wtedy to do mnie dotarło.

– Od Gemmy?

Zawróciłem i pobiegłem z powrotem do galerii. Nieznajomego już tam nie było. A mnie

zupełnie wyleciało z głowy, że miałem się umówić na wywiad z Vidalem-Fornellsem.

Tak: przeznaczenie, które przemówiło falsetem przemądrzałego bufona, zwróciło moją uwagę na program sali koncertowej Casa Elizalde. Dzięki temu koncertowi nieoczekiwanie otworzyła się przede mną szczelina, a ta doprowadziła mnie do chwil niezwykłych, najszcześniejszych i najsmutniejszych, jakie kiedykolwiek przeżyłem i które nigdy nie wrócą. Brahms, Schubert i Szostakowicz w wykonaniu nieznanego Tria Rimsky. Kawalek mojej przyszłości w dłoniach gnuśnego szczęścia.



C Z Ę Ś Ć D R U G A

Pamięci Anioła

*Allegro* (Kadencja)

„Urodziłem się w Feixes w 1905 roku, z Francesca Sicarta, obywatela, i Carloty Gensany, obywatelki. Ojciec mój, którego ojcowizna wskutek podziału między troje rodzeństwa równa była niemal zeru, musiał szukać środków do życia w zawodzie zegarmistrza, w którym istotnie był bardzo biegły. Matka, siostra wybitnego poety Maura II Gensany Boskiego i córka posła Antona II Gensany Złotoustego, była od niego bogatsza: miała urodę i cnotę. Nie bez trudności przyszło ojcu otrzymać jej rękę, jeszcze większe trudności mam ja, kiedy próbuję ją sobie przypominieć”.

Uważam, że to bardzo szlachetny sposób zainauguowania stronic, które piszę, podczas gdy ty, mój Miquelu II Gensano Niezdecydowany, wyjechałeś na parę tygodni w jakiejś sprawie. Piszę je dla ciebie, bo wkrótce umrę, bez zbędnych ceregieli, podobnie jak wszyscy mężczyźni w naszej rodzinie. Jedynym kłamstwem w nagłówku skopiowanym niezbyt wiernie z Rousseau jest zawód mojego ojca. Co do reszty, Miquelu, sam rozsądzisz, wedle uznania.

Urodziłeś się trzydziestego kwietnia tysiąc dziewięćset czterdziestego siódmego. Wtedy moje spojrzenie od pewnego czasu mąciła subtelna kreska nienawiści, napięta niczym wędkarska żyłka, cienka, ale mocna; umiejętnie zastosowana mogła stać się narzędziem dekapitacji. Już wtedy byłem Maurycym bez Ziemi Odtrąconym, który nigdy nie będzie królował, podobnie jak ty. Kiedy się urodziłeś, miałeś jasne włosy i niebieskie oczy. Wkladałem palec do twojej rączki, a ty zaciskałeś piąstkę z całych sił, jakbyś walczył o życie. Wtedy zrozumiałem, że zdecydowanie nie chcesz iść w ślady swojego brata i dlatego tak mocno się mnie trzymasz. A byłeś trzecim Miquelem w moim życiu. Rodzice nazwali twojego brata Miquelem z powodu wyrzutów sumienia. W twoim przypadku tylko powtórzyli ten rytuał. Na pewno imię, jakie nosisz, jest jedynym moim zwycięstwem odniesionym w walce z rodziną, na której łonie przyjdzie mi umierać. Ale zanim doszło do chrztu, trzeba było, by moja wielka nieustająca miłość otrzymała najbardziej brutalny cios, jaki można zadać namiętności.

W dniu, w którym przyszedłeś na świat, cała posiadłość rodu Gensanów pachniała mokrą ziemią. Od stulecia nie pamiętano w Feixes tak deszczowej wiosny jak w tamtym roku. Zapach wilgotnej ziemi, najbardziej pierwotny z tych, jakie może roztaczać ogród, otula moje wspomnienia i kojarzy się z twoimi narodzinami. Obfite deszcze naruszyły dyscyplinę w ogrodzie, który teraz, wspaniały, bujny, prezentował się w pełnej krasie i strzelał w górę wszystkimi łodygami. Twój ojciec, z tym swoim zamilowaniem do pustych gestów, posadził wtedy drzewko truskawkowe przy wejściu do domu. Pere nie zdawał sobie sprawy, jaka to

nieostrożność wiązać życie człowieka z drzewem. Ale ponieważ nie mogłem mu w tym w żaden sposób przeszkodzić, z rezygnacją przyzwyczailem się traktować to drzewo jako cząstkę twojego życia; dlatego też, tej samej nocy, gdy zostało posadzone, wyszedłem do ogrodu, okopałem sadzonkę i niczym nowe wcielenie fryzjera Midasa powierzyłem ziemi słowa mojej sekretnej miłości, by nie odplynęły z chmurami. Pewnie dlatego teraz mam odwagę ci je powtórzyć. O ile wcześniej nie dotarły do twoich uszu któregoś wietrznego zmierzchu, wplątane szumem wiatru między listowiem.

Nienawidzili mnie wszyscy mężczyźni w rodzinie. Poza twoim ojcem, który w młodości był moim serdecznym przyjacielem. Natomiast kobiety odnosiły się do mnie pobłaźliwie, bo wiedziały, że jedynym dozwolonym mi rodzajem szczęścia było obcowanie z muzyką Mompou, Satiego i Debussy'ego. Więc kiedy zasiadałem do fortepianu, nie zamykały drzwi biblioteki z kwaśną miną, tak jak to robił twój, pozał się Boże, dziadek Ton, Anton III Fabrykant.

Nie chciałbym, żeby sierżant Samanta znalazła zeszyt ciotki Pilar. Schowam go pod papierem do wycinanek. A kiedy wrócisz z tej twojej absurdałnej podróży dokądś tam, po wywiadzie z kimś tam, znajdziesz go tu po mojej śmierci. Miquel pomyślał tak, chyba faktycznie mogę już powiedzieć całą prawdę o wujku.

Już to sobie wyobrażam. Ja, Maurycy bez Ziemi, utracasz, który zrujnował rodzinę, spoczną na wieki w rodzinnym panteonie Gensanów, tam, gdzie moje miejsce, bo ostatnio nie byli w nim chowani prawdziwi przedstawiciele rodu. A na cmentarzu, obok ziewającego księdza, pojawi się mój kochany Miquel II Gensana Wysłuchujący Wielkiej Historii Rodziny i Powiernik Jej Sekretów i na pewno nikt więcej, poza twoją zasmuconą matką. Może jeszcze sierżant Samanta, jeśli nie zatrzymają jej obowiązki w sanatorium, poświęci mi parę minut swojego cennego czasu. Może też Ramon i Núria, w nadziei, że coś im kapnie w spadku, jakby nie wiedzieli, że Maurycy bez Ziemi nie zostawia po sobie nic, tylko ból i cierpienie: ani kawałek ziemi, ani jednej ściany domu, ani jednego przedmiotu, który by się nie zmieścił w tych trzech pudłach przeznaczonych dla ciebie, mojego Wyłączonego Spadkobiercy. Requiescat in pace, Mauritius. Ksiądz uczyni znak krzyża, machając ręką w powietrzu, i westchnie, zastanawiając się, kim jest ten nieszczęśnik, na którego pogrzeb przyszły tylko dwie osoby i jeden sierżant. Wtedy głos z zaświatów odpowie to ja, Maurycy bez Ziemi Sicart Gensana, syn Francesca i Carloty, którzy umarli z miłości, przybrany syn Antona I Rigau Prim Bękart, znanego pod fałszywym przydomkiem jako Anton III Gensana Prim Fabrykant, oby Bóg się go wyparł i przeklął na wieki, oraz mamy Amèlii, niech będzie błogosławione jej słodkie spojrzenie.

– Krewni? – upewnił się roztargniony ksiądz. Rozejrzałem się i spojrzałem wymownie na tego osła. Kpi czy o drogę pyta? Zapytałem, czego chce, bo matka była nieobecna duchem. Już choćby odległość, w jakiej zatrzymali się Ramon i Núria, wskazywała, że jesteśmy najbliższą rodziną, a pani sierżant stała na warcie prawie na ulicy i pewnie się zastanawiała, jakim cudem ten stuknięty starzec wylądował po śmierci w luksusowym panteonie, o którym najprawdopodobniej ojciec zapominał, kiedy wstysko spieniężał przed ucieczką. A za sierżantem kilkoro wymizerowanych sąsiadów, starych znajomych wujka: nie doliczyłem się nawet tuzina, chociaż prawdę mówiąc, gdyby się spełniły jego przewidywania, nie powinno

być nikogo.

Miquel pożegnał wujka w imieniu wszystkich, a w duchu odmówił swoją osobistą modlitwę. Spoczywaj w pokoju, wujku Maurycy, mój ulubiony i jedyny wujku, który mnie nauczyłeś odróżniać fagot od oboju i rozwijałeś przede mną teorie, w które zawsze powątpiewałem, o wyższości Wagnera nad Brahmssem, za pomocą argumentów, które dziś już tylko śmieszą. Powiedziałaś mi, kim był Plutarch i czym się różni Plotyn od Platona, chociaż obaj się zgadzali co do Jedni, dochodząc do podobnych wniosków jak Foix setki lat po nich. Później wtajemniczyłeś mnie w magiczne właściwości, jakie ma ablativus absolutus, i w sekrety aorystu. A teraz myślę, że ty sam jeden starczyłeś za cały uniwersytet, a ja byłem jego jedynym słuchaczem, który niestety nie wykorzystał całej twojej wiedzy, bo zwagarowałem, udając się na moją wojnę, i nie potrafiłem pogodzić Szaleństwa z Rozumem. Czasem jednak myślę, że może wcale nie było tak źle, bo uświadamiam sobie, że coś wiem, ale nie wiem skąd, nie mam pojęcia, kiedy się nauczyłem, a to musiało być wtedy, gdy po siódmym preludium Chopina mówiłeś a teraz popatrz, jak można komponować muzykę na temat muzyki, i przechodziłeś do wariacji Mompou. Byłeś niesamowitym wujkiem. Kiedy zwariowałeś i zmarłeś, zostawiłeś mi jako testament i legat ten zeszyt z czarną okładką, który zacząłem czytać, jak tylko wrócę do domu. Amen.

– Gdyby państwo byli tak uprzejmi... – profesjonalny uśmiech – ...wydaje mi się, że zaraz będzie następny pochówek w tej części cmentarza.

Rok tysiąc dziewięćset czterdziesty ma dla mnie odcień trudnego do zdefiniowania koloru, inkrustowanego szarością i ciszą. Mężczyźni jeszcze nosili kapelusze, ale nie kanotery kojarzone z zabawą i śmiechem, lecz szare, filcowe, z czarną wstążką, która harmonizowała z czarnym szwem damskich pończoch. O ciąglej obecności śmierci przypominała żałobna wstążka na lewym ramieniu marynarki czy płaszcza. Ludzie w roku czterdziestym chodzili ze spuszczoneymi głowami, a radość ich miłosnych historii musiała się ukrywać w grubych ścianach domów, przy dwudziestopięciowatowej żarówce, która ledwo oświetlała ceratę na stole w jadalni pokrytą okruchami chleba. Cały kraj był jedną wielką ceratą upstrzoną rachitycznymi kwiatkami, ledwie widocznymi w anemicznym świetle żarówek Osram. W Barcelonie jadły do syta tylko gołębie, które zakładały gniazda pod dachami domów w dzielnicy Eixample i obojętnie przelatowały nad głowami osobników w ciemnych prochowcach, którzy ponurym krokiem, z nienawiścią wypisaną na twarzy, przemierzali miasto w poszukiwaniu komunistów, masonów, separatystów i Żydów. Wtedy wszyscy byliśmy Żydami, separatystami, masonami, komunistami i czerwonymi, Miquelu. A w Feixes, na placu Vella, sytuacja wyglądała podobnie, tylko w mniejszej skali, ponieważ wszyscy uginaliśmy się pod ciężarem smutku. A ci nieliczni, którzy mówili głośno, albo sami deptali innych, albo pozwalali innym nadepnąć sobie na odcisk i z uśmiechem podstawiali drugi.

Pod tym wszystkim, o czym już wiesz na temat otwartej wojny między moim ojczymem i mną, o upokorzeniu w dniu, kiedy z zemsty zdecydowałem się zagrać o dom, przyszło Czwarte Wielkie Rozczarowanie. Za wszystkimi rozczarowaniami w tej opowieści stoi twój ojciec, który był moim przyjacielem, dopóki rozczarowania nie zaczęły się mnożyć. Twój dziadek nigdy mnie nie rozczarował, bo niczego się po nim nie spodziewałem. Moje Siedem

Rozczarowań jest jak dziewięć symfonii Dvořáka i tyleż samo Beethovena, jak dziesięć Mahlera i pięć Mendelssohna. Ale mój przypadek jeszcze bardziej przypomina Schuberta, bo w sumie nie wiem, czy ostatecznie szkic symfonii D-dur się liczy. A siódma symfonia jest teraz ósmą? Czyli to ona jest *Niedokończoną*? A symfonia *Gmunden-Gastein*, numer 8, to znaczy numer 9, C-dur, znana jako *Wielkie Rozczarowanie*? Chciałem powiedzieć Wielka Symfonia? Twierdę, że mój przypadek przypomina Schuberta, bo historycy przypisują mi Sześć Wielkich Rozczarowań, ale można by dowodzić, że Symfonie Czwarta i Piąta, to znaczy Czwarte i Piąte Rozczarowanie, są jednym Rozczarowaniem. Ja jako autor własnej biografii pozwolę sobie potraktować je osobno. Czwarte rozpoczęło się skandalem w kasynie. Czytałem sobie rano Owidiusza w bibliotece. Byłem właśnie przy fragmencie *Posse pati volui, nec me tentasse negabo:/ vicit Amor. Sed vos, per ego haec loca plena timoris*, kiedy nagle tę piękną historię przysłonił mi jakiś maszynopis, a głos twojego dziadka nakazywał podpisać tu, i stuknął palcem, na wypadek gdybym nie umiał czytać.

– Nie. Co to jest?

– Podpisz, powiedziałem.

– Co to jest?

– Twoje dobrowolne zrzeczenie się własności domu.

– Co takiego? – Wiesz, Miquelu, naprawdę nie wierzyłem własnym oczom. – Zwariowałeś?

– Bardzo dobrze. Jeśli nie chcesz dobrowolnie – siadł naprzeciwko – wymuszę zrzeczenie na podstawie orzeczenia lekarskiego, które potwierdzi, że jesteś utracaszem uzależnionym od hazardu. – Znowu stuknął palcem w dokument. – Podpisz tu.

Wziąłem kartkę do ręki, niby w zamiarze zapoznania się z treścią, i podarłem na strzępy, nie zniżając się choćby do rzucenia okiem na tę żenadę.

– Zastrany pedał.

– Co proszę?

– Zastrany pedał.

– Ależ papo...

– Zabraniam ci mnie tak nazywać. Dopóki nie podpiszesz.

Czy dwie osoby mogą sobie jeszcze bardziej dokuczyć? Tak, jasne: mogą się pozabijać. Ale mam wrażenie, że natężenie nienawiści i głębokiej pogardy w tej konfrontacji było bardziej brutalne, niż gdybyśmy rzucili się sobie do gardeł. Potem sprawy potoczyły się bardzo szybko i wystarczyły mu dwa dni, żeby mnie wszystkiego pozbawić. Na podstawie orzeczenia lekarskiego.

Wtedy wziąłem twojego ojca na stronę i poprosiłem Perego musisz mi pomóc. Ale on z każdym dniem coraz bardziej się oddalał i mam wrażenie, że zaczynał mną gardzić, podjudzany przez ojca. Kiedy mu opowiedziałem, jak ze mną postąpił, zrobił się czerwony na twarzy, bo zachował resztki przyzwoitości. Ale nie chciał konfrontacji z ojcem. Pere był słaby, a mnie bardzo uraził tym, że mimo naszej dotychczasowej przyjaźni nie ruszył palcem w mojej obronie. To była Piąta Wielka Symfonia. Z czasem przekonałem się, że są ludzie

silniejsi i ludzie słabsi i nie można od wszystkich wymagać, by cię nie rozczarowali, bo każdy ma inne granice. Za późno to zrozumiałem. Ale przy stawie z łabędziami udało mi się go nakłonić do złożenia Wielkiej Przysięgi. Przysięgnij mi, Pere Gensano, że kiedy otrzymasz ten dom w spadku, pozwolisz mi tu żyć do śmierci, nie sprzedasz go i przekażesz swoim dzieciom, tak aby na zawsze pozostał w naszej rodzinie.

– Przysięgam, Maurycy.

Podjąłem egoistyczną decyzję. Ale czy w ogóle ludzkie decyzje mogą nie być egoistyczne? Na tym etapie egzystencji doszedłem do wniosku, że życie to nieustanna walka o ocalenie. Kiedy człowiek się miota, żeby tylko wymknąć się śmierci, może przypadkiem kogoś potrącić – czasem będzie to zarozumiały sąsiad, a czasem jakaś bliska osoba. Przypomina to desperackie ruchy kogoś, kto wpadł do wody i nie umiejąc pływać, rozpaczliwie wymachuje ramionami, żeby nie stracić kontaktu z zanieczyszczonym powietrzem, które utrzymuje go przy życiu. Tak, Miquel był egoistą, ale co mógł robić w domu, chyba tylko czekać na śmierć. Dlatego zebrał się na odwagę i zakomunikował matce mamó, odchodzę, po raz drugi w tej opowieści; znalazłem mieszkanie w Barcelonie. Wiedział, że zostawia ją samą z bólem po niesławnej ucieczce męża, świeżo po pogrzebie wujka Maurycego w okazałym mauzoleum, które Uciekinier zostawił im w spadku.

– Nigdy nie zagrzałeś dłużej miejsca w domu, Miquel.

Najgorsze były nie słowa, ale spojrzenie, jakie im towarzyszyło, spojrzenie, w którym dało się wyczytać: Miquelu, kochany synu, w którym pokładałam całą nadzieję na szczęśliwą przyszłość; nie zapewnisz mi biologicznej ciągłości, bo nigdy nie będziesz miał dzieci, bo nie jesteś zdolny wziąć na siebie odpowiedzialności za rodzinę, i nie dlatego tak mówię, że małżeństwo z Gemmą źle się skończyło, ale dlatego, że cię znam: nie potrafisz nadać rodzinie sensu przez podtrzymanie ciągłości; dlatego śmierć nas wszystkich będzie jeszcze bardziej definitywna przez tę twoją jałowość. Sama nie wiem dlaczego, ale jest mi z tego powodu przykro. Również było mi przykro patrzeć, że nie chcesz mieć nic wspólnego z rodzinną firmą, że odwróciłeś się plecami do ojca, który nie posiadałby się ze szczęścia, gdyby mógł cię mieć u swojego boku. Może to by go powstrzymało przed ucieczką; może razem znaleźlibyście jakieś rozwiązanie, mimo zawieszenia płatności; może twój ojciec nie odważyłby się zadłużyć po uszy i nie przyniósłby ci wstydu. Ale ty umyślesz ręce i wybralesz ulicę wbrew mojej woli, wbrew woli wszystkich, i poszedłeś wojować przeciw Franco. Wbrew mojej woli, synu, chociaż byłam dumna, że masz takie szczytne cele. Tacy jak ty na kamieniu się rodzą; wydaje mi się, że wujek Mauryce też poczuł się dumny, kiedy postanowiłeś zostać partyzantem. Ale czasem mimowolnie zastanawiam się, co by się stało, Miquelu, gdyby pierwszy Miquel nie umarł; może on miałby dobry wpływ na ojca, może od niego doczekałabym się wnuków, które by pozwoliły nam przetrwać w kilku następnych pokoleniach. Pewnie nie powinnam tak myśleć, bo jedyny Miquel, żywy i doprowadzający mnie do rozpacz, to ten, który stoi teraz przede mną i oświadcza, że odchodzi z domu.

Miquel z trudem znosił spojrzenie nabrzmiałe od argumentów i ran zadanych duszy, więc



tylko ją pocałował na do widzenia, bo jeszcze się nie nauczył mówić tym, których kochał, że ich kocha, a może i nigdy się tego nie nauczyłem. Nie powiedziałem jej wtedy, że ją kocham, i nie wiedziałem, że pewnego dnia również odejmie mi mowę, gdy zatrzymam się w odległości czterech kroków od Teresy, przed Ritzem. Ale tego Miquel jeszcze nie mógł wiedzieć. Ponieważ było mu żal matki, która miała zostać sama z Remei, obiecał, że będzie ją odwiedzał co tydzień, ale teraz musi mieszkać sam. Znalazł pracę, która mu się podoba, rzucił palenie i rozpoczyna nowe życie. Nie chciał się przyznawać, że schronił się w domu Gensana nie po to, żeby lizać rany zadane sercu, ale żeby znaleźć się jak najdalej od Gemmy. Dopóki wahał się między nadal cię kocham i jaka ty jesteś głupia, musiał mieć fizyczną gwarancję, że nie natknie się na nią za rogiem ulicy, bo chyba by z wrażenia serce mu wyskoczyło przez gardło. Problem w tym, że ojciec wszystko skomplikował swoją nieoczekiwaną teatralną ucieczką, na co wujek zareagował równie teatralnie, a matka cierpiała. Wieczorem przed wyjazdem, kiedy już się spakowałem, a walizki czekały równo ustawione w pokoju, wyszedłem bez słowa i wybrałem się na cmentarz w Feixes. Spędziłem tam sporo czasu na żegnaniu się z moimi zmarłymi, jakbym nie przeniósł się do Barcelony, tylko wybierał się w podróż bez powrotu do selwy na końcu świata i historii. Dokładnie tak postąpiłem: ukradkiem odwiedziłem rodzinny panteon i zdziwiłem się, że nie ma w nim grobu ojca, jakby to, że uciekł z domu, równało się jego śmierci. Miał przed sobą grób wujka. Ale nie był przygotowany, że zauważy tam, po raz pierwszy, swój własny nagrobek: po lewej stronie kapliczki znajdowały się płyty nagrobne tych Gensanów, którzy zmarli w dzieciństwie, w wieku niewinności, i obok ciotki Eli był mój grób, płyta z napisem „Miquel Gensana Giró, 1942–1946”, i serce zabiło mi mocniej, bo pierwszy raz dotarło do mnie istnienie brata, który zmarł, bo nie chciał mnie poznać, ale przekazał mi imię nadane mu przez wujka Maurycego. Po raz kolejny się przekonałem, że życie jest niesprawiedliwością trwającą tak długo, jak długo człowiek żyje, skoro przypadła mi rola złodzieja uzurpującego sobie miejsce brata, którego nigdy nie poznałem. Uznałem za okrucieństwo decyzję rodziców – usunęli go z pamięci żywych, odbierając mu imię po to, by mi je przekazać, bo począwszy od tamtej chwili, miał istnieć tylko na tej płycie, mój biedny, zapomniany brat. On był szkicem, Miquel I Pionier, a ja niekompletnym tekstem. Miquel II Gensana Uzurpator poczuł się bezgranicznie smutny.

Nocą odczekałem cierpliwie, aż matka pójdzie spać, i odbyłem ostatni spacer po galerii portretów, bo wiedziałem, że nigdy już nie wrócę do tych zakątków. Zrobiłem też nocny obchód po ukochanym parku, gdzie się bawiłem z duchem mojego brata i z kolegami zapraszonymi przez rodziców, których dręczyły wyrzuty sumienia. Ich ród tradycyjnie nie czuł powołania do bujnej prokreacji, ale głupio im było pozostawiać jedynaka samego, zagubionego w tak dużym domostwie. Opuściłem dom wczesnym rankiem, sam, nie odwracając się za siebie.

Mieszkanie w dzielnicy Guinardó było małe i słoneczne. Nie znalazłem tam ani jednej popielniczki: przez okna wchodziło czyste powietrze miasta, nowe życie. Wtedy wziąłem to za dobry znak na przyszłość, nowy początek, od zera, i te emocje wypierały tęsknotę za dużym, przestrzennym domostwem, o jakim inni mogli tylko marzyć, a które my właśnie mieliśmy stracić. Jak zwykle przy podejmowaniu decyzji Miquelowi wydawało się, że

popelnia poważny błąd, opuszczając matkę. Ale zdecydował się rozpocząć życie sam, mimo wyrzutów sumienia.

- Zrobię ci loda za tysiąc kafli, kotku.
- Kafle to pesety czy duros?
- Ale z ciebie dowcipniś! Dwa tysiące.
- Nie.
- Zrobię ci w samochodzie. Raz-dwa, i gotowe.
- Nie.

Miquel ruszył dalej. Prześladowały go wspomnienia. Wybrał się na łowy po tygodniu, który spędził na użalaniu się nad swoją idiotyczną samotnością. Zamknięty przez siedem dni w mieszkaniu w Guinardó, nawet nie otworzył kartonów, żeby ułożyć książki na półkach. Przeklinał własne lenistwo, próbując bezskutecznie zlokalizować Conrada. Popijał whisky i zastanawiał się, co ojciec robi w Brazylii, co wujek robi w grobie i co sobie myśli matka, sama z Remei.

- Za francuską tysiąc. Za komplet pięć, za grecką dziesięć.

Poczuł, że dziewczynie śmierdzi z ust, i tylko pomachał ręką na pożegnanie, zanim stamtąd odjechał. Czego szukał? Na co liczył? Na styczniowe przeceny? Na zaczarowaną księżniczkę? Że usta, z których usłyszy zrobię ci loda za trzy tysiące będą należały do Gemmy, och, przepraszam, Miquel, przesadziłam, spróbujemy jeszcze raz?

Problem w tym, że nie potrafił się pogodzić z nieszczęściem rodziców. Nie mógł wyruszyć na poszukiwanie, odnaleźć ojca w selwie i powiedzieć mu wracaj do żony. Nie mógł powiedzieć matce czemu płaczesz, w końcu życie to tylko marne siedemdziesiąt-osiemdziesiąt lat. Nie przejmuj się, mam, nikt nie dożywa stu dwudziestu. Umówić się z nią teraz w domu Gensana znaczyło otworzyć wszystkie bolesne rany, a to nie był dobry moment, żeby pozwolić sobie na luksus rozpacz. W końcu nadszedł ten dzień, kiedy bank zrobił porządek na biurku i znalazł hipotekę domu Gensana. Wtedy bank przemówił: no proszę, to w Feixes, ta posiadłość warta jest miliony. Strzelił palcami, wszczął proces egzekucji posiadłości Gensana i wygrał.

- Wyrzucają mnie z domu, synu. Dają mi miesiąc.
- Przyjeżdżaj do Barcelony. Mam wolny pokój.
- Nie. Ty chcesz mieszkać sam, a ja nie chcę zostawiać Remei.
- Wynajmiemy mieszkanie tutaj, w Feixes. Ja się tym zajmę, mamoo...
- Głowa boli od całej tej biurokracji...

Problem rozwiązał Almendros, szkolny kolega, ceniony w Feixes adwokat, który w stosownym czasie skończył studia, nie wplątał się w żadną polityczną awanturę, ożenił się w roku, kiedy brukowano chodniki, pracował w kancelarii, a od dwóch lat prowadził własną w Feixes i szybko się dorabiał, głosował na Konwergencję, chodził do solarium i ostrożnie kalkulował, do jakiej partii się zapisać.

- Obciągnę ci za trzy tysiące.

– Dlaczego tak drogo?

– Bo jestem wyjątkowa. – Wsadziła głowę przez boczne okienko. Podniecający zapach, niebieskie oczy i dołeczki w policzkach, jak u Gemmy.

– Wsiadaj. No już.

Przez całą drogę do hotelu trzymała mu rękę na kroczu; dziewczyno, przecież prowadzę, a ona się śmiała tak samo jak Berta i przeszło mu przez myśl, że ta tajemnicza kobieta skupia w sobie wszystkie jego miłości.

– Jak ci na imię?

– Michèle.

– Ma belle.

– Co?

– Kim jesteś? Czym się zajmujesz?

– Kpisz czy o drogę pytasz?

– Poczekaj z obmacywaniem, aż...

– Co, nie pasuje ci taki układ, przystojniaku?

– Musicie zawrzeć jakiś układ. Pani – tu Almendros elegancko skłonił się przed matką – już nie jest właścicielką posiadłości, ponieważ bank przystępuje do egzekucji hipoteki. Będzie dużo załatwiania.

– To może będzie lepiej, jak od raz sobie umrę. – O ile pamiętam, i niech mnie Bóg skarże, jeśli kłamię, pierwszy raz matka użyła ironii tak charakterystycznej dla wujka. Kochana mama. Almendros chyba nie dosłyszał. Odpowiedział, na chybił trafił:

– Tak, jasne. Że tak powiem.

– Ale bank... Po co mu ten dom? Założą tam filię? – wtrącił się Miquel, próbując rozgryźć twarde prawa ekonomii dla dorosłych.

– Niewykluczone. – Niecierpliwe postukiwanie palcami w szkło na biurku. – Ale najprawdopodobniej odsprzedadzą go osobom trzecim.

– Czyli zrobią dobry interes na naszym domu.

– Ale on już nie jest wasz, Gensana, że tak powiem.

Miquel powstrzymał się przed deklarowaniem wobec dawnego szkolnego kolegi, że jest przeciw, bo wspomnienia, bo przeżycia, takie tam trele-morele. Zamiast tego zapalił papierosa.

– Przecież rzuciłeś palenie – przytomnie zareagowała matka, która nie wychodziła ze swojej roli nawet na krawędzi przepaści. Miquel puścił jej uwagę mimo uszu.

– Mogą tam wynajmować mieszkania?

– Nie wiem – odpowiedział wymijająco.

– Można im zabronić?

– Nie, proszę pani. Tylko miasto mogłoby to zrobić. Ale z tego, co wiem, to nie jest strefa zastrzeżona.

– Co to znaczy?

Almendros patrzył na nas niezadowolony, że trzeba nam wszystko tłumaczyć.

– Że owszem, można podzielić dom na mieszkania.

Zamilkli. Dojmujący żal po zaprzepaszczonych dwustu latach majątku Gensana.

– Spieszysz się?

– Jeśli nie zajmie to nam więcej niż godzinę, to nie.

Była ładna, wysoka, o szlachetnym spojrzeniu, miała głos miękki jak aksamit i Miquel zastanawiał się, dlaczego taka dziewczyna została dziwką.

– Nie rozbierasz się?

– Najpierw ty.

Otoczył go zapach perfum. Gdyby tak... Może dałoby się zamknąć oczy i udawać, że życie to tylko ten anonimowy pokój w hotelu, w którym wspaniała kobieta zdejmuje z niego ubranie, pochyla się i zaczyna mu pieścić penisa, a on burzy jej włosy, wzdycha i patrzy, jak delikatnie bierze go do ust, i robi takie rzeczy, o mój Boże. Przerwał, poprosił, żeby się rozbrała, a ona na to albo francuz, albo peñny zestaw, zdecyduj się, kotku.

– Ależ dziewczyno, co za różnica. Nie będziemy się targować...

– Nie, żeby później nie było nieporozumień. Pełny stosunek kosztuje piętnaście tysięcy.

W tym momencie penis Miquela, znudzony tą komercją, podjął sromotny odwrót.

– Francuz, pełny stosunek, wszystko. Chcę wszystko.

– Dwadzieścia tysięcy i będziesz zadowolony. – Powiedziała to tym głębokim głosem, w którym nie sposób się nie zakochać.

– Dobrze. Rozbierz się.

La belle Michèle zdjęła bluzkę. Nie nosiła biustonosza. Przyłgnałem do jej piersi tak, jakby była Gemmą, i przez chwilę wydawało mi się, że już nie jestem sam. To znaczy, jeżeli będą chcieli przerobić dom na mieszkania, twoja matka będzie miała prawo pierwokupu.

– Tak, synu. To dobre rozwiązanie.

Czułem się tak, jakbym był zakończeniem pewnej epoki, wąskim gardłem, w którym utknęło pięć czy sześć pokoleń Gensanów, polityków, fabrykantów, kochanków, egoistów, utracjuszy, całe tło tego domu, na który już ostrzyły sobie zęby tuziny potencjalnych kupców; żeby jak najszybciej zrobić z niego apartamentowiec, gotowi rzucić się na bank, kiedy tylko ogłosi przetarg. To była najatrakcyjniejsza działka w całym Feixes. Posiadłość Gensana, z ogrodem, bezcenny majątek, który jednak nie pokryje długów uciekiniera i którego utrata zmusiła nas, żeby zaczynać od zera i o wszystkim zapomnieć. Wszystko, majtki też, Michèle.

Dziewczyna z łobuzerskim uśmiechem stanęła przed Miquelem, powiedziała sam tego chciałeś, ściągnęła majtki i ukazał się dumny członek, który zaczynał sztywnieć.

– Ej! Ale...

Michèle zbliżyła członek do ud Miquela, żeby jeszcze stwardniał.

– No już, zaczynamy.

– Ale... Nie, ja przecież...

– Nie wmawiaj mi, że niczego nie podejrzewałeś...

Uderzenia penisem Michèle na udzie Miquela były niczym cios wymierzony w jego dumę. Piersi, które miały stać się schronieniem; śmiech Berty, dołeczki w policzkach, perfumy o świeżym kobiecym zapachu... Wszystko się rozwiało pod dotknięciem twardego członka, który nie zamierzał tak łatwo dać za wygraną.

– Ubieraj się.

– Słuchaj, kotku, co ci zależy?

– Ubieraj się.

– Grunt to dobra zabawa, nie sądzisz, przystojniaku?

Aksamitny głos Michèle dochodził teraz do niego jak kwintesencja sarkazmu i ranił do głębi jego próżność. Dwadzieścia tysięcy peset za całkowitą usługę, dwadzieścia tysięcy za całkowite zaskoczenie. Kiedy kuszący zapach Michèle był już w drzwiach pokoju, Miquel poczuł się bardzo samotny. Poczuł się przerażająco samotny.

– Michèle!!

Michèle jeszcze nie zamknęła drzwi. Odwróciła się, nie starając się ukryć triumfalnego uśmiechu. Stała przed klientem, gotowa dać mu odczuć swoją władzę. Miquelowi drżała ręka, kiedy ją wyciągał w stronę Michèle, przyznając się do klęski:

– Proszę, poczęstuj mnie papierosem.

W miarę jak lata dodawały mi lat, nauczyłem się żyć z otwartą raną i krzywić się z ironią na wspomnienie Gemmy. O próbie zamachu stanu podpułkownika Tejery dowiedziałem się, kiedy kończyliśmy jeść obiad z Bolósem. Teraz, gdy wyznał, że postanowił zaangażować się na całego w politykę na szczeblu lokalnym, teraz, kiedy ja mogłem uznać, że już odzyskuję równowagę, że praca w „Czasopiśmie” mi odpowiada i zacząłem się specjalizować w przeprowadzaniu wywiadów (jako jałowy świadek twórczości innych), żandarmi w trójganiastych kapeluszach podpułkownika Tejery brutalnie wtargnęli w nasze życie, o cholera, Bolós, znów zostaniesz Franklinem. A Simó, z uchem przyklejonym do tranzystora, obojętny na kolejne klęski Barcy, słuchał o trzech kordonach policji wokół budynku Kortezów, o ponurych wieściach dochodzących z Walencji, a instynkt mu podpowiadał, że teraz musimy zacząć od nowa, od zera, jak tyle razy w życiu, bo życie to nieustanne zaczynanie od zera. Towarzysz Franklin powiedział, że idzie do siedziby Partii, żeby sprawdzić u źródła co dalej, czy spakować szcoteczkę do zębów i wziąć kurs na Perpignan, czy raczej organizować partyzantkę w górach Corredor lub Montnegre. Simó wracał do domu pieszo, rozdygotany, i zastanawiał się, czy jedna zmiana bielizny i dwie książki zmieszczą się w torbie sportowej, z którą nie będzie budził podejrzeń na granicy, pytając wszystkich bogów, dlaczego nie dali mu się urodzić w Szwecji.

Jednak powrócił spokój i rozciągnął się jak poranna mgła. Towarzysz Simó wyciągnął torbę sportową spod łóżka, a zmianę bielizny odłożył do szafy. Koniec końców, w Sztokholmie nie mieli takiego śródziemnomorskiego światła; dobrze, że skończyło się na strachu. Pewnie

dlatego nie dał się długo prosić, kiedy Rovira zaproponował spotkanie (o siódmej na placu Reial, który teraz stał się modny, bez Bolósa, tego racjonalisty). Sześć czy siedem lat po wstrząsie Rovira ciągle oplakiwał swoją nieszczęśliwą miłość do dziewiczej Montserrat. Zawsze znajdzie się ktoś, kto ma gorzej. Jakiś ciemny gołąb kręcił się koło ich stolika.

– To bardzo męczące. Ale co najmniej trzy razy w tygodniu nie śpię sam.

– To musisz świetnie się bawić. – Powiedziałem to z zazdrością; zawsze mnie fascynował darmowy seks, chociaż sam nigdy go nie praktykowałem.

– Zazdroszczę monogamii.

– Co? Przecież zabawniej jest degustować tu i tam...

– Akurat. – Rovira obsesyjnie podkreślał sobie wąsy. – Początek zawsze jest podniecający.

– Przerwał, żeby pociągnąć długi łyk piwa, i spojrzał smutno. – Nie. Nawet początek nie jest zabawny, jeśli to robisz tylko po to, żeby zapomnieć o Montserrat.

– Zawracanie głowy, podrywanie to niezła frajda. Nawet jeśli to robisz tylko po to, żeby zapomnieć.

– Nie. W końcu nienawidzisz siebie i tej dziewczyny, która ci robi za chusteczkę do otarcia łez.

– Początek nowej przygody musi być ekscytujący.

– W teorii.

– Powiedziałeś, że przelecisz tysiąc kobiet.

– Taki mam zamiar, ale ze łzami w oczach.

– Czemu nie odpuszczisz?

– To mój obowiązek. Żeby się nie budziły upiory.

– Masz na myśli ducha Montserrat?

– No właśnie.

– Całkiem ci odbiło.

– Tak. Dlatego pieprzę. Ty nie pieprzysz?

Miquel II Prawiczek odpowiedź zatopił w wielkim kufiu piwa. Michèle, ma belle. Uwagę Roviry przyciągnął drugi, pewny siebie gołąb, który przyleciał do tego ciemnego dziobiącego okruchy przy stoliku. Jak się okazało, ten pierwszy był samiczką. Uśmiechnął się.

– Wiesz co, Miquel? Bardzo często, kiedy próbujesz poderwać, kiedy...

– Kiedy nawiązujesz relacje seksualne z towarzyszką. – Miquel puścił do niego oko. – Tak powiedziałbyś pięć lat temu.

– Cholera, stary, ale się wciąłeś.

Obaj zapalili nieodłącznego papierosa i Rovira zdecydował nie brać sobie do serca ironii, bo chciał wyjaśnić, że gdy zaczyna się miłosna przygoda, po pierwszym wejrzeniu w oczy kobiety już wie, że zerwanie zaczęło się dokładnie w momencie spotkania. Wiesz, Miquel, to nie jest bolesne uczucie, bo oboje zdajemy sobie z tego sprawę; oboje wiemy co dalej, że przyjdzie do domu, będzie udawała, że robi na niej wrażenie takie nagromadzenie książek, zapyta, czy mieszkam sam, uspokoi się, kiedy nie znajdzie śladów obecności innych kobiet,

i poprosi o kieliszek, z którego się nie napije. Potem będziemy się pieprzyć, jakby to była czynność mechaniczna, Miquelu...

– Bo trudno wam się otworzyć przed sobą?

– Nie. Ze zmęczenia. Z nudów. Na pewno wiem tylko tyle, że ani ona, ani ja nie będziemy się więcej szukać. To pojedyncze stosunki, o których szybko się zapomina.

– No, ale popatrz, jakoś sobie radzisz.

– Nie, to takie męczące. Od razu trzeba szukać następnej. Rozpocząć proces uwodzenia, uważać, czy ktoś nie uwodzi ciebie... I przegapiasz inne sprawy w życiu, bo całymi dniami zastanawiasz się, czy nocą sobie popieprzysz czy nie. Wreszcie pewnego dnia powtarza się ta sama dziewczyna: dwie, trzy noce... Wtedy ona albo ty uświadamiacie sobie, że to niebezpieczna droga, która może was doprowadzić do czegoś w rodzaju rutyny przedmałżeńskiej. Albo jeszcze gorzej, możesz zacząć się w niej zakochiwać, a ona na to, że ma męża, więc nie, sam rozumiesz, a poza tym bardzo kocha swoją milutką córeczkę. A wtedy... nie wiem, jak to wyrazić, ale to bardzo smutne.

Rovirze chodziło o to, że kiedy działo się coś takiego, kobieta znikala z horyzontu, a on ponownie czuł się samotny, kopiąc pustą puszkę na ulicy świeżo umytej przez śmieciarzy, jak w tej reklamie.

– Ale nie rozumiem, czemu tak narzekasz na rozwiąłość, którą sam praktykujesz.

– Bo to jest męczące. Pieprzysz się codziennie w innym miejscu. Z inną kobietą.

– Już to mówiłeś.

– Jeśli jesteś szybki, ledwo się dowiesz, co lubi, już ci się wymknęła. I zaczynaj od nowa. To frustrujące. Takie życie jest bardzo męczące.

– Mówiłem ci, Rovira, powtarzasz się.

– Wyczerpujące, żyjesz w kompletnym chaosie. Chaosie materialnym, duchowym, w życiu, w kalendarzu, w porządku dnia, w duszy. Bo w twoim życiu brakuje tego kącika, który wszyscy mamy w domu, gdzie spotykasz się ze swoimi myślami, choćby tylko sporadycznie.

Zamilkli. Gołąb ciągle zalecał się do samiczki, która kazała się prosić. Gruchanie wypełniało chwile ciszy, kiedy oni zajmowali się kufkami. Miquel chciał już wyciągnąć wnioski.

– Czyli rozwiązaniem dla ciebie byłaby monogamia.

– Tak, ale to niemożliwe.

– Dlaczego?

– Bo mógłbym się ożenić tylko z Montserrat.

– Zapomnij o niej. Nie wiesz, gdzie jej szukać.

– Dowiem się. A tymczasem...

– Dlaczego nie zdecydujesz się na żywot samotnika, nie zajmiesz się myśleniem?... – Montserrat, Poblet, zagubione eremy, wiejskie domy...

– Nie mogę przestać pieprzyć. Realizuję się w pieprzeniu.

- A w te dni, kiedy nie masz szczęścia i sam wracasz do domu?

- Walę konia.

Gołąb i gołąbka poderwały się do lotu, zgorzone. A za nimi cała chmara gołębi, które coś dziobały, a przy okazji paskudziły na placu Reial. Miquel czuł się, jakby z niego ktoś spuścił powietrze; od żalów Roviry rozboleła go głowa. Obiecał sobie, że nie da mu się namówić na rozmowę przez następne tysiąc lat. Żeby podkreślić doniosłość tej życiowej decyzji, po powrocie do domu zgolił brodę.

- Nosileś brodę? - Júlia zatrzymała zdecydowanym ruchem ręki maître'a, który szedł do nas z kartą deserów.

- Tak jak wszyscy.

- Josep Maria też?

- Też. Muszę gdzieś mieć zdjęcie.

- Chciałabym zobaczyć.

Dopiero teraz zgodziła się spojrzeć na kartę. Spodobało mi się, że dała nauczkę maître'owi, i posłałem mu łobuzerski uśmiech. Zapewne z zemsty maître zaczął się w pobliżu i kiedy usłyszał, jak zwierzam się Júlii, że nie mam zielonego pojęcia, co to mousse, ty mi powiedz, on już stał przy nas w pozycji gotowej do przyjęcia zamówienia, z widoczną chęcią wtrącenia się do rozmowy.

- Oczywiście, kiedyś już musiałem gdzieś słyszeć tę nazwę, ale...

- Więc Josep Maria, w tej kwestii...

- Był smakoszem, tak. Ja tylko wiem, że mousse to deser.

Maître uniósł brwi jeszcze wyżej, nie wiem, jakim cudem, w geście pogardy, i odezwał się, używając bardzo uprzejmych, jadowitych słów: może wolałby pan sok pomarańczowy? Rozumie pan, o czym mówię?



Ja, synku, jestem nietypowym przypadkiem, ponieważ jako drugie pokolenie powinienem był wpisać się w odpowiednią część aksjomatu, który głosi, że pierwsze pokolenie tworzy z niczego, drugie nadaje kierunek i pomnaża, a trzecie topi dorobek w szklaneczkach whisky. Ale ponieważ jestem Maurycym bez Ziemi, nie miałem żadnych obowiązków wobec Historii i mogłem poświęcić całe życie na studiowanie jej z tych punktów widzenia, które wydawały mi się warte uwagi. A ponieważ robiłem, co chciałem, muszę podziękować mojemu ojcu Francescowi Sicartowi, który umarł z miłości do swojej ukochanej Carloty i którego nie pamiętam, bo upłynęło już zbyt wiele lat, a dzięki obecności mamy Amèlii bez bólu zniosłem tę stratę. Tak więc po moim ojcu odziedziczyłem drastyczną umiejętność umierania z miłości. I chociaż to niedokładnie tak, nie odziedziczyłem żadnej fabryki. No i dobrze się stało, bo dzięki temu nie przytrafiło mi się to, na czym się wyłożył twój ojciec, on bowiem musiał patrzeć, jak na jego oczach fabryka się pograża, dlatego że kryzys na rynku ropy lekce sobie waży aksjomaty, według których drugie pokolenie zajmuje się pomnażaniem. Zgadza się tylko to, że ty, trzecie pokolenie, masz gdzieś fabrykę, długi i... Tak trzymać, synku. Jak by nie patrzeć, myślę, że jesteś bardziej moim synem niż synem Perego, bo Pere nie pokazał ci, z czego są zrobione krosna tkackie, jakich rodzajów czółenek najczęściej się używa i na czym polegają innowacje Jacquarda ani jak się klasyfikuje tkaniny ze względu na rodzaj nici, elastyczność czy grubość. Ani jakie są tajniki barwników. Nie mógł cię nauczyć żadnej z tych rzeczy, bo kiedy był na to czas, ty wyruszyłeś na tę swoją wojnę, a gdy wróciłeś, było już za późno, za dużo miałeś śmierci na sumieniu. Zabiłeś kogoś, Miquel? I wtedy ja wkroczyłem do akcji i nauczyłem cię odróżniać sonatę barokową od sonaty klasycznej, wyjaśniłem, na czym polega różnica między nokturnem Johna Fielda a nokturnami Chopina i co ma wspólnego Quevedo z takim artystą jak de Chirico. Jestem dumny, że udało mi się zrobić z ciebie osobę absolutnie niepraktyczną, drogi synku; jesteś Miquelem II Gensaną bez Ziemi.

Zdaję sobie sprawę, że kiedy ci wyjaśnię wszystko do końca, znenawidzisz mnie. Ale nie chcę przepuścić okazji, która sama się nasteręcza.

Ty jesteś drugim Miquelem w rodzinie, a trzecim w moim sercu, Miquelu. Dlatego wziąłem cię pod swoje skrzydła i czytałem ci Kiplinga podczas spacerów po kasztanowym zagajniku albo gdy siadaliśmy opodal stawu, przyglądając się ostatniej rodzinie łabędzi, która tam mieszkała. Nigdy się nie nudziłeś: zawsze szeroko otwierałeś jasne oczy, jakbyś się domagał więcej i więcej opowieści. Dlatego teraz daję ci je wszystkie, bo już mi przestało na czymkolwiek zależeć.

Kiedy twój dziadek Ton zmarł w czasie Kongresu Eucharystycznego w Barcelonie, bardzo się ucieszyłem, niech mi Bóg wybaczy. A to sprawiło, że stosunki z twoim ojcem jeszcze bardziej ochłodziły. Twój dziadek zmarł w dniu, w którym zebrał w gabinecie dyrektorskim w fabryce kierowników wszystkich sekcji. Zmarł w swoim gabinecie, w którym spędził życie w otoczeniu księgowych w daszkach i milczących sekretarek, gdzie stukot warsztatów tkackich docierał tak wyciszony, jakby pochodził z innego świata. W tym szczęśliwym dniu wygłaszał mowę na temat produkcji. Podniósł palec, żeby powiedzieć ostrzegałem was wiele razy, moi państwo, że, i umarł. Żywię nadzieję, że moja skromna osoba przyczyniła się w pewnym stopniu do jego śmierci.

Poszedłbym na pogrzeb papy tylko pod warunkiem, że pozwolą mi splunąć na jego grób. Wtedy po raz pierwszy miałem poważny konflikt z twoim ojcem, Miquelu. Ja to rozumiem i nie mam do niego pretensji. Mama Amèlia zamiast się pogniewać, tylko się zasmuciła. A ja nadal nie interesowałem się fabryką, podobnie jak ty, ponieważ w naszej rodzinie zawsze zdarzali się wizjonerzy, jak moja matka Carlota, jak dziadek Maur II Boski czy Anton II Chrysostomos. Jak ty i ja. A obok nich znajdowali się tacy, którzy twardo stąpali po ziemi, na przykład twój dziadek Ton albo twój ojciec.

Muszę ci wyznać, że faktycznie po paru dniach odwiedziłem nasz panteon i splunąłem na grób tego, który nigdy nie chciał być mi ojcem. I choćbyś się gorszył, i tak to muszę wyznać, bo chcę, byś zapisał wszystko, o czym ci opowiadam, Miquel, synku, wszystko, co powiedziałem i będę mówił aż do dnia śmierci. Proszę cię: to jest mój sposób na wykpienie się przed kostuchą, zastygnać w słowach, które ci przekazuję, byś je kiedyś zapisał. Bo ja należę do tych, którzy wierzą, że są skuteczne metody, by uczynić możliwym le dur désir de durer.

## TRIO RIMSKY

## C Z Ę Ś Ć P I E R W S Z A

Franz Schubert

*Adagio Es-dur, Notturmo*, op. 148. D. 897

Przybliżony czas: 10'30"

Dymitr Szostakowicz

*Trio e-moll*, op. 67, nr 2*Andante • Allegro con brio • Largo • Allegretto*

Przybliżony czas: 23'

## C Z Ę Ś Ć D R U G A

Johannes Brahms

*Trio H-dur*, op. 8, nr 1

Przybliżony czas: 40'

## T R I O R I M S K Y

SKRZYPCE M. Teresa Planella

WIOLONCZELA Joan Moliner

FORTEPIAN Sergi Moliner

Program dobrze się zapowiadał. Prawdziwe wyzwanie dla wykonawców. Zdegustowany tym, że sala była prawie pusta, zajął miejsce w pierwszym rzędzie, gdzie zapewne siedziały rodziny artystów. Trio Szostakowicza jest trudne. Pięć minut przed koncertem publiczność powoli się zbierała, ludzie wymieniali uwagi, śmiali się bez tego religijnego namaszczenia, które on sobie narzucał, wchodząc do świątyni muzyki. Miquel Gensana ciągle wchodził do świątyni czegoś tam. Bardzo by chciał być celebrazem w tej ceremonii, trzymać wiolonczelę między udami, albo być utalentowanym kompozytorem. Ale musiał się zadowolić miejscem w pierwszym rzędzie i zachłannym wsłuchiwaniem się w utwory. Był wdzięczny Gemmie, coraz mniej obecnej w jego myślach, i wujkowi Maurycemu – to oni zrobili z niego melomana – i o to samo miał do nich pretensję. Połknął bakcyła, a teraz się wściekał, że może się zbliżyć do muzyki najwyżej na odległość pierwszego rzędu.

Odwrócił się, żeby sprawdzić, czy... Nie, żadnej znajomej twarzy. Przed nim otwierał usta fortepian, a przed pustymi krzesłami na pulpitach piętrzyły się nuty. Jeszcze trzy minuty, jeśli okażą się punktualni. Pokasywania. Jakiś pan z nieodgadnioną miną ukrytą pod wąsami usiadł obok Miquela i zaczął studiować program. Wtedy po raz pierwszy zobaczyłem Armanda. Pokasywania. Komentarze podniesionym głosem. Miquel znów się odwrócił. Sala była pełna.

Cisza zapadła, kiedy jakaś tajemnicza istota zmieniła oświetlenie sali. Teraz światło padało tylko na scenę, na której szybko pojawiło się troje wiele obiecujących muzyków. Miquel miał ich na wyciągnięcie ręki. Wysocy, młodzi, władczy niczym bogowie. Wiolonczelista ostrożnie niósł swój instrument, pianista szedł krok za nim, a ostatnia weszła Teresa ze skrzypcami. Natychmiast zwróciłem uwagę na oczy, które zniknęły, kiedy się pochylała w ukłonie, i na dekolt, który się wtedy ukazywał. Troje muzyków, trzy osoby, które osiągnęły szczęście, tak to widziałem. Oni wszyscy uśmiechali się pewni siebie. Dopiero później się dowiedziałem, że nadrabiali miną. Poruszając się energicznie, jakby chcieli jak najszybciej skończyć i pójść na pizzę, usadowili się na krzesłach, wzięli głęboki wdech, pianista podał dyskretnie swoim kolegom dźwięk *a*, natychmiast podjęty przez skrzypce i przez wiolonczelę. Instrumenty nastrojone. Ta dziewczyna jest bardzo ładna. Wiolonczelista spojrział nieśmiało na publiczność, skrzypaczka umieściła instrument na wysokości swojego uśmiechu i wtedy zaczęła się wymiana spojrzeń, elektryzujących, intensywnych, pełnych blasku. W powietrzu zawisła ulotna cisza i objawił się Schubert. Najpierw dwa takty fortepianowego arpeggia,

### Adagio

The first system of the musical score consists of two staves. The top staff is a vocal line in a treble clef, and the bottom staff is a piano accompaniment in a bass clef. Both staves are in a key signature of two flats (B-flat and E-flat) and a common time signature (C). The tempo is marked "Adagio". The vocal line contains two measures of whole rests. The piano accompaniment begins with a piano (*pp*) dynamic and an *appassionato* marking. It features a melodic line in the right hand and a bass line in the left hand, with some chords and eighth notes.

a później, z głębokości otchłani, w dynamice pianissimo wyłaniają się dźwięki es wiolonczeli i g skrzypiec,

The second system of the musical score consists of three staves. The top two staves are for the vocal line (treble and bass clefs), and the bottom two staves are for the piano accompaniment (treble and bass clefs). The key signature and time signature remain the same. The tempo is still "Adagio". The vocal line features a melodic phrase starting with a piano (*pp*) dynamic, marked with a slur and a fermata. The piano accompaniment continues with a similar melodic line in the right hand and a bass line in the left hand, also marked with a piano (*pp*) dynamic and a slur.

wznoszące się przez b i c, z rozjaśniającym wdarcie się wiolonczeli, aż do kulminacyjnego skrzypcowego d, które domyka temat,

The image displays a musical score for a piano piece, likely Chopin's Nocturne in E-flat major, Op. 9, No. 2. The score is arranged in four systems. Each system contains a vocal line (soprano and alto clefs), a piano accompaniment (treble and bass clefs), and a grand piano (treble and bass clefs). The first system shows a vocal line with a *cresc.* marking and piano accompaniment with *cresc.* markings. The second system features dynamic markings *f* and *pp* for both vocal and piano parts, and a *decresc.* marking for the piano accompaniment. The third system continues the piano accompaniment with *f* and *pp* markings. The fourth system shows the vocal line and piano accompaniment concluding the piece.

opadając do początkowej frazy, do początku *Nocturno*, ale silniej, z wyraźniejszym charakterem, a on wtedy myśli boże, jak możliwe jest takie piękno. W tym momencie (przybliżony czas: 55") już byłem zakochany w Teresie. Definitywnie. A pizzicato smyczków brzmiało jak orkiestra uświetniająca nasze wesele, niepojęte uczucie szczęścia, unoszone przez magiczny głos skrzypiec. Nagle poczułem święte oburzenie, zastanawiając się, co robią

tamci dwaj idioci, ten od wiolonczeli i ten od fortepianu, w tak bliskiej odległości od mojej ukochanej. Skandal: w momencie przejścia do E-dur ten z Molinerów, który grał na wiolonczeli, zatopił w niej dziki, intensywny wzrok, a ona mu odpowiedziała z równą intensywnością, z błyskiem w oku. Miquel Otello Gensana obrzucił pogardliwym spojrzeniem obu młokosów, którzy pożerali skrzypaczkę wzrokiem, przeżywając z nią, o tercję niżej, intensywną przygodę w obecności stu pięćdziesięciu osób na widowni. Miquel nie doś, że czuł się zazdrosny, z zawiścią myślał o Schubercie, którego było stać na tak wiele, i o tamtych trojgu wybrańcach, którzy wznosili się na nieosiągalne dla niego wyżyny muzyki. W miarę jak rozwijała się dramaturgia utworu, znów zadał sobie przesładujące go ostatnio pytanie, czy ta część życia, którą miał za sobą, liczyła się, czy czemuś służyła, czy była jego ocaleniem i usprawiedliwieniem. Poczul się podle.

Schubert szybko się skończył. Za szybko. Dziesięć minut szczęścia, które odebrałem jako podróż do głębin natury ludzkiej, najkrótszą drogą, bez kluczenia, tak jak tylko muzyka potrafi, lepiej niż malarstwo i poezja. Delikatne akordy końcowe z trylami fortepianowymi, które nie rozpraszały uroczystego nastroju, były zaproszeniem do pełnej szacunku ciszy, domagały się niemal religijnego uczczenia dźwięków, bo te, rozproszywszy się po sali koncertowej, nadal trwały w uszach i w pamięci wszystkich obecnych, emanując ze ścian, kotar i stiuków na suficie... Miquel pragnął, żeby to trwało jak najdłużej, choćby jeszcze parę sekund, żeby dać duszy czas na westchnienie, żeby do niej dotarło, że w tym momencie osiągnęła pełnię szczęścia. Ale publiczność nie bawiła się w subtelności. Zaczęła z entuzjazmem klaskać i przysła magiczna atmosfera, którą Schubert dla niego wyczarował. Może ludzie klaskali tak głośno, bo zdali sobie sprawę, jak bardzo ta muzyka zagrała na ich uczuciach, i próbowali się przed nią bronić brawami. Miquel nie klaskał. Z dłońmi zwinętymi w pięści przy policzkach siedział i patrzył, jak muzycy kłaniają się i uśmiechają. Zwrócił uwagę na białe zęby skrzypaczki. Potwierdziło się jego pierwsze wrażenie – tak, była przepiękna.

Cisza. Niewyobrażalne dźwięki skrzypiec na początku tria Szostakowicza. Skrzypiec? Ależ to wiolonczela! Zawsze byłem przekonany, że to skrzypce!... Oto wymierna korzyść z oglądania muzyków na żywo: to tak, jak podziwiać ołtarz pergamański w Muzeum Pergamońskim, a nie na przezroczu. A Szostakowicz przebywał na wyspie Pergamon i był Eumenesem. Jakże słodkie, jak mocne są te współbrzmienia. I niskie dźwięki fortepianu, czujnego, tuż obok. Popatrz, popatrz, teraz fortepian przejmuje inicjatywę, a instrumenty strunowe dyskretne usuwają się na drugi plan. Uwaga Miquela nie osłabła ani w *Allegro*, ani w *Largo*, przepięknym, nowe odkrycie, ani w końcowym *Allegretto*. Błogosławiony Szostakowicz.

Kiedy publiczność zmęczyła się burzliwym oklaskiwaniem muzyków i zaczęła się przerwa, Miquel pozostał na swoim miejscu w pierwszym rzędzie, z łokciami na poręczach fotela, pięściami przy policzkach. Zatopiony we własnych myślach, z błędnym wzrokiem, zastanawiał się, co ona teraz robi. Może odświeża twarz i szyję i spryskuje się wodą kolońską. A makijaż? W obecności tamtych dwóch? Czy każde z nich ma osobną garderobę? Może tych troje nie dogadywało się ze sobą, mieli napięte relacje, nie mogli na siebie patrzeć, nienawidzili się. Miquel nie dopuszczał do siebie myśli, że często muzycy grają

dlatego, że taką mają pracę i tworzą piękno, podczas gdy ich dusza pogrąża się w smutku albo jeszcze gorzej – ziewa z nudów. A może muzycy, szczęśliwi aniołowie pozostający w stałym kontakcie z pięknem, właśnie się klócili? Wiolonczelista wściekał się na Teresę Planellę, bo już po raz trzeci nie wszedł we właściwym momencie, mam tego powyżej uszu, na co Teresa odpowiada odpięrz się, podczas gdy pianista dopala papierosa, wstaje, poprawia mankiety koszuli i mówi ruszcie się, wiara, już czas. A może w tej przerwie po pięknie Schuberta i Szostakowicza, przed pięknem Brahmsa, rozmawiali o kasie, bo jeszcze nie mieli agenta, czy od razu dostaną obiecany czek, czy będą musieli czekać tydzień, na co Teresa: widzicie? lekceważą nas, bo niczego nie umiemy sami załatwić; impresario zaczyna się tłumaczyć och, ja próbowałem się z wami skontaktować, ale zapadliście się pod ziemię; wiolonczelista grozi mu palcem: wykorzystujesz nasz brak doświadczenia, żeby nas oszukać, a co będzie, jeśli zastrajkujemy i nie zagramy po przerwie? I w tym momencie pianista dopala papierosa, wstaje, poprawia mankiety koszuli i mówi ruszcie się, wiara, już czas.

Miquel, który bał się nawet głośniejsz odetchnąć, obserwował, jak cała trójka wchodzi, wszyscy uśmiechnięci, rozpromienieni, a kiedy się kłaniali, znów uznał ich za równych bogom, wyrastających wysoko ponad problemy z realizacją czeku, i czekał, aż usiądą wygodnie, ustawią pulpity z nutami pod odpowiednim kątem i Teresa Planella uroczym spojrzeniem poprosi o a i zacznie się rytuał strojenia. Wstrzymałem oddech, skrzypaczka i wiolonczelista zastygli w bezruchu, z opuszczonymi smyczkami, oboje wpatrzeni w nieskończoność, skupieni, a pianista, pochylony nad klawiaturą, przymknął oczy i odczekał pięć rozkosznych sekund, podczas których przypominałem sobie jak przez mgłę to, co miało za chwilę nastąpić, i wtedy się zaczęło, piano, espressivo, ten, owszem, powszechnie znany, ale jednocześnie tak specyficznie Brahmsowski motyw,



i natychmiast za fortepianem podążyła wiolonczela



Allegro con moto M.M.  $\text{♩} = 72$

The first system of the musical score consists of two staves. The top staff is in bass clef and contains a piano part starting with a 'Pfte.' marking, followed by a series of eighth notes. It includes markings for 'p legato' and 'espress.'. The bottom staff is in bass clef and contains a bass part with quarter notes and half notes, marked 'legato' and 'poco più f'.

i w tym magicznym momencie do wiolonczeli dołączyła Teresa na skrzypcach.

The second system of the musical score consists of two treble staves. The top staff begins with a 'poco più f' marking and contains a melody of quarter notes. The bottom staff continues the melody with quarter notes and half notes. The marking 'legato sempre' is placed between the two staves.

Wszyscy troje podjęli dialog, którego reguły Brahms ustalił w swoim czasie i który ponad sto lat później powtarzał się dokładnie tak samo, ale za każdym razem inaczej, bo inaczej wygląda życie tego, kto go artykułuje, i tego, kto go słucha.

Kiedy skończył się koncert, Miquel nie miał odwagi podejść do muzyków (otoczonych przez przyjaciół), uśmiechnąć się, stanąć twarzą w twarz ze skrzypaczką (obłąconą przez chmurę trutni) i oświadczyć z uśmiechem od ucha do ucha hej, jestem Miquel II Gensana Zagubiony i właśnie się w tobie zakochałem do szaleństwa. Ale poczekał, aż wyjdą, i podszedł do każdego po kolei, żeby im pogratulować. Nawet nie zauważyła, że patrzy na nią z uwielbieniem. Zatrzymała na nim wzrok przez trzy sekundy z krótkim uprzejmym uśmiechem, i nadal się rozglądała, najwyraźniej za kimś innym, a tym szczęśliwcem okazał się siedzący koło mnie pocziwiec z wąsem. Nigdy nie byłem tak blisko szczęścia. Ale o tym nie wiedziałem.

Urodziłeś się trzydziestego kwietnia, a ja pomyślałem, że będziesz Mesjaszem, i pozwoliłem, żeby twoja matka przez sentyment nadała ci na chrzcie imię twojego brata, biednego Miquela, który nie zagnieździł się w życiu na dłużej, Miquel Gensana Krótkotrwały, który zmarł na zapalenie opon mózgowych. Czasami się zastanawiam, jak ściany naszego domu wytrzymują tyle śmierci, tyle cierpienia i tak niewiele radości, bo mam wrażenie, że jeśli chodzi o szczęście, takie prawdziwe, niewiele go zazналиśmy w domu Gensana. Twoim przeznaczeniem było samotne dzieciństwo w domu zbyt wielkim, jak na tak nikły dziecięcy rozgardiasz. Mieliśmy szczęście, że mogliśmy gościć Núrię i Ramona... Ponieważ rodzina twojej matki pochodzi z Barcelony, chętnie odwiedzali nas w Feixes, gdzie się czuli jak na łonie natury. Brat twojej matki zostawiał u nas dzieci na całe wakacje, a ich krzyki stały się błogosławieństwem dla domu, dla twoich rodziców, dla dziadków, dla Remei i Angelety, i dla mnie, bo w tamtych czasach można było odnieść wrażenie, że jesteśmy normalną rodziną. Mimo zdrady dziadka Tona. Mimo że my dwaj unikaliśmy spotkania twarzą w twarz w korytarzu i nie patrzyliśmy na siebie przy stole, mimo że mama Amèlia ubolewała nad tą wielką nienawiścią między ojczymem i przybranym synem. A ja czułem się wtedy bardziej bez Ziemi niż kiedykolwiek, bo jako jedyny znałem wszystkie rodzinne sekrety i wiedziałem, że jestem jedynym prawowitym Gensaną. Tak, tak, śmieję się, śmieję: wiem, że to się liczy tylko w oczach kogoś, komu bardzo na tym zależy. Ale dla mnie ten fakt stopniowo nabierał znaczenia, od momentu, gdy twój dziadek Ton odsunął mnie od wszystkiego, lekceważąc mnie, bo byłem pedałem i interesowałem się lacią, a nie sukнем. Chodzi o tę chęć zemsty, która mnie czasami zaślepiała i skłaniała do podejmowania niefortunnych kroków, jak wtedy, kiedy postanowiłem postawić dom w partii pokera. Wiem, nigdy tego nie zrozumiesz, bo zawsze ci mówiłem, jak kocham rodzinne gniazdo. Ale człowiek czasami, żeby się oczyścić, żeby żyć w zgodzie ze sobą, podejmuje działania przeciw temu, co najbardziej ukochał, tak jakby katharsis stawało się preludium szczęścia. Albo jakby przyjemność i szczęście były dla nas zakazane. Przyczyną jest chyba ten katolicki masochizm, którym przesiąkliśmy do szpiku kości. Owszem, mógłbyś mnie zapytać, co ma z tym wszystkim wspólnego koncepcja grzechu. Ale musisz pamiętać, mój następcu, że książd Vicenç potępiając mnie, raz na zawsze uwolnił mnie od tego, co chrześcijanie biorą za grzech. Nadal chodziłem do kościoła i robiłem wszystko, czego oczekiwano od przewodniczącego Koła Artystycznego, a byłem nim w roku czterdziestym siódmym. Ale nie odczuwałem grzechu, którego oczekuje od nas Kościół, bo wtedy bym zwariował. Przez parę niezwykle tygodni miałem kochanka z Walencji, który mawiał tak: miłosne grzeszki, Boga uśmieszki. Pan Bóg pewno by się uśmieł, ale książd Vicenç krzywił się z niesmakiem.

Dlatego nauczyłem się nie wiązać tego tematu ze swoim sumieniem. Inaczej bym długo nie pociągnął. Nie spodziewam się, że mnie usprawiedliwisz ani że zrozumiesz wszystko, co się działo w moim życiu. Proszę cię tylko, żebyś mnie wysłuchał, a kiedy skończysz czytać, postaraj się mnie nie znienawidzić. Pomyśl, że ja tego nigdy nikomu nie mogłem opowiedzieć.

– Z Marią Teresą Planellą.

– A kto mówi?

No właśnie. Kto mówi; kto zamierza się wtrącić do jej życia; kto jest na tyle głupi, że nie daje za wygraną, mimo że w telefonie słyszy męski głos.

– Miquel Gensana.

– ...

– Nie, nie zna mnie.

– Teraz nie może podejść. Będzie pan uprzejmy zostawić wiadomość.

Mam wiadomość, i to nie jedną, ty Męski Głosie! Możesz jej powiedzieć, że właśnie zdałem sobie sprawę, że muszę jakoś rozwiązać sytuację, która mnie dręczy od paru miesięcy, od kiedy ją zobaczyłem i usłyszałem pierwszy raz. Możesz jej powiedzieć, że jestem tak bardzo zakochany, że już dłużej nie wytrzymam; i żebyś sobie nie myślał, Męski Głosie, mam poważne zamiary. Niedługo skończę trzydzieści sześć lat i jak się domyślasz, w tym wieku z pewnymi sprawami nie ma żartów. Zależy mi tylko na tym, by dotrzeć do tej kobiety, by jej o tym powiedzieć. Na pewno mnie zrozumie, ale bez wzajemności.

– Tak... Chodzi o wywiad.

– Ach... – Ostrożne zainteresowanie w Głosie. – Jakiego rodzaju?

– Dla „Czasopisma”.

– Słucham?

– Dla czasopisma „Czasopismo”.

– Przepraszam, jak pan powiedział?

To nie moja sprawa, ale zawsze uważałem, że to idiotyzm nazywać czasopismo „Czasopismem”. Zresztą powiedziałem to Duranowi, kiedy mnie przyjmował do pracy, ale tylko obrzucił mnie spojrzeniem, w którym dało się wyczytać: ten głupiec wyobraża sobie, że skoro jest przyjacielem Bolósa, to mu wszystko wolno. Odwrócił się do mnie tyłem i zajął swoją robotą. Tak więc podjąłem pracę, podobnie jak reszta zespołu, w czasopiśmie „Czasopismo”. Najpierw w korekcie, a po paru miesiącach w redakcji. Dzielilem biurko z Lali, przy oknie wychodzącym na wewnętrzne patio-studnię. Dochodziły stamtąd zapachy dwunastu różnych wariantów obiadu i nieustanny kaszel jakiejś starszej osoby uwięzionej w pokoju, który musiał być podobny do mojego.

– „Czasopismo”. To nazwa czasopisma poświęconego kulturze: sztuka, film, muzyka,

literatura, tego typu sprawy.

– Ach, „Czasopismo”. Tak, oczywiście! „Czasopismo”, no jasne.

No a o czym ci mówię, Męski Głosie, do jasnej cholery?

– Tak, proszę pana.

– Takie w brązowych okładkach, prawda?

– Fuksja.

– Tak, właśnie. I mówi pan, że chodzi o wywiad?

Cholera, co za gość. Zazdrośnik pełną gębą. Barykada nie do przebiccia się na drodze do Planelli.

– Tak. To nowy dział, nazywa się „Do głębi”, wie pan? Chcielibyśmy, żeby się tam pojawiły takie nazwiska jak Moravia, Steiner, Magris, Claret, Bassani, Victoria de los Angeles, Richter... To tak na początek. – Największe wrażenie mój dar improwizacji zrobił na mnie samym. – To tylko deklaracja intencji, ale redakcji pisma bardzo zależy, by rozpocząć ten cykl od wywiadu z Teresą Planellą.

Z całą pewnością lista osobistości, które mi ślina na język przyniosła, naruszyła fundamenty barykady, bo ton głosu nieco złagodniał.

– Co to za jeden, ten Steiner?

Streściłem w dwu słowach, bo nie chciałem, żeby zszedł z tematu. Zębami i pazurami trzymałem się sedna rozmowy i jeszcze raz wymieniałem listę, na czele której była Planella. Głos wyraził zainteresowanie:

– Móglby pan powtórzyć swoje nazwisko?

Miquel II Improwizujący Oszust, Redaktor „Czasopisma”, Cudownie Przemieniony w Realizatora Wywiadu do Nieistniejącej Rubryki Gensana. Do usług.

– Duran, mam pomysł.

– Mhm.

– Duran: wywiad z Planellą.

– Już nie robimy wywiadów. Z kim powiedziałaś?

– Teresa Planella. – Miquel powiedział to takim tonem, że ten, kto by nie wiedział, co to za jedna, ta Planella, powinien się zapaść pod ziemię.

– Connais pas.

– Cholera, Duran, ta skrzypaczka! No wiesz, ta, która teraz jest w Warszawie z Kubelikiem, grają koncert Saint-Saënsa! Trzeci.

Naczelnny najpierw patrzył na mnie z niechęcią, bo odciągnąłem go od pracy, ale później w jego wzroku pojawiło się zainteresowanie.

– Ty się znasz na muzyce.

– Nie, skąd, piąte przez dziesiąte.

– Ale się znasz?

Nie jestem Schubertem ni Perلمانem. Zwykłym dyletantem z karnetem do Pałacu Muzyki na trzydzieści koncertów w roku, najchętniej muzyki kameralnej. Wiesz, Duran, że dla mnie kameralistyka to esencja wszelkiej muzyki? Kwartet smyczkowy, trio fortepianowe, kwintet są dla muzyki tym, czym poezja dla literatury: samym sednem nieobciążonym treścią, podstawą, jądrem.

– No właśnie: piąte przez dziesiąte.

– To może być przetłumaczył... Znasz angielski?

– Oui.

– Kilka artykułów, które...

– Ależ Duran: ja ci mówię o nowej rubryce, o wywiadach z wielkimi indywidualnościami ze świata kultury. W każdym numerze jeden wywiad. Ale tylko artyści z najwyższej półki.

– Ach tak? Kto na przykład?

– No więc Moravia, Steiner, Magris, Claret, Bassani, Victoria de los Angeles, Richter.

– Co to za jeden, ten Steiner?

– Podoba ci się pomysł? Mogłaby się nazywać „Do głębi”.

– Nie mamy na to pieniędzy.

– Planella zgodziłaby się na wywiad. – Błąd. Miquelowi zabrakło psychologicznego wyczucia.

– O cholera. Czyli działasz na własny rachunek, a do mnie przychodzisz, jak już wszystko postanowione, co, Gensana?

– Stary, Duran, co ty pieprzysz! – Jak mam z tego wybrnąć? – Wiesz, po prostu chciałem ci przedstawić konkrety, a nie dobre chęci. Dlatego przychodzę do ciebie z jednym pewnym wywiadem. Nic cię nie będzie kosztować, bo ona jest stąd.

– A potem Moravia, Bassani i cała reszta.

– Można mniej, można bardziej ambitnie. Ale wzrósłby nasz prestiż.

– Pomysł nie jest zły. Planella, na początek, całkiem, całkiem... A jak sądzisz, kto mógłby się podjąć kierowania tą sekcją?

Duran zawsze musiał z czymś takim wyskoczyć. Skoro to powiedział, musiał naprawdę tak myśleć. Miquel uczeplił się zębami i pazurami swojego pomysłu i tylko tego brakowało, żeby teraz naczelny wywiad z Planellą zlecił innemu działowi.

– Ja się do tego idealnie nadaję.

– Nie. Ciebie chcę w dziale muzycznym.

– Planella to muzyka. Jest skrzypaczką. Kojarzysz? Skrzypce, Paganini, pięciolinia, do, re, mi...

Nie trzeba było go prowokować.

– Ty idziesz do muzyki; koniec kropka.

– Mogę robić i jedno, i drugie.

– Ty?

– Za tę samą kasę.

– Zgoda.

Miguel dobrze wiedział, że w gruncie rzeczy Duran to kawał sukinsyna. Ale wyszedł z gabinetu naczelnego z chwalebłą misją przygotowania nowego działu, który oczywiście nie będzie się nazywał „Do głębi”, bo to zbyt oczywisty tytuł dla sekcji wywiadów. A jego pragnienie nawiązania kontaktu z Planellą zaczynało przekładać się na koszty, bo właśnie podwoił sobie zakres obowiązków za tę samą kasę.

Miała oczy w kolorze miodu rozmarynowego, a włosy proste, gęste, czarne. Równe białe zęby odwracały uwagę od warg, bardzo cienkich, ale pełnych ekspresji.

– Zamówię herbatę. Co dla ciebie?

Poruszała nimi z gracją i taką samą gracją emanował każdy jej ruch, jakby życie było przedłużeniem sceny albo raczej – jej skrzypiec. Obok kącików ust ledwie zarysowane zmarszczki dodawały tej twarzy powagi, jakiej nabiera się z wiekiem. Miguel po paru sekundach zdecydował, że on też chce herbatę, z mlekiem, tak jak ona. Ona, na całe życie, całe życie dla niej. Truteń nic nie zamówił; tylko patrzył na zegarek i stukał palcami w blat.

– Jaki masz plan?

Miguel obrzucił spojrzeniem trutnia, który zdecydowanym ruchem sięgnął po moją świętą własność. Błyskawicznie przejrzał papiery. Głupi gbur. Odłożył je tam, gdzie leżały, a Miguelowi wydawało się, że dostrzegł szybką wymianę spojrzeń: aprobatę trutnia, że to może być dobry wywiad, i odpowiedź Teresy, że w porządku, w takim razie ona się przyłoży. Wszystko to bez słów. Boże, jaka z nich zgrana para. Truteń wstał i dał jej szybkiego całusa w usta, tak, pocałował Teresę w usta, a mnie kiwnął ręką na pożegnanie. Kiedy odwrócił się tyłem, wydawał się już całkowicie zaabsorbowany własnymi sprawami. A przede mną Teresa Planella i nasza przyszłość.

– Tak skrupulatnie cię kontroluje? – powiedziałem, wskazując głową miejsce, gdzie zniknął truteń.

To był niefortunny początek, porażka, groza. Miguel chciałby cofnąć taśmę i zacząć od początku.

– To pytanie dotyczy wywiadu?

Dobrze wymierzony policzek. Wykrzywienie kącików ust sygnalizowało czujność, a ja się poczułem mały, malutki i nie wiedziałem, jak z tego wybrnąć. Wybawił mnie kelner, który przyniósł dwie herbaty. Udało mi się ukryć zmieszanie i skoncentrować na pierwszej części rozmowy, na odpowiedzi na pytanie, które pozwoliło jej rozwinąć skrzydła.

– Nie wiem. Nigdy nie myślałam o muzyce jako o ucieczce.

– Więc czym jest?

– Jak to czym? Sposobem na życie.

Sposobem na życie. Takiej to dobrze. Dlaczego ja nie byłam kimś takim jak Teresa, by móc powiedzieć pierwszemu lepszemu chłystkowi, że muzyka jest sposobem na życie, i koniec. Teresa Planella nawiązała do wielkiego repertuaru romantycznego. Mówiła, że

Beethoven, Mendelssohn i Czajkowski są oczywiście ważnymi punktami odniesienia dla solistów, ale upomniała się też o koncert Schumanna, ubolewała, że Schubert nie skomponował ani jednego koncertu, nieoczekiwanie przeszła do porządku dziennego nad pięcioma koncertami Mozarta, natomiast z miłością rozpyływała się nad koncertem na dwoje skrzypiec Bacha. Grała go z Markiem Fiorim w Torroelli i w Barcelonie i tak mówiła o drugim wykonawcy, że miałem wrażenie, jakby lepiej zapamiętała jakiegoś tam Fioriego niż muzykę w tonacji d-moll Bacha. Później zapaliła cienkiego papierosa, a ja zapragnąłem być filtrem cameli, żeby się zbliżyć do tych zębów. Zrobiła mi powtórkę z Wieniawskiego, Vieuxtempsa, Saint-Saënsa, Maxa Brucha, Elgara i Sibeliusa.

– Masz bogaty repertuar.

– Niczym innym się nie zajmuję. Teraz pracuję nad drugim koncertem Bartóka i nad utworami Martinů. I chciałabym przeanalizować gruntownie koncert Albana Berga. A także gram w tercecie, bo nie zamierzam porzucić muzyki kameralnej.

– Zazdroszczę ci.

– Muzyka ma tę zaletę, że jest niewyczerpana. Tak jak sztuka.

tłumaczyła mi, że poszerzała swój repertuar niezależnie od kontraktów, a teraz Armand zdobył dla niej...

– Armand?

– No wiesz, ten... – Gestem wskazała nieobecnego trutnia z wąsami, uznając, że powinienem wiedzieć, co to za jeden ten Armand.

Kochanek? Agent? Mąż? Na razie poprzestańmy na trutniu. Udało mu się dla niej załatwić koncert Saint-Saënsa z Danielem Barenboimem i Paryską Orkiestrą Symfoniczną. I najprawdopodobniej również nagranie.

– Ależ to fantastycznie, prawda? – ucieszył się Miquel.

– Tak. Fantastyczne jest to, że taka muzyka istnieje.

– Zazdroszczę ci.

– Już drugi raz mi to mówisz.

– Pewnie dlatego, że to prawda. – Łyk herbaty, żeby ukryć zmieszanie. Aż mnie skręcało, żeby sięgnąć po jej camele, ale nie miałem odwagi żebrać. Jestem pewny, że oczy mi błyszczały rozpalone entuzjazmem. – A jeśli chodzi o muzykę kameralną, to grasz tylko w tercecie?

Przez pół godziny dzięki niej wznosiłem się do nieba. Słuchałem uważnie tego, co mówiła, i doszedłem do wniosku, że to jest najlepszy sposób robienia wywiadu, jeśli się nie chce, żeby wyszedł drętwy. W międzyczasie robiłem notatki, bo nie wierzyłem, że taśma zarejestruje niuanse, które ja dostrzegałem w jej uwagach na temat Oliviera Messiaena.

– Bardzo mi się podobało trio Szostakowicza, które zagraliście w Casa Elizalde.

– Byłeś tam?

W pierwszym rzędzie, a ona nawet nie zauważyła! Miłość od pierwszego wejrzenia, a ona mnie nie zapamiętała... A Miquel wyobrażał sobie, że grała tylko dla niego.



– Przygotowywałem się do wywiadu. – To zabrzmiało jak usprawiedliwienie, ale Planelli się spodobało. Nawet powiedziała coś w rodzaju, że nie pamięta, żeby ktoś z nią przeprowadzał wywiad taki, no, sam wiesz. Serce mu podskoczyło w piersi, biedny Miquel Kardiopata.

Ile masz lat, czy Armand jest twoim kochankiem, czy bracia Moliner pchają ci się do łóżka, czy uważasz mnie za osobnika nie całkiem odpychającego, czy mogłabyś o mnie myśleć, czy jesteś szczęśliwa.

– Często występujesz za granicą?

– Kiedy jesteś solistą, nie możesz odmówić. Nie wierzę w mistycyzm Glenna Goulda; lubię koncerty na żywo. Nie dowierzam nagraniom, podobnie jak Celibidache. No, może nie aż tak radykalnie.

Zabrzmiało to jak deklaracja zasad, więc uśmiechnęła się przeprasząco, że porównuje siebie z dwoma wielkimi mistrzami bez zachowania należytego dystansu.

– Uważasz, że możesz jeszcze czegoś się nauczyć?

– Oczywiście! Przede mną ogrom muzyki. I technika gry na skrzypcach. Ciągle jest wielu lepszych ode mnie...

– Chciałabyś być number one?

Ups. Drugi błąd w jednym wywiadzie. Na chwilę zapomniał, że nie rozmawia o klasyfikacji WTA z Graf i Navrátilová, i Planella nie była zachwycona. Miquel zamiast wybrnąć z sytuacji, tylko się pograżył:

– Poczęstujesz mnie papierosem?

Elegancki gest oznaczał przyzwolenie. Teresa wyciągnęła starą benzynową zapalniczkę. Spojrzałem zaciekawiony, ale nie skomentowałem.

– To prezent od Isaaca Sterna.

– O cholera! – Podziwiałem zapalniczkę w nabożnym skupieniu, zanim ją zwróciłem Planelli.

Czy masz dzieci, jesteś czy byłaś zamężna, czy może masz partnera. Naprawdę ten Armand, jak się wydaje, nadmiernie cię kontroluje. Czy zdajesz sobie sprawę, że jestem w tobie beznadziejnie zakochany.

– Znając się tak dobrze na muzyce, nie myślałaś nigdy o komponowaniu?

Zatopiła spojrzenie w kolorze miodu rozmarynowego w moich oczach. To z pewnością było pierwsze pytanie, które atakowało wprost jakieś jej ukryte marzenia. A to by znaczyło, że ten wywiad aż do tego momentu nie przekroczył poziomu banału.

– Ty nigdy nie czułeś się... niespełniony? – Planella przechodziła do ataku i po raz pierwszy zwróciła na mnie uwagę. Staralem się nie przepuścić okazji.

– Tak. Pod wieloma względami. Tak. Chciałbym wiedzieć o muzyce tyle co ty, pisać jak aniołowie i malować jak bogowie. A jedyne, co potrafię, to, jak widzisz, zadawać pytania osobie, która nie ma powodów do frustracji, bo ma wszystko.

– Bzdura.

Bywasz przygnębiona? Chciałbyś, żebym ja... Armand cię zaspokaja?

– Wiedząc tyle, co ty o muzyce, nie sposób być nie szczęśliwym.

– Ludzie nie znają prawdy o artystach.

– Wykonawca jest artystą? – wymknęło mu się, chociaż bardzo się starał nie kierować rozmowy na osobiste tematy.

– Naturalnie. I ten, kto słucha, też.

– Czyli ja też jestem artystą.

– Oczywiście. Kiedy słuchasz muzyki, zamykasz krąg rozpoczęty w umyśle kompozytora.

– Dzięki. Ale to mnie nie uszczęśliwia.

– No bo szczęście nie zależy od...

Najwyraźniej w tym momencie Teresa Planella zdała sobie sprawę, że wpadła w pułapkę. Zamilkła tak nagle, że nawet ją samą to speszyło. Spojrzała na Miquela tak, jakby zasłużył na jej szacunek. Odczekała parę sekund, skupiła się na herbacie i znów posłużyła się zapalniczką Sterna. Miquel pomógł jej wybrnąć.

– Skąd go znasz?

– Byłam jego uczennicą na kursach mistrzowskich u Juilliarda.

– No i jak?

– To człowiek... bardzo... bardzo ludzki. – Zdziwiałą, Teresa zapomniała o magnetofonie, o wywiadzie, o mnie, o herbacie, i wyszła z pancerza ochronnego. – Trudno jest kogoś osądzać, skoro nie wiesz, co się dzieje w środku. Ale powiedziałabym, że Isaac Stern to dobry człowiek. To mój mistrz. Nauczył mnie życia.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – Czyżby jakaś relacja uczuciowa między starym mistrzem i młodą uczennicą?... Tu quoque, Stern?

Zamiast zaprotestować słowami mój panie, nie masz prawa zadawać mi takich pytań, bo wkraczają na teren zbyt osobisty, Teresa Planella, skrzypaczka znana już na całym świecie, doceniana przez wirtuozów skrzypiec, przepiękna, długo zastanawiała się nad odpowiedzią.

– Nauczył mnie, że tym, co dla muzyka najważniejsze, nie jest muzyka.

– ...

– Nie patrz tak na mnie. Nie rozumiałam tego, dopóki nie skończył się kurs. – Po cichu wyznała coś osobistego, coś, o czym, sądząc po tonie jej głosu, raczej rzadko mówiła: – Uważa mnie za swoją ulubioną uczennicę. Nawet teraz, sześć czy siedem lat później. W czasie Bożego Narodzenia przypadkiem spotkaliśmy się we Frankfurcie. Przyszedł mnie posłuchać, a mnie aż drżał smyczek. Kiedy skończyłam, powiedział mi, że... – Planella otrząsnęła się. – Słuchaj, to nie ma nic wspólnego z wywiadem. Wykreślił to.

– Pozwól, że ja o tym zdecyduję. – I uprzedzając dalszy ciąg zastrzeżeń, zapytał: – Jak ty to robisz, że jesteś taka dobra w tak młodym wieku?

– Ani nie jestem taka dobra, ani taka młoda. – Ale nie powiedziała, ile ma lat.

Wywiad przeciągnął się ponad godzinę. Miquel miał świadomość, że Teresa Planella potrzebowała się wygadać, i nawet przez chwilę zastanawiał się, czy go nie bierze za

psychoanalitka. Ale nie ulegało kwestii, że mimo paru wpadek, jakie zaliczył, Planella była z wywiadu zadowolona. Pod koniec tej długiej godziny odważył się wreszcie zadać, patrząc w jej miodowe oczy, pytanie, które miał na końcu języka od początku rozmowy i które, zawstydzony, odłożył na sam koniec:

– Jesteś szczęśliwa?

Teresa Planella spojrzała mu głęboko w oczy, otarła wargi papierową serwetką i wyłączyła magnetofon. Przy okazji musnęła lekko dłoń Miquela Gensany.

Amouroux, Armengol, Arrufat, Ayats, Ballester, Batallé, Carreras, Codina, Colomer, Comerma, Escayola, Ferrer, Gensana, Gómez Farré, Marcet Nebot, Marcet Rius, Marcet Soler, Pujol, Puig, Ramió, Reguant. Tak wyglądała doborowa lista nazwisk najlepszych rodzin z Feixes, które były reprezentowane przez swoje potomstwo w ostatniej klasie szkoły podstawowej i które szukały odpowiedniego miejsca dla swoich latorośli na poziomie gimnazjalnym.

Wszystkie te latorośle, Miquelu, łącznie z tobą, urodziły się w roku czterdziestym siódmym. W połowie lat pięćdziesiątych opublikowano mi traktacik (ja go wtedy nazywałem *Tractatus*) na temat poezji Carnera, Riby i Foixa i prestiż Maurycygo bez Ziemi Sicarta nieustannie rósł w kręgach intelektualnych opozycyjnych i wywrotowych naszego kraju. Moje serce cały czas cierpiało, załamane wielką zdradą fałszywego ojca; szukałem schronienia w muzyce i ona stała się moją formą buntu. Od czasu do czasu chodziłem na grób ojczyzna, żeby mu zlorzeczyć, i to mi przynosiło ulgę. Wszystkie klątwy biblijne przeznaczone dla tych, którzy plują na grób rodziców, spadały na mnie i na moje potomstwo do siódmego pokolenia. Sam powiedz, czy nie jestem nieszczęśnikiem, skoro nie wiem, gdzie są groby moich bliskich (poza mamą Carlotą) – mojego ojca i mojego ukochanego. Ojca skazano na pośmiertne przebywanie za murem cmentarza, karząc go za odwagę zdecydowania się na tchórzostwo w ostatniej chwili życia i za decyzję śmierci z miłości. Rodzina Gensanów nie zadała sobie trudu, żeby się zatroszczyć o jego doczesne szczątki. Po rozbudowie cmentarza jego grób gdzieś przepadł. Natomiast mój Miquel zginął z mózgiem wbitym w ścianę sklepu Casa de les Mantes przy ulicy Jonqueres, a jego kości dołączyły do podobnych mu anonimowych nieszczęśników rozstrzelanych na Polu Bota, w jakiejś zbiorowej mogile, niemożliwej do zidentyfikowania. Jak nie przymierzając, kości Mozarta. A ja cieszyłem się, że Codina, Marcet, Puig i Reguant uważają mnie za wielkiego erudyty, że mogę brać udział w najbardziej wyrafinowanych dyskusjach Koła Artystycznego. Tylko to mi zostało. W tamtych czasach uznałbym za osobistą klęskę, gdyby się rozniosło, że Maurycy Sicart i Gensana jest Maurycym bez Ziemi i Maurycym bez Miłości, wyłącznym dziedzicem fortuny, której musiał się zrzec, kiedy jego przybrany ojciec zagroził, że roztrąbi wszem wobec, czemu się nie żeni, że jego wielkiej miłości na imię Miquel i dlatego nie chodzi na dziwki jak wszyscy przywoici ludzie. Bo ja nie byłem przywoity. Przeżywałem swoje nieszczęście w milczeniu, ale ucieszyłem się, gdy twój dziadek Ton zmarł. Moją Piątą Wielką Symfonią był twój ojciec, który zamiast odwrócić bieg wydarzeń, nie ruszył nawet palcem w mojej sprawie. Po prostu wszystko sobie przywłaszczył i nawet nie zapytał, czy chciałbym pracować w fabryce, która do mnie należała przez parę miesięcy. Nie mam pojęcia, czy Pere

wiedział, że ojciec mnie szantażował, bo my dwaj nigdy nie poruszaliśmy tego tematu. Byliśmy serdecznymi przyjaciółmi, dopóki nie położył się na tej przyjaźni niedostrzegalnym cię, kiedy się urodził Miquel II, i mówię ci o tym wszystkim, żebyś wiedział, że między przyjaciółmi czasami tak się dzieje, tworzy się dystans, o który wcześniej byś siebie nie podejrzewał. Oby nigdy ci się to nie przytrafiło, Miquelu II, szkolny kolego latorośli z rodzin Comerma, Ayats i Ballester, który wychowywał się pod kloszem i wkrótce miałeś się stać ofiarą decyzji twoich rodziców pragnących dać ci elitarnie wykształcenie, jakby nie wiedzieli, że ja ci je mogłem zapewnić za darmo, i co więcej, z miłością. Dlatego Pere Gensana, przy lekkim oporze swojej żony, brutalnie przerwał nasze spacerunki po kasztanowym zagajniku czy w galerii portretów, gdzie wprowadzałem cię w tajniki życia, i spośród różnych możliwości edukacyjnych, które zamożni mieszkańcy Feixes (Amouroux, Armengol, Arrufat, Ayats, Ballester, Batallé, Carreras, Codina, Colomer, Comerma, Escayola, Ferrer, Gensana, Gómez Farré, Marcet Nebot, Marcet Rius, Marcet Soler, Pujol, Puig, Ramió, Reguant) wybierali dla swoich dzieci, wybrał jedną, niezbyt wygodną, ale prestiżową: wysłał syna do Barcelony, do szkoły, która miała większy prestiż niż wszystkie prestiżowe szkoły Feixes razem wzięte. W kilku przypadkach (Comerma, Batallé, Ballester, Marcet Rius i Gómez Farré) rodziny decydowały się na internat ze względu na odległość, co jeszcze bardziej podnosiło ich prestiż. Rodzina Gensanów wybrała rozwiązanie pośrednie: bez noclegów, u jezuitów przy ulicy Casp w Barcelonie. Nie wiem, jakie były efekty kształcenia tamtych latorośli, których misja polegała na podtrzymaniu tradycji przemysłowej w Feixes, ale jeżeli to oceniać na podstawie aktualnej sytuacji tego przemysłu, kierunek okazał się jedną wielką porażką.

– Uważam, że przesadzasz – wtrąciła Júlia, przyglądając się tej mousse, którą kelner przed nią postawił.

– Z czym przesadzam?

– Z kryzysem tekstylnym. O ile wiem, to nie fabrykanci są za niego odpowiedzialni.

Wujek Maurycy był typem romantycznego historyka. Poza tym były sprawy, o których nie mógł wiedzieć. To prawda, zrobiłem maturę u jezuitów; tam poznałem Bolósa i Rovirę, i innych kolegów, jak Masferrer i Coll. Tam wzrastałem w mądrości, aż pewnego dnia przekroczyłem próg uniwersytetu i wszystko poszło jak poszło. Ale Puig, Ramió, Ferrer, Ayats, Ballester, Carreras, bliźniacy Codina, mały Colomer i Reguant mieli gorzej, bo choć wujek uważa siebie za osobę dobrze poinformowaną, wszyscy ci, których wymienił, byli młodszy od Miquela i ich życie też inaczej się ułożyło. To prawda, kieszenie pękały im w szwach od pieniędzy, prawda, że nie musieli się wysilać, dlatego nie zależało im na skończeniu studiów, które podjęli pod naciskiem rodziców. Prawdą jest, że większość z nich porzuciła na wegetacji. Pomijając tych, którzy zaangażowali się w wojnę, tak jak ja, albo tych, którzy wyruszyli w inicjacyjną podróż, mając zapewnione miękkie lądowanie, reszta bez wyjątku popadła w kompleksy, bo nie przeżyli niczego, co by ich wyciągnęło z anonimowości, i wybrali whisky albo gin, udając z powodem i zaangażowaniem, że piszą poematy i znają się na dekoracji wnętrza, więc mogą zaprosić do siebie towarzystwo na cygaro. Ich młodsze rodzeństwo miało jeszcze gorzej, bo dorastało w czasach eksperymentów ze skrętami i dawania w żyłę w nadziei na szczęście bez granic; ci, którzy tego nie przyplacili życiem, są ludzką ruiną. Najinteligentniejsi z mojego pokolenia

realizowali się w sporcie. Ci prowadzą teraz zdrowy tryb życia, pośród pucharów za szkłem i wspomnień. Miquel II Gensana Czytelnik Pamiętników Wujka jest jednym z zagubionych w połowie drogi między alkoholem a wspomnieniami, którymi nie wolno z nikim się dzielić. Pewne fragmenty życia, choćby to było tylko dziesięć minut, najchętniej w ogóle by wymazał, ale trzeba podążać przed siebie i taszczyć jak garb ten niechciany epizod i wszystkie jego konsekwencje aż do śmierci.

– A Josep Maria?

– Jaki znów Josep Maria?

– Bolós.

– Nie mieszałyby go do tego. Bolós pochodził z Barcelony.

– Co z tego? Wszędzie to musiało wyglądać...

– Bolós szukał ocalenia w polityce.

– Nie bądź głupi. – Czy w jej głosie usłyszał wyrzut? – Bolós nie znalazł ocalenia. On nie żyje.

– Daj mi spróbować tej twojej mousse, Júlio.

Wszystkie moje pragnienia były podyktowane instynktem łowieckim. Wszystkie moje wysiłki skoncentrowały się na osaczeniu jej, śledzeniu, poznawaniu jej życia, wnikananiu w jej sztukę, uleganiu jej czarowi, wpadaniu w zachwyt nad takim pięknem i uznawaniu, że cała reszta „Czasopismo” i świat, który nadal się kręcił) miało dla mnie absolutnie drugorzędne znaczenie. Ryzyko zawału serca szczęśliwie się oddaliło, bo umówiłem się z Teresą, żeby jej przekazać dwa egzemplarze czasopisma z wywiadem.

– Zawsze źle wychodzę na zdjęciach.

– Nieprawda! – oburzył się Miquel.

– Popatrz, jaki grymas.

– Ależ wyglądasz cudownie.

Powiedział to spontanicznie, co nie uszło jej uwadze. Przez chwilę milczała, potem zamówiła drugą kawę. Wtedy zapaliła pierwszego papierosa, a ja chciałem być filtrem, który dotyka jej ust. W ciszy przeglądała wywiad, a Miquel czekał niecierpliwie, pełen obaw, aż wyda wyrok. Ale kiedy skończyła przeglądanie i zamknęła pismo, tylko się uśmiechnęła.

– Kto jest następnym na liście?

– Na pewno Lluís Claret. A jeśli nie on, to George Steiner. Co sądzisz o wywiadzie?

– Co to za jeden, ten Steiner?

– Krytyk literacki. Autor powieści. A jak nie on, to Magris. No jak, podoba ci się?

– Przeczytam sobie spokojnie w domu.

Teraz trzeba było zapłacić za kawę, uśmiechnąć się, ucisnąć dłoń, wręczyć wizytówkę, której nie miał i powinien sobie zamówić, powiedzieć do widzenia i odejść, nie odwracając głowy. Ale Miquel, zamiast posłuchać głosu Rozsądku, też zamówił drugą kawę i zaryzykował ujawnienie niemożliwego do spełnienia życzenia w momencie, gdy sięgał po kolejnego papierosa.

– Bardzo bym chciał zobaczyć, jak pracujesz w domu.

– To nic ciekawego. Liczy się recital, koncert.

– Pozwolisz, że będę nalegał. Chcę lepiej poznać nieznanne strony artysty.

– Nieznane strony? Lubię czekoladki z likierem. – Uśmiechnęła się, a ja nie miałem pojęcia, co się kryje pod tym uśmiechem. – Ale wywiad już jest gotowy!

Nie odpowiedziałem, bo nie chciałem odkrywać wszystkich kart. Po chwili to ona się odezwała, że bardzo się jej podobało, że nie nalegałem, żeby przeprowadzić wywiad w jej

studio, w otoczeniu rzeczy osobistych, inaczej niż wszyscy.

– Nie chcesz, żebym do ciebie przyszedł. – Zareagowałem po sportowemu. To był koniec tego etapu i trzeba się z tym pogodzić. Dobranoc, Miquelu Gensano; idź swoją drogą. Do widzenia, mon espoir.

– Proszę bardzo. To niedaleko stąd.

Wstała, a moje serce za nią. Zapomniał o naleźności za kawę, tak bardzo się skoncentrował na udawaniu, że te słowa nie zrobiły na nim wrażenia. Miał oczy jak spodki, ale nie przytomniał, dopóki nie zauważył monet, zostawionych przez nią na stole.

– Daj spokój, ja zapłacę.

– Innym razem – odpowiedziała.

Czasami w życiu człowieka zdarzają się oazy czystego szczęścia, ulotne, nieoczekiwane, kiedy czas się zatrzymuje... Które jednak przez te parę sekund, gdy trwają, usprawiedliwiają całe istnienie jednostki. Miquel czuł się właśnie tak hiperbolicznie szczęśliwy, kiedy podążając pół kroku za Teresą, towarzyszył jej do mieszkania, gdzie ten osobnik z głupim wąsikiem pewnie już na nią czekał w kapciach, a kiedy mnie zobaczy w jej towarzystwie, zrobi taką minę, jakby pytał, kim jest ten zasrany truteń, który się przy tobie kręci.

Teresa zajmowała duży apartament w dzielnicy Eixample, wysoki sufit, przyćmione światło, udekorowany z wdziękiem, z całkowicie wyciszoną salą muzyczną, na środku której stał fortepian gabinetowy, z szafą pełną skrzypiec, wieżą hi-fi, dużym biurkiem zawalonym opisanymi partyturami i biblioteczką, gdzie, jak mógł ocenić na pierwszy rzut oka, było dużo poezji. Ani śladu osobnika z głupim wąsikiem, który miał na nich czekać z wpisanym w spojrzenie pytaniem, kim jest ten zasrany truteń, który się przy tobie kręci. Miquel II Gensana Przekraczający Próg Świątyni w nabożnym skupieniu odetchnął pełną piersią, z szacunkiem.

– No i co? – odezwała się, zaniepokojona moim milczeniem.

– Bardzo ładnie. To dla mnie prawdziwa gratka zobaczyć twój dom, teraz, kiedy już trochę cię znam.

– Wcale mnie nie znasz.

Rozłożyła ramiona, obejmując nimi salę muzyczną.

– Tutaj upływa moje życie, jeśli nie jestem w podróży.

Miquel podszedł do biurka i rzucił dyskretnie spojrzenie na rozłożone na nim nuty. Spojrzał na nią pytająco. Odpowiedziała po chwili zastanowienia.

– To koncert Berga. Teraz go rozczytuję. Któregoś dnia chciałabym...

– No i?...

– Jest bardzo trudny.

Zobaczyła, że zrobiłem niewyraźną minę, przeglądając grubą partyturę.

– Nie, to partia orkiestry. Tam jest partia skrzypiec.

Była otwarta na trzeciej części. Na początku strony kompozytor napisał Allegro  $\downarrow = 69$ , ma



sempre rubato, frei wie eine Kadenz.

– Znasz ten koncert?

– Tak.

– Jakiś problem?

– Nic takiego. Po prostu... Nie, tylko pomyślałem... nie, uświadomiłem sobie, że znam te koncerty tylko z nagrań płytowych.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Że oglądanie partytury to jak podziwianie oryginalnego obrazu. – Miquel, nieco zawstydzony, rozglądał się, jakby czegoś szukał. – A twój towarzysz?

– Pić mi się chce. Chcesz coś do picia? Piwo? Wodę?

– Poproszę piwo. Grasz też na fortepianie?

Teresa mnie nie usłyszała, bo już wyszła z pokoju, który był naprawdę znakomicie wyciszony. Ale wtedy Miquel odebrał to jako kulturalną odpowiedź na niestosowne pytanie. Wziął partię skrzypiec koncertu Albana Berga. Kiedy wróciła z dwiema szklankami i zauważyła, że przeglądam nuty, wyjaśniła mi, że Alban Berg skończył go cztery miesiące przed śmiercią i chociaż był już chory, raczej mało prawdopodobne, żeby miał świadomość bliskiego końca, mimo to jednak uważa się ten utwór za jego własne requiem, chociaż on był przekonany że komponuje requiem dla kogoś innego, dla Manon Gropius. I ten cytat, o tu, widzisz? do, re wydłużone, fa, cytat tego motywu z kantaty Bacha też jest o śmierci. Wyjęła skrzypce z szafy i zagrała temat z chorału Bacha, przyjmując oczy, jakbym ja wobec muzyki stawał się zbędny, ale po chwili Miquel Gensana zrozumiał, że po raz pierwszy w życiu Teresa Planella grała tylko dla niego, z zamkniętymi oczami, tak jak wiele kobiet uprawia miłość. A kiedy rozbrzmiewał motyw z Bacha, ja słyszałem w tle fagoty i oboje, które mu towarzyszyły. Teresa zatrzymała smyczek i otworzyła oczy, z iskierką nadziei.

– Umiesz grać na fortepianie?

– O mój Boże...

– Wzdychasz na tak czy wzdychasz na nie?

– Gdybym potrafił grać na fortepianie, byłbym szczęśliwym człowiekiem.

– Mylisz muzykę ze szczęściem.

– Ależ tak: z twoimi skrzypcami i twoją muzyką nie możesz być smutna.

Przez chwilę Teresa nie wiedziała, czy Miquel mówi poważnie. Stała z otwartymi ustami, próbując doszukać się ironii w oświadczeniu tego mężczyzny o smutnych oczach. Ale nic nie znalazła. Schowała skrzypce do szafy i wzięła z tacy sok pomarańczowy. Wskazała nuty.

– Koncert miał premierę w Barcelonie w tysiąc dziewięćset trzydziestym szóstym roku, kiedy Berg już nie żył.

– Co za... – Nie wiedział, co powiedzieć: – Zdążył skończyć w ostatniej chwili, co?

– Miał go zagrać Anton Webern, ale nie otrząsnął się jeszcze z wrażenia po śmierci przyjaciela i... Nudzi cię to?

– Na litość boską, Tereso!... Mów...

Wstała, jakby zmęczyło ją siedzenie. Musiała zauważyć, że ten mężczyzna pochłaniał ją wzrokiem, i poczuła się niepewnie.

– Kiedy skończysz go analizować?

– Och... zajmie mi to całą zimę. Mam jeszcze inne pilne sprawy... Przyjdiesz na recital naszego tria w tę sobotę?

Miquel Gensana otworzył szeroko oczy ze zdziwienia. To niesamowite, ta kobieta, prawdziwa bogini, nie odrzucała go ani nie traktowała, jakby był mrówką. Otworzył usta, żeby powiedzieć tak, tak, gdzie i kiedy, będę was podziwiał z pierwszego rzędu. Ciebie będę podziwiał. Przelknął ślinę i zamknął usta. Otworzył je ponownie, żeby wreszcie zapytać wprost:

– Ten facet tu nie mieszka?

– Jaki facet?

– Ten z wąsikami.

– Ach, Armand... – Jej uśmiešek mógł znaczyć sto różnych rzeczy. – To tylko mój agent. – Spojrzała mu prosto w oczy: – Opus 100 Schuberta. Przyjdiesz na recital?

Opuszczasz mnie, Miquelu, bo wy, młodzi, nie docenicie waszych ojców. Również ojców w sensie duchowym. Dopóki nie umrą. Ale to nie twój przypadek, bo to, o czym chcę ci teraz powiedzieć, sprawi, że na pewno mnie się wyrzekniesz. Czy będziesz za mną, czy przeciwko mnie, nie wyrzucaj tego zeszytu do ognia: to mój jedyny łącznik ze wspomnieniami. Teraz przyszła kolej na opowieść o dniu, w którym wydarzyła się Szósta i Ostatnia Wielka Symfonia z mojego katalogu. A właściwie o nocy. Było zimno, zapamiętałem lodowate zimno. Wracalem jak na skrzydłach z wieczoru autorskiego z okazji wydania któregoś tomiku Bartry, a ponieważ było już późno, wkradłem się do domu bezszelestnie. Wymacałem poręcz i zacząłem powoli wchodzić na górę, statecznie, stosownie do mojego wieku. Po kilku stopniach kątem oka dostrzegłem światło koło biblioteki. Zawróciłem. Tak: wąskie pasmo światła sączyło się spod drzwi biblioteki. O tej porze? Czyżby Miquel wrócił do czytania i przestał zwracać sobie głowę Gemmą? Ostatnią osobą, jaką bym sobie wyobraził w tym miejscu, był mój kuzyn, twój ojciec, z głową opartą na biurku i ramionami wstrząsanymi cichym płaczem. Przez kilka sekund zastanawiałem się, co będzie lepsze: cicho zamknąć za sobą drzwi i spróbować nazajutrz wyczytać cokolwiek z jego spojrzenia czy zaatakować go wprost i powiedzieć słuchaj, Pere, cholera, co się z tobą dzieje? Od wielu lat pogłębiała się między nami przepaść. Zwłaszcza od czasów Czwartej Wielkiej Symfonii. Nic mi nie przychodziło do głowy, więc zdałem się na intuicję.

– Słuchaj, Pere, cholera, co się z tobą dzieje?

Najwyraźniej moje słowa do niego nie dotarły, bo nadal płakał, pochylony nad biurkiem. Muszę się przyznać, że nie umiem przejść obojętnie, kiedy widzę, jak mężczyzna płacze, i te łzy sprawiły, że na chwilę zapomniałem, że jesteśmy poróżnieni. Poklepałem go przyjacielsko po ramieniu, co tam, Pere, przyjacielu, co ci jest?

Don Pere Gensana Uciekinier podniósł głowę przerażony. Siłą woli powstrzymał łzy i rozejrzał się za chusteczką. Przestraszył się. Chyba moja obecność nie była mu na rękę.

– Nic.

– Gówno prawda. – Usiadłem w fotelu po drugiej stronie biurka, tym samym, który mi służył do czytania. Żeby zająć czymś ręce, zacząłem nabijać fajkę, jedną z tych leżących na blacie. – Jak nie chcesz mówić, nie mów. Ale gdybym mógł ci pomóc...

– Nie możesz mi pomóc.

– Jak ona się nazywa?

– Niestety, nie chodzi o sprawy sercowe.

- No, no... Czyli to coś poważnego.
- Jestem zrujnowany. Nie stać mnie na nowe maszyny i nie mogę konkurować z Lozanem.
- Od dawna to mówisz.
- Ale teraz doszedłem do ściany.
- Co masz zamiar zrobić?
- Uciec.
- Jesteś sukinsynem.
- Tak. A ty mi w tym pomożesz.
- Akurat.
- Tak, pomożesz mi. W imię naszej dawnej przyjaźni.
- Ale masz tupet. Pere, jak ty rozumiesz ucieczkę?
- Dosłownie.
- Sam?
- To jedyny sposób, żeby z tego wybrnąć. Już mam upatrzone miejsce i...
- Sam?
- Tak. Nie.
- Z kim?
- Z Marioną.
- Tą blondynką z działu sprzedaży?
- Tak.
- A Maria?
- Bardzo mi przykro, ale...
- A twój syn?
- Niech się wypcha. Już jest dorosły i nigdy nie chciał mi pomóc. Może mnie znienawidzisz, Miquel, ale to są słowa twojego ojca.
- Słuchaj, Pere. Ja w tych okolicznościach też ci nie pomogę.
- Pomożesz, pomożesz.
- Wypchaj się sianem, Pere.

I wtedy nastąpiło Szóste Wielkie Rozczarowanie. Pere podniósł głowę, oczy miał już suche, zimne i twarde jak nieoszlifowany diament, założył okulary i spojrzał na mnie identycznie jak jego ojciec, mój przeklęty przybrany ojciec. Usłyszałem, jak dzwony u Świętego Ducha wydzwanają godzinę drugą, i gdyby komuś, mimo chłodu, przyszło do głowy spacerować po ogrodzie domu Gensana o tej porze, na długo przed świtem, dostrzegłby światło sączące się z okna biblioteki, z której Antoni III Gensana Bękart dowodził fabryką, w której Maur II Gensana Rogacz pisał swoje najgorsze sonety, w której Antoni II Gensana Chrysostomos redagował płomienne, zbyteczne przemówienia, przyprawiające o ziewanie posłów w Kortezach. Ale ten hipotetyczny, przemarznięty gość

ogrodu Gensanów nigdy by się nie domyślił, że w tej właśnie chwili Pere robił wszystko, żeby zasłużyć na przydomek Uciekinier (według niektórych historyków również Zdrajca), on, dziedzic nieprawowity, ale oficjalny tej odnogi rodziny, prosił o pomoc tego, który mógł się poszczycić autentycznymi genami rodu Gensanów, syna Carloty, Ukochanej. Wszystko wyraziło spojrzenie: twarde, zimne spojrzenie Perego.

– Powiedziałem, że pomożesz, i pomożesz.

– Chcesz mnie szantażować, jak twój ojciec?

Nie potwierdził. Tylko na mnie spojrzał i w jego oczach wyczytałem, że tak, że byłby do tego zdolny, co mu zależało grozić mi, że ogłosi wszem wobec, że dożywotni przewodniczący Koła jest zwykłym pedałem i tak dalej. Ponieważ wyczytałem to wszystko w jego wzroku, pod wpływem własnej słabości uprzedziłem jego słowa i nie dopuściłem, żeby twój ojciec upadł tak nisko. Kwadrans później, w nocy, głuchym głosem powiedziałem pomogę ci, Pere. W imię naszej dawnej przyjaźni. Czyli twój ojciec mnie nie szantażował: sam się szantażowałem.

– Dziękuję, Maurycy.

– Pod jednym warunkiem.

– Jakim?

– Że dotrzymasz Wielkiej Przysięgi.

Przypomniałem mu, że przed laty przysiągł mi uroczyste, że choćby nie wiem co się działo, zostawi dom zapisany na ciebie, żeby nigdy nie przepadł. Nie umiałem zinterpretować tej sekundy wahania, zanim mi odpowiedział. Po kilku dniach się dowiedziałem, że gdy odnawiał Wielką Przysięgę, dom Gensana już dawno był zastawiony. Dlatego teraz, kiedy to piszę, jeszcze mi dzwonią w uszach słowa Perego I Krzywoprzysięzcy. Powiedział przysięgam, Maurycy, w imię naszej dawnej przyjaźni. Przysięgam, Miquelu, to były słowa twojego ojca.

I od tej chwili twój wujek Maurycy Oszukany, Miquelu, popełniał czyny niezbyt chwalebne. Pamiętasz, że zastanawialiśmy się wielokrotnie, z kim rozmawiał twój ojciec na moment przed zniknięciem? Ze mną. Oszukałem was wszystkich, i policję też. To ja pobierałem dla niego pieniądze pod fałszywymi nazwiskami. Pomogłem przeprowadzić różne operacje, fałszując dokumenty, i milczałem, milczałem i milczałem, patrząc na rozpacz twojej matki i wobec twojego milczenia. Przypuszczam, że to dlatego mój mózg w końcu mi eksplodował. Czasami myślę, że zawsze byłem wariatem. Innym razem już sam nie wiem, czy to tchórzostwo doprowadziło mnie do szaleństwa po tych wydarzeniach, czy raczej Szósta Wielka Symfonia i Krzywoprzysięstwo. O ile faktycznie jestem wariatem.

I wszystko wypełniło się zgodnie z tym, co stało napisane w piśmie. Byłem milczącym szoferem, po tygodniu przygotowań logistycznych i formalnych. Przeróżającym tygodniu, bo wiedziałem, że od tego momentu nie odważę się spojrzeć Marii w oczy. Jadąc na lotnisko, kiedy Pere Bezwstydnik zdejmował kaptcie, wkładał buty i uzupełniał pozostałe części garderoby, wcześniej przygotowane, cały czas go przeklinałem. Na koniec powiedziałem, nie zważając na milczącą obecność Mariony, porozmawiaj z Marią.

– Nie.

– Napisz do niej.

– Może.

Co znaczyło, że nie. Był prawie takim samym tchórzem jak ja, ten twój ojciec, Miquelu. I jeszcze kazał mi przysiąc, że nigdy nie powiem ci o tym, o czym ci właśnie opowiadam, i że dzięki temu miejsce, do którego się przenosi, na zawsze pozostanie tajemnicą. Przysięga za przysięgę. I tak dalej, aż dojechaliliśmy na parking lotniska.

– Rusz się, pomóż.

– Nie. Sami sobie radźcie. Już mnie nie potrzebujecie.

Pere I Gensana Skurwysyn poklepał mnie po ramieniu z czułością. Już nie pamiętałem, kiedy ostatni raz zdobył się na taki gest.

– Nigdy nie zapomnę tego, co dla mnie zrobiłeś – powiedział.

– Ani ja.

Dwie, trzy, cztery sekundy milczenia, podczas których stanęły mi przed oczami wszystkie lata naszej znajomości. Wtedy przyszła mi do głowy straszna myśl, że nieszczęścia, które spadały na rodzinę od jakiegoś czasu, były skutkiem namiętnego, sekretnego uczucia prababki Pilar do Perego Rigau Amerykanina. A dokładniej, niefortunnego pomysłu, żeby zostawić świadectwo namiętności w pamiętniku. Chyba to odkrycie odebrało mi rozum.

– Żegnaj i dziękuję za wszystko, Maurycy. Wybacz, że cię w to wrobiłem. Nie miałem innego wyjścia...

– Idź już.

Zdecydowany, nie oglądając się za siebie, tak jak powinno się postępować w takiej sytuacji, z taką samą energią, z jaką sierżant Samanta zrywa plaster, Pere wysiadł z samochodu. Nie odwróciłem głowy i nie powiedziałem ani słowa, bo nie chciałem, żeby Mariona zorientowała się, że płaczę. Santarem 1012. São Paulo. Brazil.

Od paru tygodni Miquel nieustannie kręcił się koło Teresy. W pracy koledzy zauważyli, że jest nieobecny duchem, a Júlia, która miała wycucie w tych sprawach, zasugerowała paru osobom, że Gensana chyba się zakochał. Nie byłem zakochany w ścisłym znaczeniu tego słowa: raczej straciłem głowę, miałem związane ręce, chciałem podciąć sobie żyły. Psychiatra nazwałby to przesadnym uzależnieniem. A ja po prostu żyłem z głową w obłokach. Znow poszedłem na koncert Tria Rimsky, byłem beznadziejnie zazdrosny o obu Molinerów, przedstawiła mi ich, a później Miquel i Teresa we dwoje poszli na kolację i wtedy powiedziała mu, że w przyszłym miesiącu będzie dwukrotnie koncertować w Paryżu, a ja zapytałem, czy mogę jej towarzyszyć.

– A twoja praca?

– Ale mógłbym? – Jak małe dziecko. – Nie będę przeszkadzać.

– Armand będzie mi towarzyszył – uśmiechnęła się.

– Armand? Ten z wąsami?

– Ten z wąsami. – Z uśmiechem: – O co chodzi, Miquel?

– Chyba jestem zazdrosny o...

Błąd. Żeby czuć zazdrość i bronić swoich racji, trzeba mieć fundament wspólnego porozumienia, a o czymś takim między nami nie było mowy. Z uśmiechem dałem do zrozumienia, że wołałbym rozmawiać o czymś innym.

– Zazdrosny o co? – Teraz ona zainteresowała się tematem. – Co się z tobą dzieje?

– Przepraszam, nie chciałem tego powiedzieć. Ty masz swoje życie.

– A ty swoje.

Akurat. W tamtych chwilach Miquel Gensana, samotny mężczyzna, całymi dniami czytał, słuchał muzyki, chodził na wystawy, z każdym dniem nabierał coraz większej wrażliwości na piękno sztuki, z każdym dniem stawał się coraz bardziej drażliwy, miał na głowie matkę, która dogasała, i nikogo więcej, bo o ojcu nie warto wspominać. A poza tym pracowałem w czasopiśmie „Czasopismo” i zajęcie, któremu tam się oddawałem, polegało na wychwalaniu dokonań innych ludzi w dziedzinie sztuki. Dzięki temu stałem się Wielkim Zazdrośnikiem.

– Powiedziałaś mi, że... Nie, wszystko jedno.

– No, słucham.

– Powiedziałaś mi, że Armand jest tylko twoim agentem.

Teresa znów się uśmiechnęła. Miquel nie zauważył kropli potu na jej górnej wardze. Nie przestając się uśmiechać, spojrzała mi głęboko w oczy.

– Armand był moim partnerem podczas... no, dość długo.

O kurwa. Co ty sobie wyobrażałaś, głupi, zakochany, zasrany kretynie, że ta dziewczyna zachowała dla ciebie dziewictwo? Nie, Gemmo, naprawdę nie ma to znaczenia, choćbyś się przespała z tysiącem facetów, słowo ci daję.

– Wybacz... Nie musisz się przede mną tłumaczyć, Tereso...

– Dzięki.

W tym momencie ktoś usiadł przy sąsiednim stole, jakby chciał zakłócić naszą intymność. Udawaliśmy, że to nam nie przeszkadza.

– Dawno... zerwaliście ze sobą?

– Czy nie powiedziałeś przed chwilą, że nie muszę się przed tobą tłumaczyć...

– Tak, tak. Wybacz, Tereso. Ale po prostu... Nie, nic nie mówiłem.

– Pięć miesięcy.

– Ach tak.

– Tak. Zerwaliśmy ze sobą. Ale nadal jest moim agentem.

– Dlaczego?

– Bo jest w tym dobry.

Wyciąganie informacji z tej dziewczyny było sprawą beznadziejną – patrzyła na ciebie, ciągle się uśmiechając, ale z dystansem. Wolałem sam jej opowiedzieć o swoim życiu, o tym wszystkim, co się nadawało do opowiedzenia. Czasem myślę, że opowiadanie o sobie to robienie wewnętrznych porządków. Problem w tym, że po drodze był niejeden Toro, który zmusza człowieka do przemilczenia pewnych spraw.

– Przede mną niczego nie ukrywałaś. – Júlia zawołała kelnera, a potem uśmiechnęła się do mnie. – Prawda?

– Może dlatego, że cię kocham.

– Albo jesteś zdesperowany.

Niezłe ziółko z tej Júlii.

Zamówiliśmy kawę i Miquel odbył bardzo owocną dyskusję o wyższości armaniaku nad koniakiem z maître'em, coraz bardziej zde gustowanym świętą naiwnością tego monsieur przy stoliku dix-huit. W końcu przynieśli nam koniak Torres 5. Miquel opowiadał Teresie o Gemmie, o pracy, o życiu, a ona siedziała zasluchana. Później odprowadził ją do domu, śnił o niej, a cztery czy pięć dni później, kiedy znów się spotkali na placu Katalońskim, po chwili milczenia, uświadomili sobie, że to randka. On prosił, żeby mu pozwoliła popatrzeć, jak pracuje, ale pomimo zażyłości odmówiła. W zamian zaproponowała mu, żeby z nią jechał do Paryża.

– A Armand?

– Coś ty się tak przyczepił tego Armanda?

On po prostu był za stary, żeby to zrozumieć. Ona była młoda, inaczej wychowana, na



pewno miała większe doświadczenie w sprawach damsko-męskich i na pewno miała już na koncie mnóstwo drobnych niepowodzeń, od których człowiek robi się gruboskórny i uczy się nie łączyć ze sobą pewnych spraw, i kiedy mówiła: Armand był moim partnerem, ale teraz jest tylko moim agentem, najprawdopodobniej nie tylko nie kłamała, ale co więcej, kontakty zawodowe z Armandem nie powodowały dysonansu w jej uczuciach. Z Miquelem było dokładnie odwrotnie. Pojechał do Paryża z Teresą i Armandem, wymyśliwszy karkołomny pretekst, żeby przekonać Durana: w Paryżu przeprowadzi wywiad z Lluïsem Claretem, koszty wyjazdu pokryją pół na pół on i „Czasopismo”, ale w zamian prosi o tydzień wolnego.

- To szczyt wszystkiego, jechać do Paryża, żeby porozmawiać z Claretem.
- Przecież nigdy go tu nie ma.
- Niech ci będzie, Gensana... - Zrobił minę, jakby go bolała wątroba. - A co ze zdjęciami?
- Sam zrobię.
- Guzik prawda. Nie masz o tym zielonego pojęcia.

Na tym etapie za dużo miał do stracenia, musiał improwizować. Paryż wart był fotografii.

- Nie, nie: chciałem powiedzieć, że mam fotografa pod ręką.
- Kto taki?
- Niejaki Armand. Bardzo dobry.
- Armand i co dalej?
- Armand Armand. Nie znasz go?
- Nie.
- Jest naprawdę dobry. Nie przejmuj się.
- Jesteś moim wiecznym utrapieniem, Gensana.

Mógłbym powiedzieć to samo. Sam dla siebie jestem wiecznym utrapieniem, ale jakoś muszę ze sobą wytrzymać. Nie podzieliłem się tą uwagą z naczelnym, bo w tym momencie wyraził zgodę, rozkładając ręce, i dał mi do zrozumienia, że posłuchanie skończone, wracając do swojej roboty. Duran zawsze robił taką minę, jakby go bolał ząb, kiedy go o coś prosiłeś, ale w końcu się zgadzał, bo przez parę lat obserwując Miquela Gensanę przy pracy, miał okazję się przekonać, że jest najlepszy w zespole. Tak więc pojechałem do Paryża w towarzystwie znakomitego fotografa Armanda Armanda, byłego kochanka mojej ukochanej Teresy, której jeszcze nie powiedziałem, że ją kocham.

Claret okazał się bardzo miły, ja mało konkretny, nie powstał epokowy wywiad. Ale dużo się dowiedziałem o muzyce w trakcie tych trzech godzin, które spędziłem w jego towarzystwie. A on nabrał ochoty, żeby posłuchać na żywo, jak gra Planella, bo kiedy jej słuchał poprzednim razem, była jeszcze dziewczynką z warkoczami.

Teresa zagrała trzeci koncert Saint-Saënsa. W Paryżu. Teresa była zdolna zagrać Areńskiego czy Czajkowskiego w Petersburgu i wzięto by ją za rodowitą Rosjankę. Tak, Saint-Saëns w Paryżu. Zagrała świetnie, rozkosznie. Sam Barenboim łagodniał, kiedy na nią patrzył, zastygał z batutą w dłoni, z błyskiem w oku. Czuję się największym, najbardziej

pechowym zazdrośnikiem świata, bo wszyscy podziwiają tę kobietę, wszyscy jej pragną, a ja jestem tylko podnóżkiem u jej stóp, co najwyżej firanką w oknie jej pokoju. Claret udawał profesjonalny dystans, ale on też pożerał ją wzrokiem.

– Znasz ją osobiście? – zapytał, gdy zaproponowałem, żeby odwiedzić ją w garderobie.

Jestem jej idealną miłością, ale ona jeszcze o tym nie wie.

– Tak jakby... Przeprowadzałem z nią wywiad i...

– Ach tak, no jasne... – Wskazał gestem drzwi garderoby, kiedy już przed nią stali. – Jest świetna. A zajdzie jeszcze wyżej.

Teresę aż zamurowało z wrażenia, że sam Claret przyszedł jej pogratulować... Spojrzała na mnie z wdzięcznością i było dla mnie jasne, że Paryż wart jest Clareta, skoro Teresa tak uroczco reaguje. Czuję się szczęśliwy. Brakowało mi tylko tej odrobiny odwagi, żeby jej powiedzieć Tereso, najdroższa, kocham cię do szaleństwa, jesteś światłem mojego życia, ty jesteś drogą, prawdą i życiem, nie odchodź, nie zrywaj ze mną, bo wszystko dopiero przed nami, przed tobą i przede mną. Jednak nie wierzę, że kiedykolwiek mnie pokochasz. W czasie, gdy Armand Armand przypominał Teresie o planach koncertowych i innych zobowiązaniach, a Claret, Barenboim i jakaś ładniutka dziewczyna towarzysząca dyrygentowi próbowali rozmawiać o muzyce, zaświtało w mojej głowie, że o czymś na śmierć zapomniałem:

– Zdjęcia!

Wszyscy na mnie spojrzeli i zrobiłem się czerwony jak pomidor.

– Muszę mieć zdjęcia...

Barenboim wymierzył we mnie cygaro, które cały czas obracał w ustach.

– Żadnych zdjęć.

Miquel spojrzał najpierw na niego, potem na Clareta, zmieszany.

– To do wywiadu z... – Nieśmiało wskazał wiolonczelistę.

Akcja w obecności Armanda Armanda, photographe de la Grande Écurie du Roi, przebiegła sprawnie; przypomniawszy mi, jakie piękne zdjęcia zrobił Planelli, i z uśmiechem wcisnął mu do rąk aparat fotograficzny, drobiazg, cztery–pięć zdjęć z wiolonczelą.

– Nie mam jej tutaj.

– No to zamyślane zdjęcie przy oknie.

– Ma może ktoś czekoladki z likierem?

Serce mi się rozdarło między powinnością przywiezienia do Barcelony dobrego zdjęcia Clareta i obowiązkiem natychmiastowego zlokalizowania najbliższej cukierni. Miquel znów poczuł arytmii, jak za czasów wojny.

Godzinę później Teresa, biorąc w delikatne wargi kolejną czekoladkę, popijaną schłodzonym szampanem Moët, rozdyktowała się na całego z Barenboimem i Claretem o koncercie Albana Berga, który oboje mieli zagrać razem pod koniec lata, i Miquel miał okazję się dowiedzieć, że ten koncert był nie tylko requiem Berga dla siebie samego i opisem cierpienia, śmierci i przeistoczenia Manon Gropius, lecz także prawdziwą Księgą Kobiet.

– Rozpływają się w ustach. To z koniakiem, prawda? – zapytała Teresa.

– Z armaniakiem – sprecyzował ktoś, jakby znał przeszłość.

Miquel nie wiedział, że inspiracją do pieśni Karyntii była Mizzi, jego pierwsza miłość, a poświęcona została córce ich obojga. I że obecność numeryczna Hannah koncentrowała się w liczbie dziesięć. Poza tym Berg był żonaty i żył ze swoją żoną. Pomyślałem, jaką wspaniałą księgę kobiet napisał Berg: żona, w tle córka, Mizzi, Hannah, Manon, Berta, Gemma i Teresa, i dlaczego zadedykował koncert wyłącznie pamięci eines Engels, a nie wszystkim aniołom swojego życia. Czuję solidarność z Albanem i Bergiem Boskim, a jednocześnie złość na samego siebie, bo ja tu ciągle rozbijam się o mur jałowości, podczas gdy on znalazł sposób, by cierpienie przekuć w sztukę.

– Podobny pomysł wykorzystał Strauss w *Śmierci i przemienieniu*.

Nie wiem, kto to powiedział. Może ja. Barenboim obrzucił szybkim spojrzeniem piękną milczącą dziewczynę przyklejoną do jego ramienia, jakby chciał zasięgnąć jej opinii, i obiecał nam wszystkim, że nas zaprosi na kolację do restauracji Procope po premierze koncertu Berga. A że to będzie we wrześniu, więc zaprasza na ostrygi.

– Uwielbiam ostrygi! – zawołała Planella. A ja chciałem zamienić się w perłę.

Miquel zapamiętał, że kiedy wchodzili do hotelu, on w myślach pytał Tereso, czy byłoby możliwe tej nocy, a tymczasem Armand Armand zaszedł mu drogę i oddał aparat fotograficzny.

– Mam nadzieję, że sam je sobie wywołasz.

– Oczywiście. Bardzo dziękuję. – Miquel, wskazując aparat, zapytał: – Słuchaj, jak ty właściwie masz na nazwisko?

– Poch – odpowiedział Armand Armand.

– Aha.

– No i co było dalej? – Júlia bawiła się filiżanką kawy.

– Jak to co?

– Między tobą i Teresą.

Chodziło jej o to, czy się kochaliśmy. Júlia chciała wiedzieć, czy do tego doszło w Paryżu i całą resztę. Miquelowi na moment zabrakło słów. Napił się armaniaku Torres 5 i przypomniał sobie, jak Teresa powiedziała, żeby przyszedł do niej do pokoju za pół godziny, a on był zaszokowany, bo nie wierzył, że kiedykolwiek do tego dojdzie, i powiedział tak, oczywiście, Tereso, i stawiał się punktualnie pół godziny później i kochali się, tak, namiętnie, i on czuł tak niesamowitą bliskość z tą niezwykłą kobietą, że zapomniał jej powiedzieć, że ją kocha, a przecież nigdy nikogo nie kochałem tak intensywnie jak Teresę.

– No więc... Ja i Teresa... Normalnie.

Nie zrozum mnie źle, kochany Miquelu, ale uważam, że trudno jest oceniać czyny innych, ponieważ zawsze robimy to tak, żeby wyszło na nasze. Twoja matka osiągnęła w tym mistrzostwo, bo nie usłyszałem z jej ust ani słowa krytyki pod adresem twojego ojca z powodu ucieczki. Zabolalo ją to, czuła się upokorzona, ale nigdy go nie krytykowała, nawet, o ile wiem, w twojej obecności. Ale ja nie chcę iść w jej ślady, ponieważ choć Pere przez wiele lat był moim serdecznym przyjacielem, jest też głównym bohaterem Sześciu Wielkich Rozczarowań. Dzięki szaleństwu udało mi się zachować milczenie, które można by pomylić z przykładową postawą etyczną. Ale to nie tak: twój ojciec naraził mi się sześć razy i dlatego zdradzę ci cztery rzeczy, bo nie chcę, żeby popadły w całkowite zapomnienie. Wiem, że relacja między wami nigdy nie była fantastyczna. On nigdy nie zrozumiał, dlaczego ty też pozwoliłeś sobie na ucieczkę, nie podając mu przyczyn twojej decyzji. Rodzina uciekinierów! Nigdy się nie pogodził z tym, że nie pomagałeś mu w fabryce i że z konieczności musiał polegać wyłącznie na swoim siostrzeńcu Ramonie. To wiele mówi, sam przyznaj, o przyczynach dystansu między wami.

Słuchaj: twoi rodzice już od dawna nie mieli sobie nic do powiedzenia, prawie ze sobą nie rozmawiali. Matka podejrzewała, co się może za tym kryć, ale nie odważyła się nic z tym zrobić, nie rozumiem dlaczego, bo przecież była dzielną kobietą. Rzecz w tym, że twój ojciec już od dawna zadawał się z Marioną, a wcześniej z innymi. Kiedy uciekł, ona była w ciąży. Masz brata w Brazylii, Miquelu.

Pewnego dnia, gdy Miquel przeglądał zapiski wujka, zmarła matka. W samotności, w mieszkaniu w Feixes. Nie było przy niej żadnego z jej Miqueli. Ona, podobnie jak wujek, też miała swoich Miqueli, oryginał i kopię, szkic i wersję ostateczną. Zmarła bez swoich Miqueli, bez tego, który był jej mężem, bez domu i bez wujka, który tak bardzo sobie upodobał rozmowy ze zmarłymi.

Miquel czuł się przygnębiony, przekonany, że nigdy, przez całe życie nie dostarczył matce żadnej radości, a ona się nie skarżyła, bo miała siłę właściwą kobietom. Nie mógł sobie wybaczyć, że zmarła w samotności, mając za towarzystwo tylko wspomnienia tego, co utraciła. Podczas nieuniknionej wizyty na cmentarzu Miquel pomyślał: ja też zaczynam liczyć moich zmarłych, wujku, i dochodzę do wniosku, że nie rozumiem, dlaczego życie toczy się dalej, skoro wszystko trzeba utracić wraz ze śmiercią, i wydawało mi się, że jestem jak te dziewczyny w biurze, które dokonują tytanicznych wysiłków, żeby się nie zakochać, żeby uniknąć rozczarowania, żeby nie dostać potężnego kopa w dupę. Może wtedy przyszło mu do głowy, że jedynym sposobem na zaakceptowanie tego rodzaju życia, które mu przypadło

w udziale, jest zachowanie spokoju ducha wobec przerażającej oczywistości śmierci. No dobrze, a poza tym był zakochany. Biedna mama, nie dowiedziała się, że się zakochałem.

- Minęło już parę godzin. Długo mam jeszcze czekać?
- A co mnie to obchodzi.
- Cholera, Júlia, zaraz muszę wyjść, przecież ci mówiłem! – Plastikowy kubek z niedopitą kawą wylądował w koszu na śmieci.
- Nic na to poradzę. Trzeba czekać, aż się odezwą.
- Trzeba było się umówić, że ty do nich zadzwonisz.
- Zrobiłam, co mogłam.
- O nie, moja droga. – Miquel, rozszluszczony, uderzył w blat. – Pod żadnym pozorem nie można dopuścić, żeby klient przejął inicjatywę.
- Łatwo ci mówić.
- Absolutnie. To podstawa. Jeśli się tego nie nauczysz, daleko nie zajdziesz. – Postukał się palcem w czoło. – Dotarło?

Júlia zabrała papiery, które zawsze nosiła przy sobie, kiedy przemieszczała się między biurkami, i wróciła do siebie, zagniewana, przy akompaniamencie urywających się telefonów. Obrażona. No i co Miquel miał teraz zrobić? Przepraszać? Posłać ją do diabła? Rozglądał się za papierosami, a jednocześnie sięgnął po telefon i wybrał wewnętrzny dwanaście.

- Słucham.
  - Ej, nie obrażaj się.
  - Spadaj.
- Odłożyła słuchawkę. Miquel westchnął. I co teraz? Zapomnieć o sprawie? Pomyśleć o Teresie? Skupić się na artykule, recenzji z koncertu, którą powinien skończyć na jutro przed dziesiątą rano? Żałować, że się spóźnił na koncert, który trzeba zrecenzować do jutra, do dziesiątej? Podejść do biurka Júlii i zmyć jej głowę, przy wszystkich, za impertynencję? Poprzestał na otwarciu szuflady w poszukiwaniu papierosów. Dzielił biurko z Lali i dlatego nigdy niczego nie potrafił znaleźć. Papierosów nie było. Pomyślał tylko: no proszę, a tyle miałem pomysłów. Czas mijał, a osoba, która obiecała ich skontaktować z Lawrence'em Durrellem, najwyraźniej w ogóle o nich zapomniała. Wtedy zadzwonił telefon.

- Miquel, do ciebie.
- Kto taki?
- Nie przedstawił się.

– Mówiłem tysiąc razy, żeby...

– Wiem, wiem, ale nie zdążyłam... – Milczenie. Wszyscy w redakcji już zdążyli zauważyć, że Miquel Gensana, gwiazda działu kultury, wstał dziś lewą nogą. Laia zapytała naburmuszona: – To co, mam połączyć?

– Tak, jasne... Kto mówi?

– Cześć, stary. To ja, Bolós.

– O, co tam u ciebie? – Nie umiał udać entuzjazmu. – Co tam w polityce. – Nawet się nie zdobył na pytającą intonację.

– Dobrze. Nie narzekam. Przygotowujemy się do wyborów parlamentarnych.

– Zawsze macie jakieś wybory z tyłu głowy.

– Nie nabijaj się. Zjesz ze mną obiad?

W restauracji Agut, gdzie jedli na koszt wybitnego posła, obsługa była uprzejma. Miquel na chwilę przestał myśleć o Durrellu. Ale rozmowa toczyła się niemrawo, właściwie dryfowała bez sensu, i Miquel ciągle nie domyślał się, czego Bolós od niego chce, bo na pewno miał do niego jakiś interes. Już zamówili kawę, a on nic tylko się rozplęwał z zachwytem nad prestiżem i jakością tekstów wychodzących spod pióra jego przyjaciela. Miquelu, jestem z nich tak dumny jak ty.

– Ale ja wcale nie jestem z nich dumny.

– Dlaczego?

– Och. To trudno tak w dwóch słowach... – Spojrzał mu w oczy. – Wiesz, w czym rzecz? Wolałbym być tym poetą, z którym przeprowadzam wywiad, pisarzem, którego książkę recenzuję czy krytykowanym przeze mnie muzykiem. A muszę się zadowolić oglądaniem ich sztuki z zewnątrz.

– Ty dokonujesz głębokiej analizy intelektualnej. – Wskazał go palcem, jakby wydawał wyrok. – Artysta tylko wyraża uczucia.

I co mu miałem odpowiedzieć, skoro mój drogi Franklin był ślepy i głuchy na sztukę?

– Nie w tym rzecz, Bolós. Krytyk może być erudytą, mędrce, jeśli chcesz. – Spojrzał na niego zdesperowany. – Ale nie jest twórcą.

– To dzielenie włosa na czworo. Ty też tworzysz sztukę.

– Ja nie, Bolós.

– Fantastycznie piszesz. I przybliżasz sztukę nam, zwykłym śmiertelnikom.

Ponieważ Bolós już od miesiąca unikał alkoholu, żeby zrzucić brzuch, wzniosł toast szklanką wody. Miquel uśmiechnął się w odpowiedzi i trącił się z nim kieliszkiem wina.

– Kiedy krytyk odwraca się, widzi za sobą cień eunucha.

– Co takiego?

– Kto chciałby być krytykiem, gdyby mógł być pisarzem?

– No wiesz.

– To słowa Steinera.

– Co to za jeden, ten Steiner?

– Krytyk. Wybitny krytyk. Chciałbym z nim kiedyś przeprowadzić wywiad.

– Stary, ja... No wiesz, ja się na tym nie znam, ale... – Wypił wodę duszkiem.

– Dlaczego mnie zaprosiłeś?

– Martwi mnie Rovira.

A więc w pewnym sensie znów byli razem, wszyscy trzej. Tak jak dziesięć lat później na cmentarzu, Júlio. Bolós powiedział, że z Rovirą z każdym dniem jest coraz gorzej, że się pogubił w poszukiwaniu wyidealizowanej Montserrat i że już się dorobił sakramenckiej rzeźączki, ale i tak nie chce odpuścić sobie seksu. Jak tak dalej pójdzie, złapie jeszcze HIV.

– Daj spokój, to duży chłopiec. – Wychylił kieliszek do końca. – Kiedy z nim rozmawiałeś?

– Wczoraj w nocy. Trzymał mnie przy telefonie do rana. Gada tylko o pieprzeniu.

– A jak sobie radzi w pracy?

– Dobrze. Ale myślę, że jest mu obojętna: nie ma pochwy.

– Nie sądzisz, że ta Montserrat... – Miquel potrząsnął głową, jakby chciał z niej wyrzucić jakąś natrętną myśl. – Nie, nic...

– Co chciałeś powiedzieć?

– Nie, nic ważnego.

– Wszystko jest ważne. Mnie to interesuje. Rovira jest moim przyjacielem, a został z niego strzęp człowieka...

– Nie, ja tylko zastanawiałem się, czy... – Podniósł głowę. – Moim przyjacielem też.

– Wiem, wiem. – Pstryknął palcami, zachęcając go, by kontynuował, i natychmiast zza kolumny wyłonił się kelner. – Co chciałeś powiedzieć?

– Panowie sobie życzą...

– Nie, dziękujemy. Ja...

– Dolać jeszcze wina?

– Nie, nie, naprawdę... Nic nam nie trzeba.

Kelner zrobił rozczarowaną minę i zniknął. Bolós tym samym gestem ponownie zachęcił go do odpowiedzi na pytanie. Kelner już wystawił głowę zza kolumny, ale się powstrzymał.

– Już od dawna myślę, że ta słynna Montserrat nigdy nie istniała.

– Coś takiego! Chcesz powiedzieć, że Rovirze odbiło?

– Nie wiem...

– Co to za jedna?

Odwrociłem się. Júlia szła prosto na nas, gotowa do ataku, z jakimś papierem w ręce. Była bardzo poważna i patrzyła mi w oczy.

– Cześć. Dzwonili z Marsylii. Durrell chce z tobą rozmawiać. – Co należało odczytać ty dupku, kiedy ja podejmuję się załatwienia czegoś, to się wywiązuję.

– Bolós, mój kolega. Júlia, koleżanka z pracy.

– Bardzo mi miło.



Zanim Miquel zdążył zapytać, skąd wiedziała, gdzie go szukać, odwróciła się na pięcie i już jej nie było. Szła z podniesioną głową, żeby nie miał wątpliwości, że nadal jest obrażona.

– Ładna, co?

– Słuchaj, Bolós, muszę już iść. – Pomachał kartką, którą mu przyniosła Júlia, żeby usprawiedliwić swój nagły pośpiech. – Próbuję... – ściszyłem głos, żeby zachować sekret i dodać znaczenia wiadomości – dopaść Lawrence'a Durrella.

– Coś takiego. – Zdziwiony, z uznaniem.

– Życz mi powodzenia.

Bolós nie ruszył się z miejsca. Widać było, że jest niezadowolony z nagłego zakończenia obiadu. Wzniósł w kierunku Miquela filiżankę kawy i wycierając usta serwetką, zapytał:

– Jak się nazywa ta dziewczyna, która była tu przed chwilą?

– Júlia.

– Bardzo ładna. Skąd ją wystraszałeś, Miquelu?

Kontakt okazał się świetny, bardzo skuteczny. W pięć minut uzgodniłem wszystko, co dotyczyło podróży i wywiadu.

– No widzisz. – Júlia w redakcji już nie udawała obrażonej. Ucieszyłem się, że tak się angażuje w moje plany. Puściłem do niej oko i podszedłem do mojego biurka, które w międzyczasie zajęła Lali. A ja musiałem odebrać bardzo ważny telefon.

– Przepraszam, Lali. Spiesz mi się. – I do słuchawki: – Słucham.

– Miquel? To ty?

– Teresa. – Zmieniłem ton głosu. Pośpiech, nerwy, wszystko znikło. Teresa. Júlia przyglądała mi się znad swojego biurka, chyba z pogardą, i miałem wrażenie, że prześwietla mnie wzrokiem. – No, co tam?

Pierwszy raz Teresa zadzwoniła do niego do pracy. Do pracy i gdziekolwiek indziej: w ogóle Teresa dzwoniła do niego po raz pierwszy w życiu. Tak jakby już stał się dla niej stałym punktem odniesienia. Tak jakby moja obecność na trzech czy czterech jej recitalach, wspólny wyjazd do Paryża, słuchanie jej wykonania Saint-Saënsa z uśmiechem na twarzy, przyczynienie się do pełnej podziwu wizyty Barenboima i Clareta w jej garderobie, wspólna noc w hotelu, jakby to wszystko złożyło się na coś, co moim zdaniem było nieuniknione.

– Jesteś dziś bardzo zajęty?

Czy jestem zajęty: muszę doczytać *Kwintet awinioński*, przejrzeć notatki z *Kwartetu*, uzupełnić, zaplanować konspekt wywiadu z Durrellem, nawiązać pierwszy kontakt z Magrisem, poczytać jego książkę, którą miałem na biurku, i zaplanować następny wywiad, który na pewno będzie bardzo trudny. Niestety, obiecałem Duranowi, że wykorzystam jedną podróż na przeprowadzenie dwóch wywiadów. Czyste szaleństwo.

– Nie, wcale. Jestem wolny. Dlaczego?

– Chciałabym się z tobą spotkać.

A ja chciałem z tobą żyć, Tereso, moja ukochana. Było niezbitą prawdą, dobrze udokumentowaną, że w tym momencie Miquel Gensana zaliczał się do najszcześniejszych

ludzi na świecie. Stał przy swoim biurku, zajętym przez Lali, tyłem do Júlii, która z pewnością przesywała go wzrokiem, udając, że całą jej uwagę pochłaniają ilustracje przeznaczone na trzecią stronę.

- Kiedy tylko chcesz.
- Przyjdę po ciebie.
- Wiesz, gdzie to jest?
- Tak.
- Jeśli wolisz, ja...
- Przyjdę po ciebie.

Odłożyła słuchawkę. Przez parę minut stałem jak wryty ze słuchawką przy uchu, aż Lali, która musiała zadzwonić, wyjęła mi ją z ręki. Odwróciłem się. Najlepszym dowodem na to, że Júlia mnie śledziła, był fakt, że kiedy się odwróciłem w jej stronę, pochłaniała ją robota. Miquel zebrał swoje papiery, fotokopie materiałów na temat Durrella i Magrisa, powiedział au revoir, je m'en vais à la gloire, przerzucił szalik przez ramię, żeby mu się pięknie udrapował wokół szyi, i wyszedł, gotów czekać na swoją ukochaną na portierni. W tym momencie pojawił się Duran, wściekły jak wszyscy diabli.

- Mówiłeś, że fotograf nazywa się Armand Armand?

Ukochana Tereso, chciałbym całować twój cień, być zawsze u twego boku, nie musieć nigdy doszukiwać się w *Novelletten* Schumanna własnego losu, widzieć cię nagą, obejmować cię, czuć, że mnie kochasz, kochać się z tobą przez całą wieczność i słyszeć twój głos lub głos twoich skrzypiec. To jest szczęście.

Na razie Miquel nie czuł się na siłach, żeby mówić Teresie o tych oczywistych sprawach. Rozmawiali o jej planach; nawet zapytała go o zdanie, czy powinna przygotować konkretne utwory na bis na koncert w Walencji (powiedział, że tak), i poprosiła go, by odprowadził ją do domu i posłuchał, jakie zrobiła postępy w interpretacji koncertu Albana Berga. Teresa czuła się samotna. Ona, która miała wszystko, czuła się samotna; mimo muzyki czuła się samotna. Pili lemoniadę, a on słuchał, jak gra, i przewracał jej nuty, mimo że pierwszą część koncertu знаła już prawie na pamięć. Czuł się tak, jakby słuchał Heifetza, mój Boże, jak dwudziestoparoletnia kobieta może mieć taką intuicję muzyczną.

- Ile masz lat, Tereso?
- Trzydzieści dwa.
- Ja trzydzieści siedem.
- Wiem.
- Nie ode mnie.
- Co o tym sądzisz?
- Grasz z dużą pewnością siebie. W sposób bardzo osobisty.
- Kiedy gram, interpretuję ten koncert jako requiem.

Ja, gdy jej dotykam, czuję pulsowanie życia w żyłach. Ale odwagi starcza mi tylko na lekkie

dotyk, opuszkami palców, z szacunkiem, dotyk ręki, ulotne muśnięcie policzka... trochę więcej śmiałości i zaraz jej powiem, że ją kocham. Nie mogłem uwierzyć w to, że już spędziliśmy razem noc w Paryżu. Jakbyśmy ciągle pozostawali w stosunku do siebie nieskalani. Pewnie dlatego, że ja z Teresą zawsze zaczynałem od zera.

– Tereso, muszę ci coś powiedzieć.

Teresa odłożyła skrzypce do szafy i odwróciła się. Patrzyła na niego pytająco i Miquel zaczął kluczyć:

– Bo...

No bo tak: był dziennikarzem cieszącym się pewnym prestiżem w kręgach zawodowych. Nie osiągnął jeszcze sędziwego wieku. Dobrze się ubierał. Był dobrze wychowany i uprzejmy. Dlaczego więc, Miquelu Któremu Odebrało Mowę, nie potrafisz powiedzieć jej czegoś tak prostego? Dlatego, że Miquel był osobą skłoną podziwiać innych aż do przesady, do tego stopnia, że zaślepiało go to uwielbienie. Tak wielkie uwielbienie sprawiało, że sam siebie pomniejszał. Tak mi się wydaje, w każdym razie to jedna z możliwych teorii wyjaśniających moją wrodzoną skłonność do wpadania w stan odrętwienia na widok pięknych oczu.

– Bo... bardzo się cieszę, że jestem twoim przyjacielem.

Teresa podeszła bliżej. To, co powiedziałem, sprawiło jej przyjemność. Zarzuciła mi ręce na szyję, powoli przyciągnęła do siebie i tak pocałowała, że jeszcze dzisiaj, o bogowie, Júlio, pamiętam ten pocałunek.

Júlia dokończyła kawę i popatrzyła na pustą filiżankę, a ja wyciągnąłem wniosek, że chce jeszcze. Pstryknąłem palcami na maître'a, ale zamiast niego pojawił się jakiś kelner. Wznosząc dwa palce, poprosiłem o następne dwie kawy.

– Nie, dla mnie nie trzeba, ja tylko...

– Kobieto, nigdzie nam się nie spieszy. – Potwierdziłem kelnerowi, że tak, dwie kawy, i zauważyłem, że Júlii kawa była obojętna, zależało jej tylko na słuchaniu, o czym mówi Miquel.

– Mów dalej. Opowiadaj. Chcę wszystko wiedzieć.

– O Bolósie nie wiem nic więcej. Mówiłem ci, że był moim serdecznym przyjacielem, ale miał wiele spraw, o których nie mam pojęcia.

– Kobiety.

– I polityka. Według niego ja w tych sprawach byłem prawiczkim.

– Albo eskapistą.

– Dzięki, Júlio. Do obrażania wystarczam sam sobie.

Śmiechem próbowała pokryć zmieszanie. Ja też się roześmiałem. Mimo że twarz Júlii za bardzo kojarzyła mi się z redakcją, śmialiśmy się oboje, i pomyślałem, że Júlia to piękna kobieta, inteligentna, może nadto uparta, a ja w pewnym mglistym, irracjonalnym sensie od wielu lat czułem się jej właścicielem, może dlatego, że kiedy zaczęła pracować w redakcji, wyznaczyłem jej funkcję mojej asystentki i byłem jej przewodnikiem. Dlatego Miquel zdecydował się przyjąć ton sympatycznego pryncypała:

- Nie wiem, czy mam ci jeszcze coś do powiedzenia o Bolósie.
- Nie szkodzi.
- Właściwie nic ci nie powiedziałem. Mówiłem o sobie.
- Mówię, że nie szkodzi. - Westchnęła znużona. - Mam aż nadto materiału na artykuł.
- Myślę, że nic z tego, o czym ci tu mówiłem, nie nadaje się do publikacji.
- Nieważne. Chciałam bliżej go poznać.
- Tęsknisz za nim?
- Byliśmy przyjaciółmi, już ci mówiłam.
- Przyjaciółmi? Nie wiedziałem, że się spotykaliście...
- No tak, widzisz...

Przez moment Miquel się wahał; nie wiedział, czy może to powiedzieć czy nie. Żeby zyskać na czasie, bawił się talerzykiem, drapiąc go paznokciem, jakby chciał usunąć drobne pęknięcie. Nie wiedział, czy nie byłoby zbyt niebezpieczne powiedzieć jej wiesz, Júlio, problem w tym, że Bolós nie umarł. Został zamordowany.

Już miał to na końcu języka, ale w porę się powstrzymał. Cały ten lęk, który go dręczył od pięciu dni, nagle chwycił go za gardło. Pierwszy telefon zdarzył się pięć dni temu. Nagranie na automatycznej sekretarce. Bolós, nie wiadomo dlaczego, zmienionym głosem recytował pilny komunikat po cichu, jakby bardzo mu zależało, żeby nikt niepowołany go nie usłyszał: „To ja, Franklin. Uważaj, Simó, ktoś nas śledzi. Ciebie i mnie. To poważna sprawa. Oddzwoni do mnie, słyszysz? oddzwoni. Jeżeli jesteś w domu, podnieś słuchawkę, Simó”. Ale Simó nie mógł podnieść słuchawki, bo był właśnie w „Czasopiśmie” i rozmawiał przez telefon z signore Bassanim, który zawiadamiał go, że otrzymał czasopismo „Czasopismo” z wywiadem i było mu bardzo miło, że dziennikarz się wykazał tak dogłębną znajomością jego twórczości, a Miquel myślał: no, Duran, powinieneś to usłyszeć, i Bassani prosił o dodatkowe dwa czy trzy egzemplarze i o oryginał wywiadu w języku francuskim, niech go szlag, signore Bassani, tylko mi tego brakowało teraz, kiedy mam urwanie głowy, starając się uzgodnić termin wywiadu z Andrássem Schiffem, ale ponieważ muzycy nie mogą usiedzieć na miejscu, nie sposób uzgodnić daty i albo w ogóle zrezygnujemy z wywiadu, albo trzeba będzie się umówić w Berlinie, bo tam będzie miał dwa dni wolne. Ale kiedy to zaproponuję Duranowi, powie mi co ty sobie wyobrażasz, Gensana, w głowie ci się przewróciło czy co? Za kogo ty mnie bierzesz? Poszukaj kogoś innego, na świecie pełno jest muzyków. Przeprowadź wywiad z Serratem i nie zwracaj mi głowy. Albo niech będzie Carreras, rozumiesz? Na pewno mu odpowie coś w tym stylu. Tak, signore Bassani, tekst w języku francuskim, ça y est. Dlatego Miquel nie mógł usłyszeć wołania wystraszonego Franklina Bolósa Serdecznego Przyjaciela. Po południu po długich negocjacjach udało mu się przełamać nieufność naczelnego i uzyskać zgodę na przeprowadzenie wywiadu z Schiffem w Berlinie, ale sam mam sobie załatwić fotografa, jak zwykle, i koniecznie musiał mieć zdjęcia obydwu pod Bramą Brandenburską od strony Unter den Linden albo od strony Tiergarten, jak wolisz. Tylko nie przed budynkiem Filharmonii Berlińskiej, bo nikt jej nie kojarzy. Żeby nawet najbardziej nierozgarnięci czytelnicy dostrzegli, jaki nasze czasopismo ma rozmach. Tak, panie Duran. Brama Brandenburska. A kiedy wrócił do domu i wreszcie

mógł się odlać, z ulgą włączył Couperina, a do muzyki popijał zimne piwo i odtwarzał w pamięci wizerunek Teresy, jej dyskretny śmiech, gdzieś w Londynie, o mój Boże, czemu muszę tak cierpieć, i wtedy zauważył, że miga dioda poczty głosowej, ktoś się nagrał, odtworzył i usłyszał to ja, Franklin. Uważaj, Simó, ktoś nas śledzi. Ciebie i mnie. To poważna sprawa. Oddzwoni do mnie, słyszysz? oddzwoni. Jeżeli jesteś w domu, odbierz, Simó. Później milczenie, westchnienie i dźwięk odkładanej słuchawki. To był głos Bolósa. Bez najmniejszych wątpliwości. Dzwonił dwie godziny temu.

– Bolós?

– Tak.

– To ja, Gensana.

– Cholera, Gensana, nareszcie. – Westchnienie ulgi po drugiej stronie kabla. – Uważaj na siebie, słyszysz?

– Możesz mi wyjaśnić, co się dzieje?

Parę sekund wahania. Wyobraziłem sobie, że Bolós się rozgląda, czy nikt z domowników go nie słyszy. Odezwał się szeptem:

– Spotkajmy się teraz.

Żał mi było niedopitego piwa. Wszystko przez manię prześladowczą Franklina.

– Chcesz powiedzieć, że...

– Simó, przysięgam, ja nie żartuję. Przy kolejce linowej, za godzinę.

I odłożył słuchawkę. Odłożył słuchawkę! Bolós, mistrz suspensu! Bolós, naśladowca Orsona Wellesa! Spotkanie przy kolejce na Tibidabo, jakby to był Prater w Wiedniu! Jak za dawnych czasów! Rozeźmiałem się. Ale zamiast iść pod prysznic, zrezygnowany włożyłem buty, dopilem piwo i wyjechałem na jak zwykle o ósmej wieczór zatłoczone ulice.

Dokładnie godzinę później Miquel stał przed kolejką. Tym razem nie obsługiwał jej żujący gumę chłopak z włosami jak marchewka, tylko ciemnowłosa dziewczyna, niezbyt rozmowna, i nie było zbyt wielu chętnych nabawienia się choroby lokomocyjnej w dyndającym na wietrze koszu. Miquel postanowił przekonać Bolósa, że można rozmawiać w zaufaniu bez konieczności narażania się na wymioty; mogli sobie spokojnie zasiąść na metalowych krzeselkach w punkcie widokowym, zaopatrzeni w lody czekoladowe. Po pół godzinie czekania zaczął kłąć na przekłętą Bolósa i jego niepunktualność. Po godzinie zaczęły mu przychodzić do głowy różne myśli, nic konkretnego. A o dziesiątej wieczór, kiedy niebo było już ciemne, zdecydował się do niego zadzwonić, żeby się dowiedzieć, co do cholery się dzieje. Tknięty jakimś dziwnym przecuciem powiedział dobry wieczór, Mario, to ja, Gensana.

– Aha. Chcesz rozmawiać z Jospem Marią?

– Tak. U was wszystko w porządku?

– Tak. Wiesz, nie ma go teraz. A co u ciebie?

– Jakoś leci. Kiedy wróci?

– Nie wiem. Mówił, że wychodzi na chwilę, ale jeszcze go nie ma.

- Nie wiesz, dokąd poszedł?
- Nie. - Zrobiła się czujna. - Dlaczego?
- Nie, nic. Tylko chciałem się zorientować czy... czy... Wiesz co? Jutro do niego zadzwonię.
- Jak chcesz.
- Właściwie to nic pilnego. Pa, buziaki.
- Cześć, Miquel.

Kiedy wesołe miasteczko zostało zamknięte, a czarnowłosa dziewczyna wzięła torebkę i dołączyła do swoich kolegów, Miquel poczuł ssanie w żołądku. Bolósa z jego lękami ciągle nie było. Zaczął się zastanawiać, czy dalej przeklinać przyjaciela, tego durnia, czy lepiej wybrać się na nocny seans do Casablanki. Ale wrócił do siebie z myślą, że powinien przygotować schemat wywiadu z Schiffem i zrobić szybki przegląd jego dyskografii na półce. Kiedy wszedł do mieszkania, dwa czy trzy pomysły, które miał na Schiffa, rozwiały się, bo czekała na niego druga wiadomość.

„Towarzyszu Simó. Teraz kolej na ciebie”. To był jakiś ochryply, nieznajomy głos. Tylko tyle, ot i cała wiadomość. Co miało znaczyć to „teraz”? Zapalili papierosa i poszedł do balkonu. „Teraz”. Mogło znaczyć, że Bolós już... Spojrzał na zegarek: za późno, żeby dzwonić do Marii z pytaniem cześć, Mario, czy Josep Maria wrócił? Cały i zdrowy? Zadowolony? Ach, nie wrócił? No to słuchaj, najprawdopodobniej ktoś go załatwił, nie przejmuj się, to są wojenne porachunki. Miquel wszedł do salonu. Przeszło mu przez myśl, że stojąc na balkonie, jest łatwym celem dla kogoś, kto... Nie: to niemożliwe, żeby w połowie roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego piątego ktoś odgrzebywał... Wykluczył możliwość zawiadomienia policji, bo albo chodziło o głupi dowcip, albo sprawa była poważna. Jeśli była poważna, szalony morderca wyjaśni psom, że on tylko chciał pomścić śmierć swojego brata, kuzyna, siostrzeńca, ojca, dziadka, zmarłego z powodu surowej krytyki wymierzonej w kark. A komisarz Molina odwróci się w moją stronę ze słowami panie Gensana, to pan jest mordercą? a ja będę musiał odpowiedzieć, że w sensie dosłownym nie, ale... skoro pan już poruszył ten temat, nigdy wcześniej nie przyszło mi do głowy, że można to traktować jak morderstwo; ja zawsze interpretowałem ten akt jako śmierć zdrajcy. Ale poczucie winy towarzyszy mi od tamtej pory tak uporczywie, że teraz składam się z mojego ja i z wyrzutów sumienia z powodu tamtej niezbędnej śmierci. To nie ja nacisnąłem cyngiel, panie komisarzu, ale brudnym ręcznikiem ścierałem krew, która płynęła na ziemię, i jeśli to pana interesuje, panie komisarzu, w tamtej chwili nie miałem wrażenia, że popełniam grzech. Natomiast teraz sprawa przedstawia się zgoła inaczej: nie mogę z tym żyć, bez przerwy powtarzam, że moje uczynki będą się za mną ciągnąć przez całe życie. Uczynki i zaniedbania. Jeżeli nie chcesz żyć nieświadomie, musisz dźwigać balast twojej przeszłości. A komisarz Molina podkręci wąsa, zmieszany, i żeby ukryć zakłopotanie, zrobi minę socjologa, historyka i psychoanalityka, wymierzy we mnie palec i z uśmiechem godnym amerykańskiego serialu zapyta interesuje mnie jedna sprawa, Mike: pan, który odebrał staranne chrześcijańskie wychowanie, gruntowne i o odpowiednim ciężarze intelektualnym, teraz mi mówi, że byłby zdolny zabić? Pan, który się porusza w świecie twórczości artystycznej, osoba wrażliwa, twierdzi, że wziął pistolet do ręki i bum? A ja bym zaprzeczył

nie, komisarzu Moulaino, to nie tak. A on drążyłby dalej: ach, więc jak? A ja, ponieważ mam słaby charakter, w końcu wydusiłbym z siebie wielkie kłamstwo, płacząc i krzycząc: to Bolós! To Franklin strzelał, tamci dwaj skurwysyni, Xato i Cunillera, zostawili go półżywego, pojebańcy! I w ten sposób, ze strachu, już bym doniósł na trzech towarzyszy i sam stałbym się zdrajcą, i kwalifikowałbym się do surowej krytyki wymierzonej w kark. Albo w serce: krytykujcie mnie prosto w serce, towarzysze. Celujcie prosto w serce: ono nigdy mnie nie słucha, buntuje się i wymyka spod kontroli, towarzysze.

Tak więc nie mogłem iść się wypowiadać na policji. Ani dzwonić do Bolósa o pierwszej w nocy. Nie wiedząc, co właściwie robi, sprawdził w książce telefonicznej numer do izby przyjęć różnych szpitali, ale nie odważył się... A jeżeli jednak?...

Jeżeli morderca istniał, miał ułatwione zadanie, bo postanowiłem nie ukrywać się, kiedy wychodziłem na ulicę przed czwartą rano. Może to ten niedogolony taksówkarz? Albo kierowca ze staroświeckiej ciężarówki, który wyładowywał ryby przy ulicy Engràcia? Pomyślałem sobie: jak masz strzelać, to strzelaj, i wsiałem do samochodu. Przekręcając kluczyki, zacisnąłem zęby. Eksplozja rozsądziłaby wszystko, a ja, jak Carrero Blanco, wróciłbym na swój balkon, tyle że w kawałkach. Tymczasem samochód ruszył ze spokojnym szumem silnika i wtedy pomyślałem, że to okropne czekać, aż ktoś cię... i skoncentrowałem się na biednym Bolósie. Podjechałem pod jego dom. Nie mogłem dostać się na parking, żeby sprawdzić, czy stoi tam jego samochód. Ograniczyłem się do pokonania odcinka z dzielnicy Font d'en Fargues, gdzie mieszkał, aż do kolejki linowej na Tibidabo, najbardziej prawdopodobną według mnie trasą, jadąc powoli, rozglądając się, czy za kolejnym zakrętem nie pojawi się biało-czerwona policyjna taśma i samochód Bolósa dziurawy jak ser gruyère. Naoglądałem się za dużo filmów. Kiedy wjechał na szosę Arrabassada, pomyślał, że być może to wszystko jest żalonym żartem samego Xato albo Cunillery, i z ulgą zapalił papierosa. Wtedy dostrzegł niebieskie światła migające za zakrętem. Jeden samochód, dwa i policjant niepozwalający się zatrzymywać żadnemu z niewielu przejeżdżających Arrabassadą samochodów. Pewnie komisarz Moulaino wydał rozkazy. Udało mi się dostrzec kątem oka, że coś leży na dnies wawozu, i pomyślałem to ten skurwysyn morderca, to ten skurwysyn morderca, a ręce na kierownicy zaczęły mi drżeć tak mocno, że musiałem zjechać na bok i zatrzymać się w połowie zakrętu Revolt de la Paella, z podobną arytmia jak za dawnych czasów. Po piętnastu minutach czuwania Miquel wrócił do domu, z niepewnością w sercu, czekając, aż jakaś nieprawdopodobnie szybka gazeta opublikuje jeszcze świeżą wiadomość albo że zadzwoni ktoś ze znajomych i powie słyszałeś już o Bolósie? No to słuchaj.

Nie położył się spać. Nie miał odwagi zadzwonić do Marii. A o dziewiętej rano, kiedy teoretycznie powinien się zabierać do uzgadniania wywiadu z Andrássem Schiffem, zadzwonił Pep Comes z „Czasopisma” ze słowami ej, Gensana, słyszałeś już o Bolósie? No to słuchaj.

Kiedy pił poranną herbatę, po strasznej nocy, program informacyjny Bassasa w radiu potwierdził wiadomość, że poseł do Parlamentu Katalonii Josep M. Bolós nie żyje, zginął w tragicznym, zaskakującym wypadku drogowym, który miał miejsce tego ranka na szosie

Arrabassada. Czy Miquela zmieszały się z herbatą, bo teraz oplakiwał Bolósa, przyjaciela, który był przy nim od wieków, czasem bliżej, czasem dalej, ale nigdy nie przestał być przyjacielem, a pod tymi łzami kryły się inne silne uczucia, jak niepokój, co teraz będzie ze mną, jeżeli głos tej drugiej wiadomości był prawdą, a nie przywidzeniem. Zabili go i nie mogą pójść na policję, żeby o tym powiedzieć.

Na cmentarzu ukryłem się za ciemnymi okularami i chociaż oficjalnie byłem uznawany za serdecznego przyjaciela Bolósa, ustąpiłem miejsca jego nowym przyjaciołom, nowym towarzyszom z nowej partii, ważnym osobom, które chciały złożyć hołd politykowi z taką przyszością, właśnie odartemu z przyszości. Daleko ode mnie Maria, milcząca, która nie spytała, jak to się stało, że zadzwoniłem dokładnie wtedy, kiedy Bolós umierał. A jeżeli wypadek naprawdę był wypadkiem? Nie mogłem zdjąć okularów, bo byłem przekonany, że nie, że to nie był wypadek, o czym najprawdopodobniej wiedzieliśmy tylko nieszczęsny Franklin i ja. No i oczywiście morderca. O dziwo, nie czułem lęku, mimo gróźb sączonych ochryplym głosem, który zakomunikował Towarzyszu Simó. Teraz kolej na ciebie. Znad morza wiał ciepły wiatr. Do miejsca, z którego Miquel obserwował ceremonię, ledwie docierały mowy oficjalnych przyjaciół pośła, a ja miałem do powiedzenia tylko tyle: Bolós, czemu musiałeś umrzeć, Franklin, przecież twój czas jeszcze się nie wypełnił. I wtedy poczułem na karku dotyk i odwróciłem się. Nie zauważyłem ogromu morza, które lizało podnóża góry Montjuïc, tylko anachroniczną brodę, której właściciel patrzył w dal zażawionymi oczami. W tej chwili nie miałem ochoty na rozmowę z Rovirą. Zrobiłem niezbyt zachęcającą minę pod tytułem cześć, nie chce mi się teraz z nikim rozmawiać, spadaj, później pogadamy.

– Zgoda – odezwał się Rovira. Wziął mnie pod ramię i poprowadził drogą pnącą się w górę; po prawej groby, po lewej bezmiar morza, i zaczął rozprawiać o przeznaczeniu, o nieprzewidywalności wypadków drogowych i o roli przyjaźni.

– Chcę być sam, Rovira.

– Biedny Bolós jest sam. Sam jak kamień [\[20\]](#).

Spojrzał na mnie spod oka, żeby sprawdzić, czy cytat zrobił na mnie wrażenie. Rovira, zawsze dwadzieścia pięć lat do tyłu. Poczułem nieoczekiwany przypływ czułości do tego faceta z brodą, w wełnianej budrysówce, samotnego, samego jak kamień, i postanowiłem nie wtajemniczać go w sekret śmierci naszego przyjaciela, sekret, który znałem od tamtego ranka, ponieważ ochryplý głos, z którym już zdążyłem się oswoić, znów nawiązał kontakt z sekretarką automatyczną w moim telefonie, przed szóstą rano. Obudziłem się i jeszcze nie całkiem przytomny przerwałem jego monolog. Ochryplý głos nie miał nic przeciwko temu, żeby ze mną pogadać, mimo że jeszcze nie całkiem się rozbudziłem.

– Wie pan, co dzisiaj zrobiłem, panie Simó Gensana?

– Nie. A co?

– Zlikwidowałem jednego z wyższą kartą. Ty wyciągnąłeś ósemkę, a Franklin Bolós waleta.

Pierwszy raz w życiu tak wcześnie sięgnąłem po papierosa i wypaliłem go w milczeniu,



a głos uszanował moją panikę.

– Co, już doszedłeś do siebie?

– Coś ty za jeden?

Ochryplą głos nie zraził się długą ciszą, która zapadła w naszej rozmowie.

– Chociaż wcześniej miałem zamiar zacząć od ciebie.

Teraz przestraszyłem się nie na żarty.

– Słyszysz mnie?

– ...

– ...

– T-tak. Kim jesteś? Dlaczego to robisz?...

– Wiesz, dlaczego cię nie zlikwidowałem?

– ...

– Bo nie stanąłeś w dobrym miejscu w odpowiednim momencie. Dlatego przyszedł mi do głowy ten pomysł z kartami.

– Pójdę na policję.

– Leć, na co czekasz.

– Nie boję się ciebie.

– Słuchaj, Simó: nie jestem paranoikiem. Zemściłem się, i kropka. Ty wiesz, że śmierć twojego przyjaciela to nie był wypadek. Dlatego ci to mówię. Nie rozmawiam z tobą dla przyjemności.

– Ale... Bolós... Franklin... – Miquel rozglądał się rozpaczliwie wokół siebie, ale żadna z książek na półce nie ruszyła się z miejsca, żeby mu pomóc. – On nie... On nikogo nie zabił!

– Ach, nie...

– Tak. To ja byłem tym, który...

Ochryplą głos zaczął się śmiać i w trakcie tego śmiechu, gwałtownie, nagle, rozłączył się. Miquel już nie wrócił do łóżka. Siedział parę godzin ze wzrokiem wbitym w ścianę i oplakiwał swojego Franklina Bolósa, którego za parę godzin mieli pochować na Montjuïc.

Kiedy wróciłem do domu i mogłem wreszcie ściągnąć ciemne okulary, na sekretarce zastałem nagrany trzecią wiadomość: „Miquel, musimy się zobaczyć. Koniecznie musimy się umówić jutro na kolację. Musimy porozmawiać o Josepie Marii Bolósie. Przyjadę po ciebie o ósmej. Gdybyś nie mógł... Ale będziesz mógł, prawda?”. I Miquel pomyślał, że tak, będzie mógł, że z nikim nie jest wtedy umówiony, nigdy się z nikim nie umawiał. Nie mógłby się stawić tylko w przypadku, gdyby ktoś go zabił w piątek przed ósmą wieczór. Júlia: czego chciała się dowiedzieć o Bolósie? I co takiego Júlia o nim wiedziała?

Miquel uśmiechnął się, patrząc na Júlię. Nadal bawił się, drapiąc paznokciem talerzyk pod filiżanką kawy. Są sprawy, o których nie da się opowiedzieć kobiecie. Nie możesz jej też powiedzieć, że jecie kolację w restauracji, która była twoim domem. Dlatego Miquel ograniczył się do powtórzenia jeszcze raz:

– Nie wiedziałem, że się spotykaliście, ty i Bolós.

Júlia spojrzała na mnie z głębokości swojego życia i wtedy Szawel znów spadł z konia na tę samą stronę, ale tym razem w sposób groteskowy wyrznął zębami w asfalt na drodze do Damaszku i całkiem zbity z tropu powiedział nie.

– Tak, spotykaliśmy się – zaskoczyła mnie. – Twój Bolós i ja byliśmy kochankami.

Miquela, podobnie jak niewiernego Tomasza, dosłownie zatkało. Chciał włożyć palec do rany, rękę, aż po łokieć.

– Od kiedy?

– Od dnia, kiedy nas sobie przedstawiłeś. – Uśmiechnęła się, Júlia? – Dziesięć lat temu.

Bolós, mój kolega. Júlia, koleżanka z pracy. Bardzo ładna. Skąd ją wytrzasnąłeś, Miquelu.

Bolósie, ty skurwysynu, kiedyś dzieliłeś się ze mną swoimi marzeniami, aż pewnego dnia przestałeś, bo kręciłem nosem, gdy mówiłeś o Partii Socjalistycznej, bo jeszcze mi nie przeszedł kac po naszej wojnie, po struzce krwi na mokrym ręczniku, i uważałem, że polityka to kupa gówna. Co za sukinsyn, ten Bolós. Tak bardzo byliśmy sobie bliscy, ale nigdy nie doszło między nami do zwierzeń sercowych, bo mężczyźni, z wyjątkiem Roviry, zawsze są zaskakująco wstydlivi w sprawach uczuć i udają, że w życiu serce się nie liczy, i chodzą z głową w obłokach, szukając teorii, żeby tylko nie powiedzieć parę dni temu poznałem taką dziewczynę, że aż nogi się pode mną ugięły i nie wiem, co mam zrobić, bo kocham Marię. Wyobrażasz sobie, Bolós? Ja ci przedstawiłem tę nieskalaną, delikatną panienkę, dwudziestolatkę, która należała do mnie osiem godzin dziennie i której nie odważyłem się tknąć. Cholera, Franklin, zdradziłeś mnie, pieprzyłeś przez dziesięć lat moją asystentkę i żadne z was nie pisnęło ani słowa; ukrywaliście to przede mną. Miquel poczuł się ośmieszony niczym rogacz, jak don Maur II Gensana Rogacz w Fantazji Wujka Maurycego, bo przypisywał sobie coś w rodzaju moralnego prawa pierwszej nocy do Júlii. Bolós, a co z Marią? Zdradzałeś Marię? Tyle gadania o moralności socjalistycznej, a potem bara-bara... Przepraszam, Franklin, chyba się zagalopowałem. Ale trochę ci zazdrościsz, bo muszę ci się przyznać, że nie raz i nie dwa miałem ochotę zaciągnąć Júlię do łóżka. Zabrałeś do grobu tajemnicę ukrywaną przed Marią i przed twoim przyjacielem. A teraz ja i twoja kochanka próbujemy ułożyć ci fałszywy nekrolog, w którym nie będzie żadnego z sekretów, ważnych w twoim życiu, ani też powodu, dla którego musiałeś umrzeć, ani twojego lęku w ostatnich godzinach, kiedy umówiłeś się ze mną przy kolejce i nie przyszedłeś.

– Wiedziałem – uśmiechnąłem się. – Sam mi powiedział.

Wtedy zorientowałem się, że Júlia płacze bezgłośnie i próbuje stłumić ból, tuszowany aż do tej chwili wymuszonym uśmiechem. Musiało upłynąć parę sekund, wiele sekund, tysiące sekund, zanim wyciszyło się jej cierpienie, a Miquel zawstydzony zdał sobie sprawę, że pomyślał tylko o sobie, kiedy usłyszał z ust Júlii twój Bolós i ja byliśmy kochankami, i do głowy mu nie przyszło, co może myśleć Júlia, że przecież ona potrafi kochać, ma swoje życie osobiste, wcale nie takie nieuporządkowane, jak sądziłem, i ma prawo czuć się nieszczęśliwa. Pomyślałem, jakie to żalodne, że intonuję tu swój lament przed silną kobietą, która mimo tego, że była ode mnie dużo młodsza, ma w duszy otwartą ranę i właśnie dawała mi pokazową lekcję, jak nie robić dramatu z własnej tragedii. Wtedy zasugerowałem, że może dość już tej kolacji.

- Jak sądzisz, Júlio? - Po raz pierwszy dotknąłem jej dłoni, serdecznie.
- Nie. - Okazała zdecydowanie godne babki Amèlii. - Przyjechaliśmy tutaj rozmawiać o Josepie Marii i będziemy rozmawiać o Josepie Marii.
- Czemu nie powiedziałaś Duranowi, żeby sam sobie napisał ten artykuł?
- Ja go chcę napisać. Jako coś w rodzaju hołdu.
- Wydaje mi się, że ty wiesz więcej o Bolósie niż ja. - Miquel powiedział to skonsternowany, przygnębiony.
- Ty wiesz o nim to, czego ja nie wiem. Był bardzo zamknięty w sobie. - Z wściekłością otarła niechcianą łzę. - Mów, opowiadaj, Miquelu. Wszystko jedno, możesz mówić o sobie. - Po chwili milczenia: - Proszę...
- Dobrze. Ale doszliśmy do momentu, kiedy całe moje życie sprowadza się do Teresy.
- No to mów o Teresie. - Chusteczką rozmazała tusz i z wymuszonym uśmiechem dodała: - Mów o czymkolwiek. Miquel, proszę: wszystko, tylko nie milczenie.

- Witaj, ojciec.
- Słucham?
- To ja, Miquel.
- Miquel?

Cisza bardzo odległa i ciężki oddech. Dlaczego zniknąłeś w taki sposób, czemu nic nie powiedziałeś matce, dlaczego nam niczego nie wyjaśniłeś, dlaczego wykreśliłeś nas ze swojego życia? Dlaczego założyłeś nową rodzinę?

- Ojciec?
- Tak. Czego chcesz?
- Mam brata?
- Po co dzwonicz? - Zmiana tonu: - Skąd masz mój numer?
- Wujek Maurycy zmarł już... Kiedy ty... Zmarł w tym samym roku, kiedy ty uciekłeś.

Kolejna porcja ciszy i nieskończenie wiele mil morskich pomiędzy mną a ojcem. Czy raczej między ojcem a jego przeszłością, która już przestała dla niego się liczyć. Z drugiego końca świata dobiegł zachrypnięty głos:

- Wiem. To był dla mnie cios.
- Ojciec, dlaczego zatarłeś za sobą wszystkie ślady?
- Co to, rachunek sumienia?
- Matka zmarła w czwartek.

Teraz cisza wystawiła kolce. Wydawało mi się, że ojciec próbuje opanować oddech, żeby nie ujawnić swoich emocji, jak zwykle.

- Biedaczka - powiedział coraz bardziej niewyraźnym głosem.
- Skurwysyn: biedaczka. Ogarnęła mnie wściekłość.
- Masz wnuka. Ma na imię Maurycy i jest podobny do ciebie.

W tym momencie Miquel II Gensana Zmysłacz Rzeczywistości odłożył słuchawkę, nie informując ojca, że wujek Maurycy napisał do niego długi list w zeszytce z czarną okładką; nie powiedział, jak sobie radzili, kiedy ich zostawił gołych i bosych; nie przyznał się, że matka umierała w samotności, sama i smutna, bez swoich Miqueli, zastanawiając się ciągle, dlaczego Pere mi to zrobił.

Nie zdążył jeszcze odłożyć słuchawki, a już podeszła mu do gardła, aż się zachłysnął, cała seria śmierci w rodzinie, już za jego czasów, które pozostawiły mu gorzki posmak, bo gorycz

czyjeś odejście trudniej przełknąć niż gorycz nieuchronności śmierci jako takiej. Oczywiście, kiedy zmarł dziadek Ton, on był za mały, żeby to pamiętać. Ale zgony osób, które kochał, zaskakiwały go zienacka, daleko, gdy głowę zajęta miał czym innym, i w konsekwencji położyły się cieniem na jego sumieniu. Kiedy jeszcze nikt nie miał pojęcia o projekcie Equus i Simó, Apostoł Pogan, niósł sztandar awangardy rewolucyjnej, rodzina nie mogła go zawiadomić o śmierci babki Amèlii. Dowiedział się o niej dwa dni po pogrzebie, z nekrologu, w którym został wymieniony jako wnuczek pogrążony w smutku, tuż przed informacją, że rodzina prosi o nieskładanie wieńców ani też nikogo nie zaprasza się osobiście. Rodzina nie mogła go zawiadomić, bo nie mieli jak nawiązać z nim kontaktu, bo ciągle się przeprowadzał, on, książki, pistolet i trzy zmiany bielizny, regularnie co dwa tygodnie, więc nikt mnie nie zawiadomił, Júlio. Nikt. Dlatego fatalnie się poczułem, aż mi się zakręciło w głowie, kiedy przeczytałem nekrolog w „La Vanguardii”, przegryzając croissanta w barze śmierdzącym przypaloną oliwą. Doña Amèlia Eroles, wdowa po Antonie Gensanie, spoczęła w Panu po latach znoszenia oschłego, zgorzkniałego męża i udręczonego bujną wyobraźnią przybranego syna, którego przyjęli, jak to się mówi, pod swój dach na początku wieku. Doña Amèlia, mama Amèlia, babka Amèlia, Ukochana, o Słodkim Spojrzeniu, która zniosła śmierć dwóch córek i pierwszego wnuka i nie załamała się, która zgasła jak lampka bez oliwy pewnego listopadowego poranka, w obecności przybranego syna, syna biologicznego i synowej, przy skandalicznej nieobecności jedyne wnuka. On w tym czasie naprawiał świat z pistoletem w sportowej torbie i dlatego nikt go nie mógł zawiadomić przez zaszyfrowaną wiadomość, Simó, twoja babka nie żyje, zmarła w wieku osiemdziesięciu pięciu lat zaopatrzona w Święte Sakramenty i Apostolskie Błogosławieństwo. Jej ukochane dzieci, Pere Uciekinier z Milczącą Marią, Maurycy bez Ziemi, wnuk Simó Apostata, i reszta rodziny proszą o modlitwę w jej intencji. To wtedy ojciec go przekreślił: jeżeli nie chce przyjść na pogrzeb własnej babki, mojej matki, to jest bez serca. I Miquel nie zjawił się na pogrzebie. Na cmentarz udał się następnego dnia; to była bardzo mglista środa; jeszcze czuł smak croissanta w ustach. A z cmentarza poszedł prosto do domu, wbrew wszelkim zasadom bezpieczeństwa, o których sam pouczał swoich uczniów. Dostrzegł cię wyrzutu w spojrzeniu wujka i matki; ojciec był w fabryce. W sercu Miquela powstała nowa rana, wryta przez wyrzuty sumienia.

A kiedy udało mu się ponownie nawiązać kontakt z wujkiem Maurycym, kapryśny hermafrodyta wysłał go na wywiad, mimo że w „Czasopiśmie” nie było jeszcze działu wywiadów, z Martinem Amisem, bo właśnie wujek miał umrzeć. Śmierć matki również zaskoczyła go z dala od łoża agonii, bo matka osłabła, a przede wszystkim straciła chęć życia i zmarła sama, w mieszkaniu w Feixes, podczas gdy on gonił za jakimś marzeniem w Barcelonie. Czyli po prostu zamknięty w domu pisał esej o poezji Foixa. Kiedy ktoś umiera, nigdy nie ma mnie tam, gdzie powinienem być, Júlio, a potem cierpię. Dlatego kiedy już odłożyłem słuchawkę, zanim o wszystkim zapomniałem, życzyłem ojcu, który nie był przy śmierci matki, ciężkich wyrzutów sumienia. Wiem, że daleko mi do doskonałości, Júlio.

Już dochodzę do końca mojego dzieła ciemności, kochany Miquelu. To ostatnie kartki w zeszyte z czarną okładką i ostatnie chwile mojego życia. Kiedy już dojdę do najbardziej mrocznej części wyznań, nastanie noc. Spędzę ją na czuwaniu przy zgaszonym świetle, żeby sierżant na mnie nie krzyczała. A jutro, gdy słońce pojawi się nad horyzontem, zanim wyjdę z pokoju na mdłe powszednie śniadanie, postąpię tak, jak wszyscy mężczyźni w naszej rodzinie: usiądę, spojrzę na pejzaż i umrę nagle.

Muszę ci wyznać, że jestem taki, jakim i ty w końcu się staniesz: człowiekiem przekonanym, że życie bez wzlotów i upadków jest klęską. Ludzie nie pozwolili mi kochać tak, jak chciałem; wyznaczyli mi rolę, można by powiedzieć, kobietą – obserwowania wszystkiego i przeżywania w zamknięciu czterech ścian domu, w sposób tak dogłębny, jak tylko kobiety potrafią. Oficjalną przyczyną był hazard: poker i ruletka. Miałem lekką rękę do wydawania pieniędzy, nie grały długo miejsca w mojej kieszeni. To prawda, że straciłem sporo grosza, kusząc los, prawda, że byłem tym, którego lekarze nazywają nałogowym hazardzistą. Ale również prawdą jest, że wszyscy lekceważyli mnie jako nieszkodliwego dziwaka, zatopionego w książkach i w muzyce.

O, jakże się pomylili, Miquelu. Bo ja sam, zza moich książek i zza fortepianu, uczyniłem więcej zła niż mój zniechodzony przybrany ojciec. W kronikach zapisano, że zwariowałem, kiedy twój ojciec uciekł. Tak było. Ale ziarno szaleństwa zakiełkowało we mnie dopiero wtedy, gdy zrozumiałem, że nie będę mógł prowadzić normalnego życia u boku ukochanego. Rozpacz doprowadziła mnie do stworzenia prawdziwego dzieła sztuki, zdolnego mnie wyzwolić; odnalazłem starą formułę alchemiczną, która nadaje sens au dur désir de durer, by zaspokoić moje obsesyjne skłonności faustyczne. Wiesz, jak udało mi się to osiągnąć? Co to za dzieło sztuki? Piękna historia romansu twojej prababki Pilar Prim de Gensana, Miquelu. Nigdy nie byłem z nią tak blisko, żeby znać jej intymne sekrety; nigdy nie znalazłem zeszytu z czarną okładką, który pisała w chwilach słabości. Ta namiętna i smutna Pilar to mój wytwór, Miquelu, moje wielkie dzieło. To ja wymyśliłem historię jej amatorów z nudnym fabrykantem z kręgu znajomych rodziny. Ona nigdy nie sprzeniewierzyła się małżeńskiej wierności, a wybitny poeta Maur II Boski błędnie i niesłusznie został przeze mnie przezwany Rogaczem.

Napisałem tę piękną historię w natchnieniu; zajęło mi to dwie noce i gorzko płakałem, ponieważ słowa przelane na papier nie nabierały życia. Ale pocieszyła mnie myśl, że tak jak dzieło sztuki oddziałuje na życie już od chwili powstania, te papiery wpłynęły na życie moich postaci, członków mojej rodziny, między innymi na twoje, w taki sposób, że wszyscy

przedstawiciele rodu Gensanów są moim dziełem. To taka gra? Nie wiem. Jeśli już, to gra bardzo okrutna, bo nie znałem aksjomatu głoszącego, że sztuka jest prawdą i w sztuce jest prawda sztuki, która często ma większą moc niż życie. Na wszelki wypadek schowałem ten niedokończony zeszyt, zapisany kobiecą kaligrafią i niezbyt udanym kobiecym stylem, między tomami prawa kanonicznego, przekonany, że nikt tam nigdy nie zajrzy. Ale oto pewnego dnia poeta zajrzał i znalazł zeszyt. Czy jest możliwe, że ten zeszyt przyspieszył śmierć Maura II Boskiego? Prawda jest taka, że swoją prawdziwą reakcją nadał on prawdopodobieństwo zmyślonej historii. Po prostu tylko jego było stać na taki gest: przyzwyczajony jako poeta do życia z głową w obłokach, natychmiast wziął sobie do serca słowa zapisane na papierze, które były kłamstwem, ale które tworzyły prawdę literacką, i odrzucił rzeczywistość, długie lata przeżyte u boku twojej prababki. Artyści już tacy są, Miquelu: ich prawdą jest ten świat, który sobie zmyślą. Dlatego tak trudno jest żyć z poetą. O ile ta piękna historia nie była rzeczywistą prawdą, była nią na pewno reakcja Boskiego: on uwierzył w zeszyt, nadał mu status rzeczywisty, a mnie unieśmiertnił. Wszystkie jego późniejsze reakcje (wezwanie notariusza, zmiana testamentu, zajęcie miejsca w galerii portretów i śmierć) były autentyczne i prawdziwe. I bardzo literackie. Wyobrażam sobie jego przerażenie, kiedy czytał ten pamiętnik przy biurku w bibliotece, i jestem przekonany, że zdrada małżonki nie dotknęła go aż tak bardzo jak oczywisty fakt, że jego ród (*O, ziarno uśpione w jaśminu krainie, / powoli nabrzmiewasz w łonie matki tkliwej*) nie należał do niego, tylko jakiegoś nędznego Perego Rigau.

Późniejsze reakcje, konsekwencja prawdziwej reakcji Poety, niesłusznie przeze mnie określanego w poprzednich kronikach przydomkiem Maur II Bycza Głowa Gensana, też były prawdziwe. Zwłaszcza nienawiść twojego dziadka Tona, mojego ojczyma. W tamtych chwilach ja, który z Maurycego bez Ziemi na mocy słowa stawałem się Maurycem I Panem Wszystkiego, postanowiłem zaakceptować te rzeczywiste reakcje: przez Słowo, ze Słowem i w Słowie stawałem się jedynym prawdziwym Gensaną, jako syn ukochanej Carloty. A wy wszyscy pochodziliście z nieprawego odrostu, jakim był dziadek Ton; podobało mi się, że dla Historii zamieniłem go w Antona III Gensanę Bękarta, ponieważ jego reakcja, kiedy się dowiedział o zmianie testamentu, była godna bękarta, bo skupił się wyłącznie na tym, by jak najbardziej mi zaszkodzić, chcąc odzyskać to, co mu odebrała Sztuka. Również godna bękarta okazała się rzeczywista reakcja mojego przybranego ojca Antona III Na Którego Grób Naplułem, a jeszcze bardziej bękarcia była reakcja twojego ojca Perego I Uciekiniera, najbardziej dla mnie bolesna. Z tego powodu Kronikarz nazwał ją źródłem Sześciu Wielkich Symfonii. Pere odziedziczył styl działania po ojcu i zmusił mnie, bym was zdradził, pomagając mu w ucieczce. To mnie doprowadziło do szaleństwa. Czasami bywałem dumny z mojego literackiego dzieła, to znów cierpiałem, bo nawet do głowy mi nie przyszło, mnie, uczniowi czarnoksiężnika, jaką straszną moc ma Słowo i do jakich może doprowadzić konsekwencji. Nigdy ci się nie przytrafiło w życiu, Miquelu, że twoje czyny wykroczyły daleko poza twoje intencje?

(W tym momencie Miquel pomyślał: tak, Toro, tak. A Júlia słuchała i nie drgnął jej ani jeden mięsień twarzy.)

Z tego właśnie powodu ja, pensjonariusz sanatorium, postanowiłem się przed tobą

wyspowiadać – żywym słowem, kiedy mnie odwiedzałeś, na piśmie teraz, kiedy cię nie ma, a ja mam umrzeć; abys się dowiedział, jaki byłem, abys nie myślał, że nienawiść, którą emanowały ściany domu i której przyczyn nikt ci nie wyjaśnił, była winą tych, którzy ją odczuwali, i też dlatego, że w ten sposób, mam nadzieję, będę żył w twojej pamięci. A może byś to opisał, Miquel? Żyłbym dłużej w cudzym słowie.

Godne jest i sprawiedliwe, abyśmy teraz wrócili do Drzewa Początku Biologicznego, tak Prawdziwego jak Prawdziwie Najprawdziwszym było to, które wzięło początek z Literatury. Zauważysz, mój drogi, że jest całe grono naszych przodków, którzy nie zmieścili się w mojej Kronice. Historia, podobnie jak Sztuka, dokonuje selekcji materiału. Niepokoi mnie tylko myśl, że być może taki Miquel Galceran Gensana czy Mercè Gensana dostarczyliby nam jeszcze ciekawszych opowieści. Ludzkie ograniczenia zmuszają mnie, bym ich wyrzucił na śmietnik Historii, być może z krzywdą dla nich. Skoro nie zmieścili się w mojej kronice, nie przetrwają w pamięci. Zaraz się przekonasz, że ja już wyznaczyłem dla siebie termin ważności.

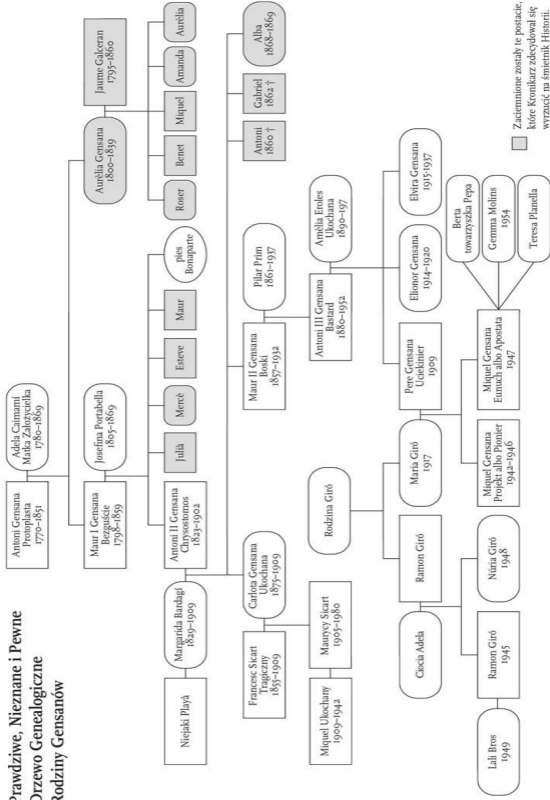
Ja też pozwoliłem sobie na uzupełnienie dotyczącej mnie kratki, Júlio.

Słońce już zaszło i szybko robi się ciemno. Straciłem parę minut, robiąc dla ciebie lwa abisyńskiego. Niewykorzystany papier japoński pewnie się zmarnuje; jestem przekonany, że kapitan zanieś go do ubikacji. A teraz kończę wyznanie na ostatniej stronie zeszytu.

Prawdą jest, że cię kocham, Miquelu II Gensano, mój Wyłączny Spadkobierco. Choć ty mi zapewne nie przebacysz tylu prawd i tylu prawdziwych konsekwencji, które najprawdopodobniej przyczyniły się do tego, że zostałeś bez ojca i bez domu.



# Prawdziwe, Nieznane i Pewne Drzewo Genealogiczne Rodziny Gensanów



■ Zciemnione zostały te postacie, które Kronikarz zdecydował się wyrzucić na śmietnik Historii.

Chcę, żebyś wiedział, że spędziłem całe życie od pogrzebu do pogrzebu. Ty też pójdziesz w moje ślady, począwszy od mojej śmierci: kiedy zaczniesz chować swoich bliskich, to sygnał, że przestajesz być młody, bo życie rodziny idzie naprzód dzięki zmarłym – twoim zmarłym, którzy z każdą śmiercią zostawiają cię coraz bardziej odsłoniętego na przeciwności losu. A kiedy osiągniesz sędziwy wiek, dowiesz się, że wszystkim w życiu duchowym starca jest przeszłość. A dla przeszłości, w momencie, w którym ją wspominam, jest obojętne, jak długo trwała. Moja przeszłość to czyste działanie, zachłysnąłem się wspomnieniem, które wraca w sposób jednorazowy, jedyny i całkowity. Ani nie ma trwania, ani nie może się powtórzyć. Moje życie, Miquelu, teraz, gdy znalazłem się na brzegu ciemnego jeziora, jest jednym wielkim aorystem.

„Tu się kończy dzieło ciemności, w którym jestem pogrzebany od ponad siedemdziesięciu lat, i choć próbowałem na wszelkie sposoby, nigdy mi się nie udało przebić przez skorupę i przewyciężyć przerażającą ciemność”.

JEAN-JACQUES MAURICE SANS TERRE

Adagio (Choral: *Es ist genug!*)

Nie było mnie tam, Júlio. Podczas premiery koncertu Albana Berga na skrzypce i orkiestrę, z partią solową Teresy Planelli na skrzypcach i Danielem Barenboimem dyrygującym Paryską Orkiestrą Symfoniczną, ja właśnie rozmawiałem z Lawrence'em Durrellem o Mountolive. Nie, żebym się skarżył, owszem, Durrell zrobił na mnie ogromne wrażenie. Ale ja chciałem być u boku Teresy. Później powiedziała mi, że nie mogli pójść na ostrygi do Procope, ponieważ Armand kupił bilety do San Sebastián, nie biorąc pod uwagę, że wykonawcy to też ludzie i czasami jest konieczne i wskazane jeść ostrygi i niczym się nie przejmować u boku Barenboima i uroczej, milczącej dziewczyny, a tymczasem Armand otwiera kalendarz, planuje trasy koncertowe i oblicza. Do dziś nie mogę zrozumieć, czemu Teresa nie buntowała się przeciw tyranii swojego ekskochanka. Przeszło mi też koło nosa trio Czajkowskiego, które Trio Rimsky wykonywało w San Sebastián i w Saragossie. Nigdy go nie słyszałem w wykonaniu Teresy. Na pewno by mi się podobało. Ponoć Czajkowski nie cierpiał tej formy, trio z fortepianem, i zgodził się skomponować tylko to jedno, prawdziwą perelkę, ponieważ jego anielska protektorka walnęła pięścią w stół i zmusiła go do pracy.

Osiągnięcie równowagi w życiu jest prawie niemożliwe. Teresa była wtedy u szczytu swoich możliwości, dorobiła się szerokiego repertuaru i z niefrasobliwością doprowadzającą mnie do rozpaczki powierzała swoje życie, swoje przedsięwzięcia, swoje zmartwienia bezwzględnemu Armandowi, dla którego liczył się tylko grafik koncertów, a ją traktował z zimną obojętnością. Owszem, pozwalał jej zarobić dużą kasę, ale nie dawał ani chwili wytchnienia. Tymczasem Miquel Penelopa Gensana czekał w domu na telefon, na słowa Miquel, właśnie przyleciałam, jestem na lotnisku. Czekał, dziergał i pruł szalik wierności, a drugą ręką pisał ten esej, którego na pewno nie przeczytałaś, na temat poezji Joana Vinyolego.

– A właśnie że przeczytałam.

– No i co?

– Dobry.

Dobry. Dwa miesiące pracy, dobry. A Espriu wymknął się nam po cichu, umierając w dniu, kiedy Teresa grała w Palmie, a ja jej towarzyszyłem. Wtedy było mi żal, że nie mogłem być obecny na pogrzebie poety, na jego cmentarzu.

– Ty zawsze żałujesz tego, czego nie robisz.

– Tak.

– A czemu nie cieszysz się z tego, czym się zajmujesz?

– Teresa też mi powtarzała, że jestem niepoprawnym malkontentem. Pod tym względem Bolós lepiej sobie radził, potrafił koncentrować się na tym, co robił.

– Josep Maria nie był szczęśliwy.

– Nie wierzę. Bolós umiał się bawić i zawsze opowiadał o tym, co właśnie robi. Ten optymizm powinien pasować do twojego artykułu.

– Udawał.

– Dziewczyno, komu ty to mówisz.

Júlia poprawiła się na krześle.

– Mówiłam ci, że Josep Maria ci zazdrościł.

– Mnie?

Niewiarogodne. Bolós zazdrościł Miquelowi Malkontentowi, zazdrościł człowiekowi, który zaczął się kręcić wokół Teresy Planelli jak truteń, licząc dni, kiedy będzie w Barcelonie, kiedy wróci, zakochując się w muzyce, w głosie, w jej cierpliwości...

– O czym wy, przyjaciele, rozmawiacie przy piwie?

– O wszystkim.

Akurat, o wszystkim. Nawet się nie zająknął, że ma romans z Júlią i o związanych z nim obawach i wątpliwościach, ani o marzeniach. Gównu, o wszystkim. O niczym, przyjaciele rozmawiają o niczym. Aż doszło do pierwszej sprzeczki z Teresą. Umówiłem się z Armandem u siebie w domu, żeby mu uświadomić, że nie daje jej odetchnąć, żeby choć czasem pomyślał, że Teresa jest człowiekiem. Co ty sobie wyobrażasz, że zbijesz na niej miliony?

– Głupi jesteś, Miquel.

– Poszukaj sobie innego muzyka, żeby go wyciskać jak cytrynę.

Armand odstawił piwo na stół i uśmiechnął się.

– To rozkaz?

– Myśl sobie, co chcesz.

– No więc myślę, że nic nie słyszałem. To nie twoja sprawa.

– A właśnie, że moja: przeciągasz strunę i któregoś dnia dziewczyna pęknie.

– Nic nie rozumiesz.

Armand popatrzył na mnie, jakby rozważał, czy od razu posłać mnie do diabła, czy mi współczuć, poklepać po ramieniu i zrobić mały wykład. Wybrał to drugie.

– Wiesz, jak wygląda życie wirtuoza?

Pewnie, że wiedział. Ciągłe ćwiczenie, ciągłe podróże, sztuka w małym palcu, szczęście na wyciągnięcie ręki, poznawanie świata, nowych, ciekawych ludzi, znajomość z Miquelem Gensaną, z którego wprawdzie nie ma żadnego pożytku, ale co z tego; nieustanne przeświadczenie, że twoja praca jest podziwiana i doceniana oklaskami de facto et in situ. Wyobrażasz sobie, Júlio, że właśnie kończę recenzję *Historii żołnierza*, piszę ostatnie słowo i wszyscy czytelnicy „Czasopisma” zaczynają klaskać? Co za uczucie, o bogowie! I ten niezmierny horyzont w głębi szlachetnego spojrzenia wybitnego wykonawcy.

Armand położył mi rękę na ramieniu i protekcyjnym tonem, który mógł być sobie darować, wyjaśnił mi, że nie, Gensana, że to wcale tak nie wygląda.

– Słuchaj, ja znam Teresę i wiem, jak żyje. – Miquel poczuł się urażony.

Armand uśmiechnął się ironicznie; z takim politowaniem, że natychmiast go zmienawidziłem. Przemawiając cały czas protekcyjnym tonem, Armand informował mnie, że życie wybitnego solisty, kogoś takiego jak Teresa, zaczyna się w dzieciństwie, odmiennym niż pozostałych śmiertelników; podczas gdy inne dziewczynki w jej wieku skakały na skakance, ona pokonywała całe kilometry smyczkiem po strunach, w tę i z powrotem, i kilogramami zużywała kalafonię; wpadała w rozpacz, gdy nie osiągała idealnego brzmienia mimo zmiany pozycji, gdy nie udawało się utrzymać stałego dźwięku, gdy bolały ją ręce, szczęka, szyja, kręgosłup i dusza, gdy nie mogła iść pobawić się z Beatriu, Montserrat i Milą. A później, kiedy była starsza, musiała zrezygnować z tych rozkosznych chwil po wyjściu ze szkoły, kiedy chodzi się w tę i z powrotem z najlepszą przyjaciółką, rozmawiając o marzeniach i spoglądając na chłopaków; wystarczyła chwila nieuwagi i już nie miała najlepszej przyjaciółki: jej życie przebiegało, od momentu wyjścia ze szkoły, w salach konserwatorium pod uważnym spojrzeniem pani Trullàs czy pana Marçala, którzy nie należeli do grona jej najlepszych przyjaciółek, lecz byli znakomitymi profesorami, ona gry na skrzypcach, on muzyki kameralnej. A potem wstrząs, kiedy padły słowa ta dziewczyna ma talent i coś z tym trzeba zrobić. A ona, na wszelki wypadek, pokonywała kolejne kilometry smyczkiem po strunach w tę i z powrotem. Pierwszego okresu dostała w dniu, gdy wykonywała diabelskie ćwiczenia Joachima, na których można sobie wykręcić palce. Matka właściwie nie miała czasu, żeby ją na to przygotować, tak bardzo ją pochłaniało układanie w myślach przyszłych podróży genialnej córki. A świat doceniał jej geniusz i coraz częściej ludzie uśmiechali się na jej widok. A ona musiała wykonywać rozpaczliwe ćwiczenia, twardo stąpać po ziemi i myśleć: tamci mogą się uśmiechać, bo to nie oni ćwiczą całymi godzinami i pokonują kilometry smyczkiem po strunach w tę i z powrotem. Nauczyła się nie wysyłać od razu do diabła tej sympatycznej pani czy pana, którzy trafiają się na każdym recitalu i którzy mówią oddałbym wszystko, dziecko, żeby grać choć w połowie tak dobrze jak ty. Panowała nad sobą, owszem, ale nadszedł taki dzień, że nie wytrzymała i jowialnemu impertynentowi rzuciła w twarz pan kłamie, nie potrafiłby pan poświęcić nawet o, tyle, żeby grać na skrzypcach choć w połowie tak dobrze jak ja. A jowialny pan zbladł, uśmiech zastygł mu na twarzy, zaczął się jękać i rozglądać, czy matka Teresy to słyszała i kiedy da jej w twarz. Ale Teresa ze złością odrzuciła do tyłu warkocz i ciągnęła dalej swój wywód: wie pan, panie jowialny, co ja poświęciłam, żeby grać tak, jak gram? Tysiące, tysiące, tysiące godzin mojego życia. Trzeba bardzo kochać muzykę, żeby na to się zdobyć. Nie sądzę, aby pan, z tym idiotycznym uśmieszkiem, mógł to zrozumieć albo wysilić się na zrobienie choćby pierwszego kroku. A jowialnemu panu spadał na ziemię zamrożony uśmiech i rozbijał się w drobny mak.

– Dobrze, Armand, słuchaj, ja...

– Nie, teraz ty mnie słuchaj.

Słuchałem, a jakże, próbowałbym nie, Júlio. Teraz zaczął mi opowiadać, że właśnie nadchodzi czas wątpliwości: jak masz piętnaście czy szesnaście lat, to zaczynasz się

zastanawiać, czy dobrze robisz i czy takie życie ma sens. Czy nie można by cieszyć się muzyką, nie dokonując tak gigantycznego wysiłku? Ale matka Teresy miała całkowitą jasność, że córka może zająć daleko.

– A ojciec? Czemu nie wspominasz o ojcu?

– Słuchaj... – Armand spojrział na mnie z wyrzutem. – O czym wy rozmawiacie, ty i Teresa?

– Słucham?

Po chwili niezręcznego milczenia Armand uznał, że nie warto drążyć tego tematu, dopił piwo do końca, wytarł usta papierową serwetką i powiedział wtedy zaczynają się wyjazdy zagraniczne. Była parę miesięcy w Budapeszcie, zgłębiając tajemnice smyczka pod kierunkiem Kontyego, i nie mogła wyjść z podziwu nad niewyobrażalną jakością strun w tym kraju, a jednocześnie dokuczala jej samotność, taka samotność, że... mówiła ci o tym?

– Nie.

– To ja też nie będę mówić. A potem Juilliard School w Nowym Jorku. I zawsze ta sama samotność, i kolejne kilometry smyczkiem po strunach w tę i z powrotem. Wydaje mi się, że już wtedy Teresa była wyjątkową skrzypaczką, bardzo utalentowaną i zdolną opanować bogaty repertuar. Wtedy postanowiła poświęcić się muzyce kameralnej. Na tym etapie ją poznałem.

– Jesteś muzykiem?

– Nie. – Popatrzył na mnie ze smutkiem. – Ale ją poznałem. I od tej pory zajmuję się jej interesami i dzielam wszystkie bez wyjątku jej nadzieje i niepowodzenia, wiem, co chce osiągnąć, i rozpoznaję te chwile, kiedy jest bliska załamania, bo muzycy pod pewną siebie miną ukrywają cierpienie w podobny sposób jak łyżwiarze figurowi, którym uśmiech ani na chwilę nie schodzi z ust, kiedy ich ciało wykonuje piruety, a tymczasem z paniką wyobrażają sobie ten moment, gdy po potrójnym akslu wylądują na tyłku, w niesławie. To doświadczenie ponad siły ludzkiej istoty. Zwłaszcza godziny poprzedzające koncert. Trema. Teresa przeżywa napady tremy, przerażenia, lęku, chęci ucieczki. Ale zawsze wychodzi na scenę z uśmiechem. Chcę ci tylko powiedzieć, że po latach trema wystawia rachunek.

– No to dlaczego...

– Poczekaj, jeszcze nie skończyłem.

No właśnie: nie skończył. Z lodowatym uśmiechem Armand poprosił mnie, właściwie rozkazał, żebym się nie wtrącał do życia zawodowego Teresy. Wydaje mi się, że najchętniej błagałby też, żebym się nie wtrącał do jej uczuć. Ale nie posunął się aż tak daleko.

– Armand ciągle był w niej zakochany – uznała Júlia.

– Nie wiem – skłamałem. I żeby jeszcze bardziej się pogрузić w kłamstwo, dodałem: – Nigdy mi to nie przyszło do głowy.

Kiedy ją poznałem, Teresa już opanowała to, co Armand nazywał, niczym wujek Maurycy, Wielkim Repertuarem. Grała Beethovena, Mendelssohna, Czajkowskiego, Brahmsa, Schumanna i Saint-Saënsa. Przymierzała się do Sibeliusa. Wprowadziła do repertuaru Berga.

Zaczęto o niej mówić z uznaniem za granicą. I wtedy nadszedł niezapomniany dzień, kiedy...

– Ciągłe mi mówisz o niezapomnianych dniach.

– Wszystkie lata z Teresą były niezapomniane, Júlio. Teresa... – Poprawił się: – Dzień, w którym zdecydowaliśmy... Na przykład wiesz, że mam lęk wysokości.

Júlia, zamiast odpowiedzieć, spojrzała tylko, jak Miquel pociąga łyk armaniaku Torres 5, a ja poczułem się zobligowany do kontynuowania.

– Nasze oświadczenia miały miejsce w najwyższym punkcie kolejki na Tibidabo.

– Coś takiego. Oświadczyliście się sobie?

– Tak właśnie było. I nie zdawałem sobie sprawy ani z wiatru, ani z kołowania kosza.

– Ale tak się nie robi.

– Czego się nie robi?

– Oświadczyn.

Teresa popatrzyła na niego z głębi szlachetnego spojrzenia wybitnego solisty, w którym niezmierny horyzont i tak dalej, i zapytała kochasz mnie? a ja: ty wiesz, że cię kocham. Na to ona: paś baranki moje. I znów mnie zapytała Szymonie, synu Piotra Uciekiniera, kochasz mnie? Na to Miquel tak, ty wiesz, że cię kocham. Na to ona: paś owce moje. A za trzecim razem syn Piotra zasmucił się, że go pyta już po raz trzeci, i gdy jej odpowiedział tak jak poprzednio, ona wstała i powiedziała pójdz z mną. I Miquel szedł za nią aż do śmierci. To były najszczęśliwsze dni w moim życiu, Júlio, dni, kiedy czułem się spełniony. Aż do czterdziestki nie zdawałem sobie sprawy, że to miłość nadaje sens życiu ludzkiemu oraz że le dur désir de durer można zaspokoić jedynie miłością, która cię unieśmiertelnia.

– Nie wiem. Bardzo to poetyckie.

Rzeczywistość nie była tak poetycka jak moja opowieść. Pośród wielkiej radości zawsze wracało z całą siłą wspomnienie Toro, który się wykrwawiał z powodu zdrady, i w głębi jego sumienia ktoś mówił jak to możliwe, Miquelu Kacie Gensano, że ty, taki wrażliwy... Aż pewnego dnia porozmawiał o tym z Bolósem. Dwadzieścia lat po surowej krytyce wymierzonej w kark Simó i Franklin zebrał się na terapię grupową i pytali jeden drugiego no jak, jak to zapamiętałeś, i na początku było nie, no co ty, spełniliśmy nasz obowiązek, jak żołnierze. Musieliśmy pomóc śmierć biednego towarzysza Minga. Nie, no co ty: byliśmy żołnierzami i tylko wypełnialiśmy rozkazy, nikt nas nie ma prawa rozliczać, pif-paf! i po krzyku. Ale po drugim kuflu piwa Bolós przyznał się, że dotąd nie potrafi zapomnieć chwili, kiedy włożył Toro łufę do ust, bo tamci dwaj skurwysyni, Xato i Cunillera, nie zrobili, co do nich należało, że nadal mu się to śni, ale z nikim o tym nie rozmawiał.

– Mnie nic nie powiedział. – Júlia odwołała się do swoich wspomnień.

– Nikomu nic nie powiedział. Zawsze są jakieś fakty, których nie sposób wymazać, które stają się torturą naszej pamięci. Te, które nie nadają się do nekrologów, Júlio.

– Wierzysz w grzech?

– Nie wiem.

– Cholera, Miquel. Przecież ty jesteś niewierzący!



– Jedno z drugim nie ma nic wspólnego. Powiedziałem ci, że ja tak już mam, że ciągle czuję się winny.

Júlia wzięła okruszek chleba, pominięty przez uważnego kelnera, i zaczęła go ugniatać w palcach.

– Bolós też żył pod presją wspomnienia o Toro. – Strzeliła okruczem w stronę niezmordowanej fontanny. – Tylko że ja wtedy nie wiedziałam, że chodziło o to wspomnienie. – Spojrzała na Miquela wyzywająco. – To przykre, kiedy osoba, którą kochasz, nie mówi ci wszystkiego.

– Nie da się opowiedzieć o sobie wszystkiego.

Bardzo ciekawe to trio Czajkowskiego. Skomponował je na zamówienie, bo pani von Meck bardzo, ale to bardzo nalegała, że chce je mieć w repertuarze. I Czajkowski, kiedy w końcu uległ, zdecydował się na temat z wariacjami. Widzisz? Teresa, siedząc na podłodze, tuż przy szafie z instrumentami, zaczęła grać temat, w sposób tak perfekcyjny, jakby niewygodna pozycja w niczym jej nie przeszkadzała. A ja pomyślałem: Júlio, grasz tak doskonale, że mogłabyś to robić nawet przez sen.

– Powiedziałaś: Júlio.

– Słucham?

– Powiedziałaś: Júlio, grasz tak doskonale...

– Przepraszam. Jestem zmęczony. Jeśli wolisz...

– Nie, proszę...

Powiedziała to takim żalonym głosem. Miquel kiwnął na kelnera, bo maître właśnie zęgnął się z gośćmi z trzynastego stolika, którzy wnioskując z jego szerokiego uśmiechu, musieli zostawić suty napiwek.

Trzecia kawa. Júlia już miała dość. Dziś nie zaśnie. Ale z kolei Miquel nie zaśnie dzisiaj bez kawy, bo oto w ciągu paru godzin oskalpował całe swoje życie. A to o wiele bardziej wybija ze snu niż kawa. Jak miałem nie czuć się szczęśliwy, skoro zostałem jednym z doradców muzycznych Teresy, a ona dzieliła się ze mną wątpliwościami, czy warto teraz wracać do koncertu Wieniawskiego, a ja twierdziłem, że warto, że drugorzędni romantycy są pasjonujący, i namawiałem ją, żeby zapoznała się z utworami Vieuxtempa, a ona liczyła się z moim zdaniem i włączyła drugi koncert Wieniawskiego do swojego repertuaru. Dzięki mnie. Ale nie zasięgała mojej opinii w sprawie organizacji trasy koncertowej. Zamykała się z Armandem, a mnie zżerała zazdrość. Najszczęśliwsze lata, tak. Mieszkałem u siebie, ale całymi dniami przesiadywałem u Teresy i często zostawałem u niej na noc, a rano, skoro świt, słyszałem, jak trenuje na rowerze stacjonarnym. Nigdy nie spotkałem kogoś, kto by organizował sobie czas z tak żelazną dyscypliną jak Teresa. Stopniowo, tak że żadne z nas nie zauważyło kiedy, zacząłem zostawiać u niej a to zmianę bielizny, a to książkę czy płytę, więc chociaż się do niej formalnie nie przeprowadziłem, w mieszkaniu Teresy czułem się jak we własnym domu. Aż do dnia, gdy zabrzały *Novelletten*, nie zdawałem sobie sprawy z ogromnej liczby moich rzeczy, które znalazły się w jej domu.

– Przedtem też o nich wspominałeś. Co to takiego?

– O czym wspominałem?

To zbiór zabawnych drobiazgów, historie Egmontu, scenki rodzajowe, dzieci z rodzicami... ślub. W sumie miłe błahostki. *Novelletten*, nowelki, drobne wiadomości, małe dowody mojej miłości do ciebie, Claro. Osiem dowodów miłości, która dodaje mi skrzydeł. W pierwszym, *Markirt und kräftig*, Schumann bawi się zmianą tonacji, i w trio, czy to w F-dur, czy później w magicznym, skontrastowanym A-dur, czuć siłę melodyczną godną Schuberta. Schumann wielokrotnie powtarzał, że Bach, Beethoven i Schubert to raj, a on to samo próbuje wyrazić na swój sposób, komponując przyjemne dla ucha melodie, jak *Intermezzo* w drugiej, *Ausserst rasch und mit Bravour*, która mogłaby uchodzić za nokturn Fielda czy Chopina, ukryty posród fajerwerków. Etwas langsamer, durchaus zart. O, moja słodka Claro, o, moja Tereso. Schumann, kiedy zatrzymał się na parę miesięcy w Wiedniu, po zdecydowanej odmowie ojca Clary, który zabronił kochankom spotkań, pojechał do Währinger, żeby złożyć kwiaty na grobach Beethovena i Schuberta, usytuowanych praktycznie obok siebie. Podobnie jak Robert Schumann podziwiał Schuberta i Clare, tak ja podziwiam ciebie, Tereso. Bo zechciałaś zwrócić na mnie uwagę, coś we mnie dostrzegłaś, pozwoliłaś mi wejść, powoli, na paluszkach do twojego życia i raczyłaś wejść do mojego, i to w ciszy, prawie bez słów, jak w *Lieder ohne Worte*, tylko przy akompaniamencie melodii gestów. Och, jakie piękne jest to *Intermezzo*, które unosi mnie ku wyżynom szczęścia. Mijały dni, tygodnie, miesiące, a szczęście trwało, ty i ja, moja najdroższa, jedno wpatrzone w drugie i Armand czujnie śledzący każdy twój krok, ze skrupulatnością, która mnie się wydawała okrutna, o czym ci często mówiłem; a ty uznawałaś ją za konieczną, i też mi to jasno powiedziałaś. I wtedy nadszedł ten tydzień, kiedy zrobiłaś sobie wolne i postanowiliśmy: żadnych samolotów, pociągów, taksówek, zamykamy się u ciebie, zaopatrzeni w baterię twojego ulubionego białego wina, gotowi dać się ponieść muzyce, jeśli będziemy mieć chęć, albo oddać się lenistwu. W pewnym momencie rozebrałaś się do naga i powiedziałaś ja jestem Robert, a ty Clara, i na tej Idee zbuduję moje Szczęście. Po raz trzeci w życiu przybrałem święte imię, Miquel, Simó, Clara I Neofitka, jako recyklowany Apostata. Poprosiłaś mnie, żebym też się rozebrał, i twój muzyczny salon zamienił się w niebo. Usiadłaś na klapie fortepianu, naga, i wzniesiliśmy kielichy z reńskim winem. W ciszy, bez słów, uznaliśmy oboje, że życie jest dla nas łaskawe. W reakcji na ten nieprzewidziany przyływ szczęścia Miquel Gensana wpadł w euforię. Już chciał jej powiedzieć, ukrywając się za kieliszkiem, jak bardzo ją kocha. Miał to na końcu języka, ale ona w tym momencie zeszała z fortepianu, bo wpadł jej do głowy pewien pomysł.

– Muzyka. Żeby to uczcić.

I wtedy zabrzmiał z płyty *Markirt und kräftig*, a słuchanie go w fortepianowej interpretacji Adolfa Pla było czystą rozkoszą. Teresa z Miquelem wzięli się za ręce i zaczęły tańczyć, nadzy, z kieliszkami w dłoni, słuchając drobnych wiadomości, objęci, istniejący tylko dla siebie – ona dla niego, on dla niej. I wtedy ona powiedziała, że idzie do kuchni po następną butelkę, bo ma ochotę na wino.

A kiedy został sam, zadzwonił telefon, z *Novelletten* w tle. Kiedy odebrałem, usłyszałem głos Armanda, który prosił, żeby podeszła Teresa, ma do niej pilną sprawę, a ja na to, że nie może podejść do telefonu, bo właśnie zrobiła sobie wolne.

– Muszę wiedzieć, jaką dać odpowiedź tym z Alte Oper z Frankfurtu. Musimy też

porozmawiać o Londynie.

– Słuchaj, stary, Teresę boli głowa. I ma teraz wolne.

Tak. Miquel tak właśnie powiedział. Miquel, nie zwracając uwagi na sygnały ostrzegawcze, powiedział nie może podejść, bo boli ją głowa i zrobiła sobie wolne.

– Jeżeli nie dam im dziś odpowiedzi, anulują umowę.

– Zadzwoń jutro.

Odłożył słuchawkę. Miquel II Gensana Krótkowzroczny odłożył słuchawkę, wkurzony bezdusznym głosem tego idioty Armanda.

– Prawda, że ktoś dzwonił? – powiedziała Teresa, wracając z kuchni z butelką w ręce.

– Tak, to tamten truteń...

– Jaki truteń? – Ton głosu Teresy nagle się zmienił; zrobiła się czujna: – Co? Jaki truteń?

– Nie, no wiesz, to tylko... – I uśmiechnąłem się do niej porozumiewawczo. Ale ponieważ Teresa nagle spowaźniała, Miquel pomyślał: stary, pokpiłeś sprawę. Odstawiła wino na podłogę i stanęła naprzeciwko Miquela, naga, z nogami lekko rozstawionymi, z rozpuszczonymi włosami przykrywającymi część twarzy.

– Armand.

– Dlaczego mnie nie zwołałeś?

– Powiedziałem, żeby zadzwonił później. Jutro.

– Ale czego chciał?

– Nic takiego, mówił coś o Frankfurtach... – Z idiotycznym uśmiechem: – Powiedziałem, że zrobiłaś sobie wolne. Ach, i że cię bardzo boli głowa.

– Mnie?

– I żeby jutro zadzwonił.

Wtedy Teresa podeszła do mnie blisko, naga, piękna i kochana. Dotknęła mojej piersi palcem, nie przejmując się swoją nagością, zawstydzając mnie moją, i powiedziała mi z prawdziwą pogardą, że nie mam prawa wtrącać się do jej pracy i tylko ona i jej agent mogą decydować, czy powiedzieć tak, czy nie, czy odłożyć decyzję na później. Zrozumiałeś? I jeżeli każde z nas nie wie, gdzie jest jego miejsce, to nie ma sensu, żebyśmy.

W tym momencie Miquel, zrezygnowany, odkrył, że cud, który przeżywał od kilku dni, właśnie przysł jak bańka mydlana.

– Mogę do niego zaraz oddzwonić...

Spojrzała na mnie tak, że od razu zrozumiałem, że jeśli chcę zachować resztki godności, powinienem natychmiast się wycofać. Bez słowa, ze łzami w oczach i zagryzając wargi, poszedłem do sypialni, żeby się ubrać. *Novelletten* skończyły się i z muzycznej sali dochodziła wyłącznie cisza. Ubrałem się i wróciłem do salonu. Zanim chwyciłem za kłamekę, zanim zdążyłem się pożegnać, usłyszałem skrzypce Teresy. Druga *Partita* Bacha. Bezszelестnie otworzyłem drzwi. Teresa stała na środku pokoju, ciągle obnażona, z zamkniętymi oczami, przytulając delikatnie policzek do instrumentu gestem, który budził we mnie taką zazdrość... głucha na wszystko, co nie było muzyką. Nogi lekko rozstawione. Ukochana Teresa.

Szeptem, żeby nie przerywać jej dialogu ze skrzypcami, powiedziałem Tereso, odchodzę. Nie otworzyła oczu, żadna nuta nie zadrżała i nie zrobiła żadnego gestu potwierdzającego, że moje słowa do niej dotarły. Miquel chłonał ją wzrokiem przez pół sekundy i myślał: cholera, cholera, nie wiedziałeś, skurwysynu, że ten cud nie mógł trwać, że wszystko wisiało na włosku? Do jasnej cholery, trzeba było uważać!

Stała tyłem do niego i Miquel spojrział na nią jeszcze raz, jeszcze z wielką miłością. To nie był jej kaprys, to była jej praca, a ja zachowałem się jak skończony dureń. Nic dodać, nic ująć. Uśmiechnął się smutno, kiedy sobie uświadomił, że w ciągu całego dnia nie zdążył jej powiedzieć, że ją kocha. Zamknął bezszelestnie drzwi. *Novelletten*, osiem utworów na fortepian skomponowanych przez Schumanna w momencie szczytowej euforii, bo Clara powiedziała mu tak, *Novelletten*, o których Schumann powiedział Clarze, że chciał je nazwać *Wiecketten*, ale to nie brzmiało dobrze, osiem utworów na fortepian ilustrujących radość rodzącej się miłości było tłem złożenia do grobu miłości, którą Teresa i ja zaczynaliśmy budować. Ulotniło się wszystko: Bach, Schumann, szansa na wysłuchanie kiedykolwiek w jej wykonaniu drugiego koncertu Bartóka, nad którym teraz zaczynała pracować, ani rewelacyjnego, jak mówiono, wykonania koncertu Albana Berga. A wraz z nimi z mojego życia zniknęła Teresa. Tak po prostu, Júlio. Nagle. Jak śmierć.

W następnym tygodniu na wszelkie możliwe sposoby próbowałem nawiązać kontakt z Teresą, ale albo gdzieś wyszła, albo nie chciała ze mną rozmawiać. Taka właśnie była – zdecydowana i bezkompromisowa; na ile ją znałem, takiej broni używała w starciu z życiem.

Miquelowi trudno było wymazać z pamięci Teresę, te tygodnie spokojnego szczęścia, które powinny były prowadzić do czegoś w rodzaju związku, do wzajemnego porozumienia dwóch dusz. Zadręczał się, że kiedy ten stan znalazł się już na wyciągnięcie ręki, włączył się alarm. Alarm, który w interpretacji Teresy oznaczał: ej, uważaj, ten Miquel Gensana, ważna mi osoba, to w gruncie rzeczy głupiec i nie potrafi oddzielić spraw profesjonalnych od osobistych, miesza je ze sobą; nie uświadamia sobie, że dla mnie kwestie zawodowe są zasadnicze i nienaruszalne. Tak jak prywatne. A gdy ktoś wywołuje spięcie, to albo musi poznać swoje miejsce, jak Armand, albo musi odejść, jak Miquel. Bardzo mi przykro, tak urządzony jest moje życie.

W pierwszych dniach byłem tak zaskoczony, że nie mogłem z siebie wydobyć słowa. Czy ta kobieta nie przeciągnęła struny? Czy w ogóle warto, żebym ja... Coś w rodzaju głęboko ukrytej dumy skłoniło mnie do zachowania dystansu; dałem jej czas, żeby sama do mnie zadzwoniła ze słowami cholera, Miquel, coś mi się wydaje, że przesadziłam, ale rozumiesz, ja nikomu nie pozwalałam wtrącać się do moich spraw zawodowych. A ja zdobędę się na wyrozumiały uśmiech, w zamyśleniu dopiję kawę i z niezmiennie smutnym uśmiechem na ustach zgodzę się tak, faktycznie, chyba trochę przeholowałaś, ale ja też nie zachowałem się elegancko, i wspaniałomyślnie zaproponuję zawieszenie broni, które ona zaakceptuje, i od nowa będziemy się pławić w wiecznym szczęściu, amen. Ale Teresa nie zadzwoniła, doprawdy nie rozumiem dlaczego. Nie zadzwoniła, nie zostawiła żadnej wiadomości, nie zdobyła się na żaden gest. Mijały tygodnie. Tak więc Miquel zaczął działać i zdecydował, że trzeba walczyć o odzyskanie tamtego marzenia. Jedyłą odpowiedzią była pospiesznie nakreślona przez Teresę kartka ze słowami nie łaż za mną i nie zawracaj mi głowy. Muszę się teraz skupić na trzech bardzo ważnych zobowiązaniach, a ty mnie wyprowadzasz z równowagi. Przestań zasypywać mnie listami, przestań dzwonić, odejdz z mojego życia, zapomnij o mnie; nie wyszło nam, i tyle. Żegnaj. T.

Przesadziła. Wielka mi artystka. Mała gafa i od razu wielki kryzys. Wszystkie artystki są kapryśne, dumne i kołtuńskie. A poza tym, mimo że znaleźmy się już tyle czasu, dopiero przy *Novelletten* okazała mi trochę czułości. Nieprawda: dla mnie zawsze była czuła. Artystki po prostu same nie wiedzą, czego chcą; zależy im tylko na tym, by dobrze wypaść na scenie, a cała reszta ma im w tym pomagać. Do dupy z takim układem. Ja, Miquel II Gensana

Wichrzyciel, jestem tak samo ważny jak, nie przymierzając, struna *d* skrzypiec Teresy. Po prostu mnie wykorzystała, potraktowała instrumentalnie; Teresa jest egoistką. W końcu wcale nie była taka ładna, te jej włosy w strąkach, z wiecznym odciskiem skrzypiec na szyi, który zawsze przypominał ej, nie zapominaj, że jestem wielką skrzypaczką, zobaczymy, jakie zamówisz dla mnie wino, jeśli to nie będzie reńskie, złe. I te sukienki w złoty deseń zakładane do srebrnych pantofli, co za bezguście. I żadnych innych tematów do rozmowy, tylko muzyka, literatura i sztuka. Sam powiedz, Bolós, jak mogłem się zakochać w tym worku wypchanym wadami?

Przy trzeciej whisky Bolós spojrział mi w oczy i powiedział Miquel, uważaj, nie idź w ślady Roviry, zapewniam cię, ten ból ci przejdzie.

– Nigdy. To niemożliwe. – Łyk whisky. – Chcę ją odzyskać.

– Wiesz, że to niemożliwe.

– Dlaczego niemożliwe?

– Sam mi to przed chwilą powiedziałeś.

Miquel popatrzył na Bolósa, jakby to on był wszystkim winien.

– Gównno.

– No to porozmawiaj z nią.

– Ale ona nie chce!

– Daj jej trochę czasu.

– Nie mogę. To tak, jakbym nie miał czym oddychać. Naprawdę, nie mogę!

– Napij się.

Bolós, opatrnościowy Franklin, na którego zawsze można liczyć w trudnych chwilach. Ten skukinsyn zadawał się wtedy z tobą i ani pisał.

– Mówił ci o moim... o mnie i o Teresie?

– Nie. Nigdy mi nie zdradzał cudzych sekretów. A już zwłaszcza twoich.

Roztropny i dyskretny Bolósie, nie powinieneś był umierać. Nie wiem tylko, czemu teraz otwieram duszę przed tą prawie nieznaną kobietą, z którą przebywam pod jednym dachem od tylu lat, i patrzę w jej bezdenne oczy jak węgielki. To pewnie dlatego, że sam nie wiem, w którym dokładnie momencie przegrałem swoje życie.

– Mówię o wszystkim, tylko nie o Bolósie, Júlio.

Po raz drugi tej samej nocy Júlia powiedziała Miquel, proszę, mów, nawet sobie nie wyobrażasz, jak wiele mi mówisz o Bolósie.

– Nieprawda.

– Ty i Bolós byliście jak dwie krople wody.

Powiedziała to i oczy jej jeszcze bardziej ściemniały. A Bolós, który przecież sam mi doradzał, żebym się upił, zabrał mi szklanekę, pomógł wstać i przez dwie godziny chodziliśmy Ramblami w górę i w dół, jakbyśmy śledzili gimnazjalistkę z Lestonnac, ale sądzę, że był poważnie zaniepokojony moją równowagą psychiczną.

– Nawet zabrał mnie na wakacje ze swoją rodziną.

– Tak, słyszałam. – Rozejrzała się, jakby szukała maître'a. – Ale nie wiedziałam, że to z powodu twojego kryzysu.

– Poprosimy o rachunek?

– Zaczekaj!... – przestraszyła się. Powiedziała to tak spontanicznie, że Miquel poczuł się dumny jako przedmiot jej zainteresowania. A jeszcze bardziej się ucieszył, gdy zauważył, że maître unosi brew, zastanawiając się, kiedy wreszcie ta wkurzająca para przy stoliku osiemnastym pójdzie w cholerę. Niemniej, mimo wsparcia Bolósa, Miquel gorzko płakał trzy dni i trzy noce i nie mógł przestać myśleć o Teresie, chciał wiedzieć, co może teraz robić, jaką założyła dziś sukienkę, może tę uroczą w złoty deseń? i jakie ma zmartwienia, och, a teraz pewnie ma już świetnie opanowany drugi koncert Bartóka, koncert Berga już utrwalony, ponieważ Teresa, niedostępna jak bogini, miała jednak w sobie coś ludzkiego: pracowała ponad ludzkie siły. Doszedłem do wniosku, że żyć w takich warunkach po prostu się nie da. Do pionu mnie przywrócił dopiero poważny, rzeczowy telefon Júlii, która mnie ostrzegała, że w „Zasopismie” wszyscy są na mnie wkurzeni, a Duran wychodził z siebie, bo ja miałem w nosie obowiązki. Wróciłem więc do pracy z zamiarem skoncentrowania się na nowych wywiadach. Telefon Júlii ściągnął mnie z krawędzi przepaści. Tak, Júlio. I od tego dnia spojrzenie Miquela już na zawsze pozostało smutne. Ale upływa dzień za dniem, tydzień za tygodniem, miesiąc za miesiącem i ciepło wypiera chłód. I oto pewnego dnia, prawie rok od Przepawy przez Jałową Pustynię Miłości, wróciłem do domu. Wiesz? Niektóre rzeczy robi się spontanicznie. Żeby odnaleźć matkę i wujka Maurycego, a trochę też moje własne echo.

– Ale przecież dom już był sprzedany?

– Tak. Stał opuszczony.

– Samotny jak kamień.

Podoba mi się ta ironia Júlii. Było mi przykro na widok zdziczałego, nieprzycinanego drzewka truskawkowego i dzikiej róży, której kiedyś się uczył wujek, rozrastającej się na wszystkie strony bez porządku, jaki zapewniają ogrodnicze nożyce. Opuszczone żaluzje pilnowały, żeby nie uleciały w chmury sekrety pięciu czy sześciu pokoleń, które płakały w ich cieniu.

– Racja – zgodził się Miquel. Koniec końców, dom to tylko kamień.

– Przecież miały tam powstać apartamenty?

– Nie. Nic z nim nie robili. Najprawdopodobniej opustoszały dom nabierał wartości przed przyszłą sprzedażą. Jak wino.

Miquel nie mógł się powstrzymać i po raz kolejny rzucił okiem na nienawistny wodotrysk.

– Wydaje mi się, że kiedy go utraciłem, zacząłem go kochać.

– Trudno mi cię zrozumieć.

– Dom stanowi część mojego stałego, ogólnego poczucia frustracji.

Po prostu Miquel zdążył zrozumieć, że jednym ze znaków dojrzałości jest umiejętność podejścia do rzeczy z miłością. Człowiek cierpi, bo umysł nakłania go do sceptycyzmu, zwłaszcza kiedy sobie uświadomi, że rzeka życia z czasem zatoni w śmierci, a zakochywanie się z czasem doprowadzi do samotności i do tęsknoty za uczuciem szalonym,



gwałtownym i irracjonalnym, które tak bardzo przypomina szczęście.

– Chyba poproszę o następną kawę, Miquelu.

Podczas następczej jesieni moje życie zamieniło się w jeden wielki chaos. Lato spędziłem pogrążony w letargu, zatopiony w książkach, próbując zapomnieć o Teresie. Miquel nie upijał się, pojechał sam do Salzburga, żeby posłuchać muzyki, przeczytał całą twórczość Steinera, przygotowując się do wywiadu zaplanowanego na wrzesień, i zlecił Júlii nawiązanie kontaktu ze środowiskiem Salmana Rushdiego. Na pozór zaczynałem odzyskiwać ze sobą kontakt. Naprawdę odciąłem się od wszelkich wiadomości o Teresie. Ulotniła się w sposób równie naturalny, w jaki przez pewien czas była stale obecna w moim życiu. Przypuszczałem, że nadal tworzyła trio z braćmi Moliner, podróżowała jako solistka i zasięgała opinii Armanda nawet w sprawie koloru pończoch, jakie miała założyć na koncert w Madrycie. Okres pełnego szczęścia w moim życiu, zniszczony jednym niefortunnym posunięciem, uświadomił mi, jak ulotny jest uśmiech losu. Bolósowi, z którym widziałem się jeszcze parę razy, nie zwracałem już głowy swoimi miłosnymi problemami, a on z własnej inicjatywy nie nawiązywał do tematu. Co do Roviry, nie wiem, coraz mniejszą miałem ochotę służyć mu za chusteczkę do ocierania potoków łez. Wiadomo, lzy nie przychodzą mężczyźnie łatwo, ale jak już raz się przełamie, traci umiar i rozsądek, oczy ma jak gąbka, a od przyjaciół oczekuje pełnego poświęcenia i zaangażowania.

Ostatni tydzień września ma dla mnie, dekadentckiego estety i samotnika, szczególne znaczenie: wspomnienia, które wywołuje, są jak witamina, dzięki której mogę nadal żyć. W tym czasie, w odstępie siedmiu dni, przypadają imieniny wujka Maurycego i moje. Miquel na ten właśnie tydzień zaplanował wyprawę do Londynu. Miał spędzić kilka wieczorów w Cambridge, żeby przeprowadzić wywiad, i liczył na to, że tam łatwiej mu będzie dogadać się z enigmatyczną ochroną Rushdiego, bo pierwszy kontakt dał mu nadzieję, że zdoła porozmawiać z człowiekiem ściganym przez synów pustyni. Wywiad ze Steinerem upłynął w błogiej atmosferze. Dobrze się u niego czułem, nawet gdy obaj przez chwilę milczeliśmy i żaden z nas nie próbował na siłę wypełnić tej ciszy słowami. Steiner dużo mówił, niewiele gestykułował, wracał do wcześniej poruszanych tematów, by wzbogacić argumentację i ciągle sypał pomysłami. Czułem się niemal szczęśliwy, choć oczywiście ten rodzaj radości, radości intelektualnej, jest bardziej wyważony i trudniej uchwytny niż w przypadku uczuć, ale za to nie tak ulotny. Przy pożegnaniu po wielu godzinach spędzonych w Cambridge otrzymałem obietnicę, że jeszcze się spotkamy dwa dni później w Londynie, gdzie chciał mi pokazać jakieś dokumenty, które miały związek z problemem żydowskim i których akurat nie miał pod ręką. Zamknąłem się w hotelu, żeby uporządkować świeży materiał i dziurować przy telefonie na wypadek, gdyby ludzie Rushdiego sobie o mnie przypomnieli. Zadzwoniła Júlia (Júlia pół życia spędzała na telefonowaniu w moich sprawach)

z wiadomością, że Duran skłonny jest opłacić mi trzy czy cztery dni beznadziejnego czekania na decyzję Rushdiego. Super, Júlio, wszystko u ciebie w porządku? Na co ona: dzięki, świetnie, a u ciebie? Fantastycznie. No to cześć. Cześć, ślicznotko.

Hotele średniej kategorii na całym świecie pod jednym względem są podobne do wiejskich domów: światło rozmieszczone w różnych dziwnych miejscach na ścianie służy tylko temu, żebyś się nie potknął o własne nogi. Jeżeli jednak człowiek chciałby dostrzec coś więcej, zaczynają się problemy. A jeśli na dodatek chciałby czytać, lepiej od razu odpuścić. Ale ponieważ moim zadaniem było czuwanie przy jedynym telefonie, jaki miałem do dyspozycji w Londynie, kupilem sobie lampkę, z sześćdziesięciowatową żarówką, i udawałem, że nocna szafka z Biblią w szufladzie znakomicie się nadaje do rozłożenia papierów i pisania. I znów godziny upływały w takim samym błogim spokoju jak w Cambridge. I wtedy zadzwonił telefon. Tak jak przypuszczałem, nie powiedzieli ani tak, ani nie, tylko że dzwonią, żeby mnie uprzedzić, że jutro albo kiedy indziej zdecydują, czy tak, czy nie. Jeżeli tak, trzeba być gotowym w minutę, bo przyjadą po mnie natychmiast po telefonie, a jeżeli nie, krzyżyk na drogę. Poczulem się jak naród żydowski obchodzący Paschę na stojąco, w pełnej gotowości do wymarszu w poszukiwaniu bliżej niesprecyzowanej obietnicy. I wtedy sprawy nabrały przyspieszenia. Kolację ze Steinerem (na koszt naczelnego) miałem dopiero wieczorem. W południe, znużony poprawianiem tekstu i przesłuchiowaniem nagrań, postanowiłem przyjemniej zagospodarować sobie resztę dnia. Najchętniej poszedłbym kupować płyty w Piccadilly Circus albo wybrał się do kina. A może na jakiś musical? Kiedy zatopiony w tych myślach przechodził koło recepcji, zauważył na ladzie foldery Purcell Room: koncert na cześć Arta Collemanna, z Art Collemann Quartet in person. Art Collemann na żywo. Miquel nie mógł powstrzymać uśmiechu.

Gdy szedł w kierunku kompleksu trzech sal koncertowych na wybrzeżu Tamizy, mimo woli zaczął myśleć o Teresie. Był tu już dwa razy, z nią (i z Armandem). W Royal Festival Hall. Za każdym razem ona była widzem u mojego boku, a obok niej siedział Armand. Tereso, znów o tobie myślę, mimo że cię pogrzebałem na samym dnie, głęboko pod codzienną rutyną; może ty też zaczęłaś za mną tęsknić? Co tam; klarnet Arta Collemanna wart przewyciężenia wspomnień. O ile zostały bilety.

Sprzedaż jeszcze trwała, ale z tego, co mówili ludzie w kolejce, wynikało, że bilety już się kończą. Szybko odszedł od kasy, żeby nie spotkać zawiedzionego spojrzenia jakiegoś spóźnialskiego, i udał się do holu, w którym za każdym razem, kiedy tu był z Teresą (i Armandem), pili herbatę w oczekiwaniu na koncert. Znalazł wolny stolik blisko windy i blisko tarasu, który wychodził na Tamizę, i poczuł, że w jego duszy zapanował pokój.

Teresa przy tym samym stoliku przyznała się, że w żaden sposób nie może się pozbyć tremy przed koncertem. Nigdy. A Armand milczał i patrzył w drugą stronę. Była przekonana, że choćby minęło nie wiem ile lat, nerwy będą takie same jak pierwszego dnia. Dlatego, i on to odczuł na własnej skórze, na pięć-sześć dni przed koncertem, w którym miała partię solową, zamykała się w domu z partyturą i powtarzała obsesyjnie te fragmenty, które wychodziły jej idealnie, w niedościgłym zamiarze, żeby zagrać je jeszcze lepiej. A on był od tego chory, bo nie chodziło tylko o to, że w tym czasie nie chciała go znać, ale też uświadamiał sobie, że Teresie było wtedy bliżej do szaleństwa niż do muzyki. Łyk

herbaty i smutna refleksja, że Teresa jest ciągle w moim sercu. I wtedy zwrócił uwagę na program pozostawiony na krześle obok.

Purcell Room, Art Collemann. Queen Elisabeth Hall, nic. Royal Festival Hall, John Kickox z orkiestra z Liverpoolu. W pierwszej części koncertu *Hebrydy* Mendelssohna i koncert na skrzypce i orkiestrę Albana Berga. Skrzypce Teresa Planella. Nie czytał dalszej części programu. Zerwał się z krzesła, nie dokończył herbaty i zbiegł jak szalony do kas, a w myśli powtarzał pamięci anioła, dem *Andenken eines Engels*.

Gdy z językiem na brodzie gonił desperacko przez Hungerford Bridge w stronę Charing Cross, przeszło mu przez myśl, że źle robi, próbując ponownie wtargnąć do jej życia, z którego został wypędzony. Teresa i ja pod jednym dachem i serce nie zabiło mi mocniej... Kiedy dotarł na miejsce, zziębnięty, z przyspieszonym pulsem, już podjął decyzję. Ale nie było łatwo wcielić ją w życie. Musiał nieźle namyślać i nakłamać, i to po angielsku: że był kuzynem miss Planelli i że to sprawa życia i śmierci. Ale jakimś cudem strażnik odpowiedzialny za pilnowanie garderoby przyjął jego paczkę i obiecał, że w pięć minut doręczy ją miss Planelli do rąk własnych. I puścił oko do Miquela. Znakomicie: nie uwierzył w jego wersję. I żeby już wszystko było jasne, fałszywy kuzyn wręczył posłańcowi banknot pięćofuntowy. Rudowłosy strażnik przyjął go z typowo brytyjskim poczuciem wyższości.

– Pięć minut – przypomniałem mu.

– W ciągu trzech minut dostarczę do rąk własnych.

To nie będzie takie proste, ponieważ Teresa miała zwyczaj zamykać się w garderobie, żeby przed koncertem jeszcze przejrzeć nuty, zrelaksować się, gimnastykować dłonie i palce i oswoić skrzypce z temperaturą powietrza, poćwiczyć palcówki i chodzić po garderobie niczym lwica w klatce, zastanawiając się, czy warto było zostać solistką, zamiast siedzieć sobie spokojnie w trzecim rzędzie drugich skrzypiec. Bye, bye, Art Collemann.

Koncert rozpoczął się z dokładnością co do sekundy uwerturą *Hebrydy*. Miquel siedział z boku, nad sceną, bo na parterze nie dałoby się wcisnąć nawet szpilki. Mendelssohn, Berg, Mahler, Kickox i Planella wypełnili ogromną salę w Royal Festival Hall. Dobrze, Mendelssohn w tym wykonaniu zabrzmiał dobrze. Ale on nie mógł się doczekać drugiego dania. Po oklaskach znów pojawił się John Kickox. Tym razem dżentelmeńskim gestem wskazywał drogę Teresie. Urocza. Zielona suknia podkreślała jej talię i pupę. Urocza. Nie klaskałem, tak bardzo zaabsorbowało mnie patrzenie na anioła mojej pamięci. Nie cierpiałem, spokojnie oczekiwałem na objawienie jej sekretu, ponieważ teraz (przepiękna, z jaką elegancją się kłania) mogłem stwierdzić, że w ciągu tego roku Przeprawy przez Jałową Pustynię Samotności pracowała tak, jak tylko ona potrafi. Delikatnie odwróciła się w stronę koncertmistrza i zagrała ciche la. Z głębi odpowiedział jej obój, a ona skoncentrowała się, uspokojona, bo wszystko było dobrze. Dyskretne, ale konieczne, przyziemne czynności, które nam przypominają, że nie jesteśmy bogami i że muzyka, przynajmniej na razie, powstaje dzięki instrumentom, a nie dzięki sile ducha. Teresa rzuciła krótkie spojrzenie w kierunku Kickoxa, on lekko pochylił głowę w uprzejmym ukłonie, a ja poczułem się zazdrosny. Publiczność przestała klaskać już chwilę temu i wszyscy czekali, nie wiem, czy tak zachłannie

jak ja, na temat arpeggia. Podjęła go orkiestra i Teresa od razu się włączyła. Skrzypce brzmiały nadzwyczajnie i w dialogu z orkiestrą zaczynały się wznosić w arpeggiu aż do poziomu, gdzie najpierw instrumenty dęte, a później skrzypce poczuły prawdziwą swobodę. Teresę pochłoniął koncert. Utożsamiała się z rozpaczliwym, złowieszczym lamentem Berga, tak jakby to było jej własne cierpienie. A ja z całej siły ścisnąłem poręcz i nie odrywałem od niej oczu, jakbyśmy byli sami w Royal Festival Hall, jakbyśmy ona i ja mogli dostrzec zjawę, aniola, małą Manon. Manon Gropius, Mizzi, Hannah, Alban Berg, Teresa Planella i Miquel Gensana Poszukiwacz Złota. A gdy się zaczęło *Allegro* w drugiej części, Miquel był święcie przekonany, że Teresa gra tylko dla niego. Kiedy przyszedł czas na czwartą część, chorał *Es ist genug* Bacha, Miquel chciał uwierzyć, że ona nie adresowała tego błagania do Boga, ale mówiła do niego, do Miquela, żeby ją wysłuchał, że już dobrze, już dość: *es ist genug*, Miquel, *es ist genug*. Wydawało się, że orkiestra się z nią zgadza i Michael Enzian w odpowiedzi wyszeptał *es ist genug*, *Therese*, *es ist genug*, a siedząca obok kobieta, oburzona tym brakiem wrażliwości, obrzuciła go morderczym spojrzeniem.

Skończyli czymś w rodzaju kody, kiedy skrzypce ogarniają cały poetycki wymiar koncertu i powoli, na filigranach chorału Bacha, wznoszą się magicznie, wyżej, wyżej, przekształcając chorał w początkowe arpeggio, dokonując syntezy tego, czym było ulotne dzianie się tego koncertu, niczym w jednej z tych wizji przeżywanych przed śmiercią, kiedy podobno w ciągu paru sekund przechodzi przed oczami całe życie, aż do osiągnięcia tego nieprawdopodobnego sol, które trwało w wykonaniu Teresy nadzwyczaj dźwięczne, bez drżenia, doskonałe, podczas gdy orkiestra gięła się we wzajemnych ukłonach, teraz instrumenty strunowe, teraz dęte i wszyscy razem dochodzili do długiego finałowego akordu... Teresa, pochylona na podwyższeniu, ciągle trzymała ten wysoki dźwięk, jakby jej smyczek nie miał żadnych ograniczeń. Teresa i orkiestra dochodzili do ostatnich dwóch taktów i sol uniosło się znad skrzypiec w postaci białego motyla niepewnie trzepoczącego skrzydełkami, którego tylko ja dostrzegłem. A wszystko się dokonało tak, jak chciał Berg i jak zrealizowali Kickox i moja ukochana Teresa. Dwie sekundy pełnego szacunku milczenia Kickox i Teresa wykorzystali na wymianę pełnych szczęścia i wzajemnej wdzięczności spojrzeń, o Boże, jak to możliwe, chyba zapomnieli w tej chwili, że ten wspaniały koncert został zainspirowany refleksją nad śmiercią. Zerwała się burza oklasków jednomyślniej publiczności. Klaskali wszyscy z wyjątkiem Miquela, który dotarł do kresu sił. Uświadomił sobie, że płacze, patrząc, jak Teresa pochyla się w ukłonie, nie rozstając się ze skrzypcami, przy burzy oklasków.

Solistka była wywoływana kilkakrotnie. Składając obie ręce jak do modlitwy, prosiła publiczność, żeby jej nie zmuszać do bisowania. Publiczność zrozumiała, ale co ciekawe, nie przestała klaskać. Nie mogło być inaczej po tym fantastycznym wykonaniu, a John Kickox, bez cienia zazdrości o sukces koleżanki, sam nalegał, żeby znów wyszła na scenę. Miquel pomyślał złośliwie, że Armand teraz kalkuluje, do ilu intratnych kontraktów na całym świecie otworzy przed nią drogę ten wspaniały występ w Londynie, i pewnie już zdobywa przebojem międzynarodowe firmy fonograficzne. Teresa wyszła po raz kolejny. Ale tym razem trzymała w dłoni coś, co Miquel natychmiast rozpoznał: pudełko czekoladek z likierem. Pomachała nim w stronę publiczności, trochę desperacko, jakby chciała powiedzieć Miquel, wiem, że tu jesteś, chciałabym z tobą porozmawiać, Miquel, *es ist genug*, czekam!

Oklaski zamilkły, zaczęła się przerwa, ale ich spojrzenia się nie spotkały. Przez parę minut siedziałem nieruchomo w fotelu, myśląc rozpaczkliwie o wszystkim, co przeżyłem i czego wysłuchałem, o przypadku, który znów ją postawił na mojej drodze. Zanim zabrzmiały pierwsze takty pierwszej symfonii Mahlera, już zbiegałem po schodach i z gmachu sali koncertowej udałem się prosto do hotelu, w kierunku dokładnie przeciwnym w stosunku do moich myśli. A Teresa w garderobie czekała na białego motyla.

W hotelu tymczasem czekała na mnie wiadomość od Steinera, który przekładał kolację na jutro i prosił, żebym do niego zadzwonił. Ale nie odbierał telefonu, kiedy próbowałem się z nim skontaktować. Co z ciebie za idiota, Miquel, mogeś pójść do garderoby jako jej kuzyn! Bo ona na pewno teraz na mnie czeka, a ja uciekam, jak mój ojciec. Chwyć walizkę i cisnął nią o łóżko. Z wściekłością wrzuciłem do niej ubranie i powiedziałem na głos, jakbym przed kimś odgrywał spektakl, przed jakimś bogiem, skoro mamy uciekać, to jak najdalej. Z sercem byle jak zalepionym plastrem Miquel udał się na Heathrow, żeby jak najszybciej zwiększyć odległość między nim a Teresą. Ale tuż przed kontrolą bezpieczeństwa odwrócił się na pięcie, jakby poczuł lęk, że to urządzenie może zrobić krzywdę jego złamanemu sercu. Wrócił taksówką do Londynu i w tym samym hotelu (mister Ginseina, sorry, spóźnił się pan na samolot?) tak długo siedział przy telefonie, aż udało mu się od kogoś wyciągnąć informację, gdzie zatrzymała się Teresa. Zdażył wypalić pół paczki cameli, kiedy znajomy głos powiedział hello?

– Miss Planiła?

– Speaking.

– To ja.

Cisza. Jej oddech. Oddechy ich obojga.

– Miquel?

– Speaking.

– Gdzie jesteś?

Spotkali się w Marble Arch po pół godziny. Ona odłożyła na później parę ważnych telefonów i innych spraw, ku rozpaczy Armanda, który chciał wszystko załatwić przed wyjazdem z Londynu.

Usiedli na ławce, przodem do Hyde Parku. Ona z nieśmiałym uśmiechem. On z bijącym sercem, które mu podchodziło do gardła i biło tak głośno, że zagłuszało ruch na Oxford Street.

– Jak się masz... – powiedziało jedno z nich. To drugie odpowiedziało ujdzie, dobrze, jakoś leci. Dudnienie serca i nieśmiały uśmiech stopiły się w jedno, a tymczasem na zachodzie czerwieniało słońce. Nie widzieli się już od roku, od czasu *Novelletten*, i teraz trudno im było zdobyć się na banalne pytania: dlaczego podarowałeś mi czekoladki? co robisz w Londynie? wszystko w porządku? tęsknisz za mną? przebaczyłaś mi? to ty powinienes mi... Dlaczego nie przyszedłeś do garderoby? Och, uciekłem, ponieważ nie chcę, żeby... A teraz, dlaczego w końcu do mnie zadzwoniłeś, i on nie miał pojęcia, co ma odpowiedzieć, bo sam nie wiedział dlaczego. Słońce zaczerwieniło się, zmęczone tym długim zachodem, i rozpoczęło retyradę.

- Cieszę się, że cię widzę.
- Ja też. Popatrz na słońce.
- Tak. Jakie czerwone.

Spacerowali po Oxford Street, nieśmiało trzymali się za ręce i w końcu zaczęli sobie opowiadać, co robili dotychczas, co się u nich działo, jak za sobą tęsknili, jak się nienawidzili, a przecież poszło o głupstwo. Ale minęło parę miesięcy i może w ich życie wplątało się już życie kogoś innego, do czego niełatwo się przyznać. Ale faktem jest, że Teresa i ja robiliśmy do siebie słodkie oczy na Oxford Street. Kupiłem jej bukiet jakichś kwiatów na jednym z licznych kramów przy ulicy. Weszliśmy do herbaciarni na rogu, a jemu przypomniała się ta herbata, którą pił parę godzin wcześniej, przed koncertem, dosłownie niewiarygodne.

- Co jest niewiarygodne?
- Że znów się spotkaliśmy, że rozmawiamy ze sobą. - Ująłem jej dłoń i pocałowałem. To był odważny gest. - Byłaś dziś rewelacyjna. Nie wiesz, czy nagrali ten koncert?

- Dziękuję. - Obojętnie: - Nie wiem. Tak.

Już miałem powiedzieć, że ją kocham, ale nie odważyłem się. Z nieśmiałości, bo obawiałem się, że jedno niefortunne posunięcie może zniszczyć ten magiczny moment. Milczałem, mimo że w pewnym momencie blask jej oczu jakby mnie zachęcał, żeby wreszcie to z siebie wydusić. Znów spacerowali i ni stąd, ni z owąd zaczęli rozmawiać o przyszłości. Ona miała w planie kilka koncertów, jeszcze w tym miesiącu, on, poza aferą z Rushdiem, musiał dokończyć wywiad ze Steinerem.

- Z kim?

- Zapraszam cię na kolację. Idziemy?

W oparach curry w hinduskiej restauracji Miquel próbował zaproponować: a może byśmy jutrzejszy dzień spędzili razem, co, Tereso, jak sądzisz?

- Nie.

- Jak długo tu zostaniesz?

- Jutro jadę do Pragi.

- Przecież koncert jest dopiero... za dwadzieścia dni, tak mówiłaś, prawda?

- Tak, ale jadę samochodem. Z przyjaciółką.

- Samochodem? Co za pomysł.

- Nie, bardzo się cieszę na tę podróż. Armand pojedzie bezpośrednio do Pragi i zabierze skrzypce. A ja zrobię sobie wakacje.

- Więc... Może byś została jeszcze parę dni w Londynie? Moglibyśmy... - Nie wiedziałem, co właściwie moglibyśmy. - Ja mam tu jeszcze zajęcia na parę dni.

- Nie, Miquel. Już się umówiłam.

- Zostań.

Spojrzała na niego w taki sposób, że przypomniał sobie całą sytuację z *Novelletten*. Wzięła głęboki wdech i powiedziała, bardzo spokojnie:

- Powiedziała ci, że się umówiłam. Wynajęliśmy samochód i ustaliłyśmy trasę. Przyjedź

mnie posłuchać w Pradze.

– Nie mogę. Nie mam pieniędzy.

Teresa zamiast odpowiedzieć, wyciągnęła z torebki mapę Europy, z zaznaczoną trasą i datami kolejnych etapów podróży: Paryż, Strasbourg, Frankfurt, Praha... Nastawiała się zwłaszcza na Pragę, bo nigdy tam nie była. Ale ja nie podzielałem jej entuzjazmu, bo ta podróż znów oddalała mnie od Teresy, teraz, kiedy stało się możliwe, by...

– Tereso, proszę.

– Tak czy inaczej, zobaczymy się, jak wrócę. Dwudziestego ósmego już będę w Barcelonie.

Teresa się nie zmieniła: żyła według harmonogramu ustalonego przez Armanda, tego chuja, i jeszcze się cieszyła, realizując jego plany. Uśmiechała się zadowolona, składając mapę.

– To twoje ostatnie słowo? – Miquel poczuł się nieco urażony uporem tej kobiety, ale nie chciał dać tego po sobie poznać.

– Tak, już ci powiedziałam, że nie mogę tego odwołać.

Rozmawiali jeszcze długo, starając się rozładować napięcie. Wrócił błogi spokój i już, już Miquel miał jej wyznać kocham cię, Tereso, nigdy nie przestałem cię kochać. Ale powstrzymałem się, żeby nie przeciągać struny, nie zakłócać dobrej atmosfery spotkania, a trochę dlatego, że w gruncie rzeczy jej upieranie się przy tej bezsensownej podróży do Pragi bardzo mnie uraziło. Poruszyliśmy wiele tematów. Ona też mi nie powiedziała, że mnie kocha, ale sądzę, że miała to na końcu języka, i nie wiem, co ją powstrzymało. Kiedy zapłacili rachunek i kelner zostawił ich samych, on rozsiadł się wygodnie i zapalił papierosa.

– Masz ochotę na kawę?

– Nie. Nigdy nie piję na noc. A poza tym kawa jest tu fatalna. No i spieszę się, Miquel, jutro musimy wcześniej wstać.

Pierwsze kroki przez Arlington Street pokonali w milczeniu. Zastanawiałem się, co było najważniejsze dla tej kobiety: ja, Praga, skrzypce, muzyka, ona sama? Zobaczyłem jasno, jak odległe miejsce zajmuję w tym rankingu. Ale wszystko zależało od siły perswazji. Sama myśl o rankingu odebrała mi mowę. Dlatego gdy usłyszał: porozmawiamy o tym wszystkim, kiedy wrócę, nie odpowiedział. Zatrzymali się na rogu Piccadilly, sto jardów od Ritza.

– Wracam do swojego hotelu – powiedziałem odruchowo, nie zdając sobie sprawy z sensu własnych słów. Wydaje mi się, że zrobiłem to z zemsty, żeby ją ukarać za samochód, mapę i tym podobne duperele.

– Dobrze. Napiszę do ciebie z Pragi.

– Życzę szczęśliwej podróży, Tereso.

– Dziękuję.

Dwa całusy w policzek. Serdeczne, ale z dystansem: między nadzieją a nieufnością. To było coś dziwnego, jakby przepłynął prąd, jakby...

– Jak wrócisz do Barcelony... zadzwonisz?



– Tak.

– Na pewno?

– Tak, Miquel. Już ci mówiłam, że tak.

Teresa włożyła rękę do torebki. Patrząc na mnie wzrokiem słodkim jak miód, wręczyła mi rękojmię swojej obietnicy.

– Proszę. – Wyciągnęła zapalniczkę Isaaca Sterna. Tę zapalniczkę, Júlio.

– Wolisz, żebym to ja zadzwonił? – Zapytałem, przyjmując prezent.

– Nie. Zostaw to mnie. Przysięgam. – Oboje pomyśleli o zapalniczce.

Spontanicznie szybko pocałowała mnie w usta. Wzruszył mnie ten pocałunek. Nie zareagowałem, sam nie wiem czemu. Nie wiem, może chciałem dać jej do zrozumienia, że gniewam się o tę podróż, głupi kaprys.

– Żegnaj, Tereso.

Teresa poszła w kierunku hotelu, a ja nie stanąłem, żeby przyglądać się, jak odchodzi, uznając za pewnik, że zobaczymy się za dwadzieścia dni. Odwróciłem się, żeby zademonstrować kobiecie, która wypełniała całe moje życie i przyprawiała o zawrót głowy, jakim jestem twardzielem. To był efektowny gest, odejść bez oglądania się za siebie; już nie raz tak postąpiłem w życiu. I żeby jeszcze głębiej się pogрузić, parę razy zapaliłem i zgasiłem zapalniczkę, moją rękojmię. Ale trzydzieści kroków dalej poczułem się jak kompletny idiota. Czy wynajdywała jakieś przeszkody uniemożliwiające kontynuację znajomości? Nie. Czy była zadowolona, cieszyła się z ich spotkania? Tak. Czy nie dziękowała mu po stokroć za pudełko czekoladek z likierem? Tak. Czy nie wysłuchiwała z nieograniczoną cierpliwością krytyki swojego wykonania? Tak. Tak, z nieograniczoną cierpliwością i z tą pokorą, którą tak podziwiałem. Czy na pożegnanie nie pocałowała mnie spontanicznie w usta? Czy nie dała mi bezcennej rękojmi? Tak. A ja uparcie powtarzałem nie jedź do Pragi, zostań dwa dni, nie jedź, proszę, Tereso. Jesteś idiotą, Miquelu, Simónie, Claro.

Miquel zawrócił, biegiem. Teresa już stała przed zalaną światłem fasadą Ritza i jej sylwetka odcinała się na jego tle. Biegiem pokonał połowę dzielącej ich odległości. Ale wtedy się zatrzymał, żeby złapać oddech. Nie chciał stanąć przed nią zdyszany, bez tchu, ze słowami tak, kocham cię, Tereso, bardzo cię kocham. W czasie, gdy ja łapałem oddech, Teresa odwróciła się i stanęła na schodach. Światło dochodzące z hotelu oświetlało pół jej twarzy i wyglądała przepięknie, jak z obrazu La Toura czy Caravaggia. Uśmiechnęła się, a ja nie zareagowałem. (Co mam zrobić, krzyknąć Tereso, kocham cię? Podejść bliżej i powiedzieć jej to na ucho?) Oboje staliśmy nieruchomo ze dwie sekundy, które trwały niczym kosmiczna wieczność, jak ta, którą przeżyłem przed skyhawkiem A-4N porucznika Samuela Goldsteina, zanim się schyliłem, żeby nie dać się zastrzelić. Wieczność trwająca parę sekund, która naznaczyła mnie na całe życie. Prawdopodobnie ta druga wieczność, przed Ritzem, napiętnowała mnie jeszcze bardziej niż Kurnat as-Sauda. Zanim przewyciężyłem niezdecydowanie, Teresa, ciągle zwrócona do mnie połową twarzy, znów się uśmiechnęła, a ja pomyślałem, że ośmieszylbym się, tam, przed obserwującym nas zapewne portierem, gdybym teraz wyznał Tereso, najdroższa, kocham cię z całego serca i ze wszystkich sił i przyznaję, że nie powinienem był się gniewać o ten twój pomysł z Pragą. I wtedy przyszło

mi do głowy, że powiem jej, że ją kocham, kiedy stamtąd wróci. Ta myśl mnie sparaliżowała. Ograniczyłem się tylko, ja, eunuch do kwadratu, do przesłania jej uśmiechu. Tak, to prawda, zauważyłem przedłużające się wahanie Teresy, zanim zdecydowała się odwrócić i wejść do hotelu. Patrzyłem, jak ponownie znika z mojego życia, rozplywając się w nadmiarze zbytecznego światła.

Przyszedł do „Czasopisma” wściekły, ponieważ Duran nie chciał rozliczyć dwóch rachunków za obiady w Londynie. Protestował, wymachując rękami, choć nie miał zwyczaju gestykulować. Czego się spodziewałeś, że będę się odżywił wodą z Tamizy? A naczelny uparcie kręcił głową, uśmiechał się i patrzył na rachunki leżące przed nim na biurku.

– Nie podoba mi się, że zawyżasz koszty.

– Wydaje mi się, że ty i ja musimy sobie coś wyjaśnić.

Usiadłem po drugiej stronie biurka, zdecydowany rzucić tę pracę, choć inna na mnie nie czekała. Jestem pewien, że w tej demonstracyjnej postawie, gotowości rezygnacji z pracy, pewną rolę odgrywała perspektywa odnowienia relacji z Teresą. Dodawała mi sił i asertywności.

– Co?

– Nie masz do mnie zaufania?

– Nie.

– Nie jesteś zadowolony z tego, co robię?

– Jestem.

– No więc?

– Nikt inny nie przynosi mi tak wygórowanych rachunków.

– Duran, uprzedzam cię, że jestem śmiertelny i niszczałny.

– Co takiego?

– Że jadam obiady i kolacje.

– Ale czemu w czterogwiazdkowym Maharishi, i to z drugą osobą! – Posłał mi ironiczny uśmiech. – Słyszałeś o czymś takim jak pizza cztery pory roku? Obiło ci się o uszy?

Uznałem za upokarzające, że kolacja z Teresą stała się przedmiotem kłótni w pracy; ale byłem zdecydowany nie ustąpić ani o milimetr. Duran wziął rachunek za kolację do ręki i spojrzał mi w oczy.

– Kim była ta druga osoba?

– Steiner.

Co dowodziło, że Miquel Gensana i Giró nie tylko był śmiertelny i nietrwały, lecz także z innych względów daleko mu było do doskonałości. Że miał sekrety jak wszyscy, że kłamał tak jak inni. Pod żadnym pozorem nie mógł dopuścić, by święta, rokująca nadzieję obecność Teresy stała się przedmiotem dyskusji w pracy. Wskazałem sporny papier.

– Spędziłem pięć dni w Londynie, przeprowadziłem bardzo dobry wywiad i przygotowałem grunt pod następny, a ty mi teraz wymawiasz rachunek na pięćdziesiąt funtów?

– Sześćdziesiąt trzy.

– Oddawaj.

Wyrwałem mu rachunek z rąk i schowałem, nawet nie próbując heroicznie walczyć o swoje. Przybrałem minę męczennika.

– Sam zapłacę za kolację ze Steinerem. – I wyszedłem z gabinetu, czekając, o święta naiwności, że w ten sposób wywołam u niego wyrzuty sumienia. Na moim biurku leżała odłożona słuchawka.

– Mówiłaś, że kto dzwoni?

– Nie dosłyszałam. – Lali podała mi słuchawkę i odeszła na stronę, żebym mógł swobodnie rozmawiać. – Jakiś dziwny głos.

– Zostań, mnie nie przeszkadzasz.

Ale ona gestem dała mi do zrozumienia, żebym się nie przejmował, że idzie zrobić sobie kawę. Z głębi sali Júlia znad swojego biurka spojrzała na mnie tak, że aż mnie ciarki przeszły.

– Słucham?

Zauważyłem, że o najważniejszych w życiu sprawach człowiek dowiaduje się w okolicznościach pozbawionych odpowiedniej oprawy. W stanie surowym, bez odpowiedniego retuszu wielkie wydarzenia nie nadają się do umieszczenia w kronikach. Wiadomość o upadku Trzeciej Rzeszy zastała wujka Maurycego na strychu domu Gensana, gdzie oplakiwał swojego Miquela. Zaalarmowały go dopiero krzyki Remei. Gdyby nie hałaśliwa radość sąsiadów, Gaston Laforgue nie dowiedziałby się, że Dreyfus został skazany za zdradę. Miquel II Gensana po nieprzyjemnej, małostkowej kłótni w gabinecie szefa stał przy biurku ze słuchawką, patrzył roztargniony na Julię, manewrował jedną ręką, żeby wyciągnąć papierosa z paczki i w tym momencie dotarł do niego dziwny, ledwie dosłyszalny głos Armanda i jego słowa Miquel, to ty?

– Tak. Kto mówi?

– Teresa nie żyje.

O ile pamiętam, w pierwszej chwili go nie zrozumiałem. Ale dusza we mnie zamarała. Papieros wypadł mi z rąk i powiedziałem co ty mówisz, na litość boską, co mówisz, nie krzyczałem, ale krew podchodziła mi do gardła. Armand powtórzył Teresa nie żyje, a ja zobaczyłem białego motyla, który wyczerpany machał skrzydełkami, aż osiadł na kaloryferze i już tam pozostał, nieruchomy. Teresa, sedno mojego życia. Podobno rankiem jakaś zaspana ciężarówka zjechała na przeciwny pas. One jechały prawą stroną, niczego nie podejrzewając; przypuszczam, że rozmawiały o muzyce albo sam nie wiem o czym, w okularach przeciwsłonecznych, ciesząc się wolnością, Thelma i Louise, przy otwartych oknach, żeby wpuścić wiatr, i wtedy śmierć stanęła im na drodze, na czeskiej szosie,

pięćdziesiąt siedem kilometrów przed Pragą. Uświadomiłem sobie, że kładę wolną rękę na czole, pewnie z zamiarem wbicia do głowy tej brutalnej prawdy, a Armand, swoim monotonnym, smutnym głosem powtórzył mi to, co od niej usłyszał w noc przed wyjazdem, że prawdopodobnie znów będzie się z tobą spotykać, i dlatego do ciebie dzwonię, bo rozumiem, że ostatnio się widzieliście i... Biedny Armand był całkiem rozbity, a ja miałem oczy jak gąbka i myślałem: biedna Teresa, nawet nie zdążyła zobaczyć mostu Karola ani dzielnicy żydowskiej. Biedactwo, nie widziała Wyszehradu ani ulicy Nerudy. Kiedy odłożyłem słuchawkę, poczułem się tak, jakbym miał za chwilę runąć na ziemię. Podsunąłem sobie krzesło i usiadłem. Júlia nie przestawała mnie obserwować, ale ja jej nie widziałem. W tym momencie Miquel zakrył twarz obiema rękami, ponieważ przyszła mu do głowy straszna myśl, myśl, która będzie mu towarzyszyć już do końca życia, myśl nasycona bólem. Tereso, najdroższa: za długo odkładałem wyznanie, że cię kocham; umarłaś i już tego nie usłyszysz; umarłaś, nie poznawszy tej wielkiej prawdy, że mimo tego, co się wydarzyło, w moim życiu najważniejsza jest miłość, którą do ciebie czuję. Nie wiem, jak to znieść, Tereso. Umarłaś i jak mam ci to teraz powiedzieć? Rozumiesz, Júlio?

Pomagałem Armandowi i bratu Teresy we wszystkich formalnościach związanych ze sprowadzeniem ciała: ciało jej przyjaciółki zostało odesłane do Londynu. Byłem w czeskim konsulacie, a nawet pojechałem do Pragi, nienawistnej, zbytecznej Pragi, tak pięknej, tak czulej, tak kochanej, towarzysząc trumnie, i zacząłem poznawać wszystkie odmiany bólu, który powoduje niepojętą śmierć. Znalazłem w sobie siłę, żeby spojrzeć na jej twarz, stojąc obok ponurego, zmieszanego Armanda; bladą, nieruchomą, jakby zadziwioną, aż łzy rozmyły ten obraz i zniknęła na zawsze przed moich oczu i z mojego życia. Nieprawda: noszę ją w głowie i w sercu i zastanawiam się, dlaczego bezruch śmierci jest tak okrutny, Tereso, czemu nie możesz grać na skrzypcach ani wyśpiewać tej muzyki, która płynęła prosto z serca. Uczestniczyłem, jak bezduszna maszyna, we wszystkich absurdalnych ceremoniach pożegnania, trzymając się na uboczu, ze łzami w oczach, za milczącymi braćmi Moliner, bo jakby na to nie patrzeć, byłem dla niej kimś obcym. Miquel wysłuchał kilku mów dyrygentów i VIP-ów z muzycznej branży, panegiryków na cześć znakomitej solistki, która nas opuściła nieoczekiwanie, i mimo że taka młoda, nie tylko dobrze się zapowiadała, ale już osiągnęła znakomity poziom, była ambasadorem naszej kultury, a śmierć, zabierając Teresę Planellę, odebrała nam też przyszłość, którą ona miała przed sobą, dlatego nasz departament rozważa możliwość ufundowania nagrody jej imienia w dziedzinie interpretacji i tak dalej. A ja myślałem: tak, tak, możecie sobie mówić, co chcecie, ja przygotowałem inną mowę żalobną. Wiem tylko tyle, że mnie kochała i że ja ją bezgranicznie kochałem; pogodziliśmy się; między nami była chemia, wyczuwalna w najdrobniejszych gestach, mimo że nie mieszkaliśmy razem; nasza miłosna historia miała mocne fundamenty; uwielbiałem ją; potrafiła przeżywać muzykę tak dogłębnie, jakby płynęła z jej wnętrza; nauczyła mnie kochać kameralistykę, jeden z najznamienitszych prezentów, jaki kiedykolwiek otrzymała ludzkość, ale przede wszystkim leży mi na sercu to niewypowiedziane wyznanie, że cię kocham, tam przed Ritzem, na Piccadilly. Szybkim gestem ręki Miquel poprosił maître'a o rachunek, ukrywając łzę. Umarłaś, zanim usłyszałaś moje oświadczy, Tereso. Od tego czasu, a było to tak dawno, próbuję, bez powodzenia, żyć mimo bólu, który zapuścił

korzenie w mojej pamięci.

Dlatego też nie przeraża mnie groźba wypowiedziana przez telefon ochrypłym głosem, bo przychodzi taki moment, kiedy uświadamiasz sobie: wielkie rzeczy, śmierć to tylko śmierć, nic więcej. I wtedy przestajesz czuć lęk; ale o tym nigdy ci nie opowiem, Júlio, bo dla ciebie, dla Marii, dla córki Bolósa i dla jego partii ta śmierć była i pozostanie na zawsze tragicznym wypadkiem.

Miquel Gensana musiał założyć okulary, żeby przeczytać rachunek. Coś strasznego, we własnym domu złodzieje zdzierają z Ciebie skórę. Udał, że rachunek nie zrobił na nim wrażenia, i wyciągnął portfel. Maître, du côté de la claire fontaine, obserwował jego ruchy. Kiedy wyjmował z portfela kartę, na cześć naklejek oszpecających drzwi wejściowe, na talerzyk z rachunkiem wypadła prezerwatywa, którą kupiłem w toalecie mojego domu. Miquel podniósł wzrok, zawstydzony: Júlia i maître oczywiście nie mogli nie zauważyć. Ona pozwoliła sobie na uśmiech, a Miquel zastanowił się, co ten uśmiech może znaczyć, o co chodzi, Júlio, przeklinasz tego osobnika, który rości sobie prawo, by po kolacji była sarabanda i giga, czy cieszysz się, że droga została przetarta i możesz wykorzystać Miquela jako substytut Bolósa, którego nigdy nie podejrzewałem, że był nie tylko mój, ale i twój? Było mi obojętne, co sobie pomyślał maître.

– Co, bardzo drogo? – Szybkim gestem wskazała maître'a, gdy ten oddalał się uradowany jak dziecko z rachunkiem i moją kartą.

– Nieprzyzwoicie drogo. Gdyby upiory tych, którzy tu mieszkali, podniosły głowę...

– Miquel.

– Co.

– To był twój dom, prawda?

– Nie, dlaczego?

– Ale musiał być bardzo podobny. Z tego, co o nim opowiadałeś...

– Nie. – Miquel spojrzał zdegustowany na niestosowną fontannę. – W moim domu nie postawilibyśmy czegoś takiego. – Zaśmiał się nerwowo.

– Ale musiałeś znać tych, którzy tu mieszkali. Jestem tego pewna.

– Trzeci raz o to pytasz... – Miquel, zaniepokojony: – Nie wiem, kim byli, Júlio.

I wtedy zapiał kogut i Szymon Piotr przypomniał sobie słowa Pana i gorzko zapłakał, bo tym zaparciem się w pewnym sensie przekreślał część swojego życia i wyrzucał z pamięci swoich zmarłych. Chociaż wyłożył duszę na stół, przed oczy Júlii, potrzebował zachować dla siebie jakąś część, którą nie będzie się z nikim dzielił. Jeszcze raz w Miquelu Gensanie odezwał się Simó.

– Faktycznie, Josep Maria był taki jak ty.

– Bolós?

Franklin zawsze będzie Bolósem, nieważne, jak go nazywały jego kochanki.

– Bolós. Ale był weselszy niż ty. – Uśmiechnęła się smutno. – Umiał się śmiać.

– Przypuszczam, że tak. Ja po prostu nie mogę się pogodzić z jego śmiercią.

– Ja też.

– Wiem, Júlio.

– A właściwie dlaczego ty nigdy się nie śmiejesz?

O czym my właściwie rozmawiamy, Júlio, zastanawiał się Miquel. Wykorzystał, że maître właśnie wrócił z paragonem, i udał, że nie dosłyszał pytania. Milczeli, kiedy Miquel składał podpis. Później zatrzymał sobie długopis i został publicznie upomniany przez maître'a, który dopominał się zwrotu. Z ostentacyjnym uśmiechem nie zostawiłem złamanego grosza napiwku, pas de pourboire. Niech się pocałuje w dupę.

– Przyda ci się do artykułu to, o czym rozmawialiśmy?

– Nie.

– Fantastycznie. Za dużo mówiłem o sobie, a o Bolósie prawie wcale.

– Wiesz, że nie w tym rzecz. – Wyciągnęła ostatniego papierosa z paczki. – Jestem zmęczona, Miquel. Twój Bolós umarł także dla mnie.

– Na pewno w partii mają oficjalne dane biograficzne nadające się do publikacji. – Zapaliłem jej papierosa i z namaszczeniem schowałem zapalniczkę Sterna, która była moją rękojmią i moją więzią z życiem.

– I napiszę artykuł podobny do tych wszystkich, które się teraz ukazują – westchnęła, wydychając dym.

– Tak. Idziemy?

W moim domu pełno było ludzi. Jak miło. Na samym środku sali przy jednym ze stolików siedział mężczyzna tak podobny do wujka Maurycego, że Miquelowi wydało się, kiedy go mijał, że puścił do niego oko. Jeszcze parę sekund na kontemplację dwóch stuleci jednego czy drugiego Maura, Antona, Amèlii, Pilar, Marii i Carloty, mieszkańców tego domostwa pełnego smutku i problemów, które miało swój koniec, krótki i związły, w osobie Miquela II Gensany w Impasie, w Sytuacji bez Wyjścia, na Końcu Epoki, w Uschniętym Korzeniu. Ostatnia ucięta gałąź, od której śmierci uschnie całe drzewo, cały dąb, aż do Antona I Prapoczątku. Zostanie po nim tylko jako wspomnienie dąb w logo restauracji. Amen.

– Idziemy?

Ująłem Julię pod ramię, jakbyśmy byli małżeństwem. Wyszli na zewnątrz. Żółte, blade światło parkingu pograżało w ciemności ogród i całą resztę mojej posiadłości. Z trudem się powstrzymałem, żeby nie powiedzieć Juli, że ten ogród był mój, dom też i że to wszystko jest częścią mojego życia. Ale musiałem mieć jakiś sekret, żeby zachować minimum wolności.

– Kiedy straciłem wiarę w rozum, zostało mi tylko uczucie – podsumował Miquel. – I czuję się jałowy.

– Nie jesteś eunuchem, Miquel.

– Ach, nie?

– Nie. Co najwyżej apostatą. Całe twoje pokolenie hartowało się w ogniu apostazji.

– Ładnie powiedziane, ale nie sądzę. – Potarł czoło ręką, jakby się budził ze snu.



– Co robimy? – zapytała. Spojrzał na nią zdziwiony. Chodziło jej o prezerwatywę?

– Nie wiem. – Wręczyłem jej kluczyki do samochodu i do mojego życia.

Miquel Gensana i Giró westchnął głęboko, żeby powstrzymać nagły szloch, który wydobył się gdzieś z najgłębszej pamięci i chwycił go za serce. Po prawej, w ciemności, drzewko truskawkowe, starannie przycięte, pod którym wujek Maurycy ukrył swoje sekrety, teraz przyglądało mu się uważnie, może z miłością. Nie dało się na nim dostrzec żadnego białego motyla. Kiedy Júlia otworzyła drzwi samochodu, Miquel wsiadł i nie odwrócił się, żeby spojrzeć za siebie po raz ostatni, tak jak robił za każdym razem, kiedy uciekał na zawsze z domu Gensana. I wtedy ogarnęła go bezgraniczna tęsknota za wszystkim.

Matadepera, 1991–1996

## Dramatis personae

Miquel Gensana Giró (ur. 1947) – tytułowy eunuch, działający w konspiracji pod pseudonimem Simó, znany też, między innymi, jako Miquel II Niezdecydowany, Wątpiący, Zdezorientowany, Niedoinformowany, Metafizyczny Krótkowidz, Wieczny Uczeń, Myśliciel, Intelektualista, Pojętny, Wybraniec, Apostata, Katechumen, Komunista Chrześcijańskiego Pochodzenia, Apostoł Pogan, Syn Marnotrawny, Wyklęty, bez Ziemi, Marzyciel, Postępowy, Okaleczony, Uzurpator, Improwizujący Oszust, Łamaga, Kardiopata, Wielki Zakochany, Wielki Zazdrośnik, Prawiczek, Michel Le Voyer, Milczący, Zmyślnik Rzeczywistości, Radykalny Teoretyk, Wojownik w Stanie Spoczynku, Goryl, Kat, Wichrzyciel, Poszukiwacz Złota, Che, Marlowe, Marcin Ludzki, Otello, Robin Hood, Stanley, Darwin, Bocuse, Zygmuntfreud, Penelopa, Clara

Gemma Molins (ur. 1954) – żona Miquela II

Teresa Planella – wielka miłość Miquela II

Berta – działająca w konspiracji pod pseudonimem Pepa, konspiracyjna miłość Miquela II

Lidia – obiekt westchnień Miquela II w czasach gimnazjalnych

Júlia – redakcyjna koleżanka Miquela II

Duran – szef Miquela II, redaktor naczelny czasopisma „Czasopismo”

Armand Poch – agent Teresy Planelli

ojciec Romaní, ojciec Barnades, ojciec Valero – jezuici pracujący w szkole Miquela II

Rovira – przyjaciel Miquela II z lat szkolnych, niedoszły zakonnik

Montserrat – platoniczna miłość Roviry

Josep Maria Bolós – działający w konspiracji pod pseudonimem Franklin, znany też jako Nieodłączny Przyjaciel Miquela II

Maria – żona Bolósa

Garcia – dowódca Miquela II, działający w konspiracji pod pseudonimem Allen, przezywany Niebieskookim

Lidia – partnerka Niebieskookiego

Xato, Cunillera – członkowie zmilitaryzowanej grupy operacyjnej

Samanta – pielęgniarka w sanatorium wujka Maurycego, w zależności od nastroju wujka zwana sierżantem, pułkownikiem, kapitanem lub kapo

Remei, Cinta, Rosa, Gracieta, Maria, Lluïsa, Angeleta – służące w domu Gensana

Lluís Muncunill – architekt, autor projektu przebudowy domu Gensana

Joan Muncunill – zakonnik, poeta, starszy brat architekta, autor książek *De Verbi Divini Incarnatione* i *De vera religione*

Almendros – adwokat, szkolny kolega Miquela II

Canyameres – lekarz rodziny Gensanów

Vicenç – ksiądz z archikatedry w Feixes

Llúcia – prostytutka w burdelu Manyana, znana jako Lucia

Núria Giró (ur. 1948) – kuzynka Miquela II ze strony matki, znana jako Dyskretna

Ramon Giró (ur. 1945) – kuzyn Miquela II ze strony matki, znany jako Pograżający Fabryki

#### Rodzina Gensanów

Miquel I (1942–1946) – syn Perego Gensany i Marii, starszy brat Miquela II, zwany Pionierem lub Projektem

Maria Giró (ur. 1917) – matka Miquela II, znana jako Milcząca Maria

Pere Gensana (ur. 1909) – syn Antoniego III i Amèlii, ojciec Miquela II, znany jako Uciekinier, Serdeczny Przyjaciel, Zdrajca, Krzywoprzysięzca, Bezwstydnik i Skurwysyn

Elionor Gensana (1914–1920) – córka Antoniego III i Amèlii, ciotka Miquela II

Elvira Gensana (1915–1937) – córka Antoniego III i Amèlii, ciotka Miquela II, znana jako Beniaminek

Amèlia Eroles (1890–1975) – żona Antoniego III, babka Miquela II, znana jako Ukochana, o Słodkim Spojrzeniu

Antoni III Gensana (1880–1952) – syn Maura II i Pilar, dziadek Miquela II, znany jako Fabrykant, Skurwysyn, Mecenas, Bogacz, Zdrajca, Bastard, Owoc Miłości, Ten, Na Którego Grób Naplułem

Maurycy Sicart Gensana (1905–1980) – syn Francesca Sicarta i Carloty Gensany, wujeczny dziadek Miquela II, znany jako Maurycy bez Ziemi, Odrącony, Kronikarz Wiatru, Oficjalny Kronikarz, Zmyślnik Rzeczywistości, Pamięć Rodziny, Zatrącony w Szaleństwie, Zboczeniec, Moralista, Pan na Włóściach, Prawowity, Owoc Innej Wielkiej Miłości itd.

Miquel Rossell (1909–1942) – obiekt nieszczęśliwej miłości Maurycego, zwany Ukochanym

Francesc Sicart (1855–1909) – mąż Carloty, ojciec Maurycego, wujeczny pradziadek Miquela II, znany jako Tragiczny

Carlota Gensana (1875–1909) – córka Antoniego II i Margaridy, cioteczna prababka Miquela II, znana jako Carlota bez Ziemi i jako Ukochana

Pere Rigau (1858–1887) – kochanek babki Pilar, zwany Amerykaninem

Natàlia – żona Perego Rigau, zwana Kłopotliwą

Pilar Prim (1861–1937) – żona Maura II, prababka Miquela II, bratanica generała Juana Prima, polityka, znana jako Pięknie Milcząca i jako Uciekinierka

- Maur II Gensana (1857–1932) – syn Antoniego II i Margaridy, pradziadek Miquela II, poeta, znany jako Boski, Wybitny, Nieustępliwy, Natchniony, Niezrównany, Wierszokleta z Feixes, Rogacz, Bycza Głowa
- Margarida Bardagí (1829–1909) – żona Antoniego II Gensany, praprababka Miquela II, tancerka, jej kochankiem był niejaki Playà
- Antoni II Gensana (1823–1902) – syn Maura I i Josefiny, prapradziadek Miquela II, zwany Złotoustym, Politykiem, Chryśóstomosem, znany również jako Zoon Politikon
- Josefina Portabella (1805–1869) – żona Maura I, praprababka Miquela II
- Maur I Gensana (1798–1859) – syn założyciela rodu, praprapradziadek Miquela II, zwany Bezguściem
- Adela Caimamí (1780–1869) – żona założyciela rodu Gensanów, prapraprababka Miquela II, znana jako Matka Założycielka
- Antoni I Gensana Pujades (1770–1851) – założyciel rodu Gensanów, praprapradziadek Miquela II, zwany Protoplastą i Prapoczątkiem

## PRZYPISY

[1] Dokładną, porównawczą analizę muzyczną powieści i koncertu przedstawiła w pracy dyplomowej *L'àngel i l'eunuc. La música d'Alban Berg a „L'ombra de l'eunuc” de Jaume Cabré* (2007) katalońska muzykolożka Albada Olaya Tubau. Na temat muzyki w twórczości Cabrégo powstała również praca doktorska Mòniki Ortiz de Pinedo Solé *Jaume Cabré: literatura i música* (2013). Ta druga badaczka przypomina, że podobnie jak *Cień eunucha* zbudowana jest powieść Aleja Carpentiera *Harfa i cień* (1979).

[2] I dalej: *Herr, wenn es dir gefällt, so spanne mich doch aus!*

[3] Anton Webern, który miał dyrygować prawykonaniem koncertu, zrezygnował po trzeciej próbie – tragedia śmierci przyjaciela była zbyt świeża.

[4] Bogusław Kaczyński, *Ucieczki do Karyntii. Rzecz o Albanie Bergu i jego operach*, Warszawa 1987, s. 56.

[5] Jan Jakub Rousseau, *Wyznania*, t. I, przeł. Tadeusz Żeleński (Boy), Warszawa 1978, s. 34.

[6] OSB (Ordo Sancti Benedicti) – benedyktyni (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

[7] Partido Socialista Unificado de Cataluña – Zjednoczona Partia Socjalistyczna Katalonii.

[8] *Dwadzieścia wierszy o miłości i jedna pieśń rozpaczy* – tomik poetycki Pabla Nerudy.

[9] *Wielki Tydzień* – tytuł poematu Salvadora Espriu.

[10] Partit Socialista d'Alliberament Nacional – Partia Socjalistyczna Wyzwolenia Narodowego.

[11] „Walka”.

[12] „Do Ataku”.

[13] Tragiczny Tydzień, 26.07–2.08.1909, seria krwawych starć między armią a robotnikami Barcelony i kilku katalońskich miast. Walki sprowokowało ogłoszenie premiera Antonia Maura o poborze rezerwistów, którzy mieli trafić do Maroka, aby zasilic hiszpańską armię podczas wojny z Berberami.

[14] Federación Anarquista Ibérica – Iberyjska Federacja Anarchistyczna.

[15] Partido Comunista de España – Komunistyczna Partia Hiszpanii.

[16] Łk 15,17–24, za: *Biblia tysiąclecia*, Poznań 1980.

[17] „Głos”.

[18] Luis Cernuda, *Tam gdzie mieszka zapomnienie*, przeł. Krystyna Osińska. „Literatura na Świecie” 1975, nr 2, s. 333.

[19] Cytaty z poezji miłosnej poety z Walencji, Ausiàsa Marcha (1397–1459).

[20] Cytat z piosenki katalońskiego barda Raimona.